

# HALINA POPLAWSKA

## TALERZ Z NAPOLEONEM

*Część I*  
*RÓŻA*

### Słodkiej Francji

Mełę znalaziono na cmentarzu, na starym paryskim cmentarzu Pere-Lachaise w pewien chłodny marcowy poranek. Właściwie można by ściśle określić datę owego wydarzenia, stało się to bowiem czwartego marca tysiąc osiemset sześćdziesiątego siódmego roku. W sam dzień świętego Kazimierza. Na imieniny Dziadusia. Były to już drugie imieniny, które Dziaduś obchodził na cmentarzu.

Pierwszy zobaczył ją Antoś.

— Popatrz, co tam siedzi? — pociągnął siostrę za rękaw, wskazując omszały kamień sąsiadujący z grobem Fryderyka Chopina.

Róża podniosła oczy znad marmurowej tablicy, gdzie wypisano imiona tych wszystkich, którzy odchodzili po kolei, pozostawiając rodzeństwo na prawdziwie sierocą dolę.

— Zobacz — nalegał. — Przecież tam ktoś jest, za tamtym grobem. Widzisz?

Róża zebrała fałdy szerokiej spódnicy, wstała z klęczek i spojrzała we wskazanym przez brata kierunku.

Rzeczywiście, ktoś krył się za wielkim grobowcem, tak starym, że deszcz, śnieg i wiatry zdążyły zetrzeć z jego powierzchni wszelki ślad wyżłobionych tam niegdyś znaków.

— Kto to może być? — chłopiec zniżył głos, przysuwając się bliżej siostry.

— Zaraz zobaczymy.

Choć o tej porze cmentarz wydawał się opustoszały, świeciło słońce i nie było żadnych powodów do obaw. Tym bardziej że to coś, kryjące się wśród mogił, małe i niepozorne, nie mogło przecież być w żaden sposób niebezpieczne.

Zza omszałego kamienia śledziło zbliżających się dwoje bar-

dzo niebieskich oczu, a do grobowej płyty tuliła się mała dziewczynka w żałobnej czerni.

Róża wyciągnęła rękę gestem, jakim zazwyczaj przywołujemy bezdomnego psa, by, okazując jak najlepsze zamiary, pozyskać zaufanie płochliwego zwierzęcia.

Dziewczynka jeszcze bardziej skuliła się, zaciskając zsiniałe od chłodu dłonie, a strach zdawał się przykuwać ją do kamiennej osłony, od której jedynie siłą pozwoliłaby się chyba oderwać.

— Co tu robisz? — Różę dzielił od małej już tylko stary nagrobek. — Chodź do mnie. Zmarzłaś.

Dziewczynka nie spuszczała przerażonych oczu z obcych, których intencje — mimo przyjaznego gestu — wcale może nie były przyjacielskie.

— Nie bój się, chodź.

Głos Róży i jej uśmiech wzbudziłyby zaufanie nie tylko u bezdomnego psa, na dziewczynce jednak nie robiły spodziewanego wrażenia. Mała cofała się za kamień, jak gdyby twardy głaz zdolny był udzielić jej obrony.

— Nie lękaj się — Róża była coraz bliżej. — Nie zrobię ci nic złego.

— Może ona nie słyszy? — Antoś pamiętał kłopoty Dziadusia spowodowane głuchotą.

Róża szybko okrążyła grobowiec i przykucnęła przy dziewczynce.

— Chodź do mnie — objęła cieniutkie ramiona. — Zmarzłaś i jesteś głodna. Prawda?

Dziewczynka trzęsła się z zimna i pewnie ze strachu, ale nie uciekała.

Wpatrywała się uporczywie w te dwie nieznanne istoty, przenosząc spojrzenie z Róży na chłopca i z powrotem.

— Dlaczego jesteś sama na cmentarzu? Gdzie mieszkasz? Gdzie twój rodzice?

Pytania te pozostały bez odpowiedzi. Dziewczynce drżały wargi, dygotała cała drobna figurka, aż Róża, zdjęta litością, zsunęła z ramion ciepły wełniany szal i otuliła małą.

— Co z nią zrobimy?

— Zabierzemy ze sobą. Przecież nie można zostawić jej na cmentarzu. Widzisz, jak zziębła.

8

Dziewczynka nie stawiała oporu i dała się posłusznie prowadzić nowej opiekunce.

Raz jeszcze przeszli obok grobu najbliższych, zatrzymując spojrzenie na wrytych na tablicy imionach. Dziaduś był ostatni.

„Kazimierz Ordęga

urodzony w Ojczyźnie 18 czerwca 1795 roku

zmarł w Paryżu 20 września roku 1865.”

Żalobną tę kolejność zapoczątkowała jego żona, Józefa z Mireckich.

Umarła jeszcze przed urodzeniem Antosia. Róża ledwie ją pamięta.

Po niej syn, Stanisław, „zginął tragicznie 14 stycznia 1858 roku podczas zamachu na Napoleona III”. Tak tam wypisano. Cesarzowi nic się wówczas nie stało, ale ojciec Róży i Antosia osierocił rodzinę.

Żona jego, Marianna z Lutyńskich, tylko o pięć lat przeżyła męża. Dzieci zostały więc z Dziadusiem, niestety nie na długo. Dziewiętnastoletnia Róża i o osiem lat młodszy od niej Antoś już drugi rok kosztowali smaku zupełnego sieroctwa.

Te smutne rozmyślenia nie pasowały do radosnego ranka, do słońca, którego blask odmładzał najstarsze nawet groby, mimo że ich kamień dawno już porósł mchem zapomnienia. I choć był to cmentarz, ziemia jednak — jak wszędzie tak i tu — cieszyła się nadchodzącą wiosną.

Skręcili w główną aleję prowadzącą prosto do bramy. Róża tym razem nie przystanąła przy płaczącej wierzbie, posadzonej nad mogiłą poety.

Antoś za to odczytał głośno nazwisko wryte na pomniku: „Alfred de Musset”.

Strażnik przy bramie nabijał właśnie fajkę i nie bardzo zważał na wychodzących. Dziewczynka, dotąd spokojna, nagle okazała przestrasz i schowała się za opiekunkę.

Bulwar Menilmontant, świeżo wytyczony na krańcach stolicy, przedłużał cmentarną pustkę i sporo czasu minęło, nim natknęli się na wolnego fiakra.

Daleko stąd na ulicę Świętego Rocha, gdzie w wysokiej kamienicy naprzeciw kościoła mieszkało rodzeństwo. Dziewczynka wciśnięta w głąb dorożki przyglądała się mijanym domom, jak gdyby wypatrując znajomych miejsc, a wyraz jej oczu upodabniał ją do zastraszonego zwierzątka.

9

Dozorczyńni powitała Różę przymilnym uśmiechem, ciekawa wszystkiego, co dotyczyło życia lokatorów. Mijając łożę, dziewczynka, jak gdyby znowu świadoma niebezpieczeństwa, mocniej przytuliła się do opiekunki,

kryjąc twarz w jej fałdzistej spódnicy.

Schody, dość szerokie i czysto zamieciono, poprowadziły na górę. Mijając drzwi pierwszego piętra Róża odwróciła głowę. Zawsze tak robiła. Trudno przecież patrzeć na wejście do mieszkania, które do śmierci ojca było ich domem. Potem musieli przenieść się wyżej, na trzecie piętro, gdzie czynsz był o wiele niższy, bo i mieszkanie odpowiednio skromniejsze.

Dziewczynka wpatrywała się w palce Róży szarpiące rączkę dzwonka. Obejrzała już drzwi, przechylając głowę, może nasłuchiwała kroków w oczekiwaniu na kogoś, kto za chwilę ukaże się w progu.

Otworzyła naturalnie Zelia, bo oprócz niej nikogo innego nie było w domu.

— O, co to? — Stała w drzwiach, tarasując sobą wejście, zafascynowana widokiem czarnej figurki.

— Nic, nic, Zelio, zaraz ci wytłumaczę. — Róża delikatnie odsunęła „więcej niż służącą” i wprowadziła małą do schludnego przedpokoju. — Zamknij drzwi, nie chcę, żeby kto widział.

— Więc co to za dziecko? — Zelia nie dała się zbyć byle czym.

— Znaleźliśmy na cmentarzu. Popatrz, jaka zziębnięta. I wystraszona. Biedactwo. Trzeba jej dać coś gorącego.

— Obiad gotów. — Zelia zanim wyszła do kuchni, raz jeszcze zlustrowała niespodziewanego gościa.

— Jak ci na imię? — Róża przyklękła przy małej, rozpinając żalobny paltocik.

<

Milczenie.

— Ja jestem Róża, a ty?

Dziewczynka choć dalej milczała, nie przestawała wodzić wzrokiem po ścianach ciasnego pomieszczenia.

— Daj, rozwiążę ci wstążki kapturka. Masz tak zgrabiałe paluszki... Zarówno paltocik jak i kapturek uszyto z sukna najlepszego gatunku, a czarna sukienka, ciasno opinająca cieniutką talię, roz-

10

kladała się szeroko w modną krynolinę. Ten smutny strój ożywiła pod szyją wąska biała wypustka.

Dopiero w pokoju służącym za jadalnię Róża dokładnie obejrzała małą.

Dziewczynka wyglądała na jakieś siedem lat. Ciemne włosy, rozdzielone pośrodku głowy, zapleciono w grube warkoczyki. Buzia teraz blada i mi-

zerna, przedtem musiała być krągła i rumiana. Co jednak spowodowało ucieczkę na cmentarz? Bo to była chyba ucieczka. Świadczył o tym przestrach i ukrywanie się wśród grobów. Ale dlaczego?

Do dziewczynki Róża zwracała się po francusku, tak zresztą rozmawiała z Zelią, choć służąca, od dziesięciu lat przebywająca w polskim domu, nachwytała wiele słów, a nawet zapamiętała całe zwroty.

— Ma doskonałą pamięć i jest zdumiewająco inteligentna — mawiał Dziadus.

Rzeczywiście. Nauczono ją jedynie czytać i pisać, lecz bystrością umysłu i słusnością sądu Zelia prześcigała niejedną osobę, która otrzymała tak zwane wykształcenie. I pomimo że w domu Ordęgów spełniała funkcje służącej, po śmierci Dziadusia została główną doradczynią i opiekunką sierot.

Stała teraz nad milczącą dziewczynką, przyglądając się, jak zanurza w talerzu srebrną łyżkę i ze znanstwem smakuje jarzynową zupę, jedno z arcydzieł Zelii.

Antoś wyjątkowo był w domu. Ale dzień świętego Kazimierza, patrona młodzieży, uroczyście obchodzono w Szkole Narodowej Polskiej na Bati-gnelles i uczniowie wolni byli od lekcji. Zresztą jeszcze inna okazja pozwoliła chłopcu spędzić ten ranek w towarzystwie siostry: imieniny Dziadusia i wizyta na cmentarzu. Po południu Zelia miała odprowadzić go do szkoły, bo nazajutrz zaczynał się zwykły dzień pracy.

Gdy Zelia poszła włożyć odświętną suknię, Antoś z żalem żegnał się z siostrą. Nie lubił — na jakże długi tydzień — rozstawać się z domem, tym bardziej teraz, gdy obecność tajemniczej dziewczynki zapowiadała nadzwyczajne może wydarzenia.

— Wiesz co? — starannie obciągał kurteczkę mundurka, bo pan wychowawca wymagał od uczniów nienagannej prezencji. —

12

Ona pewnie nie rozumie po francusku. Może to Angielka? Albo Hiszpanka? Jak cesarzowa Eugenia.

— Jest bardzo zalękniona. Musiało ją spotkać coś straszego. Czekajmy, aż się oswoi. Teraz potrzebuje tylko snu. Zaraz ją położę.

Wkrótce zapanowała zupełna cisza. Zelia z Antosiem wyszli, a dziewczynka spała. Róża lubiła takie chwile samotności, w domu — podobnie jak brat — nie spędzała zbyt wiele czasu. Należało przecież coś robić, pracować na chleb, bo pensja, jaką po zamachu na cesarza przyznał wdo-

wie rząd francuski, nie była zbyt wysoka; choroba matki, a potem Dzia-  
dusia pochłonęły wszelkie oszczędności.

Szczęśliwie ich znajoma, -pani Carette, lektorka cesarzowej Eugenii, za-  
rekomendowała ją w pałacowej szwalni, a tam potrafiiono już ocenić  
zręczne palce dziewczyny. Po miesiącu Róża była hafciarką Jej Cesar-  
skiej Mości, i tylko ona miała prawo zdobić artystycznym wzorem bieli-  
zną i chusteczki przeznaczone do najjaśniejszej garderoby.

Od roku więc, każdego ranka spieszyła do Tuileriów. Po drodze wstępo-  
wała do kościoła, po czym przecinając starą ulicę Świętego Honoriusza i  
nową ulicę Rivoli, dochodziła do bocznego wejścia pawilonu de Marsan.  
Znano ją tam dobrze. Strażnik witał codziennego gościa zamaszystym  
ukłonem. Róża zagłębiała się w cień monumentalnie sklepionej królew-  
skiej bramy, by po chwili wynurzyć się na wewnętrznym dziedzińcu.

Stamtąd było już blisko na schody przeznaczone dla służby, gdzie na dru-  
gim piętrze, obok szwalni, w jasnym pokoju o dwóch oknach wychodzą-  
cych na ogrody, czuła się prawie jak u siebie.

Pochylona nad napiętym na tamborku cieniutkim batysem, wysnuwała  
białą nitką bukietki fiołków, ulubionych kwiatów cesarskiej chlebobaw-  
czyń. (^

Co prawda, Róża, gdyby chciała, miałaby zastęp klientek, takie cuda pani  
Carette opowiadała o jej sztuce. I tego wszystkiego nauczyła ją matka,  
jeszcze gdy Róża była małą dziewczynką. A matka umiała to od swojej  
matki. Z tą tylko różnicą, że owe matki i babunie nie dla zarobku hafto-  
wały kościelne obrusy, nie dla podniesienia urody wielkich dam wyczaro-  
wały spod igły naj-

13

piękniejsze kwiaty godne rajskiego ogrodu, one wszystko, co robiły, kła-  
dły na ołtarze.

Róża pamięta, opowiadał Dziaduś. Do końca, do ostatnich dni wspomi-  
nał. Właściwie zabiła go chyba tęsknota, bo nie był ani taki stary, ani  
chory, ani słaby. Źle słyszał, to wszystko. A nikt przecież nie umiera z  
głuchoty!

Dziaduś zawsze czuł się wygnańcem, choć przeszło trzydzieści lat miesz-  
kał w Paryżu. Był wieśniakiem, a musiał tkwić w gwarze wielkiego mia-  
sta. Ale w wielkim mieście łatwiej zniknąć, a Dziaduś tego właśnie po-  
trzebował. Zniknąć. Stać się niewidocznym. Miał po temu powody.

Nie potrafił jednak wrosnąć w tę gościnną francuską ziemię, która przy-

garnęła już tylu tułaczy. Był jak i oni ofiarą listopadowej katastrofy. Zamiast, przykuty do taczki, pracować w sy-birskiej kopalni, żył wolny w nowej ojczyźnie, ale czuł się tu obcy. Po prostu nietutejszy Róża знаła najważniejsze etapy tragicznej walki, która miała przeciw wszelkie szanse powodzenia. Nikt wówczas nie pomógł, żaden rząd europejski nie podniósł ręki w obronie ciemionych. A Polacy, ufni w podpisane na kongresie wiedeńskim zobowiązania, oczekiwali interwencji. Mieli jeszcze wojsko, mieli oficerów kształconych w napoleońskiej szkole, mieli wszystko prócz wodza.

Po klęsce powstania książe Adam Czartoryski, prezes Rządu Narodowego, wyraził się z goryczą: „Polegaliśmy na szlachetności i mądrości gabinetów. Ufając im, nie zużytkowaliśmy wszystkich sił, jakimi rozporządzaliśmy. Mogliśmy nieprzyjacielowi zadać cios stanowczy. Zdawało się nam, że lepiej było zwlekać”.

Dziadus nie umiał bez wzburzenia mówić o tamtych wydarzeniach. A musiał je wspominać. Z perspektywy czasu raz jeszcze przeżywał wzloty i upadki nadziei, jaką wówczas karmili się Polacy. Analizował postępowanie dowódców, doszukiwał się błędów w decyzjach, badał przyczyny przegranej. Cóż to jednak mogło dać? Tym bardziej że za słuchaczy miał dwoje dzieci, niedoroślą dziewczynkę i małego chłopca.

Jak przyjemnie spędzić popołudnie w domu! Róża chodzi po mieszkaniu, po tych ciasnych pokoikach, zamykających jej świat. Zwolniła się na dzisiejszy dzień, na imieniny Dziadusia. Akurat wczoraj wykończyła haft na nocnej koszuli z najpiękniej-

14

szego batystu. Panna Wirginia obszyła dół i rękawy koronką tak cienką, że ledwie ją widać. Pani Benoit bardzo była zadowolona.

Róża wzdycha. Czy będzie kiedy miała podobne cuda? Cesarzowa Eugenia, choć już nie taka młoda, jest bardzo piękna, musi więc nosić piękne rzeczy. Ale ona, Róża, też chciałaby choć raz... Niestety, liczyć się trzeba z każdym groszem, bo przecież najważniejsze to edukacja Antosia. A tu jeszcze to obce dziecko spada jak gdyby z nieba.

Na palcach podchodzi pod drzwi sypialni. Dziewczynka śpi na kanapce, gdzie jej posłała Zelia. Buzia już mniej blada i znikł wyraz lęku. Widać we śnie jest odprężona i może szczęśliwa. Po kim jednak nosi żalobę? Róża wycofuje się do jadalni będącej zarazem salonikiem. Przysuwa fotel

bliżej kominka, jak lubił Dziaduś, poprawia serwetkę na stoliku, po czym wchodzi do pokoju zmarłego.

Niczego tu nie ruszano. Wszystko stoi tak, jak zostawił. Zelia pieczołowicie okurza meble, podlewa fuksje, trzepie dywanik przed łóżkiem. Róża bierze z komódki dwie miniatury, Dziadusia i babuni. Jacy młodzi! Malował je pewien artysta przybyły z Wilna na zaproszenie nowożeńców. Bo rodzice Dziadusia mieszkali na wsi. W nowogródzkiej ziemi. W majątku Karolinowo. I byli szczęśliwi. Kochali się. Żyli dostatnio i niczego im nie brakowało. Niestety, sytuacja polityczna stawała się z dnia na dzień trudniejsza. Car — król Aleksander Pierwszy — zapewniał, że utworzone po kongresie wiedeńskim Królestwo Polskie połączy się z Litwą i z Rusią. Nie spełnił jednak tych obietnic.

Kongres wiedeński aktem podpisanym przez mocarstwa europejskie przywrócił Polsce państwowość. Cóż jednak z tego, jeżeli carat nie respektował podpisanych wcześniej zobowiązań?

Dziaduś nieraz powtarzał, że Zachód zdradził Polaków, że mimo szumnych protestów i zapewnień przeszedł do porządku nad rozbiorami, że oddał Polskę we władanie Austrii, Prus i Rosji, umywając ręce od dalszej odpowiedzialności za jej losy.

— Żebyście nigdy nie zapomnieli o Ojczyźnie — dodawał. — Jesteście Polakami i musicie nimi pozostać. Nawet tu, żyjąc w pielgrzymstwie. Tak. W pielgrzymstwie. Nigdy nie powiedział „na wygnaniu”

15

czy „na tułactwie”, a już najbardziej irytowało go, gdy kto wspomniał o „emigracji”. Powtarzał wówczas za Adamem Mickiewiczem: „Każdy Polak w pielgrzymstwie nie nazywa się tułaczem, bo tułacz jest człowiek błądzący bez celu. Ani wygnańcem, bo wygnańcem jest człowiek wygnany wyrokiem urzędu, a Polaka nie wygnał urząd jego. Polak nazywa się pielgrzymem, iż uczynił ślub wędrowki do Ziemi Świętej, Ojczyzny wolnej, ślubował wędrować poty, aż ją znajdzie”.

Ach, jakże wówczas gorzały oczy Dziadusia, cała jego twarz wydawała się przeistoczona. Jak gdyby oświetlona od wewnątrz.

Róża dziwiła się, że choć tak patriotycznie nastrojony, rzadko stykał się z rodakami. Na pytanie, dlaczego nie utrzymuje stosunków z kołami polskimi w Paryżu, odpowiadał: „Tak lepiej”. Ale to już była Dziadusiowa tajemnica i należało uszanować jego wolę.

Zelia zastała ją w ciemności wtuloną w fotel przy wystyglým kominku.



— Dlaczego nie zapaliłaś lampy? — krzątała się jak zwykle zaradna, spoglądając spod oka na siedzącą, zatroskana smutkiem swojej młodej „pani”. — A właściwie co zamierzasz zrobić z tą dziewczynką?

— Nie wiem.

— Należałoby dać znać do policji.

— Słuchaj, Zelio, ona przed czymś uciekała. Przed czymś albo przed kimś. Przeżyła coś strasznego. Straciła mowę. Ale garnie się do mnie. Może umarła jej matka... Jest przecież w żałobie.

— Wszystko to bardzo pięknie — Zelia zawsze kierowała się rozsądkiem. — Pomyśl jednak, przecież jej szukają. Rodzice, opiekunowie... A ona tu, u nas.

— Ona u nas jest bezpieczna. Czy nie rozumiesz, że to dziecko czegoś się boi? Bardzo się boi?

— Ee, to już przesada. Nic dziwnego, że się boi. Oddała się bez pozwolenia, wszyscy zajęci pogrzebem... lęka się, bo wie, że czeka ją kara. Nieposłuszna i tyle.

— A jeżeli ktoś chce ją skrzywdzić?

— Skrzywdzić? — Zelia wzruszyła ramionami. — Zawsze miałaś bujną wyobraźnię. My ją krzywdzimy, ukrywając przed jej prawowitymi opiekunami. Zrozumże wreszcie. Po tym, jak jest ubrana,

16

widać, że to dziecko z bogatego domu. Może z wielkiego domu. A tu co będzie miała?

— Och, Zelio, sama nie wiem, co robić. Poczekajmy do jutra, aż przemówi.

— A jeżeli to niemowa albo głuchoniema?

— Proszę cię, poczekajmy do jutra.

— Dobrze, poczekajmy — zgodziła się niechętnie Zelia, zupełnie nie przekonana argumentami Róży. — Zaraz podam kolację. — I wyszła do kuchni.

Zelia знаła swoje miejsce i choć „panienkę” nazywała po imieniu, nigdy mimo nalegań Róży nie siadła z nią do stołu. Asystowała przy jedzeniu zawsze stojąc, gotowa do usłużenia, podania potrawy, zmiany talerzy.

Tak samo, jak było za życia państwa.

— Słuchaj, Zelio, po co te ceregiele — irytowała się Róża. — Przecież jesteśmy same, we dwie.

— Co by to było, gdyby służba siadła z państwem do stołu — odpowia-

dała niezmiennie Zelia. — Istna rewolucja. A potem gilotyna i obcinano by głowy na szafocie. Chcesz tego?

I jak zwykle postawiła na swoim.

Róża raz jeszcze zajrzała do sypialni, jak gdyby w nadziei, że niema do-  
tąd dziewczynka udzieli jej natychmiast oczekiwanych wyj aśnień.

Co robić? Doprawdy nie wiedziała. Zelia chyba miała rację. Jak wytłu-  
maczy pobyt nieznanego dziecka w domu przy ulicy Świętego Rocha?  
Nie ukryje jej przed wścibskim wzrokiem dozorczyń. Co odpowie na  
pytania? Jak się to jednak stało, że mała znalazła się sama na cmentarzu?  
— Przypuszczalnie chowano kogoś z jej rodziców, ojca czy  
matkę — mówiła Zelia, gdy już podała kolację. — Dziecko skorzystało z  
nieuwagi guwernantki i oddaliło się. Może wcale nie miała zamiaru ucie-  
kać, po prostu znudziła się ceremonią, a potem coś ją przestraszyło, po-  
biegła dalej i zabłądziła. Na cmentarzu o to nietrudno.

— Opiekunowie nie mogli jej tak zostawić!

— Na pewno jej szukali. Mała zmęczona, splakana, zasnęła  
wreszcie, przysiadłszy na jakimś grobie. A poza tym, jak ci już mówiłam,  
bała się kary.

2 — Talerz z Napoleonem

17

— Doprawdy, Zelio, dla ciebie to wszystko takie proste.

— A po co komplikować sprawy, których nie znamy? Przecież nic o niej  
nie wiemy. Absolutnie nic. Chodź, obejrzymy raz jeszcze jej bieliznę,  
może są tam jakie znaki czy inicjały. A krzyżyk, co ma na szyi, wi-  
działas? Piękna robota.

Bielizna dziewczynki była wykwinna. Z najcieńszego batystu. Róża do-  
brze się na tym znała. Koszulkę i długie falbaniaste panta-lony, obszyte  
walansjenką i białym haftem, naznaczono inicjałami M.N.

Buciki z miękkiej czarnej skórki, zapinane z boku na trzy guziczki, po-  
chodziły od najlepszego paryskiego szewca. Białe pończochy były nowe,  
widać włożono je pierwszy raz na dzień pogrzebu. Ale decydującym do-  
wodem na poparcie słów Zelii był złoty krzyżyk na dość grubym łańcusz-  
ku. Na nim też były inicjały, a między nimi data. Róża pochylona nad  
śpiącą z trudem odczytała: „R. 27 lipca 1859. A.”

— To pewnie data jej urodzenia — stwierdziła Zelia, która trzy-  
mała lichtarz nad małą. — Doprawdy, obawiam się, że nie mamy  
prawa postąpić z nią tak samowolnie.

Gdy Róża obudziła się nazajutrz rano, dziewczynka już nie spała. Leżała cichutko, obiegając oczami nieznany pokój.

— Dzień dobry — Róża przysiadła w nogach kanapki. — Jak spałaś? Dobrze?

Dziewczynka otworzyła usta, jak do odpowiedzi, ale zacisnęła je natychmiast, przekonana widać o konieczności milczenia.

— Wstawaj, pomogę ci się ubrać. A potem umyjesz buzię, rączki i zjesz śniadanie.

Dziewczynka spojrzeniem i wyrazem twarzy zdawała się potakiwać mówiącej, ale nie odezwała się ani słowem.

Po śniadaniu Róża wybierała się do pałacu. Widząc, że opiekunka kładzie kapelusz, dziewczynka okazała niepokój.

— Nie bój się. Zostaniesz z Zelią, a ja wrócę na obiad.

W przedpokoju Zelia raz jeszcze poruszyła drażliwy temat.

— I co postanowiłaś? Należałoby już dziś...

— Tak, tak, Zelio, po obiedzie zastanowimy się razem, jak to załatwić. Tymczasem uważaj na nią — wskazała wzrokiem małą,

18

siedzącą w Dziadusiowym fotelu obok kominka. — Dałam jej książki z obrazkami do oglądania, myślę, że nie sprawi ci kłopotu.

Aż do powrotu Róży dziewczynka nie zeszła z fotela. Gdy obejrzała już ryciny w książkach Antosia, przechyliła się w stronę ognia, jak dorosła osoba, gdy wypatruje w płomieniach odpowiedzi na trudne jakieś zapytanie.

Obiad jadła w milczeniu, choć uśmiechem okazała żywą radość z obecności Róży. Chodziła też za opiekunką, jak przywiązany do swej pani piesek, a patrząc w oczy czy przytulając się do jej ręki, dawała wyraz sympatii i wdzięczności.

Po obiedzie Róża znowu pobiegła do pałacu, naszykowawszy przedtem na stoliku nową porcję książek, rycin i malowanek.

Dziewczynka zdrzemnęła się w fotelu, znużona szarością zimowego dnia, brakiem towarzystwa, pozbawiona swoich ulubionych zabawek. Wieczór wraz z powrotem Róży przyniósł ożywienie, rozbudził zainteresowanie nowym miejscem pobytu. Dziewczynka biegała po mieszkaniu, po tych niewielkich pokoikach, zajrzała nawet do kuchni i do ciemnej garderoby, gdzie sypiała Zelia. Jednakże mnogość wrażeń nie zdołała wyrwać jej z ust ani jednego słowa.

Róża zaczynała już przypuszczać, że mała rzeczywiście jest głuchoniema, gdy w pewnej chwili, wszedłszy do pokoju Dziadu-sia, by zabrać pozostawioną tam poprzedniego wieczoru świecę, zauważyła, że dziewczynka, która wsunęła się za nią, przystanęła przed wiszącym nad komódką talerzem z sewrskiej porcelany.

— Mój talerz! — krzyknęło dziecko po polsku, wyciągniętą ręką wskazując ścianę. — Mój talerz z Napoleonem!

Róża znieruchomiała z lichtarzem w dłoni, tak przechyliwszy świecę, że wosk splamił podłogę.

Dziewczynka nie spostrzegła wrażenia, jakie jej okrzyk wywarł na opiekunce, i wpatrywała się w Dziadusiową pamiątkę, zapomniawszy chyba o obecności Róży.

Róża postawiła świecę na stoliku i podeszła do małej.

— Więc jesteś Polką.

— Skąd masz mój talerz? — dziewczynka nie słyszała chyba pytania.

19

— To talerz mego Dziadusia — Róża powoli wracała do równowagi. — Zawsze u niego był.

— To mój talerz — upierała się mała. — Mój. Dał mi go tatuś. — I nagle rozplakała się.

Na próżno Róża usiłowała ją pocieszyć, ukoić najczulszym słowem, utulić najserdeczniejszym uściskiem. Dziewczynka szlochała tak rozpaczliwie, że zdawało się, nie istnieje na ziemi pociecha na tak beznadziejny smutek.

Zelia, posłyszawszy płacz, przybiegła z kuchni i podobnie jak Róża stała bezradna wobec gwałtowności niedziecinnego doprawdy bólu.

Tego wieczoru dziewczynka więcej się już nie odezwała. Nie chciała jednak wypuścić palców Róży, która otuliła ją kołdrą i długo przy niej siedziała. Zasnęła, gdy zmoгло ją wreszcie znużenie, a zapłakana buzia nawet we śnie zachowała tragiczny wyraz.

— Wyobraź sobie, to polskie dziecko — mówiła Róża do Zelii, gdy uwolniwszy rękę z obejmujących ją ciasno paluszków, zamknęła za sobą drzwi sypialni. — Poznała talerz Dziadusia, twierdzi, że to jej własność, że tatuś go jej dał.

— Pewnie ma taki sam w domu — Zelia nie widziała w tym nic nadzwyczajnego. — Podobnych talerzy tysiące wyrabiano w sewrskiej

manufakturze. Można je kupić w każdym sklepie.

— Takiego jak ten nigdzie nie spotkałam. Dziadus miał go od młodości. To jedna z nielicznych pamiątek, jakie wywiózł z rodzinnego domu. Doprawdy to niezwykle, że ta mała akurat ma taki sam.

— Może i niezwykle — przyznała obojętnie Zelia. — Weź jednak pod uwagę, że dziecku łatwo się pomylić. Wszystkie te porcelanowe talerze czy inne cacka są do siebie podobne. Mają różne malowanki...

— Ale tu pośrodku jest portret Napoleona i dziewczynka wie o tym. Ktoś jej musiał powiedzieć.

— Napoleon u nas w modzie. To przecież stryj naszego cesarza. Wszędzie możesz zobaczyć jego portret.

— Ten talerz jest stary, właśnie z czasów Napoleona. Dziadus kupił go w Warszawie pięćdziesiąt lat temu.

— Co z tego? Czy myślisz, że tylko na jednym talerzu wymalowano wówczas Napoleona? W tysiącach domów znajdziesz takie

20

same, na stole czy na ścianie. Nie zwracaj sobie głowy talerzem. Dobrze, że mała przemówiła, wiemy przynajmniej, że nie jest kaleką. Idź teraz spać, bo już późno, ja mam jeszcze robotę. Przez to wszystko nie zebrałam bielizny do prania, a matka Martin jutro będzie w naszym domu.

— Pomogę ci.

— Jeszcze czego i Do haftu potrzebne wypoczęte oczy.

Na niektóre tematy z Zelią nie było dyskusji, należało po prostu słuchać i robić, co kazała, ale Róża przeżyła zbyt wielki wstrząs, by mogła tak zwyczajnie przejść do porządku nad tym, co się wydarzyło. Chodziło przecież o Dziadusiowy talerz, nieledwie relikwię z czasów młodości, z którym zmarły wiązał niegdyś wielkie nadzieje. Wszak nieraz powtarzał, wskazując ową pamiątkę: „Niech go tylko odnajdę, mego Zygmunta, a wszystko się zmieni”. Otóż to. Zygmunt. Przyjaciel. Talerz był w pewien sposób symbolem tego, co łączyło Dziadusia z zaginionym, a to miało jakieś wprost niewymierne znaczenie dla jego życia i całej przyszłości. Zasnęła dopiero nad ranem, a obudziła ją Zelia. Na kanapce nie było dziewczynki.

— Gdzie mała?

— W pokoju Dziadusia — Zelia rzadko miewała tak ponury wyraz twarzy. — Weszła na krzesło, zdjęła ze ściany talerz, a teraz

siedzi, i ogląda go.

Róża w pośpiechu okrywała się peniuarem, niespokojna o całość drogiej pamiątki. Dziewczynkę zastała siedzącą na Dziadusiowym podnóżku z talerzem na kolanach.

— To nie mój talerz — stwierdziła mała z żalem, ujrawszy wchodzącą. — Na moim z jednej strony był wyszczerbiony brzeg, o tu, przy tej złotej literze — wskazywała wielkie N, nad którym lśniła cesarska korona. — Ale ja mam taki sam. Taki samiutki. — Jej polszczyzna uderzała swobodą i doskonałością wymowy. Widać postu-giwała się często tym językiem.

Róża wzięła talerz z jej rąk i powiesiła na zwykłym miejscu, nad komód-ką, po czym przysiadła na podłodze.

— Powiedz, jak się nazywasz?

— Mela.

— Mela i co dalej?

2\

— Nic.

— Jak to nic? Masz przecież nazwisko.

— Nie mam.

— Każdy się jakoś nazywa, ma imię i nazwisko.

— Ja jestem Mela.

— Bardzo ładnie, ale chciałabym znać twoje nazwisko. Niepokoją się o ciebie w domu, trzeba zawiadomić...

— Nie trzeba.

— Dlaczego?

— Bo nie!

— Nosisz czarną sukienkę, więc jesteś w żałobie. Kto umarł? Dziew-  
czynka pochyliła się nisko, dotykając czołem kolan. Znowu zapadła w  
niepokojące milczenie.

Róża zrozumiała, że należy z nią postępować niezwykle ostrożnie, by nie  
urazić bolącego miejsca, które nie zdążyło się jeszcze zablźnić. Niestety,  
w Tuileriach czekała na nią pilna robota.

Zostawiła małą, jak dnia poprzedniego, przy palącym się kominku, gdy  
wróciła, Meli już tam nie było.

— Cały czas siedzi u Dziadusia — poinformowała Zelia. —  
Wchodziłam tam kilkakrotnie, żadnej szkody nie robi, przygląda się

wszystkiemu, obrazom, książkom, miniaturom.

— Witaj, Melu — Róża zaskoczyła ją z Dziadusiową tabakierką w rękę.

— Nie nudziłaś się?

— Nie. Chodź do mnie. Chcę być zawsze z tobą. Dlaczego wychodzisz i zostawiasz mnie samą?

— Nie jesteś sama, Zelia jest w domu.

— Zelia to służąca.

— Cóż z tego? Zelia jest bardzo dobra, mądra i mnie kocha. Nie wiem, co bym zrobiła bez Zelii.

— Teraz masz mnie. Ja też ciebie kocham.

— Cieszę się. Ale powiedz mi...

Zelia przerwała rozmowę anonsując obiad. Podczas jedzenia jak zwykle stała za krzesłem Róży, podając skromne potrawy. Ze względu na nią, rozmowa toczyła się po francusku. Okazało się, że i tym językiem Mela posługuje się bezbłędnie.

Potem Róża spieszyła do roboty, obiecała jednak, że postara się wcześniej wrócić. Melę zastała znowu w pokoju Dziadusia.

22

— Tu mi się najbardziej podoba — oświadczyła dziewczynka. — Jest mój talerz. Chciałabym tu mieszkać.

— Nie bałabyś się spać sama?

— Zawsze spałam sama. Mademoiselle spała w sąsiednim pokoju.

— A... twoi rodzice?

Mela znowu pochyliła nisko głowę, aż Róża pożałowała pytania.

— Tatusi umarł — dziewczynka wygładziła czarną krynolinkę. — Zamknięto go w skrzyni... w trumnie — poprawiła się — a potem zabrano na cmentarz. Nie ma tatusia... — cała twarz drgała, jak od powstrzymanego z wielkim wysiłkiem płaczu.

— Ale jest przecież mamusia.

— Mamusia... — ból okazał się ponad siły i Mela szlochając poszukała ratunku we współczującym objęciu Róży. — Mamusię też zabrano... jak tylko tatusi umarł... Mamusia krzyczała, chciała zostać ze mną, w domu, ale zabrano ją... mnie zamknięto na klucz... Och, mamusiu... mamusiu...

Długo tak płakała. Jakaś niedziedzina tragedia wstrząsnęła jej króciutkim życiem, za ciężka i za trudna, by mogło ją pojąć i znieść tak małe serce.

— Chcesz wrócić do domu, prawda? — Róża zadała to pytanie już po

kolacji.

— Nie, nie! — krzyknęła gwałtownie Mela. — Nigdy nie wrócę do domu. Nie ma ani tatusia, ani mamusi. Jeżeli mnie wyrzucisz, pójdę na cmentarz.

— Masz przecież jakichś opiekunów, krewnych — perswadowała Róża.

— Czy wiesz, jak bardzo się martwią, jak są niespokojni? Szukają cię.

— Nie mam nikogo.

— A Mademoiselle?

— Mademoiselle wyjechała.

— Więc kto się tobą zajmował?

— Aneta. Ona jest zła. Nie lubi mnie. Ona nikogo nie lubi, uśmiecha się tylko do stangreta.

— Słuchaj, Melu, musisz koniecznie powiedzieć mi swoje nazwisko. Inaczej nie potrafimy odszukać mamusi. Powiesz mi wszystko, dobrze?

— Nie.

— Dlaczego?

23

— Bo zawieszysz mnie do domu, a ja nie chcę.

— Czy tatuś długo chorował? — Róża starała się zachować jak największy spokój.

— Tatuś nie chorował, tatuś umarł. Leżał bez ruchu i nic do mnie nie mówił. Nie patrzył na mnie, miał zamknięte oczy, nie chciał na mnie patrzeć...

— A mamusia? Czy była wówczas w domu?

— Mamusia płakała i wołała: „Co teraz z nami będzie?” Bardzo płakała. Nie chciała odejść od tatusia, ale zabrano ją...

— Kto mamusię zabrał?

— Boję się. Mnie też mogą zabrać. Nie dasz mnie, prawda?

— Melu, kochanie, nie lękaj się niczego. U mnie nikt ci nie zrobi krzywdy. Chciałabym tylko wiedzieć... Widzisz, z pewnością ktoś szuka ciebie, dano znać policji... Mogłabym mieć nieprzyjemności...

— Nieprzyjemności? Dlaczego?

— A jeżeli ktoś pozna cię na ulicy, gdy będziemy szły razem?

— Nie wyjdę na ulicę.

— Nie możesz żyć w zamknięciu. A co powiem dozorczyńcy, jak mnie zapyta? To ciekawska.



— Powiesz... powiesz, że przyjechałam do ciebie w gościnę.  
— Dobrze, dobrze. Widzę, że chwilowo nie dojdziemy do porozumienia. Wiem jednak, że namyślisz się i powiesz mi wszystko.. Jesteś przecież rozsądną dziewczynką.

— Chcę zawsze być z tobą. A ty ciągle wychodzisz.

Gdy Mela już spała, Róża, jak zwykle, u Zelii poszukiwała rady i pociechy.

— Obawiam się kłopotów, wielkich kłopotów — Zelia nie ukrywała niezadowolenia. — Należałoby dowiedzieć się, kto ze znaczniejszych Polaków zmarł w tych dniach. Nie ma rady. Musisz pójść do pani Grabskiej, to jedyna osoba, która wszystko wie, tylko ostrożnie z nią, bardzo ostrożnie.

O, tak. Z panią Grabską należało rozmawiać wyjątkowo ostrożnie.

Mela siedziała na podłodze w pokoju Dziadusia obłożona rocznikami „Rozrywek dla dzieci”, pisma, które wydawała

24

niegdyś nieodżałowanej pamięci pani Klementyna z Tańskich Hdfmano-wa. Nie tylko Róża wychowała się na jej książkach, dla paru pokoleń emigracyjnej dzieciarni była to czasem jedyna okazja, by się nauczyć dobrze czytać po polsku.

— Mam wszystkie książki hrabiny de Segur — opowiadała Mela — z bardzo ładnymi obrazkami. Ale ich nie lubię. Dzieci są tam albo okropnie nieszczęśliwe, albo strasznie -złe. „Niedole Zosi”, „Biedny Błażejek”, „Wzorowe dziewczynki” bardzo mnie nudziły. Lubiałam za to „Aniołeczka”, tę podłą złošnicę Gizelę. Chętnie wybiłabym ją za te głupie psoty. Pamiętasz, jak drażniła niedź-wiedzia zamkniętego w klatce, a potem krzyczała z przerażenia, gdy biedny zwierz przez pręty chwycił ją za sukienkę?

— Doskonale pamiętam. Uwolnił ją żandarm, szablą rozcinając spód-niczkę. Jest tam taka rycina.

— Najbardziej podobają mi się książki polskie — zdecydowała Mela. — Przeczytam wszystkie, jakie masz. Już wychodzisz? Tak wcześniej? — zerwała się widząc przygotowania opiekunki, która brała właśnie kape-lusz.

— Muszę odwiedzić starą znajomą Dziadusia, ale wrócę jak zwy-kle na kolację. Jutro sobota — dodała — będzie już Antoś w domu.

— Antoś...

— Mój brat, znasz go przecież. A może i ty masz rodzeństwo?

— Nie — Mela kilkakrotnie potrząsnęła głową. — Zawsze bardzo chciałam mieć braciszka czy siostrzyczkę. Ale nie miałam. Tylko tatuś, mamusia i ja.

Wspomnienie utraconych rodziców zgasiło blask oczu, starło wyraz ożywienia. Mela odłożyła książkę i zwykłym dla niej ruchem pochyliła się do przodu, zanurzając twarz w fałdach żałobnej krynolinki.

— Nie smuć się — Różę bolała ta niema rozpacz. — Odnajdziemy mamusię. Znowu będziesz szczęśliwa. A teraz do widzenia. Zelia z tobą posiedzi.

Z ciężkim sercem wychodziła z domu, poruszona tą jakąś tajemniczą tragedią, która zniszczyła dzieciństwo Meli.

Dzień był wyjątkowo piękny. Róża z przyjemnością zanurzyła się w odświeżeniu jak gdyby przystrojone słońcem ulice, rada

25

z okazji niespodziewanego spaceru. Kochała Paryż. Nic dziwnego, tu się urodziła, tu wszystko było bliskie i dobrze znane. Ojczyzny przecież nie widziała, tylko w opowiadaniach Dziadusia...

Trudno było teraz poruszać się po niektórych ulicach. Zbite z desek parkany grodziły najstarsze dzielnice. Kilofy robotników burzyły wieczne rudery, a często i dobre jeszcze domy, wzbijając tumany pyłu. Woźnice pokrzykiwaniem i razami bata zmuszali biedne konie do nadmiernego wysiłku, kierując wozy pełne gruzu hen ku rogatom.

Baron Hausmann, mianowany przez cesarza prefektem departamentu Sekwany, a tym samym i Paryża, postanowił zmieść z powierzchni miasta szczątki średniowiecznej zabudowy, a na jej cmentarzysku wzniesić okazałe gmachy i pałace, przebić szerokie i proste ulice tam, gdzie niegdyś wiły się wąskie i kręte zaułki, ślady rzymskiej może jeszcze drogi. Luwr trzeba było obchodzić z daleka, tyle tam dotąd prowadzono robót, wydobywając dawne, niezniszczalne piękno z tłamszącej je, a rozpanoszonej tu najsilniej, dziewiętnastowiecznej brzydoty.

Pani Grabska mieszkała po drugiej stronie Sekwany, czyli na tak zwanym „lewym brzegu”, tuż za rzeką, na początku bulwaru Świętego Michała. Właśnie ukończono poszerzenie i porządkowanie placu, otwierającego perspektywę na tę centralną arterię starej Dzielnicy Łacińskiej. Nieżyjący od lat mąż pani Grabskiej wybrał niegdyś to mieszkanie ze względu na bliskość uniwersytetu. Był profesorem Sorbony, uczonym paleografem, który nieraz śladami wielkiego Mickiewicza przekraczał progi College de

France.

Profesor Grabski żył pogrążony w przeszłości, obojętny na to, co działo się obok niego lub za jego plecami, zdając się na żonę we wszystkich sprawach współczesnej mu rzeczywistości. Więcej niż w domu przesiadywał w pobliskiej Bibliotece Świętej Genowefy, pochylony nad starym manuskrypcem, który pracowity kopista pokrył pismem pełnym skrótów — należało wówczas naj-oszczędniej wykorzystać tak drogi i rzadki materiał, jak pergamin.

Pani Grabskiej nie interesowała ani paleografia, ani średniowieczna łacina, a mąż nudził ją śmiertelnie. Zamiast jego odkryciami pasjonowała się wszystkim tym, czego mogło dostarczyć jej własne, a szczególnie cudze życie.

26

Profesora Grabskiego Róża już nie знаła, wiedziała jednak, że należał do nielicznych polskich znajomych Dziadusia, który po śmierci uczonego utrzymywał stosunki z wdową.

Pani Grabska niezmiernie udzielała się wśród rodaków, czynnie uczestnicząc w ich radosnych jak i smutnych przeżyciach. Jej własna, niezmiennie monotonna egzystencja dawno już przestała ją bawić.

— Nareszcie pokazałaś się, duszko — zawołała, gdy stara służąca zaanonsowała „pannę Ordeżankę”. — Chciałam już posyłać Jana, by się dowiedzieć, jak żyjecie. Chodźże bliżej, niech ci się przypatrzę!

Róża niezbyt lubiła te wizyty, gdyż pani Grabska bez żenady unosiła się nad przejrzystością jej cery, jak i ganiła nietwarzowy w jej mniemaniu kapelusz. Niestety, od czasu do czasu trzeba było poddać się owym niedelikatnym oględzinom, tym bardziej teraz, gdy sprawa Meli wymagała jak najszybszego rozwiązania.

Usprawiedliwiwszy więc długą nieobecność na bulwarze Świętego Michała brakiem czasu i nadmiarem zajęć, zadała wreszcie dręczące ją od paru dni pytanie.

— Kto ostatnio umarł wśród naszych rodaków? — powtórzyła powoli pani Grabska. — A skądże mogę wiedzieć, moja miła? Jeżeli ktoś znaczny, pisano by w gazetach.

— Nie mam czasu na czytanie gazet — tłumaczyła się Róża. — Zresztą pani wie wszystko najlepiej, wszystkich zna — dodała przymilnie.

— Pewnie, że znam, ale nie wszystkich. Czy kto umarł?... Ciągłe ktoś umiera. Na przykład stara pani Napiórkowska. Świeć Panie nad jej duszą!

Miała chyba ze sto lat. A młodziutka Anusia Rze-czycka, taka śliczna jak obrazek, zaraziła się szkarlatyną... Byłam na jej pogrzebie. Kto jeszcze? Aha, pan Narzymski, zupełnie młody człowiek, ten umarł nagle, nikt się nie spodziewał.

— Pan Narzymski? — przerwała Róża. — Znała go pani?

— O tyle, o ile, spotkałam parę razy w towarzystwie. To bardzo dystyn-gowany mężczyzna.

— Czy zostawił rodzinę?

— A jakże. Brata i córeczkę. Bo żona...

— Co żona?

— Wariatka. Od dawna była niespełna rozumu. Mąż ukrywał

27

to przed światem. Nieszczęsna! To chyba doprowadziło go do grobu. A co ty tak się nim interesujesz?

— Proszono mnie — skłamała rumieniąc się Róża.

— Rozumiem. Szukają pewnie guwernantki dla małej. Słyszałam, że to bardzo trudne i niemiłe dziecko. Biedny brat zmarłego, spadł na niego ciężki obowiązek.

— A co pani Narzymska?

— Ta wariatka? Mówiłam ci przecież. Niebezpieczna! Zamknięto ją w jakimś domu zdrowia w Auteuil czy w Passy, dobrze nie pamiętam. Nie nadaje się do życia w normalnych warunkach.

— Biedna.

— Bardzo biedna. Ale cóż na to poradzisz? Dobrze, że bogata i stać ją na luksusową klinikę, a nie na szpital dla nędzarzy. Takie osoby, niestety, winny żyć w izolacji. Dziecko mogło odziedziczyć po niej skłonność do szaleństwa. Pan Narzymski truł się tym pewnie i stąd ten nagły zgon. Szkoda. Ładną stanowili parę, oboje bardzo przystojni.

— To dziecko teraz sierotą?

— A sierotą. Pod opieką młodego stryja. Ale nie bój się, nie zazna krzywdy. Za jakie dziesięć lat będą się dobijać o jej rękę. Milionowa dziedziczka. Ojciec zostawił jej krocie. Chodzi o guwernantkę, tak?

— O guwernantkę... — Róża nie kłamała zbyt zrecznie.

— Najbardziej godny współczucia jest młodszy pan Narzymski. Miał się właśnie żenić... A tu żaloba... bardzo kochał brata, szaleństwo bratowej no i kłopot z nie swoim dzieckiem. Wyobrazasz sobie taką sytuację? Gdy się ożeni, odda małą na edukację do klasztoru, a potem wyda za męża i

pozbędzie się kłopotu. Wiesz, to bardzo' bogaci ludzie i obracają się w najlepszym towarzystwie. Ja jestem biedna wdowa i nie mam tak wysokich koneksji, widziałam ich parę razy, ot i wszystko. A najwięcej słyszałam. Bo dużo o nich gadają. Jak kto bogaty, zaraz wzbudza zainteresowanie. Melę też raz widziałam, tak zdaje się ma na imię owa dziewczynka. Jechała powozem razem z matką. Jeżeli będziesz miała kogoś zdatnego, zawiadom miiiie proszę, chętnie oddam tę przysługę panu Narzymskiemu.

— A... gdzie on mieszka?

— Mieszkał dotąd u brata. Taki piękny pałacyk niedaleko  
28

Lasku Bulońskiego, przy tej nowo wytyczonej alei. Zdaje się nazwano ją aleją Cesarzowej. To teraz najwytworniejsza dzielnica.

— Była tam pani?

— Skądże. Gdzie mnie do takich splendorów! Po prostu przejeżdżałam tamtędy i znajoma wskazała mi dom. Podobno urządzono wspaniały pogrzeb na Pere-Lachaise. Niestety, nie wybrałam się, bóle reumatyczne przykuły mnie na jakiś czas do fotela. A jak tam twoja praca w Tuileriesach? Słyszę, że cesarzowa zachwycona, wspominała pani Carette.

— Cesarzowa bardzo dla mnie łaskawa — Róża podniosła się z kanapki.

— Już uciekasz?

— Mam pilną robotę.

Pani Grabska byłaby rada dowiedzieć się czegoś bliższego o pałacowej egzystencji, posłyszeć jakieś podniecające ploteczki, choćby tylko od strony schodów dla służby. Róża jednak nie miała zamiaru przedłużać niepotrzebnej gadaniny.

Zasłyszane rewelacje zamiast ją uspokoić, wywołały jakieś niezrozumiałe wzburzenie. A najbardziej niepokojący w tym wszystkim wydał się jej ów młody stryj.

Pani Grabska ani razu nie wspomniała o zniknięciu dziewczynki, a przecież musiało być o tym głośno. Czyżby pan Narzymski nie zawiadomił policji i nie wszczął odpowiednich kroków, by odnaleźć bratanicę?

Nie potrafiła skupić uwagi na niepokalanym batyście, a haft nie dostarczył jej jak zwykle dotąd twórczego zadowolenia.

Spóźniła się, a gdy zdyszana wbiegała na schody, natknęła się na niesympatycznego nowego lokaja. W ogóle zbyt często spotykała na swojej drodze owego smagłego bruneta w liberii, który niedawno pojawił się w Tu-

ileriach i nie wiadomo po co kręcił się w tej części pałacu. Za każdym razem witał ją przesadnie niskim ukłonem, a jego fałszywej pokorze zadawały kłam poufale uśmiech

1 zbyt śmiało spojrzenie. Bezczelny fagas — zżymała się, nie śmiać jednak poskarżyć się pani Benoit. Właściwie w niczym jej nie uchybił, a uśmiechał się podobnie do wszystkich pracowników pałacowej szwalni. Dziewczęta zresztą były zachwycone owymi dowodami uprzejmości i wiele uwagi poświęcały przystojnemu lokajowi.

29

— To rodak cesarzowej — oznajmiła raz panna Wirginia. — Już się dowiedziałam.

— Od razu poznałam w nim Hiszpana — panna Regina błysnęła białymi zębami, odgryzając zrećźnie nitkę.

— Protegowany pani Pepy — dorzuciła tajemniczo młodziczka Sabinka.

— Cicho, panny, do roboty — pani Benoit przerwała te interesujące wynurzenia akurat wówczas, gdy padło imię cesarskiej intendentki.

Róża nie była ciekawa tych szczegółów. Właśnie wysunęła szufladę pękatej komody, gdzie składano uszytą już bieliznę, czekającą na igłę i tamborek hafciarki. Ale tego dnia praca jej nie szła.

Poprzedniego wieczoru, po wizycie u pani Grabskiej, gdy Mela spała, mogła nareszcie porozmawiać z Zelią i naradzić się, jak wybadać małą uciekinierkę.

— To podejrzana sprawa, bardzo podejrzana. Nie podoba mi się ów młodszy brat — Zelia trzęsła głową z dezaprobatą. — Nie zawiadomił policji. Wygląda na to, że wcale się nie przejmuje zniknięciem małej. Może mu to jest nawet na rękę? Nic nie rozumiem. Muszę wybrać się do ich domu i pociągnąć za język portiera. Tak, zrobię to jutro. Guwernantka to doskonały pretekst.

W aleję Cesarzowej Zelia poszła nazajutrz rano, o tej porze, gdy państwo jeszcze śpią, a służba i dostawcy kręcą się na dziedzińcu i przy bramie.

Łatwo wówczas o rozmowę. Zresztą po drodze jej było do szkoły na Bataignolles, skąd każdej soboty przyprowadzała Antosia do domu.

Pałacyk pana Narzymskiego, wtopiony w budzący się dopiero do życia park, świecił białymi ścianami i kolumnowym gankiem. Brama z artystycznie kutego żelaza napawała szacunkiem dla właściciela, a wyżyro-

wany podjazd przeznaczony był wyłącznie dla herbowych ekwipaży. Zelia przystanęła przed furtką czekając, aż zauważy ją portier w liberyjnym kaftanie.

— Czego tu? — ton głosu daleki był od uprzejmości.

— Przyszłam w sprawie guwernantki — Zelię niełatwo było onieśmielić. — Dla waszej panienki.

— Panienka na wsi i guwernantka niepotrzebna.

30

— Jak to na wsi? Słyszałam...

— Jak mówię na wsi, to na wsi — uciął liberyjny dygnitarz. — U rodziny. I jest tam odpowiednia guwernantka — zaakcentował słowo „odpowiednia”, zlustrowawszy niedoszłą w jego mniemaniu kandydatkę.

Zelia prychnęła pogardliwie i poprawiła odświętny kapelusz.

Do Szkoły Polskiej na Batignolles przyszła za wcześnie, chłopcy byli jeszcze w klasach. Ale przebyła taki szmat drogi, że z przyjemnością padła na krzesło w przytulnej salce służącej za rozmównicę. Na kominku płonął ogień, a stary woźny Walenty, pamiętający jeszcze pana Adama Mickiewicza, poczęstował ją herbatą.

— I co ta dziewczynka? — takie było pierwsze pytanie Antosia, gdy zobaczył Zelię.

— Nazywa się Mela.

— Mela? — zdziwił się chłopiec. — Skąd wiesz?

— Powiedziała nam.

— Więc umie mówić!

— Mówi doskonale. Po polsku i po francusku.

— Po polsku?

— To wasza rodaczka — oświadczyła Zelia. — I do tego pańskie dziecko — dodała z zadowoleniem.

Całą drogę powrotną Antoś zarzucał ją pytaniami. Wszystkie, naturalnie, dotyczyły Meli.

Widok dziewczynki zadowolonej w pokoju Dziadusia, z jego, Antosia, książką na kolanach dziwnie go onieśmielił.

— Melu, to jest Antoś, mój brat — powiedziała Róża obejmując chłopca i prowadząc go ku siedzącej. — Znaie się przecież.

— Masz bardzo ładne książki — skinęła głową Mela. — Wszystkie je przeczytam.

— W szkolnej bibliotece są jeszcze ładniejsze — Antoś zdziwił się wła-

snej odwadze. — Przyniosę w przyszłą sobotę. Mamy prawo wypożyczać do domu.

— Dobrze — zgodziła się Mela, a potem nagle dodała: — Nie podoba mi się twoje imię.

— Moje imię? — chłopiec poczerwieniał.

— Dlaczego tak mówisz? — Róża przyszła bratu z pomocą. — Wszystkie imiona są ładne, tym bardziej jeśli nosi je ktoś bliski i kochany.

31

— Antoś to brzydkie imię — Mela nie patrzyła na skonfundowanego chłopca. Podniosła oczy na Dziadusiowy talerz, jak gdyby malowany Napoleon miał jej udzielić rady przy wyborze odpowiedniego imienia. — Melu! — Róża nie zdołała ukryć przykrego zaskoczenia. — Jak możesz tak mówić?

— Już wiem — Mela zerwała się i ze zwykłą serdecznością przytuliła się do ręki opiekunki. — Będziemy go nazywać Anto, dobrze? To bardzo ładnie, prawda? — zwróciła się do chłopca. — Anto... Powiedz, że ci się podoba.

— Podoba mi się — odparł mężnie Antoś, choć nie bardzo wiedział, czym ma się zachwycać.

Zelia od razu zaaprobowała nowe imię chłopca, dla niej o wiele łatwiej było wymówić „Anto”, bez tego trudnego „ś” na końcu, które w jej interpretacji brzmiało zazwyczaj jak „sz”.

Róża odłożyła decydującą rozmowę do następnego popołudnia, gdy Zelia poszła odprowadzić Antosia do Szkoły.

Dzieci bardzo się zaprzyjaźniły. Antosia co prawda onieśmiała chwila- mi ta dziwna mała przyjaciółka, ale okazywało się zawsze, że mieli podobne upodobania, interesowały ich te same książki, a pokój Dziadusia z mnóstwem starych pamiątek, o których Antoś wszystko wiedział, fascynował oboje z jednakową siłą.

— Słuchaj, Melu — zaczęła Róża, gdy zostały same. — Wiem, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz.

— Wiesz? — Mela zamrugała niespokojnie, po czym podeszła i stanęła, oparłszy się ręką o stolik.

— Tak, wiem, ale chcę, żebyś mi to sama powiedziała.

— Masz mnie już dość... Wszyscy mają mnie dość... I ty tak samo, jak Mademoiselle i jak Aneta... A ja chcę być tutaj... z tobą... i z Zelią...



— Dlaczego mi nie ufasz, kochanie? Czego się boisz? Jeżeli nie chcesz wracać do domu, zostaniesz u mnie. Wcale nie mam cię dość, odwrotnie, bardzo cię polubiłam. Ale widzisz, masz stryja i on jest twoim opiekunem.

— Nie wrócę do domu! — krzyknęła Mela. — Zabiorą mnie, jak mamusię! Nie chcę! Nie chcę!

— Pan Narzymski ma do ciebie prawo, a ja nie — powiedziała Róża twardo i przeraziła się.

Mała, usłyszawszy swoje nazwisko, opadła na podłogę, jak porzucony w pośpiechu czarny tłumoczek. Uspokoiła się dopiero na kolanach Róży, z mokrą od łez twarzą wtuloną w ramię opiekunki.

— Mamusia bała się go — szeptała. — Bardzo się bała.

— Kogo? Stryja?

— Stryja — powtórzyła niechętnie Mela. — To on kazał zabrać mamusię. Mamusia krzyczała...

— Zostaniesz u mnie, jeżeli chcesz — Róża sama nie wiedziała, czemu tak nagle powzięła to ważne postanowienie. — Ale twój tatuś był bogaty i ty jesteś bogata, a ja, jak widzisz, nie mam pieniędzy.

— Nie chcę pieniędzy — oznajmiła Mela z powagą. — Chcę być z tobą. Mimo energicznych perswazji Zelii, Róża nie zmieniła decyzji i Mela została w domu przy ulicy Świętego Rocha.

## II

Róża przemknęła pod monumentalnym sklepieniem i z niepokojem spojrzała na pochmurne niebo. Po drugiej stronie złoconej kraty, zamykającej pałacowe ogrody, biegało kilkoro dzieci, wśród nich rówieśnik jej Antosia, jedenastoletni następca tronu, „książę cesarski”, jak brzmiał oficjalny tytuł napoleońskiego dziedzica.

Wszystko zapowiadało deszcz, a ona w pośpiechu zapomniała parasola. Nie chciała jednak wracać już z ulicy, pani Benoit od wczoraj okazywała wybitnie zły humor, bez powodu skrzyczała panny, dostało się nawet małej ulubienicy Sabince, i do tego niesłusznie, bo falbany wcale nie przyszła krzywo.

Róża nigdy jeszcze nie zasłużyła na reprimendę. Co prawda jej stosunki ze współtowarzyszkami pracy były raczej luźne. Siedziała przecież w osobnym pokoju, a haft — w ich mniemaniu —

0 wiele przewyższał rangą zwykłe szycie.

Gdy skręcała do wejścia na schody dla służby, posłyszała turkot

I tętent kopyt. Do bramy zbliżała się zamknięta karetka. Za szybą mignęła blada twarz cesarza, który jedynie w towarzystwie generała Fleury, prywatnie i bez eskorty, udawał się na miasto.

Kopyta głośniejsz zadudniły pod sklepieniem, gwardziści sprezentowali broń, po czym zapadła zwykła dla tego zakątka cisza.

Ilekoć widziała Napoleona Trzeciego — a zdarzało się to nieraz — Róża zadawała sobie pytanie, jak to możliwe, aby człowiek z taką twarzą miał za sobą tak awanturyczną młodość.

Teraz cesarz był stary, dobiegał sześćdziesiątki, choć prezentował się jeszcze wcale nieźle, szczególnie na koniu, wtedy bowiem uwydatniał się atletyczny nieledwie tors i piękne osadzenie głowy,

34

natomiast niewidoczne stawały się takie mankamenty, jak zbyt krótkie nogi i niski, niestosowny dla majestatu wzrost.

Awanturczość, życie pełne przygód kojarzą się zazwyczaj z człowiekiem, przez którego ruchliwą fizjonomię przelatują myśli i wrażenia, wewnętrzny żar wybija się rumieńcem, a pragnienie czynu błyszczą w zuchwałym wzroku.

Twarz Napoleona Trzeciego była zaprzeczeniem owych oczekiwań.

Przede wszystkim uderzała w niej bladeść. Nigdy, w najtragiczniejszych chwilach, w obliczu niebezpieczeństwa grożącego utratą życia najsłabsza nawet luna nie zmaciła owej marmurowej jak gdyby matowości policzków. Szaroniebieskie oczy, lekko zamglone, patrzyły z kobiecą prawie łagodnością, choć potrafiły bez zmrużenia „spojrzeć śmierci w twarz”.

Słusznie porównywano cesarza do aksamitnej pochwy, kryjącej stalowe ostrze.

Twarz Napoleona Trzeciego nie zdradziła nigdy jego uczuć. Nieruchoma, jak maska aktora z greckiej tragedii, okazywała na zewnątrz kamienny spokój, świadcząc o nadludzkim wprost opanowaniu i wewnętrznej dyscyplinie.

Spokój, opanowanie i zimna krew w każdej, beznadziejnej nawet sytuacji, charakteryzowały cesarza, u jednych wzbudzając podziw, u innych nieufność. „Niewzruszony” — mawiano o nim, i było w tym wiele racji. Zawsze jednakowo uprzejmy, z niewyczerpaną wprost cierpliwością wysłuchiwał zarówno rad, jak i próśb, postępował wszelako według własnego zdania, na prośby jedynie nigdy nie pozostawał głuchy.

Różę cesarz fascynował. „Tajemniczy i nieprzenikniony” — tak go okre-

ślała. Porywał jej wyobraźnię czynami, o jakich rzadko się słyszy, brawurą odwagą godną romantycznego bohatera.

Droga do tronu tego Napoleonidy była długa i najeżona przeszkodami zdawałoby się nie do przebycia. Ale czegoż nie dokona człowiek o nazwisku Bonaparte?

Syn Ludwika, króla Holandii, brata Napoleona Pierwszego i Hortensji de Beauharnais, córki pięknej Józefiny, za chrzestnych rodziców miał wielkiego stryja i jego drugą żonę Marię Luizę.

36

Na chrzcie nadano mu trzy imiona: Karol Ludwik Napoleon. Pod tym ostatnim sądzone mu było dać się poznać światu.

Świetność trwała krótko i minęła wraz z upadkiem cesarza. Mały książę miał sześć lat, gdy razem z matką musiał opuścić Francję. Królowa Hortensja osiadła w Szwajcarii, kupiwszy nad Jeziorem Bodeńskim- zamek Arenenberg, położony wśród wspaniałych lasów, naprzeciw wiecznie zielonej wyspy Reichenau.

Szwajcaria stała się więc drugą ojczyzną chłopca, który nigdy nie zapomniał o swoim pochodzeniu.

Ukończywszy nauki, Ludwik Napoleon (tak go teraz nazywają) wstąpił do pułku artylerii w Bernie. Dla potomka Bonapartych nie było innego stroju, jak mundur, innej kariery, jak wojskowa. Gdy kończy dwadzieścia trzy lata, jest kapitanem i ma okazję zakosztować wojaczki: oto w Romanii wybucha powstanie.

Jest to tragiczny dla Polski, ale i wielki, rok 1831. W tymże samym roku umiera w Schoenbrunnie stryjeczny brat młodego kapitana, syn więźnia ze Świętej Heleny, Orlątko, nad którego agonią roztkliwiała się cała ówczesna Europa. Ta śmierć wydobywa z cienia postać księcia, który odtąd, jako głowa napoleońskiej dynastii i pretendent do francuskiego tronu, pozostanie już zawsze na pierwszym planie europejskiej sceny.

Ludwik Napoleon nie kwapi się jednak sięgać po należne mu zaszczyty. Rozmyślnie usuwa się z publicznego życia, by w ciszy i w skupieniu oddać się koniecznym do przyszłej roli studiom.

Czyta, uczy się, pisze artykuły i rozprawy o treści politycznej i wojskowej. Dopiero rok tysiąc osiemset trzydziesty szósty rozpoczyna nowy etap, żywej zawsze w pamięci ludów, napoleońskiej epopei: dwa porywające zuchwalstwem zamachy stanu, oba zakończone porażką i więzieniem. Za pierwszy, dokonany w Stras-burgu, karą jest deportacja. Jakże

historia lubi się powtarzać! Na fregacie „Andromeda” płynie niefortunny pretendent — wbrew woli — do Ameryki.

W Nowym Jorku dopada go wiadomość o chorobie matki. Nic teraz nie\* powstrzyma młodego człowieka od powrotu do Europy. Przybywa na czas, matka umrze w objęciach syna.

Francja Ludwika Filipa słusznie jest zaniepokojona. By więc nie narażać rządu szwajcarskiego na kłopoty, „uzurpator” osiedla się w Londynie.

37

%

I znowu studiuje, pisze, współpracuje nawet z bonapartystow-skim dziennikiem wychodzącym w Paryżu. Pozorny spokój nie może jednak trwać zbyt długo. Po raz drugi wybucha zbrojna akcja grupki szaleńców w porcie Boulogne nad kanałem La Manche.

Tym razem sprawa jest dużo poważniejsza. Księżę usiłuje zająć koszary i zdobyć arsenał, dochodzi do bratobójczej strzelaniny. Niestety, sześćdziesięciu śmiałków musi skapitulować. Po głośnym procesie, który przyczynia się do jego sławy, Ludwik Napoleon Bonaparte zostaje skazany na dożywotnie więzienie w jednej z twierdz północnej Francji, a mianowicie w zamku Ham.

Miasteczko Ham nad Sommą ze swymi dwoma tysiącami bogobojnych mieszkańców, pracowicie wyrabiających cukier z buraków i beczki na wino, niczym by się nie wyróżniało wśród setek podobnych miasteczek Francji, gdyby nie zamek. Zamek Ham, wzniesiony w piętnastym wieku, był wówczas jedną z najpotężniejszych fortec francuskich i od dawna służył jako więzienie stanu dla wyjątkowo niebezpiecznych, a wysoko urodzonych osobistości.

Księcia osadzono w wieży, przeznaczając mu na mieszkanie dwa niewielkie pokoiki oraz mały dziedziniec, zamknięty potężnymi murami. I tak miało być do końca, do śmierci, gdyż tylko ona, zdawałoby się, miała moc wyprowadzić więźnia poza najeżone blankami kamienne zapory. Los jednak postanowił inaczej.

Ludwik Napoleon przebył w Ham sześć lat, ani dnia dłużej. Nie były to jednak lata stracone. Księżę jak dawniej, na wolności, tak i tu spędza czas na studiach. Mają one coraz szerszy zasięg, obejmują problemy gospodarcze i społeczne.

I oto znowu, jak kiedyś w Ameryce, dochodzi go wiadomość o chorobie ojca. (Eks-król Ludwik mieszkał wtedy we Florencji). Księżę natych-

miast wysła list do ministra spraw wewnętrznych z prośbą o zezwolenie na podróż, zaręczając honorem, że dobrowolnie powróci do więzienia. Odpowiedź jest odmowna. Księżę, niezrażony, pisze do króla. Ale i Ludwik Filip nie daje się zmiękczyć. Wobec tak postawionej sprawy księżę czuje się zwolniony ze wszelkich honorowych zobowiązań i postanawia wydostać się z twierdzy.

W ucieczce tej nie ma nic z porywającej brawury jakiegoś  
38

Fabrizia del Dongo, zsuwającego się po sznurze z parmeńskiej wieży, czy choćby z awanturczego ducha Henryka Latude, w ten sam sposób opuszczającego niegdyś Bastylię. Wszystko odbywa się całkiem zwyczajnie i prozaicznie. Oto księżę w robotniczej bluzie i w sabotach z deską na ramieniu wychodzi z więzienia, korzystając z obecności murarzy, prowadzących prace remontowe w jego wieży. Ale ta proza i zwyczajność wymagają nie lada zimnej krwi i opanowania.

Potem wszystko już toczy się gładko. Granica belgijska niedaleko, a z Ostendy jeden krok do gościnnej Anglii.

Rewolucja lutowa czterdziestego ósmego roku sprowadza księcia do Paryża. Na wybory prezydenckie „pretendent” stawia własną kandydaturę. I wygrywa! Przeważającą większością głosów! Przy okrzykach „Niech żyje Napoleon!”, „Niech żyje cesarz!”.

Francja ma więc Drugą Republikę z „Obywatelem Ludwikiem Napoleonem Bonaparte” na czele. Nowy prezydent bez chwili zwłoki zabiera się do formowania własnego gabinetu.

W Paryżu szaleje cholera. „Pan prezydent Bonaparte” odwiedza szpitale, organizuje pomoc dla chorych i cierpiących. Odbywa też liczne podróże po kraju: tu inauguruje nową linię kolejową, tam odbiera wojskową defiladę, w Hawrze zwiedza port, w Lyonie hale fabryczne i warsztaty, a wszystko przy akompaniamencie nie kończących się okrzyków: „Niech żyje cesarz!”, „Niech żyje Napoleon!”, którymi ludność Francji szafuje bez opamiętania.

Zgromadzenie Narodowe zżyma się na tak jawne pogwałcenie zasad republikańskich. Walka między deputowanymi a księciem prezydentem trwać będzie bez mała trzy lata, znaczone rosnącą wciąż popularnością tego ostatniego, w którym cała Francja wita wskrzesiciela napoleońskiej legendy.

Naród nie chce republiki, pragnie restauracji cesarstwa, a jak wiadomo —

„wola ludu jest wolą Boga”. Tuilerie nie leżą przecież daleko od Elizejskiego Pałacu.

Zamach stanu z drugiego grudnia tysiąc osiemset pięćdziesiątego pierwszego roku przygotowano z precyzją, godną zegarmistrzowskiej roboty. Gdy rankiem paryżanie wyszli na ulice, mogli przeczytać gęsto rozlepione na murach proklamacje:

39

„W imieniu narodu francuskiego  
Prezydent Republiki postanawia  
rozwiązać Zgromadzenie Narodowe i Radę Państw\*a,  
przeprowadzić wybory powszechne...”

Następną sesję Senatu Ludwik Napoleon otworzył już w Tuile-riach. Francja jest uszczęśliwiona, wiwatuje, powiewa chustkami, wyrzuca w górę kapelusze. Jeden tylko człowiek, by nie zostać poddanym „Napoleona małego”, skazuje się na dobrowolne wygnanie i z wyspy Jersey daje upust oburzeniu. Głos jego grzmi niczym 'fale oceanu, słychać go w całym niemal świecie, bo to głos poety. Wiktor Hugo nazywa Ludwika Napoleona „złoczyńcą” i tak zwraca się do rodaków: „Obywatele! Ludwik Bonaparte jest wyjęty spod prawa. Ludwik Bonaparte jest poza ludzkością! Pod rządami pana Bonaparte Francuz godny tego imienia ma tylko jeden obowiązek: nabić strzelbę i oczekiwać stosownej godziny”.

Tak oto wśród burz historii i nawałnicy rewolucji rodził się Napoleon Trzeci.

Okolo piątej rozpadało się na dobre. Róża z przerażeniem słuchała plusku ulewy, dudniacej o blaszane parapety okien. Zelia może i spostrzegła parasol zapomniany w kącie przedpokoju, nie zostawi jednak Meli samej wieczorem.

Po szóstej Róży wydało się, że ulewa słabnie, zerwała się więc, chcąc wykorzystać to chwilowe uspokojenie i przebiec ulice dzielące ją od domu. Gdy schodziła ze schodów, na pierwszym piętrze natknęła się na hiszpańskiego lokaja, który okryty liberyjną peleryną majstrował coś przy rozłożystym parasolu.

Skłonił się jak zwykle nisko, po czym pierwszy raz ośmielił się ją zagadnąć.

— Widzę, że nie ma pani parasola — głos miał niski, a wymowę wybitnie obcą. — Chętnie panią odprowadzę.

— Dziękuję — ucieła. — Nie potrzebuje się pan trudzić.

— Ależ to żaden trud! Właśnie posłano mnie na miasto...

— Dziękuję, nie trzeba.

Mimo tak wyraźnej odprawy, lokaj postępował za nią krok w krok. Minęli dziedziniec, przeszli bramę i znaleźli się na ulicy Rivoli. Lokaj przysunął się do jej boku, trzymając nad dziewczyną rozpięty parasol.

— Powiedziałam panu, że dziękuję — Róża uchyliła się spod osłony, a deszcz, jakby tylko na to czekał, zdwoił ilość wylewanej na ziemię wody.

— Gdybym nie miał na grzbiecie liberii, podałbym pani ramię — lokaj pokazał w uśmiechu białe zęby. — Rozumiem, to dla pani despekt. Proszę jednak zauważyć, że największe damy pozwalają swoim służącym nieść nad sobą parasol.

— Nie jestem wielką damą i nie mam służącego.

— O, jest pani damą, co do tego nie ma wątpliwości, a służący... — wykonał niewyraźny gest wolną ręką.

— Doprawdy, dlaczego pan wbrew mojej woli...

— Dlatego, że leje — przerwał — a mój parasol dość skutecznie chroni pani osobę. Zresztą jest ciemno i na ulicy mało ludzi. Nie potrzebuje się pani wstydić.

— Wcale się nie wstydzę — wybuchnęła. — Żadna uczciwa praca nie hańbi. Ja sama...

— Właśnie, pani też pracuje. A więc jesteśmy równi.

— Pan mnie źle zrozumiał — potknęła się na wyboistym bruku i gdyby nie ręka idącego obok mężczyzny, upadłaby niechybnie w szeroko rozlaną kałużę.

— Ostrożnie — upomniał. — Wiem, że bawi się pani haftem jak ja służbą — zaśmiał się swobodnie. — Ale tak hafciarki, jak i lokaje potrzebni są na tym świecie. Dlaczego pani tak biegnie? Znowu się pani potknie.

Róża miała dość obmierzłego towarzystwa. Bezczelna pewność siebie i poufalskość, z jaką ten sługus odzywał się do niej, oburzała ją do żywego. A deszcz, jak na złość, nie ustawał.

Nierówny bruk ulicy Świętego Honoriusza nakazywał ostrożność, z rzadka rozstawione latarnie niewiele pomagały w bezpiecznym posuwaniu się naprzód. Wysoka postać towarzyszącego jej mężczyzny budziła w Róży jakieś niezrozumiałe rozdrażnienie, irytowało mocne ramię trzymającego

nad nią parasol.

I

41

k

— Już dziękuję — powiedziała prędko, gdy weszli w ulicę Świętego Rocha.

— Doprowadzę panią pod sam dom — zauważył spokojnie — przecież pada. A może przemoczyła pani nogi? — zaniepokoił się. — W lek-  
kich pantofelkach...

— Niechże pan przestanie! — krzyknęła gniewnie, zła na siebie, na deszcz, a przede wszystkim na „impertynenckiego fagasa”.

— Przepraszam — pochylił się lekko w jej stronę. — Nie miałem zamiaru pani urazić. Jest pani taka młoda...

— Dziękuję, może już pan sobie iść. Mieszkam w tym domu. „Bezczelny fagas”, jak go w myśli nazywała, nie zamierzał jednak odejść tak od razu.

— Ma pani chyba rodziców, opiekunów... — zaczął, ale Róża nie dała mu dokończyć.

— Proszę sobie iść — rozkazała wyniośle, jak prawdziwa dama. Zaśmiał się i zuchwale zajrzał jej w oczy.

— Nie chce pani rozmawiać z nieznajomym — powiedział lekko. — Bardzo słusznie. Przecież dotąd się nie przedstawiłem.

— Staęli właśnie przed domem naprzeciw kościoła. — Pozwoli pani, że mimo niegodnego stroju dopełnię tego światowego obrządku — znowu zaśmiał się, „obelżywie”, jak to odczuła Róża. — Miguel Toreno, zawsze do pani usług — pochylił głowę. — Następnym razem, gdy się spotkamy, postaram się nie być obleczony w tę obrzydłą czerwień.

— Nie będzie następnego razu — rzuciła przez ramię, drżącą z irytacji ręką zatraskując za sobą drzwi.

— Coś taka podniecona? — zauważyła podejrzliwie Zelia, ujrzawszy jej wzburzenie i zarumienione policzki. — Zapomniałaś parasola.

— Tak i odprowadził mnie bezczelny lokaj.

— Bezczelny? Czy cię obraził?

— Och, nie... ale jest antypatyczny. To Hiszpan.

— Hiszpan! — Zelia wzruszyła pogardliwie ramionami. — Wszyscy Hiszpanie są bezczelni. Odkąd mamy cesarżową Eugenię, ich arogancja



przechodzi wszelkie granice. Chodź, uspokój się. Zaraz

42

podaję kolację. A ten Hiszpan — dodała groźnie — niech uważa, bo ze mną będzie miał do czynienia.

— I wiesz, śmiał mi się przedstawić! Co ty na to? — rozdrażnienie Róży dosięgło szczytu. — Żebyś słyszała jego ton! Nazywa się Miguel Toreno, czy coś w tym rodzaju.

— Miguel Toreno! — prychnęła Zelia. — Cóż to za nazwisko! W sam raz dla Hiszpana!

Mimo uspokajającej atmosfery domu, mimo matczynej nie-ledwie troskliwości Zeli, mimo uśmiechów Meli, uszczęśliwionej z powrotu opiekunki, nie opuszczało Róży trudne do wytłumaczenia wzburzenie.

W drzwach płonących na kominku, czy potem, w kojącej ciemności sypialni, pojawiała się natrętnie przystojna twarz „fagasa” i jego zbyt śmiało spojrzenie, a chwilami wydawało jej się, że słyszy niski głos z obcym akcentem, choć z bardzo płynną francuszczyzną, mówiący beztrąsko:

„Pani też pracuje, a więc jesteśmy równi”.

Równi! Różę aż zatrzęsło. Co powiedziała by Dziaduś na takie zuchwałstwo? A może właśnie przyznałby rację Hiszpanowi? Dziaduś Ordęga, taki skromny i szlachetny.

Jej pamięć zachowała obraz smutnego wygnańca, pozbawionego Ojczyzny, domu i pieniędzy. Byli biedni i żyli z łaski francuskiego rządu, z tej marnej pensyjki, jaką po śmierci ojca im wypłacano.

I czymże była ona, Róża Ordężanka, wnuczka bohatera listopadowej wojny? Ubogą hafciarką, zarabiającą na życie w cesarskiej szwalni. Pozycja jej rzeczywiście równała się chyba stanowi lokaja. Cóż więc dziwnego, że Hiszpan...?

I nagle złapała się na myśli, która warem wstydu oblała jej twarz. Dlaczego ten Hiszpan jest tylko lokajem? Bez liberii prezentowałby się pewnie zupełnie inaczej, może nawet lepiej, niż niejeden z tych wielkich panów, bywających w Tuileriach.

Tak nią wstrząsnęła ta myśl, takim obunzeniem zapalała do własnej osoby, że aż siadła na łóżku i dopiero spokojny oddech Meli przywrócił jej jaką taką równowagę.

Co za głupstwa chodzą jej po głowie? Jak może interesować się ledwie poznanym mężczyzną, i do tego lokajem? Zupełnie, jak owe szwaczki, które, o niczym innym nie potrafią rozmawiać.

Żeby odpędzić niepożądane obrazy, Róża zaczyna odmawiać „Anioł Pański” za dusze swoich zmarłych. Ale choć wargi szepeczą słowa modlitwy, przed oczy powraca śniada twarz, a niski głos mówi: „Następnym razem, gdy się spotkamy...”

Róża pobudza słabnące jakoś dziwnie oburzenie. Jak śmiał być tak pewny, że się znowu spotkają? Właściwie miał rację. Praca w Tuileryach nie raz zetknie ich na schodach czy na dziedzińcu. Nie uniknie tego. On będzie miał wówczas „na grzbiecie” czerwoną kurtkę lamowaną srebrnym galonem, a ona swoją codzienną, ciemną suknię, ożywioną zamiast klejnotu białym kołnierzykiem i takimiż mankietami. Nie dopuści naturalnie do żadnej rozmowy czy innej poufałości. On wreszcie musi zrozumieć, jaka — mimo jej ubóstwa — dzieli ich przepaść.

Zobaczyła go dopiero po tygodniu. Zapukał do drzwi pracowni z poleceniem Najjaśniejszej Pani. Cesarzowa Eugenia pragnęła udzielić hafciarce wskazówek, co do nowej sukni z lyońskiego jedwabiu, która miała być zdobiona jej sztuką.

— Gdyśmy się widzieli po raz ostatni, pytałem, czy ma pani rodziców — powiedział poważnie, rozglądając się po pokoju. — Wówczas nie otrzymałem odpowiedzi. Tak młoda osoba nie powinna mieszkać sama — dodał z naganą.

— O czym pan mówi? — gniew na chwilę odebrał jej mowę. — Proszę wyjść. Sama trafię do cesarzowej.

— Nic pani nie rozumie — odparł poirytowanym tonem, zupełnie niestosownym dla lokaja.

— Jeżeli w tej chwili nie opuści pan mojej pracowni, poskarżę się cesarzowej.

— Poskarży się pani? Na mnie?

— Na pana. Powiem, że mnie pan napastuje.

— Ja? Napastuję panią? — widać irytacja już minęła, bo w niskim głosie drgał śmiech.

— Nie wiem, co pana tak bawi. Dla mnie to przykrość. Może pan zawracać głowy tym biednym szwaczkom, ile wlezie, mnie proszę zostawić w spokoju.

— Uważa pani, że zawracam głowy biednym szwaczkom?

— To już pańska rzecz. Niech pan nareszcie wyjdzie. Lokaj musi być posłuszny i wykonywać polecenia. Nie nauczono pana tego?

Wyszedł bez słowa, jak gdyby zagniewany, a Róża została z bijącym sercem i przykrym uczuciem wyrządzonej krzywdy.

Przez następne dni wyraźnie od niej stronił. Przekonała się o tym, gdyż parokrotnie mignęła jej czerwona kurtka i czarna głowa Hiszpana, który natychmiast zniknął, gdy się zbliżała.

Wszystko to jednak przestało być ważne wobec groźby, jaka zawisła nad Melą.

Wraz z wiosną dziewczynka codziennie wychodziła z Zelią po zakupy.

To znaczy, Zelia załatwiała sprawunki rano, przed wyjściem Róży, a potem raz jeszcze szła z małą na spacer, po drodze kupując czasem to i owo. W niedzielę, po mszy u Świętego Rocha, Róża zazwyczaj zabierała dzieci na Pola Elizejskie, gdzie w zadrzewionych alejach, wzdłuż jezdni, ustawiono ławki dla spacerowiczów. Pełno tam było wówczas matek z dziećmi biegającymi za kółkiem czy bawiącymi się piłką.

Mela uwielbiała te spacer, z Zelią nie było tak przyjemnie. Z Różą można było obejrzeć spektakl w teatrzyku marionetek lub posłuchać katarynki i dać kawałek cukru małej małpce o smutnej „twarzy”. A nade wszystko można było wybiegać się do woli. Zelia, gdy szły razem, była zawsze jakaś niespokojna, rozglądała się na boki i mocno trzymała Melę za rękę. Pewnego dnia te środki ostrożności, które tak złościły dziewczynkę, okazały się aż nadto uzasadnione.

Było to w piątek, w piękny majowy ranek. Zelia pomogła Meli włożyć nową lekką sukienkę, której żalobną czerń łagodził koronkowy kołnierzyk.

— Pójdziemy dziś nad rzekę — powiedziała wiążąc małej pod brodą wstążki nowego słomkowego kapelusza.

— Ach, jak dobrze — ucieszyła się Mela. — Po drodze zajrzę przez sztachety do Tuileriów, może mały książe będzie w ogrodzie?

— Mały książe uczy się. Tak samo jak Anto.

— Biedny Anto — westchnęła dziewczynka. — Ale za to w niedzielę popłyniemy statkiem. Róża nam obiecała. Zobaczmy, jak dziś wygląda rzeka.

Na ulicach pełno było ludzi — zwykły paryski dzień. Meli chciało się biec, skakać, a musiała iść spokojnie obok Zelii, bo z Zelią nie było żartów. Najwyżej mogła oglądać wystawy sklepowe.

Gdy doszły do pałacowego ogrodu, dziewczynka wyrwała się mocnej ręce i podbiegłszy do sztachet, wsunęła twarz między złożone pręty.

— Nie ma nikogo — powiedziała zawiedziona. — Mały księżę uczy się!

— Mówiłam ci, że się uczy. Chodź, pójdziemy — Zelia obejrzała się podejrzliwie na dwie panie, które podobnie jak Mela zbliżyły się do ogrodu.

Kiedy szły potem długo pod arkadami ulicy Rivoli, Mela wysoko zadziierała głowę, by ogarnąć wzrokiem imponujące skrzydło Luwru, które pawilonem de Marsan dotykało Tuileriów, tworząc jedyny na świecie zamknięty czworobok zamku i pałacu. Na polecenie Napoleona Trzeciego baron Haussmann oczyszczał cały ten teren ze zbędnej zabudowy gęsto stłoczonych domów, wydobywając wieczne piękno owej zabytkowej i historycznej spuścizny.

Skręciły w prawo, między monumentalną kolumnadę i kościół Świętego Hermana z Auxerre, i doszły do Sekwany. Mela wyrwała się naprzód, szarpiąc rękę Zelii, ale Zelia nie wypuściła palców dziewczynki.

— Chodźmy na most, tam najlepiej widać rzekę — oświadczyła wreszcie Mela, zrezygnowawszy z walki. — Pojutrze będziemy tędy płynąć statkiem.

Gdy skręcały na Nowy Most, z nadbrzeżnej ulicy nadjechał elegancki kabriolet, lśniący świeżym lakierem, zaprzężony w ognistego alezana. Powoził młody człowiek, o sportowym widać zacięciu, przypuszczalnie członek modnego Jockey-Clubu, któremu zamiast woźnicy towarzyszył służący.

Zelia cofnęła się, by przepuścić ekwipaż, a młody pan zatrzymał nagle powozik, wydając jakiś rozkaz lokajowi.

Sługa zeskoczył i nim Zelia z Melą zdążyły wejść na most, podbiegł do idących.

— Panienko — zwrócił się do dziewczynki. — Proszę natychmiast wracać do domu. Tak każe pan stryj. — Jednocześnie wyciągnął rękę, jak gdyby miał zamiar siłą zmusić małą do posłuszeństwa.

— Precz z łapą, fagasio — warknęła Zelia, ogarniając Melę ramionami. — Nie widzisz, że to moje dziecko? Odczep się, bo zawołam policję!

46

— Panienko — nalegał niezrażony sługus. — Proszę ze mną, pan stryj czeka.

— Patrzcie go! — krzyknęła Zelia z furią. — Cudzych dzieci mu się zachciewa. Precz, porywaczu!

Kilka przechodzących osób zatrzymało się, zwabionych krzykiem, wkrótce zbiegowisko było już dość liczne. Robotnik w ubielonej wapnem bluzie rozepchnął gapiów gotów do czynnej interwencji. Sługa coraz natrętniej sięgał po sparalizowaną strachem Mełę, młody pan niecierpliwił się już w powoziku.

— Ludzie — krzyknęła Zelia w desperacji — ratujcie nas przed tym bandytą!

Robotnik zatrudniony przy rozbiórcie domów, starszy jegomość o wojskowym wyglądzie i chłopiec od piekarza wysunęli się naprzód, przyjmując tak groźną postawę, że sługa musiał się wycofać. Pan skinął z kabrioletu i lokaj, zaniechawszy ataku, wskoczył na kozioł. Zelia szybko wprowadziła dygoczącą Mełę, która bez przerwy powtarzała:

— To on, to on. On kazał zabrać mamusię. I mnie zabierze. I mnie.

— Nie zabierze — powiedziała Zelia przez zaciśnięte zęby, oglądając się, czy nie są śledzone.

Dopiero w domu Mela poczuła się bezpieczna, ale i tam podchodziła parę razy pod drzwi wejściowe, jak gdyby nasłuchiwała wrogich kroków.

— Nigdy nie wyjdę na ulicę — oświadczyła. — Nigdy.

— Przekonałaś mnie — powiedziała Zelia wieczorem do Róży — gdyby ten stryj miał dobre zamiary, sam podszedłby do mnie, a nie wysyłał lokaja. To jakiś łajdak. Niech Bóg strzeże to dziecko.

— Doprawdy nie wiem, co robić — Róża nerwowo splatała palce. — On z pewnością was śledził. Zna adres. Należy oczekiwać wizyty policji.

— O nie — zaprzeczyła żywo Zelia — jeżeli dotąd nie zawiadomił policji, to i teraz tego nie zrobi. Będzie starał się odzyskać Mełę własnymi siłami. Ma przecież do dyspozycji tego draba o zbójckiej gębie. Rzeczywiście, drab był niebezpieczny. Mela bała się go, owego

47

Fabiana, stryjowskiego lokaja, cieszącego się zaufaniem młodego pana. Bała się go zresztą cała służba, nawet Aneta.

— Nie otwieraj nikomu — upominała Róża wychodząc.

— Najgorsze, że nie można wierzyć dozorczyńni — utyskiwała Zelia. — Za pieniądze wpuści do domu każdego obwiesia. A ten panek z pewnością sygnie złotem, jak zajdzie potrzeba.

— Na co mu to dziecko? — biadała Róża. — Pani Grabska mówiła przecież, że to dla niego kłopot. Miał się żenić.

— Jaki kłopot? — zaperzyła się Zelia. — A miliony to nie? Wraz z małą trzyma w garści fortunę brata, która dziecku się należy. Po to mu ono. potrzebne. A gdyby małej, broń Boże, przydarzyło się coś złego...

— Zelio, jak możesz!

— Młoda jesteś i nie znasz ludzi. Mówiłam ci, że to łajdak.

Miesiąc przeżyły w niepokoju. Mela, zamknięta w domu, przybladła i posmutniała. Nawet cotygodniowe wizyty Antosia nie potrafiły jej rozweselić. Kroki na schodach przysparzały ją o ataki lęku. Chroniła się wówczas w pokoju Dziadusia. Tylko tam, skulona na niskim podnóżku, czuła się jako tako bezpieczna pod strażą napoleońskiego talerza.

Zelia ani na chwilę nie zostawiała jej samej, wszelkie sprawunki załatwiając, dopóki Róża była w domu. Mela chodziła za nią krok w krok, z kuchni do jadalni, do sypialni, asystując przy sianiu łóżek, sprzątaniu, przygotowywaniu obiadu czy kolacji. Obecność Zelii pomagała dziewczynce pokonać strach, a zdeterminowana mina i zacięte usta służącej wyraźnie wskazywały, że była gotowa na wszystko.

— Na wszystko — powiedziała raz do Róży, gdy rozmawiały o ewentualnym najściu na ich mieszkanie, i wskazała przy tym ciężki kuchenny pogrzebacz.

Myślały, że Mela tego nie słyszy, ale Melę uradowały te słowa

1 znowu poczuła się bezpieczna. Z Zelią przecież nie mogło jej się przydarzyć nic naprawdę złego.

Zazwyczaj w czerwcu całe tak zwane „towarzystwo” opuszczało Paryż. Jedni jechali spędzić lato w starym zamku, który w spadku pozostawili im przodkowie, inni woleli bardziej nowoczesne roz-

48

rywki: pobyt w jakiejś modnej nadmorskiej miejscowości, Trouville, Dieppe, Arcachon czy Etretat. A gdy cesarzowa Eugenia udawała się do Biarritz, najświetniejsza socjeta uważała sobie za punkt honoru przebieść na ten czas nad hiszpańską granicę.

Pustoszały wówczas Pola Elizejskie. Między piątą a szóstą po południu nie spotkałeś tam ani jednego ekwipażu. Tylko wieczorem, po kolacji, w

Lasku Bulońskim tłoczyli się ci wszyscy, którym ważne jakieś zajęcia ka-  
zały pozostać w stolicy. Podziwiano więc najpiękniejsze konie, powozy  
no i świetne damy w olśniewających toaletach, niedbale oparte o podusz-  
ki, wdzięczną pozą uwydatniające doskonałą linię kibici, wykwitającej z  
szeroko rozłożonej krynoliny. Spódnice zdobne w riusze i falbany wypeł-  
niały wnętrza wytwornych Wiktorii nie pozostawiając miejsca dla mał-  
żonków.

Panowie zresztą inne mieli o tej porze rozrywki, odpoczywali }o zaję-  
ciach dnia w klubie czy w kawiarni, nieliczni tylko lornetowali rozparte  
w powozach piękności.

Tak bywało dotychczas, ale czerwiec tysiąc osiemset sześćdziesiątego  
siódmego roku różnił się od poprzednich, rok 1867 wślawił się w świecie  
jako rok Wystawy Powszechnej, ściągającej do Paryża wszystko, co god-  
ne podziwu, cokolwiek wydała ziemia, oraz wszystkich, którym fortuna  
pozwoliła pokonać największe nawet odległości i przybyć nad Sekwanę.  
Wobec atrakcji, jakich dostarczała Wystawa, bladły najbardziej nawet  
wyszukane rozrywki modnej plaży czy starego zamku. Paryżanie nie  
opuszczali więc stolicy, oczekując z niecierpliwością przybycia głów ko-  
ronowanych oraz innych osobistości, poza tym mieli jedyną w życiu oka-  
zję, nie ruszając się z miejsca, poznać egzotykę dalekich lądów, zobaczyć  
stroje wszystkich nieledwie krajów, skosztować potraw, jakich nie znała  
francuska kuchnia, no i podziwiać urodę dziewcząt reprezentujących geo-  
graficzny atlas świata.

Wystawa 1867 roku nie była pierwszą tego typu imprezą we Francji. Już  
Dyrektoriat otworzył Wystawę Przemysłu jako namiastkę tradycyjnych  
jarmarków Świętego Hermana i Świętego Wawrzyńca, z których słynął  
przedrewolucyjny Paryż.

Potem, po wojnach napoleońskich, po jakiej takiej ekonomicznej stabili-  
zacji, wystaw było więcej. Były to jednak imprezy krajowe,

4 — Talerz z Napoleonem

49

bez rozmachu. Dopiero Drugie Cesarstwo doceni rolę przeglądu świato-  
wego dorobku na każdym polu ludzkiej działalności, a już wystawa 1867  
roku nie miała sobie równej na całej kuli ziemskiej.

Cztery lata przed jej otwarciem dekret cesarski określił teren i organizację  
tej gigantycznej zaprawę imprezy.

Paryż miał jedno tylko miejsce, zdolne pomieścić czterdzieści tysięcy

wystawców i tłumy zwiedzających, a było nim Pole Marsowe, pozostające w zarządzie ministra wojny, przeznaczone w czasach pokoju dla rewii wojskowych i musztry paryskiego garnizonu.

Szkoła Wojenna z jednej strony, wzgórze Chaillot z drugiej zamykają perspektywę tego olbrzymiego placu obsadzonego drzewami, który jednym bokiem dotyka Sekwany.

Pole Marsowe bogatą ma historię. Iluż widziało ono ludzi i ile zdarzeń! Jeszcze przed rewolucją stąd właśnie uczony fizyk Charles wzniósł się balonem, po raz pierwszy napelnionym wodorem. Tutaj - świętowano rocznicę zdobycia Bastylli, tu stanął Ołtarz Ojczyzny. W okresie Terroru zastąpiono go co prawda gilotyną — łatwo było wówczas stracić głowę — a i sam Robespierre, mistrz ceremonii obchodu święta Najwyższej Istoty, nowej państwowej religii, nie uniknął losu, jaki gotował innym. Już w roku 1865 na Polu Marsowym zaczęto roboty przygotowawcze pod przyszłą wystawę. Należało przysposobić czterdzieści hektarów terenu, zaopatrzyć go w gaz i wodę, a więc przekopać specjalne kanały, kędy rurami popłynie gaz z fabryk w Grenelle, a woda z pobliskiej Sekwany. Pośrodku wzniesiono olbrzymi pałac, dokoła którego pojawiły się najróżniejszego typu budowle, obrazujące wszelkie style i wszelkie epoki. Były tam wieże i latarnie morskie, kopuły i minarety, dzwonnice i hutnicze piece. Redaktor „Monitora” porównał Wystawę Powszechną 1867 roku do „Mekki, dokąd pielgrzymują wszystkie narody świata”. I miał rację. Na Polu Marsowym wyrosło bowiem kosmopolityczne miasto, miniatura ludzkiej społeczności z gmachami, ogrodami, nawet z kaskadą, wieczorem oświetlone gazem, otwarte do północy.

Było tam wszystko — chińskie restauracje i włoskie pizzerie, wiedeńskie piwo i hiszpańska czekolada. Do kawiarni i cukierni zapraszała uśmiechnięta służba w ludowych strojach każdego

50

kraju. Fontanny biły wodą kolońską, a przechodnie maczali w nich chusteczki, zanosząc do domu zapach dalekiego świata.

Antoś wraz ze swoją szkołą miał już możliwość obejrzeć te wspaniałości. W sobotę przy kolacji tylko o Wystawie mówiono w domu przy ulicy Świętego Rocha. Chłopiec pełen był podziwu, sypał liczbami, podawał dane o wystawcach. Jeden z inżynierów oprowadzał uczniów, udzielając im koniecznych wyjaśnień. Meli błyszczały oczy z podniecenia i ciekawości, takie cuda usłyszała o zabawkach, które prezentowali Niemcy i



Rosjanie.

— Chcę to zobaczyć! — wołała, ale Zelia szybko ochłodziła te zapły.

— Mela na Wystawę nie pójdzie — oświadczyła kategorycznie. — W takim miejscu wszystko może się zdarzyć i łatwo o wypadek.

— Co mówisz, Zelio! — Róża wystąpiła w obronie dziewczynki. — Właśnie w tłumie najbezpieczniej. W takim miejscu nikt się nie poważy...

— Powtarzam, to nie dla Meli — ucięła Zelia. — I w ogóle lepiej od takich miejsc z daleka. Czy zapomniałaś, co ostatnio napisali w „La Presse”?

Róża czytała artykuł pana Baragnon, utalentowanego żurnalisty, który domagał się skuteczniejszej obrony obywateli przed bandytami, w ostatnich bowiem miesiącach namnożyło się wiele tajemniczych zbrodni, których sprawców policji nie udało się ująć. Należały do nich chociażby nie wyjaśnione dotąd zaginięcia.

— Wyobrażasz sobie, ilu złoczyńców ściągnęła Wystawa ze wszystkich stron świata? — Zelia potoczyła wzrokiem po siedzących. — Najgorsze męty hulają po Paryżu, a w ogóle to cesarz upadł chyba na głowę, że na to pozwolił.

Wbrew tak ponurym przeczuciom Zelii, Paryż bawił się wyśmienicie i o niczym innym nie mówiono. Wystawa była na ustach wszystkich.

Antoś co tydzień przynosił nowe wiadomości z Pola Marsowego. Widział już wiele, o reszcie Róża dowiadywała się w pałacowej szwalni.

„Jest tam winda — opowiadał chłopiec — zabiera dziesięć osób na wysokość dwudziestu pięciu metrów nad ziemią!”

51

„Żebyście widziały sale z damską konfekcją — wzdychała panna Wirginia. — Można umrzeć z zachwyty!”

„A meble? Czy obejrzałyście, jak tam urządzono pokazowe pokoje?” — Sabince błyszczały oczy.

„Najciekawsze są maszyny — stwierdził Antoś. — Najnowsze wagony kolei żelaznej, maszyny do szycia, aparaty fotograficzne, nawet drukarnia! Taki tam hałas, wszystko w ruchu, nie można wcale rozmawiać!”

Tak, Wystawa Powszechna 1867 roku olśniła paryżan. Na ulicach co dzień witano nowych przybyszów. Największe zaciekawienie budził car Aleksander II i sułtan Abdul-Aziz-Khan. Pierwszy jako od dawna we

Francji zapomniany gatunek tyrana, drugi przez egzotykę stroju i czerwony fez, którego nigdy nie zdejmował.

Wizyta cara Aleksandra wzburzyła Polaków przebywających w Paryżu. Wielu z nich doznało na sobie mściwych represji, gdy zalewano krwią tłące się jeszcze do niedawna powstanie. Carowi nie udało się ujarzmić Polaków, choć nękał ich różnego rodzaju „ukazami”, konfiskował mienie, odbierał ziemię i nadawał ją Rosjanom. Nadawał nawet niekiedy szlachectwo i mieszczanom, byle tylko nabywali dobra „polskich buntowników”.

Gdy będąc w Paryżu przybył raz do Pałacu Sprawiedliwości, zgromadzony tłum przywitał go okrzykiem: „Niech żyje Polska!”.

Dziewiątego czerwca w Lasku Bulońskim urządzono rewiew wojskową na cześć cara i króla pruskiego. Po defiladzie gospodarze i goście dwoma powozami wracali do miasta. W pierwszym jechał Napoleon Trzeci z carem i carewiczami — carowi towarzyszyli dwaj jego synowie: następca tronu i wielki książę Władimir — w drugim cesarzowa Eugenia z królem pruskim i jego synem.

Konie szły stępą z powodu napierającego tłumu, ciekawego własnych i cudzych władców. Komentowano orderzy zdobiące galowy mundur cara, wrzuszano się dziecinną buzią wielkiego księcia Władimira, kobiety podziwiała suknię i kapelusz cesarzowej Eugenii, rzucając śmiało spojrzenia na następcę pruskiego tronu. Cesarz miał jak zwykle nieprzeniknioną twarz i coś jakby cień uśmiechu na wargach.

Gdy mijano kaskadę, z grupy drzew buchnął strzał.

Pan Raimbault z dworu cesarzowej Eugenii, towarzyszący konno powozom, ujrzał jakiegoś mężczyznę, który z wyciągniętą ręką

52

kierował się ku przejeżdżającym. Sądząc, że człowiek ów chce podać piśmienną prośbę do cesarza, ruszył w jego stronę, by usunąć natręta. W tej właśnie chwili mężczyzna strzelił. Kula przeszła nozdrza konia pana Raimbault, raniąc kobietę stojącą po drugiej stronie alei.

Zamachowiec nie uciekał. Stał z opuszczoną ręką, trzymając ciągle dymiący pistolet, który za drugim strzałem zdruzgotał mu palec.

Zatrzymał go jakiś angielski sierżant, znajdujący się tam wśród innych widzów. Gromada tajnej policji, winnej przecież wypadkowi, omal nie zmasakrowała nieszczęśliwca, dopiero wojsku z trudem udało się wyrwać zamachowca z rąk rozwścieczonych agentów.

Wiść o zamachu lotem ptaka obleciała Paryż.

— Popatrz, popatrz — słychać było na ulicy — taki despekt dla cesarza! Na co idą nasze pieniądze, jeżeli policja...

— Do kogo właściwie strzelano? — zapytywali niektórzy — do Napoleona, do cara czy do króla pruskiego?

Dopiero wieczorna prasa podała wiadomość wyjaśniając, że celem zamachowca był car Aleksander.

Pierwsze przesłuchanie przeprowadzili pan de Marmas, generalny prokurator, pan Gonet, sędzia śledczy, i prefekt policji Pietri.

Winowajca odmówił zeznań, nie podając nawet swego nazwiska ani narodowości. Wiedziano tylko, że był cudzoziemcem.

Drugie przesłuchanie odbyło się już w obecności hrabiego Szuwałowa, szefa rosyjskiej służby bezpieczeństwa, którego wyćwiczonemu uchu nie uszedł słowiański akcent zamachowca.

— To Polak — stwierdził zimno hrabia Szuwałow — buntownik i bandyta.

Oskarżony przyznał się do wszystkiego: zarówno do zbrodni, jak i do przynależności do polskiego narodu.

Nazywał się Antoni Berezowski i miał dwadzieścia lat.

Narodowość, a przede wszystkim wiek oskarżonego wstrząsnęły opinią publiczną Paryża.

Berezowski wyznał, że nie miał współników, działał sam, a motywem zbrodni była chęć pomszczenia krzywd i ucisku nieszczęśliwej Ojczyzny. Postawiony przed sądem przysięgłych z początku odrzucił propozycję obrony, jury jednak, wzruszone jego młodością, skłoniło

go do skorzystania z usług adwokata. Berezowski wybrał mecenasa Emanuela Arago, syna słynnego astronoma, który z właściwą sobie elokwencją w porywającej mowie obrończej rozwinął taki kunszt oratorski, że sędziowie przysięgli z uwagi na młody wiek oskarżonego i czystość jego życia przyznali mu okoliczności łagodzące i wydali wyrok skazujący tylko na dwadzieścia lat ciężkich robót.

Łagodność wyroku wobec ogromu zbrodni oburzyła cara i jego świtę, a rosyjskie gazety pisały z pogardą o nieudolności francuskiej policji, która nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa koronowanym gościom swego kraju.

Gratulacyjne listy od Senatu oraz Izby Deputowanych złagodziły nieco

gniew cara. W prawosławnej cerkwi w Paryżu odprawiono dziękczynne nabożeństwo wraz z odśpiewaniem „Te Deum”. Oprócz cara zaszczylicili je obecnością cesarz Napoleon i jego małżonka.

Wkrótce car opuścił Paryż i wszystko wróciłoby do porządku, gdyby nie osoba zamachowca, który pozostał we Francji jako memento, a także jako wyrzut sumienia.

Antoni Berezowski. Kim był Antoni Berezowski?

Cała Francja zadała sobie to pytanie, cała emigracja polska poszukała na nie odpowiedzi.

Antoni Berezowski przybył do Paryża na dwa lata przed tragicznym wydarzeniem. Bez grosza, bez listów polecających do możnych protektorów, ze słabą znajomością języka. Mimo tak młodego wieku nie bał się ani biedy, ani ciężkiej pracy. Został robotnikiem, a ponieważ miał talent do mechaniki, znalazł zatrudnienie w pewnym warsztacie.

Po półtorarocznej egzystencji pełnej trudów i wyrzeczeń, żyjąc niedługo na skraju nędzy, zdołał zaoszczędzić tyle, by ostatnie sześć miesięcy wolności poświęcić na poważną naukę francuskiego.

Aż oto prasa podała wiadomość o przybyciu na Wystawę cara, a więc tyrana i ciemiężcy jego Ojczyzny.

Myśl o zamachu zrodziła się nagle i gwałtownie popchnęła go do czynu. Nie potrafił oprzeć się pokusie ratowania tego, co w jego mniemaniu można było jeszcze ocalić. Nie zastanawiał się, co się z nim stanie, nie troszczył się o własne życie. Cóż to zresztą było za życie? Samotność i niedostatek, i nikogo... I tylko dwadzieścia lat!

54

Róża płakała, czytając te wszystkie szczegóły, jakich teraz nie szczędziła prasa.

— Dlaczego nic o nim nie wiedziałam? — skarżyła się Zelii. — Zabrałabym go do nas, wyperswadowałabym ten czyn szalony. Boże, co go czeka?

— Galery — burknęła Zelia, równie jak Róża poruszona całą tą tragiczną sprawą.

„Monitor” sypał szczegółami dotyczącymi więźnia.

Berezowski pragnął zachować incognito, obawiał się bowiem represji, jakie dosięgłyby jego ojca i resztę rodziny mieszkających w Polsce.

— Co teraz będzie z jego ojcem? — martwiła się Róża. — Czy i on także odpowie za czyn syna? Dlaczego po przybyciu do Paryża młody

Berezowski nie zgłosił się do hrabiego Walewskie-go? Z pewnością nie pozostałby bez pomocy.

Tak, dlaczego? Były minister wycofał się już co prawda z publicznego życia, mieszkał na wsi, był jednak w stolicy i z tego, co Róża wiedziała od Dziadusia, nie odwróciłby się od potrzebującego.

A jeżeli nie on, to ktoś inny z emigracji, tylu tu było Polaków, niektórzy z nich nawet bogaci.

Niestety, Berezowski nie szukał oparcia u rodaków. Żył cicho i samotnie. Nie miał nikogo, przed kim mógłby odkryć serce. Nikogo. A teraz czekały go galery.

— Przystań o nim myśleć — upomniała wreszcie Zelia. — Nic przecież nie poradzisz.

Tak, doprawdy, nic na to nie mogła poradzić. Na jakikolwiek ratunek było już przecież za późno.

A tymczasem młody Berezowski gotował się w więzieniu do czekającej go pieszej podróży do Tulonu. Na żywot galernika.

### III

Niezapomniany rok Wystawy Powszechnej był doprawdy niezwykle bogaty w wydarzenia. Żurnaliści nie narzekali na brak roboty. Zaczerniali całe szpalty gazet podniecającymi nowinami — nareszcie mieli o czym pisać! — pracowali całe noce, tyle tematów każdego dnia cisnęło się pod pióra.

Podczas gdy paryżanie hucznie witali przybyłych na Wystawę sympatycznego księcia Walii jak i wyniosłego pana Bismarcka, hen, precz za oceanem, w dalekim Meksyku, padał pod kulami egzekucyjnego plutonu młody cesarz Maksymilian.

Ludzie szeptałi, że winę za tę przedwczesną i tragiczną śmierć ponosi cesarzowa Eugenia, bo któż, jak nie ona pchnęła Francję do zbrojnej interwencji w meksykańskiej wojnie? \*

Wiadomość o rozstrzelaniu Maksymiliana dotarła do Paryża w dniu, kiedy wystawcy mieli otrzymać nagrody z rąk cesarzowej Eugenie, i wzbudziła konsternację nie tylko wśród koronowanych gości.

Księżę von Bismarck, wszechwładny minister króla Prus, którego lodowata grzeczność maskowała groźne jakieś zamiary, pozwolił sobie tym razem na skrzywienie warg w ironicznym ćwierćuśmie-chu, a spojrzenie

— szybkie niczym błysk — jakim objął świetne towarzystwo, wyrażało najoczystsza wzgardę.

W saloniku pani Carette, lektorki cesarzowej Eugenii, Róża zastała kilka osób z dworu i z miasta. Wpadła właśnie przynosząc obiecane wzory haftów, a widząc gości, z przyjemnością zasiadła w wygodnym fotelu, przysłuchując się rozmowie.

— Niepotrzebna nam była wojna w Meksyku — mówił jakiś starszy pan, zdaje się kuzyn pani Carette.

— Chodziło przecież o obronę interesów obywateli francus-

56  
kich, którzy inaczej potraciliby tam fortuny — zaproponował ktoś z dworskiego kręgu.

— Co tam fortuny — zachnął się ów starszy jegomość — i tak je potracili. Żal mi Maksymiliana.

— To straszne! — westchnęła przyjaciółka pani Carette, którą Róża już u niej widywała. — Miał dopiero trzydzieści pięć lat! Ten Indianin, Benito Juarez, to potwór!

— Benito Juarez to meksykański patriota — sprostował kuzyn pani domu. — Jest rzeczywiście czystej krwi Indianinem z plemienia Zapoteków i do dwunastego roku życia nie umiał nawet mówić po hiszpańsku. Ale cóż to ma do rzeczy? Ucywilizował się, odbył studia . prawnicze, został gubernatorem prowincji, wreszcie prezydentem. My chcieliśmy temu krajowi narzucić cesarza, a oni wolą republikę. Czy im nie wolno rządzić się według własnego wyboru?

— Oczywiście, że wolno — podchwycił pan reprezentujący koła dworskie. — Po co jednak mord na powalonym przeciwniku?

— W tym jednym zgadzam się z panem — skinął głową obrońca indiańskiego prezydenta. — Krew Maksymiliana splamiła ręce ' Juareza. To było rzeczywiście niepotrzebne. Wystarczyło doprowadzić cesarza pod eskortą do Veracruz i tam wsadzić na pierwszy statek odpływający do Europy. Tego właśnie pragnął Juarez, uległ jednak naciskowi swego rządu. A szkoda.

— Podobno cesarzowa Charlotta zwariowała — przyjaciółka pani Carette zniżyła głos. — Nie dziwiłabym się, gdyby to okazało się prawdą. Róża pamiętała wizytę w Paryżu ówczesnego arcyksięcia Ferdynanda i jego młodziutkiej żony, którym dwór w Tuileries zgotował świetne przyjęcie.

Arcyksiążę Ferdynand Józef Maksymilian, młodszy brat cesarza Franciszka Józefa, wysoki blondyn o łagodnym spojrzeniu, wszystkim się spodobał. Jego żonę, nie mającą wówczas jeszcze dwudziestu lat, córkę Leopolda, króla Belgów, mimo tak młodego wieku paliła niezdrowa jakaś ambicja. Wydawali się dziwnie niedobraną parą, choć połączyła ich prawdziwa miłość, rzadkie zjawisko pod baldachimem tronowego krzesła. Char lotta, rozczarowana i niezadowolona ze skromnej pozycji arcyksiężnej, mimo wszystko uwielbiała męża.

57

Dotychczasowe jego funkcje — dowództwo austriackiej floty, a następnie zarząd królestwem Lombardzko -Weneckim z siedzibą w Mediolanie, nie dorastały do ambitnych wymagań młodej kobiety. Dopiero miraż meksykańskiego tronu zapalił błyski w oczach Char-lotty, czyniąc z niej najgorliwszą zwolenniczkę tragicznego w skutkach projektu.

Właściwie u podstawy całej tej „meksykańskiej awantury” — tak przeciwnicy polityki Napoleona III nazywali francuską interwencję w tym zamorskim kraju — leżała sprawa szwajcarskiego bankiera, niejakiego Jeckera, i jego bonów. Ten przedsiębiorczy jegomość, od lat osiadły w Meksyku, z powodzeniem prowadził rozliczne interesy. Wkrótce w jego rękach znalazły się kopalnie oraz wiele gałęzi miejscowego przemysłu. A Jecker potrafił wycisnąć z tych przedsięwzięć nie lada zyski.

Już na kilka lat przed wybuchem wojny domowej ówczesny prezydent Miramón podpisał ze Szwajcarami układ, mocą którego wszystkie bony narodowego długu wypuszczone za jego kadencji zostałyby zastąpione bonami Jeckera na sumę siedemdziesięciu pięciu milionów franków. Nie trzeba dodawać, że Meksyk grubo straciłby na tej transakcji, która panu Jeckerowi przyniosłaby krocie.

Wkrótce jednak Miramóna na prezydenckim fotelu zastąpił Benito Juárez. Ten nieugięty republikanin nie uznał zawartego\* na takich warunkach układu. Jecker nie dał za wygraną i ruszył do Paryża. Tam tak długo kołatał do różnych drzwi, aż otrzymał to, o co mu chodziło, a mianowicie porękę Francji, co do wypełnienia skandalicznej umowy. Lecz choć poseł francuski w Meksyku użył całej swojej wymowy i dyplomatycznego nacisku, „Indianin” nie ustąpił. Wolał raczej na dwa lata zawiesić wypłatę sum, stanowiących odszkodowanie należne francuskim obywatelom, którzy ulokowali swoje kapitały w meksykańskim przemyśle.

W odpowiedzi rząd Napoleona III poważał się na śmiały krok: oto za

ocean wysłano tak zwany „korpus ekspedycyjny”, by ukarać krnąbrnego „dzikusa”.

W taki to sposób Francja uwikłała się w długą i kosztowną wojnę, która przyniosła jej same klęski, wciągając przy tym w tę bezprzykładną „wojenną przygodę” Bogu ducha winnego austriackiego arcyksięcia.

58

Ferdynand długo wahał się. Nie nęciła go bynajmniej zamorska korona. Uległ jednak namowom Charlotty, która nie mogła strawić, że parweniuzka, Eugenia de Montijo, rozpiera się na cesarskim tronie, podczas gdy ona, królewska córka, ginie w anonimowym tłumie austriackich arcyksiężniczek.

Decydującą, być może, rolę odegrały tu jednak namowy francuskiego dworu, który właśnie Ferdynanda upatrzył sobie na ofiarę nierozsądnej polityki.

Wyraziwszy zgodę, arcyksiążę musiał zrzec się ewentualnych praw do austriackiego tronu i pod imieniem Maksymiliana został uznany przez Francję i posłuszne jej stronnictwo konserwatystów cesarzem Meksyku. Czternastego kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego roku pożegnał na zawsze europejskie brzegi i wstąpił na pokład austriackiej fregaty „Novara”, by po sześciotygodniowej żegludze przybić do meksykańskiego lądu. Port Veracruz zgotował przybyszowi lodowate przyjęcie. Od tej chwili Meksyk co dnia dopisywał jedną literę do wyroku śmierci na niepożądanego władcę.

, Wszystko zaczęło dziać się jak w greckiej tragedii. Okłamany przez meksykańskich popleczników, zdradzony i opuszczony przez Francję, Maksymilian zrozumiał, że nie ma dla niego ratunku.

— Oszukano mnie! — zawołał na wieść o ewakuacji wojsk francuskich.

— Zawarłem formalną umowę z Napoleonem III. Cesarz gwarantował mi pomoc pieniężną i wojskową do końca 1868 roku. Inaczej nigdy nie przyjąłbym tej korony!

Prawdę powiedziawszy najbardziej kochająca go istota przyczyniła się w największym stopniu do jego zguby.

Gdy Maksymilian na rok przed katastrofą pragnął abdykować, Charlotta nie dopuściła do karygodnej w jej mniemaniu „słabości”.

Ostatni akt tragedii rozegrał się bez jej udziału — odpłynęła właśnie do Europy, by wymusić pomoc i poparcie dla przegranej już sprawy. Naturalnie niczego nie zdziałała. Nie potrafiła jednak znieść klęski, a wiado-



mość o śmierci męża na zawsze pogrążyła jej umysł w mrokach szaleństwa.

Maksymilian tymczasem dorastał do rangi bohatera tragedii.

59

Walczył właściwie samotnie przeciw narodowi, nad którym miał panować.

Jego plany uszczęśliwienia przybranej ojczyzny pozostały wyłącznie na gęsto zapisanych arkusikach: budowa dróg i mostów, a także kolei żelaznej, uporządkowanie finansów, oświata dla wszystkich bezpłatna i obowiązkowa, reorganizacja armii. Tyle nad tym rozmyślał, tyle pracował, ale Meksyk nie chciał jego dobrodziejstw, nie chciał amnestii dla więźniów politycznych, odrzucił ducha tolerancji i liberalizmu tylko dlatego, że pochodziły od cesarza narzuconego wbrew woli, siłą obcych wojsk. Po kilku latach bezowocnych poczynań Maksymilian zrozumiał. Pozostały mu teraz dwie drogi: ustąpić lub walczyć. Pierwszą zamknęła przed nim Charlotta, musiał więc wybrać tę trudniejszą, wiodącą na śmierć. O tym też wiedział.

Do walki rzucił się z zaciśniętymi zębami, przywołując na pomoc dumę swego rodu. Na opłacenie wojska wydał cały osobisty majątek, to wszystko, co przywiózł z ojczyzny: cenne meble, srebra. Iluż jednak miał żołnierzy? Kilkanaście tysięcy Meksykan i garść ochotników z Europy. Z tą armią zamknął się w mieście Queretaro, które natychmiast otoczyły wojska republikańskie. Oblężenie trwało sześćdziesiąt osiem dni i choć zaczęła brakować żywności, załoga nie traciła ducha. Trudno zgadnąć, czym skończyłaby się ta wojna, gdyby nie zdrada.

Judasz, jak wiadomo, jest nieśmiertelny, a jego czyn pomaga zazwyczaj do rozwiązania tragicznego węzła.

Czarujący pułkownik Miguel Lopez, obdarzony zaufaniem cesarza, podjął się tej mało zaszczytnej roli. Pewnej majowej nocy wydał republika-  
nom fort Świętego Krzyża, broniący dostępu do miasta.

Dla Maksymiliana nie było już ratunku.

Więzienie zniósł tak samo mężnie, jak znosił trudy żołnierskiego życia. Spał przecież na derce rozłożonej na ziemi, narażał się bardziej od swoich żołnierzy. Niestety, nie poległ w walce, przeznaczono mu bowiem inny rodzaj śmierci, który wymagał dużo więcej odwagi.

Los jego podzielili wierni do końca generałowie Miramón i Mejia.

W miesiąc później, postawieni przed sądem wojennym, zostali

skazani na śmierć. Rozstrzelano ich dziewiętnastego czerwca o godzinie siódmej rano w miejscu zwanym Wzgórze Dzwonów. Wszyscy trzej potrafili umrzeć godnie. Zabalsamowane ciało Maksymiliana wydano później austriackiemu wiceadmirałowi, by je zawiózł do Wiednia.

Lato zapowiadało się suche i upalne. Róża gorączkowo wykańczała hafty na dwóch sukniach i na peniuarze, aby zdążyć oddać robotę przed wyjazdem cesarzowej Eugenii. Dwór — jak zwykle

0 tej porze roku — przenosił się na wilegiaturę do Compiegne. Tuilerie przycichły i posmutniały. Na dziedzińcach nie słychać było rżenia koni ani turkotu powozów, nie widać było barwnych mundurów gwardii cesarskiej, z pałacowych ogrodów nie dolatywał ani śmiech małego księcia, ani tupot dziecięcych nóg na wygracowanych alejkach. Fontanny tylko nie przerywały pracy, szum spadającej do basenu wody wypełniał dzwoniącą, zdawałoby się, ciszę, a świergot rozgłoszonego ptactwa zastępował ludzkie głosy.

Pani Benoit zamykała szwalnię, zarówno jej panny jak i hafciar-ka rozpoczynały wakacje.

Ostatniego dnia, gdy Róża zatrzasnęła za sobą drzwi pracowni

1 zeszła na dziedziniec, przy bramie natknęła się na hiszpańskiego lokaja.

Wydawał się tak pochłonięty lekturą — czytał jakiś list — że ledwie ją zauważył. Stał z pochyloną głową, a czoło przecinała mu pionowa zmarszczka.

Wymięła szybko czytającego, a on skłonił się, nie odrywając prawie oczu od trzymanej kartki.

Wyszła zawiedziona obojętnością, z jaką ją przywitał — nie widzieli się od trzech miesięcy, a rozstali się wówczas w nieprzyjaznej z jej winy atmosferze. Gdyby odwróciła głowę, zobaczyłaby jednak, że patrzył za nią tak długo, dopóki jej ciemna suknia nie zniknęła za zakrętem ulicy. Potem schował kartkę i z westchnieniem podążył w przeciwnym kierunku. Była więc wolna. Szła prędko, nierada z takiego spotkania, karcąc się za własną ghrpotę i te jakieś zupełnie niestosowne na-

dzieje. Jeżeli ona jest na tyle nierozsądna, że zaprzęta sobie głowę lokajem, to on, o wiele rozsądniejszy, zdał sobie nareszcie sprawę, że choć hafciarka, ale nie jest panną dla niego.

W domu dzieci hałaśliwie objawiły radość, gdy oznajmiła, że i ona ma wakacje.

Po paru dniach posłaniec przyniósł list od pani Carette.

Lektorka cesarzowej Eugenii, która wraz z dworem przeniosła się na lato do Compiègne, zapraszała Różę „na śniadanie do lasu” — jak pisała. W ubiegłym roku wraz z Antosiem spędzili uroczy dzień u pani Carette, Róża postanowiła więc i tego lata skorzystać z tak miłego zaproszenia i zabrać do lasu nie tylko Antosia, ale i Melę.

Zelia zdecydowanie była temu przeciwna.

— A nuż nas śledzą — mówiła. — W razie czego w Paryżu łatwiej się obronić, są ludzie-, zaraz robi się zbiegowisko, a tam co? Las i pustkowie. Co poczniesz sama wobec przemocy?

— Ależ, Zelio — perswadowała Róża. — Compiègne to nie żadne pustkowie! Latem rojno tam niczym w Tuileryach. Jak jest cesarz i dwór, pełno gwardzistów i policji. Nic nam zatem nie grozi. A w taką pogodę żał siedzieć w Paryżu. Popatrz, jak Mela przybladła. Niech choć jeden dzień spędzi w lesie.

Zelia, acz niechętnie, musiała ustąpić, tym bardziej że dzieci paliły się wprost do tej wycieczki. Mela z początku niespokojna, podzieliła wkrótce pewność Róży o całkowitym bezpieczeństwie takiej wyprawy. Las! Czy mogło być coś cudowniejszego nad to miejsce podczas letnich upałów? A Compiègne to przede wszystkim las.

Dawny zamek, przebudowany w ubiegłym wieku modą innych osiemnastowiecznych pałaców, stał się ulubioną rezydencją Napoleona Pierwszego. Nic dziwnego, że bratanek przejął stryjowskie gusta i w okresie lata stamtąd rządził Francją.

Paryż zresztą leżał blisko, tylko o siedemdziesiąt kilometrów, a cóż to znaczyło w wieku pary i żelaza? Najwyżej kilka godzin podróży koleją. Miasteczko było ludne. Obok nowych domostw wabiło zabytkami dawnej architektury. Wokół pałacu rozpościerał się park przechodzący w las, a las Compiègne słynął ze starego drzewostanu i pokrywał zielenią piętnaście tysięcy hektarów.

62

dzieje. Jeżeli ona jest na tyle nierozsądna, że zaprzęta sobie głowę lokajem, to on, o wiele rozsądniejszy, zdał sobie nareszcie sprawę, że choć hafciarka, ale nie jest panną dla niego.

W domu dzieci hałaśliwie objawiły radość, gdy oznajmiła, że i ona ma

wakacje.

Po paru dniach posłaniec przyniósł list od pani Carette.

Lektorka cesarzowej Eugenii, która wraz z dworem przeniosła się na lato do Compiègne, zapraszała Różę „na śniadanie do lasu” — jak pisała. W ubiegłym roku wraz z Antosiem spędzili uroczy dzień u pani Carette, Róża postanowiła więc i tego lata skorzystać z tak miłego zaproszenia i zabrać do lasu nie tylko Antosia, ale i Melę.

Zelia zdecydowanie była temu przeciwna.

— A nuż nas śledzą — mówiła. — W razie czego w Paryżu łatwiej się obronić, są ludzie-, zaraz robi się zbiegowisko, a tam co? Las i pustkowie. Co poczniesz sama wobec przemocy?

— Ależ, Zelio — perswadowała Róża. — Compiègne to nie żadne pustkowie! Latem rojno tam niczym w Tuileryach. Jak jest cesarz i dwór, pełno gwardzistów i policji. Nic nam zatem nie grozi. A w taką pogodę żał siedzieć w Paryżu. Popatrz, jak Mela przybladła. Niech choć jeden dzień spędzi w lesie.

Zelia, acz niechętnie, musiała ustąpić, tym bardziej że dzieci paliły się wprost do tej wycieczki. Mela z początku niespokojna, podzieliła wkrótce pewność Róży o całkowitym bezpieczeństwie takiej wyprawy. Las! Czy mogło być coś cudowniejszego nad to miejsce podczas letnich upałów? A Compiègne to przede wszystkim las.

Dawny zamek, przebudowany w ubiegłym wieku modą innych osiemnastowiecznych pałaców, stał się ulubioną rezydencją Napoleona Pierwszego. Nic dziwnego, że bratanek przejął stryjowskie gusta i w okresie lata stamtąd rządził Francją.

Paryż zresztą leżał blisko, tylko o siedemdziesiąt kilometrów, a cóż to znaczyło w wieku pary i żelaza? Najwyżej kilka godzin podróży koleją. Miasteczko było ludne. Obok nowych domostw wabiło zabytkami dawnej architektury. Wokół pałacu rozpościerał się park przechodzący w las, a las Compiègne służył ze starego drzewostanu i pokrywał zielenią piętnaście tysięcy hektarów.

62

Wystarczyło raniutko wyjechać z Paryża, północną linią drogi żelaznej na Senlis, i w kilka godzin znaleźć się w najprawdziwszym lesie.

Mela po raz pierwszy w życiu podróżowała pociągiem, a zawrotna szybkość jazdy oszałamiała dziewczynkę. Antoś, dumny doświadczeniem jedenaastoletniego chłopca, udzielał jej potrzebnych wyjaśnień.

Pani Carette wysłała na stację służącego, któremu Róża powierzyła koszyk z naszykowanym przez Zelię drugim śniadaniem. Miano je zjeść na trawie w rozkosznym cieniu olbrzymich dębów, z dala od upału, kurzu i wielkomięjskiego gwaru.

Lektorka cesarzowej oczekiwała gości w bocznym skrzydle pałacu, skąd wszyscy razem mieli wyruszyć do lasu. Niestety, przybyszów czekał zawód.

— Kochana panno Różo — pani Carette była szczerze strapiona. — Tak się złożyło, że nie mogę wam towarzyszyć. Pani rozumie, obowiązki... Czy mi pani wybaczy? Służący zaniesie koszyki i zaprowadzi was na miejsce, a ja, mam nadzieję, przyjdę niedługo. t Pani Carette była osobą uroczą i w jej towarzystwie śniadanie na trawie stanowiłoby dodatkową atrakcję. Dzieci jednak nie od-<sup>\*</sup> czuły jej nieobecności. Lokaj rozesał serwetę, rozłożył przyniesione wiktuały, po czym oddalił się, życząc dobrego apetytu. Było to zresztą zbyteczne, bo po podróży apetyt wszystkim dopisał znakomicie.

Słońce przesiane przez gęste listowie utraciło południowy żar raniący oczy ostrością blasku. Zalewało polanę seledynowym światłem łagodnej buduarowej ampli. Trawa była gęsta i miękka, bardziej puszysta niż perskie dywany w Tuileriach. Lśniła gładką zielenią jedwabiu, którym Róża haftowała listki i łądzyki owych fiołków, rozrzuconych bukietkami po serwetach i poduszkach błękitnego salonu cesarzowej.

Po śniadaniu dzieci zapragnęły ruchu. Polana to przecież wymarzone miejsce zabaw i gonitwy. Ale wkrótce przestała im wystarczać. Las coraz silniej wabił mroczną głębią tajemnicy, i z początku lękliwie, później już śmiało Antoś i Mela zapuszczali się między śmigające w górę drzewa.

Róża oparta o pień olbrzymiego wiązu wspominała ostatnie za życia rodziców wakacje spędzone na wsi, niedaleko Fontaine-

63

bleau. W ciszy słyhać było nawoływania się dzieci, śmiech Meli, a chwilami szum jak gdyby rozkołysanego morza, zwykle odgłosy pałacowego życia, tłumione odległością i listowiem.

Ścieżka, którą przyszli, okrążała polanę, ginąc drugim końcem w zielonych głębokościach lasu.

Z tej właśnie strony Róża postyszała kroki. Zerwała się niepewna, ale uspokoił ją widok liberyjnej kurtki, migającej czerwieńią między drzewami. Człowiek tak odziany należał do cesarskiej służby i przez to samo nie

wzbudzał nieufności, Róża nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby nie fakt, że wyraźnie zmierzał w jej stronę.

— Przyszyła mnie pani Carette — powiedział zbliżywszy się. — Zaprowadzę panią.

— Pani Carette czeka na nas w pałacu? — Róży nie podobała się dziwnie nieprzyjemna twarz lokaja.

— Nie, w lesie — odpowiedział wskazując przeciwny pałacowi kierunek. — Jest w towarzystwie innych gości.

— Ach, ma jeszcze gości? To może lepiej pozostaniemy tutaj. Nie chciałabym przeszkadzać...

— Pani Carette specjalnie prosi — pomimo układnej miny lokaj pozwolił sobie na niedwuznaczny gest zniecierpliwienia.

Róża poczuła niepokój, a nawet lęk. W tym służącym było coś, co mimo cesarskiej liberii kazało mieć się na baczności. Zelia prze-\* cię ostrzegając, a tu rzeczywiście znalazła się sama w lesie, z dala od pałacu. Czy mogła być pewna, że w razie czego ktokolwiek usłyszy jej wołanie?

Lokaj coraz natarczywiej przynaglał ją do drogi.

— Trzeba zabrać serwetę i koszyki — powiedziała Wreszcie, chcąc zyskać na czasie.

— To potem — machnął lekceważąco ręką. — Teraz proszę za mną. Gdzie są dzieci? — rozejrzał się po polanie.

I właśnie w tej chwili Róża posłyszała głos Antosia:

— Zobacz, Melu, tu są wiewiórki! — wołał chłopiec.

— Anto! — krzyknęła w desperacji — Zabieraj Melę i czym prędzej biegnijcie do pałacu! Uciekajcie!

— Co się stało?

Lokaj odwrócił się błyskawicznie, szukając wzrokiem dzieci, po czym ze złością kopnął koszyk, aż przewróciła się butelka

64

z resztką lemoniady. Z jego zachowania zniknęła wszelka układność.

— Ostrzegłaś ich, ty... — targnął Różę za ramię. — Bądź lepiej posłuszną i używaj ludzkiej mowy.

Nagle odezwały się jakieś głosy i zza zasłony drzew wkroczyło na polanę dwóch mężczyzn pogrążonych w rozmowie. Wyglądali na pałacowych gości.

— Na pomoc! — krzyknęła Róża, na próżno usiłując wyswobodzić ramię z żelaznych palców napastnika.

Mężczyźni stanęli, po czym pośpieszyli ku szamoczącej się z lokajem dziewczynie.

— To złodziejka — powiedział dysząc służący. — Właśnie ją złapałem.

— Och, ratujcie mnie, panowie — Róża miała nadzieję, że dzieci są już poza zasięgiem złoczyńcy. — Jestem gościem pani Carette, lektorki cesarzowej. Ten lokaj napadł mnie...

— Ona kłamie! To pałacowa złodziejka.

— Proszę, zaprowadźcie mnie do pani Carette. Ona wyjaśni...

— Chodźmy — powiedział starszy mężczyzna biorąc Różę pod ramię.

— A ty, przyjacielu, też pójdziesz z nami. Tymczasem odczep się od tej panienki.

Zawrócili w stronę pałacu, a gdy weszli już na ścieżkę, lokaj dał susa w bok i przepadł wśród gęstego tu poszycia lasu.

— Najlepszy to dowód, że fagas kłamał — zauważył ów prowadzący Różę mężczyzna. — Biedactwo, najadła się pani strachu, co, panienko?

— Bardzo mnie przestraszył...

— Tak młodej osobie nie należy samej spacerować po lesie. Nawet w Compiegne.

— Nie byłam sama — Róża nie zdążyła wyjaśnić sytuacji, gdy ujrzała biegnących naprzeciw Antosia i owego lokaja, który przyprowadził ich na polanę. — Gdzie Mela? — krzyknęła.

— U pani Carette — Antos ledwie mógł złapać oddech. — Powiedz, co się stało?

Lokaj miał niewyraźną minę. Czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny za przygodę, która spotkała tę miłą panienkę, bo przecież człowiek w cesarskiej liberii zagadnął go o gości pani Carette mówiąc, że ma dla owej panienki ważną wiadomość. Nie znał go, ale tylu teraz służących kręciło się w Compiegne, że trudno było

5 — Talerz z Napoleonem

65

wszystkich zapamiętać... Co prawda, człowieka z gębą obwiesia nie przyjęto by chyba do służby w pałacu, niemniej wielki prestiż dworskiej liberii pokrywał nawet mankamenty fizjonomii.

Mela siedziała w saloniku pani Carette, wyczekując niecierpliwie powrotu opiekunki. Po okrzyku Róży oboje z Antosiem pobiegli do pałacu.

Lektorka cesarzowej, zaniepokojona wieściami, wysłała na pomoc tego

samego lokaja, który zaprowadził ich na polanę. Chwyliła też Różę w objęcia, całując ją i przeprasząc za przykre zdarzenie.

— Okazuje się, że nawet w pobliżu dworu tak śliczna dziewczyna nie może znajdować się bez opieki. A to wszystko przeze mnie — dodała z żalem. — Gdybym mogła dysponować moim czasem... niestety, nie byłam wolna — zakończyła wzdychając.

Róża nie uważała za potrzebne wtajemniczać ją w dzieje Meli, zaakceptowała więc wersję „panienki napadniętej przez lokaja”. Pani Carette postanowiła poskarżyć się cesarzowej i spowodować ukaranie winnego. Lokaj miał rozpoznać napastnika. Róża jednak była pewna, że człowiek ten wcale nie wchodził w skład cesarskiej służby, był więc właściwie nieuchwytny.

Wrócili przygaszeni, zawiedzeni w nadziei na spędzenie uroczego dnia, skrócono bowiem czas wycieczki. Róża jak najszybciej pragnęła znaleźć się w domu, jedynie tam było bezpiecznie. Na szczęście Mela nie powiązała tego incydentu ze swoją osobą, Antoś tylko — wtajemniczony w losy małej przyjaciółki — spoglądał na siostrę pytająco, nie doczekał się jednak żadnych wyjaśnień.

Zelia triumfowała.

— Mówiłam ci, że nas śledzą — wybuchnęła wysłuchawszy relacji wydarzeń. — Wystarczy, jak Mela co dzień wyjdzie z nami na spacer. We czworo, na ludnej ulicy, nic nam nie grozi.

Po tygodniu pani Carette przysłała liścik. Raz jeszcze wyraziła żal z powodu nieudanej wycieczki. Pisała, że przyjechała na parę dni do Paryża w sprawach rodzinnych i bardzo chciałaby zobaczyć Różę.

Dziewczyna z przyjemnością przyjęła zaproszenie. Dowiedziała się, że lektorka powiadomiła cesarzową o przykrym zajściu, niestety, sprawcy nie ujęto. Przypuszcza się, że był to ktoś z zewnątrz, kto wkradł się — dzięki liberii — w szeregi pałacowej służby.

66

— Nie ulega wątpliwości, że człowiek ów to przestępca. Bez wątpienia miał złe zamiary, a samotna dziewczyna wydała mu się łatwą ofiarą. Cesarzowa Eugenia bardzo się tym przejęła, kazała przeszukać las w okolicy pałacu. Nie spotkano jednak nikogo podejrzanego.

Naturalnie, tego należało się spodziewać. Bandyta dawno już był daleko od Compiegne, krył się gdzieś tu, w Paryżu. Ta myśl mogła przejąć



dreszczem najodważniejsze serce, i w powrotnej drodze Róża nieraz oglądała się za siebie, przyspieszając kroku.

Bulwar Madeleine był zatłoczony. Słońce stało jeszcze dość wysoko i gdyby nie przykre wspomnienie, wywołane rozmową z panią Carette, Róża cieszyłaby się spacerem. Zawsze podziwiała te eleganckie domy, przed którymi stały wyczekująco nowiutkie powozy, lśniące świeżym jeszcze lakierem, z kosztownym zaprzęgiem i służbą w liberii. Było stąd niedaleko do opery i do Cafe\* de la Paix, gdzie po przedstawieniu zbierało się zazwyczaj na późnej kolacji wytworne towarzystwo.

Właśnie gdy mijała jeden z takich domów, zatrzymał się przy chodniku powóz, który zwrócił jej uwagę brakiem herbu na drzwiczkach, a jednocześnie dyskretną liberią woźnicy i lokaja. Służący siedział obok stangreta, ale zeskoczył z kozła, by otworzyć drzwiczki. Z wnętrza ekwipażu wysiadł młody człowiek, a gdy znalazł się naprzeciw dziewczyny, omal nie krzyknęła „Miguel Toreno”, tak ów młody pan przypominał hiszpańskiego lokaja. Właściwie był z nim identyczny, tyle że twarz miał ściągniętą i poszarzałą, jak gdyby bólem czy chorobą, no i zamiast szkarłatnej liberii nosił wytworny ciemny garnitur i wyglądał tak, jak powinien był wyglądać tamten, gdyby nie był lokajem.

Pasażer powozu w przelocie musnął wzrokiem Różę, której wpółotwarte usta świadczyły aż nadto wymownie o wrażeniu z tego spotkania, po czym znikł w głębi westybulu wyłożonego marmurem, co zdążyła zauważyć, gdy zgięty w ukłonie portier szeroko otworzył drzwi przed znacznym widać gościem.

Młodego człowieka dawno już wchłonął elegancki dom, a Róża wciąż tkwiła na chodniku, nie mogąc przyjść do siebie ze zdumienia. To przecież Miguel Toreno — myślała — z cesarskiej służby, by po chwili karcić się prawie głośno: — głupia, skąd takiemu lokajowi...

68

Służący, który otworzył panu drzwiczki powozu, stał oparty o pudło karety i skręcał papierosa. Od czasu do czasu spoglądał na piękną dziewczynę, zastygłą jak gdyby na chodniku, potrącaną przez spieszących się przechodniów.

Nie ulegało wątpliwości, że był Hiszpanem. Równie śniady i czarnowłosy jak jego pan, rzucał w stronę Róży coraz ognistsze spojżenia i najwyraźniej zachęcające uśmiechy.

Nie od razu zauważyła te awanse, a gdy wreszcie zdała sobie sprawę, że

jej zachowanie ośmiela służącego, z rumieńcem zakłopotania wtopiła się w tłum, by jak najszybciej zniknąć z obserwujących ją oczu.

Po chwili była już na placu, pozostawiając za sobą grecką świątynię, otoczoną majestatyczną kolumnadą w korynckim stylu dwudziestometrowej wysokości, którą wznosił niegdyś Napoleon ku chwale Wielkiej Armii, a jego następca, Ludwik XVIII, uczynił kościołem pod wezwaniem Świętej Magdaleny.

Pilno jej teraz było do domu podzielić się z Zelią wrażeniem z dziwnego spotkania. Biegła prawie ulicą Królewską, nie patrząc nawet na wspaniałe wystawy, zaledwie zauważyła powóz unoszący cesarza, który od placu Zgody podążał ku Bulwarom. Gdy skręciła w długą i dobrze znaną ulicę Świętego Honoriusza, 'poczuła się już u siebie.

W domu, niestety, nie od razu mogła przystąpić do zwierzeń.

Dozorczyńni miała dziwny wyraz twarzy, jak gdyby niepewności czy obawy, który starała się pokryć sztuczną wesołością. Siedziała jak zwykle w łoży za firanką, robiąc na drutach pończochę, ale Róża widziała jej drżące ręce i latające źrenice.

— Piękny mamy dzień, nieprawdaż, panno Rózo? — zagaiła z obłudną dobroduszością. — Przydałby się pani wyjazd na wieś.

— Rzeczywiście, wyjątkowo piękny dzień, pani Cordier. Jak się posuwa robota? — wskazała druty. — Skończy pani tę parę do jesieni?

— O tak, to pończochy dla Augustyny. Będzie miała na zimę. Po tym krótkim dialogu Róża mogła już bez przeszkód dotrzeć na trzecie piętro. Próżno jednak dzwoniła. Zelia nie przychodziła otworzyć.

W mieszkaniu panowała głucha cisza, odzywał się jedynie jęklivy dźwięk targanego coraz niecierpliwiej dzwonka.

69

Dopiero po paru minutach wyczekiwania i niepokoju, gdy Róża chciała już zbiec na dół i wypytać dozorczyńnię, usłyszała ostrożne otwieranie drzwi do jadalni i skradające się jak gdyby kroki.

— Zelio! — krzyknęła. — Czemu nie otwierasz?

— Już idę — odpowiedziała Zelia i Róża odetchnęła. Przedpokój wyglądał jak arsenał: pogrzebacz, szczypce do węgli, szczotka do zamiatania, nawet ciężki przycisk do papierów z Dziadusiowego biurka stały w rzędzie przygotowane do odparcia ataku.

— Co to znaczy? — Róża pobladła.

— To znaczy, że ta wiedźma Cordier dała się przekupić — odpowiedzia-

ła Zelia z posępnym błyskiem w oczach. — Ledwie wytrzymałiśmy i gdyby nie sąsiedzi, wyłamałiby drzwi.

— Co mówisz? W biały dzień?...

— Tak, w biały dzień.

— D"7.orczyni wyglądała podejrzanie. Zagadnęła mnie...

— Łotrz/ca. Nie ujdzie to jej bezkarnie. Poskarżę się właścicielowi domu.

— Och, Zelio, nie rób tego, będzie się na nas mściła.

— Czego się boisz? Tym lepiej dla nas, jeśli ją wyrzucą!

— Jak możesz? Co poczniesz, gdy straci pracę i zarobek?

— Wpuściła do domu bandytów, a ty się nad nią litujesz.

Dwóch ich było. Walili w drzwi, że omal nie leciały drzazgi.

„Proszę otworzyć, mamy do pani interes”. Na szczęście państwo Pomier posłyszeli na górze i zbiegli zobaczyć. Spłoszyli ich, gdy już próbowali wytrychów. „Pani Zelio — pytają — co tu się dzieje?”

„Złodzieje — odpowiadam. — Państwo nas uratowali”. — Zelia przesunęła dłonią po deskach. — Stare drzwi — dodała — długo by nie wytrzymały takiego łomotania. Pójdę rozmówić się z dozorczynią.

— Poczekaj...

— Nie ma na co czekać — przerwała Zelia i wyszła trzasnąwszy drzwiami.

— Bądź ostrożna — wołała za nią Róża, ale Zelia tego nie słyszała.

Mela błada i zapłakana siedziała na Dziadusiowym podnóżku.

— Dobrze, że już jesteś — Antoś poskoczył ku siostrze. — Martwiłem się o ciebie.

70

— Co tu się działo? — Róża przytuliła rozdygotaną dziewczynkę.

— Odparliśmy natarcie wroga — odpowiedział chętnie. — Widziałas naszą broń?

Zelia wróciła czerwona i zła.

— Powiedziałam babie, co o niej myślę — oznajmiła. — I pogroziłam, że jeżeli jeszcze raz wpuści tych bandytów, to jej Karo-lek skończy w kryminale.

— Dlaczego w kryminale? — zainteresował się Antoś.

— Bo to nicpoń — warknęła Zelia i zaryglowała drzwi wejściowe, poszła do kuchni.

— Co mamy robić? — gdy dzieci już spały, Róża z Zelią raz jeszcze omówiły całe wydarzenie. — Temu stryjowi widać bardzo na Meli zależy.

— Pewnie, że zależy! — prychnęła Zelia. — I wiedz jedno — dodała proroczno — on nie spocznie, póki nie dostanie małej. Ale jej nie dostanie — zakończyła z ponurą jakąś determinacją.

— Boże, Boże — Róża ścisnęła głowę. — Do kogo iść? U kogo szukać pomocy? Nie udało mu się trzy razy, ale za czwartym...

— Uspokój się, nie bądźcie czwartego razu — Zelia wyprostowała się z godnością. — A jeżeli znowu skusi go lichy, nie bój się, potrafię dotrzeć i do samego cesarza!

— Do cesarza?

— A co myślałaś? Że będziemy siedzieć z założonymi rękami i jak po nas przyjdą, damy się zaprowadzić do rzeźni jak cieleta?

— Och, Zelio...

— Tak. Niech cesarz wie, co się święci. A jak będzie trzeba, to i my trafimy do policji.

— Chcesz prosić policję?...

— A od czego ona jest? Wreszcie tę sprawę wyprowadzimy na czyste wody. Niech pan Narzymski powie, co zamierza, dlaczego nie zawiadomił o zniknięciu dziecka, a teraz, zamiast przyjść do nas, jak pożądny i uczciwy człowiek, nasyła bandytów.

Chyba Zelia nie myliła się, ale Róża nie była jakoś przekonana. Może należało rozmówić się szczerze z panem Narzymskim? Gdyby do tego doszło, komu jednak policja przyznałaby rację? Ubogiej hafciarce czy raczej bogatemu paniczowi, który — choć cudzoziemiec — z pewnością miał w Paryżu wielu wpływowych przyjaciół.

71

I co by się stało z Melą, gdyby wyrok w tym sporze wypadł po myśli bądź co bądź prawowitego opiekuna?

Zelia obawia się, ale czy słusznie? Może to po prostu nieporozumienie? Pan Narzymski to przecież stryj dziewczynki, a wszystko, co Zelia przypuszcza, zakrawa na jakiś ponury melodramat. Podobne sztuki grywano niegdyś w teatrach na nie istniejącym od niedawna bulwarze Tempie, zwanym wówczas „bulwarem Zbrodni”. Baron Haussmann wykreślił całą tę dzielnicę z planu Paryża. Tak samo trzeba wykreślić złe prorocтва Zelii. Takie historie działy się w dawnych czasach, nie dziś. Tym razem Ze-

lia myliła się, to było oczywiste.

— Biedny mały księżę! — westchnęła któregoś dnia Róża, wspominając smutną twarz cesarskiego dziecka.

— Czemu biedny? — obruszyła się Zelia. — Księżę, a po ojcu będzie panował.

— Co tam panowanie! Czy sądzisz, że królowie są szczęśliwi?

— Są królami.

— To chyba nieważne. Ja myślę o jego matce.

— Uważasz, że cesarzowa Eugenia jest złą matką?

— Nie, tylko czegoś jej brak... chyba ciepła, miękkości. Taka piękna, a taka przy tym zimna. Nie wiem, może się mylę, ale robi na mnie takie wrażenie... Matka powinna być czuła.

— Może — Zelia pokręciła głową. — Moja matka umarła przy porodzie, a macocha tłukła mnie regularnie trzy razy w tygodniu.

— Wiem, Zelio, wiem, opowiadała mi mamusia. Ale to już minęło. Pamiętaj, że tamto twoje życie jest skończone. Na zawsze. Wówczas nikomu nie byłaś potrzebna, a teraz ja ciebie potrzebuję. Chyba zdajesz sobie sprawę, czym dla mnie jesteś.

— Mały księżę ma guwernantki i nauczycieli — Zelia wróciła do pierwotnego tematu i zakaszła, żeby pokryć wzruszenie. — A cesarz kocha go nad życie.

— O tak, cesarz kocha go szalenie — przytaknęła Róża. — Ale jak go kocha piękna Eugenia de Montijo?

— Trudno ją rozgryźć, to Hiszpanka. W każdym razie o wiele za dużo myśli o strojach i zabawach.

72

— Właśnie, Hiszpanka, a czy zauważyłaś, że nie ma w niej nic hiszpańskiego? Ani wewnątrz, ani zewnątrz. Blondynka, niebieskie oczy, jasna cera, zimne serce i, jak mówią, pozbawiona temperamentu.

— Księżniczki pękały z zazdrości, kiedy cesarz wybrał ją na małżonkę — mruknęła Zelia z dezaprobatą. — Zwykła panna de Montijo, a została cesarzową. Nie lada gratka dla takiej dziewczyny.

— Zapominasz, jaka była piękna. Jeszcze i dziś...

G tak, cesarzowa Eugenia była obok Elżbiety austriackiej najpiękniejszą kobietą na tronie. Portrety Winterhaltera najwierniej chyba oddawały jej

olśniewającą urodę. Czyż można winić Napoleona Trzeciego, że zakochał się do szaleństwa w takiej właśnie piękności?

Do czterdziestego piątego roku życia cesarz pozostał kawalerem, choć wiele małżeńskich projektów snuto dokoła jego osoby, wiele było kobiet, które darzył miłością, a niektóre z nich pragnął obdarzyć koroną. Jako prezydent Republiki Francuskiej między innymi pretendował do ręki księżniczki z rodu Wazów. Wszystkie te jednak dotychczasowe uniesienia zbladły, gdy pierwszy raz ujrzał pannę Eugenię de Montijo, Hiszpankę, która z owdowiałą matką osiadła w Paryżu.

Panna de Montijo była córką hiszpańskiego granda, urodzoną w legendarnej Grenadzie, wychowaną na paryskiej pensji Sacré\* Coeur, gdzie wraz z innymi wytwornymi pannami z tak zwanego „towarzystwa” otrzymała stosowną do przyszłego życia edukację. Potem zamieszkała z matką w skromnym apartamencie przy placu Vendôme i zaczęła — jak się to mówiło — bywać.

Widywano ją wszędzie: na Polach Elizejskich i w Lasku, w teatrze i w operze, na balach w Tuileryach i na piknikach w Com-piegne, jednym słowem tam, gdzie bywał książę prezydent, a następnie cesarz.

Wszyscy widzieli, jak Napoleon III pożera wzrokiem piękną Hiszpankę, śledzili fazy niewinnego flirtu, który jedno tylko mógł mieć rozwiązanie: błogosławieństwo arcybiskupa Paryża przed głównym ołtarzem katedry Notre-Dame. Mylili się więc ci, którzy w pannie de Montijo upatrywali przyszłą faworytę. Nie nadawała się zresztą do tej roli: dobrze urodzona, religijna i cnotli-

73

wa pasowała wyłącznie do korony, nawet cesarskiej. Od czasów nie-szczęśliwej Marii Antoniny nie było na francuskim tronie równie pięknej władczyni.

Wszystko zdawało się dzielić tę niezbyt dobraną parę: wiek — cesarz był o osiemnaście lat starszy od narzeczonej, charakter, upodobania, połączyła ich jednak miłość, być może raczej jednostronna, Eugenia przecież mimo późniejszych miłostek cesarza pozostała do końca wierną żoną. Związek ich rozerwała dopiero śmierć, po dwudziestu latach pożycia. Oświadczając się, cesarz lojalnie uprzedził młodą Hiszpankę o czekających ją trudach, a może i niebezpieczeństwach. Znał życie i ludzi, wiedział, jak wrogo odnosiła się do niego stara ary-

stokracja, marząca o powrocie Burbonów i upadku „uzurpatora I parweniusza”.

Nic jednak nie odstraszyło panny de Montijo, nawet perspektywa zbrodniczego zamachu czy skrytobójczej śmierci z ręki płatnego zbirą.

Dwudziestego dziewiątego stycznia tysiąc osiemset pięćdziesiątego trzeciego roku o ósmej wieczorem stawili się w Marszałkowskiej sali tuileryjskiego pałacu przedstawiciele rządu, Senatu i członkowie rodziny Bonaparte, aby być świadkami cywilnego ślubu cesarskiej pary. Ów doniosły akt wpisano do historycznego rejestru, oprawnego w zielony aksamit usiany w złote pszczoły, gdzie wpisywano wszystkie śluby, chrzty i zgony członków napoleońskiej dynastii. Następnego dnia małżonkowie zostali połączeni nierozzerwalnym węzłem w katedrze Notre-Dame.

Panna de Montijo, zostawszy cesarżową Eugenią, objęła w posiadanie salony Tuileriów, jedynie godną oprawę dla jej królewskiej urody.

Jak ten pałac pałacem, nigdy nie wydawano tam tak wspaniałych balów, a przecież przez Tuilerie, podobnie jak przez Wersal, przetoczyła się historia nie tylko Francji.

W 1564 roku królowa matka Katarzyna Medycejska zleciła słynnemu budowniczemu Filibertowi Delorme, by na zachód od Luwru, na terenie dawnej fabryki dachówek — po francusku tuilerie — wystawił jej pałac godny królewskiej rezydencji.

74

Filibert Delorme sporządził plany prawdziwie architektonicznego arcydzieła, zrealizować jednak zdążył tylko zachodnie skrzydło tej swojej artystycznej wizji, gdzie jońskie kolumny podtrzymywały bogato rzeźbione portyki, a z głębi nisz wychylały się posągi rzymskich bohaterów, gdzie niezrównany Jean Goujon ustawił swoje kariatydy, a filary pokrył koronką z kamienia.

Po nich wielu jeszcze artystów uzupełniało obraz całości zgodnie z własnym talentem i gustem epoki, między innymi nawet wielki Le Vau, jeden z twórców Wersalu.

Także dla Katarzyny Medycejskiej założono ogród wzorowany na najpiękniejszych ogrodach Italii. Wśród kwietników szemrały tam fontanny, płynęły strumyki, w kępach drzew kryły się wymyślne pawilony, był nawet modny labirynt i obowiązkowy w takim ogrodzie zwierzyniec. Potem wraz ze zmianą stylu pan Le Nôtre nadał bardziej francuski kształt tym włoskim ogrodom, które Ludwik XIV otworzył dla publiczności. Jedynie

„lokaje i liberyj-na służba" nie mieli tam prawa wstępu.

Ludwik XIV opuścił jednak Paryż dla Wersalu, całe swoje zainteresowanie skupiając na tej ostatniej rezydencji. Popadłszy więc w niełaskę Tuilerie popadały powoli w zniszczenie, przez następne bowiem sto lat trzej królowie z dynastii Burbonów z rzadka tylko zaszczycali pałac krótką obecnością.

Rewolucja zdegradowała tę jedną z najpiękniejszych rezydencji Europy do roli więzienia, przetrzymując tam Ludwika XVI i jego rodzinę.

Cały ten królewski zespół architektoniczny, nazywany wówczas „Pałacem Ludu", miał — według planów epoki — pomieścić muzeum i bibliotekę narodową, a podczas Drugiej Republiki Wiktor Hugo gorąco popierał projekt przekształcenia siedziby monarchii — jak mówił — w „Mekkę rozumu".

Już Katarzyna Medycejska zamyśla o połączeniu Tuileriów — nazwa dawnej fabryki dachówek przeszła na pałac — z Luwrem, i na jej życzenie Piotr Lescot stawia Małą Galerię. Dopiero jednak Henryk IV pełniej realizuje ten śmiały zamiar, prowadząc wzdłuż Sekwany długie boczne skrzydło nazwane potem Wielką Galerią, łączącą oba pałace. Jest to piękne dzieło późnego renesansu i triumfalny powrót stylu neoklasycznego.

Ta najdłuższa galeria na świecie liczy blisko pół kilometra,

75

wnętrze jej godne jest zaprawdę majestatu, a posadzkę pokrywają wspaniałe kobierce z królewskiej manufaktury la Savonnerie.

Wszyscy następní władcy będą dążyli do coraz ściślejszego zespolenia obu pałaców, co dokona się ostatecznie za Napoleona Trzeciego. Wówczas to zamknie się ów monumentalny Czworobok, kryjący serce Paryża, a więc i Francji.

W XVII i XVIII wieku między pałacami wyrasta — mimo zakazów — cała dzielnica: domy mieszczan i rezydencje arystokracji, stłoczone wokół kościołów — Świętego Mikołaja i Świętego Tomasza. Dopiero Napoleon I zacznie oczyszczać „królewski teren" z tych natrętów, a Napoleon III dokończy dzieła. Ponieważ Napoleon I upodobał sobie to miejsce i właśnie Tuilerie obrał za siedzibę cesarskiego splendoru, Napoleon III utrzymał rodzinną i narodową tradycję.

W lutym 1852 roku dotychczasowy książę prezydent — zostawszy cesarzem — opuścił Pałac Elizejski i przeniósł się do Tuileriów. Po ślubie cesarza architekt Lefuel urządził na pierwszym piętrze apartament dla cesa-



rzowej Eugenii, z trzema słynnymi salonami: zielonym, różowym i błękitnym, gabinetem, sypialnią, garderobą i buduaem. Cesarz zamieszkał na parterze, w południowym skrzydle wychodzącym na ogrody, a jego gabinet uderzał prostotą, -kontrastującą z przepychem tronowej sali. Apartament małego księcia leżał w tym samym skrzydle, niedaleko pokojów ojca, z tą tylko różnicą, że okna wychodziły na pałacowy dziedziniec. W wielkim salonie stała dotąd oficjalna kołyska tego, który w przyszłości miał zostać Napoleonem IV.

Róża dobrze знаła te splendory, znała również dzieje pałacu. Dziaduś zawsze interesował się przeszłością i uczył ją nie tylko historii Polski, ale i historii przybranej ojczyzny. Póki jeszcze czuł się dobrze, ileż odbyli spacerów po Paryżu, ile zwiedzili kościołów oraz innych miejsc poświęconych rozpamiętywaniu tego, co minęło!

„Nie tylko mężczyzna musi być wykształcony — mawiał często — umysł kobiecy także należy formować i oświecać. Jaką bowiem towarzyszką będzie dla męża ta, co jedynie plotki domowe powtarzać potrafi, a świat jej zamknie się między kuchnią a kredensem?”

76

Dziaduś bolał nad tym, że Róża nie miała odpowiedniego towarzystwa, nie bywała w domach, gdzie mogłaby nabrać manier, jakimi powinna odznaczać się panna z jej urodzeniem. Urodzenie! Cóż to teraz znaczyło? Dziaduś żebrak i uchodźca, pozbawiony Ojczyzny i swego miejsca w świecie i ona, wyrobnica, naftem zarabiająca na życie.

Wszystko to jakoś nie dotykało jej tak boleśnie, póki nie poznała hiszpańskiego lokaja. Myśl o nim sprawiała jej przykrość, a nie myśleć o nim nie mogła. Gdybyż był tym młodym panem, tak łudząco do niego podobnym, który wysiadł z powozu na bulwarze Madeleine! Gdyby nim był, nie spojrzalby nawet w jej stronę — dopowiadał rozsądek.

O tak, ludzie z jej sfery nie zwracali na nią uwagi, była przecież niczym. I tym też gryzł się Dziaduś.

— Jak ja ciebie zostawię — powiedział kiedyś, gdy siedzieli przy kominku. — Jak zostawię samą, bez żadnej opieki!

— Przecież jesteśmy razem — zaprotestowała gorąco — i nigdy się nie rozstaniemy.

— Rozstaniemy się, dziecko, może nawet wcześniej, niż przy--puszczam. Śmierć jest na tym świecie ostatecznym rozstaniem.

A nie mamy nikogo.

— Dlaczego Dziadus o tym mówi? — zdławił ją lęk.

— Dlatego, że o tym myślę, stale myślę — odpowiedział potrząsając głową. — Gdybym odnalazł Zygmunta...

Wiedziała, że gdyby odnalazł się ów przyjaciel, nie byłiby sami i Dziadus o nic nie potrzebowałby się martwić.

— Po co o tym myśleć? — szepnęła. — Tak mi z Dziadusiem dobrze.

— Kobieta musi mieć męża, opiekuna i przyjaciela. A ty kogo masz?

— Mam Dziadusia.

— I co z tego? Stary dziad do niczego. Myślę o kimś zupełnie innym i nie widzę nikogo. Zresztą, gdzie mamy go szukać, tego opatrnościowego człowieka? Nigdzie nie bywamy... Opiece boskiej co dzień ciębie polecam i w tym cała moja nadzieja.

Ze śmiercią Dziadusia świat — dotąd dobry i przyjazny — upodobił się nagle do jakiejś przerażającej czarnej pustyni. Po

77

raz pierwszy zdała sobie wówczas sprawę, że choć ma obok Zelię, została właściwie sama — Antoś był jeszcze dzieckiem i na niego liczyć nie mogła. Jak więc teraz podejmować ważne może decyzje, jak prowadzić dom i zapewnić bratu konieczną edukację? Na szczęście Zelia była mądra i kochała Różę. I życie — mimo smutku i żaloby — potoczyło się dosyć gładko i spokojnie.

Dopiero przybycie Meli naruszyło porządek, wniosło niepokój i poczucie zagrożenia, bo przecież nawet dom przestał być nienaruszalnym azylem, a i ona, Róża, raz już znalazła się w niebezpieczeństwie.

I w tym wszystkim była sama, bez żadnej silnej ręki do pomocy. I znowu wbrew woli pomyślała o hiszpańskim lokaju, o jego śmiałym spojrzeniu i niskim głosie, który raczej pasował do wydawania rozkazów niż do uniżonej prośby.

Gdyby mu tak powiedzieć?... Cóż jednak mógłby poradzić? Zwykły lokaj...

Nie rozmawiała z nim od owego dnia, gdy zjawił się w pracowni z poleceniem od cesarzowej Eugenii. Pewnie się obraził, unikał jej potem, a i teraz, gdy się spotkali, ledwie na nią spojrział.

•

To dobrze — przytakiwała w myśli — przynajmniej pozbyłam się go raz na zawsze. Zarozumialec.

Nie była ze sobą szczerą. Bo tak naprawdę, to żałowała tych wypowie-

dzianych w gniewie słów i dałaby wiele, by móc je odwołać. Co prawda lokaj zachował się niewłaściwie, te jego pytania zupełnie były nie na miejscu. Ale miał pewnie dobre intencje. Troszczył się o nią.

Troszczył się? — Róża aż usiadła na łóżku. — Rzeczywiście, te wszystkie pytania świadczyły najwyraźniej o zainteresowaniu jej osobą. Inaczej niepodobna było wytłumaczyć tej niewczesnej ciekawości. Pytał, czy ma rodziców... Może gdyby wiedział o jej sieroctwie...

Czego się po nim spodziewam? — zgromiła siebie surowo. — To przecież tylko lokaj, hiszpański lokaj.

Zanim zasnęła, przywołała raz jeszcze przed oczy wytworną sylwetkę młodego człowieka z bulwaru Madeleine. Patrzył na nią ciemnymi oczami Miguela Toreno i przemawiał niskim głosem Hiszpana.

#### IV

Druga połowa sierpnia była już w Paryżu mniej uciążliwa. Zmierzch wcześniej zapadał, a z nim ochładzało się rozpalone upałem powietrze. Róża z Zelią i z dziećmi wychodziła na spacer przed kolacją. Mela szła w środku, Antoś przodem, niczym żołnierz w awangardzie.

Wybierali zazwyczaj bardziej uczęszczane ulice. Gdy mijali kościół, Róża opowiadała Meli o jego patronie, owym świętym Rochu, który w dawnych czasach i w dalekiej Italii niósł pomoc zadżumionym, nie dbając o własne życie. Towarzyszył mu wierny j>ies, dlatego świętego Rocha wybrano na patrona zwierząt.

Pierwszy kamień pod budowę świątyni położył sam Ludwik XIV, potem w czasach rewolucji, pamiętnego dnia trzynastego ven-demiaire'a stopnie kościoła zbryzgała krew rojalistów. Usiłovali oni wdrzeć się w ulicę prowadzącą do bram Tuileriów, gdzie obradował Konwent. Obroną dowodził młody Korsykanin, Napoleon Bonaparte. Powstańców, zwanych wówczas buntownikami, zmiotły ze stopni kościoła celne pociski artyler-

ryjskie, a ślady kul Antoś pokazywał Meli na gładkim niegdyś murze. Kościół Świętego Rocha był także związany z Ojczyzną. Tu — jak opowiadał Dziaduś — zbierali się na niedzielnym nabożeństwie pan Mickiewicz i jego przyjaciele, tu złotousty kaznodzieja, ksiądz Kajsiewicz, grzmiał z amfony przeciw nauce Towiańskiego.

Dziaduś ukryty za firanką swego pokoju śledził przybywających do kościoła rodaków. Ale sam bywał na mszy o innej godzinie. Ze wzruszeniem jednak wspominał pana Adama, gdy tak stał w słońcu przed drzwiami kościoła, wysoko podnosząc piękną, lwią głowę.

Dziś poszli w stronę placu Vendome, który — jeden z niezlicz-

79

nych — zachował dotąd powagę Złotego Wieku, a konny posąg Ludwika Wielkiego mówił niegdyś o równie wielkich dziełach dokonanych za tego monarchy.

Rewolucja zwała króla, spiszowy Ludwik dotknął czołem błota ulicy. W piętnaście lat potem Napoleon każe przetopić tysiąc armat zdobytych pod Austerlitz, by z tego materiału wznieść nieśmiertelną kolumnę, tak wysoką, że paryski ludek ochrzci ją mianem „świecy”.

Dziaduś wiedział wszystko o otaczających plac domach i Róża usiłuje przypomnieć co ważniejsze osoby i wydarzenia, związane z tym miejscem. Antoś prowadzi je prosto pod numer dwunasty, gdzie było ostatnie na tej ziemi mieszkanie Fryderyka Chopina.

Słońca już nie widać, skryło się za równą linię domów zamykających wysoki horyzont, ale niebo zachowało jeszcze blaski zachodu.

Szli wolno wzdłuż stylowych fasad, rozkoszując się — dzięki rozległości miejsca — jak gdyby większą swobodą oddechu.

Przed gmachem Ministerstwa Sprawiedliwości stał ciemny powóz, a służący, w którym Róża od razu poznała lokaja z bulwaru Madeleine, zajęty był, jak wówczas, skręcaniem papierosa.

Nie zauważył jej, a ona przyspieszyła nieco kroku, choć obejrzała się parę razy, tak była ciekawa pasażera.

Gdy obeszli plac i wrócili przed gmach Ministerstwa, powóz stał tam jeszcze, a służący — oparty o pudło karety — czytał „Figara”.

— Obejdźmy plac jeszcze raz — zaproponowała Róża, zdecydowana przyjrzeć się uważniej sobowtórowi Miguela Toreno.

Gdy więc po raz trzeci znaleźli się przed Pałacem Sprawiedliwości, z gmachu wychodził właśnie młody pan, wydając po hiszpańsku rozkaz

służącemu.

Lokaj otworzył drzwiczki, a Róża śmiało spojrzała na człowieka, który ukradł chyba twarz cesarskiemu lokajowi.

Nieznamy bez mrugnięcia wytrzymał jej wzrok, choć intensywność spojrzenia wywołała lekki rumieniec oraz wyraz jak gdyby zakłopotania na jego twarzy, bladej i wymizerowanej, jak po ciężkiej chorobie.

Myliła się więc, a tak jej się zdawało... To nie był Miguel Toreno, bo i skądże?

80

Młody pan zniknął w głębi powozu, a konie natychmiast ruszyły.

— Widziałaś? — spytała Zelię zdławionym głosem. — Widziałaś tego pana, co wsiadł do powozu?

— Widziałam — odparła Zelia obojętnie. — I co z tego? Ale również widziałam, jak jego lokaj bezczelnie strzelał oczami w twoją stronę. To Hiszpan — dodała z pogardą. — Od razu poznałam. Tylko Hiszpan pozwala sobie na podobne miny.

— Nie mówię o służącym — zniecierpliwiła się Róża. — Ale ten pan, czy zauważyłaś?

— Zauważyłam — pokiwała głową Zelia, aż zatrzęśły się kwiaty na jej kapeluszu. — Dobrze widziałam. Wpatrywałaś się w niego jak urzeczona. Damie tak nie przystoi — zgaśniła surowo.

— Ależ, Zelio, nic nie rozumiesz. Ten pan to właśnie mój lokaj!

— Twój lokaj? — Zelia przystanęła. — Jaki lokaj? Czy ten, co cię napadł?

— Ach nie, nie pamiętasz? Przecież ci mówiłam, ten z bulwaru Madeleine, taki podobny do...

— Pamiętam — Zelia wzrokiem wskazała dzieci. — Porozmawiamy o tym w domu. A ten pan — dodała z przekonaniem — to prawdziwy pan, nie żaden lokaj. I wybij to sobie z głowy raz na zawsze.

Czy Zelia domyślała się czego? Czy miała jakieś podejrzenia? Cały wieczór Róża napotykała jej badawczy wzrok, usiłujący jak gdyby przewiercić ją na wylot. Było to nad wyraz irytujące.

— Słuchaj, Zelio — powiedziała, gdy jak zwykle wieczorem mogły swobodnie rozmawiać. — Co ty sobie właściwie wyobrażasz?

Zelia nigdy nie siedziała bezczynnie. Teraz też miała na kolanach koszyk z syciem i reperacją.

— O czym mówisz? — spytała niewinnie, udając, że zajęta jest nawleka-

niem igły.

— Dlaczego tak mi się przyglądasz, jak gdybym popełniła coś złego?

— Wiesz dobrze, dlaczego. — Zelia opuściła ręce z robotą i przystąpiła do ataku. — Mów wszystko o tym Hiszpanie — rozkazała. — Muszę wiedzieć.

— Co chcesz wiedzieć?...

6 — Talerz z Napoleonem

81

— Co ciebie z nim łączy?

— Mnie z nim?

— Tak.

— A cóż mnie może łączyć z lokajem?

— Tak i ja myślałam. Jednakże teraz obawiam się...

— Czego się obawiasz?

— Zawrócił ci głowę, ot co. Żeby państwo żyli...

— Doprawdy, Zelio, nie wiesz chyba, co mówisz!

— Wiem dobrze. Widziałam, jak na niego patrzyłaś.

— Przecież to nie on.

— Wszystko jedno, ale jak powiedziałaś, zupełnie do niego podobny.

— Taki sam, tylko że to nie on. Tamten jest lokajem — głos Róży drgnął żalem. — Poza tym jest między nimi pewna różnica: lokaj doskonale wygląda, a ten pan jak gdyby chory czy cierpiący.

— Bardzo mizerny — przyznała Zelia. — Więc mogę być spokojna?

— Czy obawiasz się, że zachowam się niewłaściwie lub popełnię jakieś głupstwo?

— Wszystkiego się obawiam, jeśli chodzi o ciebie. Państwo by mi nie wybaczyli... Mężczyźni są podli, a ty nieświadoma ich podstępów.

— Daj pokój, Zelio, mężczyźni wcale nie tacy straszni. Zresztą, nic mnie oni nie obchodzą.

Przez następne dni Zelia była smutna i zatroskana. Większą część dnia spędzała w kuchni, nieskora do rozmowy czy do zabawy z Melą.

Antoś powoli wracał do swoich książek. Z początkiem września Róża zajrzała do pracowni w Tuileriach.

Pani Benoit krzątała się w szwalni, rozdając pannom robotę. Dziewczęta

rozgadane bez zapalu zabierały się do szycia.

Na wystawie zakupiono trzy maszyny, nowe ulepszone modele. Specjalny mechanik miał pouczyć panny, jak się z nimi obchodzić.

W pracowni hafciarki wszystko znalazła tak, jak zostawiła.

Róża otworzyła okna, by przewietrzyć pokój, dotknęła tamborka, wyjęła koszyk z jedwabiem. Wkrótce zacznie się praca, będzie

82

tu spędzała wiele godzin. Ręce zajęte haftem, ale swobodna myśl posybuje daleko stąd, ku jakimś nieznanym pejzażom, do ziemi, której może nigdy nie zobaczy.

Trzynastego września Antoni Berezowski powrócił na pierwsze strony gazet.

Przez ten czas dużo o nim myślała, usiłowała wyobrazić sobie jego bytowanie w więzieniu i to coś straszego, co kryło słowo „galery”.

Prasa francuska doniosła, że jedenastego września Berezowski, który przed trzema miesiącami targnął się na życie cara, przybył do Tulonu.

Wyczerpany długim marszem — pieszo z Paryża na miejsce kaźni — nogi miał poranione i spuchnięte.

Zamieniono tam jego szaro-żółty strój więzienny na czerwony kaftan i zieloną czapkę galernika. Zgolono mu głowę, jak nakazuje regulamin — jedną połowę czaszki do skóry, na drugiej pozostawiając włosy centymetrowej długości.

W kuźni prawą nogę więźnia zakuto w żelazną obręcz. Nie połączono go jednak — jak innych — wspólnym łańcuchem z drugim galernikiem, jego kara miała być sroższa: oto przykuty do pryczy, mógł się poruszać tylko tyle, na ile pozwalała długość łańcucha.

— Boże, Boże — łkała Róża. — Jak można skazywać ludzi na podobne męczarnie!

— Czytaj dalej — Zelia przysiadła na kuchennym stołku. — Te pi-smaki nie mają serca. Dla nich to zwykła rzecz, takie okropności.

Dalej opisywano tragiczną scenę zamiany żywego człowieka w wyryty na blasze numer.

Podkreślano przy tym rezygnację i spokój, z jakim więzień zniósł bolesną operację, następnie dziwiono się, że mimo upodlającego stroju i koafiury, Berezowskiego cechowała pewna dystynkcja, a wyraz jego twarzy zna-czyła inteligencja i łagodność.

— Głupcy! — wołała Róża — przecież to szlachcic! Berezowscy pocho-

dzą z Podola. Dziaduś miał tam znajomych, bo czasem wspominał to nazwisko.

Zelia tylko ponuro kiwała głową.

83

Całą tę przerażającą inicjację w galerniczny żywot opowiedziano ze szczegółami zdolnymi pozbawić snu niejednego tak zwanego porządnego człowieka, rozsmakowując się jak gdyby w opisie świata, o którego istnieniu zdawali się nic nie wiedzieć ci wszyscy żyjący w zwykłej ludzkiej wygodzie.

A więc była tam rozmowa Berezowskiego z dozorcą — więzień pokazywał rękę wyjaśniając, że zranił ją strzał z pistoletu, a przez trzy tygodnie sam kurował się okładami z zimnej wody.

Gdy skuwano parami przybyłych z nim razem do Tulonu skazańców, stał spokojnie w kącie kuźni, nie odzywając się do nikogo, jakby niepomny straszego miejsca.

Gazeta z lubością nieledwie przedstawiała warunki oczekującej go egzystencji. Czy opis ten potrafi jednak obudzić litość w czytelniku? Czy nie skłoni go raczej do poszukania na tej samej stronie mniej ponurych obrazów? Na pewno o wiele bardziej zaciekawi go małżeński skandal w rodzinie hrabiego de Givry, ploteczki zza kulis opery czy baletu, a może odkrycie o historycznym znaczeniu? Odnaleziono właśnie psalterz należący przed wiekami do świętego króla Ludwika. Cóż Francuzów obchodził Berezowski? Dużo ważniejsza była wiadomość, że po trzydziestu z górą latach triumfalnie wznowiono „Hernaniego” w Komedii Francuskiej. Dobrowolny wygnaniec, Wiktor Hugo, znowu był na ustach wszystkich. Młodzież szalała, krytycy używali wyłącznie superlatywów. Czy w tej samej gazecie obok nazwiska pierwszego poety Francji godziło się podawać imię polskiego zamachowca?

Najstraszniejsze jednak było zakończenie artykułu. Zapominając jak gdyby o człowieku, autor dodawał: „Jeżeli w ciągu miesiąca Berezowski nie zwariuje, zostanie zesłany do Nowej Kaledonii”.

Berezowski nie zwariował.

Miguela Toreno Róża zobaczyła dopiero w październiku, w piękny słoneczny ranek złocący odziane jesienią drzewa.

Akurat otworzyła okno i wyjrzała na królewskie ogrody, i właśnie zobaczyła, jak szedł dziedzicem.

Guziki u liberyjnej kurtki skrzyły się niczym diamentowe guzy przy kon-



tuszu, a połyskujący srebrem galon na kołnierzu upodabniał do wojskowego munduru ów jakże pacyfistyczny strój.

84

Lokaj szedł szybko, widać z jakimś poleceniem, do drugiego skrzydła pałacu, ale czy odczuł jej wzrok, czy z innego powodu, w pewnej chwili podniósł głowę i zobaczył ją.

Skłonił się, jak zwykle, a ona, pchnięta nagłym impulsem, pomachała ręką, po czym zdawszy sobie sprawę z familiarności tego gestu, który mógł przecież oznaczać zbyt wiele, zatrzasnęła okno i zarumieniona skryła się za firanką.

Gdyby Zelia widziała! Tym razem słusznie byłaby niezadowolona. Zachowała się przecież głupio i niewłaściwie. Jak mogła zapomnieć się do tego stopnia, żeby z okna dawać znaki lokajowi, zupełnie jak pokojówka! Czują niesmak i obawę, że Hiszpan gest ten zrozumie opacznie, to znaczy właściwie z jego pozycji. Pukanie do drzwi zdawało się potwierdzać te obawy.

Jego widok zaskoczył Różę. Toreno wyglądał źle, wydawał się jeszcze bardziej podobny do owego pana, spotkanego dwukrotnie.

— Czy pan chorował? — pytanie wyrwało się samo, wbrew jej woli.

— Nie — uśmiech był bladym odbiciem dawnego uśmiechu. — Ale odylem długą i męczącą podróż. Czy aż tak źle wyglądam?

— Jak po chorobie.

Pokiwał głową, po czym rozejrzał się po pracowni, jak gdyby pragnął pokryć zakłopotanie.

— Jeździł pan z jakimś poleceniem?

— Tak, z poleceniem. A co u pani?

— U mnie... Właściwie nic nowego — wskazała pokój. — Roboty, jak pan widzi, nie brakuje. To chyba wszystko.

— Wszystko?

— No, niezupełnie, są inne sprawy...

Rozmowa nie szła, coś ich dzieliło, jakaś niespotykana dotąd nieśmiałość z jego strony, a u niej — trudne do wytłumaczenia skrępowanie. Jak można czuć się skrępowaną wobec lokaja? A przecież, pomimo nierówności ich pozycji, rozmawiali jak ludzie sobie równi. W jego obecności Róża zapomniała jakoś o niskiej kondycji tego człowieka, choć strój mówił o tym nadto wyraźnie. Chciała też powiedzieć mu o Berezowskim, wyrzu-

cić z siebie całe oburzenie i gniew. Ale cóż Polak i zamachowiec mógł obchodzić Hiszpana?

— Pani ma zmartwienie? — postąpił bliżej.

85

— Mam — spojrzała prosto w ciemne błyszczące oczy, utkwione w niej z wyrazem niepokoju czy zapytania. — Nie chodzi o mnie — dodała prędko. — Boli mnie los kogoś, kogo nawet nie znam, a wiem, że jest bardzo nieszczęśliwy. I nic mu nie mogę pomóc.

— O kim pani mówi?

— O Berezowskim.

— O Berezowskim? — twarz mu pociemniała, jak pod nagłym napływem krwi.

— Chyba pan wie... — zniecierpliwiała się.

— Wiem — skinął głową. — Ale pani...?

— To mój rodak — przerwała. — Ja też jestem Polką. Przecho-rowałam całą tę sprawę. Wprost nie mogę przestać o nim myśleć.

— Jest pani Polką — powtórzył powoli. — Teraz rozumiem.

— Co pan rozumie? — spytała zaczepnie, znowu nieufna i bojąca się nietaktu z jego strony.

— Ze choć hafciarka, jest pani damą — odparł swobodnie. — A więc tak pani, jak i ja, oboje jesteśmy tu obcy.

Znowu porównywał ich sytuację, jak gdyby i to, że nie byli Francuzami, wiązało ich w jakiś szczególnie sposób, łączyło wspólną niską kondycję obojga.

Poruszył ją gniew na jego zuchwalstwo, zapomniała przy tym, że to ona pierwsza zaczęła go tym razem, upoważniając do tak poufalej rozmowy. Po co mówiła o Berezowskim, o sobie? Jak mogła? Należało za wszelką cenę przywrócić dzielące ich bariery, przywołując do porządku człowieka, będącego tylko lokajem. Niczym więcej. Ona, choć teraz hafciarka, była przecież osobą z innej sfery.

Żaden hiszpański hidalgo, choćby najbardziej zubożały, nie poszedłby na służbę. Duma tego narodu znana była w świecie i raczej strzeliłby sobie w łeb lub umarł z głodu w ogołoconym ze sprzętów pałacu przodków, niż zhańbił się przywdzianiem liberii! Miguel Toreno urodził się lokajem, tylko lokajem, i nie wolno jej o tym zapominać.

Czy zdradził ją wyraz twarzy, czy też on był dostatecznie wyczulony na tego rodzaju reakcję, bo cofnął się ku drzwiom, a ona znowu odczuła

przykrość.

— Do widzenia pani — powiedział układowie, schylając głowę.

86

Cicho, jak przystało na dobrze wyszkolonego lokaja, zamknął za sobą drzwi.

Po chwili zobaczyła go na dziedzińcu, gdy wracał spełniwszy polecenie. Tym razem nie obejrzał się na jej okno, a Różę ogarnął smutek tak wielki, że nie potrafiła powstrzymać łez.

Ranek szarością przypominał wczesny zmierzch. Dął wschodni wiatr, a po nocnej ulewie w nierównościach bruku stała woda.

Ze stopni Świętego Rocha schodził powoli wysoki starzec w zapiętej pod szyję czamarze, opierając się na masywnej lasce. Gdy dotykał stopą chodnika, laska wymknęła mu się z ręki i ze stukotem upadła na kamienie.

Róża właśnie mijala kościół, mogła więc natychmiast podnieść niesforną podporę.

— Dziękuję, dziękuję, panienko — starzec wyciągnął rękę, ale zaledwie spojrzał na dziewczynę, zamrugał nerwowo. — Przepraszam — głos miał stłumiony, jak gdyby pękły w nim jakieś dawno nie używane struny. — Czy... panna Ordeżanka? — tym razem mówił po polsku.

Róża złękła się, przypomniawszy sobie obawy Dziadusia. O tym, że starzec był Polakiem, wiedziała od pierwszego rzutu oka na podniszczoną czamarę. Teraz przyjrzała się uważniej mówiącemu, a jego smutna, mizerna twarz z wyrazem bolesnej rezygnacji budziła wyłącznie współczucie.

— Tak — powiedziała niepewnie. — Pan mnie zna?

— Znałem pani Dziadka, a panią pamiętam dzieckiem. Mało się pani zmieniła.

— Pan Hutorowicz? — wypłynęło nagle z pamięci słyszane dawniej nazwisko.

— Właśnie. Stary Hutorowicz — ucieszył się. — Rodzice pani Dziadka i moi rodzice byli sąsiadami. Tam, daleko, w nowogrodzkiej ziemi — dodał kiwając głową.

— Pamiętam, Dziaduś mówił...

— To już trzeci rok, jak nie żyje, prawda?

— Trzeci.

— Nie byłem na pogrzebie, długo wówczas chorowałem. Ale

na krótko przed śmiercią Kazio mnie odwiedził. A pani ciągle tu mieszka? — wskazał przeciwny dom.

— Tu mieszkam, choć na innym piętrze.

— Ja też zmieniłem mieszkanie — westchnął. — Coraz trudniej związać koniec z końcem, a takim jak ja, starym i nikomu niepotrzebnym, najlepiej na cmentarzu — dokończył ciszej.

— Nie ma pan rodziny? — zainteresowała się.

— Nikogo. A z dawnych przyjaciół i znajomych co rusz któryś odchodzi i coraz puściej... A pani? Jak pani sobie radzi?

— Nieźle. Mam pracę w pałacu. Haftuję.

— Haftuje pani... — mocniej wsparł się na lasce. — Zdaje się, ma pani jeszcze rodzeństwo?

— Tylko młodszego brata. Bywa pan w naszym kościele?

— Czasem przychodzę. Ciągnie do starych wspomnień. Siadam sobie w ławce i rozmawiam z umarłymi. Nikogo już prawie nie zostało. Jeszcze młodzi... Ale młodym teraz co innego w głowie. Nic zresztą dziwnego, nie znali Ojczyzny.

— Co pan powie o Berezowskim? — podniosła na niego wzrok w oczekiwaniu na najsłabszą choćby pociechę.

— Galernik — stwierdził krótko. — Straszny los. I nie wiadomo, co gorsze, lody Sybiru czy żar Nowej Kaledonii. Zresztą i tu, i tam kajdany i jednakowa niewola.

— I nie ma dla niego ratunku?

— Nie ma — przytaknęła ponuro. — Ale ja pewnie panią zatrzymuję? — zaniepokoił się nagle.

— Bardzo mi przyjemnie — uśmiechnęła się serdecznie. — Nic nie szkodzi, jak raz się trochę spóźnię. Daleko pan mieszka?

— Dość daleko. Na ulicy Clovisa numer pięć. Wie pani, gdzie to jest?

— Gdzieś chyba w okolicy kościoła Świętego Szczepana.

— Tak, mój dom stoi bliżej resztek dawnych murów miejskich.

— Rada jestem, że pana spotkałam. Teraz, niestety, muszę już iść. Może pan nas odwiedzi?

— Dziękuję — pochylił głowę. — Może się kiedyś i wybiorę. Nie chciałbym tylko sprawić kłopotu...

— Jakież kłopot? — oburzyła się. — W którą niedzielę. Wówczas jestem

w domu. Do widzenia panu.

Otworzył usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, o coś zapytać,

88

rozmyślił się jednak i potrząsnął głową patrząc, jak oddalała się szybko w stronę ulicy Rivoli.

W drodze do pałacu Róża przypominała sobie kilkakrotne wizyty Dziadusiowego sąsiada. Była wówczas mała, a pan Hutorowicz przyniósł jej kiedyś lalkę, złotowłosą Kasieńkę w niebieskiej sukni, z wiecznym uśmiechem na woskowej twarzy. Pozostawiła ją raz zbyt blisko kominka i stopniała uroda Kasieńki. Lalka utraciła rumieńce, buzia jej wydłużyła się, porcelanowe oczy wpadły w zbyt głębokie orbity. Róża pamięta, jak wówczas płakała.

Pan Hutorowicz znał również zaginionego przyjaciela, słyszała często powtarzane w rozmowach imię Zygmunt.

Biedny pan Hutorowicz — myślała pochylona nad haftem. — Stary i zupełnie sam. I pewnie ma mało pieniędzy, jeśli musiał zmienić mieszkanie. Cały ten dzień, zajęta pracowicie wyszywaniem, przeżyła we wspomnieniach. Sprawy wielkie i ważne dla tych, co odeszli, stawały się z powrotem wielkie i ważne również i dla niej.

— Różyczko, opowiedz o talerzu — Antoś ujął szczypce i zaczął grzebać w palenisku.

Za oknem szalała listopadowa zawierucha, chłoszcząc szyby biczami deszczu, strasząc poświstem i pojękiwaniem huraganu, który przelatywał opustoszałymi ulicami Paryża.

Jakże przy kominku ciepło i przytulnie! Róża w Dziadusiowym fotelu, przy niej na niskim stołeczku Mela z łokciami opartymi o kolana opiekunki. Zelia jak zawsze czynna nad stertą dzieciennych pończoch i bielizny. Antoś przykucnął przed ogniem, ze szczypcami w rękę, wpatrzony w rozżarzone węgle, na których piekły się kasztany.

— Czy można sobie wyobrazić przyjemniejszy sobotni wieczór?

— Róża odchyliła się na oparcie fotela i przyknęła oczy.

— Opowiedz o talerzu — powtórzył Antoś, przenosząc wzrok z paleniska na siostrę. — Już tak dawno nie rozmawialiśmy o tym.

— Przecież wiesz wszystko — westchnęła Róża. — Chyba nie zapomniałeś, co opowiadał Dziaduś.

— Tak, tak, o talerzu — poparła chłopca Mela, przytulając policzek do ręki dziewczyny.

— Dziaduś miał przyjaciela — zaczęła Róża.

|-- To Zygmunt Żeran — wyrwał się Antoś. — Żeby go Dziaduś odnalazł, wszystko byłoby inaczej.

— Tak, wszystko by się zmieniło.

— Ale nie odnalazł go?

— Nie odnalazł.

— A talerz? — dopytywała się Mela.

— Dziaduś i jego przyjaciel, jako młodzi chłopcy, kupili w Warszawie takie same talerze z Napoleonem. Cesarz był w Polsce kilkakrotnie, ludzie wiązali z nim największe nadzieje.

— I co?

— Dziaduś i jego przyjaciel złożyli sobie uroczystą przysięgę.

— Róża dotknęła włosów dziewczynki. — Talerz miał być znakiem rozpoznawczym.

— A po co przysięga? — Mela podniosła głowę.

— Po to, żeby oni sami albo ich spadkobiercy czy potomkowie mogli się rozpoznać i w razie potrzeby udzielić sobie nawzajem pomocy.

— Ale Zygmunt zginął — uzupełnił Antoś.

— Tak. Było to w czasie powstania tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego roku.

— Dziaduś i Zygmunt walczyli o wolność Ojczyzny — wyjaśnił Antoś z dumą.

— Jak wszyscy wówczas, jak wszyscy.

Silniejszy niż inne podmuch wichury załopotał drewnianą żaluzją, aż Zelia wstała i podeszła do okna.

— Obawiam się o szyby — mruknęła. — Za moich czasów takiej wichury jeszcze nie było.

— Mów o talerzu — prosiła Mela.

— Gdy po upadku powstania Dziaduś uchodził z kraju, wśród nielicznych pamiątek, które zabierał, znalazł się i talerz. W Paryżu szukał Zygmunta. Na próżno. Nikt o nim nawet nie słyszał. Może zginął, a może popędzono go na Sybir. Nie wiadomo. Dziaduś jednak nie tracił nadziei.

— A może talerz Meli to talerz Zygmunta? — zaryzykował Antoś.

fp

— Taki samiutki — przytaknęła Mela.

,— Melu, jak nazywała się twoja mamusia? — spytała Róża.

— Jadwinia.

— Ale nazwisko.

— Przecież wiesz — odparła Mela niechętnie.

— Chodzi o nazwisko panięskie. Jak nazywała się, zanim wyszła za mąż?

— Czy nazywała się inaczej?

— Inaczej, dziecko. Ty też, gdy wyjdiesz za mąż, zmienisz nazwisko.

— Nie wiem. Tatuś mówił „Jadwiniu” — Meli zadrżały wargi i pochyliła twarz na kolana Róży.

— Kasztany gotowe — Antoś postawił na stoliku dymiącą taczkę. — Doskonale upieczone, żaden się nie przypalił.

Zapomniano o talerzu i o Dziadusiowym przyjacielu. Kasztany nęciły smakowitym zapachem, nawet Zelia odłożyła na tę chwilę robotę i zajęła ręce kruszeniem łupiny.

Tego wieczoru nie wrócono już do poprzedniego tematu. Kasztany pchnęły rozmowę w weselsze rejony. Dzieci i młodzi nie mogą przecież wiecznie przebywać wśród mogił.

Ale od tego dnia Róża zaczęła myśleć o talerzu Meli.

A gdyby był identyczny z talerzem Dziadusia?

Zelia co prawda twierdzi, że takich talerzy są setki i tysiące i że w każdym sklepie... Takiego samego Róża jednak nigdy na żadnej wystawie nie widziała.

Przez następne tygodnie odwiedziła wszystkie magazyny z porcelaną w okolicy ulicy Świętego Rocha, Świętego Honoriusza, Rivoli, zapuściła się nawet dalej, na drugi brzeg Sekwany bulwarem Świętego Michała, w głąb Dzielnicy Łacińskiej. Wszędzie pytała o sewrskie talerze z Napoleonem. Obejrzała ich rzeczywiście setki. Dziadusiowego wśród nich nie było.

— Wiele bym dała, żeby choć rzucić okiem na talerz Meli — zwierzyła się Zelii.

— Nie zaprzataj sobie głowy talerzem. Skąd dziecko może dokładnie zapamiętać szczegóły? Na talerzu jest Napoleon, dla niej to wystarczy, by upierać się, że jej talerz jest taki sam jak twój. A przecież wi-

działał teraz całe góry takich talerzy.

— I żaden nie był podobny do Dziadusiowego.

92

— To dlaczego jej talerz ma być podobny?

— A jeżeli jest taki sam? Słuchaj, Zelio, co zrobić, żeby dostać talerz Meli?

s— Bój się Boga! Czy mówisz poważnie?

— Muszę mieć ten talerz, muszę.

Ta myśl opanowała Różę tak zupełnie, jak gdyby od owego talerza zależało jej życie. A talerz znajdował się przecież niedaleko, tu, w Paryżu, nieledwie w zasięgu ręki, w białym pałacyku pana Narzymskiego w alei Cesarzowej.

Pochylona nad tamborkiem snuła coraz bardziej nieprawdopodobne plany: w wyobraźni pokonywała wszelkie przeszkody, wdzierając się na nieznanne pokoje, zdejmowała ze ściany talerz.

Czy był podobny do Dziadusiowego?

Róża potrząsa głową, odpędza natrętne obrazy. Należy skupić się na robocie, na tym monogramie małego Lulu, jak nazywali rodzice cesarskiego księcia.

Przed tygodniem do pracowni hafciarki przyszła cesarzowa Eugenia w towarzystwie pani Pepy, swojej intendentki.

Pani Pepa niosła pudło chustek do nosa z angielskiego batystu.

— Kochana panno Różo — powiedziała cesarzowa łaskawie — poproszę panią o piękny monogram na chustkach dla Lulu. Będzie to jeden z prezentów gwiazdkowych. Mam nadzieję, że pani braciszek przyjdzie zobaczyć naszą choinkę — dodała ze ślicznym uśmiechem.

Naturalnie, że Antoś przyjdzie do Tuileriów, gdzie w jednym z salonów stanie olbrzymi świerk obwieszony łakociami, migocący światłem. Cesarz, cesarzowa i Lulu będą przyjmować małych gości — rówieśników następcy tronu.

Nie wszystkie dzieci zapraszano w święta Bożego Narodzenia na cesarskie salony, ale Antoś i Lulu urodzili się tego samego dnia, w Niedzielę Palmową tysiąc osiemset pięćdziesiątego szóstego roku.

Wówczas to, owego pamiętnego szesnastego marca, sto jeden strzałów armatnich zapewniło Paryż i Francję o- ciągłości młodej dynastii Bonaparte.

O tak, Lulu był wyczekiwany nie tylko przez cesarza. Jego przyjścia na



świat wyglądał cały naród. Maleńka kruszyna ginąca

93

nieledwie w paradnej kołysce zwieńczonej skrzydlatą Wiktorią zapowiadała przecież ład i porządek, spokój, rozkwit przemysłu i handlu, a więc wzrost dobrobytu. Francja miała dość wojen, przewrotów i rewolucji, gilotyna pomogła jej wyładować gniew na władców obcinając królom głowy. Teraz pragnęła wyłącznie dostatniego życia, rozrywek i wygody, a tego wszystkiego dostarczały pieniądze.

Gorączka robienia pieniędzy ogarnęła Francuzów. Nowe, coraz większe fortuny pojawiały się z dnia na dzień. Giełda, banki, operacje finansowe zaprzętały myśli, kierowały poczynaniami milionów obywateli. Czyż istniało coś ważniejszego niż złoto? Wszystko jedno jakie nosiło miano: ludwiki, napoleony, to nie miało znaczenia. Byle tylko brzęczące krągłością monet zapępniało kasy i zamczone kufrы bankierów, misterne szkatułki i septy wykwintnych dam. Takie oto były ideały epoki.

W Tuileriach już w dzień poprzedzający Wielkie Wydarzenie zebrał się Senat i Rada Stanu, władze miejskie Paryża, dygnitarze kościelni i wojskowi. Salony parteru nie mogły pomieścić tak licznego a świetnego zgromadzenia.

Na placu i na ulicy tłoczyli się paryżanie, doświadczone matrony komentowały głośno ciężki poród cesarzowej.

Całą noc widziano na firankach cień cesarza, który chodził niespokojny z komnaty do komnaty. Starym przypomniało to podobne oczekiwanie sprzed czterdziestu pięciu lat, gdy Maria Luiza, żona Napoleona Pierwszego, równie ciężko rodziła nieszczęsne Orlątko.

Powtarzano sobie z ust do ust słynne wówczas powiedzenie cesarza, który tymi słowami zwrócił się do doktora Corvisarta: „Niech pan sobie wyobrazi, doktorze, że położnica to przekupka z ulicy Saint-Denis. Nic tu pan nie może więcej zrobić. W każdym razie, proszę ratować matkę”. O godzinie trzeciej piętnastce nad ranem cesarzowa Eugenia urodziła syna.

Cesarz czekał w przyległym salonie. Pierwszy raz w życiu utracił owe zwykle dla niego opanowanie i zimną krew: zapłakał i ucałował pana Abbatucci, który przyniósł tak wyczekiwaną wiadomość. Potem powiedział zebrany: „Nie mogę uścisnąć was wszystkich, panowie”.

94

Na pierwszym pięttrze kamienicy naprzeciw kościoła Świętego Rocha

wszystko odbyło się podobnie, a jednak inaczej.

Zamiast słynnego lekarza była tam akuszerka, wspomagana przez służącą, a mąż oczekiwał w jadalni na szczęśliwe rozwiązanie.

Syn urodził się w dwie godziny po cesarskim księciu, ale radość rodziców z ulicy Świętego Rocha nie ustępowała radości mieszkańców tuile-ryjskiego pałacu.

Noworodka złożono w wiklinowym koszu wybitym błękitnym atłasem, na pięknie haftowanej pościeli. To skromne łóżeczko wcale nie było mniej wygodne od bogato rzeźbionej kołyski, ustawionej w sąsiedztwie tronowej sali, a będącej darem miasta Paryża. Ocieniały ją brokatowe firanki spływające spod cesarskiej korony, wezgłowia strzegły anioły, a w nogach przysiadł orzeł, mocnymi pazurami uczepiony złoczonej krawędzi. Paryżanie omawiali teraz sprawę wyboru chrzestnych rodziców. Jedni głosowali za królem Hieronimem, bratem Napoleona I, inni za Wiktorem Emanuelem, wiernym sojusznikiem Francji. Rozczarowali się i jedni, i drudzy. Oto „Monitor” ogłosił, że Jego Świątobliwość papież Pius IX i królowa Szwecji i Norwegii zgodzili się trzymać do chrztu małego Napoleonidę.

Chrzest odbył się dopiero w trzy miesiące potem. Była to uroczystość tak wzniosła, że wymagała odpowiednich przygotowań.

Na placu przed katedrą Notre-Dame tłoczył się nie lud, lecz Osoby, a raczej Osobistości. Bogato szamerowane mundury Drugiego Pułku Woltyżerów tworzyły barwne hafty na falującej szarości tła. Od nadbrzeża Sekwany po drzwi katedry wił się ów lśniący wąż, a między jego splotami sunęły karety wiozące naj-świetniej szych gości: królewskie korony, tytuły co najmniej książęce, ambasadorów akredytowanych w Paryżu, delegacje z całej niemal Europy.

Eleganckiemu generałowi Cler, jednemu z bohaterów wojny krymskiej, zgotowano spontaniczną owację.

Potem kareta zaprzężona w osiem koni przywiozła Główną Osobę Uroczystości. Małego księcia w asyście nianiek i gwardzistów wniesiono do wnętrza katedry.

Na koniec przy dźwiękach hymnu cesarstwa pojawili się rodzice.

95

Cesarz w mundurze generała dywizji, cesarzowa Eugenia w olśniewającej jasnej toalecie. W drzwiach Notre-Dame witał ich arcybiskup Paryża, podając wodę święconą.

Ojca chrzestnego, papieża Piusa IX, reprezentował kardynał Patrizzi, a królową szwedzką — wielką księżną Stefania Badeńska.

Po ceremonii cesarz wziął dziecko i podnosząc je wysoko, ukazał dzie-dzica urbi et orbi. Chłodne zazwyczaj źrenice błyszczały dumą i szczę-ściem, blade policzki pały. Pierwszy raz. Cesarzowa, piękna jak zwy-kle, była tak wzruszona, że nie potrafiła powstrzymać łez.

Mimo szacunku dla świętego miejsca, w pociemniałe od starości i od dymu setek tysięcy świec sklepienie katedry uderzył okrzyk: „Niech żyje cesarz!”

Kardynał legat zaintonował „Te Deum” i na zakończenie udzielił zebra-nym apostołskiego błogosławieństwa.

Małego bohatera dnia odwieziono do Tuileriów, gdzie mógł wreszcie spokojnie zasnąć w swojej paradnej kolebce.

Dziecko zapisano w cesarskim rejestrze pod imionami Napoleon Eugene-sz Ludwik Jan Józef, a chwilowo po prostu Lulu.

Chrzest małego Antosia Ordęgi miał zupełnie inną oprawę oraz inny przebieg.

Miejscem był kościół Świętego Rocha, parafia rodziców, gości żadnych nie zaproszono. Byli więc tylko państwo, Dziaduś, mała Róża i służąca. Ale najbardziej zaskakiwał brak chrzestnego ojca i chrzestnej matki. Taka jednak była wola Dziadusia.

Gdy przyszli do kościoła, Dziaduś zatrzymał się w kruchcie, gdzie w ką-cie siedziało paru żebraków i jedna baba.

Byli starzy, nieledwie zgrzybiali, żebracze oczy zachodziły bielmem, a żebrakom ręce trzęsły się na sękatych kosturach.

Dziaduś wiódł wzrokiem po tej ludzkiej nędzy, wreszcie zatrzymał spoj-rzenie na najstarszym chyba i najnędzniejszym spośród gromady.

— Jak ci na imię? — pochylił się nad kupą łachmanów.

— Joachim, panie — głos był słaby i drżący, jak gdyby dochodził już z tamtego świata.

— A ty? — zwrócił się do kobiety.

96

— Anna — szepnęła zaciskając podartą chustkę pod wyschlą szyją.

— Chodźcie — ruchem ręki nakazał, by poszli za nim.

Żebracy dźwignęli się z trudem, rozprostowując obolałe członki. Pochy-leni do przodu, trzęsąc głowami i postukując kijem posunęli się za Dzia-dusiem.

Wprowadził ich do zakrystii.

— Oto chrzestni rodzice, księżę proboszczu — wskazał dwa poruszające się tłoki ze starych szmat.

— Chrzestni?... — ksiądz doprawdy nie wiedział, co powiedzieć. Młodzi Ordęgowie nie okazali zdziwienia. Ojciec przygotował ich do tej niespodzianki. Po pewnych oporach uznali jego projekt za na tyle niezwykły, by wart był zastosowania, tym bardziej że miał przecież przynieść noworodkowi szczęście.

— Czy wie ksiądz proboszcz, pod jakimi imionami zapisze ich w swoim rejestrze? — Dziaduś wskazał parę żebraków.

Ksiądz spoglądał to na młodych Ordęgów, to na Dziadusia, jak gdyby dziwił się, że z takim spokojem ulegają dziwactwu starego ojca.

— Zowią się Joachim i Anna.

' — Joachim i Anna — powtórzył ksiądz, a żebracy przytaknęli skwapliwie.

— Rozumie ksiądz teraz? — dopytywał się Dziaduś.

— Rozumiem — ksiądz pochylił głowę. — Jest pan bardzo mądry, panie Ordęga, możnych protektorów wybrał pan w niebie dla wnuka. Wierzę, że mu wymodlą szczęście. Ale jak to się stało, że akurat ci ludzie noszą imiona rodziców Matki Boskiej?

— Czekałem na jakiś znak — odparł Dziaduś poważnie. — Nie wiedziałem tylko, że tak dobrze utrafię. Mój wnuk musi być szczęśliwy — dodał gorąco.

— Będzie szczęśliwy — powiedzieli żebracy jednocześnie, zbliżając się do nowo narodzonego.

Ojciec i matka nie od razu przystali na pomysł Dziadusia.

W wyborze chrzestnych rodziców każdy wysoko mierzy, wyżej od własnego stanu, by kiedyś dziecko miało pomoc i oparcie w tych, którzy trzymali je nad chrzcielnicą.

Młoda pani Ordężyna była takiego właśnie zdania, szczególnie, że jako sierota nie miała nikogo bliskiego. Podporządkowała

7 — Talerz z Napoleonem

97

się jednak — podobnie jak mąż — woli teścia, który okazywał jej zawsze iście ojcowską serdeczność.

Siad tego wydarzenia pozostał w kościelnym rejestrze, gdzie Antoniego Ordęgę zapisano pod jednym tylko imieniem, a jego chrzestnych rodzi-

ców, Joachima i Annę, nieznaną z nazwiska, Dziaduś wspierał do końca ich dni.

Drogi cesarskiego księcia i małego Polaka może nigdy by się nie skrzyżowały, gdyby nie owo tragiczne wydarzenie z czternastego stycznia tysiąc osiemset pięćdziesiątego ósmego roku, kiedy to wiele osób postradało życie, a cesarz — cel zamachu — wyszedł z niego cało.

Nie pierwszy to raz organizowano spisek na życie Napoleona III — zazwyczaj parali się tym Włosi, mistrzowie niegdyś trucizny i sztyletu. W dziewiętnastym wieku zmieniły się jednak narzędzia politycznego mordy, mniej może skuteczne, za to bardziej spektakularne, pociągające za sobą wiele Bogu ducha winnych ofiar.

Tego właśnie pamiętnego czternastego stycznia w operze żegnano słynnego śpiewaka Massola, przechodzącego w stan zasłużonego spoczynku. Wieczór mieli uświetnić cesarz i cesarzowa Eugenia, niecierpliwie oczekiwani przez galową publiczność.

Opera mieściła się wówczas jeszcze przy ulicy Le Peletier, zanim przeniosła się do wspaniałego gmachu na placu specjalnie dla niej wydzielonym przez barona Haussmanna.

Na parę minut przed godziną ósmą karetą wioząca Najjaśniejszych Gości w asyście plutonu lansjerów zbliżyła się do bocznego wejścia, zarezerwowanego dla dworu, gdy straszliwy huk wstrząsnął ulicą, jak gdyby podziemne jakieś moce miały pochłonąć wszystko, co znajdowało się na powierzchni.

Tłum zebrany przed operą buchnął wrzaskiem. Rżenie rozszałych koni, wołanie o pomoc, jęki rannych zamieniły spokojną zazwyczaj ulicę Le Peletier w jakieś gigantyczne pole bitwy rozpętanych żywiołów.

Detonacje mieszają się z tętentem koni unoszonych szaleństwem, gasną rozbite gazowe latarnie, ciemności zwiększają grozę, ludzie zapominają, że to paryska ulica, a nie jakiś górski wąwóz, skąd z zasadzki rażą ich gromy niewidzialnego wroga.

98

Ponad dwadzieścia koni rannych lub zabitych tarasuje ulicę. Wśród lansjerów nie ma ani jednego, który nie doznałby szwanku.

Pierwsza z rzuconych bomb wybuchła pod kopytami koni zaprzęzonych do cesarskiej karety. Powóz pchnięty naprzód, ze strzaskanym dyszlem, uderzył o jeden z filarów podjazdu.

Wielu przechodniów, ludzi spieszących do opery oraz zwykłych gapiów

zostało rannych lub straciło życie. Wypadły wszystkie szyby w okolicznych domach aż do czwartego piętra, zniszczone zostały wystawy sklepowe.

Osobom siedzącym w karecie nic się jednak nie stało.

Cesarz wyskoczył, gdy tylko otworzono drzwiczki, i zwykłym, chłodnym spojrzeniem omiótł straszliwe pobojuwisko. Jezdnia i chodniki zasłane były odłamkami szkła, ciałami ludzi i koni.

— Proszę natychmiast odnieść rannych do najbliższej apteki — rozkazał — i wezwać lekarzy. Zaraz tam przyjdę.

— Sire — zauważył nieśmiało pan Hebert z policji miejskiej — sprawcy zamachu nie zostali dotąd ujęci. Byłoby wysoce niebezpiecznie...

— To nieważne.

— Jeżeli publiczność w operze nie zobaczy Waszej Cesarskiej Mości — pozwolił sobie na uwagę komisarz Lanet — kto wie, co mogą pomyśleć.

— Ma pan rację — poddał się cesarz. — Wrócę tu niedługo. Przez cały czas trwania kanonady cesarzowa Eugenia wykazała

rzadką doprawdy u kobiety zimną krew i opanowanie. Przytulona do ramienia męża, zastygła jak gdyby w niemym przerażeniu, nie wydała głosu i nie uczyniła ani jednego gestu. Ocknęła się dopiero wówczas, gdy cesarz, wysiadłszy dla zbadania sytuacji, wsunął głowę do wnętrza karety mówiąc głośno:

— Racz, pani, wysiąść. — A ciszej dodał: — Spokojnie, patrz na nas.

Wtedy to cesarzowa Eugenia spostrzegła plamę krwi na białej sukni i pierwszy raz krzyknęła.

Była to krew lansjera jadącego przy drzwiczkach karety, który odniósł trzy rany, a koń pod nim padł z przebitą piersią.

Gdy Napoleon III i jego małżonka ukazali się w cesarskiej łoży, publiczność przyjęła ich okrzykiem: „Niech żyje cesarz! Niech żyje cesarzowa!”.

99

Ł

Po kwadransie cesarscy goście opuścili operę, cesarzowa Eugenia dość dała dowodów siły charakteru, dłużej nie można jej było wystawiać na tak ciężką próbę.

Generał Soumain, gubernator Paryża, sam dowodził szwadronem kirasjerów, eskortujących cesarską karetkę do bram Tuileriów.

Konie szły stępa, tak wielki tłum zalegał bulwary. Ludzie wiwatowali, wyrażali głośno radość i oburzenie. Cesarzowa, powoli wracająca do sie-

bie po przeżytych emocjach, wychylona z okna karety, ręką i uśmiechem dziękowała za te dowody sympatii.

Sprawcy zamachu zostali ujęci. Było ich czterech. Sami Włosi. Przewodził Feliks Orsini, urodzony w Meldoli. Po głośnym proeesie, w którym jako obrońca wystąpił znakomity adwokat Jules Favre, republikanin, a więc przeciwnik cesarstwa, sąd skazał Orsiniego i jednego z jego towarzyszy na śmierć. Na obu spiskowcach wyrok wykonano. Dwaj pozostali mieli szczęście. Jednemu karę śmierci zamieniono na dożywotnie ciężkie roboty, drugi wyszedł jeszcze bardziej oborną ręką.

Choć sam nie ucierpiał, cesarz jednak nie skorzystał z prawa łaski. Opinię publiczną zbyt poruszyła wielka liczba ofiar: sto pięćdziesiąt sześć osób rannych, a osiem zabitych.

W kilka dni po tych tragicznych wydarzeniach, w przemówieniu wygłoszonym na otwarcie sesji Senatu, cesarz powiedział:

„— Dziękuję Bogu za ocalenie, lecz boleję nad tym, że tyle trzeba ofiar, by dosięgnąć jednego człowieka. Nigdy zresztą morderstwo nie przyniosło korzyści tym, którzy uzbroili rękę zbira. Zabójcy Cezara czy Henryka IV nie skorzystali z owoców zbrodni. Nie obawiam się zamachowca. Jestem tu z woli Opatrzności. Dopóki nie wypełnię mojej misji, nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo”.

Rodzice Róży i Antosia byli muzykalni i kochali teatr. Benefis znakomitego Massola zapowiadał się jako jedna z ważniejszych imprez artystycznych sezonu.

Młodzi Ordęgowie przybyli do opery trochę wcześniej — pani Marianna pragnęła być świadkiem przyjazdu cesarza. Stanęli na rogu ulicy Le Peletier, koło owocarni — wszędzie tłoczyli się ludzie. Drzwi sklepów upodobniły się do parterowych łóż opery, tak szczelnie zapełnili je ci wszyscy, dla których zabrakło biletów.

100

Na krótko przed godziną ósmą policja odsunęła zbyt blisko stojących, pozostawiając wolną jezdnię dla karety Ich Cesarskich Mości — słyhać już było tupot kopyt plutonu lansjerów eskortujących Najjaśniejszych Państwa.

Pani Marianna, uczepiona ramienia męża, uniosła się na palce, by lepiej widzieć. Kareta właśnie mijała owocarnię. Za szybko mignęła biała suknia, załśnił brylantowy diadem na jasnych włosach cesarzowej Eugenii. I natychmiast rozpętało się piekło. Pani Marianna, odrzucona wybuchem wie-

le metrów dalej, przyszła do siebie dopiero w aptecę. Pochylał się nad nią lekarz, obok stał Napoleon III.

— Co ta kobieta, doktorze? — pytał niespokojnie cesarz.

— Nic poważnego, Sire. Lekkie zadrapania i stłuczenia. Poza tym ogólny wstrząs. Zaraz ją opatrzę. Będzie mogła wrócić do domu.

Pani Marianna nie bardzo rozumiała, co się z nią stało. Po chwili zauważyła nieobecność męża, z którym przecież przyjechała do opery.

— Gdzie mój mąż? — pytanie skierowała zarówno do cesarza, jak i do tego nieznanego, który właśnie badał jej puls.

— Znajdziemy go, niech pani będzie spokojna.

Stanisława Ordęgę znaleziono tuż pod witryną owocarni. Zginął na miejscu, zanim zdążył zdać sobie sprawę, że umiera.

Panią Mariannę odwieziono do domu zapewniając, że mąż chwilowo pozostanie w szpitalu. Młody porucznik kirasjerów, który jej towarzyszył, Dziadusiowi powiedział prawdę.

Nazajutrz Dziaduś musiał rozpoznać zwłoki syna.

Pani Marianna długo chorowała, bardziej zresztą bolała ją dusza niż ciało. Obwiniała siebie o śmierć męża. „Gdyby nie moja ciekawość, Stach żyłby! To ja jestem winna, ja go zabiłam!” — wołała.

Próżno Dziaduś, sam złamany, odwoził ją od tych strasznych myśli.

Próżno Róża pieszczotą zwracała jej uwagę na siebie i na małego Antosia. Nie odzyskała już pogody, nie potrafiła śmiać się jak niegdyś. Była już tylko cieniem dawnej wesołej Marianki.

Od roku Zelia prowadziła gospodarstwo u Ordęgów, przeżywając razem z państwem wszystkie ich niedole. Zelia była nieoceniona i nie wiadomo, jak bez niej dano by sobie radę.

Cesarz nie zapomniał o ofiarach zamachu, szczególnie o rodzi-

101

nach tych ośmiu osób, które zginęły lub zmarły wskutek odniesionych ran.

Pani Mariannie i jej dzieciom przyznano pensję z cesarskiej szkatuły.

Czyż mogło to jednak zastąpić nieżyjącego męża i ojca?

Mieszkańcy Tuileriów okazali również zainteresowanie losem małego Antosia, tym bardziej że data jego urodzenia zbiegała się z datą przyjścia na świat następcy tronu. W święta zapraszano chłopca do pałacu. Dziaduś



odrzucał jednak łaskawą propozycję umieszczenia wnuka na koszt cesarski w jednym z paryskich liceów. Pragnął, by Antoś uczył się w Narodowej Szkole Polskiej na Batignolles i odebrał tam patriotyczne wychowanie.

Los — mimo różnicy pozycji i warunków życia obu chłopców — zetknął ich ze sobą.

A pozycja ta jak i warunki były zgoła różne.

Wybrawszy papieża na chrzestnego ojca małego księcia, cesarz oddał go jak gdyby w opiekę Kościoła. Nie zapomniał jednak i o innym patronie, któremu zlecił pieczę nad synem: o armii.

Ledwie wyszedł z pieluszek, Lulu przywdział więc mundur grenadiera Pierwszego Pułku Gwardii: czerwone spodniki i błękitną kurteczkę z czerwonymi wyłogami. W takim stroju występował podczas oficjalnych uroczystości, gdy cesarz sadzał syna przed sobą na siodle, odbierając wojskową defiladę.

Lulu miał guwernantki i wychowawczynie, od dziecka uczono go angielskiego — od tego właśnie była Miss Schow, specjalnie wybrana przez królową Wiktorię, która wielką sympatią darzyła cesarską parę.

Mały książę nie miał jeszcze pięciu lat, gdy napisał swój pierwszy list do ojca. Cesarz nie rozstawał się z tą nieudolnie nagryzmołoną kartką, do śmierci nosił ją w portfelu. Lulu zapewniał w niej papę o swym przywiązaniu i dodawał, że bardzo tęskni i czeka na jego powrót — cesarz walczył wówczas w Italii, były to czasy Magenty i Solferino.

O tak, Lulu bardzo kochał ojca, ale ojciec kochał go o wiele bardziej. Do szaleństwa. Jak nigdy nikogo w życiu. Tak, jak tylko potrafi kochać matka, to znaczy z niewyczerpanym zasobem wyrozumiałości i pobłażania. Wybacział dziecku wszystko, nawet tę największą przykrość, jaką mu wyrządził Lulu, gdy stłukł filiżankę Napoleona I.

102

Najciekawszym miejscem w pałacu był naturalnie gabinet ojca. Cesarz siedział przy biurku, a chłopczyk wdrapywał się mu na kolana. Cóż to były wówczas za zabawy! Malec musiał dotknąć wszystkiego, co stało lub leżało w zasięgu jego rączek. Słowa „nie wolno” nie przeszły nigdy przez usta cesarza. Wtedy właśnie Lulu pochwycił filiżankę pozostałą z sewrskiego serwisu, który służył Napoleonowi na wyspie Świętej Heleny, i naturalnie upuścił cenną pamiątkę. Nie zrobił tego umyślnie, o nie, ale cesarz głęboko odczuł stratę tej nieledwie relikwii. Nie wybuchnął jednak

gniewem, nie podniósł głosu. Sam zebrał cienkie porcelanowe skorupki, stwierdzając z bólem, że są zbyt drobne, by dały się skleić. Tylko lokajowi, który zjawił się wezwany dzwonkiem, powiedział spokojnie: „Proszę zabrać księcia”.

Matka była zupełnie, ale to zupełnie inna. Dbała o wychowanie syna i o wyrobienie jego charakteru. Nie pochwalała pedagogicznych metod cesarza w postępowaniu z jedynakiem. A Lulu często bywał uparty i nieposłuszny, a nawet niegrzeczny, i zasługiwał na karę. Cesarz jednak na wszystko pozwalał, ufał szlachetności natury i wrodzonej prawości dziecka i nie zawiódł się.

Pierwszymi kolegami Lulu byli synowie doktora Conneau, generałów Fleury i Espinasse oraz synek wychowawczyni, pani Bizot.

Podobnie jak Ludwik Filip, który posłał synów do publicznej szkoły, by na przyszłość mieli kolegów i przyjaciół zarówno wśród mężów stanu, jak i wśród bogatych sklepikarzy, Napoleon III także pragnął i z tej strony zabezpieczyć jedynaka, zwłaszcza że Lulu nie chodził do publicznej szkoły, a uczył się w domu z kilkoma rówieśnikami, pod kierunkiem znakomitych profesorów.

Przyjaźń Lulu z Antoine'em — jak nazywano Antosia w Tuileriach — miała dość burzliwe początki — obaj chłopcy, jednakowo uparci, sięgali zawsze po te same zabawki i żaden nie chciał drugiemu ustąpić.

Za każdym jednak spotkaniem smutna twarz Lulu coraz bardziej pociągała Antosia, budząc w nim coraz większy podziw i sympatię.

Bo Lulu był smutny. Mimo zbytku, jaki go otaczał, mimo pałacu, mimo przyszłej korony wyraz jego bladej twarzyczki, tak pięknej, bo tak podobnej do twarzy matki, poruszał każdego. Cóż więc mówić o chłopcu w wieku Antosia? Dla niego „mały książę”

103

przeistaczał się powoli w jakiegoś baśniowego bohatera czy zaklętego królewicza.

Z biegiem czasu dla Lulu mali Conneau i generalotka odsunęli się na dalszy plan, a polski przyjaciel zajmował coraz bliższe miejsce.

Kłócili się też coraz rzadziej, za to coraz częściej odstępowali sobie wzajemnie ulubione zabawki, a potem — nie wiadomo właściwie, jak do tego doszło — zgadzali się prawie we wszystkim i było im ze sobą dobrze.

Anto spędzał w Tuileriach wolne od lekcji czwartkowe popołudnia. Cesarski powóz zabierał go ze Szkoły Polskiej na Batignolles i odwoził go

podwieczorku. Chłopcy uczyli się wówczas konnej jazdy — Lulu o wiele przewyższał Antosia w tej sztuce — bawili się, a przede wszystkim rozmawiali.

Letnie wakacje przerywały te czwartkowe spotkania, gdyż Dziaduś — tak samo jak odrzucił propozycję umieszczenia wnuka w paryskiej szkole na koszt cesarza — podziękował za zaproszenie na lato do Compiègne.

— Lepiej nie przyzwyczajać się do pałaców — powiedział wówczas chłopcu. — Twój dom jest i pozostanie bardzo skromny. A nawet jeśli Bóg pozwoli i wrócisz do Ojczyzny, możesz tam zastać zgliszcza. Pamiętaj, żeś Polak, a Polak, choć ubogi, nie będzie wieszał się u kłamki moźnych. Zadowolony jest tym, co ma, i to mu wystarczy.

Róża i Antoś te słowa Dziadusia zachowali wiernie w pamięci.

|

V

rozkazała Róża, obracając brata jak krawiec-

— Opuść ręce ki manekin.

Antoś, z godną podziwu cierpliwością, wykonywał polecenia siostry.

Warto przecież było trochę się pomęczyć, oczekujący go wieczór miał wynagrodzić wszelkie niewygody.

Róża podniosła się z kłęczek i odstąpiła kilka kroków, by z pewnej odle-

głości ocenić dzieło swoich rąk — nowe ubranko Antosia uszyła sama przy pomocy Zelii. Właściwie trudno byłoby nazwać je nowym, ten odświętny garniturek skrojono bowiem z aksamitnej mateczynnej sukni, którą Zelia przez te wszystkie lata pieczołowicie przechowywała w szafie. Stary aksamit połyskiwał w świetle lampy ciemnym granatem, podnosząc wytworność skromnego stroju szlachetnością barwy i gatunkiem tkaniny. Mela aż usta otworzyła z podziwienia, a i Zelia pokiwała głową z wyraźną aprobatą.

Tak, w tym stroju Antoś mógł się pokazać nawet w salonach cesarskiego pałacu.

Na Boże Narodzenie przybywali zazwyczaj do Tuileriiów wszyscy mali znajomi Lulu. Księżę i Antoś nie byli wówczas sami, przyjęcie — mimo serdeczności cesarskich gospodarzy — miało bardziej oficjalny charakter. Gdy Antoś i Róża przekroczyli monumentalną bramę, z westybulu dobiegał aż tutaj gwar dziecięcych głosów.

Trzy salony parteru, rzeźbiście oświetlone, zapełniali niecodzienni goście. Pani admirałowa Bruat, główna wychowawczyni cesarskiego

105  
księcia, wspomagana przez panie Bizot i de Brancion, utrzymywała z trudem jaką taką karność wśród młodego towarzystwa.

Róża pozostawiła Antosia pod ich opieką i wróciła do domu. Zawsze w tym dniu odprowadzał chłopca — jak i inne dzieci — ktoś z pałacowej służby.

Mela z wypiekami na twarzy wybiegła do przedpokoju na powitanie opiekunki.

— No i co? — nie spuszczała z Róży rozbłysłych ciekawością oczu. — Widziałaś małego księcia? Jak wygląda?

— Mały księżę wygląda pięknie. Ma też aksamitne ubranko i koszulę z. plisowanym kołnierzykiem i mankietami. Dostał chusteczki z monogramem mojej roboty. Podziękował mi. Cesarzowa Eugenia przyprowadziła go do mnie.

— Podziękował ci? Co powiedział?

— Powiedział: „Dziękuję pani, nigdy jeszcze nie miałem tak pięknie haftowanych chusteczek”.

— A co ty odpowiedziałś?

— „Bardzo mi było przyjemnie haftować monogram dla Waszej Cesarzowskiej Wysokości”.

— Tak powiedziałaś?

— Tak trzeba.

— Ja bym powiedziała do niego „Lulu”.

— Tak go nazywa Antoś i jego koledzy. Ale dla wszystkich innych jest on Cesarską Wysokością.

— Cesarską Wysokością — Mela wydęła usta. — Wcale mi się to nie podoba. Jestem pewna, że i on tego nie lubi.

— Może i nie lubi — przyznała Róża. — Ale musiał się przyzwyczaić. O tak, Lulu musiał przyzwyczaić się do wielu rzeczy, które wcale mu nie odpowiadały. Tego jednak świątecznego popołudnia w gronie rówieśników był ożywiony i czuł się szczęśliwy.

Wspaniała choinka obwieszona słodyczami, płonąca setką kolorowych świec, wywołała okrzyk zachwytu zgromadzonej dzieciarni. W ostatnim salonie ustawiono stoły do podwieczorku. Goście zasiadali swobodnie, gdzie kto chciał, oswoiwszy się już z powagą miejsca, jakże różniącego się od domowych kątów.

Na każdego oczekiwała filiżanka czekolady, od której ciemnego wnętrza pięknie odbijała śnieżna biel bitej śmietany. Na ogromnych

106

srebrnych paterach piętrzyły się ciasta, orzechy i owoce. Lokaje w galowej liberii z godnością obsługiwali małych biesiadników. Cesarz i cesarzowa Eugenia obchodzili salę, zachęcając najbardziej nieśmiałych do sięgania po upragnione łąkocie, uśmiechnięci, dumni z prezydującego u szczytu stołu syna.

Antoś siedział po prawej ręce małego gospodarza, obok jednego z synów doktora Conneau, starego przyjaciela Napoleona III.

— Wiesz co, Lulu — zwrócił się do księcia — przyglądam się wszystkiemu, bo będę musiał opowiedzieć Meli...

— Kiedy wreszcie Mela przyjdzie? — mały książę znał dobrze dziewczynkę z opowiadań przyjaciela. — Ciągłe obiecujesz...

— Poproszę Różę — odparł wymijająco Antoś, wiedząc z góry, że siostra nie pozwoli Meli pokazać się publicznie w obawie, by dziewczynka nie spotkała znajomych dzieci.

— Po co nam dziewczuchy? — wmieszał się do rozmowy młodszy Conneau. — To bekisy. Nie umieją się bawić.

Antoś nie miał przed Lulu tajemnic. Dzieje Meli były więc dobrze księciu znane. Lulu płonął ciekawością, za wszelką cenę pragnął poznać dziewczyn-

czynkę znaną na cmentarzu.

Róża zganiała brata za jego — jak się wyraziła — długi język. Ale Antoś był spokojny. Lulu nie zdradzi nikomu powierzonej mu tajemnicy. Zresztą czyż on, Antoś, nie znał wielu sekretów małego księcia? Przyjaciół obowiązuje wzajemna szczerość, inaczej cóż by to była za przyjaźń, gdyby należało liczyć się z każdym słowem?

Gdy nadeszła pora powrotu do domu, pani de Brancion podzieliła dzieci na grupy według ich adresów. Najmłodszych i najdalej mieszkających miały odwiedzić dworskie ekwipaże, resztę oddano pod opiekę kilku lokajom, polecając odprowadzić je do rodziców.

W taki to sposób Antoś, wraz z czterema chłopcami, znalazł się na ulicy obok wysokiego mężczyzny o śniadej twarzy i kruczoczarnej głowie, którego szkarłatna liberia błyskająca srebrem ogromnie onieśmiała tych, co nieczęsto mieli do czynienia z człowiekiem w tak imponującym stroju.

Dwaj chłopcy mieszkali najbliżej, bo na ulicy Rivoli, jeden przy placu Píramid, jeden tuż za rogiem ulicy Świętego Honoriusza. Wreszcie Antoś został sam z lokajem.

— Mieszkam naprzeciw kościoła — powiedział, gdy weszli  
107

w ulicę Świętego Rocha. — To już bardzo blisko i właściwie mógłbym sam...

— Polecono mi odprowadzić was do domu i oddać w ręce rodziców — zauważył z uśmiechem lokaj.

— Dziękuję panu. Znam tu co prawda każdy kamień, ale wieczorem dużo rażniej w towarzystwie.

— Doskonale. W takim razie idźmy dalej.

Wkrótce po prawej ręce zaczerśniała masywna bryła kościoła, wystrzelająca ponad sąsiednie domy. W dole połyskiwał blade jaśniejszy od murów kamień szerokich schodów portyku. Ulica, w tym miejscu nieco rozszerzona, ukazywała niewyraźne zarysy przeciwległej kamienicy.

— To tutaj — Antoś pchnął mocne dębowe drzwi.

Lokaj jak gdyby zawahał się, popatrzył na dom, zanim zdecydował się wejść.

Zagłębili się w wąską sień.

— Czy to panicz Antoine? — dozorczyńni odchyliła firankę, zafascynowana wysoką postacią w cesarskiej liberii.

— Tak, to ja. Dobry wieczór, pani Cordier. Właśnie wracam z Tuile-

riów.

— Widzę, widzę — skrzywiła w najbardziej miodowym uśmiechu wąskie wargi.

Gdy mijali drzwi pierwszego piętra, Antoś objaśnił, że tu mieszkali do śmierci ojca, dopiero potem przenieśli się wyżej. Otworzyła Zelia.

— Przyprowadziłem pani syna.

— To Zelia — pośpieszył z wyjaśnieniem Antoś, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo już Mela stała w drzwiach, zniecierpliwiona długą nieobecnością chłopca.

Zelia — pierwszy chyba raz w życiu — zapomniała się do tego stopnia, że ani nie przywitała gościa, ani nie poprosiła go do pokoju. Co prawda gość w liberyjnej kurtce nie wymagał aż takich ceremonii, a w ogóle człowiek w tym stroju po raz pierwszy przekroczył próg mieszkania sierot. Jednakże trzeba przyznać, że Zelia zachowała się wyjątkowo dziwnie. Po prostu stała i wpatrywała się w przybysza.

Tę niezręczną dla lokaja sytuację przerwała Róża.

— Co tu się dzieje? Czy to Antoś wrócił? — szła do przed-  
108

pokoju i nagle stanęła, zobaczywszy czerwony strój Miguela Torreno.

Lokaj także nie potrafił ukryć zdumienia.

— Dzień dobry pani — złożył ukłon, jakim przywitałby wielką damę bywającą w Tuileriach.

— Pan mnie odprowadził — Antoś podbiegł do siostry.

— Dziękuję panu — Róża zdążyła przez tę chwilę ochłonąć. — To mój brat — wskazała chłopca. — Proszę, może pan wejdzie.

— Przypuszczam, że moje miejsce jest tutaj — powiedział wahająco.

— Ależ nie — wmieszała się do rozmowy Zelia, która odzyskała już zwykłą dla niej równowagę. — Proszę wejść. Muszę zadać panu jedno pytanie.

Lokaj poprzedzany przez Różę i przez dzieci przestąpił próg jadalni. W kącie pokoju niewielka choinka zaznaczała świąteczny charakter owego dnia.

Wszystko to było zbyt nieoczekiwane i Róża nie wiedziała, czy wskazać gościowi Dziadusiowy fotel przy kominku, czy potraktować go w sposób,

do jakiego przywykł z racji swojego stanu.

Przybysz sam rozwiązał ten problem, nie posuwając się w głąb pokoju, lecz zostając przy drzwiach.

Mela dawała Antosiewi znaki, nie mogła już doczekać się relacji z przyjęcia.

— Czy możemy pójść do pokoju Dziadusia? — Antoś spojrzął na siostrę prosząco, po czym zwrócił się z podziękowaniem do lokaja.

— Idźcie — skinęła Róża z ulgą, chcąc jak najszybciej pozbyć się świadków swojego trudnego do wytłumaczenia zakłopotania.

Zelia, niestety, nie okazała najmniejszej chęci pozostawienia jej sam na sam z gościem.

— Chciałabym się dowiedzieć — była już jak zwykle rezolutna — czy ma pan sobowtóra?

— Sobowtóra? — powtórzył jak gdyby nie rozumiejąc pytania. Zelia nie spuszczała z niego oczu.

— Tak, sobowtóra — przytaknęła. — Widziałam kogoś, do kogo jest pan uderzająco podobny. Ale to nie był lokaj — dodała znacząco.

— Doprawdy?

109

|

— O tak.

— Zostaw, Zelio — Róża nie mogła dłużej pozwolić na taką indagację. — Każdemu z nas zdarza się czasem zobaczyć kogoś podobnego do innego człowieka.

— Nie chodzi o zwykłe podobieństwo. Chodzi o sobowtóra.

— Jeżeli mam tu jakiego sobowtóra — Miguel Toreno rozłożył ręce — to nic o nim nie wiem.

Zelia trzęsła głową, spoglądając to na Różę, to na lokaja, po czym widząc, że dziewczyna nie zamierza wdać się w dyskusję

0 sobowtórce, zrezygnowana mruknęła niewyraźne „przepraszam”

1 wyszła do kuchni.

Lokaj jak gdyby tylko na to czekał, oderwał się od drzwi, podszedł szybko do kominka, ujął szczypce i z wprawą zgarnął rozsypujące się głów-  
nie.

Kłęcząc przed ogniem i nie patrząc na dziewczynę powiedział:

— A więc to jest pani dom.



— Mój dom — potwierdziła z nagle obudzoną nieufnością.

— Pamiętam, kiedyś tu panią odprowadziłem. Wiele razy starałem się wyobrazić sobie pani mieszkanie.

— Niepodobne do Tuileriów, prawda? — ogarnęła ją niewytłumaczona irytacja.

Nadal klęczał przed paleniskiem, ze szczypcami w ręku, a pełgający nisko płomień rozpalał krwawe błyski w srebrnym galonie, pogłębiając groźny szkarłat liberii.

Szukała w myśli złych, raniących słów, jakie rzuciłaby w odpowiedzi na jego zuchwałą pewnie uwagę. Ale on milczał.

Z pokoju Dziadusia dolatywał podniecony głos Meli i śmiech Antosia. W kuchni Zelia głośno stukala garnkami. Ale w jadalni było zupełnie cicho, tylko chwilami trzaskały dopalające się polana.

Czarna głowa Miguela Toreno oświetlona ogniem kominka wydawała się tu na swoim miejscu, nisko pochylona, równie nisko, jak niska była kondycja tego człowieka.

— Czy pani też widziała mego sobowtóra? — nie odrywał oczu od ognia.

— Widziałam.

— Nie był lokajem, jak powiedziała służąca — westchnął.

— Nie był.

110

— O tak.

— Zostaw, Zelio — Róża nie mogła dłużej pozwolić na taką indagację. — Każdemu z nas zdarza się czasem zobaczyć kogoś podobnego do innego człowieka.

— Nie chodzi o zwykłe podobieństwo. Chodzi o sobowtóra.

— Jeżeli mam tu jakiego sobowtóra — Miguel Toreno rozłożył ręce — to nic o nim nie wiem.

Zelia trzęsła głową, spoglądając to na Różę, to na lokaja, po czym widząc, że dziewczyna nie zamierza wdać się w dyskusję

0 sobowtórce, zrezygnowana mruknęła niewyraźne „przepraszam”

1 wyszła do kuchni.

Lokaj jak gdyby tylko na to czekał, oderwał się od drzwi, podszedł szybko do kominka, ujął szczypce i z wprawą zgarnął rozsypujące się głów-  
nie.

Klęcząc przed ogniem i nie patrząc na dziewczynę powiedział:

- A więc to jest pani dom.
- Mój dom — potwierdziła z nagle obudzoną nieufnością.
- Pamiętam, kiedyś tu panią odprowadziłem. Wiele razy starałem się wyobrazić sobie pani mieszkanie.
- Niepodobne do Tuileriów, prawda? — ogarnęła ją niewytłumaczona irytacja.

Nadal klęczał przed paleniskiem, ze szczypcami w ręku, a pełgający nisko płomień rozpałał krwawe błyski w srebrnym galonie, pogłębiając groźny szkarłat liberii.

Szukała w myśli złych, raniących słów, jakie rzuciłaby w odpowiedzi na jego zuchwałą pewnie uwagę. Ale on milczał.

Z pokoju Dziadusia dolatywał podniecony głos Meli i śmiech Antosia. W kuchni Zelia głośno stukiała garnkami. Ale w jadalni było zupełnie cicho, tylko chwilami trzaskały dopalające się polana.

Czarna głowa Miguela Toreno oświetlona ogniem kominka wydawała się tu na swoim miejscu, nisko pochylona, równie nisko, jak niska była kondycja tego człowieka.

— Czy pani też widziała mego sobowtóra? — nie odrywał oczu: od ognia.

— Widziałam.

— Nie był lokajem, jak powiedziała służąca — westchnął.

— Nie był.

110

— Czy... żałowała pani, że to nie ja?

— Dlaczego miałabym żałować?

— Bo lokaj to bardzo pośledni gatunek człowieka.

Nie wiedziała, czy mówi poważnie, czy trochę z niej żartuje.

— Gdyby zamiast liberii nosił pan elegancki garnitur, jak ów pański sobowtór — powiedziała zaczepnie — czy sądzi pan, że zwracałby wówczas uwagę na hafciarkę?

— Gdyby tą hafciarką była pani...

— Nie wierzę — nie dała mu dokończyć. — Panowie ze służbą i ekwipażem mierzą o wiele wyżej.

— Po co właściwie ciągle przypominać o naszej skromnej pozycji? — uśmiechnął się. — Czy to takie ważne, co człowiek ma na sobie? Liberia, mundur, elegancki garnitur to wszystko ubranie, a więc tylko pozór. Bar-

dzo pani jeszcze młoda — dodał wyrozumiale.

Ogarnął ją gniew. Znowu pozwalał sobie na to niestosowne porównanie, przymierzał jak gdyby lokaja do hafciarki. Czyż ten człowiek nigdy nie zrozumie?

Zrozumiał, i to od razu. Odstawił szczypce i wstał.

— Ogromnie pani łaskawa — powiedział tonem dobrze wyćwiczonego lokaja. — Zachowałem się doprawdy niewłaściwie. Ale tak tu ślicznie — rozejrzał się po pokoju. — Tuileries w porównaniu z pani domem to bezduszny bazar, gdzie nagromadzono wiele bogactw, które nikogo nie cieszą. Tutaj — spojrzął na fotel przy kominku — chciałoby się żyć i być szczęśliwym — dokończył ciszej.

W pokoju Dziadusia dobrze się bawiono, świadczył o tym śmiech Meli i wesoły głos Antosia. W kuchni coraz głośniej stukały rondle, brzęczała patelnia. Zelia widać była bardzo niezadowolona. Tylko z kogo? Z siebie, z Róży czy z Miguela Toreno?

— To dobrze, że nie jest pani sama — podszedł do drzwi. — Ma pani rodzeństwo i tę oddaną służącą. To bardzo wiele. Raz jeszcze zechce pani wybaczyć — popatrzył na choinkę. Wyglądał, jak gdyby trudno mu było oderwać się od tego wnętrza.

Różę ogarniał coraz większy gniew. Irytował wesoły śmiech dzieci, zły humor Zeli.

A właśnie w tym momencie Zelia wkroczyła do pokoju.

— Podaję kolację — oznajmiła od progu. — Już późno —  
111

spojrzała z naganą na niefortunnego gościa. — A pana proszę do kuchni. Zje pan ze mną.

— Ależ, Zelio...

— Pani Zelio — Miguel Toreno przerwał jej w pół słowa, a czarne jego oczy błysnęły podejrzeniem, gniewem czy wesołością, Róża nie wiedziała. — Zbyt wielki to dla mnie zaszczyt.

— Jaki tam zaszczyt — mruknęła Zelia. — Jeżeli nie ma pan dziś służby...

— Jestem wolny — odpowiedział skwapliwie.

— W takim razie proszę za mną. Poczeka pan nieco. Najpierw muszę obsłużyć panienkę. — Słowo „panienka” powiedziała z naciśnięciem.

— Słuchaj, Zelio — zaczęła Róża niepewnie. — Czy nie uważasz...

Ale Zelia nawet jej nie słuchała. Potrząsnęła głową i dalej nakrywała do stołu. Jak zwykle na trzy osoby: dla Róży, dla Meli i dla Antosia.

Wszelkie zresztą perswazje nie miały żadnych widoków powodzenia.

Gdy Zelia podjęła decyzję, nic nie odwiódłoby jej od wykonania zamiaru.

A tym razem mina Zelii świadczyła, że zamiar ten był nieodwołalny.

Z Różą działo się coś dziwnego. Nie mogła znieść myśli o Miguelu Toreno jedzącym kolację w kuchni. Liberyjna kurtka predestynowała go do tego miejsca, to prawda, ale on sam jakoś do kuchni nie pasował. Może dlatego, że cesarska liberia kojarzyła się ze splendorem pałacowych sal, z wykwintem koronowanych mieszkańców Tuilerów.

Miguel Toreno uznał jednak to zaproszenie za rzecz zupełnie naturalną, więcej, za wielki fawor, bo posławszy Zelii porozumiewawczy uśmiech, wyszedł posłusznie do kuchni.

— Melu, Anto — zawołała Zelia. — Kolacja na stole.

Róża jadła milcząc, bez apetytu, głównie po to, aby Zelia nie gderiała.

Dzieciom za to nie zamykały się usta, aż trzeba było przywołać je do porządku.

Z kuchni nie dochodził żaden dźwięk, jak gdyby nie było tam nikogo obcego. Zelia z nieprzeniknionym wyrazem twarzy podsuwała półmisek z pieczenia, podawała salaterkę z jarzynami.

112

Kolacja była prawdziwie świąteczna, cóż kiedy Róży nic jakoś tego wieczoru nie smakowało.

Potem, gdy Zelia znikła w kuchni, zgaszono lampę i zapalono świece na choince. Antos i Mela usiedli na podłodze, oglądając otrzymane poprzedniego wieczoru podarunki.

Róża wyteęzała słuch. Z kuchni dobiegał szmer rozmowy, odróżniała wyraźnie niski głos Miguela Toreno i — o dziwo — śmiech Zelii. Słów jednak nie zdołała pochwycić. Trwało to długo, zbyt długo jak na skromną kolację. Zelia zapomniała widać o wieczornych obowiązkach, a lokaj nie spieszył się do domu.

Ułożywszy Melę i powiedziawszy Antosiowi dobranoc, wróciła do jadalni. Zelia krzątała się koło stołu, zbierając naczynia.

— Zmieniłam zdanie o Hiszpanach — powiedziała ujrawszy wchodzącą Różę. — To całkiem porządni ludzie.

— Gdzie on jest?

— Poszedł. Przecież już bardzo późno.

- O czym tak długo rozmawialiście?
- O wszystkim — Zelia wykonała ręką okrągły gest i spod oka popatrzyła na dziewczynę. — Ten człowiek zna swoje miejsce i nie pcha się tam, gdzie mu nie należy.
- Nie wiem, czy dobrze wyszło...
- Co takiego?
- Ta kolacja w kuchni.
- W kuchni? Ja zawsze jadam w kuchni i wcale nie narzekam.
- Ty, Zelio, dziwaczysz. Ale gość...
- Cóż to za gość? A zresztą dostał dobrą kolację. Myślisz, że w Tuileryach służba jada nadzwyczajne frykasy? To samo, co na cesarskim stole? A wiesz, że i cesarz nie bardzo zadowolony. Lokaj mówi, że słyszał, jak raz' powiedział: „Dlaczego nie mogę zjeść równie dobrego chleba, jak byle paryski mieszczuch? Mnie tu dają niejadalne wióry. A rosół... To jakaś lura. O, moi poddani jadają dużo lepiej ode mnie”.
- Wiem, że to tylko lokaj, ale zawsze...
- Więc czego się dręczysz? Napiwku mu przecież nie dałam.
- Zelio, jak możesz?
- A co myślisz? Taki sługus to tylko patrzy na ręce. A franka każdy chętnie schowa do kieszeni.
- Zelio, proszę cię.

8 — Talerz z Napoleonem

113

- Dobrze, dobrze, nie masz czego tak się irytować. W każdym razie wyjaśniłam mu, kim jesteś. Mam nadzieję, że zapamięta.
- Byłaś chyba grzeczna?
- Ja zawsze jestem grzeczna. A teraz idź spać, mam dużo zmywania. Mela dawno już zasnęła, a Róża długo siedziała na łóżku, nie mogąc jakoś uporać się z wrażeniami tego dnia. Boże Narodzenie! Choinka w tuileryjskim salonie, cesarzowa Eugenia i mały książę, tajemnicza jak zwykle twarz cesarza. I Miguel Toreno. „Tutaj chciałoby się żyć i być szczęśliwym” — szeptał niski głos, a ciemne oczy błyszczały jak gdyby obietnicą. Czego? Bała się odgadywać.
- Karnawał, jak co roku, zapowiadał szereg świetnych balów: w Tuileryach, na ratuszu, w operze, u księcia de Morny, u barona Haussmanna, u pani de La Pagerie, u księżny de Bassano. Tańczono właściwie wszędzie i śmiało można powiedzieć, że Drugie Cesarstwo tanecznym krokiem szło

przez historię Francji, w takt galopów pana Offenbacha, szumiąc sutą krynoliną, błyskając ogniem drogich kamieni.

Ludzi poważnych gorszyła płochość dworu. „Cesarz jest za dobry, za poślizliwy — mówiono — na wszystko żonie pozwala”. A cesarzowa Eugenia lubiła się bawić, lubiła błyszczeć jako ta najpiękniejsza wśród najpiękniejszych.

Bo też nigdy chyba dotąd żaden dwór nie zgromadził tyle urodziwych kobiet, jakie przewinęły się przez salony Tuileriów. W tej królewskiej oprawie uroda takich dam, jak hrabina Cas-tiglione czy księżna de Persigny, markiza Gallifet czy hrabina Wa-lewska, jaśniała właściwym blaskiem. Cóż stąd, że wielu mieszkańcom dalekich zaułków Paryża często brakowało chleba, że z nędzy i chorób umierały dzieci, że głód wypędzał młode dziewczęta na ulicę.

Cesarzowa Eugenia słynęła z dobroczynności, z powagą spełniała miłosierne uczynki. Widywano ją na poddaszu biedaka, zstępowała do najuboższych suterren. Zamiłowania jednak do zabaw i do zbytku nie dało się zabić widokiem ludzkiej nędzy. Śpiew skrzy-

114

piec głużył płacz nieszczęśliwych, a brokatowe kotary przesłaniały tragiczne obrazy.

Cesarzowa Eugenia wciąż była piękna, jubilerzy z ulicy de la Paix wystawiali coraz wspanialsze kolie i diademy; krawcy, szwaczki i bieliźniarki szyli olśniewające toalety, suknie, peniuary. Czyż można było oprzeć się pokusie okrywania posągowych ciągle kształtów aksamitem, taftą czy koronkami? Któż mógł wymagać poświęcenia od pięknej kobiety i zmuszać ją, by zamiast jedwabiu nosiła barchany? Byłoby to wręcz nieludzkie, a cesarz — jak wiadomo — miał miękkie serce.

Dopóki książę prezydent zamieszkiwał Pałac Elizejski, stara arystokracja raczyła łaskawie przyjmować zaproszenia na oficjalne przyjęcia, podczas których z protekcyjnalną miną poklepywała po ramieniu tak zwanych „parwienuszy”.

Ludwik Napoleon był przecież tylko pionkiem na politycznej szachownicy, „człowiekiem przejściowego okresu”, jak o nim mówiono, tym, co miał przygotować drogę do tronu dla najgodniejszej, bo jedynie prawowitej dynastii. Dla legitymistów byli to Burboni, dla orleanistów — księżęta z Orleańskiego domu.

Kukła, która w mniemaniu „błękitnej krwi” winna była wdzięczność za

wyświadczony jej zaszczyt, przejęła nagle inicjatywę w swoje ręce, ze zręcznością i odwagą, o jakie mieszkańcy starych pałaców z bulwaru Saint-Germain nigdy by jej nie posądzili.

Zamach stanu z drugiego grudnia całkowicie odmienił sytuację. Książę prezydvt. zostawszy Napoleonem III, ujrzał wokół siebie pustkę. Bywalcy prezydenckiego pałacu przemienili się w zaciekle wrogów cesarskich Tuileriów.

Cesarz musiał pogodzić się ze srogością utytułowanych przeciwników. — Ci ludzie — powiedział — nie mają pojęcia o polityce i właściwie do niczego nie byłiby mi potrzebni. Są, owszem, dekoracyjni i nadają się wyłącznie do noszenia orderów.

W rzeczywistości poniósł jednak pewnego rodzaju porażkę. Stara arystokracja dodałaby wiele blasku tronowej sali, a młode cesarstwo zyskałoby na prestiżu poza granicami Francji.

Niestety, trzeba było obyć się bez splendoru starych rodów z ich dumnie brzmiącymi nazwiskami, które ozdabiał tytuł książęcy i'ub przynajmniej hrabiowski.

115

Jednakże każdego władcę, jak wiadomo, musi otaczać dwór, tak więc i Napoleon III przyciągnął do Tuileriów wszystko, co Francja miała najznamienitszego, jeśli chodzi o zasługi czy talenty mężczyzn, o urodę i elegancję kobiet.

Niedługo trwał koronowany celibat cesarza. Miłość do panny de Montijo na tyle zmąciła mu rozum, że pchnęła go na ślubny kobierzec wówczas, gdy mógł ubiegać się o prawdziwie królewskie koligacje. Ale dwór cesarski wymagał pani.

Z początku życie tego dworu nie rozwijało się tak bujnie, jak to nastąpiło w dalszych latach. Wojna krymska i narodziny dziedzica, potem kampania włoska skierowały zainteresowania w patriotyczne i rodzinne rejony. Dopiero z biegiem lat życie dworskie nabrało właściwych rumieńców, skupiając dokoła cesarza i jego małżonki kosmopolityczne towarzystwo spragnione uciech i zabawy, mające na względzie intrygę czy zaspokojenie własnych ambicji.

Poniedziałki cesarzowej Eugenii gromadziły w różowym lub zielonym salonie najpiękniejsze damy owego świata, które pędzel Winterhaltera uwiecznił na słynnych płótnach. Tym pięknościom służyła za tło nie tylko zieleń parkowego krajobrazu, ale i czerń fraków lub błękit mundurów,

podnosząc wdzięk i urodę pierwszoplanowych postaci.

Cesarzowa Eugenia miała też swój dwór. Każdego dnia wyznaczano kilka dam dla towarzyszenia cesarzowej podczas audiencji, wizyt lub po prostu na spacerze. Wybierano się zazwyczaj na miasto, by zajrzeć zarówno do paru wytwornych magazynów, jak i na poddasze biedaków. Ta chwila swobody, tak konieczna dla dawnej panny de Montijo, pozwalała obecnej cesarzowej Eugenii nieść ciężar dworskiej reprezentacji.

Drugie Cesarstwo było bezsprzecznie królestwem kobiet. Czy to w Tuileries, czy na wilegiaturze w Compiègne lub w Fontainebleau, u wód w Vichy czy w morskich kąpielach w Biarritz, na przejażdżce w Lasku czy w łożu w operze, wszędzie cesarżową otaczały najbardziej urodziwe, słynące przymiotami ciała i umysłu kobiety. Dzięki obwodowi krynoliny zajmowały zawsze najwięcej miejsca w berżerze tuileryjskiego salonu, w powozie a la Daumont, na parkowej ławce czy po prostu na trawie, podobne wszędzie do wielkich kwiatów, które szeroko rozpościerały korony z kosztownych płatków.

116

A już bal był jedyną i najdoskonalszą okazją do olśniewania dla tych wszystkich, których celem życia było olśniewanie innych.

Echa tego nadzwyczajnego wydarzenia docierały także na drugie piętro bocznego skrzydła, do szwalni i do pracowni hafciarki.

Przygotowania do balu dawały się odczuć w całym pałacu, szczególnie zaś na pierwszym piętrze głównego trzonu, gdzie w najbardziej reprezentacyjnych salonach zwijano dywany, zdejmowano pokrowce z kanap i z foteli, a froterzy woskowali wzorzyste posadzki, nim staną na nich świetne pary.

Cały sztab służby zatrudniono przy tych porządkach. Odkurzano obrazy, portierey i zasłony, czyszczono klamki, miotełki z piór migwały w rękach lokai, przywracając blask i żywość barw wszystkim przedmiotom.

Jednego z takich właśnie dni przed balem Róża zajrzała z ciekawości do głównego westybulu, skąd paradne marmurowe schody dwoma ramionami obejmowały wsparty na kolumnach podest pierwszego piętra.

Wszystkich tam teraz ciągnęło, była to bowiem wielka okazja podziwiania cesarskich apartamentów w przeddzień ich największego splendoru. Co prawda kryształowym pająkom brakowało błysku setek świec, brakowało też strojnego tłumu gości, zamiast orkiestry słychać było rzucane służbie rozkazy. Czegóż jednak nie dopowie rozgorączkowana wyobraź-



nia? I bez tego było na co popatrzeć.

Pani Benoit zapomniała tym razem o strofowaniu i panny co rusz wymykały się ze szwalni, by choć rzucić okiem na te wszystkie cuda.

Panna Wirginia wstąpiła do pracowni hafciarki.

— Nie idzie pani zobaczyć? — zapytała od progu. — Wszystkie już tam były. Ja to za każdym razem... — dodała wyjaśniająco. — Chodźmy, do prawdy warto.

Róża wstała z ociąganiem.

— Mam tyle roboty — zaczęła.

Ale panna Wirginia nie dała dokończyć. Nie słuchała nawet, tak jej było pilno.

Podwórzem przeszły na główny dziedziniec. Szeroko otwarte drzwi westybulu zdawały się zapraszać, nawet tę skromną i nie-reprezentacyjną, byle jak odzianą, gromadkę nieśmiałych kobiet,

118

którym aż w oczach płonęło od tego, co spodziewały się podziwiać. Nikt zresztą nie zwracał na nie uwagi.

Paradnymi schodami, które nazajutrz będą deptać najzgrabniejsze stopy obute w atlasowe trzewiczki, godne chyba nóżki kopciuszka, weszły na piętro, skąd wysokie biało-złote dwuskrzydłowe drzwi wiodły do salonów.

Wszędzie panował wielki ruch.

Nie zatrzymywane zajrzały do pierwszej sali. Panna Wirginia bardziej obeznana z miejscem poszła śmiało naprzód. Róża, zakłopotana niezręczną dla niej sytuacją, bała się zostać sama wśród tylu obcych i chcąc nie chcąc podążyła za przedsiębiorczą dziewczyną.

Grzmiący głos generała Rollin, głównego intendenta Tuileriów, przykuł ją do miejsca.

Osobistość ta, której obawiał się kto żyw w pałacu, nadchodziła z głębi salonów w towarzystwie generała Lepie, adiutanta Napoleona III, a jednocześnie nadintendenta cesarskich rezydencji.

O ile za generałem Lepie przepadali wszyscy mieszkańcy Tuileriów, od cesarza po ostatniego kuchcika, o tyle generał Rollin był powszechnie nie lubiany. A miał przecież jedną niezawodną cechę: był ślepo, duszą i ciałem oddany cesarzowi. Ale to swoje przywiązanie objawiał w tak nie-

zręczny sposób, narażając się wszystkim, że cesarz, który dobrze go znał i wysoko cenił, nieraz przeżył przez niego niemiłą chwilę.

Generał Rollin nie znosił cesarzowej Eugenii, która nie pozostawała mu dłużna. Przykry charakter starego żołnierza dał się we znaki nawet małemu Lulu.

Pewnego dnia, gdy chłopiec bawił się z psem w prywatnym ogrodzie cesarza, nadszedł generał Rollin i ostrym tonem kazał mu iść bawić się gdzie indziej. Lulu ze łzami pobiegł na skargę do matki. Cesarzowa Eugenia, dbała o wyrobienie charakteru syna, przyznała rację generałowi. Wówczas Lulu rozżalony wykrzyknął: „Jesteś, mammo, niedobra, ta stara bestia mnie skrzywdziła”.

Za te słowa Lulu został ukarany i miał przeprosić generała.

Chłopiec w towarzystwie Miss Cholt zjawił się w jadalni, gdy domownicy siedzieli przy kolacji, i zbliżył się do generała.

119

— Panie generale — powiedział rezolutnie — bardzo pana przepraszam.

— Za co, Wasza Cesarska Wysokość? — zdziwił się generał, który zapomniał już o porannym incydencie.

— Za to, że powiedziałem mamie, że pan wypędził mnie z ogrodu i że jest pan starą bestią — wyrecytował posłusznie Lulu.

Generał Lepie, nie zatrzymując się, poszedł szybko do wyjścia, a budzący postrach generał Rollin zbliżał się z plikiem papierów w ręku. Mówił przy tym coś do drepczącego za nim małego jegomościa w czerni.

— Tak jest, panie generale — odpowiadał ów człowiek za każdym razem, gdy generał przestawał mówić.

Panna Wirginia wcale się nie przejęła nadejściem tak groźnej osoby.

Róża za to ledwie zdołała opanować chęć ucieczki.

Po chwili było już po strachu. Generał Rollin wymiął dziewczęta, nie okazując najmniejszego zainteresowania ich obecnością. Zatrzymał się przy drzwiach i, kładąc papiery na złoconym stoliku, powiedział wyraźnie:

— Zostawiam listę zaproszonych. Reszty pan dopilnuje.

I poszedł, a czarno ubrany jegomość pospieszył za nim schodami do westybulu.

Róża widziała przez okno, jak wyszli na dziedziniec.

Na złoconym gerydonie pozostał po nich plik papierów. Lista zaproszonych.

Ciekawość kazała jej podejść do stolika. Od panny Wirginii dzieliły ją dwa salony. W pobliżu nie było nikogo. Schyliła się i przeczytała pięknie wykaligrafowany napis: „Goście Ich Cesarskich Mości zaproszeni na bal do Tuileriów...”

Nazwiska wypisano w porządku alfabetycznym starannym okrągłym pismem. Listę otwierała pani d'Abrantes.

Róża dotknęła gładkich kart, przebiegając wzrokiem czerniejące na nich litery. Gdy odwróciła ostatnią stronicę, na samym końcu długiego spisu widniało: Pan Ryszard Żeran.

Krzyknęła i upuściła papiery, aż kartki rozsypały się po posadzce.

Z rumieńcem podniecenia schyliła się, czując szum w uszach  
120

i obezwładniające wzruszenie. Ryszard Żeran! A więc jest ktoś z rodziny zaginionego przyjaciela, żyje, mieszka tu, w Paryżu! Boże, Boże, dlaczego Dziadusi nie doczekał?

Panna Wirginia zaspokoiwszy ciekawość wracała z ostatniego salonu.

Różę za to przestał interesować teren jutrzejszego balu. Zajmowała ją jedna tylko myśl: jak zobaczyć Ryszarda Żerana? Musi przecież dowiedzieć się, czy jest krewnym Dziadusiowego przyjaciela.

— Wszystko obejrzałam — paplała panna Wirginia — te brokatowe obicia są wprost prześliczne. Zauważyła pani? A przybranie kominka? Wyobrażam sobie, jak bym się czuła mieszkając w takim pałacu!

Róża prawie nie słyszała jej gadaniny. Jakże właściwie miała widoki na spotkanie człowieka bądź co bądź górującego nad nią pozycją towarzyską i majątkiem? Jest to zapewne ktoś znaczny, jeśli zaproszono go na bal do Tuileriów.

Panna Wirginia nie przestawała unosić się nad przepychem cesarskich apartamentów, a temat ten wystarczył na całą powrotną drogę do boczno-skrzydła. Rozstały się wreszcie i Róża z ulgą znalazła się w swojej pracowni.

Co robić?

I nagle zdała sobie sprawę, że tylko jeden człowiek może jej pomóc, a tym człowiekiem jest Miguel Toreno.

Należało jak najspieszniej odszukać lokaja i zasięgnąć jego rady. W tym celu trzeba było raz jeszcze pofatygować się do głównego westybulu.

Gdy tam weszła, wiele osób kręciło się po ogromnej sieni. Ogrodnicy wnosili właśnie z oranżerii olbrzymie donice z pomarańczowymi krzewa-

mi i ustawiali je na stopniach monumentalnych schodów. Tym pachnącym szpalerem wejść nazajutrz zar proszeni.

Róża zrećnie wyminięła niosących ozdobne rośliny ogrodników i podeszła do starszego lokaja, który dyrygował całą operacją.

— Czy może mi pan wskazać, gdzie znajdę Miguela Toreno? Służący poznał widać hafciarkę, bo zamiast odpowiedzi zawołał do wchodzącego na schody lokaja:

— Hej, ty, niech tu przyjdzie Miguel Toreno. Dama na niego czeka.

121

Róża usunęła się z drogi ogrodnikom onieśmielona całym tym rozgardiaszem, czując się nie na miejscu wśród zaafowanej służby.

Po kwadransie odszukała owego starszego lokaja i poprosiła, by przekazał jej polecenie młodemu Hiszpanowi.

— Powtórzę mu — odrzekł z domyślnym uśmiechem służący. — Pani ze szwalni, prawda?

— Nie... Tak... moja pracownia jest obok... On będzie wiedział. Odetchnęła, gdy znalazła się znowu u siebie.

Ryszard Żeran — huczało w głowie. — Boże, Boże!

Niezdolna do jakiegokolwiek roboty siedziała z twarzą wtuloną w dłoń, rozdygotana, bliska płaczu.

Minęła godzina. Miguel Toreno nie dał znaku życia. Nadeszła pora obiadu i Róża z ociąganiem poszła do domu.

— Co się stało? — Zelia od razu poznała, że dziewczynę spotkało coś złego.

— Ryszard Żeran — wyjąkała Róża — jest na liście gości zaproszonych na jutrzejszy bal.

— To czegoś taka zmartwiona? Odnalazł się Żeran. Bardzo dobrze. Najwyższy już czas.

— Nie wiadomo, czy to ten, którego szukamy.

— Dowiemy się.

— Jak?

— Przez Hiszpana — ucięła Zelia. — Chodź teraz na obiad. A więc Zelia też pomyślała o Hiszpanie.

Wracając do pałacu Róża pokręciła się chwilę po dziedzińcu, podeszła nawet do głównego wejścia, ale hiszpańskiego lokaja nigdzie nie było.

Godziny popołudnia wlokły się niemiłosiernie. Wyczekiwany gość nie

przychodził.

Kilkakrotnie wstawała, podchodziła do okna, wyglądała na schody. W bocznym skrzydle panowała cisza, ze szwalni tylko dobiegały chwilami głosy dziewcząt rozprawiających o jutrzejszym balu.

Ledwie dosiedziała do szóstej, dłużej nie potrafiła znieść denerwującej niepewności.

Ubrała się i zeszła na dziedziniec.

Całe życie dworu skupiło się dziś wokół głównego trzonu pałacu.

122

Boczne skrzydła, z rzadka oświetlone, wydawały się opustoszałe, niemal wymarłe.

Róża straciła nadzieję. Zrezygnowana poszła w stronę bramy. Wszystko układało się fatalnie. Gorączkowo szukała w myśli osoby, która z braku Miguela Toreno przysłałaby jej z pomocą. Nie znajdowała jednak nikogo, komu bez obawy mogłaby wyznać dość śmiało w jej sytuacji życzenie. Pozostawała wprawdzie wszystkowiedząca pani Grabska, ale pani Grabska w ogóle nie wchodziła w rachubę. Pomyślała nawet o panu Hutorowiczu, ale pana Hutorowicza starość i ubóstwo odsunęły od wielkoświatowego życia.

Już w bramie zderzyła się nieledwie z powracającym z miasta lokajem. Przywitał ją ze zwykłym szacunkiem, a ona zwróciła ku niemu twarz, na której ze zdziwieniem wyczytał radość.

— Od rana pana szukam — powiedziała z wyrzutem. — Czy nikt panu nie przekazał?

— Od rana jestem na mieście — odpowiedział z uśmiechem, wyraźnie rad z takiego powitania. — W czym mogę być pani użyteczny?

— Mam prośbę — zawahała się, spoglądając na strażnika.

— Chodźmy na górę — zaproponował biorąc ją delikatnie pod ramię, natychmiast jednak uświadomił sobie nieestosowność tego gestu, bo pośpieszył przodem otwierając przed nią drzwi.

Długo zastanawiała się, co może, a czego nie powinna wyjawiać formułując niecodzienne życzenie. Obawiała się, by nie posądził jej o wulgarną ciekawość i ze zgrozą przytąpała się na stwierdzeniu, jak bardzo jej zależy na jego o niej opinii.

Miguel Toreno, jak dobrze ułożony lokaj, nie zaczął rozmowy. Czekał

w postawie, jaka przystoi służącemu.

— Panie Toreno — zaczęła z trudem dobierając słowa — to, co teraz powiem, może się panu wyda dziwne, ale chciałabym zobaczyć jutrzejszy bal.

— Chce pani zobaczyć bal? — powtórzył pytanie nie patrząc na nią.

— Widzi pan — czuła, że się rumieni — przypadkowo wpadła mi w ręce lista zaproszonych... Jest tam ktoś, kogo koniecznie muszę spotkać. Nie mam innego sposobu...

123

Podniósł na nią wzrok z wyraźną naganą, a ona zmieszała się jeszcze bardziej, jak gdyby słuszne i niewinne pragnienie w jego oczach okazywało się czymś zdrożnym i wstydliwym.

— Żałuję — powiedział po chwili. — Jutro nie mam służby. I właściwie nie widzę, jak mógłbym pani pomóc.

— Och, w takim razie proszę o wszystkim zapomnieć. To nic ważnego.

— Nic ważnego? — podchwycił marszcząc brwi. — Przecież przed chwilą powiedziała pani...

— Tak, tak — przerwała szybko — ale, jeżeli pana jutro tu nie będzie... Nie mogę zwracać się do nikogo innego.

— Czy... wstydzi się pani swojej ciekawości? — uśmiechnął się lekko.

— To nie ciekawość — odpowiedziała z żywością. — Sam bal nic mnie nie obchodzi, ale osoba, której poszukuję...

— To mężczyzna, prawda?

— Tak. Nosi nazwisko przyjaciela mego Dziadusia. Dziaduś poszukiwał go bezskutecznie. Może ten człowiek jest jego synem, wnukiem, nie wiem...

— Rozumiem. Niestety, jutro nie mam służby — powtórzył, a po chwili dodał, jak gdyby tknięty nagłą myślą: — Jeżeli powie pani, o kogo chodzi, postarałbym się dowiedzieć... Może adres tego pana...

— Ryszard Żeran — wyszeptala pełna obawy, czy dobrze czyni zdradzając tę jakby rodzinną tajemnicę.

— Zapamiętam to nazwisko — obiecał. — Zrobię, co będę mógł.

— Dziękuję — podniosła oczy. — Tak na pewno będzie najlepiej.

— Tak będzie najlepiej — przytaknęła. — Inaczej znalazłaby się pani w fałszywej sytuacji.

Miał naturalnie rację. Jakże była mu wdzięczna za delikatną uwagę, za zrozumienie, za wzięcie w obronę jej własnych interesów. Wymagało to z jej strony pewnej choćby szczerości.

— Jestem panu winna wyjaśnienie...

— Nie, nie — zaprzeczył gwałtownie. — Nic mi pani nie jest winna.

Czyż damie wypada tłumaczyć się przed lokajem? — dokończył z uśmiechem.

124

— To nie tłumaczenie — zachnęła się. — Nie chcę, by pan sądził mnie fałszywie. Nie mam nikogo i cała moja nadzieja w Dzia-dusiowym przyjacielu. Ja... bardzo potrzebuję pomocy.

— Jestem na pani rozkazy — przerwał. — Zanim odnajdzie się ów... pan Żeran, proszę mną dysponować.

— Bardzo to ładnie z pana strony, ale mnie potrzebny ktoś bliski.

— Przecież pani go nie zna?

— Nie znam i nawet nie wiem, czy to człowiek, którego poszukuję.

Może myli mnie zbieżność nazwiska? — zamilkła, po czym do-rzuciła prędko: — Pójdę już.

Zeszli na dziedziniec.

— Raz jeszcze dziękuję za pyszną kolację — uśmiechnął się szeroko. — Pani Zelia to nadzwyczajna kobieta.

— O tak, Zelia jest wspaniała. Dobranoc panu — pierwszy raz spojrzała w błyszczące oczy Hiszpana, po czym szybko zagłębiła się pod sklepienie bramy.

Wracała rozczarowana. Właściwie czego spodziewała się po lokaju? Że ukryje ją za jakąś firanką czy kotarą i w odpowiednim momencie wskaże: „Oto pan Żeran”, a potem przyprowadzi do niej owego pana, który naturalnie okaże się potomkiem Dziadusio-wego Zygmunta? A wszystko odbywałoby się przy dźwiękach balowej orkiestry, na oczach tłumu strojnych gości?

Chyba rozum straciła, jeśli uważała podobne rzeczy za możliwe.

Zelia oczywiście przyznała rację Hiszpanowi.

— Bardzo rozsądnie poradzi<sup>^</sup> — oświadczyła, gdy wieczorem zostały same w jadalni. — Dowie się o tym panu, co potrzeba, pozna jego adres, a wówczas my będziemy działać.

— I co zrobimy?

— Postaramy się z nim zobaczyć i zapytać, czy jest krewnym Zygmunta.

To wszystko.

— Nie zapominaj o talerzu.

— O talerzu... — Zelia z powątpiewaniem trzęsła głową.

— To bardzo ważne. Dziaduś przykazywał.

— Może i ważne — westchnęła Zelia niezbyt jednak przekonana.

— To będzie decydujące. Jak inaczej uwierzyłby, że jestem wnuczką Kazimierza Ordęgi?

125

Następnego dnia nikt chyba nie pracował w szwalni, a i hafciar-ka mało zrobiła ściegów. Pani Benoit dwa razy była wzywana do cesarzowej Eugenii — chodziło o drobne poprawki przy balowej toalecie. Za każdym razem towarzyszyła jej panna Wirginia, która z wypiekami na policzkach dzieliła się wrażeniami z mniej uprzywilejowaną resztą szwaczek.

Po południu Róża nie poszła do pałacu. Czuła się dziwnie rozbita i zdeenerwowana. Siedziała przy kominku, w Dziadusiowym fotelu, wyobrażając sobie, jak wszystko się odbędzie.

Ryszard Żeran wysiądzie z karety, w westybulu lokaje odbiorą od niego płaszcz i kapelusz, potem wejdzie schodami na pierwsze piętro, wśród krzewów mirtu i pomarańczy. W wysokich drzwiach sali marszałek dworu zaanonsuje: „Pan Żeran”. Wszystkie oczy skierują się na nowo przybyłego. Ten zbliży się do cesarskiej pary, gdzie zostanie przedstawiony lub — jeśli znają go — złoży ukłon przed cesarżową Eugenią, a cesarz wyciągnie do niego rękę. Tak się to zazwyczaj odbywało.

W tym miejscu wyobraźnia jakoś ją zawodziła. Bo jak ma wyglądać ów tajemniczy Ryszard Żeran? Czy to starszy pan z siwymi wąsami, a może jegomość w średnim wieku z lekko szpakowatą głową albo człowiek zupełnie młody, o jasnych włosach, jak większość Polaków, ze szczerą otwartą twarzą, w nienagannym fraku i z sygnetem na palcu?

— Nie dręcz się — upomniała Zelia, gdy podzieliła się z nią myślami.

— Wkrótce dowiesz się wszystkiego.

— Dlaczego Miguel Toreno nie ma dzisiaj służby? — spytała nagle.

— W takim dniu, kiedy wszyscy lokaje tracą głowy z nadmiaru obowiązków?

— Widocznie nie jest potrzebny — ucięła Zelia i poszła do kuchni.

Tej nocy Róża źle spała. Po wielokroć zadawała sobie pytanie, czego oczekuje od Ryszarda Żerana.



Odpowiedź zawsze była jednakowa: przede wszystkim uregulowania spraw Meli. To było najważniejsze. Nic dotąd nie zrobiła, a przecież należy dowiedzieć się, odszukać nieszczęśliwą matkę dziewczynki. No i stryj... Nie wahał się użyć siły, żeby odzyskać bratanicę. Róża przez swoją nieudolność nie ma prawa pozbawiać dziecka należnego mu dziedzictwa.

126

Po trzech nieudanych próbach wydawało się, że młody pan Na-rzymski zrezygnował. Czy jednak na długo?

— Przyczał się — zauważyła któregoś dnia Zelia. — Czeką na sposobną okazję,

— Tak myślisz? — przestraszyła się Róża.

Zelia bez słowa pokiwała głową, jej zacięte usta nie wróżyły powodzenia niecnym zamiarom.

A biedna pani Narzymska zamknięta w jakimś „domu zdrowia”? Pani Grabska wspomniała o podobnym zakładzie w Passy czy w Auteuil. Jak ją odszukać? Jak zmusić lekarzy, by otworzyli drzwi do normalnego życia kobiecie, którą szwagier skazał na wieczne może odosobnienie?

Jeżeli Ryszard Żeran okaże się tym, na którego czekał Dziaduś, złoży w jego ręce wszystkie te nie załatwione dotąd sprawy. Poprosi go o pomoc. Nie odmówi jej, jeśli jest tym od talerza. Jeżeli zaś nie...

Wstała z silnym bólem głowy.

— Nie pójdę do Tuileriów — oświadczyła przy śniadaniu. — Niech pani Benoit myśli, co chce. Nic mnie to nie obchodzi.

Takie ukrywanie się i unikanie rzeczywistości nie mogło trwać długo. Następnego dnia trzeba było podjąć zwykłe obowiązki.

Po balowej burzy życie dworskie wracało do pogodnej codzienności.

Jedynym urozmaiceniem stały się kaprysy zimy, która albo sypała śniegiem, albo dokuczała mrozem.

Dopiero po tygodniu Miguel Toreno zapukał do pracowni hafciarki.

Róża z trudem opanowała podniecenie, zmuszając się do ukrycia niepokojów i niecierpliwości.

— Zebrałem nieco informacji o wiadomej osobie — zaczął, a na pytający wzrok dziewczyny dodał: — służący pana Żerana jest Hiszpanem, pojmuje więc pani, między rodakami szybko dochodzi się do porozumienia.

— Czego się pan dowiedział?

— Przed wszystkim pan Żeran nie był na balu — spojrział na nią spod oka. — Wybierał się właśnie w dłuższą podróż, jak mówił służący, a nagle otrzymana wiadomość przyspieszyła wyjazd.

— Więc wyjechał...

— Wyjechał — przytaknął.

Spuściła głowę. Nie chciała, żeby zobaczył jej rozczarowanie, a może i łzy.

— Dowiedziałem się ponadto, że pan Żeran jest młody i dość zamożny. Niedawno przybył do Paryża. Mieszkał dłuższy czas w Hiszpanii i stamtąd przywiózł sobie służącego. Zaprosiłem mego rodaka do winiarni. Z początku wyrażał się zbyt lakonicznie o swoim chlebodawcy, po kilku jednak szklaneczkach stał się bardziej wylewny. Okazało się przy tym, że obaj pochodzimy z Segowii, ta okoliczność skutecznie rozwiązała mu język.

— Wspomniał może, jak długo pan Żeran zamierza podróżować?

— zmusiła się, by podnieść oczy na Hiszpana.

— Służący nie wie... Przypuszcza, że dość długo.

— Ach, Boże!

Miguel Toreno posunął się w głąb pokoju.

— Niech pani tymczasem skorzysta z moich usług — powiedział zachęcająco.

— Czy zna pan jakieś kliniki dla umysłowo chorych? — spytała nieoczekiwanie.

— Dla umysłowo chorych? — zdumiał się.

— Podobno są takie w Passy czy w Auteuil.

— Są, owszem. Najlepsza, to tak zwany „dom zdrowia” doktora Blanché'a. Ale po co to pani?

— Muszę kogoś odszukać.

— Znowu?

— Ach, niechże pan przestanie.

— Przepraszam. Dziwne są pani tajemnice. Nie wystarczy jeden pan Żeran, a już poszukuje pani jakiegoś wariata.

— To nie wariat, to kobieta. I może wcale nie jest tak chora, jak chciano by w nią wmówić.

— I do tego potrzebny jest pan Żeran?

— A któż inny mi pomoże? To moja wina. Byłam zbyt opieszala. Dawno już należało zająć się tym... Tylko nie wiem jak... Do kogo się zwró-

cić...

— Dlaczego nie chce mi pani zaufać? — spytał łagodnie.

— Cóż pan? To sprawy dla pana obce. Tylko pan Żeran...

— Do diabła z panem Żeraniem — wybuchnął zapominając o winnym damie szacunku. — Jeśli podoba mu się podróżować wówczas, gdy jest pani potrzebny, niech sobie jedzie z Bogiem. Chętnie go zastąpię.

— Co też pan...

— Nie wierzy pani? Z przyjemnością poznam się z wariatami, jeżeli takie pani życzenie. Czekam na rozkazy...

— Jest pan niegodziwy! — wykrzyknęła rozżalona. — Jak można obracać w żart tak poważne sprawy?

— Dotąd w nic mnie pani nie wtajemniczyła. Jedynie pan Żeran...

— Właśnie, pan Żeran... I tak zbyt już pana trudziłam — opamiętała się nagle. — Poczekam na powrót pana Żerana. Nie będzie chyba wечно podróżował. Za wszystko panu dziękuję.

Zrozumiał, że przekroczył dozwolone granice i że choć zaszczycono go jakim takim zaufaniem, nie ma jednak prawa do narzucania się z radą i pomocą, o które go nie proszą. Może najwyżej spełnić jedno czy dwa polecenia, nic więcej.

Mimo tych gorzkich doznań, coś, jak gdyby uśmiech, drżało na wargach Hiszpana, gdy opuszczał pracownię hafciarki.

Róża znowu została z przykrym uczuciem, że postąpiła nie tak, jak należało. Dlaczego nie potrafi raz na zawsze ułożyć swoich stosunków z lokajem na właściwej stopie? Za każdym razem albo dopuszcza do zbytnej poufałości, albo raniącą wyniosłością podkreśla jego niską kondycję.

Wiedziała, że go krzywdzi. Dziaduś chyba nie byłby z niej zadowolony. Powiedziałby pewnie, że to „nie po chrześcijańsku”, że wszyscy ludzie są braćmi, i miałby rację.

Po dłuższej dopiero chwili uświadomiła sobie, że zapomniała zapytać o adres pana Żerana. Zachodziła więc konieczność ponownej rozmowy z Hiszpanem, a pragnęła tego uniknąć. Nie może przecież wtajemniczać obcego w swoje sprawy. Co innego pan Żeran. To człowiek z jej świata, z nim każdy będzie się liczył, czy to lekarze w „domu zdrowia”, czy młody pan Narzymski. Z lokajem nikt nie zechce rozmawiać, a stryj Meli po prostu wyrzuci go za drzwi.

— Wiesz co, Zelio — poskarżyła się w domu. — Wszystko sprysięgło się przeciwko nam. Pan Żeran był tuż, a teraz znowu jest daleko. Wyjechał w podróż i nie wiadomo, kiedy wróci. I w dalszym ciągu nie mam adresu, o który nam tak chodziło.

— Ciągłe czymś się dręczysz — stwierdziła Zelia bez odrobiny

9 — Talerz z Napoleonem

129

współczucia. — Pora, byś się nauczyła cierpliwości. Wszystko przyjdzie we właściwym czasie. Żeran też się znajdzie.

— A tymczasem matka Meli...

— Czekałyśmy dotąd, poczekamy jeszcze trochę. A właściwie, dlaczego nie chcesz poprosić o pomoc Hiszpana?

— Doprawdy, Zelio, nie rozumiem...

— Myślę, że wywiązałyby się z zadania równie dobrze, jak ów nieuchwytny Żeran — prychnęła Zelia i aby położyć kres niepotrzebnej w jej mniemaniu rozmowie, wyszła do kuchni.

Róża została z nową porcją obaw i niepewności, ale z tym — niestety — musiała już uporać się sama.

•

,

|

VI

— Panno Rózo! Panno Rózo! — głos pani Carette był zdyszany i lekko drżał.

Róża obejrzała się, a widząc nadchodzącą, pospieszyła jej na spotkanie.

— Właśnie szłam do pani — pani Carette oddychała szybko. — Chciałam panią zaprosić na wieczór. Dziś poniedziałek — dodała wyjaśniająco — cesarzowa Eugenia ma gości i ja jestem wolna. Przyjdzie pani? Prosto ze szwalni, dobrze? Zrobi mi pani prawdziwą przyjemność.

Róża rada była z zaproszenia. Co prawda Zelia niezbyt lubiła, gdy dziewczyna wracała nieco później. Zawsze była o nią niespokojna.

— Wieczorem włóczą się po mieście podejrzane figury — mówiła. — Porządni ludzie o tej porze siedzą w domu.

— Nie zabawię długo — zapewniła Róża, gdy wychodziła po obiedzie. — Lubię panią Carette, jest dla mnie taka życzliwa i nie zapominaj, że to dzięki niej dostałam pracę w Tuileryach.

— Obeszłoby się bez protekcji, i tak poznano by się na tobie — mruknęła Zelia, ryglując za wychodzącą drzwi.

Popołudnie zbiegło nad stosem bielizny pościelowej. Pracowały nad nią wszystkie panny ze szwalni. Pani Benoit własnoręcznie skrajała najcieńsze holenderskie płótno. Na powłóczkach, na których spoczną Najjaśniejsze Głowy, wśród falban, riusz i koronek, pyszniła się białym wypukłym haftem cesarska korona. Taki sam haft zdobił nocne kaftaniki cesarzowej Eugenii.

Róża była zadowolona ze swego dzieła. Poskładała równiutko gotowe sztuki w szufladzie starej komody, po czym przed lustrem poprawiła włosy.

131

Pani Carette zajmowała dwa małe pokoiki w bocznym skrzydle pałacu, po drugiej stronie głównego trzonu, z widokiem na rzekę. Miała poza tym w mieście swoje prywatne mieszkanie, ale tu była, jak to się mówi, „pod ręką”, a i jej samej bliskość ta ułatwiała wykonywanie codziennych obowiązków.

Tego wieczoru pani Carette humor nie dopisywał i Róża od razu odgadła, że coś ją dręczy.

Rozmawiały o tym i o owym i dopiero gdy po kolacji pani domu podała herbatę, Róża poznała przyczynę zmartwienia.

— Ulżyło mi, jak się przed panią wyżaliłam, kochana panno Rózo — pani Carette westchnęła i przysunęła gościowi anizowe ciasteczka. — Nie mam prawa winić cesarzowej, zawsze okazywała mi wielkie względy. Dużo jej zawdzięczam, ale teraz, przyznaję...

— Droga pani — Róża sięgnęła po ciasteczko — jestem pewna, że cesa-

rzowa Eugenia wysoko panią ceni. A to, że pani Lebreton...

— Pani Lebreton to bardzo dystyngowana osoba, przy tym siostra generała Bourbaki. No i jest protegowaną pani Pepy... Cóż, cesarzowa nie <sup>^</sup>mie odmówić. Pani rozumie...

O tak, Róża rozumiała doskonale. Protekcja pani Pepy otwierała wszystkie drzwi. Nawet takie, nad którymi rozkładał skrzydła cesarski orzeł. Pani Carette należało naturalnie okazać współczucie i wylać nieco pociechy na jej zbolące serce. Zaangażowanie przez cesarzową Eugenię drugiej lektorki mogło oznaczać tylko jedno: usługi pani Carette przestały wystarczać i zadowalać koronowaną chlebo-dawczynię. Przypuszczalnie zdecydował o tym ostry głos pani Pepy, która w potwornej francuszczyźnie wydawała zazwyczaj nader osobiste i arbitralne sądy.

— Odczuje pani ulgę — powiedziała Róża po chwili. — Praca lektorki jest męcząca.

— Wydawało mi się, że darzy mnie przyjaźnią — pani Carette dalej snuła swoje żale. — A tu taki despekt!

— Żaden despekt — pospieszyła z pociechą Róża. — Po prostu chce pani ulżyć.

— O nie, chce dogodzić Pepie. To jasne. A ja myślałam, że mnie lubi. Nieraz rozmawialiśmy... sądziłam, że jestem jej potrzebna nie tylko jako lektorka, że zawiązała się między nami pewna zażyłość. Ja... wiele bym dla niej zrobiła. Chyba ją kochałam...

— Doprawdy, nie powinna pani tak brać tego do serca. Cesarzowa Eugenia z pewnością nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo pani to odczuła.

Pani Carette trzęsła z powątpiewaniem głową.

— Dużo dla mnie zrobiła, to prawda. Obsypywała mnie prezentami. Winnam jej wdzięczność. Nigdy nie powiem na nią złego słowa, tylko przed panią... Nie chciałabym wtajemniczać moich krewnych. Nie mam własnych funduszków, mogliby się obawiać...

Róża z ciężkim sercem opuszczała mieszkanko pani Carette w Tuileriach. Żal jej było niemłodej już lektorki, żal cesarzowej Eugenii, która przez własną słabość krzywdziła tak jej oddaną osobę.

Gdy znalazła się na głównym dziedzińcu, porywisty podmuch wichru z taką siłą uderzył ją w twarz, że musiała odwrócić się i przystanąć. Była akurat przy bocznym wejściu do pałacu. Wiedziała, że te drzwi prowadzą do prywatnych apartamentów cesarza i nikt inny ich nie używa. Gdy je mijiała, drzwi otworzyły się i choć na dworze było ciemno, w oświetlo-

nym wnętrzu wyraźnie ujrzała Napoleona Trzeciego. Cesarz osobiście wypuszczał gościa.

— Raz jeszcze panu dziękuję — posłyszała.

Gość odpowiedział coś stłumionym głosem i szybko się oddalił. Nie zdążyła zauważyć jego twarzy, zresztą było ciemno, ale postać i chód wydały się jej znajome.

Gdy wyszła na ulicę, sprzed bramy ruszał powóz, a wiatr dął z taką mocą, że aby nie upaść, chwyciła się muru.

Miguela Toreno zobaczyła dopiero po kilku dniach, ale nie mogła zamienić z nim ani słowa, gdyż nie był sam.

Spotkała go na schodach, gdy szła już do domu, a on właśnie wchodził w towarzystwie pani Pepy, intendenci cesarzowej Eugenii.

Lokaj uklonił się, pani Pepa skrzywiła wąskie wargi. Rozmawia-

133

li z ożywieniem, naturalnie po hiszpańsku, a pani Pepa wyraźnie była zachwycona towarzystwem.

Róża szybko zbiegła na dół i jeszcze na dziedzińcu słyszała skrzekliwy śmiech starej Hiszpanki.

Pani Pepa była obok generała Rollina drugim postrachem Tuileriów, i jeżeli cesarzowa Eugenia trzęsła dworem, pani Pepa trzęsła cesarzową Eugenią.

Może się to wydać dziwne, że kobieta tak samodzielna, a nawet samowolna, jak dawna panna de Montijo, wyniesiona na pierwszy tron w Europie, od której uśmiechu czy zmarszczenia brwi zależał humor dworu, była posłuszną niewolnicą, nieledwie igraszką w rękach prostej chłopki, zwykłej sługi, oddanej i wiernej na swój sposób, lecz chciwej, samolubnej i po hiszpańsku okrutnej.

Pepa była jedną ze służących hrabiny de Montijo, matki przyszłej cesarzowej. Brzydka, chuda, drobna, czarnowłosa, o ciemnej cerze i świdrujących oczach miała oschłe serce i nie lada jaki sprvt.

Na początku swojej „kariery”, jak każda służąca, w skromnym czepku i w fartuchu chodziła z koszykiem na targ, jadała w kuchni i nic nie zapowiadało jej przyszłego wyniesienia.

Widząc urodę panienki nie wątpiła, że królewicz z bajki nie da na siebie długo czekać. Podsycala też te nadzieje i w ten sposób zrodziła się pewnego rodzaju zażyłość między panną de Montijo a Pepą.

Gdy spełniły się przepowiednie sługi, panienka, przestąpiwszy progi Tu-

ileriów, zapagnęła mieć Pepę przy sobie. I tak Pepa awansowała na pierwszą pokojową Jej Cesarskiej Mości.

Wkrótce dała się wszystkim poznać z jak najgorszej strony, jedynie cesarzowa Eugenia była ślepa na jej przywary. Nie powzięła żadnej decyzji nie naradziwszy się wprzód z Pepą, a gdy cesarz — widząc fatalny wpływ sługi na panią — zapagnął pozbyć się jej z pałacu, burza, jaka wówczas wybuchła, godna była o wiele poważniejszej przyczyny.

Pepa dobrze dbała o swoje interesy. Skąpa dla drugich, gromadziła, ile się dało. Ta subretka, pasująca raczej na szarą eminencję pałacowych kulis, zebrała na swojej drodze jedynie nienawiść, lęk i pogardę. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że skutecznie oddaliła od swojej pani wszelką ludzką przychylność i sympatię, że

134

zabiła w zarodku przywiązanie i miłość, jakie dawna panna de Montijo potrafiłaby wzbudzić do swojej osoby. Ona sprawiła, że cesarzowa Eugenia przeszła przez życie otoczona tłumem dworzan i wielbicieli, a mimo to samotna, bez jednej prawdziwie oddanej istoty, zachowując zimne serce, które Pepa chroniła nawet przed zbyt gorącymi — w jej mniemaniu — objawami zwykłej matczynej czułości.

O tak, bo wszelkie tklive uczucia obce były Pepie, gardziła nimi, jako niegodną słabością.

Wkrótce pierwsza pokojowa, coraz pewniejsza siebie, zapagnęła wyższego urzędu na dworze i cesarzowa Eugenia, nie potrafiąca niczego odmówić ulubienicy, podniosła jej funkcje do rangi intendentki. Odtąd więc Pepa objęła zarząd nad osobistą dotacją cesarzowej i choć niepiśmienna doskonale wywiązywała się ze swej roli: umiała liczyć, potrafiła także wyciągnąć dla siebie nie lada korzyści.

Wielkie musiały być zalety nowej intendentki, bo mimo że brzydka i niemłoda, znalazła sobie męża jak się patrzy. Romans ten wzbudził zdumienie wśród mieszkańców Tuileriów, którzy daremnie zadawali sobie pytanie, jak ta godna para doszła do porozumienia. Ale to już pozostało na wieczne czasy tajemnicą.

Wybraniec był podoficerem gwardii i nazywał się Pollet, a na formalne życzenie cesarzowej Eugenii awansowano go do rangi podporucznika.

Od dnia ślubu zaszczyty i awanse spadały na szczęśliwego małżonka Pepy niczym wiosenna ulewa. Nie wystarczyły mu już podporucznikowskie epolety, mierzył teraz dużo wyżej. Żaden więc oficer we francuskiej



armii nie awansował tak szybko i tak skutecznie, jak pan Pollet, który w krótkim czasie przeskoczył wszystkie szczeble wojskowej drabiny i doczekał się upragnionej nominacji na pułkownika wołyżerów gwardii. Wówczas to pani pułkownikowa Pollet pokazała, co potrafi. Próżno cesarzowa Eugenia, mówiąc o niej, dodawała: „Moja biedna Pepa”. Wzruszono po kryjomu ramionami na takie bezsensowne gadanie, zżymając się na bezczelność starej Hiszpanki, przechodzącą już wszelkie dozwolone granice.

Pewnego dnia Pepa zapragnęła wziąć udział w balu, który miał się wkrótce odbyć w Tuileriach. Cesarzowa Eugenia, wbrew zdro-

135

wemu rozsądkowi, jak zwykle pospieszyła spełnić to życzenie. Na kilka więc dni przed baleem zaczęła młodego pana de Caux:

— Oczekuję od pana przysługi, drogi przyjacielu — powiedziała z uśmiechem. — Moja biedna Pepa będzie na balu i proszę, by pan służył jej ramieniem i wprowadził ją na salony.

Pan de Caux nie wierzył własnym uszom i cesarzowa musiała powtórzyć swoje życzenie. Młody człowiek odmówił, czym naraził się na długo-trwałe dąsy i gniew Jej Cesarskiej Mości.

Ponieważ nie znalazł się żaden „kawaler” dla Pepy, intendentka zjawiła się na balu wsparta na ramieniu generała Rollin.

Cała ta sprawa wywołała swego rodzaju skandal na dworze i w dyplomatycznym świecie, a gdy cesarz poskarżył się pewnego dnia przed generałem Lepie na zuchwałość bezczelnej sługi, stary przyjaciel odpowiedział szczerze:

— Sire, w czasach gdy królowie poślubiają pasterki, nie powinni dziwić się sabotom, jeśli się na nie natkną w swoim domu.

Cesarz szarpnął wąsa, ale nie obraził się na wiernego druha. W duchu przyznał mu rację.

Osoby znające cesarzową Eugenię nie mogły się nadziwić jej zaślepieniu.

— Jak można rzucać takie kalumnie na moją biedną Pepę! — to była zwykła śpiewka dawnej panny de Montijo w razie, nie daj Boże, jakiej skargi. — Jeśli chce pan, żebyśmy pozostali przyjaciółmi — dodawała zazwyczaj ze smutnym uśmiechem — proszę nigdy nic złego na nią nie mówić.

Któż mógł się oprzeć takim nakazom, któż pragnął własnowolnie pozbawić się łaskawej przychylności?

A tymczasem, jako strażniczka szkatuły, „biedna Pepa” dobrze dała się we znaki dostawcom oraz tym wszystkim, których łączyły z cesarżową Eugenią finansowe interesy.

Przez jej to ręce szły zamówienia dla krawców, szewców i modystek, a do każdego wyciągała chciwe palce po „prezenty”, wyznaczając pewną sumę, jaka za tytuł „dostawcy Jej Cesarskiej Mości” należała się intendencie.

Artystów Pepa traktowała niczym najpodlejszy gatunek służby, targując się z nimi w paskudnej francuszczyźnie, rada upokorzyć tych, którzy w jej mniemaniu za bardzo zadzierali nosa.

Wiele świetnych nazwisk figurowało w rachunkowej księdze 136

starej Hiszpanki, przy tym nie obchodził jej ani ich talent, ani sztuka — dla niej byli to wyłącznie „ludzie przychodzący po pieniądze”, a więc coś w rodzaju żebraków. W stosunkach z nimi nie potrzebowała silić się na uprzejmość i chętnie dawała odczuć „pacykarzom” swoją władzę. W tych warunkach wiele znakomitości wołało zrezygnować z cesarskich zamówień.

„Biedna Pepa” ma nie lada spryt, a pieniądze potrafiłaby chyba wydusić z najtwardszej skały.

To ona miała pieczę nad garderobą swojej pani i także z tego tytułu ciągnęła niezłe zyski. Wszystko to, czego nie nosiła już cesarżowa Eugenia — z wyjątkiem cennych futer i biżuterii — stawało się łupem Pepy, która miała prawo dysponować tą olbrzymią masą sukien, okryć i toalet. Były to rzeczy piękne, pochodzące z naj wytworniej szych magazynów, w doskonałym stanie, które jeszcze długo nadawały się do noszenia.

Pepa wpadła więc na pomysł, by te stosy garderoby służyły innym klientom, może nie z tak wielkiego świata, dostatecznie jednak wykwinnym, a co najważniejsze — nie za bardzo liczącym się z groszem.

W położonym na najwyższym piętrze pawilonu Flory apartamencie intendenci odbywała się więc regularnie swego rodzaju giełda, a raczej wyprzedaj strojów, na której spotykały się damy z największego świata z damami z półświatka, jednym słowem wszystkie kobiety spragnione pięknych toalet za względnie niską cenę.

Przedstawicielki starej arystokracji, która pogardziła splendorem cesarstwa, także bywały u pani Pollet. Zjawiały się zazwyczaj wieczorem, z gęstą woalką na twarzy, kryjącą ironiczny uśmiech. Im również dogadza-

ło nabyć za sześćset franków to, za co „par-weniuszka” zapłaciła cztery tysiące, a przy okazji mogły sobie pozwolić na pogardliwe uwagi o „dwo-  
rze uzurpatora”.

Nagła śmierć pułkownika Pollet, stając się katastrofą dla Pepy, przed ro-  
dziną zmarłego otworzyła olśniewające perspektywy.

Byli to normandzcy chłopci, skąpi i zaborczy, którzy od dawna ostrzyli  
zęby na schedę po znakomitym krewniaku.

Pepa wpadła w istną furię, aż cesarzowa Eugenia musiała użyć swoich  
wpływów, by nie dać jej oskubać chciwym spadkobiercom męża. Obar-  
czyła tą sprawą notariusza, pana Mocąuart, który, owszem, uratował  
Pepę od ruiny, ale gdy po raz setny

137

usłyszał, jak cesarzowa Eugenia użala się nad losem swojej in-tendentki,  
mówiąc o niej jak zwykle „moja biedna Pepa”, nie wytrzymał i zauważył  
cierpko:

— Nie taka znowu biedna, Madame. Pani Pollet ma w Banku Francuskim  
prawie dwa miliony, nie licząc zdeponowanej tam biżuterii, której war-  
tość sięga ośmiuset tysięcy franków.

Miguel Toreno ciągle był niewidzialny, a tymczasem Róża ułożyła cały  
plan działania. Postanowiła udać się do mieszkania pana Żerana i u służą-  
cego zostawić list. Z pewnością dostarczano podróżującemu pocztę, która  
przychodziła pod jego paryskim adresem, a lokaj musiał otrzymać odpo-  
wiednie instrukcje.

Zelia uznała ten pomysł za dobry i ofiarowała się być posłańcem.

— Cóż stąd — narzekała Róża — kiedy Hiszpan nieuchwytny! Nadszedł  
jednak dzień, kiedy Hiszpan się odnalazł. Może nie  
zbliżyłby się do Róży, gdyby dziewczyna nie zachęciła go spojrzeniem.  
Spotkali się na ulicy Rivoli, gdy Róża spieszyła na obiad.

— Zapomniał pan dać mi adres pana Żerana — powiedziała z wy-  
rzutem.

— Pan Żeran jeszcze nie wrócił — odparł śmiało.

— To nic. Chcę zostawić u niego list. Służący z pewnością  
prześle mu pocztę.

— Dobra myśl — pochwalił. — Proszę przygotować pismo, a ja  
doręcę.

— Po cóż ma się pan fatygować? Wystarczy adres.

— Nie, nie — zaprotestował. — Sam to załatwię. Ten służący...

- Och, Zelia zanieś list.
- Powiadam pani, że ten służący to Hiszpan.
- Tym lepiej. Po pańskiej wizycie Zelia zmieniła zdanie o Hiszpanach. Teraz nie ma wprost dla nich słów pochwały.
- Bardzo mi to pochlebia — skłonił się, a jego uśmiech wprowadził Różę w zakłopotanie. — Wolałbym jednak, gdyby pani mnie wręczyła ten list.
- Słowo „mnie” powiedział z naciskiem.
- Jak pan chce — odparła niepewnie, niezadowolona z takiego obrotu rozmowy.

138

Nazajutrz przyszedł po list.

Róża napisała krótko. Wyjaśniła, kim jest, pytała, czy pana Ryszarda Żerana łączy pokrewieństwo z Zygmuntem. Prosiła też o wiadomości o Dziadusiowym przyjacielu. O talerzu chwilowo nie wspominała.

Na odpowiedź trzeba było poczekać, gdyż adresat podróżował.

Upragniony list nadszedł dopiero w przeddzień imienin Dziadusia. Róża poczytała to za dobry znak.

Gdy Miguel Toreno zjawił się w pracowni, wiedziała od razu, z czym przychodzi. Obawiała się podnieść na niego wzrok, by nie odgadł, jak bardzo jej zależało na tej wiadomości.

— Służący pana Żerana dostał list — Hiszpan zbliżył się do pochylonej nad tamborkiem dziewczyny i położył pismo na stoliku.

Nie miała nawet siły podziękować. Skinęła tylko głową, a on — rozumiejąc widać jej wzruszenie — dyskretnie wyszedł z pracowni.

Odpowiedź pana Żerana była równie krótka jak jej list. Autor przyznawał się do pokrewieństwa z Zygmuntem, nie precyzując jednak bliżej związku krwi, jaki łączył go z Dziadusiowym przyjacielem. O Zygmuncie napisał tylko, że nie żyje. Po powrocie do Paryża obiecywał stawić się na ulicy Świętego Rocha, by osobiście zapewnić adresatkę o swoim szacunku i o radości, jaką sprawił mu jej list. O dacie jednak powrotu nie wspominał. Przepraszał, że nie pisze pod jej adresem — nadarzyła mu się niespodziewana okazja przesłania listów do Paryża. Oddawca miał odnieść je wszystkie do jego mieszkania.

Róża odczytała list trzy razy, po czym złożyła papier i wstała. Nie potrafi dziś skupić uwagi na hafcie. Musi iść do domu i wywnętrzyć się przed Zelią z różnorodności wrażeń.

Pan Żeran zdecydowanie ją rozczarował.

— A cóż ty myślałaś? — ofuknęła ją Zelia, gdy wzburzona podzieliła się z nią zawodem. — On też jest ostrożny. Bada teren. Podobnie jak ty. Przypomnij sobie, co do niego napisałaś. — A po chwili dodała wzdychając: — Widać nie obejdzie się bez talerza.

— Mówiłam ci przecież. Talerz jest najważniejszy. Zelia trzęsła głową z powątpiewaniem.

— Gdy zobaczy talerz Dziadusia...

140

— I pokaże nam swój — przerwała porywczo Zelia. — My też chcemy mieć pewność.

Chwilowo list pana Żerana niczego nie wyjaśniał. Ryszard Żeran mógł być jednym z krewnych Zygmunta, wcale nie tym, którego oczekiwała, i może nie słyszał nawet o talerzu.

Miguel Toreno spodziewał się widać jakichś z jej strony wynurzeń. Spokątała go kilkakrotnie i za każdym razem wydawało jej się, że pilnie ją obsersuje. Był jak zwykle uprzejmy i uważający, to prawda, i nigdy nie pozwolił sobie na taką niedelikatność, jak zapytanie wręcz, czy pan Żeran okazał się poszukiwanym przez nią przyjacielem. Była mu za to wdzięczna. W ogóle niczego nie mogła mu zarzucić, a to, że się jej przyglądał, było przypuszczalnie grą jej wyczulonej wyobraźni.

Należało cierpliwie czekać na powrót podróżnika i na zapowiedzianą wizytę. Ona dopiero położy kres domysłom i niepewności.

— Nawet jeśli nie jest tym od talerza — powiedziała raz Zelia, jak gdyby przenikając jej myśli — może będzie na tyle przyzwoity, że zajmie się sprawami Meli.

— O tak — podchwyciła skwapliwie Róża. — Jeśli jest krewnym Zygmunta, z pewnością nie odmówi.

Więcej o tym nie mówiły, ale Róża nie przestawała myśleć o przebywającym gdzieś na dalekim świecie rodaku. Godziny spędzane nad tamborkiem nie dłużyły się teraz jak dawniej. Wypełniały je przewidywania i nadzieje, dzięki nim nie odczuwała już tak boleśnie sierocej bezradności. Tak się szczęśliwie złożyło, że pierwsza komunia Lulu i Antosia wypadła ósmego maja, w dzień świętego Stanisława, patrona Polski. W tym zbiegu okoliczności Róża upatrywała nieledwie Dziadusio-wej interwencji zza grobu.

Uroczystość odbyła się w kaplicy tuileryjskiego pałacu, a chłopców przy-

gotowywał do niej przez ostatni rok ksiądz Deguerry, proboszcz Świętej Magdaleny, niegdyś oficer, który zrzucił mundur, by przywdziać sutannę. Ceremonia miała charakter prywatny i rodzinny, niemniej Kościół

141

okrył ją splendorem, jaki należy się w tej podniosłej chwili każdemu dziecku, nie tylko następcy cesarskiego tronu.

Purpura i fioleły zapęhniły stalle i kłęczniki, a złotousty biskup Orleanu — widząc zalaną łzami twarz cesarzowej Eugonii — skierował do niej następujące życzenie: „Oby nigdy inne łzy, jak te czyste łzy wzruszenia, nie zmąciły, Pani, Twoich oczu”.

Dzień ten zakończył jak gdyby dzieciństwo „cesarskiego księcia”. Panią admirałową Bruat, główną dotychczas wychowawczynią chłopca, zastąpił generał Frossard, wybrany przez cesarza na odpowiedzialne stanowisko guwenera.

Profesorowie paryskiego uniwersytetu mieli odtąd kierować wykształceniem następcy tronu, a sympatyczny pan Filon, który od razu pozyskał serce Lulu, czuwał nad starannym odrabianiem zadanych lekcji.

Życie chłopca uległo teraz zasadniczej zmianie, wchodząc niejako w nową fazę przedwczesnej dojrzałości. Z cichego apartamentu odległego skrzydła pałacu, z prywatnej i domowej egzystencji przenosiło się na publiczny plac wielkiej polityki Drugiego Cesarstwa.

Nie stało się to jednak nagle. Już od paru lat powoli wdrażano „cesarskiego księcia” w jego przyszłe obowiązki.

Przypadająca w tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym roku rocznica wcielenia Lotaryngii do Francji była okazją do pierwszej politycznej podróży następcy tronu, który reprezentował cesarza podczas uroczystości w Nancy.

Chłopcu towarzyszyła matka, a udekorowana na tę uroczystość stolica Lotaryngii przypominała wypadki sprzed stu lat, gdy wraz ze śmiercią „dobrego króla Stanisława” prowincja ta związała się już nierozdzielnie z Francją.

Tuż przed pierwszą komunią ksiądz zwiedził dwa porty wojenne, Cherbourg i Brest, podróż tę odbył z generałem Frossard, przyszłym wychowawcą, który przy okazji poznawał charakter pupila, a Lulu oswajał się z człowiekiem, mającym otrzymać nad nim nieledwie ojcowską władzę.

Dla cesarza ten przełomowy moment w życiu syna, gdy tak dorósł przed czasem pod nieubłaganym nakazem wysokiej pozycji, skracającej

szczęśliwe dzieciństwo, był ciężkim przejściem.  
Niepokój o przyszłość Francji, a więc i losy dziedzica korony,  
142

potęgował smutek wspomnień, bo wspomnienia Napoleona III z własnego dzieciństwa były raczej smutne.

W tych tak bardzo odległych latach jedna tylko osoba darzyła go tym, co niezbędne dla dziecka, a więc miłością, a była to matka. Tylko przy niej czuł się szczęśliwy i bezpieczny, zawsze było mu z nią dobrze. Z ojcem — różnie bywało. W ojcu tkwiła niewytłumaczona wrogość, a przyczynę owej ledwie maskowanej niechęci zrozumiał o wiele później, gdy dorósł. Rodzice stali na przeciwległych jak gdyby biegunach, rozdzieleni wzajemnym chłodem. W tym układzie o miłości małżeńskiej nie było co i marzyć. Nic zresztą dziwnego. Połączyło ich nie uczucie, nie namiętność czy nawet interes, lecz żelazna wola człowieka rządzącego światem, nie licząca się z wolą tych, którzy mu w jakiś sposób podlegali.

Ludwika Bonaparte, młodszego brata Napoleona, i Hortensji de Beauharnais, pasierbicy cesarza, nie pytano, czy chcą, czy mają „wolną, nieprzymuszoną wolę”. Pożeniono ich, bo tak pragnął ten, którego wszyscy słuchali, wyczekując za swe posłuszeństwo łask i przywilejów. Ludwik uczynił to raczej dla „świętego spokoju”, tak przynajmniej tłumaczył później swój krok.

Nie tylko zresztą zgodził się na nienawistne mu małżeństwo, wymuszono jeszcze na nim, by przyjął koronę Holandii. Posłuszenie więc pozwolił się wciągnąć w orbitę politycznych planów wielkiego brata, co jednak nie przyniosło mu szczęścia, a doprowadziło jedynie do niechlubnej abdykacji.

Po upadku cesarza we wszystkich uzdrowiskach Europy próżno szukał lekarstwa tak na prawdziwe, jak i na urojone dolegliwości, ciągnąc wszędzie za sobą nudę, rozczarowanie i brak nadziei.

Nie lepszy był los królowej Hortensji.

Dziewiętnastoletnią dziewczynę wydano za niemilego jej mężczyznę, kazać dzielić z nim „stół i łożo” — jak wówczas mówiono, a potem i tron Holandii. Dopiero po abdykacji Ludwika, Napoleon pozwolił jej usunąć się z małżeńskiego życia i nareszcie pokierować własną egzystencją według własnej woli.

To tak niedobre stadło wydało jednak na świat trzech synów, z których przyszły Napoleon III był najmłodszy.

Dwaj starsi cieszyli się miłością i wszelkimi względami ojca. Pierworodny, Napoleon Karol, żył krótko, bo tylko pięć lat.  
143

Urodził się w Paryżu, jako syn skromnego generała dywizji, umarł w Hadze już jako przypuszczalny następca holenderskiego tronu, a w przyszłości może i dziedzic cesarstwa, z braku potomstwa wielkiego stryja. Niestety, choć przeznaczono chłopca do tak wysokich godności, krup nie patrzył, kogo zabiera, atakując tchawicę królewskiego dziecka, z taką samą zaciekłością, jak czynił to z dzieckiem naj-nędźniejszego z poddanych.

Odtąd cała nadzieja króla Ludwika skupiła się na średnim synu, Napoleonie Ludwiku.

Był to pierwszy z Bonapartych zapisany w państwowych rejestrach jako „książę Francji”. Chrztu udzielił mu sam papież Pius VII, a cesarz Napoleon i pani Letycja, matka rodu, trzymali go nad chrzcielnicą.

Gdy malec miał pięć lat, stryj nadał mu tytuł „wielkiego księcia Bergu i Klewii”, a w rok później, po abdykacji Ludwika, Holendrzy w chłopcu uznali swego króla.

Takie rozwiązanie nie było jednak po myśli cesarza. Matka re-gentka i obaj synowie musieli zjechać do Paryża. Pozostali tam do końca napoleońskiej epopei.

Dla chłopców były to może najszcześniejsze lata. Niczego im nie brakowało. Otoczono ich zbytkiem, jaki przystoi królewskim dzieciom.

Hortensji wyznaczono na mieszkanie pałacyk przy ulicy Cerutti oraz zamek Saint Leu w bliskości Paryża wraz z dotacją miliona franków rocznie. Na utrzymanie chłopców doliczono dodatkowo siedemset pięćdziesiąt tysięcy.

Chcąc odzyskać starszego syna, król Ludwik musiał zwrócić się do sądu. Trybunał przyznał mu wreszcie opiekę nad chłopcem i tak zakończyło się wspólne dzieciństwo obu braci.

Ojciec wywiózł Napoleona Ludwika do Rzymu.

Dorósłszy, książę zbliżył się do włoskich kół rewolucyjnych, przygotowujących powstanie przeciwko Austrii.

Potem ożeniono go z kuzynką i małżeństwo to na jakiś czas położyło kres politycznej działalności młodego człowieka, kierując jego zainteresowania ku mechanice. Do tych studiów predestynowały go zresztą wybitne zdolności.



Napoleon Ludwik niedługo jednak wytrwał w tak rozsądnych  
144

zamiarach. Gdy tylko nadarzyła się sposobność, duch awanturniczy  
pehnął go do czynu.

Powstanie w Romanii, do którego pospieszył i najmłodszy syn byłego  
króla Ludwika, znowu zbliżyło obu braci rozdzielonych niezgodą rodzi-  
ców.

Niestety, Napoleon Ludwik — nadzieja rodu Bonapartych — nie doznał  
nawet zaszczytu, by paść na polu walki jak bohater, zginąć za słuszną i  
szlachetną sprawę. Oto najzwyczajniej umarł w łóżku, nabawiwszy się  
spóźnionej, a złośliwej odry.

Król Ludwik stracił więc wszystko to, co stanowi o szczęściu człowieka  
na tej ziemi: żonę, synów, koronę, a ponieważ, opuściwszy Holandię  
wbrew woli cesarza, udał się do Austrii, utracił więc i życzliwość możne-  
go brata.

Napoleon III, wspominając te odległe lata dzieciństwa i młodości, ze  
współczuciem myśli o tym ojcu, którego właściwie prawie nie znał. Dla-  
czego? Przecież on i Lulu...

Spojrzenie cesarza dotyka jasnej głowy syna. Jaki poważny! I jaki smut-  
ny! Znowu boleśnie uderza ojca smutek tej dziecinnej twarzy. Nawet  
dziś, w takim dniu... Czy to przeczucie? Czego?

Cichną ostatnie tony „Te Deum”. To chłopięcy chór z Sainte Chapelle  
uświetnia uroczystość.

Cesarzowa Eugenia podnosi się z klęcznika. Czerwona poduszka ze złotą  
frędzlą dłuższą chwilę zatrzymuje odcisk jej kolan.

Cesarz patrzy na żonę. Ciągle piękna, Eugenia de Montijo, jasnowłosa  
Hiszpanka o urodzie greckiego posągu.

Czuje się winny wobec niej. Zawiódł jej nadzieje. Nie zawsze był wier-  
nym mężem. Kiedyś chciała nawet opuścić go. Ledwie ją wówczas ubła-  
gał. Żeby ją zatrzymać, potrzebował nie tylko żaru zakochanego mężczy-  
zny, ale i autorytetu władcy. Przebaczyła. A teraz Lulu... To chyba naj-  
ważniejsze. Najmocniejsza więź między nimi. Nigdy nie może być ze-  
rwana, tylko śmierć...

Biskup od ołtarza udziela ostatniego błogosławieństwa. „Ite, missa est”.  
Obecni wstają.

Cesarz otacza syna ramieniem i mocno przytula go do piersi.

Lulu podnosi wzrok na ojca.

Chyba wszystko rozumie — myśli cesarz. — Kocha mnie przecież i wie, czym jest dla mnie.

10 — Talerz z Napoleonem

145

Gdzieś około połowy czerwca straszny skandal zatrząsł Paryżem. Oto policja wykryła niewiarygodny wprost a zbrodniczy proceder zamykania w tak zwanym „domu zdrowia” osób określanych mianem „szaleńców”, a w rzeczywistości zupełnie zdrowych na umyśle.

Na zachodnim krańcu Paryża, gdzie dawne bramy Maillot, Auteuil czy Passy wyznaczały niegdyś granice stolicy, przybierając nazwy podmiejskich wiosek, w ustronnych pałacykach, zagłębionych w gąszczu starych parków, zagnieździło się wiele tych szpitalnych instytucji, przeznaczonych wyłącznie dla majątnej klienteli.

Wyjątkiem jest naturalnie położony przy ulicy Berton zakład doktora Blanche’a, słynnego specjalisty chorób nerwowych, który od przeszło dwudziestu lat cieszy się nie tylko zasłużoną sławą, ale szacunkiem i zaufaniem licznych pacjentów.

Auteuil, Neuilly, Passy, do niedawna samodzielne podparyskie okolice, połączyły Lasek Buloński ze stolicą Francji, czyniąc z niego jak gdyby jeszcze jeden wielki park miejski ku uciechu i rozrywce pieszych czy konnych spacerowiczów.

Auteuil mimo miejskiej teraz przynależności uprawia jeszcze winnice, a jego wino ma wysoką ocenę u smakoszy.

Już Molier i La Fontaine przyjeżdżali tu na letnisko, potem bywali tam Wolter i encyklopedyści. Wielkie damy do Auteuil jeździły na wilegiaturę. Stąd znaczna liczba willi i pałacyków, a obrzeżone wysokimi murami ciche ulice po obu stronach kryją mniej lub bardziej romantyczne samotnie.

Tak samo i Passy, znana już w średniowieczu podparyska wioska. Gdy odkryto tam żelaziste źródła i postawiono łaźienki, lecznicze kąpiele ścigały do Passy kuracjuszy z całego Paryża.

Ustronne te miejsca oddalone od miejskiego gwaru, zatopione w ogrodach, ocienione starodrzewiem, zdawały się usposabiać raczej do idyllicznej zadumy niż do zbrodni.

A jednak właśnie tu, w tym rajskim nieledwie zakątku Auteuil przy ulicy des Fontis, za wysokim murem, z którego spływały błękitne grona glicynii i pachnące kiście kapryfolium znajdowało

się siedlisko niedoli, o której istnieniu nikomu nawet się śniło.

Tabliczka obok zamczystej bramy wśród festonów wiecznie zielonego bluszczu głośiła mosiężnymi literami: „Dom zdrowia doktora Lariviere”. W tym to leczniczym zakładzie między powierzonymi opiece kilku lekarzy pacjentami, obsługiwanych przez milczących pielęgniarzy, wydarzył się tragiczny wypadek, który otworzył szczerlnie dotąd zamknięte bramy „domu zdrowia” przed policją.

Dwie pensjonariuszki doktora Lariviere, matka i córka, obie dotknięte obłędem, mimo najściślejszego dozoru targnęły się na życie.

Przypadek ten tak przeraził służbę, że wejście komisarza policji na pilnie strzeżony teren „domu zdrowia” stało się nie tylko możliwe, ale i konieczne.

Wyszło wówczas na jaw, że dwie nieszczęśliwe ofiary próbowały kilkakrotnie ucieczki. Niestety, łatwiej chyba opuścić niepostrzeżenie więzienie La Force niż wydostać się z tego służącego poprawie zdrowia przybytku.

Śledztwo wy dobyło na wierzch przerażające szczegóły z życia pacjentów. Rejestry doktora Lariviere, na których spoczęła ciężka dłoń Sprawiedliwości, zdradziły sekrety godne najbardziej ponurych zbrodni dawnych wieków.

Gazety skwapliwie podchwyciły drastyczny temat, komentując w nieskończoność nieludzkie warunki, w jakich trzymano pensjonariuszy, podkreślając przede wszystkim traktowanie jako szaleńców osób zdrowych, które dopiero pobyt w zakładzie doktora Lariviere wtrącał w otchłań obłędu.

Wywleczono na światło dzienne haniebne tajemnice niejednego tak zwanego wielkiego rodu, gdy to spadkobierca tracił cierpliwość w oczekiwaniu na schedę po ojcu czy po matce. Doktor Lariviere dyskretnie ofiarowywał wówczas pomoc, każąc sobie naturalnie słono płacić za tak ryzykowną przysługę.

Gdy Róża pierwszy raz posłyszała o sprawie, o której huczał cały Paryż, zdjęta paniką wyobraziła sobie matkę Meli przez jej, Różę, opieszałość poddaną okrutnemu losowi.

Po bezsennej nocy i naradzie z Zelią postanowiła zwrócić się do Miguela Toreno — pan Żeran ciągle podróżował — a nie wy-

jaśniona dotąd pozycja Meli nie pozwalała szukać pomocy u rodaków. Nie знаła zresztą nikogo, komu mogłaby powierzyć nie swoją tajemnicę. Hrabia Walewski, do którego mogłaby się ewentualnie zwrócić, zamieszkał na wsi, usunąwszy się zupełnie z życia publicznego.

Przy najbliższym, przypadkowym jak zwykle spotkaniu, napomknęła lokajowi o przysłudze, jakiej od niego oczekiwała, i umówiła się z nim na następne popołudnie w swojej pracowni.

Miguel Toreno stawił się punktualnie, od progu badając wzrokiem zarumienione policzki dziewczyny. Róża gorączkowo układała w myśli zdania trudnej opowieści.

Hiszpan pierwszy wybawił ją z kłopotu.

— Potrzebuje pani pomocy — zaczął poważnie. — Jestem na rozkazy.

— Widzi pan — zawałała się — ta dziewczynka, która u mnie mieszka, to nie jest moja siostra, jak pan sądził. Znalazłam ją przed rokiem na cmentarzu. Umarł jej ojciec, a matka... — urwała niepewna.

Hiszpan słuchał uważnie ze spuszczonymi oczami, jak gdyby obawiał się, że jego wzrok powstrzyma wynurzenia młodej Polki.

— Jej matkę zamknięto w „domu zdrowia” — dokończyła przedko.

— Rozumiem — przytaknął. — Jest pani pod wrażeniem ostatniego skandalu. Nie ma jednak powodów do obaw. Klinika doktora Lariviere nie jest jedyną w Paryżu. Może tę panią oddano pod opiekę doktora Blanche'a? W takim razie nic jej nie grozi.

— Nie wiem, gdzie jest — wyrzuciła gwałtownie. — Właśnie liczę na pana... Tylko... — znowu zawałała się.

— O co chodzi? — zapytał spokojnie, a nikły uśmiech, jaki błąkał się po jego wargach, zdawał się świadczyć, że lokaj domyśla się powodów strapienia.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć — coraz trudniej było jej mówić. — Nie wiem doprawdy, jak lepiej...

— Co panią tak nęka? — spojrział uważnie na dziewczynę. — Czy to... moja liberia?

— Pańska liberia — wybuchnęła, rada, że ma już za sobą to wstydlive wyznanie.

148

— Nie jest do mnie przyrośnięta — zauważył łagodnie. — Muszę znać nazwisko tej pani — dodał innym tonem.

— Jadwiga Narzymska — wykrztusiła.  
— Jadwiga... — urwał, a ciemny rumieniec opłynął śniade policzki.  
— Zaraz panu napiszę, to trudne nazwisko.  
Hiszpan odetchnął głęboko i wsunął kartkę do kieszeni.  
— Do „domu zdrowia” oddał ją po śmierci męża jego brat — dorzuciła wyjaśniająco. — Nie wiem, czy panu się uda...  
— Postaram się — odparł krótko.  
— Mela obawia się stryja, dlatego uciekła, gdy matkę zabrano. Nie wie naturalnie, co z nią zrobiono. O tym, że jest w jakimś „domu zdrowia”, dowiedziałam się od mojej znajomej rodaczki. Dawno już powinnam była... — zacisnęła z rozpaczą ręce.  
— I stryj nie szukał małej?  
— Właśnie to mnie zastanowiło. Nie zawiadomił policji. Trzykrotnie starał się siłą odzyskać dziecko. — Wzdrygnęła się. — Nasyłał bandytów... Doprawdy, jeżeli się panu powiedzie...  
— Powiedzie się — uspokoił ją poważnie.  
— Czekałam na powrót pana Żerana, ale, pan rozumie, dłużej nie mogę czekać. Obciąża to moje sumienie.  
— Więc dobrze — dotknął kieszeni, gdzie spoczywała kartka z trudnym polskim nazwiskiem. — Dziś jeszcze wyruszę do Au-teuil.  
— Mela jest bogata, bardzo bogata — Róża podniosła głowę. — Nie mam prawa ukrywać jej, pozbawiać dziedzictwa. Mieszkała w pałacyku w alei Cesarzowej, a teraz u mnie... co ma?  
— Opiekę i serce. To chyba ważniejsze niż złoto.  
— Kocha mnie, wiem, a ja i mój brat... Przywiązałam się do niej. Z początku rozpaczała, obiecałam, że odszukam mamusię. I nic nie zrobiłam. Pani Narzymska z pewnością jest zdrowa. To ten brat męża... Zelia ma o nim jak najgorsze mniemanie.  
— Pani Zelia jest bardzo mądra. Zobaczymy, co mi się uda załatwić. Niech się pani już tym nie trapi.  
— Nie wątpię, że zostanie pan sowicie wynagrodzony — ogarnęło ją nagle niezrozumiałe zakłopotanie.  
Zaśmiał się i postąpił ku drzwiom.

149

— Wiem, że będę wynagrodzony — powiedział lekko. — Liczę na to.  
— Nie ma pan do mnie żalu? — nie śmiała na niego spojrzeć.  
— Żalu? Za co?

— Za... no... za moją niedelikatność.

— Przeciwnie, jest pani bardzo delikatna. Ciągłe stara się pani nie urazić mojej „hiszpańskiej dumy”, jeśli można tak to określić.

— Znowu zaśmiał się. — A teraz, jeżeli pani pozwoli, to już pójdę. Dziękuję za zaufanie.

— Panie Toreno... — zatrzymała go, przypomniawszy sobie 0 jeszcze jednej przeszkodzie. — W ciągu tych poszukiwań może pan mieć wydatki... Nie chciałabym pana narażać...

Zaśmiał się po raz trzeci, pokazując równe białe zęby.

— Dam sobie radę — powiedział kłaniając się. — My, służba, mamy swoje sposoby. — Wyglądał na rozbawionego. — Zresztą, ponieważ mam być wynagrodzony, wszystkie koszty wstawię do rachunku.

— O tak, tak — przytaknęła skwapliwie. — Koniecznie proszę wszystko zapisywać. Będę panu bardzo zobowiązana — dodała niepewnie.

— Nie ma za co — zauważył i spojrzał na nią wyczekująco, jak gdyby spodziewał się jakichś innych słów czy nawet gestu.

— Nie zatrzymuję pana — szepnęła, pochylając twarz nad tam-borkiem. Wracała do domu nieco uspokojona, a jednocześnie — jak zawsze po rozmowie z nim — nierada z siebie. Chwilami pełna nadziei, że ten człowiek dokona, czego obiecywał, by zaraz popaść w zwątpienie, jak bowiem lokaj, pozbawiony przecież stosunków i koneksji, może odszukać ukrytą za murami groźnego „domu zdrowia”

I pilnie strzeżoną kobietę.

— Uspokój się — powiedziała wieczorem Zelia. — Jestem pewna, że Hiszpan załatwi, co potrzeba.

— Takie masz do niego zaufanie? — zapytała z przekąsem.

— Mam — Zelia wydobyła z koszyka nową porcję pończoch i bielizny do cerowania.

Od tego dnia Róża zaczęła wyglądać wieści z jeszcze może większą niecierpliwością, niż oczekiwała tak niedawno odpowiedzi pana Żerana.

150

Lokaj znowu był niewidzialny. Raz tylko na dziedzińcu mignęła jej czarna głowa i czerwona kurtka lamowana srebrnym galonem, ale znajdował się zbyt daleko, by mogła zawołać.

Tydzień zaczął się źle.

W poniedziałek Zelię rozboleł ząb. We wtorek Mela rozdarła dobrą jeszcze sukienkę. We środę, gdy Róża wracała na obiad, pani Cordier z

usłużnym uśmiechem podała jej list.

— Ktoś przyniósł — powiedziała zagadkowo. — Dla panienki.

— Kto? — Róża obracała w palcach zmiętoszoną kartkę zaklejoną opłatem.

— Nie wiem — dozorczyńni wrzuciła ramionami. — Jakiś chłopiec.

— Co mówił?

— Nic. Że to dla pani.

— Dziękuję. — Róża weszła na schody, odczytując adres: panna Róża Ordega, ulica Świętego Rocha...

— Co tam trzymasz? — Zelia wskazała kartkę.

— List. Do mnie. Ktoś zostawił u pani Cordier.

Okazało się, że autorem listu był pan Hutorowicz. Pisał, że od tygodnia choruje, że bardzo pragnąłby ją, Różę, zobaczyć. Przepraszał za kłopot i przypominał adres.

— Sama pójde — oświadczyła Zelia. — Jeszcze dzisiaj. Przez ten czas Mela posiedzi u państwa Pommier.

— Ach, nie, Zelio — zaprotestowała Róża. — Pan Hutorowicz mnie przecież pragnie zobaczyć.

— Zaniosę mu obiad i zobaczę, co to za dom — upierała się Zelia. — Jeżeli przyzwitoi, pójdziesz tam jutro.

— W takim razie chodźmy — zadecydowała Róża. — Po drodze uprzedzę panią Benoit.

Gdy za mostem zagłębiły się w długi, pnący się ku Wzgórzcu Świętej Genowefy bulwar Świętego Michała, Róża doznała wrażenia, że weszły do innego miasta, tak tu wszystko było różne od świata, w którym żyły, między ulicą Świętego Rocha a Tuile-riami.

Tu panowała młodość i jakaś swawolna bez troska. Mijały grupki studentów, każdy z paczką książek, ściągniętych rzemykiem,

151

na ramieniu. Uśmiechnięte gryzетки w kokieterijnych czapczkach otaczały przenośny piecyk przekupnia kasztanów. Witryny księgarń wabiły spragnioną wiedzy młodzież, a z otwartych drzwi restauracji buchały zapachy nie zawsze wykwintriej, lecz smacznej i zdrowej kuchni.

Mieszkańcy Dzielnicy Łacińskiej ubierali się nawet inaczej. Pełni fantazji lubili gorszyć paryskich mieszczuchów. Bez względu na modę nosili

wielkie czerwone berety zsunięte na ucho, kraciaste spodnie i fontaż pod szyją.

Przed kopolastą fasadą Sorbony klębił się tłum studentów spieszących na wykłady, a gdy doszły do ulicy Soufflot, otworzyła się przed nimi perspektywa Panteonu.

Jest to sam szczyt dawnego Wzgórza Świętej Genowefy, a ulica Clovisa już blisko. Wystarczy minąć plac i oto między kościołem Świętego Szczepana a Liceum Henryka IV wąska szczelina obrzeżona z jednej strony resztką dawnych murów miejskich.

— Solidnie wówczas budowano — wzdycha Zelia, podziwiając grubość i wysokość tej kamiennej zapory, broniącej niegdyś Paryża przed najazdem wrogów.

— O tu, widzisz, numer piąty — Róża wskazuje drzwi, za którymi natykają się na dozorczynię w podartym czepku i w brudnej spódnicy.

— Czy tu mieszka pan Hutorowicz? — Zelia odgradza Różę od odrażającej baby.

— Polak? — Od dozór czyni bije zapach czosnku i kwaśnego wina.

— Na samej górze — dodaje pogardliwie. — Z lewej strony.

Na samej górze, czyli na czwartym piętrze, zasapana Zelia usunęła się robiąc miejsce Róży na ciasnym podeście.

— Proszę — głos pana Hutorowicza odpowiadający na pukanie był schrypnięty.

Drzwi, nie zamknięte na klucz, wpuściły je do małej izdebki, gdzie oprócz żelaznego łóżka, stolika, krzesła, umywalki i kuferka nie było nic więcej. Zresztą na nic więcej nie starczyłoby miejsca.

Zelia, ulokowawszy Różę na jedynym krześle, zakrzętnęła się, by nakarmić chorego.

— Dlaczego tak późno mnie pan zawiadomił? — zgromiła Róża starego rodaka. — Czy był doktor?

152

na ramieniu. Uśmiechnięte gryzетки w kokieteryjnych czapczkach otaczały przenośny piecyk przepupnia kasztanów. Witryny księgarń wabiły spragnioną wiedzy młodzież, a z otwartych drzwi restauracji buchały zapachy nie zawsze wykwintnej, lecz smacznej i zdrowej kuchni.

Mieszkańcy Dzielnicy Łacińskiej ubierali się nawet inaczej. Pełni fantazji lubili gorszyć paryskich mieszcuchów. Bez względu na modę nosili wielkie czerwone berety zsunięte na ucho, kraciaste spodnie i fontaż pod



szują.

Przed kopulastą fasadą Sorbony kłębił się tłum studentów spieszących na wykłady, a gdy doszły do ulicy Soufflot, otworzyła się przed nimi perspektywa Panteonu.

Jest to sam szczyt dawnego Wzgórza Świętej Genowefy, a ulica Clovisa już blisko. Wystarczy minąć plac i oto między kościołem Świętego Szczepana a Liceum Henryka IV wąska szczelina obrzeżona z jednej strony resztką dawnych murów miejskich.

— Solidnie wówczas budowano — wzdycha Zelia, podziwiając grubość i wysokość tej kamiennej zapory, broniącej niegdyś Paryża przed najazdem wrogów.

I — O tu, widzisz, numer piąty — Róża wskazuje drzwi, za którymi natykają się na dozorczynię w podartym czepku i w brudnej spódnicy.

— Czy tu mieszka pan Hutorowicz? — Zelia odgradza Różę od odrażającej baby.

— Polak? — Od dozorczyńni bije zapach czosnku i kwaśnego wina.

— Na samej górze — dodaje pogardliwie. — Z lewej strony.

Na samej górze, czyli na czwartym piętrze, zasapana Zelia usunęła się robiąc miejsce Róży na ciasnym podeście.

— Proszę — głos pana Hutorowicza odpowiadający na pukanie był schrypnięty.

Drzwi, nie zamknięte na klucz, wpuściły je do małej izdebki, gdzie oprócz żelaznego łóżka, stolika, krzesła, umywalki i kufierka nie było nic więcej. Zresztą na nic więcej nie starczyłoby miejsca.

Zelia, ulokowawszy Różę na jedynym krześle, zakrzętnęła się, by nakarmić chorego.

— Dlaczego tak późno mnie pan zawiadomił? — zgromiła Róża starego rodaka. — Czy był doktor?

152

— Doktor niepotrzebny — zaprotestował pan Hutorowicz. — Czuję się już lepiej.

— Niedługo wracam — Zelia odstawiła pusty garnuszek i popatrzyła znacząco na Różę.

— Dobrze, idź. Chciał mnie pan widzieć — zwróciła się do chorego po wyjściu służącej. — Czy mam coś panu załatwić?

— O tak, bardzo bym prosił. W razie mojej śmierci trzeba natychmiast zabrać stąd kuferek. Tam są różne papiery...

— Dobrze — przyrzekła Róża. — Ale pan przecież niedługo wyzdrowieje.

— Nic nie wiadomo. — Uśmiech pana Hutorowicza był tak smutny, że Róża poczuła napływające do oczu łzy. — Pani pracuje w Tuileriach, prawda?

— Tak.

— Wobec tego to, o co chcę panią prosić, nie będzie zbyt uciążliwe — głos chorego przeszedł w szept. — Tę karteczkę — wyciągnął spod poduszki zmięty świstek — należałoby oddać pewnej osobie. To lokaj...

— Lokaj? — zdziwiła się.

— Tak, znajdzie go pani w pałacu. Nazywa się Miguel To reno.

— Zna go pan? — pochyliła się nad leżącym.

— Nie, ale muszę mu to doręczyć. Jak najprędzej. A że sam nie mogę...

— Doręczę mu — obiecała. — Być może jeszcze dzisiaj. Znam tego lokaja. To Hiszpan.

— Tym lepiej, tym lepiej — odetchnął jak gdyby z ulgą. — Więc w razie mojej śmierci proszę mu i ten kuferek... On już będzie wiedział, komu przekazać.

Pan Hutorowicz, zmęczony mówieniem, zamknął oczy. Wyglądał tak źle, że Róża przeraziła się. Niespokojna wyczekiwała powrotu Zelii, pewna, że z nią przyjdzie doktor.

Na Zelii można było polegać. Doktor osłuchiwał chorego, a jego stan określił jako bardzo poważny. Wypisał receptę i obiecał przyjść nazajutrz.

Pan Hutorowicz narzekał co prawda na niepotrzebne wydatki, Róża jednak serdeczną troskliwością rozwiała jego niepokoje.

— Dozorczyni przyjdzie rano i wieczorem — dorzuciła Zelia — a ja co dzień przyniosę obiad.

153

— Tyle kłopotu, tyle kłopotu — martwił się chory, ale widać było, jaką odczuł ulgę w tej swojej, jakże bliskiej nędzy, samotności.

Dozorczyni przy pożegnaniu okazała „damom” należny szacunek.

— Dałam babie dziesięć franków — powiedziała Zelia, gdy znalazły się na ulicy. — Przykazałam, by miała o chorego staranie.

Rozstały się przed bramą Tuileriów.

Róża spieszyła do pracowni, chcąc wreszcie zapoznać się z treścią intrygującej kartki. Nie miała żadnych skrupułów, kartka nie była zaklejona, a

musiała dowiedzieć się, jaką wiadomość lokaj miał przekazać. Komu? — To pozostawało chwilowo tajemnicą.

Od razu poznała pismo pana Hutorowicza. Kartka była równie lakoniczna, jak otrzymany przez nią liścik.

„D. znowu w Paryżu. Widziałem go koło Panteonu. Chyba mnie nie poznał. Węszy jak dawniej. Proszę ostrzec, kogo należy”.

Nie było podpisu. Najdziwniejsze jednak, że pan Hutorowicz użył polskiego języka. Kogo ostrzegał? I co z tym wspólnego miał Miguel Toreno?

Ponieważ sprawa była pilna, postanowiła niezwłocznie poszukać lokaja. Spotkana na schodach panna Regina ze szwalni powiedziała, że widziała Hiszpana na głównym dziedzińcu.

Róża pospieszyła wzdłuż złożonych sztachet zamykających cesarski ogórek. Miguel Toreno stał niedaleko bocznego wejścia do apartamentów Napoleona III i rozmawiał z oficerem w bogato szamerowanym mundurze.

Zatrzymała się, zdecydowana czekać do końca rozmowy. Wreszcie oficer skinął głową, lokaj skłonił się i coś wsunął do kieszeni szkarłatnego kabata.

— Panie Toreno! — zawołała półgłosem. Odwrócił się błyskawicznie.

— Proszę, niech pan przyjdzie do mojej pracowni — powiedziała prędko. — Czekam na pana.

Nie zamknęła za sobą drzwi, byle szybciej wszedł i odebrał powierzoną jej wiadomość.

— Odwiedziłam dziś pana Hutorowicza — odpowiedziała na jego pytające spojrzenie. — To stary znajomy mego Dziadusia. Jest chory i prosił, bym to panu oddała. — Wyciągnęła rękę z kartką. — Powiedział, że pan wie, komu to przekazać.

154

Rozwinął liścik i wpatrywał się w niezrozumiałe słowa.

— Tak, wiem — odparł krótko.

— Panie Toreno — zaczęła. — Co to znaczy?

— Rozumiem pani zdziwienie — patrzył prosto w jej oczy. — Ale w tej sprawie także powinna mi pani zaufać.

— Ufam panu, skąd jednak pan Hutorowicz...

— Nie znam pana Hutorowicza — przerwał.

— On też pana nie widział, choć zna pańskie nazwisko. Co pana z nim

łączy?

— Z nim właściwie nic.

— To dlaczego prosił, by w razie jego śmierci pan zabrał kuferek z papierami?

— Gdzie mieszka pan Hutorowicz? — odpowiedział pytaniem.

— Za Panteonem, na ulicy Clovisa. Byłyśmy dziś u niego. Jest prawie w nędzy.

— W nędzy — powtórzył spuszcżając oczy.

— I chory, a doktor, którego wezwała Zelia, nie ukrywa, że jego stan jest bardzo poważny.

— Proszę się już o niego nie martwić — powiedział miękko. — Załatwię, co trzeba. A teraz czas na mnie.

— Panie Toreno — zatrzymała go w progu i wyciągnęła rękę. Lokaj nie ośmielił się skorzystać z chwilowej słabości. I choć popatrzył na pokłute igłą paluszki, potrząsnął głową i ujął klamkę. Znał swoje miejsce.

## VII

— To czyste kpiny! — Zelia aż poczerwieniła ze złości. — Niosę w koszyku obiad: zupa jarzynowa, dwa plastry pieczeni, sałata... Wszystko dobrze opatulone, żeby nie wystygło. I co? Klatka pusta. Ptaszek wyleciał.

— Kto wyleciał? — Róża zdjęła kapelusz i poprawiła włosy. — O kim ty, Zelio, mówisz?

— O kimże, jak nie o tym starym hipokrycie, twoim rodaku.

— Masz na myśli pana Hutorowicza?

— A kogóż by, jak nie biednego, chorego pana Hutorowicza.

— Co się stało?

— Nie wiem. Nie ma go.

— Nie ma?

— Nie ma. Wyjechał.

— Doprawdy, Zelio, nic z tego nie rozumiem.

— A czy sądzisz, że ja coś rozumiem? — Zelia wzruszyła ramionami. — Dozorczyni czekała na mnie i od razu mówi: „Nie ma Polaka, wyjechał”. „Jak to wyjechał?” — pytam. A ona: „Zabrali go do karety, a jakże, dwóch lokai pomogło zejść ze schodów

1 jazda”. „Co pani plecie — ja na to. — Jacy lokaje!”, a ona: „Wiado-

mo, sługusy młodego pana". „Jakiego pana?" — krzyczę. „To prawdziwy pan — ona też krzyczy. — Ze służbą i z ekwi-pażem, a nie jakiś tam oszust". I patrzy na mnie tak, jak gdybym to ja była owym oszustem. Chcę lecieć na górę, a ona: „Nie ma po co. Drzwi zamknięte. Pan zabrał klucz".

— O Boże! — Róża załamała ręce. — Pan Hutorowicz prosił mnie...

— O co cię prosił?

— Żeby w razie jego śmierci zabrać kuferek.

156

— Przecież nie umarł, a kuferek fagasy zniosły do karety. Tak przynajmniej powiedziała ta stara jędza. Natrząsała się ze mnie, łotrzyca, a ja, głupia, dałam jej dziesięć franków.

— Słuchaj, Zelio, musisz tam pójść i wypytać dozorczynię...

— Nigdzie nie pójde. Noga moja nie postanie w tamtym domu.

— Jeśli ty nie chcesz, to ja pójde.

— Nie pójdziesz, nie pozwalam. — Zelia trzęsała się z gniewu. — Po co chcesz tam iść?

— Muszę dowiedzieć się, co to za ludzie i dokąd zabrali pana Hutorowicza.

— Niczego się nie dowiesz. Dozorczyńni powiedziała wszystko, jak było, więcej nic nie wie.

— Ale kuferek...

— Przecież ci mówię, że zabrali razem z chorym. Widać prosił o to.

— A jeżeli go porwano?

— Porwano? Tego starego pryka?

— Nic nie rozumiesz...

— Pewno, że nie rozumiem, jeśli masz przede mną sekrety. Dozorczyńni mówi, że Polak był uszczęśliwiony, opuszczając taką norę. Wcale mu się nie dziwię, a z tym panem, co po niego przyjechał, rozmawiał w jakimś nieznanym języku, tak mówi dozorczyńni. Pewnie po polsku.

— Po polsku — Róża odetchnęła, ale po chwili poraziła ją straszna myśl: Może to był ten wróg, przed którym pan Hutorowicz ostrzegał nieznanego adresata, ktoś, kto pragnął zawładnąć kuferkim? Należało natychmiast odszukać Hiszpana.

Obiad jadła bez zwykłego apetytu, zaprzątnięta jedną myślą. Zelia rzucała na „panienkę" niespokojne spojrzenia, ale o nic nie pytała.

Tego popołudnia Róża biegła do Tuileriów. Prosto do głównego westybulu, gdzie najłatwiej było o informację. Niestety, do wieczora nie udało się jej znaleźć Hiszpana.

Dopiero nazajutrz rano spotkała go na dziedzińcu.

— Co pani? — spytał ujrawszy jej podkrążone oczy i pobladłe policzki.  
157

— Gdzie pan Hutorowicz? — wyrzuciła gwałtownie. — Oka nie zmrużyłam, tak jestem niespokojna.

— U przyjaciół — odparł zdziwiony. — Przesyła pani pozdrowienia i dziękuje za wszystko.

— A kuferek?

— Razem z nim. Rozumiem. Przykro mi, że naraziłem panią na niepokój. Gdy przekazałem wiadomość, te osoby postanowiły umieścić pana Hutorowicza w bezpiecznym i wygodnym miejscu. Razem z kuferkiem — uśmiechnął się. — Ma teraz zapewnioną opiekę.

— Dzięki Bogu — westchnęła Róża. — Więc mogę być o niego spokojna?

— Najzupełniej.

Nie chciała zadawać więcej pytań, obawiała się wprawić go w zakłopotanie. Jeśli nic nie mówił, znaczy, że nie mógł powiedzieć.

Cały dzień dręczyło ją nowe pytanie: Co ma wspólnego z polskimi spiskowcami Miguel Toreno, Hiszpan, lokaj w cesarskiej liberii? Bo to chyba byli spiskowcy, ci przyjaciele pana Hutorowicza. A i sam pan Hutorowicz...

Na początku lipca w Szkole Narodowej Polskiej na Batignolles urządzono, jak co roku, uroczyste rozdanie nagród dla najlepszych uczniów.

Róża bywała tam regularnie — Antoś zazwyczaj dostawał pięknie oprawny tom ze złożonymi brzegami, z tłoczonym na okładce orłem i ze starannie wykaligrafowanym napisem: „Antoniemu Ordędze — nagroda za pilność i postępy w nauce”.

Ceremonia zazwyczaj bywała wzruszająca: przemówienie pana dyrektora, deklamacje uczniów, śpiew chóralny polskich pieśni patriotycznych.

Rodzice i krewni zapełniali ustawione rzędami krzesła sporej sali.

Róża знаła wiele z tych osób, spotykając je co roku, pomna jednak niezrozumiałego uporu Dziadusia nie nawiązywała z nikim bliższej znajomości, choć niektórzy z obecnych pociągali ją sympatyczną twarzą i ujmującym obejściem.

Po uroczystościach rodzeństwo znalazło się na dziedzińcu szkoły

158

w tłumie zaproszonych. Przed bramę zajeżdżały fiakry i powozy. Róża z Antosiem przybyli tu dorożką, teraz wypadło im wracać piechotą, z nadzieją jednak, że po drodze spotkają wolny pojazd.

Popołudnie było parne, chmury rozwieszono nisko nad miastem niczym gęste pajęczyny zapowiadały deszcz, a może i burzę.

Znajdowali się daleko od domu, prawie poza Paryżem. Ulice, podobne raczej do wiejskiej drogi, obrzeżone murem, zza którego chwieją teraz czubami wielkie drzewa, prowadziły — zdawało by się — w pustkę pozbawioną mieszkańców. Wiatr trzepotał muślinową spódnicą Róży, a coraz silniejsze, chwilami huraganowe podmuchy zwiastowały zbliżenie się nawałnicy.

Dzielnicę tę od kilku zaledwie lat wcielono do miejskiej aglomeracji Paryża, pachniało tu jeszcze prowincją. Idących mijały z rzadka pyszne zaprzęgi, ginąc w przepastnych bramach pańskich rezydencji. Piesznych przechodniów nie spotykali.

Róża coraz niespokojniej spoglądała na ciemniejące niebo, ale Antoś nie odczuwał lęku. Ścisnął otrzymaną w nagrodę książkę, nie troszcząc się zupełnie o tak przyziemne sprawy, jak deszcz czy burza.

Najpierw po niebie zadudnił grzmot w oświetleniu błyskawic, a zaraz potem lunęło. Muślinowa suknia Róży w jednej chwili utraciła nakrochmaloną sztywność, rondo kapelusza opadło, a po wstążkach spłynęły strumyki. Antoś, jak mógł, chronił pod kurteczką cenną nagrodę.

Gładki mur nie dawał najmniejszego schronienia, wydani byli na pastwę deszczu i wichury, która bez litości szarpała długimi pędami bluszczu, okrywającego nagość kamienia zieloną tapetą. Te żywe bicze chłostały twarze, owijały biegnących jak liany, czepiały się mokrego ubrania, utrudniając dostatecznie już trudne posuwanie się naprzód.

Oślepieni strugami deszczu nie wiedzieli już nawet, gdzie się znajdują. Antoś z rozpaczą przyciskał do piersi książkę, której nic nie mogło uchronić przed ulewą.

— Prędejj! — Róża chwyciła brata za rękę. — Widzisz, tam jest brama! Czego właściwie oczekiwali od bramy szczelnie zawartej? Bo taka właśnie była ta niegościnna brama, która przerwała monotonię

159

szarego muru nieprzeniknioną grubością nabijanych ozdobnymi gwoź-

dziami desek.

Wieńczył ją daszek, tak jednak wąski, że przypadkowi przechodnie nie mieli z niego żadnego pożytku w razie ulewy.

Róża z Antosiem powitali tę problematyczną osłonę z entuzjazmem.

Ociekający wodą i zziębnięci przyłgnęli do twardych desek, łudząc się nadzieją jakiej takiej osłony, wyglądając końca ulewy, która tymczasem zdawała się osiągać kulminacyjny punkt swego nasilenia.

— Spójrz — Antoś wskazał mosiężną tabliczkę chłostaną teraz zwisającym bluszczem. — To jakiś „dom zdrowia”. Może nas tu wpuszczą?

— „Dom zdrowia”? — Róża wychyliła się, by odczytać napis.

A więc to tu, „Dom zdrowia doktora Lariviere”. Straszne miejsce, o którym pisały gazety. Czego dowiedział się Miguel Toreno i czemu milczy, narażając ją na nieznosną udrękę?

Stan ich wzbudził widać litość w martwym drewnie, gdyż nagle brama drgnęła i rozwarła szeroko obie połowy. Róża i Antoś odskoczyli przestraszeni, a w alei prowadzącej w głąb parku ukazał się powóz z otulonym w ceratowy płaszcz stangretem.

Deszcz zadudnił o dach karety, kopyta zastukały na brukowanym wjeździe. Przy bramie stanął odźwierny czekając, aż kareta wytoczy się na ulicę.

— Panie — krzyknęła Róża do tego człowieka — proszę nam pozwolić przeczekać ulewę!

Domek odźwiernego stał o parę kroków pod gęstymi drzewami.

Dozorca zdawał się nie słyszeć prośby, ale jadący w powozie młody pan pochwycił wołanie dziewczyny i zastukał w szybę, oddzielając go od woźnicy.

Powóz stanął tarasując bramę. Uchyliły się drzwiczki.

— Wsiadajcie — rzucił jadący.

Róża popchnęła Antosia, po czym sama wspięła się na stopień.

— Zamoczymy panu karetę — powiedziała przepraszająco, opadając na miękkie poduszki obok młodego człowieka.

— Tak — przyznał nieznamy. — Zaleje mi pani powóz, ale przynajmniej uniknie może zapalenia płuc — dodał wyraźnie zainteresowany urodą dziewczyny. — Dokąd panią odwieźć? — Antosia ignorował.



— Ulica Świętego Rocha — Róża niemile odczuła ten wzrok, szacujący ją jak gdyby przez przemoczoną suknię. — Nie chcieii-byśmy sprawić panu kłopotu i gdy tylko ulewa ustanie...

— Jadę w tamtym kierunku — przerwał. — Odwiozę panią do samego domu.

Antoś, siedzący na przedniej ławeczce, nie spuszczał oczu z młodego pana. Nie podobał mu się ten wybawca, a już najbardziej irytowała go uporczywość, z jaką wpatrywał się w Różę.

— Cóż tak ukrywasz pod kurtką? — spytał w pewnej chwili nieznamy, zwracając się do chłopca.

Antoś wydobyl książkę. Ociekała wodą, ale nic się jej poważniejszego nie stało. Dedykacja tylko rozplynęła się ciemnymi smugami, w których trudno już było dopatrzeć się wzorowej kaligrafii pana Juliana.

— To nagroda za postępy w nauce — wyjaśniła Róża.

— Rozumiem — uśmiechnął się nieznamy. — Nie wiedziałem, że w tych okolicach jest jakaś szkoła.

— Narodowa Szkoła Polska na Batignolles — wyrecytował z dumą Antoś.

— Jesteście Polakami? — czoło młodego człowieka pofałdowało się, jak gdyby to odkrycie niemile usposobiło go do przygodnych gości.

Od tej chwili rozmowny dotąd pasażer karety, zapatrzony w zmywaną deszczem szybę, zapadł w milczenie, jeszcze bardziej przykre i krępujące od poprzedniej natrętnej ciekawości jego oczu.

Róża zastanawiała się, kim był człowiek wyjeżdżający z domu o tak ponurej sławie. Wyrzucała sobie nieostrożność, powrót jednak do ruchliwych i znanych ulic uspokajał jej lęki. Gdy kareta stanęła wreszcie przed kościołem Świętego Rocha, Antoś wyskoczył pierwszy, a i Róża wołała deszcz i kałuże od niemilego towarzystwa.

— Dziękujemy panu — powiedziała chłodno i szybko pobiegła do drzwi.

— Do widzenia — nieznamy jak gdyby ocknął się. — Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy — zawołał, ale go już nie słyszeli.

— Ohydny człowiek — wybuchnął Antoś, gdy bezpieczni skryli się w dobrze znanej sieni.

11 — Talerz z Napoleonem

161

— Widać nie lubi Polaków — stwierdziła Róża - - dlatego był taki nie-

grzeczny.

Zelia, niespokojna i zdenerwowana, na ich widok załamała rękę.

— Nie wiedziałam, co robić — wołała, pomagając Róży zdejmować przemoczoną suknię. — Taka ulewa! Kapelusz na nic. Dlaczego nie zaczekaliście w szkole, aż minie?

— Gdy wychodziliśmy, jeszcze nie padało. Miałam nadzieję na fiakra.

— Żebyś się tylko nie rozchorowała — biadała dalej, zbierając moką bieliznę. — Wszystko jak wyciągnięte z balii. Można wyźymać. Zaraz przyniosę gorącego mleka.

Książka Antosia, otwarta, leżała na stoliku koło kominka, by przesychały mokre kartki.

Mela z przejęciem słuchała opowieści o szkolnej uroczystości, ale nade wszystko ciekawiła ją wędrówka podczas ulewy.

— I co? — pytała. — Biegliście i nigdzie nie było domu?

— Nigdzie — opowiadał Antoś. — Wszędzie mur i mur.

O wybawcy z karety mówił niechętnie, a wieczorem wyznał Róży, że lepiej było jeszcze bardziej zmoknąć, niż skorzystać z pomocy tak niesympatycznego człowieka.

— Nie myśl o nim — uspokoiła siostra. — Nigdy go już nie spotkamy. Gdy dzieci spały, opowiedziała Zelii o tym, jak zauważyła przy bramie fatalną tabliczkę.

— Może to jaki lekarz — mówiła — a może krewny samego doktora Lariviere.

— Prędszej jeden z tych niecierpliwych, co to oddawali na męki swoich dobrodziejów — wzruszyła ramionami Zelia. — Byle doktor nie jeździ własną kareta.

— Bałam się okropnie. Chciałam go nawet zapytać...

— Lepiej od takich z daleka — mruknęła Zelia, zabierając się do czerwania.

I znowu nadchodziły wakacje dla panien i dla hafciarki, pani Benoit zamykała szwalnię.

Te ostatnie dni dla Róży były wyjątkowo pracowite, należało

162

wykończyć hafty na serwecie, którą cesarzowa Eugenia zabierała na wile-

giaturę do Compiègne.

— W sam raz do porcelanowego serwisu z Limoges — powiedziała oglądając z zadowoleniem robotę hafciarki. — Na talerzach są takie same fiołki. Doskonale udało się pani przenieść je na płótno. Rzeczywiście, serweta była piękna, kosztowała wiele miesięcy pracy, pasowała do serwisu, który manufaktura w Limoges wyprodukowała na specjalne zamówienie cesarzowej. Każda sztuka 0 delikatnie złożonych brzegach lśniła porcelanową bielą tła 1 fioletem rozrzuconych artystycznie kwiatów. Był to serwis obiadowy na dwadzieścia cztery osoby, a więc przeznaczony raczej dla niewielkiego grona najbliższych bywalców tuileryjskiego pałacu. Trzeba teraz było jak najspieszej wykończyć to, co pozostało jeszcze do zrobienia. Furgony z rzeczami co dzień odjeżdżały z głównego dziedzińca, zabierając wszystko, czego potrzebowano w Compiègne dla wygody i przyjemności wakacyjnych mieszkańców.

Lulu pożegnał się już z Antosiem.

— Nigdy nie chcesz do mnie przyjechać — poskarżył się podczas ostatniej wizyty przyjaciela. — Wiosłowalibyśmy, jeździlibyśmy konno...

— Nie mogę — Antoś mężnie odrzucił jakże nęcącą perspektywę lata, zazwyczaj ogromnie zakłopotany podczas podobnej rozmowy, powtarzającej się u progu każdych wakacji. — Proszę cię, nie miej do mnie żalu. Smutna twarz małego księcia była bledsza niż zwykle i Antoś dałby wiele, by móc pojechać z nim razem. Właściwie sam dobrze nie wiedział, co mu kazało odpowiadać odmownie na tak serdeczne zaproszenie. Pamiętał oczywiście słowa Dziadusia, które Róża przypominała co roku — wołę zmarłego należało uszanować.

Po wyjściu cesarzowej Eugenii, która lubiła czasem w towarzystwie pani Pepy zajrzeć do szwalni i do pracowni hafciarki, nawiedził Różę inny gość, nie tak świetny, niemniej o wiele niecierpliwiej wyczekiwany.

163

Miguel Toreno zapukał i jak zwykle zatrzymał się przy drzwiach, czekając na zaproszenie dziewczyny.

— Dzień doory panu — powiedziała składając pospiesznie ogromne holenderskie płótno z gotową już girlandą fiołków, gdzieś tylko wymagającą muśnięcia igłą.

— Pan Hutorowicz ma się lepiej — zaanonsował spoglądając z podziwem na hafty. — I to pani sama? — wskazał wzrokiem serwetę.

— Sama — przytaknęła z zadowoleniem. — Rozmieszczenie kwiatów też jest mego pomysłu. Tylko wzór fiołków wzięłam z serwisu z Limoges. Ale to przecież nieważne — dodała niecierpliwie. — Proszę, niech pan mówi. Co z panią Narzyską?

— Pani Narzyską przebywa w bezpiecznym miejscu.

— Gdzie?

— W klinice doktora Blanche'a.

— Czy tam na pewno nic jej nie grozi?

— Nie. Jest pod doskonałą opieką.

— A czy... — Róża bała się zapytać o poprzednie miejsce pobytu nieszczęśliwej matki Meli.

— Tak — skinął głową. — Była w „domu zdrowia” doktora Lariviere. Okazało się, że wpisano ją tam pod fałszywym nazwiskiem. Stąd trudności z identyfikacją. Trwało to dostatecznie długo. Doktor Lariviere zbiegł, a personel kliniki nie we wszystko był wtajemniczony.

— I... widział ją pan?

— Widziałem.

— Jak ona? Jak się czuje?

•— Teraz już dobrze. Jest równie zdrowa na umyśle, jak pani i ja. Jednakże nagła śmierć męża, rozdzielenie z córką i zamknięcie w zakładzie podobnym do więzienia wstrząsnęło jej nerwami. Doktor Blanche ręczy za jej szybki powrót do równowagi.

— Doprawdy, dokonał pan chyba cudu!

— O nie — uśmiechnął się spuszczać oczy. — Natrafiłem na wielkie trudności. Wspomniałem już, że w rejestrze doktora Lariviere pani Narzyską figurowała jako Madame Vittel. Na szczęście zjawił się brat cioteczny.

— Brat? Czyj brat?

— Oczywiście pani Narzyskiej.

164

— Pani Narzyska ma brata?

— Czy to panią dziwi?

— Nie przypuszczałam... — Róża podniosła ręce do skroni.

— Brat, choćby cioteczny, ma większe prawa do opieki nad chorą niż szwagier — zauważył. — Policja z miejsca udzieliła mu wszelkiej pomocy.

— I powiedział pan o Meli?

— Powiedziałem. Pani Narzymska bardzo jest wdzięczna. Prosi, aby dziewczynka chwilowo została u pani.

— A... brat pani Narzymskiej?

— Wyjechał. Był w Paryżu przejazdem. Polecił mi, naturalnie za pani zgodą, bym przekazywał siostrze wiadomości o dziecku. Gdyby więc coś zaszło...

Róża była tak oszołomiona i szczęśliwa, a jednocześnie przybita nieuchronną już utratą Meli, że nie bardzo słuchała ostatnich słów Hiszpana. Więc Mela miała wkrótce odejść, wyjść z ich życia. Co powie Antoś na rozłąkę z małą siostrzyczką? Rozłąkę, która prawdopodobnie będzie rozstaniem na zawsze.

Pani Narzymska jest bogata. Niedługo wróci do swego pięknego domu, wejdzie w posiadanie majątku po mężu i zacznie normalne życie. Razem ze swoją córeczką. Z pewnością od czasu do czasu będą widywali dziewczynkę. Potem Mela pójdzie do szkoły, do jakiejś eleganckiej pensji dla panien, zaprzyjaźni się z rówieśnicami i powoli zapomni. A oni? Czy zdołają wyrzucić z pamięci znalezione na cmentarzu dziecko? Nawet Zelia, która z początku tak nalegała, by zawiadomić policję... Teraz dla Meli dałaby się posiekać.

Hiszpan uszanował milczenie dziewczyny. Zrozumiał widać, o czym myślała.

— Utracimy Melę — stwierdziła Róża z bólem. — Wiem, że dla dziewczynki to będzie szczęście — dodała prędko. — Ale my...

— Przecież Mela zostanie jeszcze u pani — przypomniał. — Właśnie mówiłem...

— Tak, tak, wiem. Nie zmienia to jednak faktu, że nadejdzie dzień, gdy Mela nas opuści — ostatnie słowa wymówiła ciszej, jak gdyby tylko dla siebie.

166

— Pani Narzymska uważa, że chwilowo lepiej nic małej nie mówić. Zachowanie szwagra jest dwuznaczne.

— A jeżeli Mela zapyta o matkę?

— Wówczas można jej powiedzieć. Naturalnie nie wszystko. Róża obracała na palcu pierścioneł z turkusem, który jej zostawiła niedgdyś babunia.

— Wiem, że Mela nas opuści — powiedziała wreszcie. — To nieuniknione. Wszyscy tak nas opuszczali. — Dłużej nie zdołała powstrzymać

lez.

— Proszę, niech pani nie płacze — Hiszpan podszedł do dziewczyny, jak gdyby powziął nagle jakieś postanowienie. — Pani Narzymska nie ma wprost słów wdzięczności. Gdyby nie pani...

— Mela jest wyjątkowo dobrym dzieckiem — Róża opanowała się z trudem i wytarła oczy. — Proszę przekazać pani Narzym-skiej, jak bardzo cieszę się i jakie robię sobie wyrzuty. Przez moją głupotę i opie-szałość cierpiała tak długo. Pan dokazał tego,

0 czym bałam się nawet myśleć.

— Moja zasługa jest niewielka — stwierdził skromnie. — To pani wskazała mi trop, którym należało iść. Reszty dokonał brat pani Narzym-skiej. To on prowadził wszelkie rozmowy z policją  
1 z prokuratorem.

— Nie wie pan — zahała się — czy widział się ze stryjem Meli?

— Owszem. To młody człowiek, któremu brak chyba zasad moralnych. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie, słuchając jego rozmowy z bratem pani Narzym-skiej. Z pewnością nie jest zły, tylko zepsuty po-wodzeniem i słabego charakteru. Nie znam go jednak i właściwie nie powinienem osądzać. Może po prostu ulega jakimś niedobrym wpły-wom. To zdarza się młodym a bogatym i próżnym paniczom.

— Mela boi się stryja — szepnęła.

— Brat pani Narzym-skiej zapytał go, dlaczego oddał bratową do „domu zdrowia”, podając przy tym fałszywe nazwisko. Tłu-maczył się, że uczynił to dla jej dobra, widząc stan, w jakim się znajdo-wała po nagłej śmierci męża. Zapisał ją pod fałszywym nazwiskiem, by później nie ciążył na jej reputacji pobyt w takim zakładzie.

— Czy mówił coś o Meli?

167

— Powiedział, że dziewczynka miewa się dobrze i jest na wsi pod opie-ką guwernantki.

— Jak to? I pan pozwolił?...

— Cóż ja? Jeżeli pani Narzymska i jej brat milczeli... Mają widać swoje powody.

— Trudno doprawdy pojąć...

— To jakaś skomplikowana sprawa rodzinna — przerwał. — Z chwilą jednak, gdy brat pani Narzym-skiej ujął wszystko w swoje ręce, może pani już być spokojna.

— Tak, zapewne — przyznała z wahaniem. — Więc Mela...  
— Mela pozostanie u pani. — Przypomniał łagodnie. — I wszystko będzie tak jak dotąd.  
— A jeżeli... pan Narzymski...  
— Obawia się pani pana Narzymskiego?  
— Tak.  
— Nie przypuszczam, by w obecnej sytuacji poważił się na jakiś gwałtowny krok. Wobec bratowej wydawał się skonfundowany, przepraszał ją...  
— A dlaczego kłamał?  
— Tak, to zastanawiające — przyznał. — Ale i to można wytłumaczyć. Dziecka nie ma i nie wie, co zrobi, gdy pani Narzymska zechce zobaczyć córkę. Obawia się tego. Jak najdłużej musi ukrywać prawdę. Nie powie przecież, że nie wie, co się z dziewczynką stało.  
— Pan Narzymski wie, gdzie jest Mela — powiedziała twardo. — By ją odzyskać, nasyłał zbirów. Co poczną, gdy przyciśnięty koniecznością użyje siły?  
— Da mi pani znać — odrzekł bez namysłu, po czym na skrawku papieru wypisał adres. — Tu mieszkam — położył kartkę na stole. — Pani Zelia zawsze będzie mogła zostawić wiadomość.  
— Dziękuję panu — powiedziała cicho, usiłując powstrzymać łzy. Zrozumiał, że nie miała więcej pytań i pragnęła, by już sobie poszedł. O tak, Róża musiała zostać sama. Choć na chwilę odłożyć igłę, odstawić koszyk z jedwabiem i posiedzieć beczynn timerkami na kolanach, i pozwolić wreszcie swobodnie płynąć łzom.

168

Do domu wróciła tak roztrzęsiona, że Zelia przestraszyła się zobaczywszy, w jakim jest stanie.  
— Spać dzieci — zawołała, gdy już sprzątnęła ze stołu. Chciała jak najszybciej pozostać sama ze swoją młodą „panią”.  
— To nic, Zelio — mówiła Róża raz po raz ocierając oczy mokrą chusteczką. — Sama nie wiem, dlaczego tak się przejęłam. Przecież to szczęście dla Meli. Wróci do domu, do dawnego dobrego życia ze swoją mamusią. Czy może być coś cudowniej szego? Gdy jednak pomyślę, że ją utracimy...  
— Nie utracimy jej — zaprotestowała Zelia. — Będziemy ją widywać. Mela też nas kocha.

— Kocha nas — Róża głośno wytarła nos — ale to przecież dziecko, a dzieci szybko zapominają.

— Mela nas nie zapomni.

— Skąd wiesz? O rodzicach nie mówi już od dawna.

— Nie mówi, ale o nich pamięta. Nieraz,, gdy weszłam do pokoju, a Mela siedziała na podłodze ze swymi zabawkami, słyszałam, jak szep- tała: tatuś, mamusia... O, Mela ma dobrą pamięć i dobre serce.

— Och, Zelio, tak mi ciężko!

— Wiem. Ale Hiszpan powiedział, że chwilowo nic się nie zmieni.

Nic się nie zmieniło. Do czwartku.

We czwartek, gdy dzieci bawiły się w jadalni, Róża poszła do pokoju Dziadusia po pieniądze. Tam, w starym sekretarzyku, przechowywała swój majątek.

Szufladka zacięła się i nie można jej było wyciągnąć. Gdy szarpnęła moc- niej, wypadła, a wraz z nią odskoczył kawałek inkrustowanego drewna obudowy, maskujący utajone drzwiczki.

Malutki zameczek lśnił prowokująco, udaremniając dostęp do nie znanej dziewczynie skrytki.

Teraz dopiero zrozumiała, do czego służył połączany kluczyk, który nie opuszczał Dziadusiowej dewizki, ukryty zazwyczaj — wraz z zegarkiem — w kieszonce kamizelki.

Cenne te pamiątki przechowywano w komódce.

Cichy szcęk, jaki towarzyszył obracającemu się w zameczku kluczyko- wi, potwierdził jej przypuszczenia.

Róża pochyliła się i zajrzała do ciemnego wnętrza. Coś tam leżało. Wsunęła rękę i wydobyła plik luźnych kartek. Poznała pismo Dziadusia.

Kartki były ponumerowane i oznaczone datą. O tym odkryciu nie powie- działa Zelii. Drugi raz coś przed nią zataiła. Ale to nie był jej sekret, lecz tajemnica Dziadusia. W pierwszej chwili chciała uszanować wolę zmarłe- go i nie czytając schować zapiski. Po namyśle doszła jednak do wniosku, że powinna poznać to jakieś nieznanie niebezpieczeństwo grożące Dzia- dusiowi, bo może ono mieć związek z zaginionym przyjacielem.

Długo tej nocy paliła się świeca w jej sypialni. Na szczęście Zelia spała mocno i nic nie przeszkodziło Róży w zapoznaniu się z Dziadusiową przeszłością.



Gdy skończyła i zgasiła świecę, zadała sobie pytanie, dlaczego Dziadusi ukrył przed nią to, co powinna była wiedzieć? Dlaczego umierając nie powiedział wnuczce o istnieniu skrytki?

Pytań zresztą było o wiele więcej. Nurtowały ją także i nazajutrz, ale tylko jedna osoba mogła odpowiedzieć przynajmniej na niektóre z nich: pan Hutorowicz. Ale pan Hutorowicz nie mieszkał już na ulicy Clovisa, a droga do jego nowego miejsca pobytu wiodła przez Miguela Toreno. I nagle stwierdziła ze zdumieniem, że coraz bardziej uzależnia się od Hiszpana. We wszystko był już wtajemniczony: Ryszard Żeran, Mela, pani Narzymska, a teraz i pan Hutorowicz. Stary rodak okazał się jednak tak potrzebny, że i w tym wypadku musiała prosić o pomoc lokaja. On jeden wiedział, gdzie go szukać.

Wzdrygnęła się i rozłożyła na stole ogromne płótno. Serweta właściwie była gotowa, cesarzowa Eugenia mogła ją zabierać. Nic więcej nie miała tu do roboty. Czekala jedynie na Miguela Toreno. Wiedziała, że przyjdzie.

Przyszedł, gdy z zegarowej wieży rozległo się dwunaste uderzenie.

— Muszę koniecznie zobaczyć się z panem Hutorowiczem — powiedziała bez wstępu. — Może mi pan poda jego nowy adres.

— Zawiozę tam panią — popatrzył na nią uważnie, ale o nic nie zapytał.

— Zawiezie mnie pan? — zdziwiła się. — Czy to tak daleko?

— Daleko.

170

— Chciałabym jeszcze dzisiaj... !— Czy coś się stało?

— Nie... Tak... Sama nie wiem. Znalazłam zapiski Dziadusia i potrzebuję rady pana Hutorowicza.

— Wstąpię po panią koło piątej. Czy będzie pani tutaj?

— Będę.

Nie mogła dłużej trzymać przed Zelią w tajemnicy swojego odkrycia. Po obiedzie więc, w sypialni, opowiedziała jej o Dziadu-siowym przekazie.

— Miguel Toreno zawiezie mnie do pana Hutorowicza — zakończyła.

— Dowiem się może czego o Zigmuncie Żeranie.

Zelia nie oponowała, nie zadawała zbędnych pytań, uspokojona obecnością Hiszpana, który miał towarzyszyć Róży.

Punktualnie o piątej dziewczyna wsiadła do fiakra, czekającego na ulicy Rivoli. Miguel Toreno musiał uprzedzić woźnicę o celu podróży, bo nie podał adresu, a konie ruszyły, zaledwie zatrzasnął za sobą drzwiczki.

Dziwny to był fiakier. Zaprzężony w dwa mocne konie, którym nie żalowano widać owsa, w niczym nie przypominał dorożkarskiego, rozklekotanego pudła, jakie zazwyczaj przemierzały bruki Paryża. Konie szły rażno, raczej mknęły, a powóz kołysał się miękko, dobrze zawieszony na resorach. Wnętrze wyglądało raczej na pańską karetę niż na zniszczone długim użytkowaniem, zrudziałe sukno publicznej lokomocji, a strój woźnicy bliższy był liberii aniżeli kapoty miejskiego automechana.

Lustrzane szyby chroniły jadących przed kurzem ulicy, potęgując wrazenie odosobnienia i jak gdyby odcięcie od zewnętrznego świata.

Róża wyglądała oknem, starając się nie patrzeć na siedzącego naprzeciw niej na ławeczce mężczyznę, choć wyraźnie czuła jego obecność, zamkniętą z nim w ciasnym wnętrzu pojazdu.

Ta bliskość oddziaływała na oboje, stwarzając nastrój intymności i zrozumienia, niwelując wszelkie różnice, obalając dzielące ich dotąd bariery. Nie pytała, dokąd wiezie ją ten dziwny lokaj, który teraz nie miał na sobie liberii, lecz ciemny strój, jaki przystoi człowiekowi jego stanu.

Pięli się oto bulwarem Świętego Michała, mijając po lewej ręce  
171

kopuły Sorbony i Panteonu, coraz wyżej i dalej od gwaru i ożywienia starej Dzielnicy Łacińskiej. Wreszcie otoczyła ich zieleń i cisza — wjechali na teren obserwatorium, gęsto obsadzony kasztanami.

Konie biegły rącho mało jeszcze uczęszczaną aleją, jak gdyby nie czuły zmęczenia lub spieszyły do przytulnej stajni z pełnym żłobem.

— Proszę, niech pani spojrzy — Miguel Toreno przerwał przedłużające się milczenie. — To pomnik marszałka Ney. Wystawiono go w miejscu egzekucji.

— Ney? — oburzyła się Róża. — Przecież to zdrajca!

— Niekoniecznie — uśmiechnął się Hiszpan. — Po zesłaniu Napoleona na Elbę opowiedział się co prawda za Burbonami, ale gdy cesarz wrócił w triumfie na sto tragicznych dni, jemu zaofiarował swoją szpadę i uzyskał przebaczenie. Ludwik XVIII za to, gdy siadł na opuszczonym przez Napoleona tronie, nie puścił płazem zdrady. Ney postawiono przed sąd wojenny i natychmiast rozstrzelano. Właśnie tu. Nie pozwolił zawiązać sobie oczu i sam podał komendę: „Żołnierze, prosto w serce!” Napoleon III wznosił mu pomnik. Czy pani zauważyła, jak nasz Paryż ubogi jest w monumenty?

— Nie wiem — zmieszała się. — Nie zastanawiałam się nad tym. Wiele

z Dziadusiem zwiedzałam, ale tu jestem po raz pierwszy.

— Oprócz paru monarchów i Napoleona na kolumnie jest tylko Molier, jakiś wojak no i ostatnio marszałek Ney — popatrzył na nią z uśmiechem.

— Niektóre z nich widziałam — Róża rozejrzała się po okolicy i w tej samej chwili konie skręciły w prawo. — Gdzie jesteśmy?

— To bulwar Montparnasse — wyjaśnił. — Zaraz będziemy na miejscu.

— To i cmentarz niedaleko? Byłam kiedyś z Dziadusiem...

— Niedaleko — przytaknął. — To najmłodszy cmentarz Paryża. Dawno umarł pani Dziadus?

— Trzy lata temu — powiedziała ze smutkiem, — A wydaje mi się, że wiele lat minęło od owego nieszczęścia.

Konie zwolniły i wkrótce stanęły, osadzone mocną ręką tuż przy krawędzi trotuaru. W wyrwie między drzewami, które rosły wzdłuż bulwaru, zabielała ściana wysokiego domu.

172

— Przyjechaliśmy — Miguel Toreno otworzył drzwiczki, wyskoczył i pomógł Róży wsiąść.

Miejsce było ustronne, dom oddalony nieco od ulicy stał w głębi niewielkiego ogrodu. Poszli wyłożonym płaskimi kamykami chodnikiem do drzwi wejściowych. Miguel Toreno ujął mosiężną kołatkę.

Otworzył stary człowiek wyglądający na służącego.

— Pan w domu? — spytał Hiszpan.

— W domu, w domu — zapewnił skwapliwie stary. — Panienska pozwoli — wskazywał drogę.

Salon był duży, kwadratowy. Zastali tam kilka osób, wśród których Róża z zadowoleniem spostrzegła pana Hutorowicza.

Goście siedzieli dokoła owalnego stołu założonego papierami. Z daleka nawet można było dojrzeć na wierzchu dużą mapę Europy.

Wszystko ją dziwiło, najbardziej jednak zaskoczyło Różę to, że zebrani mówili po polsku.

— Prosimy bliżej — wysoki mężczyzna z siwiejącą bródką podniósł się z fotela.

— Ja do pana Hutorowicza — powiedziała prędko, onieśmielona zgromadzeniem.

— To panna Ordężanka — pan Hutorowicz pośpieszył z prezentacją.

— Wnuczka Kazimierza? — spytał któryś z obecnych.

— Wnuczka Kazimierza — poświadczył pan Hutorowicz, prowadząc dziewczynę do najbliższego fotela.

Nie był już ani tak mizerny, ani beznadziejnie smutny. W tym gustownie, acz skromnie urządzonej salonie wydawał się innym człowiekiem, zgola niepodobny do nieszczęśliwego nędzarza z ulicy Clovisa.

— Dzięki Bogu wyzdrowiał pan — powiedziała siadając.

— Wyzdrowiałem — pan Hutorowicz krzątał się koło gościa. — A to nasz gospodarz, pan rotmistrz Bracki — przedstawiał starszego pana z bródką.

Skinęła głową i obejrzała się na Hiszpana. Stał ciągle przy drzwiach i milczał. Nie rozumiał przecież po polsku.

— Konie będą czekały — rzekł półgłosem, pochwycając jej spojrzenie — gdy zechce pani wracać. — I znikł za drzwiami.

— Rozmawiamy o polityce — szepnął pan Hutorowicz siadając obok dziewczyny. — Może pani posłucha?

173

— Przepraszam, że pana niepokoję — zaczęła, ale goście nie zwracali już na nią uwagi, zajęci przerwana rozmową.

— Jak więc mówiliśmy — podjął pan domu — sytuacja Francji jest niewesoła.

— Niewesoła? — zaperzył się czerwony na twarzy otyły jegomość w cynamonowym ubraniu. — Powiedziałbym wręcz tragiczna, beznadziejna — powiódł wzrokiem po siedzących. — I nie ma żadnego ratunku. Cesarstwo zmierza ku przepaści i nic go nie powstrzyma przed upadkiem.

— Patrzy pan przez czarne okulary, łaskawco — zaprotestował najmłodszy z zebranych. — Z Francją nie jest jeszcze tak źle. Ma ona różne środki i nie zapominajmy, że dysponuje kapitałem. Ogromnym kapitałem — dodał z naciskiem. — A to jest siła nie do pogardzenia — zakończył triumfująco.

— Co to za siła — prychnął cynamonowy jegomość. — Dziś siła to uzbrojenie. Zakłady Kruppa pracują dzień i noc dla Prusaków. Ich szpiegdy rozleźli się po Francji jak robactwo. Toczy ono kraj od wewnątrz. Cesarzowa Eugenia w przyjaźni z wrogami, cesarz nie wie nawet, co się święci.

— Ma pan rację — przytaknął siwy staruszek z ręką przy uchu.

— Wszyscy ci ambasadorowie obcych mocarstw obtańcowujący francuskie damy na balach w Tuileriach, a szczególnie ich małżonki, które nale-

zą do najbliższego kółka cesarzowej, wykonują swoją robotę nieledwie na oczach wszystkich. Raporty idą do Berlina, minister Bismarck ma co czytać. I cesarz to widzi. Nie przypuszczam, żeby był aż tak zaślepiony. Działa tu jednak rodzaj fatum wiszącego nad rodziną Bonapartych.

— Mówiąc o szpiegach ma pan chyba na myśli księżnę Metter-nich — zauważył pan domu. — To przecież ona, działając na szkodę Francji, doprowadziła do wojny meksykańskiej. Potrafiła odpowiednio urobić przyjaciółkę i cesarzowa Eugenia posłusznie wykonała polecenia wiedeńskiego gabinetu, nie domyślając się nawet, że jest narzędziem w ręku wroga. — Mało który Francuz to rozumie — wtrącił się ksiądz w zniszczonej sułtannie. — Zaślepieni bogactwem, chęcią użycia, odeszli daleko od bohaterstwa, poświęcenia i miłości ojczyzny. Ale jeśli zginą, co będzie z nami? — postawił tragiczne pytanie.

Różę z początku zniecierpliwiło to jałowe w jej mniemaniu  
174

roztrząsanie politycznej sytuacji Francji. Przyjechała tu przecież w zupełnie innym celu. Ale powoli, rozwijająca się w jej obecności dyskusja wzbudziła zainteresowanie i niepokój. Rzeczywiście, co z nimi będzie w razie katastrofy? O tych sprawach zresztą nieraz już słyszała. Ludzie gadałi. Powszechnie było wiadomo, że dyplomaci zagraniczni zawładnęli cesarzką Eugenią, a więc i polityką Francji.

Przyznać jednak trzeba na obronę cesarskiej pary, że nigdy dotąd żadne obce mocarstwa nie wysłały do Paryża tak świetnych przedstawicieli, jak w owych sześćdziesiątych latach dziewiętnastego wieku. Był to — śmiało rzecz można — kwiat europejskiej kultury, który pod pozorem zabawy wykonywał swoje mało chwalebne zadania.

Nigdy też obcy dyplomaci na żadnym dworze nie doznali tak entuzjastycznego przyjęcia, jak ci wszyscy ambasadorowie bywają-y w Tuileriach Drugiego Cesarstwa.

Często nawet owi dygnitarze, traktowani jak bliscy przyjaciele, zuli się nieswojo spełniając misję, w której byli tu przecież >rzysłani.

Dwór cesarski nie miał przed nimi tajemnic, a oni umieli pa-rzeć i obserwować. I niczego nie zapominali.

Pod powłoką salonowej płochości ukrywali bystre oko i wy-istrzony słuch wytrawnego szpiega. Byli to więc nie tylko wielcy anowie, ale i zręczni agenci, wysoko tytułowani, obleczeni we raki i świetne mundury, o nienaganych manierach światowców, wyćwiczeni w najsztubtelniej-

szych zawilosciach dyplomatycznej ry-

Podobną rolę spełniały ich żony, dopuszczone do bliskiej zagości z władczynią Francji. Umiały spomiędzy buduarowych loteczek wyłuskać przydatne mężom informacje. Wszystkich tych cudzoziemców przygarnęła czule do serca stara ancuska arystokracja, niechętna „uzurpatorowi”. Dwie z istniejących wówczas partii politycznych, tak zwana „partia książąt”, popierająca kandydaturę do tronu synów Ludwika lipa, i „partia liberalów”, preferująca republikę, zjednoczyły 5 w pewnej chwili we wspólnej opozycji przeciw cesarstwu. Obie te partie wydawały własne pisma i zarówno „Dziennik iryski” — organ „partii książąt”, jak i „Kurier Niedzielny”

175

atakowały zaciekle działalność instytucji Drugiego Cesarstwa, krytykując i występując otwarcie przeciw panującemu reżymowi. Arystokracja z „partii książąt” szeroko więc otworzyła drzwi swoich salonów dla dyplomatów akredytowanych przy dworze Napoleona III, łączyła ich przecież wspólnota interesów, a zaślepieni nienawiścią do „parweniusza” stracili z oczu dobro Francji i niebezpieczeństwo, jakie groziło ich ojczyźnie.

W rozmowach nie zostawiano suchej nitki na cesarzu i jego małżonce.

Wszystko było powodem do drwiny. Drwiono z balów i przyjęć w „perweniuszowskich Tuileriach”, układano satyryczne wierszyki i epigramy, nawet wielcy bankierzy, wzbogaceni przecież dzięki rozkwitowi przemysłu i handlu, pozwalali sobie na obelżywe słówka w ogólnym chórze złośliwości.

Powtarzano słynne powiedzenie pana Thiersa w odpowiedzi na dość chełpliwe stwierdzenie ówczesnego księcia prezydenta: „Gdyby nie Strasburg i Boulogne, nie byłbym tym, czym jestem”. Na co pan Thiers odpowiedział: „Wasza Wysokość zapomina o Austerlitz”.

Cesarz starał się nie dostrzegać tej wrogiej propagandy, usiłował nawet zjednać przeciwników to fotelem senatora, to dworskim urzędem. Nic jednak nie potrafiło udobruchać tych, co postawili na zgubę cesarstwa.

Wśród kosmopolitycznego towarzystwa, od którego roił się Paryż, wśród przedstawicieli obcych mocarstw, olśniewających „Francuzów wykwinem toalet i ekwipaży, prym bezwzględnie wiódł książę Metternich, godnie reprezentujący cesarza Austrii

Franciszka Józefa.

Syn wielkiego kanclerza, któremu po upadku Napoleona Świąte Przymie-

rze powierzyło uporządkowanie wywróconej do góry nogami Europy, w dobrej szkole miał możliwość zdobywania potrzebnych w dyplomatycznej służbie wiadomości.

Daleko mu jednak było do talentów ojca. Szedł co prawda jego śladem — choćby jako ambasador w Paryżu — ale na tym kończyło się podobieństwo.

Braki w zdolnościach politycznych kompensował za to jego osobisty urok, czarujące obejście, wielkopański gest, a przede wszystkim niezwykła żona, bo księżna Paulina była kobietą niepospolitej mądrości, a małżonek tylko zyskiwał słuchając jej rad.

Gdy w 1859 roku wybuchła wojna między Austrią a Francją, młody książę Metternich rozpoczynał karierę dyplomatyczną jako sekretarz ambasady w Paryżu. Po traktacie w Villafranca Napoleon III szukał zgody i porozumienia z Franciszkiem Józefem; książę Metternich postawił sobie więc za cel podbić stolicę Francji.

Przy jego wdzięku i umiejętnościach światowca nie sprawiło mu to większego trudu. Doskonale władający językiem, obeznany z francuską literaturą i sztuką, gorący meloman — jeden z pierwszych poznał się na Wagnerze — został szybko ulubieńcem dam, a już mieszkańcy Tuileriów nie wyobrażali sobie bez niego balu, przyjęcia i w ogóle życia.

Czy był szczery wobec cesarza? Czy zapewnienia o wiernej przyjaźni i na każdym kroku okazywana sympatia odpowiadały jego prawdziwym uczuciom?

Księżnę Paulinę, która w krótkim czasie zawładnęła cesarzową Eugenią, dyktując nie tylko styl zabaw i mody, ale i zgubne dla Francji posunięcia polityczne, lud nazywał „złym duchem Tuileriów”. Czy mylił się w tej ocenie? Czy pani Metternich aż tak bardzo nienawidziła koronowanej przyjaciółki, by świadomie gotować zgubę jej światu?

Kaprysy księżnej Pauliny szkodziły zresztą nie tylko polityce Francji. To przecież ona w pewien sposób zniszczyła Flandrina, a właśnie spod pędzla tego malarza wyszedł najlepszy chyba portret Napoleona Trzeciego.

Gdy gotowe już dzieło pokazano w Tuileriach, księżna Metternich wyduła wargi i rzuciła lekceważąco:

— Niezłe, ale mogłoby być lepsze.

Te słowa przeważały zachwyty znawców. Portret uznano za niezbyt udany i odesłano do przyozdobienia Izby Handlowej.

Flandrin, chorobliwie wrażliwy, choć skromny jak na wziętego portreci-

stę, ciężko przeżył afront wyrządzony jego sztuce. Na to jednak nie było rady. Zdanie księżnej Metternich równało się wyroczni.

Ciekawy stosunek łączył ambasadora Austrii z kawalerem Nigrą, reprezentującym w Paryżu króla Wiktora Emanuela.

Gdy poseł francuski w Turynie wydał raz galowy obiad, na liście gości znalazło się nazwisko kawalera Nigry, wówczas sekretarza ministra Cavoura.

12 — Talerz z Napoleonem

177

Cavour, dowiedziawszy się o tym honorze, prosił Francuza, by wstrzymał się z tego rodzaju objawami uznania wobec pana Nigry. — Dlaczego tyle uwagi poświęcać memu sekretarzowi? — dodał. — On jeszcze nie jest tego wart.

Włoski minister dobrze wiedział, czego może oczekiwać w przyszłości po swoim sekretarzu i nie pomylił się.

Kawaler Nigra został wkrótce jednym z najwybitniejszych mężów stanu nie tylko młodej Italii, ale i Europy. To dyplomata z urodzenia, doskonały w całym znaczeniu tego słowa, ma konieczną w tym zawodzie zręczność, absolutny zmysł polityczny, znawca ludzi, obdarzony jest ponadto nieomylną intuicją, która nigdy go nie zawiodła.

Tymi wszystkimi cechami kawaler Nigra górował nad księciem Mettemichem. Jeśli zaś odłożyć na bok jego polityczne zdolności, był równie błyskotliwym światowcem, a jego pojawienie się na paryskim firmamencie wywołało nie lada sensację.

Niezwykle urodziwy od pierwszej wizyty w Tuileryach oczarował cesarzową Eugenię i jej damy. Do wszystkich jego zalet dochodziło jeszcze i to, że nie był żonaty. Ileż panien zarzucało sieci, by pochwycić tak znakomitego epuzera! Niestety, bez rezultatu.

Kawaler Nigra przeszedł zwycięsko przez ognie spojrzeń najpiękniejszych oczu owej epoki, uosabiając dwa perwersyjne ideały. Don Juana i Machiavellego.

Kawaler Nigra i księżę Metternich zostali przyjaciółmi i odtąd widywano ich zawsze i wszędzie razem.

Dziwna to była przyjaźń dwóch politycznych przeciwników: Włoch pracował nad zjednoczeniem Italii, wyzwalającej się spod austriackiego panowania, Austriak pragnął za wszelką cenę utrzymać pozycję okupanta



na Półwyspie Apenińskim.

Kawaler Nigra, zimny i opanowany, był zbyt wytrawnym graczem dla księcia Metternicha, obaj jednak stanowili ozdobę tuileryjskich salonów, jednakowo rozrywani przez bywające tam damy.

Nazywano ich nawet „nierozłączni”, a ich zdumiewająca doprawdy przyjaźń budziła u niektórych powątpiewanie co do szczerości tego pięknego uczucia. Posądzano ich o hipokryzję i rzecz dziwna, książę Metternich wychodził z tego porównania lepiej

178

niz Włoch, który za to lepiej wydawał się grać dyplomatyczną rolę przy Napoleonie Trzecim.

Obraz bywających w Tuileryach dyplomatów nie byłby pełny bez ambasadora Prus, hrabiego Goltza, który podczas pięciu lat pobytu w Paryżu — od 1863 do 1868 roku — dostąpił największych faworów na dworze, stając się nie tylko jednym z ulubieńców, ale i powiernikiem cesarzowej Eugonii.

Trzeba przyznać, że pragnął się podobać, a spodobał się wszystkim, choć sposobem bycia różnił się od takich czarodziejów, jak książę Metternich czy kawaler Nigra. Hrabia Goltz mówił mało i wydawał się oschły, za to lubił Paryż, a w Tuileryach bawił się

0 wiele lepiej niż w Berlinie.

Naturalnie — jak na prawdziwego Prusaka przystało — był szczerze oddany Bismarckowi, którego podziwiał, lecz ze względu na swoją sympatię do Francji nie pochwalał wszystkich posunięć pruskiego ministra.

Pobiwszy Austrię pod Sadową, Prusy, pewniejsze własnej siły, za enigmatycznym uśmiechem ukrywały plany coraz śmielsze

1 coraz groźniejsze dla pokoju w Europie.

Hrabia Goltz pracował nad umocnieniem przyjaźni francusko--pruskiej i dziwiło go niepokojące milczenie Napoleona Trzeciego, gdy w rozmowie z cesarzem dotykał delikatnych tematów.

Czyż nie przepowiedział szykujących się już wydarzeń? Jak w profetycznej wizji ukazał raz zmiany, które wkrótce miały nastąpić na mapie Starego Świata. „Europa jest stara, bardzo stara — powiedział w porywie jak gdyby mistycznego natchnienia — ugina się pod ciężarem wieków i może umrzeć z braku nowych żywotnych soków. Ci, co mogą ją uratować, są gotowi do czynu”.

Gdyby nie śmiertelna choroba — rak, który zaatakował usta dyplomaty — być może udałoby się hrabiemu Goltzowi złagodzić czekający Francję los. Niestety, po bezskutecznej operacji musiał opuścić Paryż. Żegnając się z cecarżową Eugenią powiedział smutno: „Do zobaczenia tam, w górze” — i wskazał niebo.

Nie trzeba dodawać, że podobnie jak księżę Metternich i kawaler Nigra, także i hrabia Goltz kochał się w cesarzowej Eugenii. Miłość ich była naturalnie beznadziejna i pełna szacunku, rozkwitała zarówno w słonecznym blasku, jak i przy płonących tysiącem świec żyrandolach. Objawiała się wymową spojrzenia, pochyleniem głó-

12-  
179

wy, wyrazem ust. Nigdy słowem: niemy hołd składany co dzień pięknej kobiecie, noszącej na jasnych włosach cesarski diadem.

Ach, jakże przyjemne były te objawy uwielbienia dla dawnej panny de Montijo! Rozgrzewały zimne serce, zatrzymywały przemijającą zbyt szybko młodość. Unicestwiały Czas, zamykając Wieczność w błękitnym salonie.

Z tych trzech wiernych do końca wielbicieli, najmiłszy chyba był kawaler Nigra. Czy wiedział o tym? Czy jego uczucie było gorętsze od uczuć rywali? Nie wiadomo. Dyskrecja jest dewizą dyplomaty, a kawalerowi Nigrze przypisywano przeciw atrybuty nie tylko Don Juana, ale przede wszystkim Machiavellego.

wy, wyrazem ust. Nigdy słowem: niemy hołd składany co dzień pięknej kobiecie, noszącej na jasnych włosach cesarski diadem.

Ach, jakże przyjemne były te objawy uwielbienia dla dawnej panny de Montijo! Rozgrzewały zimne serce, zatrzymywały przemijającą zbyt szybko młodość. Unicestwiały Czas, zamykając Wieczność w błękitnym salonie.

Z tych trzech wiernych do końca wielbicieli, najmiłszy chyba był kawaler Nigra. Czy wiedział o tym? Czy jego uczucie było gorętsze od uczuć rywali? Nie wiadomo. Dyskrecja jest dewizą dyplomaty, a kawalerowi Nigrze przypisywano przeciw atrybuty nie tylko Don Juana, ale przede wszystkim Machiavellego.

VIII

— Znowu wychodzisz... — Mela oparta o futrynę drzwi patrzyła nadąsa-

na, jak Róża wkłada kapelusz.

— Nie na długo — Róża uśmiechnęła się do odbitej w lustrze twarzy. W tym kapeluszu wyglądała wyjątkowo ładnie. — Anto, zabierz Melę i siadźcie przy oknie.

— Chcę, żebyś i ty posiedziała z nami — upierała się Mela.

— Chodź — Antoś wychylił się z pokoju Dziadusia, gdzie przez otwarte okno wlewało się słońce.

— Pamiętaj — upominała Zelia. — Jeżeli powozu nie będzie, nie bierz żadnego fiakra i wracaj do domu. Jutro pojedziemy razem.

Powóz będzie — Róża była pewna, a nawet coś jej mówiło, że nie sama pojedzie na bulwar Montparnasse.

Wolno schodziła ze schodów, zapinając po drodze rękawiczki, rada z czekającej ją przejażdżki. Poprzedniego dnia nie udało jej się porozmawiać z panem Hutorowiczem; zostawiła mu Dziadusiowe zapiski, a on obiecał, że następnym popołudniem przyśle po nią konie.

— Jaka piękna suknia — pani Cordier odsunęła firankę, żeby lepiej przyjrzeć się młodej lokatorce. — Ślicznie pani wygląda — westchnęła — aż miło spojrzeć!

Podziękowała uśmiechem — w tak piękny dzień nawet do pani Cordier można się było uśmiechać — i wysunęła się na ulicę.

Po drugiej stronie, przed kościołem, czekał dziwny fiaker.

Niestety, tym razem była jego jedyną pasażerką.

Droga wydała jej się długa i mało ciekawa. Dopiero mijając zadrzewiony teren obserwatorium wychyliła się nieco, by lepiej zobaczyć marszałka Neyą na granitowym cokole.

181

Znany już stary służący zaprowadził ją do salonu. Pan Hutorowicz był na szczęście sam.

— Witam, witam — mimo wesołego tonu twarz miał poważną, a nawet smutną czy strapioną.

— Przeczytał pan? — wpatrywała się w starego rodaka w oczekiwaniu jakichś — być może — rewelacyjnych, a przez nią nie zauważonych w Dziadusiowym tekście odkryć.

Pan Hutorowicz potwierdzająco pochylił głowę.

— I co?

— Różne sprawy z dawnych lat... Początków tego wszystkiego należy szukać daleko stąd i bardzo dawno temu.

— Ta litera — zaczęła. — To jakieś „D”, które się przewija przez te kartki — wskazała Dziadusiowe zapiski leżące na stole. —

Kto to?

— Znaliśmy tego człowieka od początku, od dziecka, wydawało się nam, że wszystko o nim wiemy, że tak jak i my, tak samo i on był przezroczysty jak górski kryształ... — Pan Hutorowicz zwiesił głowę i zacisnął palce.

— Widzi pan — Róża przysunęła się do stołu i oparła ręce na lśniącym blacie. — Muszę się do czegoś przyznać. Wówczas, na ulicy Clovisa, dał mi pan kartkę. Zanim wręczyłam ją hiszpańskiemu lokajowi, przeczytałam. Bardzo się tego wstydzę, ale musiałam... — pochyliła się nad stołem. — I tam też był ten człowiek. Pan go nazywa „D” — wstrząsnęła się. — Straszny człowiek, prawda?

— Straszny — przytaknął pan Hutorowicz. — A był takim ślicznym dzieckiem, a i potem... Taki zdolny, żywy, czarujący. Wyglądał jak młody książę... Któż mógł się spodziewać?

— I dlaczego?

— Właśnie, dlaczego? — pan Hutorowicz rozłożył ręce. — Bogu jednemu wiadomo. On tylko wie, co siedzi w człowieku i co z niego wychodzi w jakiejś chwili, może najważniejszej w życiu.

— „D”... Czy to imię? — spytała lękliwie.

— Imię rzymskiego męczennika, chrześcijanina, straconego za czasów Dioklecjana. Bohatera.

— Jak więc się nazywa?

— Damian — pan Hutorowicz wypowiedział to tak cicho, 182

jak gdyby głośniejszą intonacją obawiał się przywołać groźną zjawę.

Róża obejrzała się na boki. Salon był jasny, zalany słońcem, lekki wiatr poruszał białe firanki, na marmurze kominka tykał zegar. Tak cicho i tak bezpiecznie. I tak daleko od wszelkiego zła. Od człowieka imieniem Damian.

— Jak to się stało? — mimowolnie zniżyła głos.

— Nie wiadomo. Zło musiało w nim tkwić od urodzenia. Może już ojciec? Nikt go nie znał. Pan Żeran przywiózł żonę z daleka. Była wdową i

miała małego synka.

— Pan Żeran? — poderwała się dysząc ciężko, jak po długim biegu.

— Pan Żeran — powtórzył. — Ojciec Zygmunta. Zygmunt był młodszym bratem Damiana. Mieli wspólną matkę.

— Więc to brat Zygmunta — Róża z trudem odzyskiwała równowagę.

— Brat przyrodni. — Pan Hutorowicz zapatrzył się w wymyślny wzór parkietowej podłogi. — Był od niego starszy o dwa lata. Wydaje mi się, że wszystko zaczęło się, gdy dorósł i zdał sobie sprawę z odmienności swojej pozycji. Zygmunt po ojcu dziedziczył majątek. Dla niego przypadłaby jedynie niewielka sumka. Musiałby ponadto opuścić dom, który uważał za własny. Świetny panicz, znany w całej okolicy z urody i elegancji, byłby może zmuszony, żeby żyć, wziąć jaki folwark w dzierżawę. A może poszedłby w świat szukać fortuny? Matka bardzo go kochała, kto wie, czy nie więcej niż Zygmunta. Pan Żeran też był dla niego dobry i nie robił żadnej różnicy między chłopcami. Ale musiała przyjść taka chwila, kiedy Damian zrozumiał.

Zapukano do drzwi i do salonu wsunął się stary służący z tacą.

— Napijemy się herbaty — pan Hutorowicz odłożył na bok Dziadusiowe kartki. — Należy nam się pokrzepić. Ta wycieczka w dawne czasy jest męcząca... i bardzo smutna — dokończył ciszej.

Pili herbatę w milczeniu, zatopieni każde z nich we własnych myślach.

Pan Hutorowicz cofał się we wspomnienia dzieciństwa i młodości. Róża przeżywała te nowe wrażenia, kompletując jak gdyby obraz Dziadusiowej przeszłości.

Gdy służący zebrał naczynia, znowu zostali sami z tą jakąś przytłaczającą choć niewidzialną obecnością.

183

— Co zrobił złego? — Róża nie mogła dłużej czekać. Musiała wreszcie wiedzieć.

— Co złego? — w głosie pana Hutorowicza dźwięczał dawny ból. — Sprzedał się wrogowi, ot co — powiedział po chwili gwałtownie. — Tylko w taki sposób mógł zdobyć pieniądze, a wiele ich potrzebował. Młody, piękny i bez grosza. Tacy właśnie dostają się we władzę szatana. Przy tym ambitny i pozbawiony skrupułów. Często zastanawialiśmy się, jak człowiek tak wychowany mógł odrzucić wpajane od dziecka zasady. Okazało się też, że nie kochał nikogo, nawet matki. Ona zresztą umarła pierwsza. Pamiętam pogrzeb. Był początek wiosny. Rozpacz Zygmun-

ta. I Damian... z kamienną twarzą. Myśleliśmy, że oniemiał z bólu. Ale on bał się, po prostu bał się, bo nie wiedział, co z nim będzie. Nikomu widać nie ufał. A przecież pana Żerana nazywał ojcem i pan Żeran był ojcem dla niego.

— Mówi pan, że był piękny. Czy podobny do matki?

— O nie. Pani Żeranowa miała ciemne włosy, a on był jasny jak cherubin. Jego włosy miały odcień bladego złota, a w słońcu wydawały się aż srebrzyste. Oczy miał zimne jak kawałki lodu, koloru zamarzłej wody, przezroczyste. Ludzie z takimi oczami są niebezpieczni dla drugih, nie ma w nich ani żdźbła serca czy litości. Kochają wyłącznie siebie. Tak i on...

— Biedny.

— Nieszczęśliwy — poprawił pan Hutorowicz. — Widocznie brakowało w nim jakiejś struny, która porusza miłosierdzie. W ogóle obcy mu był sens tego słowa. Dla niego to pusty dźwięk, równie pozbawiony treści jak honor czy lojalność.

— A jego prawdziwy ojciec?

— Nikt nic o nim nie wiedział. Pani Żeranowa wyszła za niego wbrew woli rodziców. Wydziedziczyli ją. Zresztą, jeżeli był tak samo piękny jak syn, nie można się dziwić, że straciła głowę. Podobno zginął tragicznie od kuli czy w pojedynku, nikt nie słyszał nic pewnego. Wdowa została bez środków do życia. Uratowało ją drugie małżeństwo.

— I pan znał... Damiana od dziecka?

— A tak. Było nas czterech chłopców w sąsiedztwie, zaprzyjaźnionych od najmłodszych lat. Kazio, Zygmunt, Damian i ja. Z początku nie wiedzieliśmy nawet, że Damian nosi inne nazwisko.

184

— Co zrobił złego? — Róża nie mogła dłużej czekać. Musiała wreszcie wiedzieć.

— Co złego? — w głosie pana Hutorowicza dźwięczał dawny ból. — Sprzedał się wrogowi, ot co — powiedział po chwili gwałtownie. — Tylko w taki sposób mógł zdobyć pieniądze, a wiele ich potrzebował. Młody, piękny i bez grosza. Tacy właśnie dostają się we władzę szatana. Przy tym ambitny i pozbawiony skrupułów. Często zastanawialiśmy się, jak człowiek tak wychowany mógł odrzucić wpajane od dziecka zasady. Okazało się też, że nie kochał nikogo, nawet matki. Ona zresztą umarła pierwsza. Pamiętam pogrzeb. Był początek wiosny. Rozpacz Zygmun-

ta. I Damian... z kamienną twarzą. Myśleliśmy, że oniemiał z bólu. Ale on bał się, po prostu bał się, bo nie wiedział, co z nim będzie. Nikomu widać nie ufał. A przecież pana Żerana nazywał ojcem i pan Żeran był ojcem dla niego.

— Mówi pan, że był piękny. Czy podobny do matki?

— O nie. Pani Żeranowa miała ciemne włosy, a on był jasny jak cherubin. Jego włosy miały odcień bladego złota, a w słońcu wydawały się aż srebrzyste. Oczy miał zimne jak kawałki lodu, koloru zamarzłej wody, przezroczyste. Ludzie z takimi oczami są niebezpieczni dla drugich, nie ma w nich ani żdźbła serca czy litości. Kochają wyłącznie siebie. Tak i on...

— Biedny.

— Nieszczęśliwy — poprawił pan Hutorowicz. — Widocznie brakowało w nim jakiejś struny, która porusza miłosierdzie. W ogóle obcy mu był sens tego słowa. Dla niego to pusty dźwięk, równie pozbawiony treści jak honor czy lojalność.

— A jego prawdziwy ojciec?

— Nikt nic o nim nie wiedział. Pani Żeranowa wyszła za niego wbrew woli rodziców. Wydziedziczyli ją. Zresztą, jeżeli był tak samo piękny jak syn, nie można się dziwić, że straciła głowę. Podobno zginął tragicznie od kuli czy w pojedynku, nikt nie słyszał nic pewnego. Wdowa została bez środków do życia. Uratowało ją drugie małżeństwo.

— I pan znał... Damiana od dziecka?

— A tak. Było nas czterech chłopców w sąsiedztwie, zaprzyjaźnionych od najmłodszych lat. Kazio, Zygmunt, Damian i ja. Z początku nie wiedzieliśmy nawet, że Damian nosi inne nazwisko.

184

— A jak się nazywa?

— Wolałbym nie mówić.

— Dlaczego?

— Lepiej tego nie znać, niech mi pani wierzy. Tak o wiele bezpieczniej.

— Dziaduś... bał się go?

— Wszyscy bali się go, bo zniszczył wielu.

— Podczas powstania, tak?

Pan Hutorowicz milcząco pokiwał głową.

— Sądziłem, że już nie żyje — dodał — aż oto spotkałem go koło Pantheonu. Należało więc ostrzec, kogo trzeba.

— I poznał go pan? Po tylu latach?

— Poznałem bez trudu. Mało się zmienił. Jasne włosy są teraz białe, oczy zawsze lodowate, twarz jak z marmuru. Za to ja... stary dziad. Nigdy nie rozpoznałby we mnie dawnego Stefka. Panno Rózo — pan Hutorowicz pozbierał rozrzucone kartki. — Dość na dziś. Za bardzo pani zmęczyłem. To okropna "sprawa. Nie można bezkarnie zanurzać się w błocie.

— Ale ja chcę...

— Wiem. Chce pani zrozumieć to wszystko, co napisał Kazio. Radzę, odłóżmy to na inny dzień. Oswoi się pani z faktami, będzie pani odporniejsza.

— Czy tam są rzeczy aż tak straszne?

— Wystarczająco straszne, by zburzyć pani spokój. Proszę mnie posłuchać, moje dziecko.

— Jak pan uważa — zgodziła się niechętnie.

W głowie kłębiły się myśli, przed oczy nachodziły obrazy, w uszach szemrały jakieś głosy, a wszystko było rozpaczą i bólem.

Dopiero gdy wstała, poczuła, jak jest słaba.

Pan Hutorowicz otworzył drzwi salonu i wydał polecenie służącemu. Po chwili zawiadomiono, że konie czekają.

W westybulu natknęła się na Miguela Toreno.

— Jak dobrze, że pan jest — chwyciła się ramienia lokaja. — Tak mi ciężko...

Wyprowadził ją na ulicę i pomógł wsiąść do powozu.

— Pojedzie pan ze mną? — obejrzała się, opadając na poduszki.

— Pojadę.

185

Zanim wsiadł, powiedział coś woźnicy, ale co powiedział, nie dosłyszała.

Zamiast w stronę miasta konie uniosły ich w przeciwnym kierunku. Skręciły z bulwaru Montparnasse na nie brukowaną drogę, przecięły niedawno wytyczoną szeroką ulicę, chwilę biegly wzdłuż cmentarnego muru, by wreszcie zanurzyć się w czystej zieleni podparyskiej wsi.

Róza płakała cicho przytulona do ramienia Hiszpana, który obejmował ją jedną ręką, drugą trzymając jej bezwładne palce. Tym razem usiadł obok niej na wyraźne jej zaproszenie.



Właściwie sama nie wiedziała, co popchnęło ją ku niemu, co kazało szukać schronienia u tego mocnego człowieka, jedyne, który mógł ją obronić przed wszelkimi okropnościami życia.

Nie potrzebowała już dalszych wyjaśnień, wiedziała, kto zgubił Zygmunta. Rozumiała teraz nieufność Dziadusia, jego lęk przed rodakami i wynikające stąd odosobnienie. W obecnej chwili podzielała nawet jego obawy.

Miguel Toręno nie przerywał milczenia, jak gdyby domyślał się, co było przyczyną łez.

— Panie Toreno — Róża mocniej przywarła twarzą do szorstkiej tkaniny. — Żeby pan wiedział...

— Wiem — odparł spokojnie, mocniej otaczając ramieniem jej plecy.

— Dlaczego jest pan dla mnie taki dobry? — wyszłochała w nowym ataku płaczu. — Nie zasługuję na to.

— Pani wie, dlaczego — powiedział cicho przytulając policzek do runda jej kapelusza.

— I pomimo mojej niegodziwości...

— Proszę tak nie mówić. Nigdy nie była pani niegodziwa. To są po prostu uprzedzenia, które pokutują jeszcze w pani świecie.

— To wcale nie jest mój świat — zaprotestowała gwałtownie. — Mego świata tu nie ma. Pozostał dialekt) stąd, w Ojczyźnie. Wie pan, zawsze myślałam, że tam nie było złych ludzi, że nie znano, co to zdrada, że był to świat bohaterów. Podłość, nikczemność istniały tu, nie tam. A teraz widzę, że i tam wówczas też byli zdrajcy i popełniali zbrodnie.

— Idealizowała pani przeszłość, a przecież ludzie zawsze i wszędzie są jednakowi. Wszystko zależy od okoliczności. Czy

186

na przykład zechciałaby pani kiedykolwiek przytulić się do mnie, pozwolić, żebym panią objął i trzymał, tak jak teraz, gdyby nie smutek? Jest pani smutna i dlatego zapomina, kim jestem.

— Nie, nie — poruszyła się niespokojnie. — Myli się pan. Zawsze chciałam...

— Co pani chciała, Rózo?

Podniosła ku niemu zapłakaną twarz i zapuchnięte oczy.

— Wiem, jaka jestem teraz brzydka — powiedziała mężnie — ale pan i tak...

— Oczywiście — przytaknął. — Dla mnie jest pani najpiękniejsza. Nie potrzebuję chyba mówić.

— Niech pan mówi — poprosiła. — Nigdy dotąd nie powiedział mi pan tego.

— Jakże mogłem? Pani Zelia nauczyła mnie, jak traktować panienkę.

— Zelia... — powiedziała z przekąsem, ponownie chowając twarz w szorstkiej materii.

— Czy pani się wstydzi? — zapytał niespokojnie.

— Tak, bardzo się wstydzę. Jakże byłam głupia! Przecież pan mógł mnie znienawidzić!

— Znienawidzić? — zaśmiał się cicho. — Tego nigdy nie zdołałaby pani dokonać.

— Tak pana krzywdziłam, a pan odplącał mi dobrocią.

— O nie — zaprzeczył. — Pani wie, że to nie jest dobroć.

— Wiem — szepnęła i zamknęła oczy. Boże, jaka była szczęśliwa!

Zbyt szybko zleciało to cudowne lato, gdy każdy ranek zapowiadał dzień pełen zachwycających wrażeń. Róży zdawało się, że uniesiono ją w jakieś odległe rejony nieziemskiej wręcz szczęśliwości.

Zelia za to była coraz bardziej chmurna, coraz podejrzliwiej przyglądała się dziewczynie, która z każdym tygodniem zyskiwała jak gdyby na urodzie.

Mela i Antoś także dostrzegli zmianę.

— Tak rzadko jesteś teraz w domu — poskarżył się brat, gdy po raz czwarty w nowej błękitnej sukni brała ze stolika rękawiczki.

187

— Już nas nie kochasz — zawtórowała Mela, patrząc w odbitą w lustrze zarumienioną twarz opiekunki.

— Ależ dzieci — Róża zatrzymała się w progu sypialni — co za głupstwa przychodzą wam do głowy!

— Mają rację — zamruczała Zelia. — Już czwarte popołudnie w tym tygodniu spędzasz poza domem.

— Wiesz przecież, że jadę do pana Hutorowicza — usprawiedliwiała się niezręcznie. — Przysyła po mnie konie.

— Tak, tak — Zelia pokiwała głową. — Powóz czeka pod kościołem, a jakże, widać go aż stąd. Piękny, wygodny powóz.

— Doprawdy, Zelio, o co ci chodzi? Czyż mam odmawiać so-

bie przyjemności spędzenia paru godzin wśród rodaków? To ludzie starsi i stateczni i wiesz przecież, o czym się tam rozmawia. — Wiem, wiem, naturalnie. — Zelia zamilkła i spuściła głowę, wyraźnie unikając wzroku „panienki”.

Wszystko, co Róża mówiła, było prawdą. Nie mówiła tylko, że w powrotnej drodze towarzyszył jej zazwyczaj kruczowłosy mężczyzna o błyszczących oczach.

W salonie rotmistrza Brackiego na bulwarze Montparnasse rzeczywiście ciekawe roztrząsano sprawy. Ubolewano na przykład, że Prusacy zaleli Paryż, że pełno ich w restauracjach, w teatrach, w operze, na przejażdżce w Lasku. Cała pruska młodzież zjeżdża do Paryża i bawi się do utraty tchu!

— Bardzo dobrze — cieszą się niektórzy. — Niech rzucają pieniędzmi! Pruskie złoto zostanie przynajmniej we Francji.

O tak, dużo pruskiego złota wpadało wówczas we francuskie kiesy. Kobiety, kolacyjki, konie i ekwipaże — to sporo kosztuje, a przy okazji pruscy lejtnanci i bogaci junrzy ze śląskich puszczy nabierali w Paryżu polu i światowych manier.

Aż z odległych ziem płynęło to złoto do paryskich traktierni i domów gry, aż ze starego polskiego Śląska, który obsiadły pruskie rody. Najbogatszy wśród tych Ballestremów, Schaffgotschów czy książąt Hohenlohe panoszących się w piastowskiej Pszczynie był bez wątpienia hrabia — obdarzony później tytułem książęcym — Gwidon Henckel von Donner-smarck.

Z hut i kopalń Śląska można było wyciągnąć wiele pieniędzy, kominy dymiły tam dzień i noc. Dzień i noc górnicy opuszczali

188

— Już nas nie kochasz — zawtórowała Mela, patrząc w odbitą w lustrze zarumienioną twarz opiekunki.

— Ależ dzieci — Róża zatrzymała się w progu sypialni — co za głupstwa przychodzą wam do głowy!

— Mają rację — zamruczała Zelia. — Już czwarte popołudnie w tym tygodniu spędzasz poza domem.

— Wiesz przecież, że jadę do pana Hutorowicza — usprawiedliwiała się niezręcznie. — Przysyła po mnie konie.

— Tak, tak — Zelia pokiwała głową. — Powóz czeka pod kościołem, a jakże, widać go aż stąd. Piękny, wygodny powóz.

— Doprawdy, Zelio, o co ci chodzi? Czyż mam odmawiać sobie przyjemności spędzenia paru godzin wśród rodaków? To ludzie starsi i stateczni i wiesz przecież, o czym się tam rozmawia. — Wiem, wiem, naturalnie. — Zelia zamilkła i spuściła głowę, wyraźnie unikając wzroku „panienki”.

Wszystko, co Róża mówiła, było prawdą. Nie mówiła tylko, że w powrotnej drodze towarzyszył jej zazwyczaj kruczowłosa mężczyzna o błyszczących oczach.

W salonie rotmistrza Brackiego na bulwarze Montparnasse rzeczywiście ciekawe roztrząsano sprawy. Ubolewano na przykład, że Prusacy zaleli Paryż, że pełno ich w restauracjach, w teatrach, w operze, na przejażdżce w Lasku. Cała pruska młodzież zjeżdża do Paryża i bawi się do utraty tchu!

— Bardzo dobrze — cieszą się niektórzy. — Niech rzucają pieniędzmi! Pruskie złoto zostanie przynajmniej we Francji.

O tak, dużo pruskiego złota wpadało wówczas we francuskie kiesy. Kobiety, kolacyjki, konie i ekwipaże — to sporo kosztuje, a przy okazji pruscy lejtnanci i bogaci junkrzy ze śląskich puszczy nabierali w Paryżu polu i światowych manier.

Aż z odległych ziem płynęło to złoto do paryskich traktierni i domów gry, aż ze starego polskiego Śląska, który obsiadły pruskie rody. Najbogatszy wśród tych Ballestremów, Schaffgotschów czy książąt Hohenlohe panoszących się w piastowskiej Pszczynie był bez wątpienia hrabia — obdarzony później tytułem książęcym — Gwidon Henckel von Donnersmarck.

Z hut i kopalń Śląska można było wyciągnąć wiele pieniędzy, kominy dymiły tam dzień i noc. Dzień i noc górnicy opuszczali

188

się na dno wyrąbanych kilofem korytarzy, by hrabia Gwidon mógł szaleć w dalekim Paryżu.

Bo Paryż olśniewał tych „wschodnich barbarzyńców” — jak ich tu nazywano — przyciągał niczym magnes drobiny owej stali, z której przyjaciel Donnersmarcka Alfred Krupp odlewał swoje armaty.

O Paryżu śnili zarówno oficerowie garnizonu ponurego Berlina czy osiadli w najeżonych basztami zamkach hreczkosi je, jak i fabrykanci nadający ton przemysłowej Europie.

Trudno przecież okrążyć rok tkwić w koszarach, w gotyckich komnatach

obronnego zamku lub w kupieckim kantorze. Człowiek musi mieć chwilę wytchnienia i zabawy, a gdzieś lepiej zabawić się, jak nie w Paryżu? Wszystko tam służy zaspokojeniu najśmielszych nawet zachcianek, wszystko jest rozkoszą dla oczu, uszu i podniebienia, a już weselszego towarzystwa nie znalazłbyś w żadnej z europejskich stolic!

Nie tylko ci, co mogą szastać złotem, ciągną do Paryża. Spieszą tam i tacy, którzy z tym miastem wiążą największe nadzieje: a więc wszelkiego rodzaju awanturnicy, gracze i oszuści, kobiety, które dawno utraciły wstyd i nie przebierają w środkach, byle trafić na dostatecznie bogatego protektora. Wówczas — jeśli natura nie poskąpiła im urody — porzucają szwalnię czy ładę sklepową, zamieniając skromną lub wręcz ubogą, lecz uczciwą, egzystencję na życie błyskotliwe, próżniacze i wystawne, zepchnięte jednak w rejony tak zwanego półświatka.

Wśród wielu takich istot, co jak olśniewające meteory zajaśniały na chwilę na paryskim niebie Drugiego Cesarstwa, nie można nie wspomnieć pani Paivy, którą jedynie dostawcy tytułowali markizą, a ogół paryżan zwał po prostu Paivą.

Dama owa dobiegała wówczas pięćdziesiątki, miała dwa podbródki, kilka kilogramów kosztowności i pałac przy Polach Elizejskich.

Zanim jednak zdobyła te wymarzone szczyty, zanim obwieszona klejnotami przestąpiła ozdobną bramę własnego pałacu, zaznała najbardziej upadającej nędzy brudnych zaułków: stolica cywilizowanego świata odkryła przed nią najhaniebniejsze ze swoich tajemnic.

Nędza nie potrafiła jej złamać. Zdumiewająca była doprawdy  
189

odporność tej kobiety. Dzięki temu przetrwała wszystko i osiągnęła cel. Gdzie się urodziła? W Moskwie, w Nysie czy we Wrocławiu? Nie wiadomo. Wiadomo tylko, że była córką żydowskiego krawca, borykającego się z biedą całe życie i choć nazywała się Sara Lachmann, przybierała sobie w trakcie burzliwej egzystencji tak poetyczne imiona jak Paulina, Teresa, Blanka.

W bardzo młodym wieku porzuciła dom rodzinny, bo nędzne bytowanie w ojcowskim warsztacie nie było po jej myśli.

Pierwszym, który pomógł jej wznieść się na nieco wyższy szczebel społecznej drabiny, był francuski krawiec osiadły w Moskwie. Ożenił się nawet z tą żądną uciech dziewczyną o niebanalnej urodzie i wspaniałych oczach.

Ale i jego dom, i niski stan niedługo jej odpowiadały. Zostawiwszy dziecko i zabrawszy mężowskie oszczędności uciekła do Paryża, nieosiągalnego dotąd celu marzeń podobnych jej istot.

Upadła najniżej, jak tylko można, zanim zjawił się królewicz z bajki, który wyprowadził kopciuszka spod osmolonego komina i triumfalnie ukazał królową całemu światu. Rolę tę odegrał — zresztą znakomicie — słynny pianista, Henryk Herz.

Zamieszkali razem, uchodząc za małżeństwo.

Była żona moskiewskiego krawca odkryła w sobie nie podejrzewany nawet talent wydawania pieniędzy. Coraz większe sumy szły na coraz droższe toalety, na coraz wspanialszą biżuterię. W salonie „Madame Herz” bywali najwięksi artyści nie tylko Francji: Aleksander Dumas syn, Teofil Gautier, młody Juliusz Verne, sam nawet Wagner.

Paryż spełnił z nawiązką jej nadzieje. Z małym jednak wyjątkiem, oto Tuilerie ciągle pozostawały przed nią zamknięte. Podobnie jak pozostały zamknięte wszystkie tak zwane przyzwoite domy. W jej salonie nie bywała też żadna szanująca się kobieta.

Gdy zaproszono raz Herza z koncertem do Tuileriów, uparła się pojechać z nim razem, by wreszcie narzucić opornym niepożądaną dotąd obecność. Niestety! Nie pozwolono jej nawet wysiąść z karety! Wysza-merowany szambelan oznajmił pianiście, że sam jest tylko oczekiwany, bez Madame.

190

odporność tej kobiety. Dzięki temu przetrwała wszystko i osiągnęła cel. Gdzie się urodziła? W Moskwie, w Nysie czy we Wrocławiu? Nie wiadomo. Wiadomo tylko, że była córką żydowskiego krawca, borykającego się z biedą całe życie i choć nazywała się Sara Lachmann, przybierała sobie w trakcie burzliwej egzystencji tak poetyczne imiona jak Paulina, Teresa, Blanka.

W bardzo młodym wieku porzuciła dom rodzinny, bo nędzne bytowanie w ojcowskim warsztacie nie było po jej myśli.

Pierwszym, który pomógł jej wznieść się na nieco wyższy szczebel społecznej drabiny, był francuski krawiec osiadły w Moskwie. Ożenił się nawet z tą żądną uciech dziewczyną o niebanalnej urodzie i wspaniałych oczach.

Ale i jego dom, i niski stan niedługo jej odpowiadały. Zostawiwszy dziecko i zabrawszy mężowskie oszczędności uciekła do Paryża, nieosią-

galnego dotąd celu marzeń podobnych jej istot.

Upadła najniżej, jak tylko można, zanim zjawił się królewicz z bajki, który wyprowadził kopciuszka spod osmolonego komina i triumfalnie ukazał królową całemu światu. Rolę tę odegrał — zresztą znakomicie — słynny pianista, Henryk Herz.

Zamieszkali razem, uchodząc za małżeństwo.

Była żona moskiewskiego krawca odkryła w sobie nie podejrzanego talent wydawania pieniędzy. Coraz większe sumy szły na coraz droższe toalety, na coraz wspanialszą biżuterię. W salonie „Madame Herz” bywali najwięksi artyści nie tylko Francji: Aleksander Dumas syn, Teofil Gautier, młody Juliusz Verne, sam nawet Wagner.

Paryż spełnił zawiązkę jej nadzieje. Z małym jednak wyjątkiem, oto Tuilerie ciągle pozostawały przed nią zamknięte. Podobnie jak pozostały zamknięte wszystkie tak zwane przyzwoite domy. W jej salonie nie bywała też żadna szanująca się kobieta.

Gdy zaproszono raz Herza z koncertem do Tuileriów, uparła się pojechać z nim razem, by wreszcie narzucić opornym niepożądaną dotąd obecność. Niestety! Nie pozwolono jej nawet wysiąść z karety! Wysza-merowany szambelan oznajmił pianiście, że sam jest tylko oczekiwany, bez Madame.

190

Wściekłość omal jej nie zadusiła. Wracła jak niepyszna, za-przysięgając Tuileriom zemstę.

Wkrótce zagrożonego ruiną pianistę oburzona rodzina „wyrwała ze szponów awanturnicy” — jak oświadczone — i tak zakończył się pierwszy etap paryskich triumfów przyszej markizy.

Potem przygarnął ją Londyn w osobie niejakiego lorda Stanleya, a potem znowu był Paryż, a wszystko już w największym przepychu, wspaniałych apartamentach, wśród służby i wielbicieli.

A potem nagle dowiedziała się o zgonie legalnego małżonka, owego krawca, którego niegdyś poślubiła w Moskwie. Była więc wolna i mogła zawrzeć nowy związek, tym razem postanowiła kupić sobie odpowiedniego męża.

Kandydat trafił się bez trudu, autentyczny portugalski markiz, Jose de Paiva, stary i bez grosza, a więc łatwy do nabycia. Nie był kłopotliwy. Za odpowiednią sumę posłusznie wyniósł się do Portugalii.

Pani markiza sądziła, że teraz uchylą się przed nią drzwi domów nieprze-

jednanego dotąd „towarzystwa”. Pomyliła się jednak i tym razem. Wynagrodziła to sobie w inny sposób, zapraszając wybitnych ludzi owej epoki, których przyciągała do jej domu zarówno uroda i talenty gospodyni, jak i doskonała kuchnia. Mimo wielu kochanków nie natrafiła dotąd na „mężczyznę swego życia”. Dopiero młody, bo młodszy od niej o jedenaście lat, hrabia Gwidon Henckel von Donnersmarck okazał się wybrańcem, na którego czekała.

Prusak oszalał. To on wybudował dla niej ów pałac na Polach Elizejskich. Zakochany bez pamięci, pierwszy raz, nie liczył, lecz rzucał złotem jak piaskiem. Mógł sobie na to pozwolić! Złoto z kopalń i hut Śląska zapewniało Paivie igrasze królewski przepych. Donnersmarck na nic nie żałował.

Z nienawiści do Tuileriów Paiva stanęła po stronie Prus, a stali bywalcy jej salonów bezwiednie pracowali na zgubę własnej ojczyzny, dostarczając wrogowi cennych informacji. Minister Bismarck zacierał ręce. Rosły zasługi Donnersmarcka. Tytuł księżęcy był słuszną nagrodą za pruski patriotyzm.

Naturalnie w obecności Róży na bulwarze Montparnasse nie poruszano tak drastycznych tematów, nie mówiono o Paivie, nie wymieniano nawet jej nazwiska. Nie godziło się wobec młodej

191

dziewczyny rozgrzebywać alkowianych brudów ladacznicy. Jednakże Paiva zbyt wielkim cieszyła się rozgłosem, by Róża o niej nie słyszała. Parę razy minęła pałac przy Polach Elizejskich — zawsze stały przed nim karety i powozy znacznych gości — co skromniejsi zadowalali się zwykłym fiakrem.

Panny ze szwalni także interesowały się Paivą, wzdychając z zazdrością nad „szczęściem” podobnej im przecięz wyrobnicy. Jej wygląd, a głównie toalety no i otaczający ją zazwyczaj zbytek roztrząsano długo i szeroko, nie pomijając najdrobniejszego szczegółu skandalicznego żywota.

— Dosyć, panny, do roboty — pani Benoit zazwyczaj przerywała te ciekawe, acz niestosowne w podobnym miejscu rozmowy.

A roboty było znowu dużo, także i u hafciarki.

Wraz z nadejściem jesieni skończyły się wizyty w gościnnym domu rotmistrza Brackiego. Róża w codziennej ciemnej sukni wbiegała każdego ranka na schody bocznego skrzydła pałacu. Miguel Toreno przestał być pasażerem eleganckiego powozu, znowu przywdział liberię i z rzadka tyl-



ko widywała go na dziedzińcu lub wówczas, gdy wpadał na chwilę do jej pracowni.

Jesień była brzydka, dżdżysta i chłodna, ale Róża nie odczuwała smutku, który taka pogoda zazwyczaj w niej wywoływała. Była szczęśliwa, ufna i spokojna, choć on nie powiedział dotąd, że ją kocha. Właściwie nie było to potrzebne, wszystko w nim bowiem mówiło o miłości, ale tych dwóch małych słówek, które tak gorąco pragnęła usłyszeć, nie powiedział nigdy. Usprawiedliwiała go, cóż bowiem mógł jej zaofiarować prócz miłości? Ale czy nie było to wszystko, czego potrzebowała? Bolała ją jego przypuszczalnie zraniona duma, choć nieraz powiedziała mu wyraźnie, że o nic innego jej nie chodzi. Był dla niej jedynym mężczyzną liczącym się w życiu i nawet gdyby jakiś książę krwi poprosił ją o rękę, odmówiłaby bez chwili wahania, przenosząc lokaja nad największych panów tego świata. Kochała go i była spokojna, ale jak bardzo go kochała, zrozumiała dopiero wówczas, gdy go miała utracić.

Pewnego wieczoru zapukał do drzwi pracowni, gdy Róża składała robotę, wybierając się do domu.

— Czy mogę panią zatrzymać? — jego poważna twarz i smutne spojrzenie przejęły ją lękiem.

192

Od razu wiedziała, że czeka ją coś złego.

— Muszę wyjechać — powiedział cicho — na długo, może na bardzo długo.

— Wyjechać? — powtórzyła zdławionym głosem. — Czy... do Hiszpanii?

— Nie — odparł spuszczać oczy — dużo dalej.

— W służbie cesarza, tak? — dopytywała się niespokojnie.

— Nie, nie w służbie cesarza — podniósł na nią wzrok. — Nie będę już nosił liberii — dodał po chwili.

— Czy... ze względu na mnie? Bo jeżeli tak, przecież pan wie, to nie ma żadnego znaczenia... Nic nie ma znaczenia...

— Wiem — przerwał jak gdyby w obawie, by nie powiedziała zbyt wiele. — Jeżeli wrócę, dowie się pani o wszystkim.

— Jeżeli pan wróci? Jak to? Co to znaczy?

— To znaczy, że jeżeli nie wrócę, rodacy pani nie opuszczą. Pan Hutorowicz pozostanie pani wiernym przyjacielem.

— Dlaczego pan Hutorowicz? A co pan? Dokąd pan jedzie? — prawie

krzyknęła. — Muszę wiedzieć.

— Będzie pani wiedziała, ale później. — Nagle zmienił ton. — Mój adres pani ma, prawda? W razie czego niech Zelia tam zostawi list. No i pan Hutorowicz. Jemu może pani we wszystkim zaufać.

— Co to znaczy? — powtórzyła. — Chcę wiedzieć.

— Rozumiem — pokiwał głową. — Ma pani prawo wiedzieć, ale ja, niestety, nie mam prawa zdradzić tajemnicy.

— Więc to tajemnica?

— Tak.

— Wszystko w panu jest tajemnicą — stwierdziła z goryczą — pana związek z bulwarem Montparnasse... To przecież są spiskowcy, polscy spiskowcy. Dlaczego więc pan?... — Chwilę czekała na odpowiedź, która nie nadchodziła. — Czy i tego nie wolno mi wiedzieć?

— Rózo — głos mu drżał i drżały ręce, gdy ujmował jej zimne dłonie.

— Tak mi ciężko, że muszę mieć przed panią sekrety, ale wiąże mnie przysięga. Pani przecież wie, że nie splamilibym się hańbiącym czynem, więc i to...

Nie mogła dręczyć go dłużej bezcelową indagacją. Widziała przecież ból w jego oczach, wiedziała, że jeżeli milczy, czyni to

13 — Talerz z Napoleonem

193

z jakiegoś bardzo ważnego obowiązku. Zresztą, czy to miało znaczenie wobec czekającego ich rozstania? Cóż by jej dało poznanie celu jego podróży, skoro ta podróż i tak jest nieunikniona i nawet jej miłość nie ma dość siły, by go zatrzymać?

Podeszła do niego blisko, tak blisko, że jej włosy musnęły mu policzek.

— Jeżeli tak trzeba — zaczęła.

— Tak trzeba — przerwał. — Są jeszcze nieszczęśliwsi od nas. Ale ja wrócę. Do pani — dokończył szeptem.

Nie opierała się, gdy ją przyciągnął do siebie, gdy ujmował jej ręce, gdy wtulał w nie twarz i całował. Każdy naznaczony igłą palec. A potem ode-rwał się od niej i postąpił ku drzewom.

— Z Bogiem — głos miał lekko schryply. — Zostawiam panią z Bogiem — i szybko wyszedł.

— Z Bogiem — powtórzyła, ale on zbiegał ze schodów i nie słyszał jej pożegnania.

Wszystko było nudą i szarością, ledwie święta Bożego Narodzenia wy-

rwaly Różę ze zwykłej dla niej teraz apatii. Zelia za to odzyskała humor i energię, Mela znowu była rada z opiekunki, a i Antoś, podczas niedzielnej czy świątecznej bytności w domu cieszył się, że siostra, jak dawniej, okazuje zainteresowanie jego sprawami.

W listopadzie poruszyła ją śmiertelna — ostatnia już — choroba Rossiniego. Gazety pisały dużo o włoskim kompozytorze od lat osiadłym w Paryżu. Przed domem w Passy, gdzie dogorywał maestro, gromadziły się tłumy wielbicieli. Co dzień rano marszałek Vaillant w imieniu cesarza facygował się osobiście po nowiny o stanie chorego. Lekarze nie robili żadnej nadziei na poprawę. "W wyłożonej w westybulu księdze gości wpisywali się ambasadorzy i ministrowie, sławy świata nauki i sztuki.

Piętnastego listopada było po wszystkim. Na własną śmierć Rossini skomponował „Stabat”, które artyści opery wykonali podczas żałobnego nabożeństwa. Róża nie mogła docisnąć się do kościoła Świętej Trójcy, gdzie odprawiono mszę za duszę zmarłego i wyśpiewano ostatnie arcydzieło — zamówienie z za grobu.

194

z jakiegoś bardzo ważnego obowiązku. Zresztą, czy to miało znaczenie wobec czekającego ich rozstania? Cóż by jej dało poznanie celu jego podróży, skoro ta podróż i tak jest nieunikniona i nawet jej miłość nie ma dość siły, by go zatrzymać?

Podeszła do niego blisko, tak blisko, że jej włosy musnęły mu policzek.

— Jeżeli tak trzeba — zaczęła.

— Tak trzeba — przerwał. — Są jeszcze nieszczęśliwsi od nas. Ale ja wrócę. Do pani — dokończył szeptem.

Nie opierała się, gdy ją przyciągnął do siebie, gdy ujmował jej ręce, gdy wtulał w nie twarz i całował. Każdy naznaczony igłą palec. A potem oderwał się od niej i postąpił ku drzwiom.

— Z Bogiem — głos miał lekko schryply. — Zostawiam panią z Bogiem — i szybko wyszedł.

— Z Bogiem — powtórzyła, ale on zbiegał ze schodów i nie słyszał jej pożegnania.

Wszystko było nudą i szarością, ledwie święta Bożego Narodzenia wyrwały Różę ze zwykłej dla niej teraz apatii. Zelia za to odzyskała humor i energię, Mela znowu była rada z opiekunki, a i Antoś, podczas niedzielnej czy świątecznej bytności w domu cieszył się, że siostra, jak dawniej, okazuje zainteresowanie jego sprawami.

W listopadzie poruszyła ją śmiertelna — ostatnia już — choroba Rossiego. Gazety pisały dużo o włoskim kompozytorze od lat osiadłym w Paryżu. Przed domem w Passy, gdzie dogorywał maestro, gromadziły się tłumy wielbicieli. Co dzień rano marszałek Vaillant w imieniu cesarza facytował się osobiście po nowiny

o stanie chorego. Lekarze nie robili żadnej nadziei na poprawę. W wyłożonej w westybulu księdze gości wpisywali się ambasadorzy

i ministrowie, sławy świata nauki i sztuki.

Piętnastego listopada było po wszystkim. Na własną śmierć Rossini skomponował „Stabat”, które artyści opery wykonali podczas żałobnego nabożeństwa. Róża nie mogła docisnąć się do kościoła Świętej Trójcy, gdzie odprawiono mszę za duszę zmarłego i wyśpiewano ostatnie arcydzieło — zamówienie zza grobu.

194

Święta przerwały monotonię zimowych dni, a już wizyta pana Hutorowicza, który z gwiazdkowymi prezentami zjawił się na ulicy Świętego Rocha, przywróciła blask oczom i rumieniec ożywienia na twarzy dziewczynki.

Antoś — jak zwykle w tym dniu — bawił w Tuileriach, Melę zaprosiła pani Pommier, sąsiadka z góry — jej kotka miała właśnie małe. Róża była uszczęśliwiona przyjmując u siebie starego przyjaciela. Zelia podała herbatę i świąteczny placek, z kominka płynęło ciepło, a przystrojona choinka w kącie pokoju podkreślała uroczysty nastrój owego dnia.

Pan Hutorowicz był teraz dla Róży jak gdyby odbiciem Dziadusia. Znał przeszłość i wszystkie zawiłe tajemnice owych strasznych czasów. Wiele o tym rozmawiali w ciągu lata, roztrzásając znalezione w skrytce zapiski. Leżały tam znowu, na starym miejscu, tak, jak je zostawił Zmarły.

— Zygmunt znikł, przepadł jak kamień w wodzie — szemrał głos starego rodaka w salonie rotmistrza Brackiego. — Szukaliśmy go, ale gdzież można było szukać, kiedy wszędzie wojna? Straszne działy się rzeczy, szczęście, że stary pan Żeran tego nie doczekał. A Zygmunt kochał brata, podziwiał go, ufał ślepo i patrzył w niego jak w obraz. Wyobraża sobie pani — starszy brat! A on umiał podejść człowieka, każdego potrafił owinąć dokoła palca. Miał dar wymowy, przekonywania...

— I co z Zygmuntem? — pytała chciwie, Zygmunt bowiem stanowił punkt centralny, wokół którego toczyły się rozmowy.

— Nie wiadomo. — Pan Hutorowicz rozkładał ręce. — Dziś był, a naza-

jutrz już go nie było. Ot co. Jedno tylko jest pewne: nie poległ w potyczce i nie dostał się do niewoli. Najgorsze, że i my długo nie podejrzewaliśmy Damiana. Nie zmieściliby się nam w głowie, że brat Zygmunta...

Brat Zygmunta — powtórzył ciszej i zamyślił się.

Smutne wiedli tego lata rozmowy. Róża poznawała powoli tragiczną prawdę, którą Dziadus ukrywał przed nią tyle czasu.

— Dlaczego nic mi o tym nie powiedział? — poskarżyła się raz.

— Nie chciał sącyć jadu w pani młode serce — odparł starzec. — Po cóż przedwcześnie poznawać najciemniejsze zakamarki ludzkiej natury? Życie i tak — prędzej czy później — podejmie

195

się trudnej roli nauczyciela. Nikt tego, niestety, nie uniknie, chyba że skryje się na pustyni.

Na ponumerowanych i oznaczonych datą kartkach Dziadus systematycznie zapisywał wszelkie dotyczące Damiana wypadki. Najbardziej dramatyczna była wiadomość z piątego maja tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku.

„Widziałem go dziś, koło katedry Notre-Dame. Stał wśród kwiaciarek zapatrzonej w pachnące bukiety. Zawsze lubił kwiaty, po prostu za nimi przepadał. Matka podzielała jego gusta. Pamiętam. W domu o każdej porze roku było jak w cieplarni. Gdy go więc zobaczyłem, jak stał obłany słońcem, szczupły i prosty jak młodzieniec, nogi wrosły mi w ziemię, myślałem, że kroku dalej nie zdołam uczynić. Co mnie teraz czeka? — pytałem bezgłośnie. Jego ukazanie się — jak pojawienie się komety — zawsze zwiastowało nieszczęście. Tak było w styczniu pięćdziesiątego ósmego roku, gdy zginął Stach. Tak było i przedtem, na dwa tygodnie zanim zmarła Józia. A teraz, co będzie? Czyja teraz kolej? Czy mo-ja?”

Róża wie, że wkrótce potem umarła jej matka. Co to więc znaczy?

— To znaczy — odpowiadał wówczas pan Hutorowicz — że jest to człowiek przeklęty i nie ma dla niego ratunku.

— O nie — zaprotestowała. — Nawet dla takiego człowieka jest zawsze otwarta droga do poprawy.

Pan Hutorowicz uśmiechał się pobłaźliwie.

— Nie wie pani, jakie zbrodnie popełnił i popełnia nadal. Tu też giną ludzie i próżno policja przeszukuje miasto. Przepadają, podobnie jak Zygmunt, choć tu nie ma wojny ani powstania, ani wrogich armii. Jakiś

czas piszą o tym gazety, a potem i gazety przestają pisać. A tymczasem człowiek ginie, ot, rozplywa się w powietrzu. Gdzie przepada? Bóg to jeden wie.

— I sądzi pan, że to Damian?

— Nie sądzę, moje dziecko, a wiem. I nie tylko ja. Są na to dowody. W każdym z takich przypadków użyto podstępu, sfalszowany list, podstawiona osoba. Trudno z tym walczyć. Najostrożniej si padali ofiarą. I nie tylko Polacy.

— Jak to? Francuzi także?

— I Francuzi — skinął głową.

196

się trudnej roli nauczyciela. Nikt tego, niestety, nie uniknie, chyba że skryje się na pustyni.

Na ponumerowanych i oznaczonych datą kartkach Dziaduś systematycznie zapisywał wszelkie dotyczące Damiana wypadki. Najbardziej dramatyczna była wiadomość z piątego maja tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku.

„Widziałem go dziś, koło katedry Notre-Dame. Stał wśród kwiaciarek zapatrzonej w pachnące bukiety. Zawsze lubił kwiaty, po prostu za nimi przepadał. Matka podzielała jego gusta. Pamiętam. W domu o każdej porze roku było jak w cieplarni. Gdy go więc zobaczyłem, jak stał obłany słońcem, szczupły i prosty jak młodzieniec, nogi wrosły mi w ziemię, myślałem, że kroku dalej nie zdołam uczynić. Co mnie teraz czeka? — pytałem bezgłośnie. Jego ukazanie się — jak pojawienie się komety — zawsze zwiastowało nieszczęście. Tak było w styczniu pięćdziesiątego ósmego roku, gdy zginął Stach. Tak było i przedtem, na dwa tygodnie zanim zmarła Józia. A teraz, co będzie? Czyja teraz kolej? Czy mo-ja?”

Róża wie, że wkrótce potem umarła jej matka. Co to więc znaczy?

— To znaczy — odpowiadał wówczas pan Hutorowicz — że jest to człowiek przeklęty i nie ma dla niego ratunku.

— O nie — zaprotestowała. — Nawet dla takiego człowieka jest zawsze otwarta droga do poprawy.

Pan Hutorowicz uśmiechał się pobłaźliwie.

— Nie wie pani, jakie zbrodnie popełnił i popełnia nadal. Tu też giną ludzie i próżno policja przeszukuje miasto. Przepadają, podobnie jak Zygmunt, choć tu nie ma wojny ani powstania, ani wrogich armii. Jakiś czas piszą o tym gazety, a potem i gazety przestają pisać. A tymczasem czło-

wiek ginie, ot, rozplywa się w powietrzu. Gdzie przepada? Bóg to jeden wie.

— I sądzi pan, że to Damian?

— Nie sądzę, moje dziecko, a wiem. I nie tylko ja. Są na to dowody. W każdym z takich przypadków użyto podstępu, sfalszowany list, podstawiona osoba. Trudno z tym walczyć. Najostrożniej si padali ofiarą. I nie tylko Polacy.

— Jak to? Francuzi także?

— I Francuzi — skinął głową.

196

V

// \* 71 1

i

— Więc skoro zobaczył go pan koło Panteonu...?

— Cały czas czekam na jakiś cios, a tymczasem, wbrew przewidywaniom, spotykają mnie same dobre rzeczy — uśmiechnął się. — Najpierw pani, a potem dawni towarzysze... I tak zostałem uratowany.

— Widzi pan, on wcale nie jest przeklęty. Może coś się w nim zmieniło? Przecież to człowiek.

— Może i człowiek — w głosie pana Hutorowicza czuło się jednak powątpiewanie.

Choć był to temat niewyczerpany — Róża mogłaby godzinami słuchać opowieści o tamtych latach — w Boże Narodzenie nie poruszano tak przykrych spraw. Pan Hutorowicz opowiedział, że do wigilijnej wieczery, w jadalni rotmistrza Brackiego zasiadło dwanaście osób — wszyscy jej znajomi, że pan Manczewski, ów cynamonowy jegomość, przed tygodniem złamał rękę, że wnuk pana domu, wraz z młodą żoną, na święta zjechał do Paryża.

— A... Miguel Toreno? Czy pan o nim coś wie? — nie mogła powstrzymać się, by nie zapytać o osobę dla niej najważniejszą.

— Wyjechał — odpowiedź pana Hutorowicza była aż nadto wyrażna.

Nie pytała o nic więcej, nic więcej właściwie jej nie obchodziło.

Pan Hutorowicz doczekał się powrotu dzieci i został na kolacji. Wieczór minął nad podziw przyjemnie. Pierwszy raz od wielu lat wiedziała, że mają kogoś bliskiego, że — w razie czego — mogą liczyć na życzliwość oddanego przyjaciela. Pozbawieni krewniaków, w nim oto odnaleźli członka rodziny.

Nowy rok zapowiadał się dosyć niespokojnie, polityczne niebo Europy zasnuwały coraz ciemniejsze chmury, grożące nie tylko deszczem, ale i burzą. Stary marszałek Niel robił, co mógł, by wymusić na francuskim Parlamencie uchwalenie ustawy, pozwalającej zreorganizować armię i zwiększyć liczebność wojska.

Walka była zacięta, opozycja tłumiała wszelkie próby reform, koniecznych przecież dla polepszenia obronności kraju.

Republikanin Juliusz Favre rzucił Izbie pytanie: „Co popycha narody do wojny?“, i odpowiadał: „To, że nie są one wolne.

198

— Więc skoro zobaczył go pan koło Panteonu...?

— Cały czas czekam na jakiś cios, a tymczasem, wbrew przewidywaniom, spotykają mnie same dobre rzeczy — uśmiechnął się. — Najpierw pani, a potem dawni towarzysze... I tak zostałem uratowany.

— Widzi pan, on wcale nie jest przeklęty. Może coś się w nim zmieniło? Przecież to człowiek.

— Może i człowiek — w głosie pana Hutorowicza czuło się jednak powątpiewanie.

Choć był to temat niewyczerpany — Róża mogłaby godzinami słuchać opowieści o tamtych latach — w Boże Narodzenie nie poruszano tak przykrych spraw. Pan Hutorowicz opowiedział, że do wigilijnej wieczery, w jadalni rotmistrza Brackiego zasiadło dwanaście osób — wszyscy jej znajomi, że pan Manczewski, ów cynamonowy jegomość, przed tygodniem złamał rękę, że wnuk pana domu, wraz z młodą żoną, na święta zjechał do Paryża.

— A... Miguel Toreno? Czy pan o nim coś wie? — nie mogła powstrzymać się, by nie zapytać o osobę dla niej najważniejszą.

— Wyjechał — odpowiedź pana Hutorowicza była aż nadto wyraźna.

Nie pytała o nic więcej, nic więcej właściwie jej nie obchodziło.



Pan Hutorowicz doczekał się powrotu dzieci i został na kolacji. Wieczór minął nad podziw przyjemnie. Pierwszy raz od wielu lat wiedziała, że mają kogoś bliskiego, że — w razie czego — mogą liczyć na życzliwość oddanego przyjaciela. Pozbawieni krewniaków, w nim oto odnaleźli członka rodziny.

Nowy rok zapowiadał się dosyć niespokojnie, polityczne niebo Europy zasnuwały coraz ciemniejsze chmury, grożące nie tylko deszczem, ale i burzą. Stary marszałek Niel robił, co mógł, by wymusić na francuskim Parlamencie uchwalenie ustawy, pozwalającej zreorganizować armię i zwiększyć liczebność wojska.

Walka była zacięta, opozycja tłumiała wszelkie próby reform, koniecznych przecież dla polepszenia obronności kraju.

Republikanin Juliusz Favre rzucił Izbie pytanie: „Co popycha narody do wojny?“, i odpowiadał: „To, że nie są one wolne.

198

Gdyby nie dynastyczne interesy władców, narody nie miałyby żadnego powodu do prowadzenia wojen. Odrzucam projekt ustawy, aby pokazać Europie, że nasza Izba nie zadowala się jedynie rozprawianiem o pokoju, że deputowani, oddając głos, wiedzą, co czynią”.

Inny mówca dodawał: „Militaryzm jest plagą naszej epoki“, a jeszcze ktoś wołał: „Precz z armią pretorianów!”

Gdy tak deliberowano w Paryżu, z fabryk Kruppa wychodziło coraz więcej armat, coraz więcej żołnierzy Bismarck powoływał „na ćwiczenia”.

Słabe tylko echa światowej polityki ledwie słyszalnym szmerem dobiegały do szwalni i do pracowni hafciarki. Tam też interesowano się sprawami pokoju i wojny, tam też opowiadano o Prusakach, coraz butniej porzynających sobie w Paryżu.

Praca nie dozwalała Róży pobiec po wiadomości na bulwar Mont-parnasse, a zła pogoda trzymała w domu pana Hutorowicza. Gdzieś jednak w połowie stycznia zasięgnięcie porady przyjaciela stało się koniecznością, wówczas bowiem przyszedł list od pani Narzym-skiej.

Matka Meli opuściła klinikę doktora Blanche'a i wróciła do domu, do pięknego pałacyku w alei Cesarzowej. Dziękowała Róży za długotrwałą opiekę nad dziewczynką i pisała, że przeprowadziła szczerą rozmowę ze szwagrem. Młody człowiek uznał swoje błędy, przyznał się do winy i okazał taką skrucę, że nie miała serca zachować jakiegokolwiek wobec

niego srogości. Zażądała jedynie, by odprawił lokaja, owego Fabiana, cieszącego się tak niedobrą sławą. Ponieważ nieporozumienia zostały wyjaśnione, nie było powodu, by Mela przebywała dłużej poza domem. Wobec czego pani Narzymska prosi, by Róża przygotowała dziewczynkę na spotkanie z matką i na powrót do dawnego życia.

Minęły dwa dni, a Róża nie zdecydowała się jeszcze, jak zagai ten temat z Melą. Z Zelią za to o niczym innym nie mówiły. Natychmiast napisała do pana Hutorowicza pod adresem Miguela Toreno — jak ją były lokaj pouczył przed odjazdem — mieszkał bowiem niedaleko, a pan Hutorowicz był naturalnie wtajemniczony w sprawy Meli.

Adres znała na pamięć: ulica Marszałka Catinat, numer jeden.

199

— Wiesz, gdzie to jest, prawda? — pytała Zelię ubraną już do wyjścia.

— Pewno, że wiem — Zelia wzruszyła ramionami. — To ta krótka uliczka od placu Zwycięstw. Nie denerwuj się. Niedługo wracam.

Czekała z bijącym sercem, niespokojna i roztrzęsiona. Miguel Toreno zapewnił ją, że list zostawiony u jego konsjerżki tego samego dnia dojdzie do rąk pana Hutorowicza.

Zbliżała się pora powrotu do pracy, a Zelii jeszcze nie było.

— Spóźnisz się — Mela spojrzała na zegar. — Mogę zostać sama — zapewniła. — Wcale się nie boję. Naprawdę.

Zelia weszła do pokoju z dziwnym wyrazem twarzy i od razu zabrała Różę do kuchni. Gdy Mela chciała wejść za nimi, powiedziała szorstko:

— Nie, nie, idź się bawić — i zamknęła przed nią drzwi.

— Co się stało?

— To się stało, że Miguel Toreno nigdzie nie wyjechał — warknęła Zelia. — Aż mi się wierzyć nie chce, że to zwyczajny kłamca, taki sam jak inni.

— Co mówisz?

— Mówię, co jest. Uliczka Catinat mała, dom niewielki, owszem, przyzwoity, konsjerżki nie było, ale za firanką siedziała jej siostrzenica, młoda dziewczyna. Daję jej list i mówię, że pan Toreno wyjechał, ale jej ciotka wie, komu przekazać pismo. A ona na to: „Pan Toreno nigdzie nie wyjechał, widziałam go przed godziną, jak wychodził” — i szczerzy do mnie zęby.

— I co zrobiłaś?

— Nic, zostawiłam list i poszłam. Co ty na to?

— Nie rozumiem. Pan Hutorowicz też mówił, że wyjechał... Zapytam go.\*\*

Poszła do Tuileriów z nieznośnym uciskiem w gardle, z szamoczącym się niespokojnie sercem, ze łzami, które zamiast spływać, piekły pod powiekami. Prawie nic nie zrobiła tego popołudnia, palce nie mogły utrzymać igły, tamborek wymykał się z ręki, a różnokolorowe motki jedwabiu utraciły nagle barwy, nabierając szarości popiołu.

Rozstanie z Melą było już dostatecznym ciosem, a tu jeszcze

200

jak inni.

i on, Miguel Toreno. Kłamca — powiedziała Zelia Kłamca...

Nie, nie — broniła się przeciwko oczywistej prawdzie. — Ta dziewczyna nie jest konsjerżką, nie zna lokatorów. Przecież wyjechał, pożegnał się i pan Hutorowicz powiedział to samo. Wyjechał.

Wieczorem zastała Melę na kolanach pana Hutorowicza z lalką, którą stary rodak ofiarował jej na gwiazdkę.

Nie mogła doczekać się pory, kiedy dziewczynka zazwyczaj szła spać.

Dopiero gdy zamknęły się za nią drzwi sypialni, pokazała gościowi list pani Narzymskiej.

— No cóż, musi pani spełnić życzenie matki — orzekł pan Hutorowicz po przeczytaniu.

— Niepokoi mnie ten młodszy pan Narzymski — powiedziała zatroskana. — Obawiam się, że matka Meli zbyt jest łatwowierna. Zelia uważa, że to łajdak.

— Rzeczywiście nie cieszy się dobrą opinią. Szasta pieniędzmi i prowadzi dość hulaszczę życie. Ale nie on jeden ma pusto w głowie. Ustatkuje się z czasem. Podobno są jakieś projekty matrymonialne...

— I pan sądzi, że Mela może spokojnie wracać do domu?

— A cóż jej grozi?

— Nie wiem.

— Proszę więc nie martwić się niepotrzebnie. No, ale ja już pójdę, zrobiło się późno.

— Jeszcze chwilę, bardzo proszę.

— Dobrze, moje dziecko. To chyba wszystko, co miała mi pani do powiedzenia?

— Nie, nie wszystko. — Nie śmiała spojrzeć w oczy przyjacielowi. — Jest jeszcze jedna sprawa. Miguel Toreno...

— O co chodzi? — pochylił ku niej siwą głowę.

— Wcale nie wyjechał — wyrzuciła. — Zelia zaniósła list, a tam powiedziano, że on przed godziną wyszedł. Więc jest w Paryżu. Czy to prawda? Proszę, niech pan powie. Muszę wiedzieć.

— To nieprawda — zaprzeczył stanowczo. — On wyjechał i jest o tysiące mil stari

201

ŻVC2eni

Proszę

l j

miJ

zeJia

inni.

»|

stanowczo. \_\_ o

201

— O tysiące mil stąd — powtórzyła, a potem, zawstydzona gwałtownością swojego wybuchu, szepnęła rumieniąc się: — Dziękuję, och, bardzo panu dziękuję.

— Słuchaj, Melu — Róża przygarnęła dziewczynkę, sadowiąc ją przy sobie. — Spotkało cię wielkie szczęście.

— Mamusia? — słówko wionęło tak cicho, że Róża raczej odgadła je z ruchu warg.

— Tak, mamusia. Przyjedzie dziś po południu.

— Wiedziałam, zawsze wiedziałam, że mamusia przyjedzie. I zabierze mnie, prawda?

— Tak, zabierze.

Mela nie dosłyszała smutku w głosie opiekunki. Czyż mogło teraz istnieć coś poza szczęściem?

— Mamusia, moja mamusia! — dziewczynka wstała i zaczęła krążyć po pokoju, zapatrzona w jakieś jej tylko znane obrazy.

— Melu, kochanie, czy o nas nie zapomnisz?

— Co ty? — Róża w jednej chwili znalazła się w uścisku

Meli. — Ty jesteś zaraz po mamusi, tuż, tuż, a potem Zelia, no i Anto... Kiedy przyjedzie mamusia?

— O trzeciej.

— Nie pójdziesz dziś do Tuileriów, dobrze? — Mela patrzy na zegar. — Zostaniesz z nami.

— Zostanę. Chodźmy, czas zapakować twoje rzeczy.

Na łóżku Róży piętrzy się równo poskładana bielizna Meli, znaczona starannie wyhaftowanym monogramem, i jej sukienki, zimowe i letnie.

Wszystko uszyte przez Różę. Pani Narzymska naturalnie wyrzuci te ubożuchne szmatki i ubierze córkę odpowiednio do jej pozycji i majątku.

Róży jednak zależy, by Mela nie opuściła jej domu tylko w tym, co ma na sobie, tak jak tu kiedyś przybyła.

Dwa lata, prawie dwa lata dziewczynka stanowiła istotną część ich rodziny, a oto wychodzi z niej na zawsze. Na próżno Róża mówi sobie, że to przecież wielkie szczęście, że matka... Jakiś głuchy niepokój niczym nie uzasadniony drąży serce jak ból, na który nie ma lekarstwa.

202

— O tysiące mil stąd — powtórzyła, a potem, zawstydzona gwałtownością swojego wybuchu, szepnęła rumieniąc się: — Dziękuję, och, bardzo panu dziękuję.

— Słuchaj, Melu — Róża przygarnęła dziewczynkę, sadowiąc ją przy sobie. — Spotkało cię wielkie szczęście.

— Mamusia? — słówko wionęło tak cicho, że Róża raczej odgadła je z ruchu warg.

— Tak, mamusia. Przyjedzie dziś po południu.

— Wiedziałam, zawsze wiedziałam, że mamusia przyjedzie. I zabierze mnie, prawda?

— Tak, zabierze.

Mela nie dosłyszała smutku w głosie opiekunki. Czyż mogło teraz istnieć coś poza szczęściem?

— Mamusia, moja mamusia! — dziewczynka wstała i zaczęła krążyć po pokoju, zapatrzona w jakieś jej tylko znane obrazy.

— Melu, kochanie, czy o nas nie zapomnisz?

— Co ty? — Róża w jednej chwili znalazła się w uścisku Meli. — Ty jesteś zaraz po mamusi, tuż, tuż, a potem Zelia, no i Anto... Kiedy przyjedzie mamusia?

— O trzeciej.

— Nie pójdziesz dziś do Tuileriów, dobrze? — Mela patrzy na zegar. — Zostaniesz z nami.

— Zostanę. Chodźmy, czas zapakować twoje rzeczy.

Na łóżku Róży piętrzy się równo poskładana bielizna Meli, znaczone starannie wyhaftowanym monogramem, i jej sukienki, zimowe i letnie.

Wszystko uszyte przez Różę. Pani Narzymska naturalnie wyrzuci te ubożuchne szmatki i ubierze córkę odpowiednio do jej pozycji i majątku.

Róży jednak zależy, by Mela nie opuściła jej domu tylko w tym, co ma na sobie, tak jak tu kiedyś przybyła.

Dwa lata, prawie dwa lata dziewczynka stanowiła istotną część ich rodziny, a oto wychodzi z niej na zawsze. Na próżno Róża mówi sobie, że to przecież wielkie szczęście, że matka... Jakiś głuchy niepokój niczym nie uzasadniony drąży serce jak ból, na który nie ma lekarstwa.

202

Mela zbiera zabawki porozkładane w różnych kątach mieszkania — najważniejsza lalka od pana Hutorowicza, no i książki.

— Czy włożyłaś chusteczki z moim monogramem? — zagląda w pewnej chwili do sypialni. — Takie same, jak zrobiłaś dla Lulu.

O tak, naturalnie, Róża pamięta o chusteczkach. To przecież bardzo ważne. Nad monogramem Meli pyszni się identyczna korona, jak na chusteczkach księcia. Jeszcze tylko fartuszki, te dwa nowe, które uszyła na święta, i garderoba Meli spakowana.

Dziewczynka jest tak podniecona, że nie chce jeść.

— Twój ostatni obiad w domu — przypomina z wyrzutem Ze-lia. — Wszystko to, co lubisz.

Mela wstaje i wiesza się jej na szyi.

Po obiedzie nie może usiedzieć, co chwila wysuwa się do przedpokoju, podchodzi pod drzwi wejściowe, nasłuchuje.

— Jeszcze nie ma trzeciej — uspokaja Róża, ale dziewczynka niezdolna jest do pozostania na miejscu.

Z okna Dziadusiowego pokoju widać kościół i kawałek ulicy. Turkot zatrzymującego się pod domem powozu porywa Melę do przedpokoju.

— Prędej, Zelio, prędej, otwieraj, przyjechała mamusia, moja mamusia, słyszysz?!

Kroki na schodach, wreszcie dzwonek.

W drzwiach młoda kobieta o cygańskiej urodzie — nie jest sama, za nią

stoi wysoki mężczyzna z kapeluszem w rękę.

Pani Narzymska z lekkim okrzykiem porywa Melę w objęcia. Obie na przemian śmieją się i płaczą. Po dłuższej dopiero chwili Mela wprowadza gości do skromnej jadalni.

Pani Narzymska podbiega do Róży, obejmuje dziewczynę, chwytając ją za ręce. Róża stoi jak posąg, pozwala się ścisnąć i całować tej obcej przecież kobiecie, która zabierze Melę, jej Melę.

— Ach, zapomniałam o prezentacji — pani Narzymska odwraca zarumienioną radością twarz w stronę towarzysza. — Pozwoli pani, panno Różo, mój szwagier.

— Znamy się już — gość swobodnym ruchem wyciąga rękę. — Miałem kiedyś przyjemność przywieźć panią w ulewę do tego domu, nieprawdaż? Róża czuje się dziwnie skrępowana pod zbyt natarczywym spojrzeniem gościa. Nie podoba jej się pewność siebie i dezyn-

203

woltura młodego człowieka i w ogóle cały ten stryj... Ale Melę już się stryja nie boi, nie boi się nikogo. Mocno trzyma rękę mamusi. Nie wypuści jej nigdy, za żadne skarby, nie rozstaną się, będą zawsze razem.

Zelia szeroko otwiera drzwi wejściowe, tak szeroko, by zmieściła się w nich krynolina pani Narzymskiej. Stryj Meli niesie za nimi bagaże. Po chwili turkot sprzed domu oznajmia, że powóz odjechał. Róża opada w Dziadusiowy fotel przy kominku. Mimo rozpalonego ognia przenika ją chłód.

Zelia w kuchni stuka rondlami. Co tam jeszcze robi? Przecież już pozmywała po obiedzie. W domu jest cicho, tak cicho, jak po wyniesieniu umarłego. Różą wstrząsa dreszcz.

— Ciekawam, co na to powie Anto — Zelia sadowi się przy stole ze stosem bielizny do reperacji na kolanach.

Właśnie, Anto... Dopiero pojutrze dowie się, że mała siostrzyczka bezpowrotnie wyszła z jego życia. Dzisiejsze wolne od lekcji popołudnie chłopiec spędza w Tuileryach. Róży specjalnie zależało, by dzieci uniknęły pożegnania. Mela opuszczała ich dom idąc w szczęście, dla Antosia jest to swego rodzaju cios i z pewnością nie potrafiłby ukryć bólu, a po coś psuć radość Meli smutkiem rozstania, które — wiedziała — będzie ostateczne.

W najniższej szufladzie komody leżała żalobna krynolinka, pracowicie pocerowana na lokciach, i paltocik, z którego Mela dawno już wyrosła. I

jeszcze zapinane na guziczki buciki. Tylko to pozostało po dziewczynce, która swoją obecnością, głosem, śmiechem i płaczem wypełniała ich dom. Przez dwa lata.

— Zgaś świecę, już późno — Zelia staje w drzwiach sypialni. — Nie smuć się, nie trzeba. Dla niej to przecież szczęście. A my... No cóż, żyłyśmy kiedyś bez niej i dalej będziemy żyć. Zobaczysz.

— Będziemy żyć — szepce Róża i klęka do wieczornej modlitwy.

woltura młodego człowieka i w ogóle cały ten stryj... Ale Mela już się stryja nie boi, nie boi się nikogo. Mocno trzyma rękę mamusi. Nie wypuści jej nigdy, za żadne skarby, nie rozstaną się, będą zawsze razem.

Zelia szeroko otwiera drzwi wejściowe, tak szeroko, by zmieściła się w nich krynolina pani Narzymskiej. Stryj Meli niesie za nimi bagaże. Po chwili turkot sprzed domu oznajmia, że powóz odjechał. Róża opada w Dziadusiowy fotel przy kominku. Mimo rozpalonego ognia przenika ją chłód.

Zelia w kuchni stuka rondlami. Co tam jeszcze robi? Przecież już pozmywała po obiedzie. W domu jest cicho, tak cicho, jak po wyniesieniu umarłego. Różą wstrząsa dreszcz.

— Ciekawam, co na to powie Anto — Zelia sadowi się przy stole ze stosem bielizny do reperacji na kolanach.

Właśnie, Anto... Dopiero pojutrze dowie się, że mała siostrzyczka bezpowrotnie wyszła z jego życia. Dzisiejsze wolne od lekcji popołudnie chłopiec spędza w Tuileriach. Róży specjalnie zależało, by dzieci uniknęły pożegnania. Mela opuszczała ich dom idąc w szczęście, dla Antosia jest to swego rodzaju cios i z pewnością nie potrafiłby ukryć bólu, a po coś psuć radość Meli smutkiem rozstania, które — wiedziała — będzie ostateczne.

W najniższej szufladzie komody leżała żalobna krynolinka, pracowicie pocerowana na lokciach, i paltocik, z którego Mela dawno już wyrosła. I jeszcze zapinane na guziczki buciki. Tylko to pozostało po dziewczynce, która swoją obecnością, głosem, śmiechem i płaczem wypełniała ich dom. Przez dwa lata.

— Zgaś świecę, już późno — Zelia staje w drzwiach sypialni. — Nie smuć się, nie trzeba. Dla niej to przecież szczęście. A my... No cóż, żyły-



śmy kiedyś bez niej i dalej będziemy żyć. Zobacysz.

— Będziemy żyć — szepce Róża i klęka do wieczornej modlitwy.

## IX

„Tak więc dzień w dzień ku nowym pchani brzegom, wciąż zapadający w ciemność bezpowrotną dna, czyż nigdy nie zdołamy rzucić niezgłębionym wiekom kotwicy jedyne go dnia?

Jeziro — ach! za ledwie rok przeminął w krajobrazie, znów tuż najdroższe fale pod gwiazdami lśnią, spójrz! powracam sam, by usiąść na tym głazie, gdzie siadywałem — widziałoś to — z nią”.

Róża przez cały dzień powtarza melodyjne strofy, których nauczył ją Dziaduś — razem przecież czytawali Lamartine’a. Cały dzień, pochylona nad haftem, recytuje półgłosem to wszystko, co tak wiernie zachowała pamięć. A właśnie wczoraj Alfons de La--martine, poeta inauguracyjny nigdyś francuski romantyzm, przeniósł się do wieczności.

Umarł, można powiedzieć, w biedzie, a odegrał wielką rolę nie tylko jako poeta, lecz także jako polityk. Poseł do Izby Deputowanych, podczas Drugiej Republiki członek Tymczasowego Rządu, w pamiętnych dniach czterdziestego ósmego roku trzymał w ręku losy Francji. Zamach stanu z drugiego grudnia, kiedy to księżę prezydent został Napoleonem Trzecim, położył kres jego publicznej działalności. |

Teraz, gdy umarł, rozpisano subskrypcję na wzniesienie pomnika poecie, któremu cesarz przyznał honory pogrzebu na koszt państwa.

Cóż to jednak dawało temu, kto z braku funduszy był zmuszony sprzedać ukochany, rodzinny dom w Milly?

205

W witrynach księgarń wystawiono portrety zmarłego. Róża kupiła jedną taką gawiurę: młody poeta z dwoma chartami.

Piękny był Lamartine, równie piękny, jak jego wiersze.

Melancholijna rzewność tej poezji nakłada się na szarość zimowych dni.

Są znowu same, Róża i Zelia. Wieczorami Róża sięga do Dziadusiowej biblioteczki, Zelia z furią pucuje rondle, sprząta i czyści, a właściwie wyszukuje sobie robotę, byle nie myśleć, nie wspominać.

Cotygodniowe wizyty Antosia niewiele pomagają. Chłopiec . jest chmurny i jak gdyby rozżalony. Mela przyjechała raz specjalnie w niedzielę, żeby się z nim zobaczyć. Ale to spotkanie rozczarowało oboje. Coś się między nimi popsuło, coś pękło, co ich dotąd trzymało spojonych jak gdyby w jedną całość. Mela nie czuła się już u siebie w tych ciasnych pokojkach, Antoś nie potrafił zmusić się do okazania serdeczności wówczas, gdy wszystko w nim wrzało. Po dawnej zażyłości została obcość i pustka.

Odtąd dziewczynka unikała niedzielnych wizyt. Odwiedzała jednak Różę często — widać było, jak bardzo jest do niej przywiązana, Zelię także witała ze zwykłym wylaniem. Miała teraz angielską guwernantkę, Miss Alicję, ale na ulicę Świętego Rocha przyjeżdżała zazwyczaj z mamusią.

W Tuileriach tej zimy było mniej roboty. W karnawale przeważały bale kostiumowe, a toalety zamawiano u Wortha. Jeżeli w szwalni furkotały maszyny do szycia, spod igły nie wychodziły żadne cuda. Nadąsane panny zajmowały się reperacją pałacowej bielizny — takie to oszczędności zaleciła tego roku cesarzowa Eugenia.

— Dość mam tej starzyzny — jęczała panna Wirginia, odkładając połatane prześcieradła.

— Kiedy wreszcie dostanę do rąk prawdziwe koronki! — wzdychała panna Regina, nawijając nici na szpulkę.

Nawet mała Sabinka nie była zadowolona z roboty i spoglądała z wyrzutem na panią Benoit, która nic innego nie potrafiła powiedzieć, jak tylko wieczne:

— Niech panny mniej gadają, a bardziej przykładają się do szycia.

Jedynie w pracowni hafciarki nadal kwitł zimowy ogród pełen  
206

barwnych kwiatów, prawdziwa zapowiedź oczekiwanej niecierpliwie wiosny. Czy tylko wiosny? Miguel Toreno nie dawał znaku życia. Nie obiecywał, co prawda, że napisze. Na co więc czekała? Powiedział: „jeżeli wrócę...”. A jeżeli nie wróci? Co z nią wówczas będzie? Jak zniesie dalsze życie?

Pewnego kwietniowego popołudnia, gdy Róża szykowała się już do wyj-

ścia, zjawiała się pani Narzymska z Melą. Dziewczynka niosła ogromne naręcze bzu.

— Kwitnie! Cały ogród kwitnie! — wołała od progu. — Nareszcie do nas przyjedziesz! Chciałam ci wszystko pokazać, jak zakwitnie.

Przedtem było smutno i szaro.

— Cały dzień spędza w ogrodzie — dodała matka. — Nie można się jej dowołać.

Zelia zajęła się kwiatami, a Mela z tajemniczą miną szeptała:

— Zobaczysz mój talerz. Taki samiutki. Już wiem. Umówiono się na następne popołudnie.

— I Zelia też przyjedzie — przypominała Mela, ale Zelia odmówiła.

— Przyjadę innym razem — powiedziała stanowczo, a jak wiadomo, Zelia nie odstępowała od raz powziętej decyzji.

Nazajutrz po obiedzie Róża pojechała w aleję Cesarzowej.

Wśród kwitnących kasztanów i krzewów bzu przeświecały ściany białego pałacyku. Odźwierny otworzył bramę i konie eleganckim łukiem stanęły przed podjazdem. Spomiędzy kolumn ganku zbiegła Mela w białej krynolinie przepasanej błękitną szarfą.

— Chodź — chwyciła Różę za rękę. — Zaraz ci wszystko pokażę, cały dom.

Pani Narzymska czekała w małym salonie. Tam też podano herbatę.

Jakże różniła się ta Mela od dziewczynki z ulicy Świętego Rocha, i jak dobrze pasowała do zbytkownego wnętrza swojego domu.

Na herbatę zjawiała się Miss Alicja, młoda Angielka o sympatycznym uśmiechu i olśniewającej karnacji. Stryja, na szczęście, nie było. A potem Mela ujęła rękę Róży i szerokimi marmurowymi schodami poprowadziła na pierwsze piętro do swojego pokoju. Na ścianie wisiał talerz. Identyczny z talerzem Dziadusia.

207

— Widzisz, że taki sam — powiedziała z wyrzutem — a nie chciałaś wierzyć.

— Taki sam — przyznała Róża. — I jest ten wyszczerbiony brzeg, o którym mówiłaś.

— Możesz zdjąć go ze ściany i lepiej obejrzeć — zaproponowała Mela.

— Nie trzeba. Widzę, że jest taki sam. Zupełnie taki sam, jak talerz Dziadusia.

Odkrycie to zaskoczyło Różę. Było więc w Paryżu więcej takich talerzy,

a przecież w żadnym sklepie podobnych nie widziała. Mela chciała wszystko pokazać dawnej opiekunce, książki i zabawki, pokój szkolny, gdzie uczyła się z Miss Alicją. Róża nie potrafiła skupić uwagi ani na przyborach toaletowych oprawnych w srebro, ani na porcelanowym garniturze na ślicznym biu-reczku, co chwila odwracała twarz ku ścianie, skąd z sewrskiego talerza wabił ją malowany Napoleon. Nie zauważyła nawet wejścia pani Narzymskiej, tak była zamyślona.

—: Wszystko już Mela pani pokazała?

— Tak... wszystko widziałam... ale ten talerz — zawahała się — czy dawno jest u państwa?

— To stara rodzinna pamiątka. Był kiedyś własnością mojego dziadka, który zginął w powstaniu. — Jego potomkowie wywieźli ją uchodząc z kraju i odtąd jest zawsze w naszym domu. Mój mąż — zająknęła się — powiesił ten talerz w pokoju Meli jako swego rodzaju narodową relikwię, która się dziecku należy.

>— Ja mam podobny — Róża nie śmiała zapytać o panięńskie nazwisko gospodyni. — Właściwie zupełnie taki sam. Był własnością mego Dziadka.

— Wiele takich talerzy spotkałam we Francji — pani Narzymska nie przywiązywała widać wagi do tego przedmiotu, który nieodparcie przyciągał wzrok Róży.

Pokazano jej potem cały dom, amfiladę pysznych salonów pełnych kosztownych cacek. Z tarasu zeszyły wreszcie do ogrodu i Mela pochwaliła się grządką, gdzie sama wyhodowała pierwsze wiosenne prymule i narcyzy. Róża pragnęła usilnie okazać jak najżywsze zaciekawienie tym wszystkim, czym dziewczynka chciała się z nią podzielić.

208

— Widzisz, że taki sam — powiedziała z wyrzutem — a nie chciałaś wierzyć.

— Taki sam — przyznała Róża. — I jest ten wyszczerbiony brzeg, o którym mówiłaś.

— Możesz zdjąć go ze ściany i lepiej obejrzeć — zaproponowała Mela.

— Nie trzeba. Widzę, że jest taki sam. Zupełnie taki sam, jak talerz Dziadusia.

Odkrycie to zaskoczyło Różę. Było więc w Paryżu więcej takich talerzy, a przecież w żadnym sklepie podobnych nie widziała.

Mela chciała wszystko pokazać dawnej opiekunce, książki i zabawki, po-

kój szkolny, gdzie uczyła się z Miss Alicją. Róża nie potrafiła skupić uwagi ani na przyborach toaletowych oprawnych w srebro, ani na porcelanowym garniturze na ślicznym biu-reczku, co chwila odwracała twarz ku ścianie, skąd z sewrskiego talerza wabił ją malowany Napoleon. Nie zauważyła nawet wejścia pani Narzymskiej, tak była zamyślona.

—| Wszystko już Mela pani pokazała?

— Tak... wszystko widziałam... ale ten talerz — zawahała się — czy dawno jest u państwa?

— To stara rodzinna pamiątka. Był kiedyś własnością mojego dziadka, który zginął w powstaniu. — Jego potomkowie wywieźli ją uchodząc z kraju i odtąd jest zawsze w naszym domu. Mój mąż — zająknęła się — powiesił ten talerz w pokoju Meli jako swego rodzaju narodową relikwię, która się dziecku należy.

|— Ja mam podobny — Róża nie śmiała zapytać o panieńskie nazwisko gospodyni. — Właściwie zupełnie taki sam. Był własnością mego Dziadka.

— Wiele takich talerzy spotkałam we Francji — pani Narzymska nie przywiązywała widać wagi do tego przedmiotu, który nieodparcie przyciągał wzrok Róży.

Pokazano jej potem cały dom, amfiladę pysznych salonów pełnych kosztownych cacek. Z tarasu zeszyli wreszcie do ogrodu i Mela pochwaliła się grządką, gdzie sama wyhodowała pierwsze wiosenne prymule i narcyzy. Róża pragnęła usilnie okazać jak najżywsze zaciekawienie tym wszystkim, czym dziewczynka chciała się z nią podzielić.

208

Niestety, roztargnione spojrzenie było jedynym przejawem zainteresowania, jakie potrafiła z siebie wykrzesać. Talerz okazał się silniejszy.

— Nie podoba ci się u mnie — stwierdziła Mela z zalem. — A ja tak się cieszyłam...

— Odwrotnie, kochanie, jestem zachwycona, tak tu pięknie — Róża usiłowała zatrzeć przykre wrażenie. — Ale widzisz, ten talerz...

— Chcesz, dam ci go.

— Nie, nie, tylko ciekawi mnie, jak się tu dostał.

— Przecież mamusia mówiła.

— Tak, owszem — Róża musiała za wszelką cenę poznać nazwisko panieńskie pani Narzymskiej i odważyła się wprost ją zapytać.

— Jak jestem z domu? To chciałaby pani wiedzieć? — Pani Na-

rzymska nie obraziła się wcale. — Ależ proszę bardzo. Jadwiga Dobrocka.

— Dziękuję — Róża zarumieniała się przepraszając — pani wybacz, ale mój Dziadus mówił, że z jego talerzem związana jest pewna obietnica, gdy więc zobaczyłam taki sam talerz w pokoju Meli, wydawało mi się... sądziłam... Ale to pomyłka. Widocznie takich talerzy było więcej.

— O, z pewnością było ich wiele — przytaknęła pani Narzymska, prowadząc gościa do ogrodowej altany.

Wiosną tego roku Antoni Berezowski po raz trzeci dostarczył tematu francuskim żurnalistom. Wszystkie paryskie gazety rozpięły się o nieudanej próbie uwolnienia zamachowca, deportowanego do Nowej Kaledonii.

Okazało się, że młody Polak nie zrezygnował z odzyskania wolności, a grupa rodaków, w tym celu przybyłych na wyspę, usiłowała pomóc mu w ucieczce. W porcie czekał specjalnie wynajęty szkuner, ludzie, którzy zaplanowali uwolnienie więźnia, byli dobrze uzbrojeni i gotowi na wszystko. Niestety, Berezowski, któremu udało się wyjść niepostrzeżenie ze służącego za mieszkanie więźniów baraku, został zatrzymany przez dozorców tuż pod palisadą, jeszcze w obrębie obozu, i chociaż rodacy przedostali

14 \_\_ Talerz z Napoleonem

209

się na pilnie strzeżony teren i w odpowiedzi na strzały żandarmów otworzyli ogień, mając nadzieję, że uda im się odbić więźnia, musieli ulec przeważającej liczbie straży.

Wiadomości były skąpe i bardzo niepełne, miejscami nawet sprzeczne.

Trudno było cośkolwiek z nich wywnioskować. Przy okazji poświęcono całe szpalty opisowi wyspy odkrytej w ubiegłym wieku przez Cooka, a w 1853 roku wcielonej do Francji. Opisano przy tym dokładnie, jak to wówczas wiceadmirał Febvrier-Des-pointes, dowodzący z ramienia Francji siłami morskimi Oceanii, uroczyście wziął w posiadanie w imieniu swojego rządu wyspę i jej przyległości.

Należąca do grupy wysp Melanezji Nowa Kaledonia, zwana też „Wielką Ziemią”, znajduje się na wschód od Australii, tuż nad zwrotnikiem Koziorożca.

Chwalono malowniczość wysp tego rejonu, otoczonych pierścieniem raf

koralowych, łagodność klimatu tej części Pacyfiku i jego walory zdrowotne, podkreślając jednak, że wskutek złego pożywienia rany nie goją się tam, a jątrzą się natychmiast, stwarzając niebezpieczeństwo zagrażające życiu.

Czytelnicy gazet dowiedzieli się ponadto, że rząd francuski postanowił wykorzystać odległą wyspę jako doświadczalny teren dla założenia kolonii karnej, zsyłając tam skazanych na ciężkie roboty więźniów, którzy w ten sposób powiększali „pogłowie” białych, oprócz przebywających na swobodzie francuskich kolonistów.

O Berezowskim i jego współnikach pisano właściwie niewiele. Szczegóły spisku nie były dotąd znane. Wzmiankowano o zabitych i rannych, nikt jednak nie umiał powiedzieć, czy główny bohater zginął, czy ocalał. A niedoszli wybawiciele? Jedno było wiadome, że ofiary znajdowały się po obu stronach, gdyż podczas starcia ucierpieli zarówno jedni, jak i drudzy. Ludzie czytali z zaciekawieniem, niektórzy pochwalali upór Polaków w dążeniu do uwolnienia nieszczęśliwego zamachowca. Inni oburzali się na nieudolność straży i żandarmów, pilnujących przecież gromady wyjętych spod prawa złoczyńców. Jednakże opinia Francuzów na ogół od początku przychylna była Berezow-skiemu.

210

Róża natychmiast udała się fiakrem na bulwar Montparnasse, ale i tam nie wiedziano nic pewnego.

— Niech się pani modli za tych straceńców, co poświęcili życie dla tego nieszczęśnika — tyle tylko powiedział pan Hutorowicz na jej niespokojne pytania. — To są bohaterowie nie na dzisiejsze czasy.

— Czemu nie na dzisiejsze czasy? — oburzyła się. — Przecież i dziś mamy ludzi, którzy ważą się na wszystko. Chociażby pan Lesseps.

— Co tam Lesseps — pan Hutorowicz machnął lekceważąco ręką. — Owszem, nie odmawiam mu odwagi i uporu w dążeniu do celu. Ale bohaterstwo... to chyba za wiele. A jeśli powiedziałem o naszych rodakach, że to bohaterowie nie na dzisiejsze czasy, co innego miałem na myśli. Tak, tak, panno Rózo, bo są wśród nich ludzie, których bohaterstwo nie jest na pokaz, to raczej ciche poświęcenie z dala od ludzkich oczu. Czyny ich wymagają nie lada odwagi, samozaparcia, podeptania własnej dumy, poniekąd nawet upokorzenia się. Słyszała pani zapewne, że Berezowski po procesie został pieszo popędzony do Tulonu. Pieszo, wie pani, co to znaczy? Otóż jeden z naszych rodaków towarzy-

szyl skazańcowi w jego krzyżowej drodze. Też pieszo, żeby biedny chłopiec nie czuł się opuszczony. Żandarmi nie pozwalali mu zbliżyć się do więźnia, ale on starał się zawsze być w zasięgu jego wzroku. Ten sam człowiek był i w Nowej Kaledonii i nie wiadomo, czy jeszcze żyje. — Pan Hutorowicz trząsał głową, a wyraz twarzy miał równie beznadziejny, jak wówczas, gdy leżał chory na czwartym piętrze nędznego domu przy ulicy Clovisa.

Antoś i jego koledzy ze Szkoły Polskiej przeżywali może najmocniej te wypadki. W sobotę, gdy chłopiec wrócił do domu, tylko te sprawy miał na ustach. Oczy mu błyszczały i kilkakrotnie powtórzył:

— Ach, czemu mnie tam nie było!

— Cóż byś zrobił? — za trzecim takim okrzykiem Róża nie wytrzymała.

— Popłynąłbyś do Nowej Kaledonii?

— Pewnie, żebym popłynął — odparł jak gdyby chodziło o wycieczkę do Wersalu. — Mój plan z pewnością by się powiódł.

— Miałeś więc jakiś plan?

— Niejeden — Antoś popatrzył z góry na siostrę. — W całej

/1\*•

211

Róża natychmiast udała się fiakrem na bulwar Montparnasse, ale i tam nie wiedziano nic pewnego.

— Niech się pani modli za tych straceńców, co poświęcili życie dla tego nieszczęśnika — tyle tylko powiedział pan Hutorowicz na jej niespokojne pytania. — To są bohaterowie nie na dzisiejsze czasy.

— Czemu nie na dzisiejsze czasy? — oburzyła się. — Przecież i dziś mamy ludzi, którzy ważą się na wszystko. Chociażby pan Lesseps.

— Co tam Lesseps — pan Hutorowicz machnął lekceważąco ręką. — Owszem, nie odmawiam mu odwagi i uporu w dążeniu do celu. Ale bohaterstwo... to chyba za wiele. A jeśli powiedziałem o naszych rodakach, że to bohaterowie nie na dzisiejsze czasy, co innego miałem na myśli. Tak, tak, panno Różo, bo są wśród nich ludzie, których bohaterstwo nie jest na pokaz, to raczej ciche poświęcenie z dala od ludzkich oczu.

Czyny ich wymagają nie lada odwagi, samozaparcia, podeptania własnej dumy, poniekąd nawet upokorzenia się. Słyszała pani zapewne, że Berezowski po procesie został pieszo popędzony do Tulonu. Pieszo, wie pani, co to znaczy? Otóż jeden z naszych rodaków towarzyszył skazańcowi w jego krzyżowej drodze. Też pieszo, żeby biedny chłopiec nie



czuł się opuszczony. Żandarmi nie pozwalali mu zbliżyć się do więźnia, ale on starał się zawsze być w zasięgu jego wzroku. Ten sam człowiek był i w Nowej Kaledonii i nie wiadomo, czy jeszcze żyje. — Pan Hutorowicz trząśł głową, a wyraz twarzy miał równie beznadziejny, jak wówczas, gdy leżał chory na czwartym piętrze nędznego domu przy ulicy Clovisa.

Antoś i jego koledzy ze Szkoły Polskiej przeżywali może najmocniej te wypadki. W sobotę, gdy chłopiec wrócił do domu, tylko te sprawy miał na ustach. Oczy mu błyszczały i kilkakrotnie powtórzył:

— Ach, czemu mnie tam nie było!

— Cóż byś zrobił? — za trzecim takim okrzykiem Róża nie wytrzymała.

— Popłynąłbyś do Nowej Kaledonii?

— Pewnie, żebym popłynął — odparł jak gdyby chodziło o wycieczkę do Wersalu. — Mój plan z pewnością by się powiódł.

— Miałeś więc jakiś plan?

— Niejeden — Antoś popatrzył z góry na siostrę. — W całej

14-

211

szkole o niczym innym się nie mówi. Przystudiowaliśmy mapę Nowej Kaledonii i otaczających ją raf, a stolica Numea...

Róża miała już dość przekłętą wyspy, wołała rozmowę z Zelią, która właśnie poprzedniego dnia odwiedziła pałacyk pani Narzym-skiej i widziała talerz.

Antoś, posłyszawszy, o czym mówiły, zjawił się w jadalni.

— Muszę zobaczyć ten talerz — oświadczył stanowczo.

— Mówiłam ci, jest taki sam jak nasz.

— To nic, chcę go zobaczyć — upierał się.

— Możemy tam pojechać w przyszłą niedzielę. Myślałam, że masz żal do Meli...

— Mela to judasz — rzucił krótko.

— Jak możesz? Wróciła do swojej mamusi. O nas jednak nie zapomina.

Nie byłeś dla niej miły, gdy tu przyjechała.

— Nigdy jej nie wybaczę — wybuchnął.

— Nie wybaczysz? Czego?

— Zdrady.

— Pleciesz głupstwa. Powinieneś ją przeprosić.

— To ona jest winna, nie ja. Zresztą Janek mówi, że dziewczuchy to kłam-

czuchy, a on dobrze je zna, bo ma cztery siostry.

— Anto! — Róża chwyciła brata za ramiona. — Czy zapomniałeś, że i ty masz siostrę?

— Nie jesteś dziewczuchą — zamruczał skonfundowany — a w ogóle, to nie mówi się o obecnych.

— Coraz lepiej. Więc obmawiać wolno wyłącznie tych, co nie mogą się bronić. Czy i tego nauczył cię Janek?

— Różyczko — niezgrabnie pocałował ją w policzek. — Nie gniewaj się. Ale Meli nie przeproszę — dodał z zawziętością. Mimo tak zdecydowanej postawy zgodził się pojechać w aleję Cesarzowej „wyłącznie dla talerza”, jak zastrzegł. Mela czekała na ganku.

— Ciesz się, Anto, że przyjechałeś — powiedziała serdecznie, ale Antoś nie rozchmurzył się, pozostał sztywny i oficjalny, choć dom Meli zrobił na nim duże wrażenie.

Zdjął talerz ze ściany i obejrzał go dokładnie.

— Taki sam — mruknął. — Co to znaczy?

— Widocznie było ich więcej — zauważyła Róża.

212

— Nie — pokręcił głową. — Pamiętam, co mówił Dziaduś. Takie są tylko dwa.

— Dwa były w Warszawie, ale we Francji musiało ich być o wiele więcej.

— Tylko dwa — powtórzył. — Przecież Dziaduś wiedział lepiej od ciebie. Skąd ten talerz znalazł się u Meli?

— Słyszałeś, że to rodzinna pamiątka.

Pani Narzymska z niewyczerpaną cierpliwością udzielała wyjaśnień, opowiadając o dziadku — bohaterze powstania listopadowego, którego syn przywiózł talerz do Paryża. O żadnej przysiędze, umowie czy obietnicy dotyczącej tego przedmiotu nigdy nie słyszała.

Antoś wracał zamyślony i milczący, dopiero w domu załął Różę potokiem słów.

— Dobrocki? Któż to taki?! — wykrzykiwał. — Nigdy nie słyszałem tego nazwiska, w szkole żaden uczeń tak się nie nazywa.

— Słuchaj, Anto — Róża straciła wreszcie cierpliwość. — Kogo ty właściwie znasz i co w ogóle wiesz? Nic. A mówisz, jak gdybyś zjadł wszystkie rozumy. Może myślisz, że talerz Zygmunta Zerana wpadł w ręce pana Dobrockiego?

— Właśnie tak myślę. Tylko nie wiem, w jakich okolicznościach.

— Proszę cię, przestań. Ostatnio stałeś się niemożliwy.

Antoś wrócił do szkoły, a Róża wyprosiła u pani Benoit wolne popołudnie i wybrała się na bulwar Montparnasse.

Pan Hutorowicz źle wyglądał, widać było, że coś mu dolega. Rozmawiali o wypadkach na Nowej Kaledonii, niestety, żadnych wiadomości stamtąd dotąd nie było.

— Proszę pana — Róża odstawiła pustą filiżankę. — Talerz Meli okazał się identyczny z talerzem Dziadusia. Co o tym sądzić?

— Tymczasem nic. Rozumiem pani niepokój. Kazio i Zygmunt pokazywali mi swoje talerze, pamiętam, jak mówili, że są tylko dwa identyczne.

— Więc widzi pan, że to dziwne. Pani Narzymska jest z domu Dobrocka, zapytałam ją. Jeżeli to jest talerz Zygmunta, w jaki sposób trafił do rąk jej ojca?

— Wszystko się wyjaśni, moje dziecko, proszę, niech tylko pani cierpliwie czeka.

213

— Mam czekać?

— Tak, nic innego przecież nie pozostaje jak czekanie. Pani, ja, my wszyscy czekamy. Nic nie trwa wiecznie. Radziłbym nie myśleć teraz o talerzu. Znalazła go pani, dobrze. Resztę należy zostawić Panu Bogu.

— Tak, ale nie wiem...

— Nie trzeba wiedzieć — powiedział zagadkowo. — Jestem pewien, że dowie się pani, gdy nadejdzie pora. — Pan Hutorowicz tak wyglądał, jak gdyby widział przyszłość. Może ją zresztą i widział.

Róża, jak zwykle u progu lata, miała więcej roboty, wykańczała hafty na toaletach przeznaczonych na wilegiaturę do Compiègne. W Szkole Polskiej zaczynały się wakacje. Podczas ostatniego czwartku Lulu pożegnał polskiego przyjaciela.

— Wiesz, Anto — powiedział tajemniczo — w sierpniu pojedę z mamą na Korsykę. Nareszcie zobaczę dom Napoleona! Tylko to jeszcze sekret, nie mów o tym nikomu.

Antoś aż poczerwieniał. Wiele dałby za podróż razem z Lulu. Jeżeli Nowa Kaledonia była nieosiągalna, to Korsyka leżała o tyle bliżej! Morze Śródziemne to nie Pacyfik!

Lulu obiecał prowadzić dziennik podróży, spisując wrażenia każdego dnia. Po wakacjach będą mieli tematy na długie rozmowy. Mela również wyjeżdżała. Do zamku Pierrefonds nad Loarą. — Zaprosili nas dawni znajomi męża — opowiadała pani Na-rzymska podczas pożegnalnej wizyty.

A więc rozjechali się wszyscy. Róża i Antoś tylko z gazet dowiadywali się o triumfach Lulu, którego pojawienie się wywoływało szczery zachwyty.

Chłopiec był chyba najpopularniejszą postacią Drugiego Cesarstwa, podbijał nawet politycznych przeciwników nad wiek poważnym wyrazem twarzy, skromnym, a jednak godnym obejściem i tym jakimś niedziecinym smutkiem w spojrzeniu, w układzie ust, w pochyleniu głowy.

Była to już trzecia oficjalna podróż „cesarskiego księcia”, a odbywał ją w towarzystwie matki.

Pierwszym etapem był Lyon, drugie co do wielkości miasto Francji. „Stolica jedwabiu” przyjęła chłopca entuzjastycznie. Władze miejskie nie potrzebowały zalecać mieszkańcom, by okazali

214

nico gorętsze uczucia względem następcy tronu. Lyońscy tkacze wiedzieli, jak przywitać takiego gościa.

Drugim etapem był Tulon. Mer tego miasta w powitalnym przemówieniu przypomniał, że właśnie stąd młody oficer, Napoleon Bonaparte, wyruszył, by służyć Francji.

W porcie czekał „Orzeł” — jak doskonale nazwa statku pasowała do celu podróży!

Przyjęcie, zgotowane gościowi przez wyspę, przeszło wszelkie oczekiwania. Korsyka umiała docenić gest cesarza, który w stulecie urodzin założyciela dynastii wysłał syna dla uświetnienia obchodu uroczystej rocznicy. A tak mało brakowało, by Napoleon nie urodził się Francuzem! Dopiero na rok przed tym wydarzeniem Ludwik XV kupił Korsykę od Genuńczyków.

Piętnastego sierpnia — równo w sto lat od wielkiej daty — Lulu zwiedził dom Bonapartych w Ajaccio. Chłopiec nie ukrywał wzruszenia. Dom, ubogi i ciasny, stał w wąskiej uliczce wśród wielu podobnych sobie budowli. Jakże daleko mu do splendoru Tuileriów! A jednak z tego właśnie gniazda wyleciał orzeł, który szumem skrzydeł poraził najsłynniejsze pola bitew Europy.

Lulu zwiedził cały dom, zjrzał do każdego zakamarka, chciał wszystko zobaczyć, wchłonąć w siebie atmosferę tych murów, które wyhodowały wielkiego człowieka.

Potem, w kaplicy, modlił się na grobie pani Letycji i jej bliskich.

Była to podróż cudowna i niezapomniana, a po powrocie, jakże wdzięcznego znalazł książkę w Antosiu słuchacza.

Od Meli co tydzień nadchodziły liściki. Dziewczynka zachwycała się zamkiem, towarzystwem, okolicą i wakacjami. Miała wielu rówieśników — w zamku bawiło sporo gości, wyłącznie Francuzów, bo i gospodarze byli Francuzami.

Antoś z pogardliwą obojętnością wysłuchiwał tych relacji. Żał do Meli nie ustępował mimo upływu czasu.

— Nie wolno ci chować do niej bezpodstawnej urazy — tłumaczyła Róża — to bardzo nieładnie. Nie wiedziałam, że potrafisz być taki zawzięty.

— Nie jestem zawzięty — odpowiedział mrukiwie — ale Mela nas zdradziła.

— Jak to zdradziła? — denerwowała się siostra. — Czy zdajesz

215

sobie sprawę z tego, co mówisz? Mela wróciła do mamusi, do domu.

Tam jest jej miejsce. To chyba jasne.

— Nie wiem, może jej kiedy i wybaczę.

— Nie masz jej nic do wybaczenia. Najwyżej ona może ci przebaczyć, jeżeli ją przeprosisz.

O ile odejście Meli pozostawiło w sercu Antosia pewnego rodzaju „drżkę”, o tyle te ostatnie wakacje zacieśniły — jeśli to możliwe — jego przyjaźń z siostrą. Całe dni spędzali razem, a Róża kilkakrotnie zabrała brata na bulwar Montparnasse.

Dla chłopca stało się to rewelacją. Sprawy i osoby, o których dotąd — jako uczeń Szkoły Polskiej — jedynie słyszał, nabrały nagle konsystencji, blasku i życia. Ludwik Mierosławski i „Towarzystwo Demokratyczne Polskie”, Julian Klaczko i jego publikacje, znane już ze szkolnej biblioteki, pan Henryk Wyziński i redagowany przez niego biuletyn, który regularnie informował Francuzów o Polsce, pan Bronisław Zaleski — dyrektor Biblioteki Polskiej — wszystkich tych ludzi, bywających u rotmistrza Brackiego, Antoś ujrzał na własne oczy. Nawet i sam książkę Władysław Czartoryski...

Księcia Władysława przyjmowano w Tuileryach. Dzięki jego stosunkom Drugie Cesarstwo wiele zdziało dla emigracji. Chociażby subsydia rządowe dla polskich zakładów, uznanych przez rząd francuski za instytucje użyteczności publicznej. Było to też między innymi zasługą Czartoryskiego.

Dzięki tak otrzymanym funduszom rozwijała się otwarta w 1842 roku Szkoła Narodowa Polska na Batignolles, licząca już ponad trzystu uczniów. Polacy studiujący na francuskich uniwersytetach zwolnieni byli od wszelkich opłat. A zakład Świętego Kazimierza, założony przez siostry miłosierdzia, rodzinny nieledwie dom dla starców i sierot?

Dużo można by wyliczać instytucji istniejących dzięki subsydium rządowym i hojności zamożnych rodaków. Wiele też osób doznawało indywidualnego wsparcia, otrzymywało pensje czy zapomogi. Wszystkie kraje europejskie razem wzięte nie wydały na pomoc dla polskich emigrantów ani połowy tego co Francja, która nie żałowała corocznie miliona franków na te cele.

Po wakacjach Antoś wrócił do szkoły dojrzały i wzbogacony o tyle cennych doświadczeń i wiadomości. Nie mówił już o „zdra-

dzie" Meli, w ogóle dziewczynka jak gdyby przestała go interesować. Pani Narzymska zdecydowała się umieścić córkę na jednej z modnych „pensji dla panien" — czas był najwyższy, by Mela rozpoczęła systematyczną naukę. Ileż rzeczy powinna znać i umieć dobrze wychowana panienka!

Odtąd dziewczynka spędzała w domu jedynie niedziele i święta, i tak powoli rozluźniał się jej kontakt z mieszkańcami ulicy Świętego Rocha.

— Że też chce się cesarzowej Eugenii w taką pogodę jechać do jakiegoś Kairu! — Zelia szczerzej otuliła się szalem. — Mnie by tam żadna siła nie wyciągnęła teraz z domu.

— Ależ, Zelio — Róża odłożyła książkę. — W Kairze jest ciepło. Gdy u nas brzydki listopad, tam wieczna wiosna i lato.

— Wszystko jedno — wstrząsnęła się Zelia. — Nie widzę powodu do tak dalekiej podróży.

— Jak to nie widzisz powodu? Przecież chodzi o epokowe wydarzenie, otwarcie Kanału Sueskiego. Pierwsze takie dzieło na świecie. Zaprawdę pan Lesseps to człowiek genialny.

— Żeby otwierano coś we Francji, to nie powiem, wówczas obecność

cesarza i cesarzowej byłaby rozumiała. Ale gdzieś tam, w Egipcie!

— Ależ zrozum, Zelio. Korzystać z tego będą wszystkie narody, również i Francja. Na tę uroczystość zjeżdżają się władcy wielu krajów. Dlaczegoż miałoby zabraknąć cesarzowej Eugenii? Tym bardziej że cesarz zostaje w domu.

— Właśnie, cesarz zostaje — Zelia wydeła wargi — ale cesarzowa Eugenia poleci na byle skinienie, byle się zabawić, byle nie siedzieć w domu.

— Jesteś niesprawiedliwa. Cesarzowa Eugenia lubi podróżować, cóż w tym złego? Z pewnością będzie najpiękniejszą z dam, które tam przybędą, a przede wszystkim najbardziej wytworną. Żebyś widziała moje hafty na krynolinie! Stare egipskie wzory.

To prawda, że cesarzowa Eugenia lubiła podróże, ciągnęły ją obce kraje, łaknęła wrażeń, nowych widoków, innych twarzy.

218

Niestety, wysoka pozycja pozwalała zaspokajać wyłącznie te pragnienia, które były zgodne z racją stanu.

Dotąd żyła wspomnieniem pierwszej oficjalnej podróży, którą wkrótce po ślubie odbyła wraz z małżonkiem do Anglii. Było to jeszcze w czasie wojny krymskiej, przed urodzeniem Lulu.

Dawna panna de Montijo oczarowała Anglików. Była nie tylko małżonką cesarza, ale przede wszystkim wyjątkowo piękną i szczęśliwą kobietą, która pragnęła podobać się.

Nawet purytańska królowa Wiktoria nie pozostała obojętna na uroki francuskiego gościa, toteż przyjęcie, jakiego doznała para cesarska w Windsorze, wyróżniało się nie tylko wspaniałością, ale i sercem.

Bale, obiady, przejażdżki stanowiły doskonałą okazję do prezentowania arcydzieł paryskich krawców i modystek. Angielskie damy pożerały wzrokiem coraz to wspanialsze krynoliny ze stolicy mody, z wymarzonego raju wytworności, wykwintu i szyku.

Cesarzowa Eugenia słyszała dokoła siebie wyłącznie szepty zachwytu, olśniewała cesarskim diademem na jasnych włosach, błękitem spojrzenia, przejrzystością karnacji, posągowym kształtem obnażonych ramion i szyi, na której lśniły coraz wspanialsze kolie od jubilerów z ulicy de la Paix.

Przy niemiłodej, nieładnej i nieeleganckiej królowej Wiktorii, wśród jej

dam równie przyćmionych i nieefektywnych, ta promienna piękność wydawała się zjawiskiem z innego świata. Jaśniała niczym gwiazda, przyciągała spojrzenia wszystkich, zarówno mężczyzn jak i kobiet.

Cóż więc dziwnego, że cesarzowa Eugenia, pewna własnego uroku, pragnęła wciąż nowych podbojów.

Była też w jej życiu inna podróż, do Algieru, zakończona łzami i żałobą. Wówczas to nadeszła wiadomość o śmierci ukochanej siostry, księżny Alba.

Niemile wspomnienie pozostawiła jedynie wizyta w Hiszpanii, ale niepopularność cesarzowej Eugenie w jej ojczyźnie tłumaczyła się jeszcze bardziej niepopularną wojną w Meksyku.

Lud Madrytu obrzucił wyzwiskami niepożądanego gościa, cesarzowa Eugenia nie mogła pokazać się na ulicy, nie mogła udać się na corridę — policja nie gwarantowała jej bezpieczeństwa. Tym jednak razem podróż do Egiptu nie miała politycznego charakteru.

219

6

e pizede wszystkim wyjątkowo piękną \

nUOUtld podobać się.

o bojętna na

stysxa\

l>wyłu, o śmowa(a cesarskim A\AeTtveTYV w błękitem spój  
rzenia, picz.^T\*ŁysVo^c\at Viaraac\,

tem obnażonych ramion i szyi, na ktÓTe^ \i&-«C«c^ c>-ł«ł -«-  
=,v»sxvav=i,«Ł kolie od jubilerów^ z ulicy de \a Paix.

Przy niemłodej, nieładnej i nieeleganckiej królowej VJk.Xox\V,

wśród jej dam równie przyćmionych i nieefektywnych, ta promien-  
ność wydawała się zjawiskiem z innego świata. Jaśniała nfczym  
gwiazda, przyciągała spojrzenia wszystkich, zarówno

Śfyt^e cesarzowa Eugenia, pewna własnego uroku, pragnęła wciąż no-  
wych P^^ zakończona łzami Była też w jej życiu inna podróż, do

Ai&e ' hei i żałobą. Wówczas to nadeszła wiadomość o  
śmierci siostry, księżny Alba.

Niemile wspomnienie pozostawiła jedynie wizyta w Hiszpanii, ale niepo-  
popularność cesarzowej Eugenie w jej ojczyźnie tłumaczyła się jeszcze bar-  
dziej niepopularną wojną w Meksyku.



Lud Madrytu obrzucił wyzwiskami niepożądanego gościa, cesarzowa Eugenia nie mogła pokazać się na ulicy, nie mogła udać się na corridę — policja nie gwarantowała jej bezpieczeństwa. Tym jednak razem podróż do Egiptu nie miała politycznego charakteru.

Niestety, wysoka pozycja pozwalała zaspokajać wyłącznie te pragnienia, które były zgodne z racją stanu.

Dotąd żyła wspomnieniem pierwszej oficjalnej podróży, którą wkrótce po ślubie odbyła wraz z małżonkiem do Anglii. Było to jeszcze w czasie wojny krymskiej, przed urodzeniem Lulu.

Dawna panna de Montijo oczarowała Anglików. Była nie tylko małżonką cesarza, ale przede wszystkim wyjątkowo piękną i szczęśliwą kobietą, która pragnęła podobać się.

Nawet purytańska królowa Wiktorja nie pozostała obojętna na uroki francuskiego gościa, toteż przyjęcie, jakiego doznała para cesarska w Windsorze, wyróżniało się nie tylko wspaniałością, ale i sercem.

Bale, obiady, przejażdżki stanowiły doskonałą okazję do prezentowania arcydzieł paryskich krawców i modystek. Angielskie damy pożerały wzrokiem coraz to wspanialsze krynoliny ze stolicy mody, z wymarzonego raju wytworności, wykintu i szyku.

Cesarzowa Eugenia słyszała dokoła siebie wyłącznie szepty zachwytu, olśniewała cesarskim diademem na jasnych włosach, błękitem spojrzenia, przejrzystością karnacji, posągowym kształtem obnażonych ramion i szyi, na której lśniły coraz wspanialsze kolie od jubilerów z ulicy de la Paix.

Przy niemłodej, nieładnej i nieeleganckiej królowej Wiktorji, wśród jej dam równie przyćmionych i nieefekownych, ta promienna piękność wydawała się zjawiskiem z innego świata. Jaśniała niczym gwiazda, przyciągała spojrzenia wszystkich, zarówno mężczyzn jak i kobiet.

Cóż więc dziwnego, że cesarzowa Eugenia, pewna własnego uroku, pragnęła wciąż nowych podbojów.

Była też w jej życiu inna podróż, do Algieru, zakończona łzami i żalobą. Wówczas to nadeszła wiadomość o śmierci ukochanej siostry, księżny Alba.

Niemile wspomnienie pozostawiła jedynie wizyta w Hiszpanii, ale niepopularność cesarzowej Eugenie w jej ojczyźnie tłumaczyła się jeszcze bardziej niepopularną wojną w Meksyku.

Lud Madrytu obrzucił wyzwiskami niepożądanego gościa, cesarzowa Eugenia nie mogła pokazać się na ulicy, nie mogła udać się na corridę — policja nie gwarantowała jej bezpieczeństwa. Tym jednak razem podróż do Egiptu nie miała politycznego charakteru.

Był to hołd oddany francuskiemu geniuszowi, gdyż twórca wielkiego dzieła, które napelniło świat cały podziwem, był Francuzem. Wicehrabia Ferdynand de Lesseps, daleki krewny cesarzowej Eugonii, z zawodu dyplomata, w karierze tej szedł śladami ojca i dziada. Dał się poznać konsulatom i ambasadom Francji w wielu stolicach. Lizbona, Tunis i Kair, Aleksandria i Rotterdam, Barcelona, Madryt i Rzym — oto miasta, gdzie dobrze znano wysoką, zgrabną sylwetkę eleganckiego Francuza z czerwoną wstążeczką Legii Honorowej w klapie. Otrzymał Krzyż Kawalerski za niezwykle bohaterską i wysoce ludzką postawę podczas straszliwej epidemii dżumy, która właśnie zdziesiątkowała Aleksandrię.

Po rewolucji lutowej czterdziestego ósmego roku wycofał się ze służby dyplomatycznej, poświęcając się całkowicie wielkiemu dziełu, jakim było przebicie Kanału Sueskiego.

Ta myśl opętała go już wówczas, gdy pierwszy raz znalazł się w Egipcie. Cieszył się przecież przyjaźnią samego wicekróla Mohammeda Saïda Paszy, który z równym entuzjazmem zapalił się do nieprawdopodobnego — w mniemaniu większości — projektu. Czyż rządy angielski i turecki nie określiły owego przedsięwzięcia jako „chimeryczne i niewykonalne”? Ponadto potrzebne były pieniądze, ogromne pieniądze. Lessepsa nie powstrzymała i ta przeszkoda. Założył Towarzystwo Budowy Kanału Sueskiego i w ciągu kilku lat udało mu się zebrać dwieście milionów, co pozwoliło już w 1859 roku rozpocząć roboty.

Myśl nie była nowa, można ją znaleźć u starożytnych, w pismach Strabona i Pliniusza.

Faktem jest, że ten wąski, łączący dwa kontynenty przesmyk, „istmus”, jak go nazywano, pomiędzy Morzem Śródziemnym a Czerwonym, ogromnie skracał podróż z Europy do Indii i dalej na wschód.

Do XV wieku, czyli do wielkich odkryć geograficznych, dokonanych przez dwie ówczesne morskie potęgi: Hiszpanię i Portugalię, tę właśnie drogę obierały statki płynące na wschód. Był to jedyny

szlak wówczas znany.

Statki przybijały więc do portu w Aleksandrii. Tam przywiezione z Europy towary ładowano na grzbiety wielbłądów, które niosły

220

je przez pustynię. Nad Morzem Czerwonym inne statki zabierały je w dalszą podróż.

W 1486 roku portugalski żeglarz Bartłomiej Dias zapędził się daleko na południowe wybrzeża Afryki i odkrył Przylądek Burz, nazwany później bardziej łagodnie Przylądkiem Dobrej Nadziei.

W jedenaście lat potem Vasco da Gama pierwszy opłynął ląd afrykański, wskazując przyszłym żeglarzom nową drogę morską do Indii.

Mimo tego odkrycia statki z pasażerami na pokładzie lub z lekkim, delikatnym a cennym ładunkiem w lukach, w dalszym ciągu korzystały z utartego szlaku, przenosząc grzbiety wielbłądów nad daleką i niebezpieczną podróż morską. Towary ciężkie, zajmujące wiele miejsca, a przy tym odporne na długi pobyt na morzu, płynęły już dokoła Afryki śladem Vasco da Gamy.

W 1854 roku Lesseps przedstawił wicekrólowi Egiptu projekt kanału, który by połączył dwa morza, a w roku następnym rozpoczęto prace przygotowawcze.

Iluż specjalistów przystąpiło wówczas do badań, bez których podobnie epokowe przedsięwzięcie nie mogłoby nawet ruszyć z miejsca! Inżynierowie, geografowie i geolodzy badali przesmyk lądu łączący Afrykę z Azją, a rozdzielający dwa morza, na przestrzeni 164 kilometrów.

Roboty przy kopaniu kanału trwały dziesięć lat, przerywane od czasu do czasu brakiem funduszy. Wtedy Lesseps zrzucił białe płócienne ubranie i objeżdżał główne miasta Francji, wygłaszając odczyty. Złoto ponownie napływało do pustych kas Towarzystwa, co umożliwiała podejmowanie przerwanych prac.

U wylotu Kanału nad Morzem Śródziemnym powstało nowe miasto, nazwane na cześć wicekróla Port Saidem.

17 listopada 1869 roku nastąpiło wreszcie tak niecierpliwie wyczekiwane uroczyste otwarcie Kanału Sueskiego w obecności tysięcy zaproszonych z całego świata gości, żurnalistów, pisarzy, uczonych, przedstawicieli rządów, władców wielu państw.

Wzruszająca to była chwila, gdy dzięki tak niezwykle przedsięwzięciu, dzięki uporowi i przekonaniu jednego człowieka, zlały się — roz-

dzielone dotąd zdawałoby się na wieki — wody Morza Śródziemnego z Czerwonym.

W oślepiającym słońcu Egiptu, na statku, który pierwszy po-

221

kiej, u

"1

Wieud Krzyż Łęgu Honorowej zawisł na (raku RrtłM\*

Lessepsa.

dół

Gdy Róża zamknęła za sobą drzwi pracowni, zbiegła na i wyjrzała na dziedziniec, stwierdziła z niezadowolaniem, że pada mokry śnieg, rozta-  
piający się w czarne plamy wilgoci na kamiennych płytach.

Ciemno było w tej części podwórza — widać silny wiatr pogasił latarnie. Dziewczyna nasunęła na czoło kapturek, osłaniając twarz przed lodowatym podmuchem, i odważnie zapuściła się w dobrze przecież znany, a teraz tajemniczy i niepokojący dziedziniec Tuileriów.

Pani Carette przysłała rano służącą z wiadomością, że leży chora i prosi, by Róża odwiedziła ją wieczorem.

Ach, jakże przykre są ciemności i jak dziwnie tu cicho i pusto! Jak gdyby wszyscy mieszkańcy opuścili nagle Tuilerie, wydając je na pastwę wi-  
chru, śniegu i zimowej nocy.

Róża ostrożnie stawia stopy, posuwając się nieledwie po omacku. Wicher tak świszczę w załomach murów, że nie słyszy nawet własnych kroków. Tym bardziej przeraża ją czyjaś obecność, ściszone głosy, wiatr przynosi do niej słowa, polskie słowa, słyszy je tak wyraźnie, jak gdyby wypowiedziano je tuż przy jej uchu.

— Jest tam?

— Jest.

— Od dawna?

— Może od pół godziny.

— Sam?

— Sam.

222

no~wym szlakiem, cesarzo"wa Eugenia spod Inoronk  
parasolki crilone.ła niepowtarzalny koloryt imponującego wid.k.a  
Była jak. zwykle najpiękniejsza. Przy jej aparycji talom pas\ a  
\ak.óś mi oda. siedzącej obok — równie przecież pi« dno

młodszej - ciemnowłosej Sisi, czyli Elżbiety au Ukochanej małżonki Franciszka Józefa.

Wielki Krzyż LegU Honorowej zawisł na irafcu Lessepsa.

^n

płynął nowym szlakiem, cesarzowa Eugenia spod koronkowej parasolki chłonęła niepowtarzalny koloryt imponującego widowiska. Była jak zwykle najpiękniejsza. Przy jej aparycji blondynki gasła jakoś uroda siedzącej obok — równie przecież pięknej, a dużo młodszej — ciemnowłosej Sisi, czyli Elżbiety austrackiej, ukochanej małżonki Franciszka Józefa.

Wielki Krzyż Legii Honorowej zawisł na fraku Ferdynanda Lessepsa.

Gdy Róża zamknęła za sobą drzwi pracowni, zbiegła na dół i wyrzała na dziedziniec, stwierdziła z niezadowoleniem, że pada mokry śnieg, rozta-  
piający się w czarne plamy wilgoci na kamiennych płytach.

Ciemno było w tej części podwórza — widać silny wiatr pogasił latarnie. Dziewczyna nasunęła na czoło kapturek, osłaniając twarz przed lodowatym podmuchem, i odważnie zapuściła się w dobrze przecież znany, a teraz tajemniczy i niepokojący dziedziniec Tuileriów.

Pani Carette przysłała rano służącą z wiadomością, że leży chora i prosi, by Róża odwiedziła ją wieczorem.

Ach, jakże przykre są ciemności i jak dziwnie tu cicho i pusto! Jak gdyby wszyscy mieszkańcy opuścili nagle Tuilerie, wydając je na pastwę wichru, śniegu i zimowej nocy.

Róża ostrożnie stawia stopy, posuwając się nieledwie po omacku. Wicher tak świszczę w załomach murów, że nie słyszy nawet własnych kroków. Tym bardziej przeraża ją czyjaś obecność, ściszone głosy, wiatr przynosi do niej słowa, polskie słowa, słyszy je tak wyraźnie, jak gdyby wypowiedziano je tuż przy jej uchu.

— Jest tam?

— Jest.

— Od dawna?

— Może od pół godziny.

— Sam?

— Sam.

222

— Czekać. A potem wiecie, co robić.

— Wiemy.

— I żeby wszystko odbyło się w cichości. Pamiętajcie.

Od tego krótkiego dialogu powiało grozą. Róża stanęła z mocno bijącym sercem. Co to znaczy? Zasadzka? Na kogo? Tu, w pobliżu wejścia do prywatnych apartamentów cesarza?

Bo właśnie gdzieś tu blisko powinny znajdować się owe drzwi, od których klucz miał jedynie Napoleon III.

Ręką namacała mur i przywarła do tej zbawczej osłony. Bała się porużyć, by nie zdradzić swojej obecności przed tymi ludźmi, którzy budzili w niej lęk.

Czekali na kogoś, to jasne. Gdzie jednak były strażę? Gdzie cesarscy gwardziści? Dlaczego żaden odgłos, zwykły dla tego miejsca, nie przerywał przerażającej ciszy?

Mimo szumu wichury Róża słyszy bicie własnego serca. Wytęża wzrok z taką siłą, aż czerwone koła wirują przed oczami. Ludzie zapadli się jak gdyby pod ziemię, choć czuje, że są tuż, straszni, niebezpieczni. Kto to? I dlaczego mówią po polsku?

Śnieg przestaje padać, zamienia się w lodowaty deszczyk, kłujący igiełkami marznącej wody. Róża silniej przywiera do zbawczego muru. Jest jej zimno i boi się, bardzo się boi, tak bardzo, że chciałaby krzyknąć.

Nagle o parę kroków od niej zgrzyt klucza. W szeroko otwartych drzwiach stoi cesarz i jakiś mężczyzna otulony ciemnym płaszczem.

— A więc za tydzień, jak uzgodniliśmy — mówi cesarz i ściska rękę gościa.

— Za tydzień — powtarza niski, stłumiony głos, który poruszył jej serce. Dalsze słowa nieznajomego porywa bijąca teraz z całą siłą w drzwi wichura.

Choć na chwilę zrobiło się jasno, Róża nie może dojrzeć żadnego z czających się zbirów.

— Niech pan uważa — woła mimo paraliżującego ją lęku. — Grozi panu niebezpieczeństwo!

Niestety, i jej głos unosi wicher, który w tej chwili zatrząskuje z hukiem otwarte dotąd drzwi. Tupot nóg, zduszony jęk i stukot upadającego ciała. Róża wie, że tam w ciemności toczy się walka, zaciekle walka na śmierć i życie.

Mimo obezwładniającego ją strachu odrywa się od muru i jednym skokiem dopada drzwi. Nieprzytomna z przerażenia bije pięściami w twarde

drewno.

Gdy wreszcie Napoleon III staje w progu, Róża wpada nieledwie w ramiona cesarza.

— Sire — ledwie może wydobyć głos z zaciśniętej krtani — Tam... napadli... ten, co wyszedł...

Cesarz szerzej otwiera drzwi i śmiało postępuje naprzód. W sennych zazwyczaj oczach lśnią stalowe błyski.

— Niech się pani uspokoi — mówi stanowczo — zaraz sprawdzę.

Po chwili wraca z kandelabrem w ręku.

Dziedziniec jest pusty, cichy i ciemny. Nie ma śladu po napastnikach. Cesarz unosi wysoko zapalony świecznik, rzucając jasny krąg światła na mokre płyty dziedzińca.

— Nie ma nikogo — patrzy wyczekująco na nieznaną dziewczynę. — Co pani tu robi?

— Sire — Róża nie śmie spojrzeć w zamglone błękitne oczy Napoleona III. — Ja... pracuję w Tuileryach. Jestem hafciarką. Szłam do pani Carette. I nagle posłyszałam głosy... Ci ludzie czatowali na tego, co był u Waszej Cesarskiej Mości. Gdy wyszedł, rzucili się na niego. Słyszałam szamotanie... Ich było kilku, a on jeden... i...

— Proszę za mną — głos cesarza jest jak zwykle spokojny i ściszony.

Róża wchodzi do gabinetu. Cesarz podsuwa jej fotel, po czym pociąga taśmę dzwonka.

— Natychmiast przeszukać dziedzińce — rzuca rozkaz prężącemu się adiutantowi. — Uprzedzić strażę przy bramach. Napadnięto na człowieka. Jak najszybciej ująć napastników. Proszę meldować o wszystkim. Chcę wiedzieć.

Na następny dzwonek w drzwiach pojawia się lokaj.

— Przynieś wina — głos cesarza mięknie. — Ta panienska zmarzła i bardzo przestraszyła się wichru i ciemności.

Róża patrzy na cesarza z wdzięcznością i z podziwem. Jak wszystko staje się proste i bezpieczne! Parę rozkazów i już ludzie z latarniami przetrząsają zakamarki pałacowych dziedzińców, schody, korytarze.

224

— Chyba porwano go — mówi szeptem, przestraszona własną śmiałością. — Czatowali na niego.

— Co pani słyszała? — cesarz nalewa wina do dwóch pucharków z pur-

purowego szkła.

— Ktoś pytał, czy on tu jest i od jak dawna. A także, czy jest sam. I zalecał, aby wszystko odbyło się w cichości. — Róża wstrząsa się na straszne wspomnienie. — Bałam się poruszyć, żeby mnie nie zauważyli.

— Dlaczego pani go nie ostrzegła? — cesarz nie spuszcza z gościa oczu, które znowu utraciły zwykły, senny jak gdyby wyraz.

— Krzyknęłam, ale chyba nie słyszał. Miałam nadzieję, że nie ośmielią się tuż pod drzwiami Waszej Cesarskiej Mości...

— Są ludzie, których nic nie powstrzyma — cesarz patrzy gdzieś ponad głową Róży. Po chwili ujmuje pucharek.

— Proszę, niech się pani pokrzepi — mówi uprzejmie. — Zaraz każę odprowadzić panią do domu.

— Sire... Ci ludzie...

— Co takiego?

— Ja... dlatego zrozumiałam, o czym mówili, że mówili po polsku. — Róża wyrzuca to jednym tchem.

— Po polsku? — dziwi się cesarz.

— Tak. Po polsku.

— Więc pani zna język polski?

— Jestem Polką.

— Rozumiem.

— Mój brat przyjaźni się z Lulu... — bąka Róża onieśmielona. — Z Jego Cesarską Wysokością — poprawia się.

— Mówi pani o Anto? — uśmiecha się cesarz.

— Tak, Sire.

— Obaj chłopcy urodzili się jednego dnia — przypomina Napoleon III.

— Pamiętam. A jego ojciec... Przepraszam, to również i pani ojciec, prawda? Zginął przed operą. Czy tak?

— Tak, Sire.

Cesarz ponownie pociąga taśmę dzwonka.

— Niech tu przyjdzie porucznik Delavigne — mówi lokajowi. Porucznik Delavigne jest młody i przystojny. Stoi przed cesarzem na baczność, ale co rusz zerka ukradkiem w stronę Róży.

- Porucznik Delavigne — Napoleon III przedstawia młodego

15 — Talerz z Napoleonem



człowieka — zaopiekuje się panią. Panie poruczniku, proszę odprowadzić pannę Ordęga do domu.

Róża jest zdumiona. Jak to? Więc cesarz pamięta ich nazwisko?

— Niech się pani nie martwi, moje dziecko — Napoleon III obejmuje dziewczynę ramieniem i prowadzi do drzwi. — Wszystko będzie dobrze. Straże ujmą złoczyńców i uwolnią tego człowieka. Niech pani o tym zapomni — dodaje z naciskiem. — Do widzenia.

Porucznik Delavigne to młodzieniec doskonale wychowany i bardzo elegancki. Traktuje Różę jak prawdziwie wielką damę.

Ciemny do niedawna i opustoszały dziedziniec teraz przebiegają patrole z latarniami. Słychać głosy, padają rozkazy.

— Panie poruczniku — Róża podnosi oczy na młodego człowieka. — Czy może pan być tak uprzejmy i towarzyszyć mi do pani Carette? Czekam na mnie. Muszę ją przeprosić, że nie zostanę, a potem...

— Odprowadzę panią do domu — przerywa porucznik Delavigne.

— Otrzymałem taki rozkaz — dodaje służbiście. — A poza tym jestem na pani usługi — tym razem pozwala sobie na całkiem niesłużbisty uśmiech.

t

|

— Wygraliśmy! — zatarł ręce najmłodszy z bywalców salonu rotmi-

strza Brackiego. — Plebiscyt wyraźnie pokazał, czego chce Francja. Pan Hutorowicz trząsł siwą głową i milczał.

— Czy to źle? — Róża podniosła niespokojny wzrok na starego przyjaciela. — Dlaczego pan nic nie mówi?

— Cóż mam mówić? Dla Francji to chyba dobrze, może nawet bardzo dobrze — pan Hutorowicz westchnął. — Rzeczywiście olbrzymia większość głosujących pragnie kontynuacji cesarstwa, chce, by zapewniono tron dla następcy. Dla Francuzów oznacza to przecież stabilizację, pokój, wzrost dobrobytu, dalszy rozkwit, przemysłu i handlu. Co jednak z tego będzie miała Polska? Dotąd cesarz zadowalał się jedynie obietnicami.

— Jeszcze panu mało tego, co Francja dla nas robi? — oburzył się ów entuzjasta cesarstwa. — Ten plebiscyt to wielki triumf Napoleona Trzeciego. Dopiero teraz można będzie wprowadzić w czyn wszystkie reformy. Polska też nie zostanie zapomniana. Zobacz pan. Plebiscyt rzeczywiście okazał się triumfem bonapartystów, niestety, był to ostatni uśmiech losu dla cesarza na tej ziemi.

Dzień ósmego maja 1870 roku potwierdził wolę narodu: po dwudziestu latach istnienia cesarstwa siedem i pół miliona obywateli opowiedziało się za dotychczasową formą rządów. Tylko, półtora miliona wyborców sprzeciwiło się osadzeniu na tronie następcy.

Opozycja ze zdumieniem zadała sobie pytanie: „Jak doszło do podobnego skandalu?”

227

Tej wiosny w Tuileriach, jak zwykle o tej porze roku, kwitło życie towarzyskie. Cesarzowa Eugenia wiele przyjmowała, cesarz, zamknięty w gabinecie, prowadził polityczne rozmowy.

Tema-tu naturalnie dostarczały Prusy, minister Bismarck, ogólny układ sił.

— Dążące do zjednoczenia się Niemcy są gwarancją pokoju w Europie — dowodził cesarz.

— Niemcy zjednoczone pod berłem jednego człowieka, to największe zagrożenie dla Europy — odpowiadał hrabia von Beust, austriacki minister.

Któż właściwie mógł odgadnąć, co było korzystne dla Europy i jej pokoju? Jeśli cesarz pragnął dobrych stosunków z Prusami, to osoby z kręgu cesarzowej Eugenii wyrażały wręcz przeciwne życzenia.-I działały w tym

kierunku, bardzo nawet skutecznie, bo wyjątkowo energiczną kobietą była księżna Metternich.

Na początku lipca gazety ogłosiły, że jeden z Hohenzollernów pretenduje do tronu Hiszpanii.

Opozycja ostro zaatakowała Prusy.

„Czyż Hohenzollernom nie wystarczy już podbój Niemiec? — pisano. — Czyż ich bezczelne zuchwalstwo dąży do opanowania Europy?”

Cesarz zwrócił się do Anglii o poparcie jego pokojowej polityki. W wyniku dyplomatycznych zabiegów książę Leopold Hohenzollern wycofał swoją kandydaturę do hiszpańskiej korony.

„Odnieśliśmy wspaniałe zwycięstwo — pisał paryskie dzienniki. — Nie kosztowało nas ono ani jednej kropli krwi, ani nawet łzy”.

Opozycja napiętnowała owo „zwycięstwo” jako hańbę dla Francji.

Naród był podzielony. Jedni parli do wojny, inni widzieli przyszłość w utrzymaniu dotychczasowych pokojowych stosunków z Prusami.

Cesarz wiedział, że pod względem militarnym Francja nie była gotowa.

Liczył jednak na wspaniałą postawę żołnierzy, na ich męstwo, sprawdzono tak chlubnie pod Magentą i Solferino.

Poza tym był chory. Nerkowe kamienie sprawiały coraz dotkliwsze cierpienia. Utrzymanie się w siodle wymagało nadludzkiego wysiłku. Twarz cesarza jak zwykle nie zdradzała jego stanu i tylko

228

ci, którzy znali go bardzo dobrze, wiedzieli, co ten człowiek musi przezwyciężyć.

Mimo pomyślnego wyniku plebiscytu nie ustępował ni\$okój o Francję i o przyszłość syna. Co będzie z Lulu? Przecież to jeszcze dziecko. Co z nim będzie?

Człowiek układa plany, obmyśla strategię, usiłuje przeczuć nadchodzące wypadki. Cóż jednak zdoła powstrzymać sunącą z gór lawinę? Wystarczy jeden mały kamyk, a rozmiarów katastrofy nie da się przewidzieć.

Lulu martwił się ojcem. Wiedział o chorobie cesarza, wiedział o politycznych trudnościach, z jakimi się borykał.

Podczas ostatniego przed wakacjami spotkania z małym księciem Antosia uderzył nowy wyraz jego smutnej twarzy.

— Co ci jest? — pytał niespokojnie.

— Nic — Lulu uśmiecha się blade. — Po prostu boję się.

— Boisz się? Czego?

— Sam nie wiem — Lulu przysunął się do przyjaciela. — Słuchaj, wszystko jest nie tak, jak być powinno.

— Tak myślisz? — Antosiowi udzielił się niepokój księcia.

— Tak — Lulu energicznie pokiwał głową. — Biedny papa. Gdybym mógł coś dla niego zrobić...

Antoś wracał do szkoły przygnębiony. Te obawy, przewidywania czegoś, co wydawało się nieuniknione, nie pasowały jakoś do Lulu. Nigdy dotąd nie mówił o tak smutnych rzeczach. Odwrotnie, ich rozmowy, nawet takie, które dotyczyły spraw nie zawsze radosnych, dalekie były od beznadziejności obecnego nastroju. Zaledwie rok temu Lulu odwiedził Korsykę, witany wszędzie jak triumfator. Przywiózł tyle wspaniałych wrażeń, a teraz...?

Piętnastego lipca Francja wypowiedziała wojnę Prusom. Decydując się na ten krok, Napoleon III nie miał nic do wygrania, mógł za to stracić wszystko. Dlaczego się więc zdecydował? Musiał, bo tak chciał Bismarck. Pruski minister nie ominął niczego, co by doprowadziło Francję do tak drastycznego kroku. Cesarz wiedział, że miał wrogów wewnątrz kraju, wiedział, że zrobią wszystko, by go zgubić. Łudził się jednak, wierzył, że mimo nienawiści do cesarstwa nie poświęcą przecież interesów Francji.

Na ulicach Paryża zaroilo się od mundurów. Artyleria, kawaleria, piechota, gwardia cesarska, gwardia narodowa, lansjerzy, grenadierzy, kirasjerzy, woltyżerowie, żuawi — różnorodność kolorów, sukna, kroju, nakrycia głowy! Pociągi pełne wojska odjeżdżały na wschód. Napoleon III postanowił zabrać na front syna.

Tego lata rodzina cesarska spędzała wakacje w Saint-Cloud, tuż pod Paryżem, w pięknej rezydencji na lewym brzegu Sekwany, wśród olbrzymiego parku, założonego niegdyś przez księcia d'Anjou, brata Króla-Słońce.

Lulu miał czternaście lat, wiek zbyt młody, by otrzymać jakikolwiek stopień w armii, niemniej przywdział bluzę podporucznika. Wojna położyła kres nie tylko jego wakacjom, ale wakacjom wszystkich dzieci we Francji.

Pożegnanie było bardzo smutne. O dziewiątej rano opuszczono pałac, udając się powozem na stację kolei żelaznej. Tam czekał już specjalny pociąg, mający zawieźć ojca i syna na przedpola bitew.

Cesarzowa Eugenia zaimponowała obecnym opanowaniem i spokojem. Zegnała jedynaka — którego nie miała już zobaczyć na francuskiej ziemi — suchymi oczyma, prawie nie okazując wzruszenia.

Lulu trzymał się mężnie, choć połykał łzy i w obu dłoniach ścisnął rękę matki. Żołnierz wyruszający na wojnę nie może płakać!

— Drogi przyjacielu — powiedział cesarz do generała Lepie, który ku swojej rozpaczy otrzymał rozkaz pozostania w Paryżu. — Oddaję moją małżonkę pod pańską opiekę.

Generał Lepie nie był z tej misji zadowolony, pragnął za wszelką cenę wyruszyć na front. Musiał jednak poddać się woli cesarza.

Zebrani na stacji długo jeszcze widzieli w oknie wagonu bladą twarz Lulu i jego zaczerwienione oczy. A potem cesarzowa Eugenia sama wróciła do pałacu.

Pociąg tymczasem pędził na wschód, do Metz. Miał to być jedynie krótki postój, wypadki jednak zdecydowały inaczej, zmuszając cesarza do pozostania w tym mieście.

Z początku Lulu był zachwycony. Wszystkim. Nawet brakiem zwykłych wygód. Żołnierze, nowe warunki życia, gwar obozowy, wszystko wprawiało go w ciągłe podniecenie. Przysłuchiwał się naradom generałów, odczytywaniu nadchodzących depech. Pod Sarrebruck przypatrywał się nawet bitwie.

A potem rozpoczął się początek końca, klęska goniła klęskę.

230

Wojna toczyła się błyskawicznie ku przegranej. Armia francuska została pobita na całej linii: Wissembourg, Forbach, Reichshoffen.

Guwerner księcia, generał Frossard, dowodzący drugim korpusem, opracował szczegółowy plan ataku na Sarrebruck. Dodano mu do pomocy jeszcze dwa korpusy: trzeci i czwarty. I przegrał. Dla Lulu był to cios. Dostał gorączki. Coraz gorzej wyglądał. Nękały go gwałtowne bóle głowy, bezsenność, brak apetytu. Ciągłe napięcie fatalnie wpływało na zdrowie chłopca. Po prostu ginął w oczach.

Cesarz, zaalarmowany stanem syna, postanowił natychmiast odesłać go do domu, tym bardziej że Rada Ministrów żądała obecności księcia w stolicy. Cesarzowa Eugenia, regentka na czas wojny, sprzeciwiła się jednak powrotowi Lulu do Paryża.

Każdego dnia depesze zwiastują teraz nowe klęski. Marszałek Mac-Mahon, bohater dwóch kampanii, krymskiej i włoskiej, dał się pobić pod Reichshoffen. Generał Douai poległ, a wraz z nim wielu innych.

Cesarz i Lulu opuszczają Metz. Rozpoczyna się tragiczna peregrynacja przez zdewastowane tereny, między wojskiem, które nie wierzy już w możliwość zwycięstwa. Longueville, Borny, Grave-lotte, Verdun — oto miejsca znaczone krwią francuskich żołnierzy. Cesarz przeżywa najokrutniejsze upokorzenie. Opozycja wymogła na rządzie, by odebrano mu naczelne dowództwo. Odpowiedzialność więc za losy walki ponosi obecnie marszałek Bazaine, „bohater” meksykańskiej wojny, człowiek chwiejny, pozbawiony inicjatywy. To on wpadnie w pułapkę zastawioną przez Prusaków w Metz i będzie zmuszony oddać miasto. Ponadto rząd nie pozwala cesarzowi wrócić do Paryża, nie pozwala ratować tego, co jeszcze dałoby się może uratować.

Dla Lulu są to najcięższe dni w jego życiu. Nie śmie pokazać się publicznie, wstydzi się klęski, wstyd mu za Francję. Wie, że wojsko wini cesarza za wszystkie niepowodzenia, a cesarz — Lulu też wie to dobrze — jest chory, bardzo chory. Tego zwycięzcę, podziwianego dotychczas przez całą Europę, lżą teraz jego własni żołnierze.

Nadchodzi wreszcie tragiczna chwila, kiedy ojciec i syn muszą się rozłączyć. Każdy z nich pójdzie odtąd drogą, którą mu wyzna-  
231

czyła fatalność. Dla Lulu nie ma już miejsca na tej ziemi zlanej francuską krwią, przeoranej pruskimi pociskami. Ostateczna katastrofa jest tylko sprawą tygodni, jeśli nie dni.

Lulu zapomina, że jest dużym chłopcem, że skończył czternaście lat. Podczas pożegnania z ojcem płacze tak, jak nigdy jeszcze nie płakał. Dalsza podróż chłopca ku granicy belgijskiej jest koszmarem ucieczką przed posuwającym się szybko wrogiem. Nędzne konie, jakie udało się zarekwirować i zaprząć do niewygodnej bryczki, wiozą cesarskiego księcia z Mśzieres do Sedanu, z Sedanu do Aves-nes, z Avesnes do Landrecies, wreszcie do Maubeuge. Tam dogania opiekunów chłopca depesza cesarza: „Jestem jeńcem króla pruskiego. Proszę odwieźć księcia do Anglii”.

Lulu jest tak zmęczony, że usypia stojąc. Ale oto już bliski koniec wę-

drówki. Przez Namur docierają do Ostendy, stamtąd statkiem do Dovru. I zaczyna się wygnanie.

Ileż strasznych rzeczy wydarzyło się w ciągu tak krótkiego czasu! Zaledwie miesiąc temu opuścił Saint-Cloud, matkę i wakacje, dumny z tego, że jak żołnierz wyrusza na wojnę. Zaledwie miesiąc temu! A oto czekała go klęska, utrata domu, ojczyzny, wszystkiego. I wygnanie. Nie zobaczy już nigdy Francji.

Po odjeździe syna cesarz ma większą swobodę działania. Wobec niuniknionej klęski pragnie zginąć śmiercią żołnierza. Świadomie wystawia się na niebezpieczeństwo, nie oszczędza życia, całe dni spędza na koniu, wśród świstu kul. Ileż razy pociski rozrywają się prawie pod kopytami ulubienicy Hero! Niestety, wszystkie go omijają. Obok niego giną ludzie, Napoleon III — choć szuka śmierci — z każdej potyczki wychodzi nieknięty.

A potem już Sedan i koniec. Armia francuska otoczona przez Prusaków w leju, na dnie którego leży miasto, wprowadzona tam wbrew woli cesarza, ma tylko dwa wyjścia: przebić się przez linie wroga i zginąć lub złożyć broń. Cesarz wybiera to drugie. Oddaje szpadę. Nie chce dopuścić do niepotrzebnej już masakry swoich oddziałów.

Ustanawiając się jeńcem króla pruskiego Napoleon III ma nadzieję ułatwić pokojowe pertraktacje. Czyż Rosja po wojnie krym-skiej zrzuciła cara z tronu? — myśli cesarz. Czyż Austria, przegrawszy kampanię włoską i decydującą bitwę pod Sadową, potępiła

232

Franciszka Józefa? Dlaczego Francja poszła inną drogą? Może nie byłaby utraciła Alzacji i Lotaryngii i nie musiała płacić pięciu miliardów kontrybucji?

— Starsi uczniowie ćwiczą musztrę — Antoś zziajany padł na Dziadusiowy fotel. — Widziałem na dziedzińcu szkoły. Wszyscy pójdą na wojnę. Ja też. — Popatrzył wyzywająco na siostrę.

— Jesteś za młody — stwierdziła krótko Róża.

— Jak to, za młody? A Lulu? Mam tyle samo lat co on.

— Któż by się mną opiekował? Mną i Zelią? Nie możesz nas opuścić.

— Prawda — przyznał niechętnie. — Przyrzekłem Dziadusiowi.

— Widzisz. W takich czasach nie trzeba się rozstawać. Nie wiadomo, co jeszcze będzie.

Antoś całe dni spędzał poza domem. Sam teraz uganiał się po Paryżu. Krążył między Szkołą Narodową Polską na Batignolles a bulwarem Montparnasse, gdzie co dzień prawie bywał „po wiadomości”. Wyręczał tym siostrę, bo Róża nie miała teraz czasu na wizyty, pieniędzy było mniej i należało więcej pracować.

Podczas jej ostatniej bytności u rodaków pan Hutorowicz uspokoił ją co do losu człowieka napadniętego na dziedzińcu Tuileriów.

— Nie pamiętam, czy pani mówiłem — zaczął. — Ten człowiek, na którego zaczęły się zbiry...

— Bardzo się o niego martwię — przerwała.

— Już niepotrzebnie — uśmiechnął się. — Na szczęście przyszedł mu z pomocą służący, który na niego czekał na ulicy Rivoli. To wyjątkowo dzielny człowiek. I we dwóch... A wie pani — spojrzał bystro na dziewczynę. — Ten nieznamy, to bohater z Nowej Kaledonii.

— Co pan mówi? Więc żyje! Jakie szczęście!

— Żyje. Był ranny. Po tej ekspedycji została mu pamiątka na całe życie: szrama na skroni.

— A... Berezowski?

— Berezowski... — pan Hutorowicz spuścił głowę. — Lepiej by dla niego było nie żyć — dokończył ciszej.

233

— A ten napad? Ta zasadzka w Tuileriach? Kto to? Przecież to Polacy... Czy Damian?

— Tak — pan Hutorowicz skinął głową. — To jego robota.

— Ale dlaczego?

— Widocznie dostał takie zadanie.

Miała teraz o czym myśleć podczas długich godzin spędzanych w Tuileriach. Tamborek spoczął na dnie szuflady razem z motkami jedwabiu, z najcieńszym batystem. Jej hafty nie były już nikomu potrzebne. Panny ze szwalni szyły bandaże, obrębiały płótno na opatrunki. Siedziała więc razem z nimi zajęta tą samą smutną robotą.

Wieści z frontu nadchodziły nieregularnie i były coraz gorsze.

Wreszcie któregoś dnia panna Wirginia zjawiała się w żałobie.

— Brat poległ pod Reichshoffen — powiedziała ocierając oczy. —

Wczoraj nas zawiadomiono.

Już w końcu lipca cesarzowa Eugenia opuściła Saint-Cloud i z całym dworem zjechała do Paryża. Tu łatwiej było o nowiny, a i obowiązki re-



gentki wymagały jej obecności w stolicy.

Mimo coraz tragiczniejszej sytuacji cesarzowa Eugenia zadziwiała ministrów i generałów zimną krwią i opanowaniem. Nie spodziewano się po niej podobnej energii i siły charakteru.

Czternastego sierpnia odbyło się ostatnie dworskie przyjęcie w Tuileries. Wśród przybyłych przeważały mundury wszelkich formacji. Cesarzowa Eugenia zjawiała się piękna jak zwykle, choć blada i znużona. Dekoltowana suknia z czarnej siatki na taftowym spodzie rozkładała się w sutą kryolinę. Na ten wieczór regentka nie wydobyla z puzder żadnego klejnotu, na rękach miała jedynie dżetowe bransoletki i takiż diadem na jasnych włosach, wśród których przeświecało kilka srebrnych nitek.

Służba, podobnie jak i pani, przywdziała czarną liberię.

Mimo żałobnej dekoracji nastroje gości nie były najgorsze. Łudzono się jeszcze, że losy wojny mogą się odmienić. No i liczono na pomoc. Próżne to jednak były nadzieje, próżne zabiegi cesarzowej Eugenii u niedawnych sojuszników. Zarówno księżę Metternich, jak i kawaler Nigra w imieniu swoich rządów przynieśli odmowną odpowiedź.

Trzeciego września dotarła do Paryża wieść o ostatecznej porażce

234

pod Sedanem i o kapitulacji. Wokół Tuileries zaczęły gromadzić się tłumy. Ulicą Rivoli ciągnęły grupy rozkrzyczanych i wygrażających pięściami paryżan. Śpiewano pieśni wrogie cesarstwu, przeklinano Napoleona Trzeciego. Całą noc błyskały ognie pochodni na placu Zgody, a wrzaski i śpiewy raniły uszy zbolalej regentki.

Generał Lepie obawiał się o bezpieczeństwo powierzonej jego opiece małżonki cesarza. Wieczorem wzmocniono strażę przy bramach, a szwadron grenadierów roztasował się w salach pawilonu Flory, dotykających galerii Muzeum Luwru.

Jak szczury z tonącego okrętu, tak z Tuileries zaczęli uciekać dworacy i służba. Nikt naturalnie nie opuszczał pałacu z pustymi rękoma, każdy pod płaszczem, pod fartuchem czy pod liberyjną kurtką wynosił jakiś cenny drobiazg: statuetkę z brązu czy z kości słoniowej, miniaturę podpisaną sławnym nazwiskiem. Biesiadowano w pałacowej kuchni, korzystając z nieszczęścia chlebobawców. Czwartego września rano pałac wydawał się wymarły. Reszta służby, która pozostała mając nadzieję na większe łupy, zbiegła w ciągu nocy. Jedynie przed drzwiami cesarskich apartamentów pełnił straż wierny gwardzista. Od strony placu Zgody lud wyłamał szta-

chety i wdarł się na teren ogrodów.

— Panno Rózo — cesarzowa Eugenia wyjmuję z szyfonierki małe puzderko. — Proszę, niech to pani zachowa na pamiątkę. Doprawdy, tak bardzo dziękuję za serce...

Róza, skonfundowana, nie wie, co powiedzieć.

— Niech pani nic nie mówi. Takich haftów nigdy już nie będę miała. Chcę, żeby pani wzięła sobie coś z tych rzeczy, przecież wszystko zostanie.

Tak, trzeba • zostawić wszystko. Pełne szafy i komody, ponad trzysta wspaniałych toalet, futra, koronki, stopy najcieńszej bielizny — równie wykwintnej nie miała chyba żadna dama w Europie — kolekcję wachlarzy, biżuterię i te tysiące prześlicznych drobiazgów, które wyszły z pracowni artystów, a na co dzień uprzyjemniały życie. Najcenniejsze klejnoty, na szczęście, znajdowały się już w bezpiecznym miejscu.

Cesarzowa Eugenia rozgląda się po sypialni, przechodzi do garderoby, otwiera szafy, dotyka jedwabiu i aksamitu. Przez

235

siedemnaście lat otrzymywała przecież co miesiąc sto tysięcy franków na własne wydatki, z czego większość pochłonęły te właśnie cuda.

Teraz ma na sobie czarną kaszmirową suknię, najskromniejszą, jaką znalazła w bogatej garderobie. Białe kołnierzyk i mankiety upodabniają jej strój do stroju hafciarki.

Te ostatnie dni i noce Róza spędza w Tuileriach. Uprzedziła Zelię. Inaczej nie mogłaby przedostać się do pałacu, takie tłumy tarasowały ulicę Rivoli.

Została, gdyż żal jej było cesarzowej Eugenii, opuszczonej przez damy dworu i pokojowe. Jedyne pani Carette i pani Lebre-ton — dwie lektoriki, pogodzone obecnie wobec nieszczęścia chlebo-dawczyni — dotrzymały jej towarzystwa.

Czwartego września rząd proklamował republikę, Trzecią Republikę we Francji.

Zdawało się, że cały Paryż wyległ na ulice, gromadząc się wokół Tuileriów. Na placu Zgody między tłumem błyskają lufy i bagnety gwardzistów.

— Nie wolno strzelać do ludzi — cesarzowa Eugenia odwraca się od okna. — Słyszysz pan, generale? Zabraniam!

— Nie mam tego zamiaru, Madame — generał Lepie czyni bezradny

gest.

Cesarzowa Eugenia gniecie trzymaną w rękę kartkę — ostatni list, jaki nadszedł od cesarza.

„Moja droga Eugenio, trudno mi opowiedzieć, co wycierpiałem i cierpię nadal. Posunięcia naszej armii, tak przeciwne wszelkim zasadom taktyki, musiały spowodować katastrofę. Wolałbym śmierć niż tę przerażającą kapitulację, jednakże w obecnych warunkach była to jedyna możliwość uratowania sześćdziesięciu tysięcy istot ludzkich. Dręczy mnie niepokój o ciebie, o naszego syna, o Francję. Co będzie z Paryżem? Król pruski oddaje mi do dyspozycji jeden ze swoich zamków. Wszystko mi jedno, gdzie będę, nic nie ukoji mojego bólu i rozpacz. Żegnaj cię i całuję najczulej. Napoleon”.

Generał Lepie szarpie wąsy i spogląda na tłum zalegający plac.

Cesarzowa Eugenia przykłada do oczu teatralną lornetkę.

— Tyle ludzi — szepce. — Boże, Boże!

236

Metternich i kawaler

Do błękitnego salonu wchodzi książę

Nigra.

— Madame — ambasador Austrii pochyla się przed cesarzową —

nie może tu pani zostać ani chwili dłużej.

— Madame — podchwytuje kawaler Nigra. — Proszę nie zwlekać z ucieczką. Zgubi pani swoich przyjaciół. Pan Metternich i ja oczekujemy na dole. Wkrótce może już być za późno.

v— Panie generale — cesarzowa Eugenia jest spokojna i zdecydowana.

— Gdy już wszyscy opuszczą pałac, proszę wydać rozkaz gwardzistom, by również odeszli.

Pani Carette i Róża nie mogą powstrzymać łez. — Nigdy was nie zapomnę, drogie, kochane, nie zapomnę, czym dla mnie byłyście w te dni. Żegnajcie, żegnajcie! — Cesarzowa przygarnia do siebie dziewczynę, ścisną rękę pani Carette, po czym wkłada kapelusz, zasłania twarz woalką, na ramiona narzuca płaszcz. Ze stolika bierze miniaturę ojca, z którą nigdy się nie rozstawała, po raz ostatni spogląda na to wnętrze, co tyle lat było jej domem.

Na dziedzińcu czeka powóz, ale pan Metternich, widząc liberię woźnicy i

herby na drzwiczkach, doradza wynajęcie fiakra.

Zewsząd napierają ludzie, krzyczą, pomstują. Tędy nie ma już przejścia, trzeba wracać do pałacu.

W obliczu niebezpieczeństwa cesarzowa Eugenia nie traci głowy i szybko wbiega na górę. Jest teraz tylko jedno wyjście, przez galerie starożytności Muzeum Luwru.

Na uciekinierkę spoglądają martwe oczy egipskich mumii i greckie marmury. Tylko tędy można wydostać się na ulicę przed kościołem Świętego Hermana z Auxerre.

— Precz z cesarstwem! Śmierć Hiszpance! Niech żyje republika! Cesarzowa opiera się na ramieniu kawalera Nigry.

— Proszę się nie lękać, Madame — uspokaja Włoch i przywołuje mijającego ich właśnie fiakra.

— Nie lękam się.

Cesarzowa Eugenia i pani Lebreton kryją się w zniszczonym wnętrzu pojazdu.

Fiakier rusza, z trudem torując sobie drogę między tłumem. Pozostali na ulicy patrzą za nim chwilę, po czym Róża żegna

238

się z panią Carette, która obawia się wracać do swoich pokojów w Tuileriesach.

— Nie może tu pani zostać — mówi generał Lepie. — Wkrótce Tuileries zmienią mieszkańców.

Księżę Metternicli zaprasza lektorkę do swojego powozu. Kawaler Nigra podchodzi do Róży.

— Odwiozę panią — mówi miękko. — Proszę nie płakać. Tuileries przecież zostały.

O tak, Tuileries zostały, a w nich zostało jeszcze paru wiernych przyjaciół. Generał Lepie i kapitan Dressey przebiegają opustoszałe apartamenty i salony, sprawdzają, czy pozamykano wszystkie okna, dokonują inspekcji miejsc skazanych na zagładę.

Gdy generał Lepie zamknął za sobą ostatnie drzwi, lud rozerwał tamy i niczym wezbrane morze w czasie przypływu runął na Tuileries.

Po klęsce pod Sedanem armia pruska miała już otwartą drogę do Paryża. Kto mógł, uciekał z zagrożonej stolicy.

Pani Narzymska z Melą zjawiły się na ulicy Świętego Rocha z pożegnalną wizytą.

— Wyjeżdżamy na Południe — powiedziała matka Meli. — Tak doradził mój brat — dodała spuszczać oczy. — I chcę panią bardzo prosić, byście się zabrali razem z nami.

— Tak, tak — zawołała Mela — pojedziemy razem, wszyscy razem. — Dziękuję, ale my pozostaniemy w domu. Tu jest wszystko, co kochamy.

— W Paryżu może być niebezpiecznie, bardzo niebezpiecznie. — Nalegała pani Narzymska. — Proszę zapakować najkonieczniejsze rzeczy i zamknąć mieszkanie.

— Nie, nie, raz jeszcze dziękuję. Wiem, że Zelia nie zgodziłaby się nigdy, a ja się z nią nie rozstanę.

— Doprawdy, panno Rózo, jest pani bardzo nierozsądna, proszę się zastanowić.

— Przecież większość mieszkańców zostaje, prawda? Więc i my.

— Panno Rózo — pani Narzymska aż poczerwieniała z zakłopotania.

— Nie wiem, jak to ująć, żeby pani nie urazić. Obawiam się, że nie przełamie pani upor, wobec tego chciałabym zostawić pani pieniądze.

Proszę nie protestować — dodała widząc wyraz przykrości na twarzy dziewczyny. — Tu wszystko zginie. Po cóż więc ma się zmarnować to, co komuś może być potrzebne? To ludzka rzecz. Takie są czasy, że chyba nie należy kierować się niemądrą w tej sytuacji dumą. Proszę zrozumieć.

I tak jestem pani dłużniczką.

Róza zgodziła się. Pieniądze były im rzeczywiście potrzebne.

Na żadną pracę obecnie nie mogła liczyć.

Pożegnanie było wyjątkowo smutne, nikt przecież nie wiedział, kiedy się znowu zobaczą.

— Żegnaj, Anto — powiedziała Mela, wyciągając rękę.

— Do widzenia, Melu — Antoś ujął niezgrabnie cienkie paluszki.

Gdy turkot powozu oznajmił odjazd gości, Róza poczuła dziwną pustkę w sercu. Wszyscy wyjeżdżali, wychodzili z jej życia. Nie ma już Tuileriów, nie ma szwalni i pracowni hafciarki, pałac stoi ciemny i milczący, opuszczone żaluzje kryją ośleple szyby, zdeptane trawniki i połamane krzewy świadczą o tragicznych dniach, jakie wraz z całym narodem prze-

żyła rezydencja obalonego cesarza.

Nazajutrz po wyjeździe pani Narzymskiej Antoś wrócił z bulwaru Montparnasse z wiadomością, że pan Hutorowicz przyśle po Różę konie.

— Ma do ciebie interes — zakończył.

— Jaki interes?

— Nie powiedział.

Z biciem serca wsiadła do jakże dobrze znanego powozu. Służący zaprowadził ją do salonu, gdzie czekał pan Hutorowicz.

— Moje dziecko — zaczął. — Sprowadziłem tu panią, gdyż Ryszard Żeran pragnie nareszcie zobaczyć wnuczkę Kazimierza Ordegi.

- Więc wrócił?

— Tak. Nie powiedziałem pani dotąd, że to wnuk Zygmunta, ale okoliczności tak się układały...

— I przyjdzie tu dziś?

— Jest w jadalni. Zaraz tam panią zaprowadzę.

Ryszard Żeran, tak niegdyś niecierpliwie wyczekiwany i tak potrzebny, zjawił się wówczas, gdy już ktoś inny wszystko za niego załatwił. Wolałaby, żeby to ten drugi człowiek znajdował się w jadalni, jednakże nie zapytała nawet pana Hutorowicza o Miguela Toreno.

Stary przyjaciel otworzył przed nią drzwi i popchnął ją lekko do środka. Naprzeciw wejścia stał odwrócony plecami do pokoju wysoki mężczyzna, zapatrzony w wiszący nad kominkiem obraz. Nosił wytworny garnitur, a jego czarna głowa odcinała się ostro od jasnego tła ściany. Powoli odwrócił się w jej stronę.

— Miguel Toreno — wyszeptała składając ręce, niezdolna oderwać oczu od szerokiej blizny przecinającej lewą skroń, czyją? Lokaja?

— Różo — powiedział po polsku — wybacz, że tak długo cię zwodziłem.

— Jak to? Więc pan...? Więc Ryszard Żeran...?

— To ja.

— A... Miguel Toreno? Czy nie ma już Miguela Toreno?

— Ależ jest, to mój wierny służący, a raczej przyjaciel. Długi czas używał mi swojego nazwiska, raz uratował mi życie.

— Trudno pojąć, że pan...

— Po cóż te ceremonie między nami. Rózo, czy nie masz mi nic innego do powiedzenia?

— To raczej ja powinnam oczekiwać od pana wyjaśnień.

Stali naprzeciw siebie jak wrogowie, mierząc się oczami. Boże, co to znaczy? Rózy zdawało się, że runęło w gruzy coś, co było mocne jak skała.

A on patrzył na nią, jak gdyby nic nie rozumiał. On? Kto taki? Obcy człowiek, przecież nie Miguel Toreno.

Nie próbował jej zatrzymać, gdy opuszczała, pokój.

— Co pani, moje dziecko? — pan Hutorowicz przestraszył się, zobaczywszy wyraz jej twarzy.

— Chciałabym wrócić do domu — powiedziała cicho.

Przed Zelią otworzyła serce. Musiała. Nie mogła sama nieść takiego ciężaru.

— Nie chcę mu się narzucać — płakała. — Gdy udawał lokaja, hafciarka była dla niego w sam raz, ale obecnie...

— Wiesz co — powiedziała Zelia ze złością — od początku

241

wiedziała, że to nie lokaj, wystarczyło na niego popatrzeć. Spotkałyśmy go przecież, pamiętasz, na placu Vendôme? Chciałam go nawet zapytać, ale ugryzłam się w język. Jeżeli udawał lokaja, miał widać po temu swoje powody. Ale to porządny człowiek i ciebie kocha — dodała z przekonaniem. — To też zauważyłam. Od pierwszego razu.

Następnego dnia otrzymała od niego list. Przepraszał za wszystko i zapewniał o gorącej miłości. Prosił, by mu przebaczyła i była dla niego taka, jak dawniej. Dodawał, że będzie czekał na jej wezwanie.

Przeżywała straszne dni, własna udręka kazała zapomnieć o groźbie wiszącej nad Paryżem.

Okazało się, że Niemcy przyjeżdżający do Francji jako goście, by mile spędzać czas, w rzeczywistości zajmowali się szpiegostwem

1 teraz służyli najeźdźcom za przewodników. Francuzi ze zdumieniem stwierdzali, że nie tylko główne drogi, ale i najmniejsze ścieżki znane były doskonale Prusakom. W takich warunkach posuwanie się w głąb pobitego kraju nie nastęrczało żadnych trudności.

Osiemnastego września wróg stanął na przedpolach stolicy.

Generał Trochu, dowodzący obroną Paryża, mobilizował siły nie tylko wojskowe — cywile też byli potrzebni. Sypano szańce, umacniano fortyfikacje, kopano rowy.

Wróg podchodził coraz bliżej, zakreślając jak gdyby magiczny krąg wokół miasta. Generał Trochu zarządził, by ogołococono peryferie z drzew, krzewów, a nawet budowli. Pod ciosami topora czy motyki padły podmiejskie karczmy, dokąd co niedziela paryżanie zjeżdżali na wesołe obiady. Teraz uwijali się tam saperzy z ładunkiem dynamitu.

Mieszkańcy stolicy nie spostrzegli nawet, jak zostali odcięci od reszty świata. Przez żywy kordon pruskich szeregów zdołałaby przecisnąć się najwyżej mysz.

Na czyjąś uwagę, że zdecydowany na wszystko dowódca mógłby przebić się przez żelazny pierścień wojska, feldmarszałek von Moltke odpowiedział:

— Tak, wiem o tym, Trochu mógłby tego dokonać, ale wiem równie dobrze, że tego nie zrobi.

Tak więc Paryż został otoczony i zaczęło się oblężenie,

242

Paryskie siły zbrojne liczyły 270 batalionów Gwardii Narodowej, do której wstąpiło pół tysiąca Polaków — rząd francuski odmówił zgody na utworzenie osobnych polskich formacji.

Wszyscy teraz obawiali się szpiegów. Wielu cudzoziemców, z dawna osiadłych w Paryżu, pomówiono o proniemieckie sympatie. Sam nawet wielki Worth, ubierający przecież cesarzową Eugenię, nie uniknął podejrzeń.

Wystarczyła zawieszona na balkonie do wysuszenia sztuka bielizny, by widziano w tym sygnał dla wroga. Wystarczyła świeca błyskająca nocą w oknie mansardy, by mieszkańca oskarżono o dawanie znaków Prusakom. Antosia nie sposób było utrzymać w domu. Wraz z kolegami pomagał przy robotach ziemnych w fortach otaczających miasto.

— Wiesz co — mówił siostrze z dumą — stu trzydziestu uczniów ze Szkoły Polskiej walczy we francuskich szeregach. Nie pozwolono nam utworzyć własnego wojska — dodawał z gorczycą. — Francja tak dba o dobre stosunki z Rosją, że nigdy na to się nie zgodzi. A mamy przecież doskonałych oficerów: generał Hauke-Bosak z Armii Wogezów, Jarosław Dąbrowski, czytaliśmy jego artykuły, Rybiński, Wysocki, Lipowski — sypał nazwiskami, dobrze obznajomiony z pasjonującym go tematem. — Głupi Francuzi, że tego nie widzą.

Po liście od Miguela Toreno — nie mogła nazywać go inaczej — Róża wytrzymała trzy dni, po czym poszła na bulwar Montpar-nasse.



Pan Hutorowicz przywitał ją zatroskaną twarzą.

— Drogie dziecko — ujął obie jej ręce. — Tak się o panią martwiłem. I nie tylko ja. — Prowadził gościa do fotela. — Co się stało? Dlaczego tak źle potraktowała pani naszego przyjaciela?

— Czy myśli pan, że to lekko utracić kogoś, kto był bardzo bliski?

— Utracić? — zdziwił się pan Hutorowicz.

— Tak, utracić. Czyż sługa przemieniony w królewicza zechce utrzymać dawne przyjaźnie?

— Panno Rózo, co też pani mówi? Jaki królewicz? To przecież Ryszard Żeran, wnuk przyjaciela pani Dziadka. Polak. Bohater. Człowiek wyjątkowy. Oddał wielkie usługi naszej sprawie. Czy pani sądzi, że dla karnawałowego żartu przywdział liberię? Sam

243

cesarz wielce go ceni, bo też wart największego szacunku. A pani tak...

— pan Hutorowicz trząsł siwą głową, nie znajdując dość mocnych słów potępienia.

Róża słuchała spuściwszy oczy, a to, co mówił stary przyjaciel, zdawało się kruszyć jakiś twardy pancerz ściskający jej serce.

— Czy pani nie zdaje sobie sprawy, jak on panią kocha? Taki człowiek!

— pan Hutorowicz podniósł głos, na policzki wystąpiły mu rumieńce.

— Czy naprawdę wierzy pan, że mnie kocha?

— Cóż to znowu za pytanie? Nie spodziewałem się tego po pani. Doprawdy, nigdy..

— Obawiałam się, że teraz, gdy już nie jest lokajem...

— Nigdy nie był lokajem — przerwał pan Hutorowicz z niezwykłą u niego żywością. — Misja, jaką mu powierzono, wymagała stałej obecności w Tuileryach, kontaktu z cesarzem. To sam Napoleon III zaproponował taką właśnie maskaradę. Cesarz nam sprzyjał, choć nie mógł oficjalnie... Przecież pani wie, że tu, wśród nas, działał wróg.

— Wiem — szepnęła — Damian.

— Tak, Damian, jego cioteczny dziad, a najbardziej na niego zawzięty. Ta zasadzka w Tuileryach... To właśnie Miguel Toreno, prawdziwy Miguel Toreno uratował mu życie i wyrwał z rąk oprawców. O panno Rózo, bardzo go pani skrzywdziła.

— Tak — przyznała. — Teraz rozumiem. Ale bałam się... nie chciałam, zęby się nade mną litował...

— Co też pani przychodzi do głowy? — pan Hutorowicz załamał ręce.

— Jak można osądzać go miarą przeciętnego głupca? Mam nadzieję, że pani tego żałuje.

— Bardzo żałuję — przyznała ze skruczą. — Kiedy pan go zobaczy?

— Może jeszcze dzisiaj. Jak wielu Polaków, wstąpił w szeregi Gwardii Narodowej. Jest dowódcą batalionu. Teraz wszyscy mężczyźni młodzi i zdrowi winni przywdziać mundur.

Róża wstała.

— Do widzenia panu. Raz jeszcze dziękuję i przepraszam. Jestem taka szczęśliwa...

— Biedactwo — rozczulił się pan Hutorowicz. — Tyle wstrząsów. A tu nie mamy już koni. Czekają ciężka droga.

244

Nie wyruszyła w tę drogę sama. Gdy weszli do westybulu, służący witał właśnie porucznika w mundurze Gwardii Narodowej.

Pan Hutorowicz skinął na starego i usunął się do dalszych pokojów.

Róża i Ryszard Żeran zostali sami.

W westybulu panował półmrok i dziewczyna miała nadzieję, że „Miguel Toreno” nie dojrzy jej zakłopotania i rumieńców.

— Witam panią — skłonił się podobnie, jak to czynił lokaj.

— Ryszardzie — powiedziała zdławionym głosem, ale nic więcej nie zdołała powiedzieć, gdyż znalazła się w jego ramionach.

— Kocham cię — szeptał — tak bardzo cię kocham, że to aż boli.

— Nigdy mi tego nie powiedziałaś — poskarżyła się, wodząc palcem po białawej bliźnie na lewej skroni „Miguela Toreno”.

— Do tych najważniejszych słów w życiu nie chciałem używać obcego języka. Czekałem, aż będę mógł mówić je tak, jak mówię teraz. Będę je przecież powtarzał przez całe życie. Zawsze.

Róża zamyka oczy. Czyż istnieje na tej ziemi większe szczęście? Chyba nie. Czyż istnieją słowa równe tym, które on jej mówi? Zaprawdę, warto żyć, żeby je usłyszeć. Róża nie chce słyszeć nic innego, tylko te dwa słowa. „Kocham cię” — powtarza Ryszard Żeran i Róża wie, że nigdy nie będzie miała tego dość.

Powrót był cudowny, długa droga wydała się zbyt krótka na to wszystko, co mieli sobie do powiedzenia.

Cóż znaczy wojna, oblężenie Paryża, głuche dudnienie dział? Nigdy jeszcze nie było jej tak dobrze.

O wiele za prędko znaleźli się na ulicy Świętego Rocha.

Pani Cordier okiem znawcy oceniła wytworną sylwetkę towarzyszącego Róży oficera. Zelia przyjęła gościa tak, jak gdyby od dawna na niego czekała.

— Dzień dobry, pani Zelio — pozdrowił ją dawny Miguel Toreno.

— Jaka tam pani — mruknęła Zelia, patrząc śmiało w błyszczące „hiszpańskie” oczy. — Dobrze, że pan przyszedł. Czas najwyższy, żeby ktoś zajął się panienką.

— Jaka tam panienka — przedrzeźniała ją Róża.

— Zaręczyliśmy się — oznajmił Żeran. — Nareszcie będę miał prawo opiekować się wami.

245

— Bardzo się cieszę — Zelia z uznaniem pokiwała głową. — Takie czasy, że bez mężczyzny ciężko.

Tak, czasy stawały się coraz cięższe i coraz trudniej było o żywność.

Należało tak gospodarować zapasami, jakie zgromadzono w mieście, by wystarczyło ich jak najdłużej dla dwóch milionów mieszkańców. Każda rodzina otrzymała więc kartki na chleb i na mięso. Przy tym trzeba było kupować te produkty pierwszej potrzeby stale u tego samego piekarza i w tej samej jatce. Chleb można było kupić codziennie, mięso raz na trzy dni, z początku sto gramów na osobę dziennie, potem zmniejszono tę rację do dwudziestu pięciu gramów, by wreszcie z powodu braku mięsa zaprzestać wydawania kartek.

Najpierw na stole pojawiała się wołowina, baranina, a gdy w połowie października zjedzono ostatniego wieprza, żywicielami paryżan zostały już tylko konie.

Nie każdy mógł się przyzwyczaić do tego przysmaku, Róża na przykład nie potrafiła przezwyciężyć obrzydzenia.

— Nie mogę, Zelio, naprawdę nie mogę. Wolę nic nie jeść — odpowiadała na perswazje zmartwionej sługi. — Wierz mi, nie zdołam tego przełknąć.

Co dzień o piątej rano Zelia stawała w długiej kolejce do piekarni i do rzeźnika. Dopiero po dwóch godzinach zjawiał się oddziałek gwardzistów, by asystować przy sprzedaży i dopilnować porządku, nie dopuszczając do gwałtownych kłótni, a nawet bójek, jakie wybuchały z lada powodu wśród zziębniętych i zdenerwowanych obywateli.

Potem trzeba było iść pod Hale po jarzyny czy po rybę, w skle-

pach ceny przekraczały możliwości przeciętnej rodziny. — Już sami nie wiedzą, ile brać — zżymała się Zelia. — Wiesz, ile dziś żądają za jajko? Franka. Co ty na to? Za litr fasoli dałam dwa franki. Widziałaś coś podobnego? Za królika chcą dziesięć franków. Cóż miałam robić, kupiłam. Musisz przecież jeść. Pan Ryszard tak nakazał. Bardzo tego pilnuje. Funt świeżego masła kosztuje pięć franków. Są i ryby, a jakże, naturalnie wściekle drogie. Za niewielkiego szczupaka baba żąda piętnaście franków. Targowałam się, ale nic nie opuściła. Wzięłam, bo przecież pan Ryszard... Ryszard Żeran rzadko pojawiał się na ulicy Świętego Rocha.

Guardia Narodowa nie próżnowała: zbrojne wypadki, podczas których dochodziło do krwawych potyczek, kosztowały życie wielu obrońców Paryża.

Mimo lęku o narzeczonego Róza była szczęśliwa. Żyła oczekiwaniem jego krótkiej wizyty. Raz, gdy stał przed Dziadusiowym talerzem, zapytała:

— Czy wiesz, że twój dziadek posiadał podobny talerz? To właśnie miał być ów znak dla potomków...

— Nie potrzebuję żadnego znaku — przytulił ją do siebie. — I bez tego wiem, jak bardzo cię kocham. Jeśli chcesz, pokażę ci talerz dziadka Zygmunta — dodał po chwili.

— O tak, koniecznie.

— Gdy wypadnie mi wolne popołudnie — obiecał. — Uprzedzam jednak, że czeka cię długi spacer.

— To talerz nie jest u ciebie, na ulicy Catinat?

— Nie — odpowiedział krótko.

Gdy przyszedł po dwóch dniach, zapytała, czy Zelia ma im towarzyszyć.

— Nie trzeba — odparł z uśmiechem. — Tam, dokąd pójdziemy, twoja reputacja nie poniesie najmniejszego szwanku.

Paryż nie był podobny do prawdziwego Paryża. Na ulicach nie spotkali ani jednego zaprzęgu, ani jednego modnego ekwipażu, ani powozu czy karety, nawet najzwyklejszego fiakra. Czasem tylko minął idących wojskowy furgon lub działo, przewożone do któregoś z fortów.

Jakże daleko było tym źle ubranym i wynędzniałym ludziom

o ponurych twarzach do mieszkańców wesołej stolicy. Przepadły gdzieś gryzетки o zalotnym spojrzeniu, wystrojone dziewczęta

i studenci w zawadiackich beretach. Dziś studenci ginęli ratując honor

Francji, a gryzетки szyły bandaże. Na długo zamilkł beztroski śmiech Dzielnicy Łacińskiej.

Pola Elizejskie przypominały raczej obóz wojskowy niż wytworną arterię obrzeżoną pałacami bogaczy.

Róża już wiedziała, dokąd szli. Tędy prowadziła droga w aleję Cesarzowej.

— Więc talerz Meli... — zaczęła.

— Tak, to talerz dziadka Zygmunta — dokończył poważnie. — Zaraz wszystko ci wytłumaczę.

247

Biały pałacyk był równie głuchy jak Tuilerie. Zapuszczone żaluzje kryły szyby, nie było widać nikogo na dziedzińcu. Tylko z domku odźwiernego dochodziły głosy.

Okazało się, że znano tu dobrze Ryszarda Żerana.

— Byłeś tu? — spytała idąc obok niego do drzwi wejściowych.

— Byłem.

Odźwierny nie robił żadnych trudności z otwarciem domu. Widać otrzymał odpowiednie polecenia.

— Może przewietrzyć pokoje? — zapytał niepewnie.

— Nie warto. My na chwilę.

— A młody pan Narzymski? — spytała. — Nie mieszka tu?

— Jest w wojsku — odparł krótko.

Ogarnął ich półmrok i cisza, jaka panuje w domu opuszczonym przez mieszkańców.

Róża przysunęła się do narzeczonego.

— Tak tu dziwnie...

— Chodźmy na górę do pokoju Meli — zaproponował.

— Więc i tam byłeś?

— Byłem. Różo — przystanął na schodach i obrócił się do niej twarzą. — Widzisz, chcę ci teraz wszystko wyjaśnić, do końca. Raz jeszcze, proszę, wybac mi te tajemnice, chodziło przecież o zachowanie mojego incognito. Było to konieczne ze względu na zadanie, jakie mi powierzono. Nie gniewaj się na mnie, kochanie.

— Postaram się — odpowiedziała z lekką urazą, zmuszając się do uśmiechu.

Talerz wisiał na dawnym miejscu, tak jak go ostatni raz widziała. Deli-

katne złocenia lśniły w półmroku, Napoleon patrzył prosto na nich, jak gdyby i on oczekiwał wyjaśnień.

Ryszard Żeran oparł się o kominek, jego głos wydawał się dziwnie daleki, gdy oświadczył:

— Mój cioteczny dziad Damian nazywa się Dobrocki.

— Dobrocki? — powtórzyła nie rozumiejąc. — Przecież to panińskie nazwisko pani Narzymskiej.

— Tak — potwierdził. — Jadwiga Narzymska jest jego wnuczką.

— Jadwiga Narzymska...

— Jest wnuczką Damiana — powtórzył dobitnie.

— Ryszardzie... — nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Wszystko

248

było zbyt zawiłane, zbyt tajemnicze, wymagało uporządkowania w samotności i milczeniu.

Niestety, Ryszard nie dał jej teraz czasu na rozmyślanie.

— Matka Meli jest wnuczką Damiana — powiedział twardo. — Tego Damiana, przed którym ostrzegął pan Hutorowicz.

Milczała, a Ryszard patrzył na nią wyczekująco.

— Rozumiesz teraz?

— Rozumiem — skinęła głową. — Biedna pani Narzymska! Być wnuczką Damiana...

— Tak — potwierdził. — To ciężko. Bardzo ciężko. Także i dla mnie — dodał ciszej.

— Mój Boże! przecież i ty... — zdała sobie nagle sprawę z pokrewieństwa łączącego Ryszarda z Damianem.

— I ja dźwigam ten krzyż — zaśmiał się niewesoło. — Dziad Damian nienawidzi mnie, podobnie jak wszystkich Żeranów. Chyba było tak od początku.

— Nazywał pana Żerana ojcem — zauważyła lękliwie. — Wszystko mu zawdzięcza. Jak więc możliwe...?

— Myślę, że nienawidził go tak, jak szatan nienawidzi Boga. Jest uosobieniem zła. Nie zawahał się zniszczyć Zygmunta, choć to jego brat. W imię czego dopuścił się takiej zbrodni? Co nim kierowało? Kiedyś uważano, że uczynił to dla pieniędzy. Ale Zygmunt podzielił się z nim ojcowską schedą. Co więc było przyczyną? Sądzę, że jedynie nienawiść.

— Nienawiść? Za co?

— Ślepa, zimna, bezwzględna nienawiść do wszystkiego, co dobre i szlachetne. Nie widzę innego wytłumaczenia. Musiał zniszczyć wszystko, co dla normalnych ludzi było godne pochwały i szacunku. Prawdopodobnie taki już się urodził, z tą jakąś moralną skazą, jak inni rodzą się niewidomi czy głusi.

— Czy nie było żadnej rady?

— Owszem. Na podobnego człowieka jest tylko jedna rada: śmierć. Trybunał narodowy skazywał go kilkakrotnie, ale za każdym razem jego przebiegłość i brawura przeszkodziły wykonaniu wyroku. Mścił się potem okrutnie.

— Mój Boże! — jęknęła. — Przecież nie można go zabić! Jest bardzo stary.

— Ale im dłużej żyje, tym bardziej jest szkodliwy.

249

— Wiem. Byłeś w jego rękach, wówczas, na dziedzińcu Tuileriów...

— Gdyby nie Miguel Toreno — urwał, a po chwili powiedział spokojnie: — Widzisz, on niszczył, a ja usiłowałem ratować. Temu właśnie poświęciłem życie. Ja, ostatni z Żeranów.

— Czy i twój ojciec?

— Mój ojciec też jest jego ofiarą. Och, Rózo, nawet nie wiesz, jaki ciężar zrzucam z serca, mogąc ci to wszystko opowiedzieć. Wszystko, całą prawdę, o sobie, o innych... — Ukląkł przy fotelu, na którym siedziała.

— Powiedz, że nie chowasz do mnie urazy, żadnej urazy, za nic, powiedz to, moja jedyna.

— Nie chowam — przytuliła do piersi jego głowę. — Wiesz przecież, że to niemożliwe, za bardzo cię kocham.

— Jadzi Narzymskiej też wybaczysz, dobrze?

— Dobrze, najdroższy.

Ryszard westchnął, wtulając twarz w jej ramiona.

— Ojciec mój wywiózł ten talerz do Francji — wskazał Napoleona. — A kiedy urodziła się Mela i Jadzia prosiła, bym został chrzestnym ojcem, podarowałem maleństwu tę pamiątkę. Czy źle zrobiłem?

— Nie, Mela jest przecież twoją kuzynką, talerz pozostał więc w rodzinie.

— Tak. Jadzia i ja mamy wspólną prababkę, Annę Żeranową, primo voto Dobrocką.

— Muszę dobrze rozejrzeć się w twojej genealogii — zauważyła. — Żeby nie popełnić jakiegoś nietaktu. Popatrz, jaką dziwną drogą trafił do mnie talerz Zygmunta. Szukałam go przecież tak, jak szukałam zaginionego przyjaciela Dziadusia. Nie wierzyłam Meli, gdy mówiła, że jej talerz jest taki sam jak mój. Nie wiedziałam też, że przyjmując ją do mojego domu, przyjąłam tak bliskie mi dziecko. I nie przypuszczałam, że hiszpański lokaj okaże się właścicielem talerza.

— Do licha z talerzem — zawołał obejmując ją wpół — los i bez niego doprowadził mnie do przeznaczonej mi hafciarki.

250

Siódmego października o godzinie dziesiątej rano, z placu Świętego Piotra na Montmartrze wzniósł się balon. Jedyny środek lokomocji, jaki mógł wyostać się z oblężonego miasta. Z kosza wychylało się dwóch mężczyzn: starszy, Leon Gambetta, minister wojny i spraw wewnętrznych w Rządzie Obrony Narodowej, i młodszy w mundurze porucznika Gwardii. Tylko wtajemniczeni znali jego nazwisko.

Minister Gambetta udawał się z ważną misją do Tours, wioząc rządową proklamację. Należało jak najspieszniej wstrząsnąć otepiałą prowincją, pobudzić ją do zbrojnego czynu, wskazać obowiązek obrony Ojczyzny. Milczący tłum zebrany na placu, pełen nadziei, żegnał odlatujących. Lekki wiatr kołysał niewielką łódką, w którą utkwione były oczy całego Paryża.

Róża nie spuszczała wzroku z narzeczonego.

Dlaczego właśnie on otrzymał to zadanie? — buntowała się przeciwko jakimś niezrozumiałym rozkazom, którym jej Ryszard musiał być posłuszny.

Antoś z zadartą głową śledził unoszony wiatrem balon. Wiele dałby, żeby znaleźć się w koszu razem z powietrznymi podróżnikami! Dotąd czytał tylko o podobnych przygodach w powieściach Juliusza Verne'a. Ale żeby samemu przeżyć...

— Chodźmy już — Zelia ujęła Różę pod ramię. — Polecieli. Oby szczęśliwie wrócili do domu.

Dziewczynie trudno było odejść z tego placu. Tu przecież widziała Ry-



szarda po raz ostatni. Pożegnali się poprzedniego wieczoru, bo na oczach wszystkich mógł jej jedynie przesłać uśmiech. Stała wśród tłumu ciekawych, obserwujących z zapartym tchem odlot śmiałków, którzy powie-  
rzali życie cienkiej powłoce napełnionej gazem.

W powrotnej drodze Antoś prowadził siostrę.

— Liczę na ciebie, że nie dopuścisz, by Różę spotkało co złego — po-  
wiedział Ryszard przy pożegnaniu.

Antoś przyrzekł, dał słowo, jak mężczyzna mężczyźnie.

Zelia poszła do kuchni szykować obiad, chłopiec zabawiał siostrę nowi-  
nami, starając się złagodzić jej smutek i niepokój.

Po tygodniu, o zmierzchu, olbrzymia łuna rozpałała niebo od strony Saint-  
Cloud. Z objętego pożąga horyzontu śmigały w górę

251

snopy iskier i płomieni. To płonął pałac, gdzie Lulu spędził ostatnie  
dni w ojczyźnie.

Róża, Zelia i Antoś wraz z innymi mieszkańcami domu, stojąc na stop-  
niach kościoła, ze ściśniętym sercem oglądali tragiczne widowisko.

Fatalność położyła widać rękę na pałacu, dotykając w ten sposób nieubła-  
ganymi palcami członków rodziny Bonaparte.

To właśnie z Saint-Cloud Napoleon wyruszył na podbój Francji, zapo-  
czątkowany zamachem stanu z osiemnastego brumaire'a. Z Saint-Cloud  
Napoleon III rzucił Prusom wyzwanie.

A Prusy coraz ciaśniej zaciskały kleszcze, w których z trudem  
już dyszał Paryż.

Kanonada prawie nie milkła. Od ciągłego huku armat drżały i pękały szy-  
by. Trzeba było ciąć papier na długie paski i skrzyżowane naklejać na  
szkło. To jeszcze choć trochę trzymało je  
w ramach.

Nadeszły chłody, a z opałem było coraz gorzej. Drewna potrze- . bowa-  
no do kuchni, by ugotować jaki taki posiłek. Tam też przeważnie przesia-  
dywano. Zresztą nie lepiej było z oświetleniem.

Po ciężkich walkach Francuzom udało się zdobyć podparyską wioskę Le  
Bourget. Był to pierwszy sukces wśród oceanu klęski.

Zjedzono już prawie wszystkie konie. Jedyne żywe istoty, które  
mogły dostarczyć mięsa wygłodniałym paryżanom, były psy, koty i  
szczury.

Wyłapano bezpańskie zwierzęta, a potem zaczęto chwytac każdego

czworonoga, jaki tylko wychylił się na ulicę.

Biada ukochanemu Azorkowi, jeśli na spacerze oddali się nieostrożnie od swojego pana! Nie ma już dla niego ratunku. Biada kotce Minetce, jeśli zapragnie rozrywki. Pani Pommier tuliła ulubienicę w pulchnych objęciach, bojąc się otworzyć drzwi, by ktoś nie porwał jej na pieczyście.

Zaczęto też łapać szczury, wykazując wiele pomysłowości w polowaniu na te gryzonie. Na dłuższy czas oczyszczono miasto z tej plagi.

— Czy zjadłabyś psa w potrawce? — pytał Antoś podczas posiłku zwanego szumnie obiadem. — A może wolisz szczury z różną? Ja raczej wybrałbym kota w majonezie.

252

— Przestań, Anto, to zbyt smutne, aby z tego żartować. — Róża wsunęła serwetkę w srebrne kółko.

— Ja nie żartuję — bronił się. — Wyczytałem takie dania na drzwiach restauracji pana Morissot na ulicy Rivoli. Możesz zobaczyć.

Któregoś dnia na kościele Świętego Rocha pojawił się następujący czterowersz:

„Stawią czoło Prusakom bohaterskie mury. Nigdy wróg głodem nie weźmie Paryża. Mieszkańcy zjedzą konie, a gdy śmierć się zbliża, Aby żyć, zjedzą koty, psy, a wreszcie szczury”.

Ludzie czytali, gapili się na pięknie wykaligrafowane, ozdobne litery, uśmiechali się nawet. Nie brakło paryżanom humoru w tak ciężkiej sytuacji, nie tracili ducha, nie poddawali się rozpacz, zdobywając się na dowcipną strofkę.

Chłód coraz dotkliwiej dawał się we znaki. Zziębnięci i głodni, ludzie zrywali się rano, szli zająć miejsce w długim ogonku przed piekarnią. Czekać wypadało teraz coraz dłużej, w deszczu, w śniegu, na wichrze i mrozie. Chleb — trudno było nazwać chlebem tę ciemną masę, w której znajdowało się wszystko, prócz żytniej czy pszennej mąki — pozostał już jedynym właściwie pożywieniem.

Prusacy bombardowali miasto z dział dzień i noc. Te rodziny, którym od huku powypadały szyby, przeniosły się do piwnic. Tam było cieplej i bardziej zacisznie.

Róża dzieliła z Zelią trudy zakupu chleba. Ona i Antoś na zmianę trzymali wartę przed piekarnią. Gwardia Narodowa nie mogła już zapewnić porządku, żołnierze byli potrzebni gdzie indziej, dochodziło więc do gwał-

townych starć, po których słabsi wracali do domu z pustymi rękoma. Zdawało się, że wyczerpano już wszelkie możliwości udręki, że nic gorszego nie mogło spotkać mieszkańców Paryża, którzy dotknęli dna ludzkiej nędzy.

Wyniszczeni głodem, snuli się ulicami, nie mając nawet siły oplakiwać tych, co nie wytrzymali. Dzieci i starcy marli jak podczas zarazy, a po-grzeby stały się codzienną rzeczywistością paryskiego bytowania.

— Dlaczego Rząd Obrony Narodowej, wbrew zdrowemu rozsąd-

253  
i

kowi, kontynuuje walkę? — szemrano. — Dlaczego trwoni olbrzymie sumy pieniędzy i szafuje życiem tysięcy żołnierzy?

Wreszcie po prawie pięciomiesięcznej torturze stolica musiała kapitulować. Nie było już nic do zjedzenia.

— Dlaczego nie zawarto pokoju zaraz po Sedanie? — pytano w rozpaczy. — Teraz dopiero Prusacy postawią nam swoje warunki!

Prusacy postawili warunki: zażądali Alzacji i Lotaryngii oraz pięciu miliardów franków kontrybucji. Sam Paryż po kapitulacji miał zapłacić dwieście milionów.

Na triumfalne wkroczenie wroga stolica ukazała ciemne szyby i opustoszałe ulice. Ciszę mącił jedynie marszowy krok pruskich żołdaków. To pruskie buty były o bruk Pól Elizejskich. Tylko pałac Paivy przywitał zwycięzców iluminacją.

Paryżanom nie był sądzony spokój. W marcu wybuchło powstanie Komuny. W jej szeregach znalazło się około pięciuset Polaków, wśród nich zdolni oficerowie, niektórzy uczestnicy Powstania sześćdziesiątego trzeciego roku.

Adolf Thiers, zdecydowany niegdyś przeciwnik monarchii absolutnej, aresztowany po zamachu stanu Napoleona III, teraz prezydent Republiki, przeniósł rząd z objętego powstaniem Komuny Paryża do Wersalu. Stutysięczna armia pod wodzą marszałka Mac--Mahona ruszyła na stolicę.

Dwudziestego pierwszego maja wer-salczyicy — tak nazywano wojska rządowe — wdarli się do miasta. Jak niegdyś, w pamiętnych dniach lipca i lutego, wojna domowa wzniosła barykady, rzuciła braci przeciwko sobie.

Róża z największym trudem utrzymywała Antosia w domu. Wyjście na ulicę groziło śmiercią od zabłąkanej kuli.

Jarosław Dąbrowski, dowodzący jedenastym legionem Gwardii Narodowej na Montmartrze, zginął na barykadzie na ulicy Murha.

Straszny dzień pochłonął tysiące ofiar.

Na koniec w nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziesty czwarty maja największy pożar uderzył w niebo Paryża. To gte-ne-rał Komuny Berget, zamknięty w Tuileriach z grupą powstańców, kazał podpalić pałac.

t

254

Różę w nocy obudziła jasność. Wcale nie trzeba było zapalać świecy. Antoś już stał przy oknie.

— Tuilerie! — zawołał. — Chyba palą się Tuilerie!

— Tuilerie? Niemożliwe. — Trzęsącymi się rękami zapinała suknię.

— To Tuilerie, Rózo. — Zelia już ubrana stała w drzwiach sypialni.

— Tuilerie! Moje Tuilerie!

Wybiegli na ulicę. Wszyscy szli w stronę pożaru. Dym przesłonił na chwilę straszliwy widok.

Palili się pawilon Flory, płonął jak pochodnia. Całe skrzydło pałacu wzdłuż ulicy Rivoli lizaly płomienie. Stojący w ogniu pawilon de Marsan wyrzucił kłęb czarnego dymu. Wiatr zakręcił żalobnym pióropuszem i przysypał buchające ogniem dachy deszczem iskier. W szeroko otwartych oczach świadków przerażającego widowiska odbijały się blaski pożaru, kreśląc na purpurowym niebie oślepiające arabeski.

We wszystkich oknach jarzyło się światło, jak gdyby zapalono tam tysiące świec w żyrandolach i kandelabrach na jakąś gigantyczną dworską uroczystość.

— Muzeum! Muzeum Luwru! — krzyknął nagle ktoś z tłumu.

— Ratować Muzeum! — podjęli ludzie. — Ratować Luwr! Batalion szaserów i konserwator Muzeum, Henryk Barbet de

Jouy, uratowali bezcenne zbiory. Biblioteki jednak nie dało się już ocalić. Siedemdziesiąt tysięcy książek i rękopisów poszło z dymem.

Jaśniej było niż w dzień. Wiatr przynosił żar i swąd spalenizny. Dym owijał posępnym welonem wyniosłe mury, zdające się urągać sile szalejącego żywiołu. Nigdy dotąd żadna iluminacja nie oświetliła tak doskonale pałacu, wydobywając całe jego piękno. Tuilerie widoczne teraz były

jak na dłoni. Kto chciał, mógł podziwiać kamienne koronki renesansowego artysty. Rzeźby Jeana Goujona ożyły, płonące kariatydy skręcały się w męce. Ozdobne lukarny wypływały kaskady płomieni.

Ogień pożerał wszystko: białe odrzwia i rzeźbione futryny, złożone meble i wzorzyste posadzki. Perskie dywany, bezcenne gobeliny, koronki i hafty płonęły niczym stare szmaty. Ramy obrazów z arcydziełami wielkich mistrzów zajmowały się równie łatwo, jak zwyczajne deski.

255

Róża, uczepona Zeli i Antosia, wykrzyczała całą rozpM  
Paliły się przecież Tuilerie, jej Tuilerie! Paliła sięB  
i pracownia hafciarki. Nie ma już błękitnego salonu, nieH  
netu cesarza, są tylko mury, sterczące jak skały w moiH  
Gdybyż jej łzy zdolne były ugasić to całopalenie! chyba do śmierci.  
Wraz z Tuileriami ginął oto jakiś świB ficzny i niepowtarzalny, i tak  
piękny! Ginął na zawsze. j| Nigdy.

A Tuilerie płonęły. Z trzaskiem zapadających się I wśród huku  
ognia, na oczach bezradnego tłumu, któryj jak przepadają trzy wieki  
Historii.

MBP Zabrze

nr inw.: K20 - 7060

F 20 IIIp/H

Powieść historyczno poleonem" przenosi c lat Drugiego Cesarstw łacu tuileryjskim — i

królewskich mieszkańców: napuicuna »,, ^ ^ \_\_\_\_\_  
cesarzową Eugenię i Lulu, następcę tronu — a także w skromnym mieszkaniu polskiego uchodźcy, powstańca z 1831 r., którego wnuki, Róża i Anto, są głównymi bohaterami tej frapującej opowieści.

Kim jest Mela, dziewczynka znaleziona na paryskim cmentarzu Pere-Lachaise, jaką rolę odgrywa tajemniczy hiszpański lokaj z Tuileries i co łączy go z polskimi spiskowcami — oto pytania, które przykuwają uwagę czytelnika niemal do ostatnich kart książki.

Wojna francusko-pruska z 1870 r. i tragiczna w swych rozmiarach klęska Francji zamykają tę mało u nas znaną epokę.



## HALINA POPLAWSKA TALERZ Z NAPOLEONEM

### *Część II* *ANTO*

— Czy zdajecie sobie sprawę, panowie, jakim przemianom ulegała taktyka wojenna w ciągu wieków? — Pytanie rzucone w przestrzeń wykładowej sali, ponad jasnymi i ciemnymi głowami elewów, było czysto retoryczne, lecz wibrujący głos pułkownika Bruce'a wypowiedział je z odpowiednio dramatyczną intonacją.

Słaby promień słońca, który z trudem przebijał się przez mgliste opary, otulające o tej porze roku brzegi Tamizy, dotarł wreszcie do wysokich a wąskich okien i rozjarzył się w czerwieni przepisowego uniformu kadetów Królewskiej Wojskowej Akademii w Woolwich.

Skrzyp ciężkich dębowych drzwi wówczas, gdy brakowało jeszcze kwadransu do końca wykładu, odwrócił uwagę od tematu lekcji zarówno słuchaczy, jak i profesora.

— Co tam?

— Melduję, panie pułkowniku — porucznik Young stanowią niedościgny wzór dla nowo wstępujących do Woolwich — przysłano właśnie po Jego Cesarską Wysokość.

Książę Ludwik Napoleon, uczeń Królewskiej Akademii, składał pośpiesznie rozrzucone na pulpicie notatki. Ręce lekko mu drżały. Za drzwiami, na korytarzu, czekał już hrabia Clary.

— Jego Cesarska Mość bardzo chory. Ojciec bardzo chory!

Jakże zwyczajnie wygląda świat mimo tak strasznych wieści. Wszystko stoi na swoim miejscu, jak co dzień. Pod dotknięciem styczniowego słońca imponujące budynki akademii utraciły nawet nieco z wojskowej sztywności, a zieleń trawników to doprawdy doskonałe tło dla kamienia i cegły.

Zieleń trawników...

Tym razem książę nie zwraca uwagi na podziwiany zazwyczaj bezmiar szmaragdowych łąk wijących się poprzez Woolwich, a przecież tak świeżej zieleni nie ujrzysz na Kontynencie. Trawa wydaje się tu prężna i soczysta, a jednocześnie puszysta i miękka jak wschodnie dywany. Nigdzie

indziej takiej nie ma, tylko na Wyspie...

Do niedawna uboga wioska rybacka Woolwich zawdzięcza swoje wyniesienie wojnom Pierwszego Cesarstwa. To Napoleon zmusił Anglików, by nad Tamizą pod bokiem stolicy zbudowali jeden z najważniejszych arsenałów królestwa. Nic też dziwnego, że w takim sąsiedztwie powstała wojskowa akademicka, szkoląca przyszłych artylerzystów i saperów.

Konie mijają właśnie most, kierując się na południe. Lekki powozik zdaje się brodzić wśród wiecznie zielonych pól niczym w morskiej płyźni.

Nawet zima potrafi uszanować ich wiosenny koloryt!

— Operacja udała się, doktor Conneau był zupełnie zadowolony ze stanu pacjenta, a i angielscy lekarze... — stłumiony głos hrabiego Clary podaje smutne szczegóły choroby cesarza.

Księżę zaciska zęby, ledwie hamuje niecierpliwość. Jaka szkoda, że nie kazał osiedlać Karego! Konno dawno już byłby w domu.

W domu...

No tak, w Chislehurst, bo to teraz dom. Zresztą czyż domem nie jest miejsce, gdzie są rodzice? Ojciec i matka? Ojciec... Boże, Boże, pędzej! Camden Place, angielska rezydencja Napoleona Trzeciego, wita ich ciszą, brakiem służby u podjazdu, opustoszałym westybulem. Ledwie jeden stajenny wyskakuje na przyjęcie przybyłych. Księżę biegnie prosto do sypialni ojca. W drzwiach zderza się nieledwie z matką.

Tak zazwyczaj powściągliwa, cesarzowa Eugenia chwyta syna w objęcia.

— Ludwiku, mam tylko ciebie!

W obitym kirem westybulu zamienionym na kaplicę, wśród palących się świec, wystawiono zabalsamowane ciało zmarłego.

Cesarz w mundurze generała dywizji z krucyfiksem w złożonych dłoniach odbierał oto ostatnią defiladę tłumnie przybyłych z Francji rodaków.

Przez żalobną komnatę przewinęły się tysiące osób wszelkiej kondycji, od księcia Walii po paryskiego robotnika.

Francuzi całowali ręce zmarłego, wielu płakało.

8

Potem cesarz spoczął w trzech trumnach: pierwszej z drzewa wiązu, wyłożonej białym atłasem, drugiej ołowianej, trzeciej mahoniowej, a wszystko to okrył fioletowy aksamit w złote pszczoły, emblemat cesarstwa.

Umieszczony u góry napis głosił:



Napoleon III Cesarz Francuzów

urodzony w Paryżu 20 kwietnia 1808 roku zmarł w Camden Place, w Chislehurst 9 stycznia 1873 roku. R. I. P.

— Requiescat in pace, niech spoczywa w pokoju — szeptali przyklękający przy trumnie żałobnicy.

Zanim ciało przeniesiono do kościoła, cesarzowa Eugenia z synem zasiadła do ostatniego nocnego czuwania przy zmarłym.

Spowita w krepę, wyprostowana na przypominającym tronowe krzesło fotelu, z zamkniętymi oczami, bez jednej łzy, wdowa spędziła noc na modlitwie i na rozpamiętywaniu dwudziestu lat wspólnego życia. Miała przy sobie syna i tych przyjaciół, którzy niegdyś byli świadkami jej wyniesienia.

Dwadzieścia lat! Jednak nie lata triumfu w tuileryjskim pałacu, lecz te ostatnie, jakże ciężkie i smutne lata próby i wygnania, najmocniej związały ją ze zmarłym mężem. Nigdy równie bolesna czułość nie zalała jej serca jak wówczas, gdy zobaczyła go po raz pierwszy po klęsce, w pruskim więzieniu w Wilhelmshehe.

Utracili wówczas wszystko, to prawda, ale zachowali siebie, wzajemną ufność i przywiązanie.

Przez opuszczone powieki sączy się migotliwy blask świec w wysokich srebrnych lichtarzach. Ostatnia dworska iluminacja dla cesarza na tej ziemi.

Dwór... Tuilerie... Nie ma już Tuileriów, nie ma nic, wszystko, co posiadała, zostawiła za sobą. Wszystko. Uciekła jak złodziej ze swojego domu, z Francji. Jak złodziej, jak złoczyńca ścigany przez prawo. Ona, stojąca dotąd na najwyższym stopniu tronu. A przecież kiedyś zastrzegła się, że nigdy nie opuści Tuileriów, jak Ludwik Filip, w zwykłej dorożce. Tymczasem czekał ją los zupełnie podobny, ona też, w dorożce, z woalką na twarzy, by jej nie

9

poznano. I żeby nie doktor Evans, dentysta rodziny cesarskiej, nie wiadomo, jak wydostałaby się ze zrewolucjonizowanego Paryża. Doktor Evans, dobroduszny grubas o szpakowatych faworytach i mocnych, zręcznych palcach, Amerykanin od lat osiadły we Francji. Sam jego wygląd budził już zaufanie. Wiedziała, kogo prosić o pomoc i ratunek, jej towarzyszka, pani Lebreton, była przecież równie bezradna jak i ona.

Cesarzowa Eugenia otwiera oczy i spogląda na bladą twarz syna.

To już nie dziecko, nie Lulu. To księżę Ludwik Napoleon, spadkobierca bonapartystowskiej. dynastii. Boże, jaki smutny, jak strasznie płakał, gdy ujrzał nieżywego ojca, padł wówczas przy łóżku zmarłego, ledwie zdołałno go uspokoić.

Hrabia Clary na palcach podchodzi do katafalku i długimi nożycami obcina kopcające knoty.

Eugenia przechyliła głowę na oparcie fotela.

Świece... Jak w Notre Damę podczas ich ślubu. Biała suknia i welon, kilkanaście metrów jedwabnego tiulu i bezcennej koronki, ciągnących się za nią po szkarłatnym dywanie.

Wiedziała, że jest piękna, że jest bardzo piękna. Uroda jej oszołomiła obecnych w katedrze. A w jego oczach było uwielbienie, w tych dziwnych, jak gdyby sennych oczach, których spojrzenie paliło ją wówczas równie gorące, jak te płomyki świec.

Dwadzieścia lat temu! I już po wszystkim? Tak prędko? I to Francuzi wygnali ją z ojczyzny? Bo przecież jej ojczyzną jest Francja. Zawsze. Francja, Paryż, Saint-Cloud, Compiègne. To jej dom. Czyż Francuzi tak bardzo jej nie lubili?

Podziwiali niegdyś jej urodę, jej wdzięk, elegancję. Francuzi. Zaiste, nie trwałe jest ich przywiązanie, brak im stałości uczuć. Przez ostatnie sto lat wszystkie rządy kończyły się rewolucją. Jeszcze szczęście, że uniknęła losu Marii Antoniny!

Jakże straszna była ta ucieczka ze zbuntowanego i nagle wrogiego Paryża! Wynajęte konie, noclegi w brudnych zajazdach, suknia ubłocona i przemokła od ciągłego deszczu, chustka mokra od łez.

Napotykanie żandarmi obojętnie mijali dwie wynędzniałe kobiety i towarzyszącego im grubasa. Czyżby to miała być cesarzowa Eugenia? Jakże jej smakował chleb z kiełbasą, kupiony w przydrożnej oberży! Wreszcie dotarli do jakiejś stacji kolejowej, nie pamięta nawet nazwy miejscowości, a w Deauville poczuła się już bezpieczna.

10

Doktor Evans natychmiast udał się na poszukiwanie statku, który by przewiózł ich przez kanał La Manche, i tak trafił na dwumasztową „Gazelę” sir Johna Burgoine'a, który w pierwszej chwili nie wiedział nawet, jaki zaszczyt przypadł mu w udziale.

Morze było wzburzone, fale przelewały się z hukiem przez delikatny stateczek, przechylony niebezpiecznie pod naporem wichury. Białe bryzgi

piany wyskakiwały wysoko, każdej chwili grożąc zatopieniem jakże chybotałowej łodzi. Pani Lebreton we łzach modliła się głośno, ale ona, Eugenia, nie czuła najmniejszego lęku.

Burza ścichła dopiero nad ranem.

Pierwszy hotel napotkany na angielskim brzegu odmówił gościny zabiedzonym cudzoziemcom bez bagażu, a że prasa doniosła już o przybyciu na Wyspę cesarskiego księcia, Eugenia marzy tylko o połączeniu się z synem.

Wstrząsana dreszczami, z gorączką, dręczona uporczywym kaszlem, w Hastings może wreszcie przytulić Lulu do stęsknionego serca. W tym samym Hastings, gdzie przed przeszło ośmiuset laty normandzki książę Wilhelm Bastard, zwany odtąd Zdobywcą, w krwawej bitwie pobił króla Harolda i utorował sobie drogę do angielskiego tronu.

Jest tak chora, że pierwsze dni musi spędzić w łóżku, ale wiadomość o jej przybyciu do Hastings obiegła już krewnych i przyjaciół.

„Marinę Hotel” nigdy nie widział tak świetnego towarzystwa, jak ci wysoko utytułowani, wysiadający z pysznych ekwipaży goście.

Pierwsze zjawily się księżniczki Alba, kochające i wierne siostrzenice, a wśród dam, zdobiących niegdyś tuileryjskie salony, błysnęła księżna Metternich.

Poruszona widokiem nędznego otoczenia, z płaczem rzuciła się w ramiona dawnej przyjaciółki.

Jeśli cesarzowa Eugenia odczuła jakąś przyjemność z tego spotkania, była to przede wszystkim zasługa księcia Metternicha, dawnego ambasadora Austrii, który podczas jej ucieczki z Tuileriów zabrał pozostawiony na stoliku modlitewnik Marii Antoniny. Tę cenną pamiątkę księżna wręczyła teraz uradowanej właścicielce.

Po wizycie tych pań do „Marinę Hotel” nadszedł z Londynu kufer pełen sukien i bielizny. Widok cesarzowej Eugenii pozbawionej najniezbędniejszych rzeczy silnie podziałał na opływające we wszystko damy.

11

Wiatr huczy w wysokich kominach Camden Place, a cisza nocna potęgajt. v.izdy odgłos. Teraz zaczyna padać, jak wyraźnie słycharć stukot kropel na płaskim dachu!

Książę Ludwik Napoleon nie może oderwać oczu od złotych pszczoł rojących się na fioletowym aksamicie. Więc już nie ma ojca? Jak więc będzie? Jak żyć dalej w obcym kraju, wśród ludzi, dla których jest niczym

innym, jak jakąś tam Cesarską Wysokością?

Niespokojne spojrzenie biegnie ku matce. Ona mocna. Mocna i niespożyta. Jej nic nie powali, największe nawet nieszczęście.

Książę czuje nieledwie zazdrość, porównując swoją słabość i jej siłę, swoje niedołęstwo i jej jakże energiczną aktywność.

Jego nic teraz nie obchodzi. Najchętniej zamknąłby się w swoim pokoju, rzucił na łóżko i płakał, aż wypłynęłyby z niego wszystkie łzy, a wraz z nimi rozpacz, ból i uczucie bezradności wobec tego straszego świata.

Hrabia Clary uspokajająco kiwa głową, napotkawszy udręczone oczy księcia. Jest i kochany pan Filon, z którym tak dobrze było odrabiać zadane lekcje, i Miss Shaw, angielska wychowawczyni. Z jej przybyciem odżyło nagle całe dzieciństwo.

Książę czepia się tych wypróbowanych przyjaciół, będących jak gdyby przedłużeniem jego dawnej egzystencji. Oni przecież znali to wszystko, co kochał, do czego był przywiązany. Mało jest zdarzeń, w których by nie uczestniczyli, mało wspomnień, które nie przywołałyby na pamięć tych świadków przeszłości.

Ale ojciec... żał mu teraz każdej chwili spędzonej z dala od cesarza. Nie zapytał go o tyle rzeczy, tyle spraw pozostało nie wyjaśnionych. A teraz już nigdy...

Książę czuje się znowu chłopcem, owym Lulu, siedzącym na kolanach ojca, jak na tej fotografii, która stoi na biurku. Zrobiono ją po powrocie cesarza z niewoli. Była to najcudowniejsza chwila w ich życiu, gdy powitali „w domu” wróconego do wolności więźnia.

A potem zaczęły się dni wytężonej pracy — tak chciał ojciec — a najlepszym wypoczynkiem była konna jazda. Z panem Filonem przerabiali materiał zgodnie z programem studiów księcia. Biedny pan Filon! Dwoił się i troił, by zastąpić nieobecnych profesorów. Jedynie do matematyki przyjeżdżał z Londynu specjalny nauczyciel.

Najciekawsze jednak były lekcje z ojcem. Sam cesarz uczył go historii, tej dawnej i tej najnowszej. Były to długie rozmowy, pytania i odpowiedzi

12

w zaciszu ojcowskiego gabinetu, podczas których książę uczył się poznawać ludzi po ich postępkach oraz osądzać zarówno dawne, jak i współczesne mu wydarzenia.

Cesarz nie miał przed synem tajemnic i nieraz mówił odwiedzającym go

politykom z Francji: „Możemy rozmawiać szczerze, mego syna w najwyższym stopniu interesują nasze sprawy”, a książe dorzucał wówczas z uśmiechem: „O tak, jestem ciekawy, ale przy tym dyskretny”.

Uczęszczał jakiś czas do King's College na Strandzie, ale to było krótko, ta szkoła wcale mu nie odpowiadała. Wreszcie matka zaproponowała akademię w Woolwich. Pamięta, jak rodzice dyskutowali nad tym projektem. Ojciec nie był nim co prawda zachwycony, wymagałoby to bowiem rozstania z synem. Tylko niedziele książe mógłby spędzać 'w domu.

— Gdy skończy Woolwich — przekonywała matka — Ludwik (już teraz nie Lulu) będzie oficerem artylerii. To przecież jest tradycją Bonapartych — dodawała przechylając się w stronę męża.

Wobec tego cesarz zwrócił się do królowej Wiktorii, która skwapliwie wyraziła zgodę zapewniając, że książe zostanie przyjęty bez wstępnych egzaminów. Ale Lulu nie skorzystał z tego przywileju, nie chciał, by go w jakiś specjalny sposób wyróżniano, i w październiku 1871 roku, razem z wiernym przyjacielem Ludwikiem Conneau, synem doktora, przywdział szkarłatny uniform Woolwich.

W rejestrze akademii, pod numerem 3880 zapisano: „Jego Cesarska Wysokość książe Ludwik Napoleon Eugeniusz Jan Józef, a pod numerem następnym: „Conneau Ludwik Napoleon Józef Eugeniusz”.

Tak oto wojna tylko na krótko rozdzieliła obu przyjaciół. Znowu byli razem, a z nimi wierny pan Filon, który zamieszkał w Woolwich w pobliżu akademii, by na prośbę cesarza „mieć na chłopców oko”.

Ileż razy książe i młody Conneau wspominali towarzyszy pozostałych we Francji! Dla księcia najmiłszy był Anto. Niestety, listy widać nie dochodziły do adresata.

— Nie trap się — mówił młody Conneau. — Pewnie mieszka teraz gdzie indziej. Pamiętaj o oblężeniu i o bombardowaniu Paryża. Pruska artyleria nie próżnowała. Może jego dom zniszczony? Biedny Anto, taki był tam głód...

— Tak — odpowiadał książe. — Wiem, straszny głód. Ludzie jedli psy i koty, a także szczury — wstrząsał się ze wstrętem.

— Zjedli wszystko — kiwał głową młody Conneau. — Oczyszczili Paryż ze

13

szczurów. Ale jestem pewien, że Anto nie dał się... Wszyscy wiedzą, gdzie jesteście... Wkrótce do ciebie napisze.

O tak, księżę czekał na list, na list od najlepszego przyjaciela. Anto... Te ich czwartkowe popołudnia i rozmowy... Mógł powiedzieć mu wszystko, dużo więcej niż Ludwikowi Conneau. Omawiali sprawy, które dla nich obu były jednakowo ważne. Przecież to Anto przeżywał z nim razem jego podróż na Korsykę. Ludzie wówczas wołali: „Niech żyje cesarz!”, a potem... Czy zabiliby go, gdyby zjawił się w Paryżu? Nie mógł w to uwierzyć. Ci sami ludzie...

Księżę dotyka krepy przewleczonej przez butonierkę. Ma na sobie czarne ubranie, ale wkrótce znowu przywdzieje uniform Woolwich, angielski uniform. On, Francuz, w angielskim uniformie. A przecież dobrze pamięta mundur grenadiera, w jakim występował, gdy był mały, podczas oficjalnych uroczystości. Francuski mundur, wstawiony w tyłu bitwach. Niebieska kurtka i czerwone wyłogi. Boże, czemu tak wszystko się zmieniło? Czemu on, francuski księżę, ma być oficerem w angielskiej armii, do niedawna armii wroga? Jak w ogóle mogło dojść do czegoś tak absurdalnego? I czy nigdy nie zobaczy Francji i Paryża?

Nieznacznie podnosi rękę do oczu. Nie chce, żeby matka zauważyła, że płacze. Widać nie jest jeszcze mężczyzną. To stwierdzenie zalewa gorączką serce. Nie jest mężczyzną, jest ciągle tym samym Lulu opartym o ojcowskie kolana. Jak na fotografii. Trudno. Nie potrafi powstrzymać łez. Ale nie wstyd mu. Wie przecież, że już nigdy nie będzie szczęśliwy. Śmierć Napoleona III wstrząsnęła Europą. Również i prasa francuska poświęciła wiele miejsca temu wydarzeniu.

Podkreślano między innymi różnicę w postawie dworów europejskich na wieść o upadku i śmierci zarówno twórcy Cesarstwa we Francji, jak i jego kontynuatora. Podczas gdy wszyscy władcy wyparli się Napoleona Pierwszego, widząc w nim jedynie „generała Bonaparte”, Napoleon Trzeci po klęsce nie przestał należeć do wielkiej rodziny tych, co zasiadali na tronowych krzesłach.

Cesarzowa Eugenia otrzymała listy z wyrazami żalu i współczucia ze wszystkich stolic Europy, wszystkie też rządy przysłały swoich przedstawicieli na uroczystości pogrzebowe.

14

Z Francji przybyło kilkudziesięciu dawnych ministrów, paru marszałków, kilkuset byłych członków Senatu, wielu wysokich urzędników, a nade wszystko moc ludzi skromnych i nieznanymi, wyróżniających się wszakże odświętnym strojem i spracowanymi rękami.

Niewielki kościółek w Chislehurst nie pomieścił tych wszystkich, którzy pragnęli okazać szacunek, przywiązanie, wdzięczność dla zmarłego, oraz takich, których przyciągnęła zwykła ciekawość.

Proboszcz, ksiądz Goddard, wygłosił wzruszające kazanie — najlepszą chyba mowę pogrzebową, jakiej można by sobie życzyć przy podobnej ceremonii. Znał Napoleona III, to on, wezwany w pośpiechu do Camden Place, udzielił cesarzowi ostatnich sakramentów.

Zgodnie z protokołem dworskim wdowa nie uczestniczyła w pogrzebie. Z okna sypialni pożegnała męża, który opuszczał na zawsze ich tułaczy dom.

Przed bramą zebrali się ci wszyscy, którzy mieli towarzyszyć trumnie do kościoła. Ludzie stali wszędzie, na drodze, na ścieżkach i na trawnikach. Między odkrytymi głowami mężczyzn widać było damskie kapelusze, welony zakonnice, a wśród czerni żałobnego stroju złożyły się epolety mundurów wszelkich armii.

Poprzez koronkową firankę Eugenia śledziła posuwający się wolno kondukt. Przez cienką szybę słyszała bicie dzwonów i szuranie setek stóp po żwirze.

Czuła niezwykle wyraźnie obecność zmarłego. Jak gdyby wystarczyło odwrócić się od okna, by ujrzeć go w głębi pokoju, w fotelu, na którym niekiedy siadywał podczas szczególnie poważnych rozmów o przyszłości Ludwika lub o projekcie „powrotu z Elby”, jak nazywali ewentualny powrót do ojczyzny.

Miała w sobie dostateczną siłę, by ten cel osiągnąć. Nie zabraknie jej woli i energii. Ludwik musi być wskrzesicielem cesarstwa, i to ona, matka, posadzi go na francuskim tronie.

Składała zmarłemu nie podlegające wątpliwości przyrzeczenia, niepomna jakże trudnej sytuacji i wrogiego stosunku partii politycznych — zarówno republikanów, jak i monarchistów — do bonapartystowskiej restauracji.

Ostatni raz mignęła znikająca za drzewami trumna. Jej mąż... Cesarz... To on wyniósł ją na szczyty, wybrał spośród tysięcy, ją jedną. A potem...

Tak, długie lata czuła do niego żal, wielki żal. Zdradzał ją, miał różne kobiety, wiedziała o tym. I nagle stanęło przed nią pytanie, czy nie była temu trochę winna? Tak, winna. Krew napłynęła do twarzy, rozpalila pobladłe policzki.

15

Była piękna, ale pięknością posągu. „Zimna jak marmur” — tak niegdyś

powiedział. Brakowało mu jej zrozumienia i choćby płomyka, który odpowiedziałby na jego ogień. Jak wyraźnie widziała teraz to, o czym nie lubiła nawet myśleć. Przecież ją kochał. A ona? Czy w ogóle była zdolna do miłości?

We wrześniu 1871 roku odwiedziła Hiszpanię. Mąż i syn wsadzili ją do pociągu na dworcu Waterloo w Londynie. Pragnęła zobaczyć dawno nie widzianą matkę. Co jednak skłoniło ją do tej podróży? Czy potrzeba serca?

Nie zatrzymując się po drodze, spieszyła do Carabanchel. Powitanie nie wycisnęło łez wzruszenia ani u matki, ani u córki. Stara hrabina de Montijo, na pół ślepa, ale jak zawsze wystrojona i uróżowana, z mantylką na wysokim grzebieniu i wachlarzem w ręku, zajmowała się, jak dawniej, kojarzeniem małżeństw i ploteczkami.

Po dwóch miesiącach Eugenia z przyjemnością wróciła do Chislehurst. Między nią a mężem panowała teraz idealna harmonia. Był przecież taki chory i nieszczęśliwy. Otaczała go opieką i staraniem. Rozumiała, że właśnie on najboleśniej odczuł klęskę i upadek, przygnieciony ciężarem, zdawałoby się, nie do podźwignięcia. Przy tym imponował jej spokojem, siłą charakteru, godnością, z jaką znosił to, co uważała za dopust boży. I chyba go kochała. Miłość ta, jakże różna od miłości panny młodej, zrodziła się nagle, równie nagle jak nieprzeparta chęć spotkania się z mężem wówczas, gdy był jeszcze w pruskim więzieniu.

W podróży towarzyszył jej hrabia Clary. Zawsze jednakowo zaradny, opanowany i dyskretny. Do Kassel przyjechali po południu. Hrabia Clary pośpieszył do zamku Wilhelmshoehe, by uprzedzić cesarza. Boże, ta chwila, gdy go ujrzała na szczycie schodów! Postarzałego, z niezdrową cerą i przygasłym wzrokiem. Biegła ku niemu po stopniach jak młoda dziewczyna. Przy świadkach cesarz powitał ją ceremonialnie, a lzy zalewały jej oczy, serce zda się pękało od łkań. Dopiero gdy zostali sami, mogła wypłakać się na jego ramieniu.

Nie widzieli się zaledwie trzy miesiące, a jej wydało się, że minęły wieki od dnia, gdy go żegnała, wyruszającego na wojnę, w Saint-Cloud.

On też płakał, a potem zaczął ją wypytywać o syna.

Jakże go kocha — myślała z odrobiną zazdrości — jak bardzo go kocha! I znowu patrzyli na siebie, starając się odnaleźć dawną świetność w po-

starzałych twarzach, w skromności ubioru. Stali się sobie bardziej bliscy,



teraz, gdy opadły z nich gronostajowe płaszcze, bardziej podobni do zwykłych ludzi, gdy do ich uczuć przeniknęła wzajemna litość i współczucie. Rozmawiali naturalnie o Francji. O Francji i o Lulu. Lulu był ich nadzieją. Jego młode życie nie mogło zostać zmarnowane. Jaka przyszłość czeka go na obcej ziemi?

Ze smutnego wzroku cesarza wycierała rezygnacja. Rezygnacja biła z całej jego osoby. W niej za to wrzał bunt, bunt i chęć walki. Nie podda się przecież klęsce, nie uzna się za pokonaną. Nigdy. Wodzi spojrzeniem po twarzy męża, gdzie każdy rys świadczy o nękającej go chorobie. On nie skarży się, nic o tym nie mówi, ale ona wie, co wycierpiał. Kamienie w nerkach i w pęcherzu wywołują trudne do zniesienia bóle, a on w takim stanie na koniu... Biedny. Szukał śmierci, wiedziała o tym, ale śmierć to zbyt łatwe dla niego wyjście. Życie po klęsce wymagało o wiele więcej odwagi.

A potem opowiadała mu o strasznych dniach września, ostatnich dniach spędzonych w Tuileriach. Głos jej drżał oburzeniem, gdy wspominała, jak na wieść o klęsce pod Sedanem Gambetta ogłosił koniec cesarstwa. „Ludwik Napoleon i jego dynastia na zawsze przestali rządzić Francją” — padło z trybuny, na co ulica huknęła: „Niech żyje Republika!”

Ukonstytuowano nowy rząd z generałem Trochu jako prezesem ministrów, a nazajutrz wilgotne jeszcze od farby drukarskiej litery ogłosiły paryżanom proklamowanie Republiki.

Na Dworcu Północnym oszalały z radości tłum witał powracającego z dobrowolnego wygnania Wiktora Hugo. Niestety, nie czas było jeszcze na euforię, wróg nieubłaganie postępował ku stolicy. Nie stracono jednak nadziei, trzymał się przecież Metz, a w nim marszałek Bazaine ze stuśiedemdziesiąt tysięcy, nie tkniętą dotąd, armią. Ale oto nagle padł grom, straszna wiadomość: Metz skapitulował! Marszałek Bazaine potajemnie opuścił miasto.

— Zdrajca! — woła Eugenia z dawnym błyskiem w oczach. — Jak było można? To nie tak...

— Nie tak — cesarz porusza głową. — Wszystko w tej wojnie szło nie tak, jak należało. Niestety. Zawiodłem się na tych, którzy mieli moje zaufanie.

— Łotry! — Eugenia nie może się uspokoić. — Właśnie, ufałeś im, a oni... Najmocniej boli mnie niewdzięczność. To właśnie ci, których darzyłeś przyjaźnią, obsypywałeś łaskami, okazali się najbardziej za-

wzięci. Czyż

2 — Talerz z Napoleonem

17

Trochu to nie Judasz? A architekt Viollet le Duc? A pisarz Edmund About? Nawet generał Gallifet. Traktowałeś go jak przyjaciela. Nie mówię już

0 marszałku Mac-Mahonie. Dałeś mu tytuł książęcy, a on... ale to głupiec pożerany ambicją. Teraz dopiero ich poznałam, tych wszystkich płaszczących się pochlebców, teraz wiem, jacy są naprawdę. Wszystkich gościliśmy w Tui-leriach czy w Compiègne, zasiadali z nami do stołu, a po klęsce nie tylko odwrócili się plecami, wyrzekli się zwykłej z nami znajomości, ale opluli oszczerstwem i potwarzą — zacisnęła ręce. — O, jakże nędźnie wyglądają ci przedstawiciele europejskiej kultury wobec takiego Araba, emira Abd-el-Ka-dera, dawnego wroga. Napisał do mnie, wiesz, pięknie napisał, właściwym ludziom Wschodu kwiecistym stylem. „Jedynie Słońce i Księżyc podlegają zaćmieniom” — zacytowała. — Jakż to lekcja dla Francuzów!

O tak, mieli o czym rozmawiać. Ale oburzenie Eugenii nie znajdowało oddźwięku u cesarza. Patrzył na wszystko inaczej, a po ostatnich doświadczeniach inaczej osądzał tych, co go zdradzili, a teraz obrzucali błotem

1 obelgami. Chyba do nikogo nie chował już urazy. Była w nim jakaś nadludzka wprost wyrozumiałość i uciszenie. Znał przecież ludzi i wiedział, do czego są zdolni. W swoim dostatecznie długim życiu zetknął się zarówno z objawami heroizmu, jak i podłości. Tym droższa była mu ta grupka przyjaciół, ich wierność przetrwała najgorsze nawet przeciwności. Eugenia pozostała z mężem dwa dni, a potem jedynym łącznikiem były listy aż do jego przyjazdu do Chislehurst.

Krótki dzień zimowy zstępuje powoli w przedwczesny zmierzch. Eugenia podnosi się z fotela i uchyla firankę. Oto wracają żalobnicy. Na przedzie Ludwik w otoczeniu krewnych i przyjaciół. Wielka wstęga Legii Honorowej ożywia czerń stroju księcia. Za nim tłum przybyłych na uroczystość gości. Wszyscy z odkrytymi głowami.

Gdy Ludwik staje przy sztachetach Camden Place, gromki krzyk uderza w pociemniałe niebo:

— Niech żyje cesarz! Niech żyje Napoleon Czwarty! Książę odwraca się, gestem nakazuje milczenie.

— Nie trzeba wołać: „Niech żyje cesarz!” — głos jego, nie stłumiony łą-  
kiem, rozlega się donośnie niczym dzwon. — Należy wołać: „Niech żyje  
Francja!”

— Niech żyje Francja! — powtarza posłusznie tłum, a potem, jak gdyby  
pchnięty wspólną jakąś siłą, rzuca poprzednie zawołanie: — Niech żyje  
Napoleon Czwarty!

18

Całe Chislehurst rozbrzmiewa tym okrzykiem, wiatr niesie go aż po krań-  
ce miasteczka:

— Niech żyje Napoleon Czwarty!

Na pierwszym piętrze w sypialni, za koronkową firanką, matka przyciska  
ręce do rozdygotanego serca.

Nazajutrz po pogrzebie w salonach Camden Place cesarzowa Eugenia  
przyjęła Francuzów, którzy zjechali się, by oddać zmarłemu ostatnią po-  
sługę.

Oparta na ramieniu syna, z opuszczonym na twarz wdowim welonem, po-  
woli przechodziła wśród obecnych. Kobiety — jeśli umiały — składały  
dworski ukłon, mężczyźni przyklękając całowali rękę, którą im podawa-  
ła. I choć dławili ją łzy, przerywanym głosem każdemu z osobna dzięki-  
wała za przybycie.

Wieczorem, gdy poszła już do siebie, do drzwi sypialni zapukał Ludwik.

— Chodź — ucieszyła się. — Posiedzisz ze mną.

W sypialni, hiszpańskim zwyczajem, nie pali się żadna lampa ani świeca.  
Tylko na kominku płonie ogień. Jak trudno ogrzać ten angielski dom.

Chłodne i wilgotne powietrze, jakie zimą panuje na Wyspie, przenika do  
kości, mrozi myśli, poraża czucie.

— Zimno tu — wstrząsa się. — Ale ten chłód inny jest niż we Francji. O  
tak, angielski ziąb niepodobny do francuskiego chłodu, zabija jak gdyby  
wszelkie przejawy życia. Dopiero ciepło bijące z kominka rozbudza na  
nowo świeży ból. Bo przecież oni, najbardziej osieroceni, tracąc męża i  
ojca, stracili wszystko.

— Tak było nam dobrze razem — Ludwik wyciąga nad ogniem zgrabia-  
łe dłonie. — A tak krótko mieliśmy tu ojca.

— Tak krótko. — Piekącymi od łez oczami wdowa wpatruje się w ogień.  
Jakże żywa i bliska wydaje się ta niedaleka przeszłość, gdy po tułaczce,  
bezdomna, w Chislehurst znalazła bezpieczny przytułek.

W Chislehurst...

Po jej przybyciu do Hastings wyłoniła się sprawa domu dla wygnańców. Brat doktora Evansa i pani Lebreton zajęli się wyszukaniem odpowiedniej siedziby. Akurat niejaki pan Nataniel Strode poszukiwał lokatora dla swojej posiadłości Camden Place w Chislehurst, dwadzieścia minut koleją od Londynu, na linii Londyn—Dover.

20

Było to rozłożyste domisko z czerwonej cegły, wzniesione na początku wieku, otoczone dość rozległym parkiem. Dwa duże czarne cedry na trawniku dodawały rezydencji splendoru.

Najważniejsze jednak, że dom był całkowicie umeblowany, i to umeblowany wykwintnie i ze smakiem. Można się tam było natychmiast wprowadzić i od razu poczuć się „u siebie”.

Cesarzową Eugenię zastanowił łaciński napis otaczający zegar na frontonie domu.

— *Mało mori quam foedari* — odczytała głośno. — Oto dewiza w sam raz dla mnie.

— Co to znaczy? — pani Lebreton nie zdołała pochwycić sensu starożytnej maksymy.

— Wolę umrzeć niż zhańbić się — odpowiedziała przestępując próg nowej siedziby.

Lulu był zachwycony. Naturalnie zaraz dowiedział się o ponurej historii związanej z Camden Place, gdyż zanim pan Strode nabył tę posiadłość, przez długie lata dom stał pusty i nie zamieszkały. Nikt nie pragnął wprowadzić się w mury splamione krwawą zbrodnią, a dramat rozegrał się właśnie w pokoju, który cesarzowa Eugenia wybrała sobie na sypialnię.

Jak się później okazało, pierwszymi właścicielami Camden Place było dwoje starszych ludzi, mieszkających tam z synem i jednym tylko służącym. Pewnej nocy rodzice zginęli<sup>1</sup> zamordowani, a służący zbiegł. Syna zatrzymano, jednakże z braku dowodów został wkrótce zwolniony. Opinią publiczną w Chislehurst nigdy nie pogodziła się z orzeczeniem sądu i nadal oskarżała nieszczęśnika, jako motyw zbrodni podając chęć szybszego wejścia w posiadanie sporego majątku. Służący, uznany za współnika, nigdy nie został schwytyany.

Syn właścicieli żył w zupełnym odosobnieniu, opuszczony przez dawnych znajomych i przyjaciół. Wychodził jedynie na cmentarz, gdzie na grobie rodziców wznosił wspaniałe mauzoleum. W testamencie nakazał

pochować się w tym samym grobie i wyryć na marmurze te dziwne słowa: „Nie lękajcie się, to ja”.

Lulu tak przejął się tą opowieścią, że udał się na cmentarz i odszukał intrygujący grobowiec.

— Być może, jest to wyznanie winy — mówił zarumieniony z wrażenia.

— Gdy wszedł do pokoju rodziców z krwawym zamiarem, powiedział pewnie „nie bójcie się, to ja”. Z drugiej strony, jeśli rzeczywiście był niewinny, a życie

21

jego upływało we łzach i bólu po stracie najdroższych, w ten sposób anonsował jak gdyby swoje przybycie na tamten świat, gdy wreszcie połączyła ich śmierć.

Pokój matki szczególnie przywodził chłopcu na myśl straszną scenę zabójstwa.

— Zapomnij o tym — mówiła cesarzowa Eugenia. — Może wcale nie było tak, jak ludzie gadają. Patrz, jak tu pięknie.

Rzeczywiście, pokój był piękny. Ogromny, na pierwszym piętrze, o wielkich oknach osłoniętych ciężkimi kotarami ze szkarłatnego adamaszku. Szerokie łoże ustawiono na niewielkim podwyższeniu. Meble były cenne i w najlepszym guście, a gdy przyjaciele, którzy zaczęli odwiedzać wygnańców, przywieźli kilka drobiazgów uratowanych z Tuileriów, cesarzowa Eugenia, ustawivszy te pamiątki, mogła cieszyć się otoczeniem przypominającym jej utracony dom.

A dawnych przyjaciół przybywało z każdym nieledwie dniem. W Camden Place wraz z wygnańcami i panią Lebreton zamieszkali doktor Conneau z rodziną, doktor Corvisart, pan Pietri, sekretarz cesarza, pan Filon, nauczyciel księcia, hrabia Gary z żoną, kilka dam i czternaścioro służby. Wraz z przybyciem cesarza coraz więcej osób osiedlało się w Chislehurst i w Londynie, a spotykając się co dzień w Camden Place, utworzyli jak gdyby miniaturowy dwór wokół cesarskiej pary.

Lulu miał już spore grono rówieśników.

Nie tylko zresztą Francuzi pamiętali o zwyciężonym i pobitym. Wiele osobistości angielskich spieszyło złożyć uszanowanie mieszkańcom Camden Place. Sama królowa Wiktoria nie pożałowała fatygi i wbrew radom lorda Gladstone'a kilkakrotnie odwiedziła Chislehurst.

— Zdetronizowany monarcha nie przestaje być monarchą — odpowiadała na wszelkie uwagi pierwszego ministra.

Mimo tylu dowodów sympatii i przywiązania echa dochodzące z Francji były dla wygnańca ciężką próbą charakteru. Nie skarżył się jednak i nie złorzeczył nikomu.

— Francja zbyt wiele wycierpiała — mówił — by sprawiedliwie osądzić przeszłość.

Książe Ludwik Napoleon opóźnił powrót do Woolwich. Trudno mu było teraz rozstawać się z domem. Czuł się tu bliżej ojca, wszystko nosiło jeszcze ślady drogiej obecności. Ponadto na własną rękę prowadził pewnego rodzaju

22

„śledztwo”, dopytując się o najdrobniejsze szczegóły ostatniej choroby cesarza. Musiał wiedzieć, co było bezpośrednią przyczyną, nikt przecież nie przeczuwał tak nagłej katastrofy.

W wigilię Bożego Narodzenia do Camden Place zwołano konsylium lekarskie. Stan cesarza wymagał podjęcia ostatecznej decyzji.

Francuscy lekarze zaprosili na naradę trzech luminarzy angielskiej medycyny, a ponieważ zdecydowano, że operacja jest konieczna, ustalono jej termin na drugiego stycznia. Cesarz bez szemrania poddał się owemu wyrokowi. Czyż powrót do Francji nie był ściśle związany z dobrym stanem zdrowia? Jakże wszędzie na konia, by na czele wiernych mu oddziałów dokonać swojego, równie triumfalnego, „powrotu z Elby”?

Zabieg był wyjątkowo przykry, wprowadzano bowiem do pęcherza stalowe szczypce, którymi kruszono nagromadzone tam kamienie. Operację taką zazwyczaj powtarzano kilka razy.

Zabieg z drugiego stycznia zadowolił lekarzy, a chory zniósł ból z właściwym mu heroizmem. Po drugiej operacji, w kilka dni później, cesarz czuł się już gorzej, nie do tego jednak stopnia, by obawiano się o jego życie. Postanowiono jedynie nie zwlekać z trzecim zabiegiem. Dziewiąty stycznia okazał się dniem fatalnym, a na uremię nie było już ratunku.

— Sir Henry Thompson to doskonały chirurg — doktor Conneau, stary przyjaciel z czasów, gdy cesarz był jedynie „pretendentem”, współwięzień z zamku Ham, wielką białą chustką ocierał oczy. — Cieszy się w Anglii zasłużoną sławą. Ale cóż mógł poradzić, kiedy uremia...

— Uremia to czyste bzdury — wzruszał ramionami hrabia de La Chapelle. — Na dwa dni przed śmiercią cesarza otrzymałem list od doktora Corvisarta. Doktor donosił o udanej operacji, o dobrym stanie pacjenta, dzielił się ze mną najlepszymi nadziejami na całkowite wyleczenie.

— Co więc pan przypuszcza, panie hrabio? — książę podniósł wzrok na ojcowskiego przyjaciela. — Co było przyczyną?...

— Nie jestem lekarzem, Wasza Wysokość. — Hrabia rozkładał ręce. — Wiem tylko, że jeden z angielskich medyków, wezwanych na konsultację, przepisał miksturę mającą jakoby złagodzić pooperacyjne bóle. Należało wypić ją przed snem. Nie wiem, czy to przeczcucie, ale cesarz odmówił. Nie miał bólów i chciał spać. Jednakże Sir William Guli ze specjalnym naciskiem zalecił to lekarstwo i wszyscy zaczęli prosić chorego, by usłuchał. Nawet i cesarzowa Eugenia... Cesarz ustąpił.

23

„śledztwo”, dopytując się o najdrobniejsze szczegóły ostatniej choroby cesarza. Musiał wiedzieć, co było bezpośrednią przyczyną, nikt przecież nie przeczuwał tak nagłej katastrofy.

W wigilię Bożego Narodzenia do Camden Place zwołano konsylium lekarskie. Stan cesarza wymagał podjęcia ostatecznej decyzji.

Francuscy lekarze zaprosili na naradę trzech luminarzy angielskiej medycyny, a ponieważ zdecydowano, że operacja jest konieczna, ustalono jej termin na drugiego stycznia. Cesarz bez szemrania poddał się owemu wyrokowi. Czyż powrót do Francji nie był ściśle związany z dobrym stanem zdrowia? Jakże wsiądzie na konia, by na czele wiernych mu oddziałów dokonać swojego, równie triumfalnego, „powrotu z Elby”?

Zabieg był wyjątkowo przykry, wprowadzano bowiem do pęcherza stalowe szczypce, którymi kruszono nagromadzone tam kamienie. Operację taką zazwyczaj powtarzano kilka razy.

Zabieg z drugiego stycznia zadowolił lekarzy, a chory zniósł ból z właściwym mu heroizmem. Po drugiej operacji, w kilka dni później, cesarz czuł się już gorzej, nie do tego jednak stopnia, by obawiano się o jego życie.

Postanowiono jedynie nie zwlekać z trzecim zabiegiem. Dziewiąty stycznia okazał się dniem fatalnym, a na uremię nie było już ratunku.

— Sir Henry Thompson to doskonały chirurg — doktor Conneau, stary przyjaciel z czasów, gdy cesarz był jedynie „pretendentem”, współwięzień z zamku Ham, wielką białą chustką ocierał oczy. — Cieszy się w Anglii zasłużoną sławą. Ale cóż mógł poradzić, kiedy uremia...

— Uremia to czyste bzdury — wzruszał ramionami hrabia de La Chapelle. — Na dwa dni przed śmiercią cesarza otrzymałem list od doktora Corvisarta. Doktor donosił o udanej operacji, o dobrym stanie pacjenta, dzielił się ze mną najlepszymi nadziejami na całkowite wyleczenie.

— Co więc pan przypuszcza, panie hrabio? — książę podniósł wzrok na ojcowskiego przyjaciela. — Co było przyczyną?...

— Nie jestem lekarzem, Wasza Wysokość. — Hrabia rozkładał ręce. — Wiem tylko, że jeden z angielskich medyków, wezwanych na konsultację, przepisał miksturę mającą jakoby złagodzić pooperacyjne bóle. Należało wypić ją przed snem. Nie wiem, czy to przeczcucie, ale cesarz odmówił. Nie miał bólów i chciał spać. Jednakże Sir William Guli ze specjalnym naciskiem zalecił to lekarstwo i wszyscy zaczęli prosić chorego, by usłuchał. Nawet i cesarzowa Eugenia... Cesarz ustąpił.

23

— Więc sądzi pan, że ta mikstura...? — udręczone oczy księcia utkwione były w twarzy hrabiego.

— Powtarzam, nie jestem lekarzem, Wasza Wysokość.

Książę zwrócił się do starych przyjaciół, doktora Conneau i doktora Corvisarta. Słyszał zbyt wiele na temat fatalnej mikstury, same niedomówienia. Jego nerwy nie wytrzymały już takiego napięcia.

— To uremia, Wasza Wysokość, nic innego tylko uremia — trząsł głową doktor Conneau. — Organizm cesarza był wyniszczony chorobą, długotrwałą chorobą.

— Ale hrabia de La Chapelle... Co on podejrzewa?

— To rozpacz podsuwa podobne myśli panu de La Chapelle — doktor Corvisart odchrząknął. — My wiemy, że to była uremia.

— Więc pan też tak sądzi, doktorze?

— Tak, Wasza Wysokość. Cóż bowiem innego mogło być powodem?

— A ta... mikstura?

— Tak, wiem, mikstura...

— W jej skład wchodził podobno chloral. Ojciec nie chciał tego pić, mówił, że mu to szkodzi.

— Jednak Sir William Guli...

— Do licha z Sir Williamem! — książę nie potrafił pohamować rozpaczliwej niecierpliwości. — Ja mam do was zaufanie, panowie, byliście przyjaciółmi i lekarzami ojca od tylu lat, znaliście stan jego zdrowia.

— Owszem — doktor Conneau kiwnął głową z determinacją — od tylu lat byliśmy razem, nierozłączni, w doli i w niedoli. A teraz... — sięgnął po chustkę.

— Czy Wasza Wysokość wierzy insynuacjom pana de La Chapelle? — spytał rzeczowo doktor Corvisart.



— Sam nie wiem, w co wierzyć! — książę załamał ręce. — Hrabia de La Chapelle daje do zrozumienia... Nie, nie, to zbyt straszne... to niemożliwe.

— Wszystko jest możliwe, Wasza Wysokość — stwierdził zimno doktor Corvisart. — Według hrabiego de La Chapelle cesarza otruto. Nie wolno nam jednak ulegać podobnej sugestii. To czyste szaleństwo.

— Czy to pana najgłębsze przeświadczenie? Bo inaczej...

— Tak, Wasza Wysokość, śmierć cesarza była jak najbardziej naturalna. My chyba najlepiej o tym wiemy. Nie opuszczaliśmy chorego przez te wszystkie dni, byliśmy przy nim do końca. Z całą odpowiedzialnością możemy

24

uspokoić Waszą Wysokość. Uremia powoduje sen, a ten kończy się śmiercią, naturalną śmiercią — podkreślił z naciskiem.

Czy te zapewnienia przyniosły księciu ulgę? Czy ukoily udrczone serce? Im dalej od dnia pogrzebu, tym pogłębiał się smutek, boleśniej dawała się odczuć pustka. I tym droższe stawały się wszelkie pamiątki. Te najskromniejsze nabierały ceny i można by je było uznać wkrótce za bezcenne skarby. Choćby zawartość portfela, od lat tego samego.

Obok obrazka Matki Boskiej książę znalazł tam listy od babki, Hortensji de Beauharnais, od matki oraz jego własny, niewprawną rączką zagryzmolony arkusik, pierwszy list, jaki mały Lulu napisał do ojca, wojującego wówczas w Italii.

Portfel wyjęto z wewnętrznej kieszeni surduta. Była to teraz najdroższa relikwia po zmarłym, bo trzech obrączek, które cesarz nosił na czwartym palcu lewej ręki, swojej własnej, obrączki matki oraz babki Józefiny, wsuniętej jej niegdyś na palec przez Napoleona, książę nie pozwolił zdjąć z ręki zmarłego.

— Ojciec zawsze je nosił — powiedział stanowczo — niech pozostaną z nim w grobie.

Sekretarz cesarza, Pietri, nałożył pieczęcie na szuflady biurka i na pozostałe meble i zamknął gabinet, stosując się w tym do ostatniej woli swojego pana.

Najważniejsza, a najbardziej niejasna, pozostawała jednak sprawa testamentu.

Za każdym razem, gdy Napoleon III opuszczał Francję, spisywał ostatnią wolę. Dokumentem tym składał regencję w ręce żony, pozostawiał jej

swój prywatny majątek, a opiekę nad nią i nad synem powierzał obu Izbom.

Nic też dziwnego, że testament otwarty w Camden Place wywołał nie tyle konsternację, co oburzenie, przede wszystkim księcia Napoleona, kuzyna cesarza, przybyłego do Chislehurst na uroczystości pogrzebowe, był to bowiem dokument pisany w Tuileryach dwudziestego czwartego kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku.

— Gdzie jest ostatni testament cesarza? — zagrzniał książę Napoleon, stukając palcem w trzymany w ręku papier. — Nigdy nie uwierzę, by kuzyn mój nie napisał testamentu, wyruszając na wojnę, ani później, gdy przyszło mu żyć w tak zmienionych warunkach. Żądam odpowiedzi.

— Nie znalazłam nic innego w papierach męża — cesarzowa Eugenia nie ukrywała wzburzenia.

25

I

— Nie znalazła pani — uśmiechnął się szydlerczo książę. Cesarzowa Eugenia zbladła, a zaraz potem oblała się rumieńcem. Nigdy nie było sympatii między nią a kuzynem cesarza. Książę Napoleon zawsze okazywał się grubiański i niegrzeczny, obecne podejrzenia przekroczyły jednak wszelkie zakreślone przyzwoitością granice.

— Nie rozumiem — powiedziała drżąc z tłumionego gniewu. — Co to za insynuacje?

— Insynuacje! — wybuchnął gość. — Ktoś wdarł się do gabinetu i spłodował szafy i biurko. — Wszystkie papiery poprzewracane. Taka jest prawda, a pani o insynuacjach! Zawołać sekretarza — rozkazał przybyłemu na dzwonek lokajowi, .#| % '\*"

Pan Pietri miał nieszczęśliwą minę, zaciskał ręce i przestępował z nogi na nogę. Pracując z cesarzem, nigdy nie przeżył podobnie przykrej chwili.

— Co znaczy ten nieład?! — huknął książę Napoleon. — Przecież nałożył pan pieczęcie. W jakim stanie zastałem biurko i szafy?

— Doprawdy, Wasza Wysokość — tłumaczył się skonfundowany sekretarz. — Jak mi Bóg miły, nie wiem. To pewnie ten służący, który znikł wkrótce po pogrzebie, zabierając niebagatelną sumę siedemnastu tysięcy franków. Nie mam wątpliwości, to szpicel pana Thiersa.

— Skradziono nie tylko pieniądze — zauważył cierpko książę. — Zagiął również testament. Ostatni testament — dodał z naciskiem. — Czy wiadomo coś panu o testamencie cesarza, panie Pietri?

— Tak, testament jest w rękach Jej Cesarskiej Mości — sekretarz wskazał wzrokiem cesarzową Eugenię.

— Może pan odejść — powiedział zimno książę, a gdy sekretarz zamknął za sobą drzwi, dodał zwracając się do wdowy: — Nigdy nie uwierzę, by mój kuzyn tak okrutnie skrzywdził najukochańszego syna, uzależniając go całkowicie od matki. Swój prywatny majątek zapisał żonie. Owszem, osiem lat temu Ludwik Napoleon był dzieckiem, ale dziś... Nie, nie, widzę już, że jakaś zbrodnicza ręka ukryła, a raczej zniszczyła ostatnią wolę mego kuzyna. W takich warunkach nie mam tu nic więcej do roboty.

— Śmie pan podejrzewać mnie? — głos cesarzowej drżał.

— Niejedna osoba może być winna — rzucił podniesionym głosem książę. — Pani w każdym razie najwięcej na tym zyskuje.

— Obraża mnie pan!

— Nie mam bynajmniej tego zamiaru, Madame. Jako najstarszy z rodu mam prawo upomnieć się o sprawiedliwość i dopilnować interesów następcy

26

tronu. Ten stary testament dzisiaj krzywdzi Ludwika Napoleona, pozostawia go bez grosza na twojej, pani, łasce.

— Interesy następcy tronu chyba mnie najbardziej leżą na sercu — cesarzowa Eugenia przemogła gniew. — Zapomina pan, że jestem jego matką.

— O nie, o tym nigdy nie zapomnę. Stosunki między nami mogą ułożyć się poprawnie jedynie pod jednym warunkiem.

— Jakież to warunek?

— Oddasz mi pani syna na wychowanie.

— Oddać syna? — cesarzowa Eugenia zerwała się z fotela. — Chcesz, bym się uznała na niegodną opieki nad moim dzieckiem?

— Jeżeli taka jest twoja odpowiedź, Madame, nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Żegnam.

Było to ostateczne zerwanie. Książę Napoleon nie pojawił się już w Camden Place. Żadnego innego testamentu Napoleona III nie znaleziono.

— Nie mogę dłużej znieść tych dyskusji o testamencie! — książę Ludwik Napoleon uderzył ręką o oparcie fotela. — Wszyscy się nade mną litują, jak gdybym został nędzarzem! Po co mi te pieniądze?

— Pieniądze zawsze się przydają — bąknął młody Conneau.

— Pewnie, że się przydadają, ale skoro ma je moja matka, nie widzę powodu do rozpaczycy. A zresztą, jeżeli taka była wola ojca...

— Chyba masz rację — zgodził się przyjaciel. — Zastanawia mnie tylko...

— Co? I ty myślisz, że ktoś zniszczył testament, żeby mnie pognębić?

— Nie, nie, cóż znowu? Ale, widzisz, wszyscy tyle o tym gadają, że już sam nie wiem, co myśleć. W ogóle od pewnego czasu o niczym innym się nie mówi. Właściwie powinniśmy wracać do Woolwich, nie uważasz?

— dodał innym tonem.

— Tak, trzeba zabrać się do pracy. Od tego gadania kręci mi się w głowie. Ostatni dzień spędzony w domu był chyba jeszcze smutniejszy niż

poprzednie.

Cesarzowa Eugenia w ciężkiej aksamitnej sukni snuła się po pokojach, wiatr bił o szyby falami deszczu, domownicy zebrani w salonie nie śmieli zmącić żalobnego nastroju muzyką czy partią kart.

— Jesteśmy jak rozbitkowie na tratwie Meduzy — powiedziała w pewnej chwili cesarzowa, przystając przed szerokim oknem wychodzącym na

27

chłostany ulewą park. — Albo jak ryby objijające się o szklane ściany akwarium.

— Może coś poczytać? — ofiarowała się pani Lebreton, odkładając robótkę. — Są nowe książki przysłane z Francji.

— Nie, nie, dziękuję, bardzo pani dobra, ale nie potrafię skupić myśli.

— Wasza Cesarska Mość potrzebuje odprężenia i wypoczynku, zmiany miejsca — zauważyła hrabina Clary. — Może pojechałybyśmy jutro do Londynu?

— Jeszcze nie teraz... za wcześniej... Może za parę dni...

Książę Ludwik Napoleon nie wytrzymał w tej atmosferze do końca wieczoru. Nie mógł znieść nudy owych zebrzań gromadzących w salonie wiernych przyjaciół, których współczujące spojrzenia doprowadzały go do desperacji. Boże, jakże inaczej było tu za życia ojca! Jakże inaczej! Jak gdyby ci wszyscy, dobrze znani od dzieciństwa ludzie stali się nagle zupełnie inni, a przecież wiedział, że zawsze mógł liczyć na ich życzliwość i przywiązanie.

— Nie zniosę tego — powiedział głośno, znalazłszy się w swoim poko-

ju. Na biurku leżały pamiątki po ojcu. Ileż razy odczytał już te listy, przechowywane tyle lat w portfelu! Umiał je prawie na pamięć. Babka Hortensja, nie znał jej, umarła na długo przed jego urodzeniem, matka i on... Trzy osoby, które cesarz najbardziej kochał, a z tych trzech on chyba był mu najdroższy. Tak, wiedział o tym, czuł to każdego dnia, o każdej godzinie spędzonej razem z ojcem, tu w Camden Place i jeszcze tam, w ojczyźnie.

Książę opiera głowę na złożonych na blacie biurka rękach. Wstrząsają nim łkania, ale oczy ma suche, ani jednej łzy.

Turkot kół na dworze, pryhanie koni, głosy, a potem cisza i nagle kroki za drzwiami. Pukanie. Prędkie, niecierpliwe.

Po co mu przeszkadzają? Chce być sam. Chce samotnie spędzić ten ostatni wieczór w Camden Place. Zanim zacznie nowe życie. Bez ojca.

— Czy można? — podniecony głos Ludwika Conneau.

— Wejdz — książę nie odwraca głowy.

Drzwi otwierają się i za chwilę zamykają się cicho. Czy ktoś wszedł? Czy ktoś jest w pokoju?

Książę powoli odwraca głowę. Wstaje. Nie jest już sam. Przy drzwiach stoi wysoki szczupły chłopiec. Chyba o pół głowy wyższy od niego i ma taki dziwny wyraz twarzy. I nic nie mówi. Książę też milczy i patrzy na intruza.

Wysoki chłopiec składa ręce, postępuje krok naprzód.

28

— Lulu... — to nie głos nieznanego chłopca, to szept dawnych dni dzieciństwa, echo przyniesione aż tutaj z pokoju „cesarskiego księcia” w tuileryj-skim pałacu. — Lulu...

-- Anto! — krzyczy książę. |— Anto!

Stoją ciasno objęci i płaczą, a może śmieją się, bo i śmiech potrafi wycisnąć łzy.

„Lulu...”, „Anto...” — powtarzają, jak gdyby pragnęli wynagrodzić sobie te lata, gdy nie mieli do kogo zwrócić się tym najmilszym imieniem przeszłości. „Anto...”, „Lulu...”

II

— Rózo, schodź prędzej, pan Ryszard przyjechał! — Zelia wytarła w fartuch mokre ręce i poprawiła przekrzywiony czepek.

Róża w białym powiewnym peniuarze na nocnej koszuli zbiega ze scho-

dów w swoim własnym domu, który dotąd stanowi jej największą dumę. Nie jest to żaden pałacyk w modnej dzielnicy, ot, skromny piętrowy pawilon w głębi zacisznego dziedzińca przy ulicy Catinat, tej samej ulicy, gdzie Ryszard Żeran mieszkał przed ślubem.

Wraz z szumem wielkiego miasta wlewa się przez otwarte okna świergot ptaków — chyba wszystkie paryskie wróble upodobały sobie to podwórze obsadzone starymi drzewami!

Mimo ran zadanych pruskim bagnietem Paryż upija się wiosną i młodą Republiką, jak musującym winem z Szampanii. Wszyscy mają na ustach słowo „demokracja”, dzienniki wszelkich partii obrzucają błotem politycznych przeciwników, wynosząc pod niebiosa własnych kandydatów do obu Izb, do Instytutu czy do Akademii.

Nikt nie chce pamiętać o strasznych dniach oblężenia, o głodzie, przedwczesnych zgonach, o butach zwycięzców bijących o bruki stolicy.

Wszystko to minęło, jak mija życie, Paryż otrząsa się z tych wspomnień, tak samo jak otrząsnął się z ponurych okrucieństw bratobójczej wojny, zakończonej masową egzekucją niedobitków Komuny.

Teraz jest wiosna, jak niegdyś kobiety stroją się w jasne suknie, wpinają kwiaty we włosy. W Operze triumfuje „Aida”, którą Verdi napisał na uroczystości inauguracyjne Kanału Sueskiego. Niestety, teatr w Aleksandrii nie był wówczas gotów, a opera ta miała być wystawiona właśnie na jego otwarcie. Paryżowi więc przypadł zaszczyt zaprezentowania splendoru faraonów doborowej publiczności. Wśród śpiewaków na afiszu widnieje polskie nazwisko: dwaj bracia Reszke, znani melomanom całej niemal Europy.

30

Elegancki tłum znowu zapełnia kawiarnie na Bulwarach, a wieczorem, po teatrze, spieszy do restauracji na wykwintną kolacyjkę. Któż pamięta o pożeranych tak niedawno temu psach, kotach, a nawet szczurach? Brr... Teraz delectowano się ostrygami, langustą czy sałatką z homarów, najdelikatniejszym pieczystym, kureczkiem z rożna lub dziczyzną. Najwyborniejsze smakołyki są dostępne dla tego, kto ma pieniądze.

W ogóle wszystko jest jak dawniej z wyjątkiem Tuilériów. Na ich miejscu straszą obecnie paryżan okopcone mury, pustymi oczodolami okien ukazujące wypalone i poczerniałe od dymu wnętrza.

Z gmachów publicznych zniknął również orzeł cesarski, strącony kilofem entuzjastów nowego porządku. Gdzieniedzie tylko zapomniany ptak ów

kryje się wstydliwie przed republikańskim okiem.

Róża zbiega do niewielkiego westybulu oklejonego pasiastą tapetą. Jak dobrze żyć, czuć się młodą i szczęśliwą! I czekać na Ryszarda, który właśnie wchodzi na stopnie ganku.

Po chwili, przytulona do męża, zapomina o wszystkim, o długiej, bo prawie miesięcznej rozłące, o celu jego podróży, nie od razu też zadaje dręczące ją pytanie:

— Znalazłeś co? Jakiś ślad? Mów!

— Nic — Ryszard przecząco kręci głową, ciałniej obejmując Różę i tak złączeni razem wstępują na schody.

Zelia nie śmie zakłócać pierwszych chwil czulego powitania, nie potrafi jednak długo wytrzymać w niepewności.

— No i co? Jest jakaś nadzieja?

— Nie, Zelio, jeszcze nic nie wiemy — odkrzykuje Róża, przechylając się przez poręcz schodów. — Ryszard bardzo głodny, podawaj zaraz śniadanie.

O tak, Ryszard jest głodny po dniu i nocy spędzonych w wagonie kolei żelaznej. Głodny i zmęczony. Przede wszystkim jednak smutny, jego podróż nie przyniosła oczekiwanych rezultatów.

— Cały czas krążyłem między wioskami rybackimi od Mentony do Ventimiglii, od Ventimiglii do Bordighery, od Bordighery do Ospedaletti — mówi ucinając czubek jajka tkwiącego w różowym kieliszku. —

Znam tam chyba każdy kamień, pytałem kilkadziesiąt osób. Każdy coś słyszał, ale nikt nie potrafi powiedzieć nic pewnego. Upłynęło już co prawda sporo czasu od wypadku. Ludzie zapominają.

Zelia, stojąca po drugiej stronie stołu z rękami na oparciu krzesła, nie 31

spuszcza oczu z mówiącego, a Róża zapomina o stygnących na talerzu grzankach.

— Właściwie wiemy tylko to, co nam powiedział Wacław Narzyski — stwierdza wreszcie Ryszard, odstawiając solniczkę.

— To, co uznał za stosowne nam powiedzieć — trzęsie głową Zelia.

— Może. W tym, co mówił, są pewne niejasności, a gdy zadawałem pytania, nie zawsze otrzymywałem zadowolające odpowiedzi. Jedno nie ulega wątpliwości: Jadwinia z Melą wyjechały powozem na spacer i już nie wróciły — odsunął talerz i oparł łokcie na stole. — Droga wije się tam wysoko wśród skał, w dole Morze Śródziemne, Alpy schodzą nad

sam brzeg, o wypadek nietrudno. Nie każdy woźnica podejmuje się tamtędy jechać. Wygląda to imponująco, ale jednocześnie przeraża. Masyw nazwano Czerwone Skąły, dokoła wyjątkowo dzika okolica. Góry opadają tu bardzo stromo ku morzu. Byłem w miejscu, gdzie wydarzyła się katastrofa. Ludzie dziwią się, że wybrały tę drogę. Są tam dwa jak gdyby piętra, jedno szczególnie niebezpieczne o tej porze roku. Podobno Jadwina uparła się, chciała koniecznie jechać tamtędy, tak przynajmniej twierdzi jej szwagier. On pierwszy zjawił się na miejscu wypadku, był wówczas w Mentonie.

— Boże! — Zelia załamuje ręce. — Tylu wrogów czyhało na to dziecko, a jednak nie dali rady. Gdyby została z nami...

— Dość, Zelio. Przecież wojnę przeżyły na Południu bezpiecznie.

— Co tam wojnę! Najgorszy jest człowiek. Wiem, to ten stryj, fircykowy panicz o złym spojrzeniu. Raz go tylko widziałam, ale nie dałabym i trzech groszy za jego uczciwość.

— Nie mów tak.

— Dlaczego? Jeżeli to prawda? Panie Ryszardzie, pan go lepiej zna i wie, że to ładaco. Czemu nas nie zawiadomił o nieszczęściu? Dowiedzieliśmy się dopiero z gazet.

— A cóż byś zrobiła? — wzrusza ramionami Róża.

— Co? — zaperzyła się Zelia. — Leciałabym i szukała. I znalazłabym. Przecież jakiś rybak wspominał o dziewczynce, którą fale wyrzuciły na brzeg. A może to była Mela? Może jeszcze żyła? Gdzie teraz jest nasze biedactwo? Czekają od nas ratunku, a my co?

— Jak to co? — zachnęła się Róża. — Ryszard trzy razy jeździł już w tamtędy. Wacław Narzyski zrobił, co było w jego mocy. Nie żałował pieniędzy. Był wówczas tak blisko i od razu wszczął poszukiwania. Gdyby żyły, gdyby choć Mela się uratowała...

32

P

— Mela żyje — przerywa stanowczo Zelia. — Nasze kochane dziecko żyje. Wiedziałabym, gdyby umarła, czułabym to.

— Szukamy już drugi rok — zauważa pojednawczo Ryszard. — Gdyby żyły, dawno chyba dałyby o sobie znać. Konie i powóz roztrzaskały się o skalisty brzeg, zanim wpadły do morza. Szczątki wyłowiono, ludzi za to ani śladu. A były tam trzy osoby, bo i woźnica... Morze w tym miejscu sięga paruset metrów głębokości. Dziewczynkę, o której mówi Zelia, zna-



lezione w zatoce wiele mil dalej na wschód. Rzeczywiście uległa wypadkowi, podobno wypadła za burtę i morze wyrzuciło ją na brzeg. Szczęśliwie nic jej się nie stało. W tamtym miejscu nie ma tak niebezpiecznych skał. Jak się dowiedziałem, była to Angielka. Zabrała ją rodzina, z którą od razu wróciła do Londynu.

— Ale pan nie zaniecha poszukiwań, panie Ryszardzie? — głos Zeli drży.

— Właściwie powinniśmy chyba porzucić wszelką nadzieję. Wacław Narzymski zrobił wszystko, co było możliwe.

— Wierzy mu pan?

— Przestań, Zelio.

— Przecież w jego interesie leży śmierć Meli i bratowej. Jak słyszałam, wszedł już w posiadanie majątku po zmarłych.

— Zelio, jak możesz?

— Nie znasz ludzi, Rózo. Nie wiesz, do czego są zdolni.

— Sądzę rzeczywiście uznał je za zaginione — Ryszard pokiwał głową. — Zwłok przecież nie odnaleziono. Według prawa Wacław, jako jedyny spadkobierca, dziedziczy cały majątek brata.

— O to mi właśnie chodziło — Zelia klasnęła w ręce. — Jest wolny, bogaty, może żenić się, z kim zechce, i robić to, na co ma ochotę. Ludzie popełniali zbrodnie dla o wiele mniejszych korzyści.

— Jakie zbrodnie? Wacław Narzymski nie popełnił żadnej zbrodni. Przecież to był wypadek, tragiczny wypadek.

— Co ty wiesz, co to było? Bogu jednemu wiadomo, nie nam.

— Zostawmy to — Ryszard spogląda kolejno na Zelię i na żonę. — Pojadę raz jeszcze w tamte strony, raz jeszcze pogadam z rybakami, popytam się tych, co mieszkają najbliżej Czerwonych Skał. Już mnie tam dobrze znają, wiedzą, jak mi zależy na wszelkiej, choćby najdrobniejszej, informacji. Mają mój adres i w razie czego zawiadomią. A teraz chciałbym się dowiedzieć, co pisze Anto.

— Jak zawsze zafascynowany księciem — wzdycha Róza. — Szczęśliwy, że są razem, a i Lulu cieszy się podobno, że odnalazł przyjaciela.

Biedny Lulu.

3 — Ta

33

Mimo tylu oddanych osób po śmierci ojca czuje się bardzo osamotniony. Anto został już przyjęty do Wojskowej Akademii w Woolwich. Bardzo

dobrze zdał egzaminy, choć ma trudności z angielskim. Komisja egzaminacyjna chwaliła wysoki poziom Szkoły Narodowej Polskiej na Batignolles. Żałuję, że przerwał tu naukę, ale uparł się, pamiętasz, jak koniecznie chciał być razem z Lulu. Nie pomogły żadne perswazje.

— W jego wieku perswazje nie mają znaczenia.

— Bardzo przeżyłam decyzję mojego brata. Ale gdy dowiedzieliśmy się o śmierci cesarza, nic nie mogło powstrzymać go od wyjazdu. Anto jest stanowczy, a Dziaduś utrzymywał, że taki sam był nasz ojciec.

— Może raczej uparty — wtrąca Ryszard. — Z upływem jednak lat dzisiejsza wada stanie się zaletą.

— Jest stały w uczuciach, to prawda — stwierdza poważnie Róża. — I w każdym liście podkreśla, że jest księciu potrzebny, że Lulu potrzebuje jego bezinteresownej przyjaźni. W akademii zapisano go na kurs o rok niżej od księcia, a razem z nimi uczy się także i młody Conneau, syn doktora. To było ogromnie miłe i dobre dziecko. I też wielki przyjaciel Lulu. Chodźmy na górę, dam ci listy Anta. Zelio, możesz zbierać ze stołu.

— Gdyby mi się udało porozmawiać w cztery oczy z tym łajdakiem — mruczy Zelia stukając talerzami — potrafiłabym z niego wydusić całą prawdę!

— O tam, za tamtym grobowcem — Róża wskazuje omszały kamień. — Tam ją zobaczyliśmy.

Słońce pada prosto na marmurową płytę, w jego blasku ostro występuje nazwisko zmarłych: Ordęga.

Róża kładzie kwiaty — dziś są imieniny ojca, Stanisława. Pierwszy raz w tym dniu nie ma przy niej brata. Dotąd bywali tu zawsze razem, obchodząc w ten sposób imieniny tych, co tu leżą.

— Była taka wystraszona i zziębnięta. — Róża przysuwa się do męża.

— I tak ufnie podała mi rączkę i poszła z nami. To dziecko bało się, bało się stryja. Słuchaj, a jeżeli Zelia ma rację?

— Trudno posądzać kogoś, nie zbadawszy sprawy. Nie mamy przecież żadnych dowodów.

34

— Jakich więcej żądasz dowodów? A umieszczenie matki w „domu zdrowia”? A to, że nie szukał Meli, a usiłował wydrzeć nam ją podstępem lub siłą? Tego jeszcze mało?

— Mówiłem ci, to młodzieniec niepoważny i zepsuty. Gdy dziecko znikło, przestraszył się. Obawiał się rozgłosu, dlatego szukał na własną rękę.

Potem tłumaczył się przed nami, żałował i przepraszał.

— To nie wystarczy. Fakty pozostają faktami. I nie zapominaj o obawie Meli, wręcz lęku, jaki w niej wzbudzał.

— Doznał wstrząsu na wieść o wypadku — Ryszard powiódł wzrokiem po grobach otulonych młodą zielenią. — Widziałem go, rozmawialiśmy. Był wprost chory... Chodźmy teraz do pana Hutorowicza.

Pan Hutorowicz, stary, wierny przyjaciel, też leży niedaleko stąd. Wytrzymał wojnę i oblężenie, walki Komuny, ale był już tak słaby, że nie podniósł się z fotela. Umarł we śnie, blisko dwa lata temu.

— Wiesz, ostatnio tak często myślę o Meli — Róża idzie przodem wąską alejką. — Co noc mi się śni. Wydaje mi się, że mnie woła, słyszę jej głos.

— Nic dziwnego, skoro stale o niej myślisz.

— Widzisz, ja wierzę w intuicję Zelii. Dotąd nigdy jej nie zawiodła. A nie zapominaj — dodaje z uśmiechem — że właśnie Zelia od początku miała jak najlepsze mniemanie o Miguelu Toreno.

— To rzeczywiście dowód niezaprzeczalny.

— Pojedziesz tam jeszcze, prawda? — pyta prosząco.

— Naturalnie. Tym bardziej...

— Co takiego?

— Nic. Ot, przychodzi mi na myśl... Może nie rozmawiałem ze wszystkimi... Może kogoś pominąłem... Sam nie wiem...

W powrotnej drodze nie wspominają już Meli. Dopiero wysiadając z drożki, Róża jak gdyby coś sobie przypomniała:

— Anto też wierzy, że Mela żyje — mówi cicho. — I wierzy, że ty ją odnajdziesz.

Jak dobrze wracać do domu, do własnego domu, do domu jej i Ryszarda. Ciemna, przepaścista czeluść bramy otwiera się na obłany słońcem wiosenny pejzaż: prostokątne podwórze obsadzone gęsto drzewami. Wśród kasztanów widać wiązy, graby i topole. Jest także kilka klonów i stara lipa, najstarsza chyba w tym towarzystwie. Kamienne płyty, którymi wyłożono niegdyś dziedziniec, teraz spękane, a niekiedy i porozbijane, pozwalają pnieć się chwastom. Trawa obrzeża więc kamienne kwadraty, wciska się w największą

35

szczelinę, aby żywą zielenią barwić ten naturalny, choć jakże twardy, ko-bierzec.

W głębi bieje pawilon kryty czerwoną dachówką. Okna pierwszego pię-

tra są szeroko otwarte. Brak co prawda balkonu, na którym przyjemnie byłoby zasiąść w wiosenne popołudnie, ale Róży nie przeszkadza ten mankament, tak jest zachwycona swoim domem.

Trzy kamienne stopnie wiodą na ganek, a przez masywne drzwi wchodzi się do westybulu. Nie ma tu kolumn ani posągów, za to drewniane schody prowadzące na piętro błyszczą niczym lustro, tak je wywoskował Miguel Toreno, ten prawdziwy.

Na parterze jest niewielki salonik, jadalnia, duża kuchnia i pokoiki dla służby. Bo państwo Zeranowie mają teraz służbę. Są to bardziej przyjaciele niż służący, niemniej przydają splendoru domowi i jego mieszkańcom, a Zelia ma kim komenderować. Zelia oczywiście prowadzi gospodarstwo, a Miguel Toreno i jego młodziotka siostra Consuelo, którą po śmierci matki sprowadził do Paryża, są jej absolutnie poddani. Zelia zresztą od razu wzięła pod opiekę młodą Hiszpankę, uczy ją francuskiego i domowych robót, postanawia zrobić z niej wzorową pokojówkę.

Ryszard Żeran może z całym spokojem opuszczać dom. Trudno o lepsze-go opiekuna niż Miguel Toreno.

Na pierwszym piętrze są pokoje „państwa”. W sypialni Dziadusia, życiem przeniesionej z ulicy Świętego Rocha, nie brakuje niczego, wszystko stoi jak dawniej, a na ścianie pyszni się talerz z Napoleonem.

W tydzień po wizycie na cmentarzu do Ryszarda nadszedł list z Mentony. Arkusik taniego papieru był lekko przybrudzony, a koperta zmięta, jak gdyby długo przebywała w kieszeni, zanim oddano ją na pocztę.

List był krótki, a właściwie stanowiło go jedno tylko zdanie: „Niech pan wszystkich popyta w wiosce Świętej Agnieszki”. Bez podpisu. Słowo „wszystkich” podkreślono.

— Anonim? — dziwi się Róża, gdy Ryszard podał jej papier.

— Widocznie autor obawia się wystąpić jawnie. Czyżby potwierdzało to moją teorię?

— Jaką teorię? Nic mi nie mówiłeś.

— Nie mówiłem, bo dopiero niedawno zdałem sobie sprawę, że jednego rybaka nie mogłem nigdy zastać w domu. Mieszka między Mentoną a Ventimiglią, właśnie w wiosce zwanej Świętą Agnieszką, o której pisze mój anonimowy korespondent. To jakieś dziesięć kilometrów od Mentony.

36

Wioska uczepona stromej skalnej ściany liczy ze dwadzieścia chat, nie

więcej, byłem tam za każdym razem i znam wszystkich mieszkańców. A oto okazuje się, że wszystkich oprócz jednego. Czyżby się przede mną ukrywał? A jeżeli tak...

— Co to za człowiek? Co przypuszczasz?

— Rybak, jak wszyscy oni. Obchodziłem chaty, pytając po kolei, czy: kto czego nie widział, ale jego nigdy nie mogłem zastać. Chata zamknięta. Żona mu zmarła, dzieci nie mieli. Gdy pytałem, nikt nie wiedział, gdzie go szukać. „Wypłynął w morze”, mówiono. Podano mi tylko jego nazwisko: Labourdet. Paweł Labourdet.

— Boże, a jeżeli ten człowiek coś wie? Wie i specjalnie ciebie unika? Ale dlaczego? Co ukrywa?

— Nie wiadomo, czy ukrywa.

— Musisz tam jechać. Koniecznie. Zjawić się w wiosce zniemacka, tak aby nie zdążył uciec. Wiem, że potrafisz go przekonać. Cóż mu przyjdzie z ukrywania prawdy?

— Właściwie jakiej prawdy? — zauważył sceptycznie Ryszard. — Przecież możemy tylko snuć przypuszczenia.

— A dlaczego ciebie unika?

— Może wcale mnie nie unika, może to po prostu zbieg okoliczności. Wypływa w morze, a wówczas ja się zjawiam. Normalne wytłumaczenie.

— W takim razie po co ten list?

— Otóż to. List stanowi zagadkę. I dlatego pojedę. Chcę wiedzieć, kto go napisał i w jakim celu.

Róża mruży oczy, taki blask bije z nieba. Oto stara przyjaciółka, ulica Świętego Honoriusza, jeszcze parę kroków i już jest na ulicy Rivoli. Idzie wzdłuż północnego skrzydła Luwru w stronę Tuileriów. Nie, dziś nie może oglądać zniszczenia, taki piękny dzień nie pasuje do zgliszcz. Duchy wywołuje się wyłącznie nocą, najwyżej przy świecy, a nie przy tym triumfującym słońcu.

Mimo takiego postanowienia idzie dalej, widać nogi same niosą ją w tym kierunku. Stara się patrzeć w prawo, najlepiej oglądać wystawy sklepowe. Ulica Rivoli słynie z wytwornych magazynów. Jak dawniej... Jednakże nie wszystko jest takie samo, jak przed wojną. Chociażby modei. Któż by dziś nosił tak ambarasujące krynoliny? A jednak było to piękne. Róża wzdycha, spoglądając na odbitą w szybie wielkiego magazynu powłóczytą sylwetkę z

:/

niewielką tylko tiurniurą z tyłu. Minęło, wszystko minęło. Cesarstwo, Tuilerie i krynoliny. Widocznie tak być musi. Zmiana jest konieczna. Francuzi wydają się zachwyceni republiką. Są wolni i niezależni, mogą wybierać odpowiadającą im formę rządów.

Północne skrzydło Luwru kończy się pawilonem de Marsan. To już Tuilerie. I wszystko wydaje się nietknięte, bo przecież pałac stoi. Mury są całe. Tylko przez puste okna widać błękit wiosennego nieba. Jest wszystko prócz dachów i tego, co było w środku. Tego piękna. Kamień i marmur ocalały, lecz te inne twory także ludzkiej ręki, o tyle bardziej kruche i nietrwałe, pożarły płomienie.

Róża zadziera głowę. Brak dachów obnaża jakże wysokie kominy. Zazwyczaj widoczna jest jedynie ich część, teraz za to sterczą niczym upiorne szubienice: ustawione w szeregu do jakiejś gigantycznej egzekucji. Róża podchodzi do bramy. Tędy szło się do szwalni i do pracowni hafciarki. W przejściu pełno gruzu. Zagłada na dziedzińcu. Jak cicho! Gdzie podzieli się gwardziści w barwnych mundurach, zaaferowana służba, powozy i karety zajeżdżające pod główne wejście? Tak tu zazwyczaj bywało gwarno, tętniło życie. W lśniących szybach pustych teraz okien odbijało się niebo, chmury lub obłoki, a koronkowe firanki nie przepuszczały niedyskretnych spojrzeń, strzegąc intymności komnat i pokojów.

A teraz wszędzie gruz. Poobijane marmurowe odrzwia świadczą o ręce wandalą gravsującego tu po pożarze. Nawet wówczas, gdy szalał ogień, wykoszono stąd co się dało. Nie tylko zresztą złodziej zakradał się do opustoszałego pałacu. Róża na przykład wie, że kapelan Tuileriów, ksiądz Laisne, zjawił się tu nazajutrz rano po ucieczce cesarzowej Eugonii. Był w świeckim stroju i nikt go nie poznał. Poszedł prosto do pałacowej kaplicy i zabrał księgę metrykalną rodziny Bonapartych. Po to, by ją przesłać do Anglii. Bullą papieską z 1857 roku kaplica tuileryjska została uznana za kaplicę parafialną i jako taka prowadziła rejestr chrztów, ślubów i zgonów rodziny cesarskiej.

Róża staje w środku dziedzińca. Stąd może objąć wzrokiem poczerniałe i poranione fasady głównego trzonu i bocznych skrzydeł. Aż dziw, że pałac stał trzysta lat nietknięty, wydany jedynie w ręce architektów, dokonujących przeróbek w guście każdej nowej epoki. A teraz wystarczyło jednej nocy, by zniszczyć to, co budowały liczne pokolenia, stale upiększające tę królewską siedzibę. A nade wszystko pragnące pozostawić po

sobie ślad, pamiątkę. Pamiątkę po czasach i ludziach, którzy dawno odeszli.

38

Mówią, że ogień oczyszcza, ale jednocześnie niweczy, wszystko zamienia w popiół. Ostać się może jedynie kamień. Tak, kamień odrobiony dłem artysty, jak na przykład ta arkada zwieńczona architrawem z promieniającą twarzą Króla-Słońce w środku.

Róża wodzi palcem po wgłębieniach żłobkowanej kolumny. Pył pokrył marmur bogato rzeźbiony w renesansowe wzory pod jońskim kapitelem. Z nisz pierwszego i drugiego piętra wychylają się posągi i popiersia rzymskich imperatorów. Nie uciekły przed pożarem, nie opuściły wyznaczonych im nigdyś miejsc, świecą nadal białą nagością marmuru. Jest i balustrada na szczycie. Ale co to? O Boże! Zegar! Czy to możliwe? Zegar nad fasadą! Zatrzymał się na godzinie za pięć dziewiąta!

Gdyby nie okna, nietrudno byłoby wyobrazić sobie, że Tuilerie żyją, choć opuszczone chwilowo przez mieszkańców. O, na przykład te schody z poręczą z kutego żelaza w pawilonie de Bullant. Do rzeczywistości przywołuje ją jednak ziejący zniszczeniem otwór w miejscu drzwi, założony teraz deskami.

Róża wraca do głównego trzonu pałacu. Odważnie stąpając wśród gruzu, wchodzi do westybulu. Nad głową niebo, zapadły się posadzki kilku pięter. Naprzeciw wejścia, w okaleczanej niszy, trwa bohatersko grecka bogini w hełmie, z dzidą w rękę, drugą ręką zgarniając fałdy marmurowego chitonu.

Straszno! Nie można iść dalej. Róża rozgląda się, kędy mogłaby wejść w głąb pałacu. Oto miejsce, gdzie była kaplica. Nie pozostało z niej nic. Ukośne promienie słońca złocą zwały gruzu zalegające posadzkę. Jest tylko wgłębienie na ołtarz, obrzeżone smukłymi jońskimi kolumnami. A oto schody. Wspaniałe schody, duma Tuileriów. Nie dały się płomieniom. Róża wbiega na pierwsze piętro. Nietknięte! Piękny stiukowy sufit nietknięty! Te drzwi to Sala Marszałków. Za progiem przepaść. Nie ma marszałkowskiej sali. Nie ma nic, nawet zwierciadeł. Pozostały jedynie, przytulone do ścian, podtrzymujące je dawniej konsole na wygiętych lwich łapach.

Róża schodzi powoli, ostrożnie stawia stopy, nie prawie nie widzi, bo lży... Mogłaby głośno płakać, krzyczeć nawet, nie wzruszyłoby to nikogo. Najwyżej odezwałoby się echo, snujące się wśród osmalonych mu-

rów.

— Dzień dobry panience.

Róża odwraca się. Czyżby wśród tej martwoty zachował się żywy człowiek?

— Panienska mnie nie poznaje? To ja, Józef Sadoul z cesarskiej służby. Z odlupanego bloku marmuru podnosi się ciężko starszy mężczyzna z siwymi

40

faworytami. Józef Sadoul! Naturalnie, że go poznaje. Taki zawsze grzeczny i usłużny i tak godnie wyglądał w szkarłatnej liberii.

— Józef Sadoul — powtarza Róża, a łzy nie przestają płynąć. — Jakże się cieszę. Co pan tu robi?

— Nic. Siedzę na tym kamieniu i patrzę. I widzę wszystko tak, jak było dawniej. Nie mam nikogo, straciłem całą rodzinę, a jestem już za stary, by zaczynać nowe życie. Starym nic nie potrzeba — dodaje z goryczą.

— Wystarczają im wspomnienia. A panienska nadal haftuje? Może w szwalni pani Benoit?

— Nie. Wysłałam za męża. To pani Benoit ma szwalnię?

— Tak. Spotkałem ją raz. Opowiadała, że otworzyła magazyn i szwalnię, ma sześć panien. Zapomniałem tylko, na jakiej ulicy. Pójdę już — popatrzył na zatrzymany zegar. Z przyzwyczajenia. — Ot, ciągnie do starych kątów i zaglądam tu od czasu do czasu. Do widzenia panience. — Wolno poszedł w stronę bramy.

Więc nie ona jedna... Józef Sadoul także, a może i inni...

Róża rozgląda się po pustym dziedzińcu. Dawno już ścichły kroki Józefa Sadoula. Jest znowu sama w tym ogromie Tuileriów, zupełnie sama. Patrzy prosto przed siebie i widzi ciemny otwór, wejście, przez które mogłaby dostać się do wnętrza pałacu. Poznaje. To boczne drzwi do apartamentów cesarza. Dobrze pamięta ów straszny wieczór. Padał wówczas śnieg, a ona szła do pani Carette. Było równie cicho i pusto na tym dziedzińcu. Posłyszała głosy i rozmowę po polsku. Straszna rozmowa. I właśnie tam, przed tymi drzwiami napadnięto na Ryszarda wychodzącego od cesarza.

Deska zasłania pusty otwór, ale łatwo ją odsunąć i przedostać się do wąskiego antyszambru.

Na prawo drzwi do gabinetu cesarza. Niebezpiecznie jednak wchodzić do środka, część stropu zapadła się, ale część wisi niepokojąco nisko, goto-



wa runąć za lada podmuchem.

Róża ogarnia wzrokiem wypalone wnętrze. O, tu stało biurko, a tu fotel, na którym cesarz ją posadził. Tamtymi drzwiami wszedł lokaj z winem na tacy.

Coś ciągnie ją w tamtą stronę, jakaś niewytłumaczalna ciekawość. Posuwa się wolno wzdłuż ściany, nie spuszczać oczu ze zwisającego sufitu. Nagły szelest przykuwa ją do miejsca. Stoi z mocno bijącym sercem, wpatrzona w pusty otwór, który wówczas zamykały dwuskrzydłowe drzwi z opuszczoną portierą. Cisza. Ktoś tam jednak jest, przyczaił się — myśli Róża. Stoi tak blisko, że ręką dotyka muru pod wypaloną futryną. Trącony nieopatrznie kawałek gruzu przeraża tajemnicze stworzenie, kryjące się wśród ruin. Z otworu drzwi wyskakuje kot, szary, pręgowany i bardzo chudy. Otarłszy się nieledwie o jej nogi, wypada na dziedziniec. Róża chwilę nasłuchuje, ale w dalszych pokojach nie ma już nikogo. Można bezpiecznie iść naprzód. Jaki piękny kominek! Białe marmur delikatnie rzeźbiony zachował świeżość i połysk, jak gdyby zaledwie wczoraj przetarto go miękką ściereczką umaczaną w płynnym wosku, a potem wypolerowano.

Przytulona do ściany, posuwa się w stronę kominka, kładzie ręce na blacie, patrzy w puste ramy po wydartym lustrze. Końcem bucika rozgarnia gruz zalegający palenisko.

Krata z misternie kutego żelaza zachowała wyraźny rysunek cesarskiego orła. Coś błyszczy wśród kawałków gruzu zmieszanego z popiołem. Róża pochyla się, zdejmując rękawiczkę i wygrzebuje niewielkie blaszane pudełeczko, poczerniałe i pogiete.

Pudełeczka nie sposób otworzyć, straciło właściwy mu kształt, dziw tylko, że nie uległo kompletnemu zniszczeniu w płonącym jak zapalony stos pałacu.

Róża wyciera chusteczką nieforemne wieko. Niestety, nie otworzy bez pomocy noża. Ciekawość jest tak wielka, że nie pozwala czekać. Róża rozgląda się za jakimś narzędziem. Kawałek odbitego marmuru doskonale zastępuje nóż. Róża mocuje się z oporną blachą, wreszcie podważa wieczko.

Wewnątrz leży złożony w kilkoro pożółkły skrawek papieru, istny cud, że nie spalił się podczas pożaru. A może pudełeczko znalazło się tu już po katastrofie?

Kruchy papier nieledwie rozpada się w palcach. Trudno coś odczytać.

Wygląda to na jakieś pokwitowanie lub rewers. Najwyraźniejszy jest podpis: „W. Narzymski”. Co to znaczy? Czyżby Waław Narzymski? Stryj Meli? W nieczytelnym tekście można jedynie rozpoznać cyfry „100 000”. A potem coś jakby „franków”.

Róża czuje lęk. Kto rzucił do kominka to dziwne pudełeczko z niepokojącą zawartością? I kiedy? Kto tu był przed nią i czego szukał w apartamentach cesarza? A jeśli przyjdzie znowu? Teraz? I zastanie ją z pudełeczkiem w ręku?

Drżącymi palcami otwiera woreczek, chowa blaszane puzderko. Nikt jej przecież nie widział. Nie ma tu nikogo. A Józef Sadoul? Jeśli był Józef Sadoul, może być i ktoś inny, ktoś straszny.

Lęk rośnie. Najlepiej uciekać z tych ruin, bo to już tylko ruiny. Sunąć wzdłuż ścian, wydostaje się wreszcie na zalany słońcem dziedziniec.

Nie ma nikogo, boi się niepotrzebnie. Jest tak jasno, że nie może jej spotkać

42

nic złego. Nieszczęścia zdarzają się wyłącznie w ciemności. A to są przecież Tuilerie, jej Tuilerie.

Na próżno stara się uspokoić. Nikt rozsądny nie lęka się nieboszczyka. A Tuilerie umarły, są już tylko trupem, którego zapomniano zamknąć w trumnie.

Pod powieki wciskają się światła — to świece w pająkach — i obrazy. W uszach brzmiały głosy, głosy ludzi, którzy nigdy tu nie powrócą. Nigdy. Tu pozostała już tylko śmierć. Życie jest na zewnątrz, pełne blasku i kolorów wiosny. Czego tu właściwie szukać? Przeszłości?

Róża ucieka teraz od wspomnień. Potykając się biegnie dziedzińcem do bramy. Po co tu przyszła? Miała przecież odwiedzić chorą panią Grabską. Dlaczego zawędrowała aż tutaj?

Majowe barwy szarzeją, przysypane popiołem Tuileriów. Jak smutno! I dlaczego nie ma przy niej Ryszarda? Nie ma nikogo. Anto daleko, a Mela...

Nieznośny ciężar uciska serce. Pocięchę może znaleźć jedynie u Zelii.

Tak, dobra, wierna Zelia nigdy jej nie opuści.

Minęła ochota na przechadzkę. Świat jest obcy i wrogi. Napawa lękiem. Bezpiecznie poczuje się dopiero w domu, we własnym domu.

Zelia od razu wie, że Różę spotkało coś przykrego.

— Gdzie byłaś? — pyta zrzędliwie. — Chyba nie u pani Grabskiej?

— Nie. Byłam w Tuileryach.

— W Tuileryach? — Zelia przygląda się jej podejrzliwie. — A po co?

— Sama nie wiem.

— Nie trzeba tam chodzić — decyduje — to gorsze niż cmentarz. A w ogóle...

Róża wie, że Zelia nie jest z niej zadowolona. Są takie różne sprawy, a szczególnie jedna. Od dawna oczekuje dziecka. „Dom bez dziecka to jak pustynia” — powtarza. Ale cóż na to poradzić? Doktor Rivoire zapewnia, że przyczyną są wyłącznie nerwy. I uśmiecha się wyrozumiale. Nic dziwnego, przeżycia wojenne nie mijają bez śladu. I choć teraz Róża jest szczęśliwa, bardzo szczęśliwa, myśl o Meli czarną chmurą kładzie się na jej niebie.

Nie może zapomnieć rozpaczy brata na wiadomość o katastrofie.

— Pożegnałem ją jak obcą — szlochał. — A przecież to nasza Mela, nasza... — nie mógł się uspokoić. — A ja gniewałem się na nią, tak długo się gniewałem... Boże, gdybym wiedział... — Taki duży chłopiec jak Anto nie wstydził się łez.

Róża przypuszczała wówczas, że właśnie pod wpływem owego nieszczęścia

43

dojrzał w nim zamiar wyjazdu do Anglii. Tam był Lulu, najdroższy przyjaciel, osierocony teraz po śmierci cesarza.

Róża miała nadzieję, że przy księciu chłopiec zapomni nieco o dręczącym go bólu, dlatego nie oponowała zbyt energicznie, gdy wyraził chęć opuszczenia Paryża. Ryszard zresztą był tego samego zdania.

Rozstanie z bratem jednak ciężko przeżyła. Rozstawali się przecież pierwszy raz w życiu.

— Nigdy bym ciebie nie opuścił — powiedział Anto przy pożegnaniu — gdybyś zostawała sama z Zelią. Ale teraz masz Ryszarda, mogę więc być zupełnie spokojny.

To prawda, teraz nie była już sama.

Katastrofa, w której zginęła pani Narzymska z córką, wydarzyła się podczas powstania Komuny, i dopiero w jakiś czas potem doniosły o niej gazety. Ryszard właśnie wrócił do Paryża.

Nie widzieli się od owego październikowego dnia, gdy wraz z Leonem Gambettą wymykał się balonem z oblężonej stolicy. Gambetta miał w Tours utworzyć rząd, organizując jednocześnie na prowincji obronę

śmiertelnie zagrożonej ojczyzny. Misją Ryszarda było uformowanie wojskowych oddziałów z Polaków rozrzuconych w środkowej i południowej Francji. Wiedziała, że misję tę wypełni do końca, wbrew wszelkim niebezpieczeństwom.

Zadanie Gambetty też nie należało do łatwych. Zwoływać ludzi pod broń w kraju, gdzie nie było obowiązkowej służby wojskowej! Prusy górowały więc nad Francją nie tylko doskonałością armat opuszczających fabryki Kruppa.

Gambetta był urodzonym mówcą i mało kto potrafił oprzeć się sile jego wymowy. „Chyba Bóg stworzył go po to, by przemawiał do tłumów” — mówiono. Obok serca umiał poruszyć i sumienie. Znajdował zawsze najbardziej barwne porównanie, słowa odpowiadające najlepiej potrzebie chwili. Rozumieli go nawet najmniej rozcarnięci. Zaciekły republikanin nie zawahał się w czasie największej świetności Drugiego Cesarstwa wykazać, jak szkodliwe były skutki zamachu stanu księcia prezydenta. W sześć miesięcy później Paryż wybrał Gambettę na swojego przedstawiciela do Izby Poselskiej. Wówczas to pożegnał się na zawsze z adwokaturną, miał teraz o wiele szersze audytorium niż sala sądowa.

Jako członek Rządu Obrony Narodowej potrafił zorganizować w Tours armię, znalazł żołnierzy, oficerów, amunicję i broń.

Jego armia, Armia Loary, jak ją nazywano, po zwycięskiej bitwie pod Coulmiers szła z odsieczą na Paryż. Niestety, zdrada — jak sądzono —

44

marszałka Bazaine'a przekreśliła wszelką możliwość ratunku. Armia niemiecka, oblegająca dotąd Metz, ruszyła na zachód. Sto kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy francuskich zamkniętych w Metz dostało się do niemieckiej niewoli, francuskie armaty huknęły przeciw Francji.

Zima była wyjątkowo ciężka, dała się we znaki tym nie wyćwiczonym w trudach wojny, źle ubranym i niedożywionym ochotnikom. W styczniu dowódca Armii Loary, generał Chanzy, został zmuszony wycofać się na zachód. Trzymały się jeszcze niedobitki armii generała Faidherbe, którą Niemcy rozbili pod Saint-Quentin.

Całą nadzieję ratunku widziano teraz w armii generała Bourbaki. Szła ona na wschód z zamiarem odbicia Belfortu i zajęcia Alzacji. Mimo zwycięstwa pod Villersexel, otoczona przez Prusaków, musiała przekroczyć granicę Szwajcarii. Tam ją rozbrojono.

Paryż więc na próżno oczekiwał wyzwolicieli. Rząd Obrony Narodowej

uznał niemożność dalszego prowadzenia wojny.

Ryszard z oddziałem rodaków był wszędzie: do przegranej pod Le Mans w Armii Loary, z generałem Faidherbe, aż do ostatecznej klęski, wreszcie wraz z armią generała Bourbaki przeszedł szwajcarską granicę.

Zgromadzenie Narodowe, obradujące w Bordeaux, złożyło władzę wykonawczą w ręce Adolfa Thiersa, drugiego obok Gambetty wybitnego republikańca.

Pierwszego marca 1871 roku Thiers podpisał z Bismarckiem traktat pokojowy, a gdy straszne warunki owego traktatu odczytywał przed Zgromadzeniem, płakał. Powodem łez nie były pieniądze, owe pięć miliardów, które należało zapłacić, Thiers płakał nad losem Alzacji i Lotaryngii, przechodzących pod pruskie panowanie, płakał, bo mieszkańców tych dzielnic Francji potraktowano jak bydło domowe, które, sprzedane na targu, zmieniało gospodarza. Jakże inaczej postąpiono przed czterdziestu laty z mieszkańcami Nicei i Sabaudii! Zapytani wówczas o zdanie, za własną zgodą zostali obywatelami Francji.

Zaledwie zakończono wojnę z Prusami, oto druga wojna, tragiczniejsza, bo domowa, spadła na Francuzów.

Wielu republikańców podejrzewało Zgromadzenie Narodowe o monarchistyczne skłonności. Lud pragnął zmian społecznych. Klęska rozgorczyła serca, rozpałała umysły. Przyjęte przez rząd ciężkie warunki pokoju oburzyły najgorętszych patriotów. W Paryżu utworzono rząd rewolucyjny nazwany Komuną. Zgromadzenie Narodowe, które tymczasem przeniosło się

45

z Bordeaux do Wersalu, wysłało armię pod dowództwem marszałka Mac-Mahona na podbój stolicy.

Straszne było to drugie oblężenie Paryża! Prusacy nie wycofali jeszcze wszystkich wojsk z Francji, z jakąż więc satysfakcją słuchali bratobójczej kanonady, oglądali dymy i łuny stojące nocą nad Paryżem. Wydawało się, że oto Francja, wykrwawiona i pobita, podniosła omdlałe ramiona, by w napadzie szaleńczej furii samobójczą śmiercią położyć kres narodowej egzystencji.

Nie bez powodu Wiktor Hugo nazwał ów 1871 rok „straszliwym rokiem”. W historii Francji nie było chyba drugiego równie ponurego okresu.

Trzecia Republika, choć narodziła się z klęski i wyrażała dążenia ogrom-

nej większości obywateli, nie stanowiła jednak ostatecznej i zaakceptowanej przez ogół formy rządów.

Nie mylili się ci, którzy Zgromadzenie Narodowe posądzało o monarchistyczne skłonności. Czterystu na siedmiuset jego członków rzeczywiście opowiedziało się za przywróceniem monarchii, nie wiedzano tylko, komu zaofiarować koronę.

Dla legitymistów jedynym kandydatem był hrabia Chambord, wnuk Karola X, ostatniego Burbona na francuskim tronie. Orleanistom marzył się hrabia Paryża, czyli wnuk Ludwika Filipa. Bonapartyści nie pozostali w tyle i również podnieśli głowy. Dla nich prawowity dziedzic korony to syn Napoleona III.

I kto wie, jak krótkotrwała okazałaby się ta Trzecia Republika, gdyby nie upór hrabiego Chambord. Miał rację prezydent Thiers mówiąc: „Nie da się zaprzeczyć, iż rzeczywistym założycielem republiki we Francji jest hrabia Chambord”.

Ten, - którego monarchiści nazywali Henrykiem V, a który przybrał tytuł od zamku Chambord, otrzymanego w urodzinowym darze, był nieprzejdnanym wrogiem trójkolorowego sztandaru. Bo o ten właśnie sztandar, symbol rewolucji, rozbiły się wszelkie pertraktacje między Zgromadzeniem Narodowym a pretendentem.

„Francuzi! — głosił manifest hrabiego Chambord do narodu — Henryk V nie może zaprzeczyć się białego sztandaru Henryka IV! Moja osoba jest tu niczym, wszystkim jest zasada”.

Dla tej więc zasady niedoszły Henryk V „własnoręcznie pogrzebał monarchię, okrywając ją białym całunem” — oto słowa, jakimi legitymiści pożegnali nie spełnione, a bezpodstawne już nadzieje.

46

Podczas tych monarchistycznych perturbacji prezydent Thiers pracował usilnie nad ostatecznym ustanowieniem republiki. Niestety, obalony większością głosów, dwudziestego czwartego maja podaje się do dymisji. Na jego miejsce wybrany zostaje marszałek Mac-Mahon.

Wyjmując z komody rękawiczki, Róża natrafiła na blaszane pudełeczko. Zupełnie o nim zapomniała, ale czyż można myśleć o czymś innym, gdy nie nadchodzi tak niecierpliwie wyczekiwany list od Ryszarda?

— Coś pan Ryszard za długo milczy — zauważyła Zelia przy śniadaniu. Róża nieledwie umiera z niepokoju. Otrzymała od męża dwa liściki, jeden

z Mentony zaraz po przybyciu, drugi z Ventimiglii. „Mam się dziś spotkać z Pawłem Labourdetem” — pisał Ryszard, a oto mija tydzień i nie ma żadnej innej wieści.

— To mi się nie podoba. — Zelia po swojemu trzęsie głową.

— Mój Boże, Zelio, czy przypuszczasz...?

— Nic nie przypuszczam — Zelia widzi przerażenie na twarzy Róży. — Pewnie jest bardzo zajęty, zresztą poczta chodzi, jak chce. Może jutro przyjdzie kilka listów naraz. Tak już przecież bywało.

Róża jednak nie potrafi opanować niepokoju, żeby więc dowiedzieć się czegoś konkretnego, wysyła Miguela Toreno do stryja Meli.

Hiszpan nie zastał go. Dom zamknięto. Młody Narzymski podróżował.

Gdy minęło jeszcze parę dni bez wiadomości, Róża wiedziała, że Ryszarda spotkało coś złego. Miguel Toreno był tego samego zdania.

— Pojadę — oznajmił. — Dłużej nie można zwlekać. Jestem pewien, że don Ricardo potrzebuje pomocy.

Nazajutrz po wyjeździe Hiszpana Róża pokazała Zelii metalowe pudełko.

— Co o tym sądzisz? — spytała opowiedziawszy, gdzie je znalazła. Zelia długo wpatrywała się w poślisk kartkę, obracała papier na wszystkie strony, nawet wachala, ale te oględziny nie doprowadziły do wyjaśnienia tajemnicy.

— Wiesz co — powiedziała wreszcie wkładając kartkę do pudełeczka — może byśmy pojechały w aleję Cesarzowej?

— Po co? — zachnęła się Róża. — Przecież tam nikt nie mieszka.

— Nie wiadomo — Zelia lubiła zagadki. — Co szkodzi zobaczyć?

47

Pojechały po południu wynajętym fiakrem.

Trudno było poznać aleję Cesarzowej. Wojna pozostawiła tu bardzo widoczne ślady. Ulica opustoszała, wydawała się wymarła, białe ściany pałacyku Narzymskich poorwały kule, ogród zarósł chwastem. Na głucho zawarta brama nie chroniła jednak domu przed przygodnym, a niepożądanym lokatorem. Furtka wyrwana z zawiasów, skrzypiąc chwiała się, poruszana wiatrem. Domek dozorecy, od dawna widać opuszczony, padł również ofiarą wandalii.

Masywne drzwi frontowe i zamki zbyt skomplikowane, jak na prymitywne narzędzia, oparły się brutalnej sile przypadkowego włamywacza.

Zniszczenie dokonywało się powoli, każdego dnia i jedynie natychmia-

stowa pomoc mogła jeszcze uratować biały pałacyk przed kompletną ruiną.

Róża nie zdołała wydobyć głosu ze ściśniętej krtani.

Była tu raz z Ryszardem wkrótce po jego powrocie z wojny. Pałacyk, już wówczas nie zamieszkiwany, nie był jednak w stanie takiej dewastacji. Owszem, oblężenie dało mu się we znaki, dziurawiąc białe ściany, ogałając wnętrza z tego, co zdołał unieść pruski żołdak lub rodzimy złodziej, a może po prostu człowiek potrzebujący, który stracił wszystko.

Kuchenne drzwi zastali wtedy otwarte — zamek wyłamano. Boże, z jakim strasznym uczuciem wchodziła na schody, uczepona ramienia Ryszarda, wsłuchana w tę jakąś przerażającą ciszę, jak gdyby otwartego grobowca.

Zajrzeli do pokoików Meli. Poszła prosto do ściany, na której niegdyś wisiał talerz z Napoleonem, ale teraz ściana była pusta.

. — Matko Boska, nie ma talerza! — dotknęła różowej tapety. — Kto go zabrał?

— Złodziej. — Ryszard spoza zmarszczonych brwi omiół wzrokiem gabinecik Meli. — A raczej barbarzyńca — wskazał połamane krzeselko i strzaskaną etażerkę.

— Talerz z Napoleonem — jęczała Róża. — Boże, Boże. Chodź, poszukamy, może go stłuczono i gdzieś tu leży.

Ale talerza ani jego szczątków nigdzie nie znaleźli. Przeszukali cały dom. Na próżno.

Róża była niepokieszona.

Następnego dnia Miguel Toreno deską i gwoździami, jak mógł, zabezpieczył kuchenne drzwi.

Po tragedii koło Czerwonych Skał właścicielem pałacyku został młody pan Narzymiski. Ryszard i Róża nic już tu nie mieli do roboty. Ale nowy właściciel

48

nie kwapił się z przywróceniem dawnego blasku siedzibie brata. Pozostawił ją jak gdyby własnemu losowi, wynajmując dla siebie elegancką antresolę przy ulicy Varenne: „Do czasu, aż się ożenię — ożnajmił Ryszardowi. — Potem zobaczymy. Moja przyszła żona zadecyduje”. Tymczasem nie spieszył się z ożenkiem, a pałacyk zdawał się go nie interesować. — Jaka ruina, jaka ruina — jęczy Róża, gdy wraz z Zelią znalazła się na zarośniętym zielskiem podjeździe.



Zelia rozglądała się na wszystkie strony. Zdawała się nasłuchiwać odgłosów z wnętrza domu. Ale wszędzie panowało iście cmentarne milczenie.

— Czego tu szukać, Zelio? — wstrząsnęła się Róża. — Chodźmy stąd prędzej. To gorsze niż Tuilerie.

O tak. Ta ruina była o wiele gorsza.

Tuilerie, wypalone i jak gdyby oczyszczone ogniem, otwarte na niebieski firmament, przypominały kościec olbrzyma rzuconego na gigantyczne mrowisko. Bielał czystością, obrany doszczętnie z mięsa, bez jednej plamki. Pałacyk Narzymskich przerażał ciemnym wnętrzem, otworem wybitej szyby patrząc w bezgwiezdną noc. Co kryło się za ścianami, w których kule wyżłobiły nieczytelne arabeski?

Deska zamykająca kuchenne drzwi trzyma się już tylko na jednym gwoździu i Zelia bez trudu wchodzi do sieni.

— Po co wchodzić? — Róża mówi szeptem. — Doprawdy, Zelio...

— Nie wiem — przerywa Zelia. — Coś mnie ciągnie...

— Boję się. A nuż ktoś tam jest?

— Poczekaj na mnie na dworze — Zelia kładzie palec na ustach. — Ja muszę zobaczyć.

— Nie, nie. Nie rozłączajmy się.

— Jak chcesz.

Otoczyła je cisza i ciemność. Róża wpija palce w ramię Zelii. Na kuchennym stole stoją resztki jedzenia i opróżniona do połowy butelka czerwonego wina.

— Ktoś tu jest...

— Ktoś tu mieszka — poprawia Zelia.

— Błagam cię, wracajmy.

— Ani myślę. — Zelia ścisną rękę Róży. — Nie bój się.

Pokój kredensowy najbardziej chyba ucierpiał od nieproszonych a bezceremonialnych mieszkańców.

Podłogę zaścielały potłuczone naczynia, wśród skorup starej porcelany

4 — Taler? z Napoleonem

49

walały się brudne i pomięte adamaszkowe obrusy, używane widać do innych celów, niż to im przeznaczono. Wyrzucone na podłogę szuflady, opróżnione z cennej zawartości, świadczyły jak najgorzej o obecnych lokatorach pałacyku.

Zelia z determinacją pchnęła drzwi do jadalni. W półmroku zamajaczył

owal stołu otoczony krzesłami. Kilka z nich odsunięto, jak gdyby biesiadnicy niedawno wstali od obiadu. Talerze i szklanki wskazywały, że było ich dwóch.

Zelia pochyliła się nad stołem, dotknęła brudnego talerza, po czym zdecydowanym krokiem posunęła się w stronę najbliższych drzwi.

— Tam jest salon — wionęła Róża.

Znalazły się w zupełnych ciemnościach. Ciężkie kotary zasłaniały okna. W dawno nie wietrzonym salonie unosił się ostry zapach tytoniu, od razu też wyczuły obecność człowieka.

— Czy to pan Fabian? — głos był gruby i burkliwy, dochodził spod przeciwległej ściany. — Zjadłbym coś. A pieniądze pan przyniósł? Dość mam tego siedzenia po ciemku jak szczur.

Zelia ścisnęła rękę Róży aż do bólu i bezszelestnie pociągnęła ją za sobą.

— Kto tam? — zapytał nieznajomy.

Słyszały, jak klnąc gramolił się z legowiska. W tej samej chwili dobiegły ich kroki. Ktoś zmierzał dziedzińcem prosto do kuchennych drzwi.

Zdążyły jedynie dobiec do kredensowego pokoju i wśliznąć się do jakiegoś schowka. Na szczęście była tam zasuwka. Dopiero wówczas poczuły się jako tako bezpieczne.

Tymczasem mieszkaniac salonu doszedł do kuchni i tu spotkał się z nowo przybyłym.

— Co pan mnie straszy? — zauważył burkliwie.

— Kto tu był? — „pan Fabian” zignorował pytanie.

— A był ktoś? — zaniepokoił się człowiek. — Myślałem, że to pan.

— Deska na drzwiach odsunięta. Kto tu był? Mów, bo inaczej...

— Myślałem, że to pan — powtórzył gruby głos.

— Przecież ci mówię, że nie ja! — krzyknął „pan Fabian”. — Gadaj, kto tu był?

— Nie wiem.

— Ej, coś kręcisz. Ale uprzedzam, że mną tak łatwo nie pójdzie, jak z tym...

— Dobrze, dobrze — burknął człowiek. — Po co mleć ozorem bez potrzeby. Pieniądze są?

50

— Na pieniądze trzeba zapracować — wygłosił sentencjonalnie „pan Fabian”.

— A co, może nie dotrzymałem umowy? — zachrypiły śmiech przejął

dreszczem zamknięte w schowku kobiety. — Pan też niech dotrzyma, co obiecał. Mnie chodzi tylko o pieniądze. Więc jak? Ma je pan?

— Jeszcze raz pytam, kto tu był?

— Do diabła, nie wiem. Spałem! — ryknął wyprowadzony widać z cierpliwości człowiek. — Jeśli kto i był, to co?

— Chodź przeszukać dom — zimny głos „pana Fabiana” nie wróżył intruzom nic dobrego.

Kroki oddaliły się, skrzypnęły otwierane i zamykane drzwi. Ciężkie stąpania głucho zadudniły po posadzkach, po czym mężczyźni zaczęli wchodzić na schody.

— Teraz — szepnęła Zelia. — Uciekajmy!

Nie zachowując koniecznych ostrożności, przebiegły kuchnię i wypadły na dziedziniec. Okrążyły dom i wydostały się na ulicę. Nie oglądając się poszły prędko przed siebie. O dorożce nie było co marzyć.

— Już wszystko jasne — wysapała Zelia. — Ten łotr Fabian ukrywa tu Pawła Labourdeta. Gdybym była sama, nie uciekałabym, wydostałabym z niego prawdę.

— Och, Zelio, co mówisz? Przecież to bandyci. Są gotowi na wszystko.

— Ja też — warknęła Zelia.

Gdy wreszcie na Polach Elizejskich natknęły się na wolnego fiakra, Zelia bez tchu prawie opadła na poduszki.

— Na bulwar Montparnasse — krzyknęła dorożkarzowi — co koń wyskoczy! — a do Róży dodała ciszej: — Do rotmistrza Brackiego.

III

— Gdzie ja jestem?

— No, nareszcie pan przemówił!

— Gdzie ja jestem?

— Do licha, nie czuje pan kołysania? Nie znam lepszej galeoty od mojej dwumasztowej „Kastylii”.

Okrągłe okienko kajuty wypełnia błękit śródziemnomorskiego nieba. Marynarze widać myją pokład, słysząc wyraźnie tupot ich bosych stóp i odgłos szorowania. Gdzieś daleko wrzeszczą mewy.

Ryszard podniósł rękę do czoła. Całą głowę miał obwiązaną.

— Zwątpilem już o pańskim życiu — szczyplę śniady mężczyzna pochylił się nad leżącym. — Ale złego licha tak łatwo nie bierze, co? — zaśmiał się pokazując wspaniałe zęby. — Wystarczy spojrzeć na tę szramę na skroni...

- Co ze mną było?
- Nie wiem. Wyłowilem pana z morza. Niczym syrena wisiał pan na skałach sterczących z wody. Akurat skierowałem lunetę w tamtą stronę. Leb panu rozbito.
- Dałem się zaskoczyć jak dureń — Ryszard ponownie dotknął głowy.
- Dokąd pan płynie?
- Do Santanderu.
- Na Boga, to niemożliwe.
- Co pan powiedział?
- To niemożliwe.
- Oświadczam, że jestem tu kapitanem.
- Muszę natychmiast wracać.
- Wziąłem kurs na południowy zachód i nie zmienię go dla pańskiego widzimisię.

Człowieku, co mam robić?

52

- Cieszyć się, że pan żyje.
- Muszę wracać, muszę być jak najszybciej w Mentonie!
- Ee, mój panie, opuściliśmy już francuskie wody i aż do Gibraltaru nie zatrzymamy się w żadnym hiszpańskim porcie. Ponadto, pozwolę sobie zauważyć, że uratowałem panu życie, a dotąd nie usłyszałem słowa podziękki.
- Przepraszam, sefior capitan — Ryszard uniósł się na łokciu. — Kręci mi się co prawda w głowie, ale chyba mogę wstać. Pragnę panu podziękować w sposób bardziej elegancki — przeszedł na hiszpański.
- Nie trzeba — burknął kapitan, a ułagodzony hiszpańszczyzną dodał
- pańska mowa zdradza Kastylizyka czystej krwi. Czy mam honor z rodakiem?
- Prawie, choć moją Ojczyzną jest Polska. Nazywam się Ryszard Żeran.
- A zatem, don Ricardo, wypada i mnie przedstawić się. Ramón Ortega z Santanderu. Jest pan gościem na pokładzie „Kastylii”, nie uchodzi więc, abym pytał...
- Wszystko panu opowiem, kapitanie. Chciano mnie zabić i tylko przypadek... Panu zawdzięczam życie. Gdzie mnie pan wysadzi?
- Powtarzam, przed Gibraltarem nie zawijam do żadnego portu.
- Szmugluje pan broń dla don Carlosa. Zgadłem, prawda? Biedna

Hiszpania znowu w ogniu domowej wojny.

— Dobrze, że pan nie jest Francuzem, choć może lepiej było bić się z obcymi niż ze swoimi. Niestety, wojna nie wybiera przeciwników. My już od trzydziestu lat bijemy się o sprawę don Carlosa, a raczej jego potomków.

— Czy to warto?

— Syn, gdy dorasta, podejmuje dzieło ojca, jego walkę, sprawę, której służył. My już tacy.

— Dla wielkich w tej wojnie stawką jest tron i korona, ale dla takich jak pan...

— Dla takich jak ja, don Ricardo, wszystkim jest honor. — Kapitan wyprostował się i podniósł głowę. — My umiemy dotrzymywać przysięgi.

— Nie wątpię, znam Hiszpanów. Czy jednak ta wojna była potrzebna? A to już trzecia w przeciągu trzydziestu lat.

— Nie wiem, czy potrzebna. — Kapitan wzruszył ramionami. — Nie zastanawiam się nad tym. Gdy przed trzydziestu laty umarł Ferdynand VII, niesławnej pamięci tyran i despota, korona z prawa przechodziła na jego brata, don Carlosa.

— Zapomina pan, że Ferdynand zostawił córkę.

53

— Czyż może panować kilkumiesięczne niemowlę? Ferdynand był czterokrotnie żonaty i dopiero za czwartym razem udało mu się spłodzić potomka. Żeby zapewnić córce tron, obalił prawo salickie wprowadzone przez Burbonów. Ale tak nie można. Hiszpania chciała don Carlosa na króla.

— O, nie wszyscy tak myśleli. W ciągu swojej historii Hiszpania miała wspaniałe władczynie. Choćby wielka królowa Izabela kastylijska. Ona jedna poznała się na Kolumbie. Może ta Izabela II poszłaby w ślady swojej poprzedniczki?

— Ee, don Ricardo, od początku świata kobieta poddana jest mężczyźnie. Tron należał do don Carlosa, a teraz do jego następcy.

— Ale wojna domowa... Czy nie lepiej było zrobić wszystko, byle jej uniknąć?

— Nikt nie uniknie tego, co mu sądzone, don Ricardo. — Kapitan spojrzął w okienko kajuty i skoczył do drzwi. — Hej, Gonzalo, rozwinąć wszystkie żagle!

Po południu, leżąc w hamaku na pokładzie „Kastylii”, Ryszard nieledwie

dygotał z niecierpliwości. Co robić? Jak dostać się do Francji i do Paryża? Przecież tam Róża... Bez wieści od niego, niespokojna... Co myśli? Co przypuszcza? Może sądzi, że już nie ma męża, że go zabito? A mało brakowało...

Bezkres wód i cisza potęgują uczucie bezsilności. Połyskująca w słońcu powierzchnia morza odbija szafir nieba, wiatr łopocze w płótnach żagli, a statek unosi go coraz dalej od brzegów Francji.

Jak to się właściwie stało? Jak dopuścił do takiej sytuacji? Przecież był ostrożny. W kieszeni miał rewolwer, a Paweł Labourdet nie wzbudził w nim zaufania. Od razu wiedział, że to człowiek zdolny do najgorszej podłości. Wystarczyło spojrzeć na jego ponurą gębę i uciekające w bok źrenice.

Głowa pęka mu z bólu, gdy usiłuje przypomnieć sobie wydarzenia sprzed paru dni. Sprzed paru dni? Czy jest tego pewien? Nie wie nawet, jak długo był nieprzytomny. Co właściwie pamięta?

W Mentonie zatrzymał się w „Hotelu Angielskim” i od razu wysłał do domu liścik z wiadomością o przybyciu na miejsce. Potem, zostawiwszy torbę podróżną, wyruszył fiakrem do wioski Święta Agnieszka, położonej dziesięć kilometrów od miasta.

W oberży „Pod Żółtą Kotwicą” dwóch rybaków siedziało nad butelką bladego wina. Poznali Ryszarda i on ich poznał, pamiętał nawet, jak się nazywali.

54

— Znowu pan przyjechał — zauważył bez zdziwienia starszy, zwany ojcem Chalais.

— Uparty pan — mruknął młodszy.

Dorożkarz zawiesił koniowi na szyi worek z obrokiem i siadł po drugiej stronie stołu, przygotowany czekać na pasażera choćby i cały dzień. Ryszard zamówił dla niego wino.

Oberżysta narzekał na zastój w interesach, towarzysz ojca Chalais pomrukiwał potakująco, arii na chwilę nie spuszczał Ryszarda z oczu.

Wreszcie stary rybak dźwignął się z ławy.

— Idę do domu — oznajmił — sieci pewnie już wyschły.

Ryszard widział, jak ruszył-wzdłuż wysokiej skalnej ściany, do której tu-liły się rybackie chaty stojące frontem do morza.

Brzeg był tuż. Fale lizwały piasek, dotykając nieledwie stóp idącego. Łąd urywał się hen w górze skalnym urwiskiem. W dole leżał zupełnie inny

świat, odległy, zdawałoby się, o tysiące mil od normalnych siedzib ludzkich, gwarnych miast czy pól uprawnych. Ten wąski świat w dole zamykała ta skalna ściana i morze. Obcy świat i, jak Ryszard stwierdził, wrogi i niegościnnie.

Chata ojca Chalais podobna była do wypukłej narośli na kamiennym murze. Na wprost niej na płytkiej wodzie kołysała się łódź, przywiązana do palika wbitego w piasek.

Stary rybak rozwijał właśnie sieci.

— Po co pan przyjechał? — Rzucił za siebie niespokojne spojrzenie. — Nie ma tu pan czego szukać.

— Otrzymałem list.

— List? Od kogo?

— Nie wiem. Nie ma podpisu. Może nareszcie uda mi się zastać w domu Pawła Labourdeta.

— Na pana miejscu wracałbym do Mentony. — Ojciec Chalais odwrócił się do gościa plecami. — Niczego już tu pan nie znajdzie.

— Nie wiadomo. Ktoś przecież wysłał list.

— Niech pan posłucha starego. Dobrze panu radzę. — Po tych słowach ojciec Chalais przestał interesować się gościem, a Ryszard nie przedłużał rozmowy, nie chcąc narażać rybaka na kłopoty.

Znał chatę Pawła Labourdeta. Niestety, była jak zwykle zamknięta, robiła wrażenie nie zamieszkanego. Zastukał do drzwi.

55

— Gospodarza nie ma — zza domu wyłoniła się kobieta z naręczem mokrej bielizny. — A, to pan. — Wyraźnie okazała niezadowolenie.

— Dzień dobry, pani Montand, Pawła Labourdeta, jak widzę, nie ma w domu.

— Jest na morzu, ale wróci wieczorem. Właśnie-uprałam mu bieliznę — wskazała tłumok. — Dobrze mi zapłaci — dodała prędko. — Paweł Labourdet ma pieniądze i stać go na obsługę.

— W takim razie zaczekam.

— Nie, nie — zamachała wolną ręką. — On nie lubi, jak kto kręci się koło jego chaty.

— Zależy mi bardzo...

— Powiem mu — przerwała gwałtownie. — Kazał przygotować wieczór. Jeżeli zechce pana zobaczyć...

— Nie wiem, czy zechce, ale ja mam do niego interes.

- Ciągłe pan pyta o to... o tę dziewczynkę?
- Ciągłe.
- I po co? Przecież my nic nie wiemy.
- Pani może nie wie, ale inni...
- Nikt nie wie, już panu mówili.
- Nie rozmawiałem jeszcze z Pawłem Labourdetem.
- On nie lubi obcych.
- Zaczekam w oberży.
- Jeżeli wróci późno, to zje i pójdzie spać. Nie zechce z nikim gadać. Najlepiej powiem mu, że pan przyjechał i że przyjdzie pan rano. W oberży można przenocować.
- Doskonale. Gdyby jednak miał zamiar wyruszyć o świcie, niech mnie pani zawiadomi.
- Dobrze — zgodziła się niechętnie.

Zawrócił do oberży. Napotkani po drodze rybacy pozdrawiali go bez uprzedniej wylewności.

Dorożkarz drzemał nad pustą butelką, w salce nie było nikogo.

Ryszard skreślił parę słów do Róży, obudził woźnicę, oddał mu list i wyprawiał do Mentony przykazując, by nazajutrz stawił się po niego przed południem.

Do wieczora pozostało sporo czasu. Zamierzał przeprowadzić dyskretny wywiad, pragnął koniecznie wykryć autora listu. Zarzucił jednak ten zamiar

56

wobec dziwnie nieprzychylniej postawy mieszkańców wioski. Miał zresztą nadzieję, że anonimowy informator sam go poszuka.

Odbył długi spacer brzegiem morza, a wieczorem wspiął się przypominającymi drabinę schodami na pięterko oberży, gdzie miał spędzić noc.

Zastanowiło go, że nawet oberżysta, dla którego przecież gość był źródłem dochodu, ofiarowując mu nocleg, wydawał się niezadowolony.

W ubraniu wyciągnął się na łóżku, położywszy rewolwer w zasięgu ręki. Noc minęła spokojnie.

Gdy rankiem pchnął okiennice, oślepiło go słońce i blask bijący z morza. Woda skrzyła się, jak gdyby pod powierzchnią płonęło gigantyczne ognisko. Było tak pięknie wśród tej jasności i błękitu, że musiały pierzchnąć wszelkie ponure myśli, obawy i niepokoje. Po prostu nie pasowały do pejzażu, jaki miał przed oczami.



Zbiegł po drabinie, po czym, zamówiwszy śniadanie u zaspanego oberżysty, ruszył do chaty Pawła Labourdeta.

Rybak, uprzedzony, oczekiwał go w izbie służącej za kuchnię i sypialnię. Sprzęty były tu stare i zniszczone i nic w ubogim wnętrzu nie wskazywało na poprawę sytuacji majątkowej gospodarza.

— Czego pan ode mnie chce? — usłyszał Ryszard zamiast odpowiedzi na powitanie.

— Niczego innego oprócz informacji.

— Informacji? Jakich informacji?

— Wszystkich" już wypytywałem. Chodzi mi o te osoby, które zginęły w katastrofie koło Czerwonych Skał.

— A co ja mam z tym wspólnego? — Paweł Labourdet wzruszył kwadratowymi ramionami.

— Nie wiem i dlatego pytam.

— Wszyscy zginęli — burknął rybak odwracając twarz. — Tyle mi wiadomo co i innym.

— Słyszałem, że uratowano jakąś dziewczynkę.

— Wszyscy zginęli — powtórzył nie patrząc na Ryszarda. — Dziewczynka też. Żandarmi już pytali i policja pytała. Przyjeżdżali aż z Paryża. A co panu do tego?

— To moje krewne.

— Widział pan Czerwone Skały?

— Widziałem.

57

— No to pan wie, że jak powóz runął z takiej wysokości, pozostały z niego drzazgi. Nikogo nie można było uratować. Tam morze bardzo głębokie.

— Na tych skałach nietrudno spowodować wypadek.

— Co panu przychodzi do głowy?

— Mnie nic, ale co przyszło do głowy panu Fabianowi?

— Skąd mogę wiedzieć? Nie znam żadnego pana Fabiana.

— Ejże, trudno w to uwierzyć. Stało się to co prawda dość dawno temu. Niemniej o takiej katastrofie długo się pamięta. Gdzie wówczas byłeś?

— Gdzie ja byłem? — Paweł Labourdet pierwszy raz spojrzął na Ryszarda, a oczy jego błysnęły spod ciężkich powiek. — Co to pana obchodzi?

— Bardzo mnie obchodzi. Powiedziałem, że to moje krewniaczki. Mów, ile ci dano?

— Nic nie wiem! — wrzasnął rybak zaciskając ręce w pięści. — Nie było mnie tu!

— Pamiętaj, za to grozi gilotyna.

— Czego się pan mnie czepia? Byłem na morzu, jak zdarzył się wypadek. Cała wieś zaświadczy.

— O czym rozmawiałeś z woźnicą w przeddzień katastrofy?

— Tego już za wiele! — rybak runął na Ryszarda z taką siłą, że odrzucił gościa pod przeciwległą ścianę. — Zapomnij o tym — wychrypiał. — Inaczej pogruhoczę ci kości.

Ryszard podniósł się i błyskawicznie sięgnął po rewolwer.

— Mów wszystko — rozkazał — muszę wiedzieć, jak było. I o tej dziewczynce...

Paweł Labourdet pochylił się do przodu. Patrzył prosto w wycelowaną w niego broń.

— Gadaj — ponaglił Ryszard, ale nie zdążył nic więcej dodać, rybak, choć ciężki i zwalisty, ze zdumiewającą lekkością skoczył naprzód, głową podbił rękę z rewolwerem, a pięścią dzielił przeciwnika między oczy.

Dla Ryszarda świat przestał istnieć. Gdyby jednak nie stracił przytomności, zobaczyłby, jak Paweł Labourdet chwycił masywny pogrzebacz i kilkakrotnie uderzył leżącego w głowę.

— Ma dość — mruknął odrzucając skrwawione żelazo. — Sam tego chciał — dodał głośno, jak gdyby na usprawiedliwienie.

58

— I co powiedział dorożkarz? — Róża splotła ręce, żeby powstrzymać ich drżenie. — Przyjechał nazajutrz po Ryszarda?

— Przyjechał — Miguel Toreno energicznie pokiwał głową. — Czekał w oberży do wieczora, rozpytywał ludzi. Nikt nic nie wiedział. Wrócił do Mentony, zapytał w hotelu, ale i tam nie potrafili nic powiedzieć. Wówczas poszedł do komisariatu. To porządny człowiek. Mówił mi, że jest przekonany, iż mieszkańcy wioski kogoś kryją. Ze strachu czy z innego powodu, tego nie wie. Oberżysta ma twarz obwiesia. Dwa dni tam węszyłem, nikt don Ricarda nie widział. Tylko niejaka wdowa Montand... Ale ta boi się mówić. Rozmawiała z nim poprzedniego dnia i widziała, jak don Ricardo wchodził do chaty Pawła Labourdeta. Tam urywa się ślad.

— Co robić? Boże, co robić?

— Nie tracić nadziei, proszę pani — Miguel Toreno odchrząknął z zakłopotaniem. — Jeszcze nie wszystko stracone. Był przecież ten list...  
— I co z tego?  
— Zacząłem pytać. Chodziłem od chaty do chaty i wreszcie trafiłem.  
— Na autora anonimu?  
— Tak, proszę pani, na autora anonimu.  
— Mów, na litość boską — ponaglała Hiszpana Zelia.  
— To młody chłopiec, właściwie wyrostek. Dumny, że umie pisać i czytać. Syn niejakiego Jakuba Tularda. Gdy do nich zaszedłem, stary Tulard popatrzył spode łba, mruknął: „Nic nie wiem, nikogo nie widziałem”. Reszta rodziny ust nie otworzyła. Bali się ojca. Wieczorem poszedłem nad morze, kawałek za wsią. Układałem plany, jak dalej prowadzić śledztwo, gdy zza skał wynurzył się właśnie ów chłopiec, Piotr Tulard. Było ciemno, nie od razu go poznałem. Okazało się, że szedł za mną. To on napisał list. Bał się bardzo, ale uważał, że należy zawiadomić don Ricarda. Jeździł wówczas z ojcem do Mentony, wozili ryby na targ. Potem ojciec zostawił go w jakiejś garkuchni, a sam poszedł załatwiać interesy. I ówże Piotr Tulard widział, jak Paweł Labourdet spotkał się z jakimś mężczyzną, którego nazywał „panem Fabianem”. Gdy później, po katastrofie, wspomniał o tym w domu, dostał tęgie lanie i rozkaz, żeby „trzymał gębę na kłódkę”.  
— To on, ten stryj — warknęła Zelia — on obmyślił zbrodnię i ten jego zaprzędany piekłu lokaj. Obiecał, że odprawi owego Fabiana, tymczasem trzyma go dalej do specjalnych widać poruczeń. Cóż to za łotr!  
— I co dalej — niecierpliwiła się Róża. — Mów! Co jeszcze ten chłopiec powiedział?

59

— Powiedział o dziewczynce wyłowionej z morza.  
— Mela! — krzyknęła Zelia. — Rękę dam uciąć, że to Mela!  
— Zabrała ją jakaś angielska rodzina, ale Piotr Tulard słyszał, jak stary ojciec Laurent opowiadał, że to wcale nie było angielskie dziecko. Dziewczynka bardzo się czegoś bała i nie chciała powiedzieć, jak się nazywa. Pytała tylko, gdzie mama. Tak opowiadała pokojówka w tym hotelu, w którym zatrzymali się Anglicy. Ojciec Laurent przywozi tam ryby i akurat był w kuchni, gdy pokojówka to mówiła. Chciałem popytać staro, ale nie mieszka już we wsi Święta Agnieszka, przeniósł się do zamężnej córki, bliżej Ventimiglii, już po włoskiej stronie.

— Mela żyje — powtarzała Zelia ocierając oczy. — Zawsze to czułam. Teraz wiem na pewno. Trzeba tylko jak najprędzej rozpocząć poszukiwania.

— Poczekaj, Zelio, najpierw musimy odnaleźć Ryszarda.

— Piotr Tulard to sprytny chłopiec — Miguel Toreno spojrział na Różę.

— Ma głowę nie od parady i wszystkim się interesuje. Powiedział mi jeszcze, że do wieczora don Ricardo nie pokazał się we wsi, a w nocy Paweł Labourdet wynosił z chaty do łodzi coś wielkiego i ciężkiego i nie czekając świtu wypłynął w morze. Chłopiec ukrył się wśród łodzi leżących na piasku, a gdy rybak wrócił bez ciężaru i poszedł do chaty, wskoczył do pierwszej z brzegu łódki.

Morze było ciche, gwiazdy siały słaby blask, migocąc w załamaniach fal. I nagle koło skały sterczącej z wody zobaczył człowieka. Był to don Ricardo zaczepiony koszulą o kamienny występ, a raczej ostry pazur zdolny przedziurawić każdą barkę.

Bezwładne ciało było zbyt ciężkie, by chłopiec mógł je wciągnąć do łodzi, ponadto bał się ojca, nie mógł zjawić się w domu z topielcem. Wspomagany łagodnym kołysaniem fal, obmywających skalną przeszkodę, podciągnął don Ricarda wyżej, na szczyt, pewny, że wkrótce dostrzeże go jakiś statek — w tej stronie morza ruch był znaczny.

— A co na to policja? — Róża trzęsła się z oburzenia. — Przecież zameldowałeś o zaginięciu mojego męża. Co więc działo się?

— Sam komisarz udał się do Świętej Agnieszki, wypytywał ludzi, ale wszyscy nabrali wody w usta. Ja mu powtórzyłem, co mówił chłopiec, zakląłem jednak na wszystkie świętości, by go nie wzywał na świadka, tak chłopcu obiecałem. Inaczej musiałby uciekać z domu, ojciec by go chyba zabił.

— Ot i mamy policję! — Zelia plasnęła w ręce. — Co zrobili? Nic. To samo, co w Paryżu. Rotmistrz Bracki postawił na nogi cały komisariat, inspektorzy z gromadą szpiclów najechali pałacyk Narzymskich. I co z tego?

60

Także nic. Gniazdo było jeszcze ciepłe, ale tych krogulców ani śladu. Szukaj wiatru w polu. Paryż wielki.

— Wacław Narzymski — dodała Róża z goryczą — zaręczył po powrocie, że ten jego Fabian towarzyszył mu w podróży i nie rozstawał się ze swoim panem. A my przecież słyszałyśmy wyraźnie...

— Uwierzyli temu fircykowi, a nie nam — dorzuciła Zelia gniewnie. — Powiedzieli, że, owszem, znaleźli w domu ślady po jakichś przypuszczalnie włóczęgach, że nocowali tam pewnie bezdomni żebracy, ale to niczego nie dowodzi.

— Gdy wróci don Ricardo — zauważył z przekonaniem Hiszpan — zrobi porządek z tą ciemną aferą i wyjaśni co trzeba.

— Jeżeli wróci — zaczęła Róża i nie mogła dokończyć.

— Uspokój się — Zelia objęła płaczącą. — Pan Ryszard wróci. Wierzę w to równie mocno, jak wierzę w odnalezienie Meli.

— Słuchajcie, chłopcy! — powiewając gęsto zapisanymi arkusikami Anto wpadł do sali, którą generał Simmons, komendant Akademii w Wolowich, oddał księciu do dyspozycji.

Ludwik Conneau podniósł głowę znad rozłożonej na stole mapy, a książę wrzucił do pudełka kolorowe chorągiewki<sup>^</sup> zwracając twarz w stronę polskiego przyjaciela.

— Co mówisz? — zawołał podniecony. — Więc Ryszard żyje? Wrócił?

— Żyje! — krzyczał Anto wymachując listem. — Jest już w Paryżu!

Właśnie przyszła poczta, Róża wszystko opisała.

— Czytaj, czytaj — niecierpliwł się młody Conneau, równie jak książę wtajemniczony w losy Meli, poszukiwania Ryszarda i jego zaginięcie.

— To ten rybak, Paweł Labourdet — Anto wskazał list. — Ryszard przyparł go do muru, nie zdążył jednak użyć broni, gdy tamten zaatakował. Ryszard nie spodziewał się napaści, dlatego uległ. Paweł Labourdet czymś ciężkim rozbił mu głowę, a nocą wywiózł trupa, jak sądził, łodzią w morze i wrzucił do wody. Na szczęście Ryszard żył, fale natychmiast zniosły nieprzytomnego na sterczące nad powierzchnią skały. Uratował go kapitan dwumasztowca „Kastylija”, płynącego do Santanderu. Przemyczał broń dla karlistów. Ryszard korzystał z gościny na galeocie aż do Gibraltaru; dzięki

61

przyjaciołom, których ma jeszcze w Hiszpanii, dostał pieniądze, był przecież bez grosza i bez ubrania, no i mógł wrócić do domu.

— A co z Pawłem Labourdetem? — zainteresował się Ludwik Conneau.

— Wiadomo tylko, że uciekł do Paryża, Fabian ukrywał go w pałacyku rodziców Meli.

— Róża i Zelia słyszały przecież ich rozmowę — przerwał książę. — Fabiana policja z pewnością ma już w ręku.

— Wcale nie — zaprzeczył Anto. — Stryj Meli zaświadczył, że Fabian był z nim razem w podróży i nie oddalił się ani na jeden dzień. Policja mu uwierzyła.

— To niemożliwe! — uniósł się książę. — Przecież słyszały, jak ten przypuszczalny Paweł Labourdet nazywał współnika „panem Fabianem”. To dowód nie do obalenia, ja... — Zgasł nagle blask oczu, rumieniec podniecenia ustąpił miejsca zwykłej bladości. Jakim prawem Jego Cesarska Wysokość książę Ludwik Napoleon, uczeń angielskiej Akademii w Wołwich, chce się wtrącać w funkcjonowanie francuskiej policji? Kto go upoważnił? Jego szumny tytuł nie zrobi żadnego wrażenia na republikańskiej Francji. Nikt już w Paryżu nie pamięta „małego księcia”, nie poznałby jego smutnej twarzy, która tak niegdyś wzruszała mieszkańców stolicy. Zapomniano o dziecinnej figurce opiętej grenadierską kurtką z czerwonymi wyłogami. Paryżanie wyrzucili za burtę pamięci owego chłopca o nad wiek poważnym spojrzeniu, który w drodze na Korsykę kłaniał się z wdziękiem, dziękując za owacje\* A miał przecież kiedyś panować, kontynuować ciąg Napoleonów. Sedanowa klęska zmiotła z powierzchni ziemi najmniejszy nawet ślad po owym dziecku, choć zwano je wówczas „dzieckiem Francji”. Spalono Tuilerie, żeby nie pozostało nic oprócz zgłiszcz. Nienawidzono go chyba, był przecież, równie jak ojciec, symbolem porażki. A on żył wspomnieniem. Bo czegoż mógł oczekiwać od przyszłości? Służby w obcej armii, sztywnych „herbatek” w domach angielskiej arystokracji czy nudnych wieczorów w Camden Place, gdzie nierzadko perfidna, choć niby to życzliwa, ręka motała nić podstępnej intrygi? Nuda — oto co go czekało, szara, straszna, dławiąca, jak brak powietrza, nuda.

Anto wymienił spojrzenie z Ludwikiem Conneau. Obaj dobrze znali te nagłe zmiany nastroju. Zachodziły niby to bez widocznej przyczyny, lecz ich źródłem była tęsknota za Francją. Im wolno było wrócić, przebiec znowu aleje tuileryjskich ogrodów, zatrzymać się pod Łukiem Triumfalnym, by odczytać wyryte tu nazwy bitew, z których każda znaczyła zwycięstwo. Oni czu-

62

li się tam u siebie, nawet Anto, który przecież nie był Francuzem. Podczas gdy on...

Dopiero nazajutrz książę powrócił do rozmowy z dnia poprzedniego, wypytując o szczegóły Ryszardowej przygody.

Były to ich ostatnie dni w akademii przed wakacjami. Lipiec, suchy i upalny, zapowiadał doskonałą pogodę na resztę lata. Chłopcy szykowali się do wyjazdu. Anto, stęskniony za siostrą, wracał do domu. Ludwik Conneau, zaproszony przez krewnych, jechał na południe Francji. Książę z matką wybierali się do Szwajcarii, do zamku Arenenberg, gdzie po opuszczeniu Paryża osiadła z synami królowa Hortensja. Miała to być jak gdyby pobożna pielgrzymka do miejsca, w którym Napoleon III spędził dzieciństwo i młodość.

— O czym myślisz, Lu? — zapytał w pewnej chwili księcia Anto widząc, że przyjaciel zapatrzył się w ciemniejące za oknami niebo.

— Wiesz — powiedział Lu cicho — dałbym nie wiem co, żeby choć raz zobaczyć, jak z ulicy du Bac wynurza się omnibus zdążający z Grenelle do Porte Saint-Martin. Tak często widywałem go z okien pawilonu Floiry...

— Więc jak będzie z Melą? — była to pierwsza rzecz, o którą zapytał Anto podczas pierwszej kolacji w domu.

— Czekałem na twój przyjazd — uśmiechnął się Ryszard. — Zaraz jutro wracam do Mentony.

— Obiecałeś, że zabierzesz ze sobą Miguela — przypomniała Róża. — Inaczej ciebie nie puszcze.

— Zabiorę — zgodził się Ryszard i spojrzał na żonę, a w jego oczach było to wszystko, co stanowiło jej szczęście. — Pojedziemy razem.

— Chciałbym i ja... — zaczął Anto, ale Róża nie dała mu dokończyć.

— Ryszard pojedzie z Miguelem, a ty zostaniesz z nami.

— Właśnie na to liczyłem — przytaknął Ryszard. — Dcm będzie pod twoją opieką.

— Ledwie przyjechałeś, a już chcesz uciekać — dodała Róża z wyrzutem.

— Wybacz, Różycko, wiesz przecież, jak bardzo się cieszę... ale tam Mela... Ona gdzieś jest...

— Nie bój się. Odnajdziemy ją — głos Ryszarda napawał otuchą. — Dowiem się nazwiska tej angielskiej rodziny. W hotelu, w którym mieszkali,

64  
musieli zostawić adres. Wkrótce będziemy wiedzieli, w którą stronę skierować poszukiwania.

— Boże! — zawołała Róża składając ręce. — Gdy odnajdziemy Melę, nigdy nie puszcze jej na krok od siebie! Będzie zawsze z nami. Nasze

najdroższe dziecko!

— Oby nastąpiło to jak najprędzej — dodał Ryszard.

— Słuchaj, Ryszardzie — Anto zawahał się. — Chciałbym cię prosić o parę wyjaśnień.

— Mów.

— Większość wychodźców polskich żyjących we Francji to ludzie biedni. Prawda? Nasz Dziaduś... Pan Hutorowicz... A ojciec Meli był bogaty, nawet bardzo bogaty. Jak to się stało?

— Co ci przychodzi do głowy? — zaczęła Róża, ale Ryszard położył rękę na jej dłoni.

— Bardzo słuszne pytanie — powiedział poważnie. — I wcale się nie dziwię, że ciebie to interesuje. Rzeczywiście, większość naszych rodaków na obczyźnie to biedacy. Ja sam... gdyby nie fortuna dziadka Zygmunta, a potem moja praca... Ale widzisz, znalazłszy się we Francji, stary pan Narzymski, dziadek Meli, odrzucił precz nasze szlacheckie uprzedzenia i wziął się do handlu.

— Czy to znaczy, że... otworzył sklep?

— Nie, nie sklep. Towarem, którym handlował, były nieruchomości. Majątki ziemskie, domy, posiadłości podmiejskie. Aby zacząć, musiał się zapożyczyć, nie miał przecież ani grosza. Ale szczęście mu dopisało.

— Znałeś go?

— Raz go tylko widziałem. Byłem jeszcze chłopcem. Zrobił na mnie ogromne wrażenie. Człowiek o nadludzkiej wprost energii. Musiał mieć nie lada spryt i zmysł do interesów. Pamiętam nawet, co wówczas mówił: „Pieniądze leżą na ulicy, tylko nie każdemu chce się po nie schylić. Leniwi przechodzą obok, przeraża ich najmniejszy wysiłek, wolą nawet biedę, byle uniknąć fatygi zbędnego gestu”.

W połowie naszego wieku Francja była taką właśnie ulicą. Z jej bruku zręczni aferzyści zgarniali złoto: ludwiki, napoleony, liwry, franki, co popadło. Ciągłe zmiany rządów i rewolucje wynosiły jednych na szczyty powodzenia, drugich spychały na dno najczarniejszej nędzy. Było wiele opuszczonych domostw, majątków, marnowała się ziemia i wszelakie dobro. Człowiek obdarzony takim wędchem, jak stary pan Narzymski, nie mógł długo

5 — Talerz z Napoleonem



pozostawać biedakiem. I nie zapominaj o giełdzie. Za Drugiego Cesarstwa w miejscu tym rodziły się i przepadały ogromne fortuny. Pan Narzyski rzucił się w giełdowe operacje i tam, gdzie inni tracili, on podwajał majątek.

— To dlaczego stryj Meli nie był równie bogaty jak jego brat?

— Umierając ojciec podzielił schedę między synów. Młodszy nie potrzebował wiele czasu, by roztrwonić swoją część. A gdy ujrzał dno sakiewki, osiadł przy bracie, żyjąc na jego koszt.

— Człowiek bez ambicji i bez honoru — zaopiniował Anto.

— Jeżeli to taki utracjusz — dorzuciła Róża — fortuna Meli jest w niebezpieczeństwie.

— Może coś z niej jeszcze zostało — pokręcił głową Ryszard — choć wątpię. Waclaw Narzyski miał ogromne długi.

— Jak to? I ty mówisz to tak spokojnie? — wniosła się Róża. — Trzeba coś zrobić, zapobiec nieszczęściu, ratować pieniądze Meli. Bo to przecież były duże pieniądze. Jakże mógł je roztrwonić w tak krótkim czasie?

— Gra — odparł Ryszard. — Karty, wyścigi... A to dużo kosztuje. Nic jednak nie możemy na to poradzić. Absolutnie nic. Nie wolno nam zdradzić się z naszą nadzieją. Jeżeli Paweł Labourdet przyczynił się do katastrofy koło Czerwonych Skał, uczynił to na polecenie Fabiana, a Fabian działał z rozkazu młodego Narzyskiego. Musimy być bardzo ostrożni i nasze poszukiwania utrzymać w najgłębszej tajemnicy. To ludzie zdecydowani na wszystko. Mam tu znak — dotknął głowy. — Nie zawahają się przed niczym, gdy przyjdzie im walczyć o własną skórę.

— Rozumiem — głos Róży drżał. — To wszystko jest niebezpieczne. A ty, Ryszardzie, znowu tam jedziesz...

— Nie jadę sam — uspokoił ją. — Ponadto Paweł Labourdet kryje się gdzieś tu, w zaułkach Paryża. Wie już pewnie, że wróciłem. Dopóki nie odnajdziemy Meli...

— Jeżeli Mela żyje — przerwał Anto — dlaczego milczy? Dlaczego nas nie zawiadamia? W dawnym domu na ulicy Świętego Rocha zostawiliśmy przecież wiadomość. Mogłaby napisać.

— Boi się — rzucił krótko Ryszard. — Bardzo się boi. I ma rację.

— Jak wówczas na cmentarzu — przypomniała Róża. — Pamiętasz? O, jak dobrze pamiętał Anto tę małą, wystraszoną dziewczynkę w żalobnej krynolinie. Wzięli ją nawet za głuchoniemą, tak uporczywie milczała.

— Teraz rozumiem, dlaczego ona tak się bała! — wybuchnął. — Cały

czas

66

się bała. Także wówczas, gdy bawiliśmy się, czytali coś wspólnie. Jakiz ja byłem głupi... i zły — dodał ze wstydem. — Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Nazajutrz siostra i brat zasiedli do śniadania już po wyjeździe Ryszarda. — Uspokoję się dopiero wówczas, gdy znowu będzie w domu — wyznała Róża, spoglądając na puste krzesło męża.

Z góry dolatywały tony hiszpańskiej „copla”. To Consuelo sprzątała sypialnię.

Ani z tobą, ni bez ciebie Na ból mój nie ma sposobu. Z tobą — bo mnie zabijasz, Bez ciebie — bo chcę jeno grobu.

Przez otwarte okna wpływał zapach lip. Podwórze pełne woni i świergotu ptactwa oddzielało ich od kurzu i turkotu ulicy. Ale Paryż był tuż i wabił, wołał z siłą, której niepodobna się oprzeć. Anto nie mógł usiedzieć w domu. Paryż... Jego własny, wytęskniony, znany od dziecka. Z niejedną ulicą, gmachem, drzewem w parku wiązały go niezatarte wspomnienia. Dziaduś... Róża, Zelia, szkolni koledzy... Wielu z nich miało mu za złe tę — jak mówili — „dezercję”, a nawet „sprzeniewierzenie się sprawie polskiej”. Dlaczego opuścił Francję? Po co wstępował do angielskiej akademii? Czy Ludwik Napoleon Bonaparte więcej dla niego znaczył niż rodacy?

Zarzuty te Anto odparowywał argumentami nie do zbiccia.

— Tak, wstąpiłem do Wojskowej Akademii w Woolwich — wołał — ale wiecie, dlaczego to zrobiłem? Właśnie dla Polski. Już dziesięć lat minęło od ostatniego Powstania. Kto wie, czy niezadługo nasi rodacy w kraju znowu nie chwycą za broń? Kto im wówczas będzie najbardziej potrzebny? Gryziپیórek, bawidamek czy wałkoń do niczego? Nie, człowiek z wojskowym wykształceniem, znający się na sztuce wojennej, na strategii, na dowodzeniu. Oto dlaczego ślęcę nad mapami w Woolwich, dlaczego wtykam kolorowe chorągiewki w zdobyte przez Anglików pozycje, odtwarzam najslawniejsze bitwy historii. Jako takie mało mnie one obchodzą, ale na nich uczę się, rozumiecie? Zdobywam wiedzę, którą kiedyś spożytkuję dla wyzwolenia Ojczyzny.

— Ma rację, Anto ma rację! — krzyknął Sewer Gałęzowski, dawny serdeczny kolega, najostrzej dotąd potępiający decyzję przyjaciela.

— Tak, tak, ma rację — pełni skruchy chłopcy cisnęli się do Antosia, chcąc mu wynagrodzić dotychczasową oziębłość.

67

Rotmistrz Bracki zresztą od początku pochwalał projekt wyjazdu do Woolwich.

— Samodzielność dobrze ci zrobi — powiedział na pożegnanie.

— Woolwich to doskonała szkoła. Mógłbyś, co prawda, wstąpić do Saint-Cyr, ale rozumiem, ile dla ciebie znaczy przyjaźń z młodym Ludwikiem Napoleonem. Wierzę, że odpowiednio wykorzystasz studia w angielskiej akademii. Nauczysz się wiele. Oby Bóg dał, abyś mógł użyć swych umiejętności w służbie Ojczyzny.

Chłopiec aż palił się do spotkań z dawnymi kolegami, do wizyt u rodaków na bulwarze Montparnasse. Przede wszystkim jednak musiał wypełnić polecenie księcia, odwiedzić Tristana Lamberta, oddać list i upominek, który Lu wręczył mu przed odjazdem.

Tristan Lambert to jeszcze jeden z towarzyszy ich wspólnego dzieciństwa. Już kilkakrotnie odwiedził wygnańców w Camden Place, za każdym razem przywożąc nieco „zapachu Paryża”, jak mawiał książę.

Tristan, syn łowczego, darzył Lu wierną przyjaźnią, która z biegiem lat przerodziła się w coś w rodzaju kultu. Wiązał księcia z Francją, był jak gdyby łącznikiem między wygnańcem a utraconą ojczyzną. Kawalek marmuru odbity od kominka z sypialni następcy tronu w Tuileryach, przywieziony przez Tristana do Anglii, dla Lu stanowił najdroższą relikwię minionego życia.

Anto był nawet zazdrosny o przyjaciela, ale książę wyśmiał wówczas jego obawy.

— Tristan to dobry chłopiec, serdeczny druh — powiedział — ale ty jesteś ponad wszystkimi, rozumiesz? Nigdy o tym nie zapominaj.

Po tych słowach wzrosła sympatia Antosia do Tristana i właśnie teraz wraz z listem przywiózł mu od księcia pięknie grawerowany nóż do rozcinania papieru.

— Nie gniewaj się, Różycku, jeśli nie wrócę na obiad — powiedział wychodząc. — Przypuszczalnie zostanę u Tristana. Boże, jak dobrze być znowu w Paryżu! Nie masz pojęcia, jak piekielnie nudny jest Londyn, a już w niedzielę można się tam doprawdy wściec!

O tak, po Paryżu Londyn wydaje się ciemny i odpychający. Nisko zwisające nad miastem woale mgły nie dopuszczają słońca do ponurych kamie-

nic. Ludzie zapomnieli o radości życia. Ulica nie wybucha śmiechem ani piosenką, najwyżej bluźnierczym przekleństwem albo krzykiem. Jakże inaczej wygląda Paryż!

Ot, choćby ta gryzетка w kokietyjnym czepeczku. Idzie, jak gdyby  
68

zamierzała puścić się w tany. A przecież z jej ramienia zwisa na skórzanym pasku wielkie żółte pudło. Jest w nipi pewnie balowa toaleta, na którą niecierpliwie czeka młoda wykwintnisia.

Anto uśmiecha się do dziewczyny, ona odpowiada śmiałym spojrzeniem, oceniając ze znawstwem zgrabną sylwetkę chłopca.

A oto stara znajoma, choć względnie nowa, ulica Rivoli i boczne skrzydło Luwru. Wkrótce po prawej stronie wita go Palais-Royal, a w głębi teatr — słynna Komedia Francuska. Dawno w nim nie był, w najbliższych dniach muszą wybrać się tu z Różą. Co grają? Na afiszach jak zwykle klasyka: Corneille, Racine, Moliere. O, jest i Wiktor Hugo. Pójdą raz jeszcze zobaczyć „Hernaniego”.

Potem po lewej stronie ulicy pustka i cisza: wypalone mury pawilonu de Marsan i Tuilerie. Nie trzeba patrzeć na ten ogołocony szkielet, ogień przecież strawił wszystko, ciało i duszę pałacu.

Anto przyspiesza kroku, byle prędzej wydostać się na plac Zgody, a stamtąd na Pola Elizejskie. Tu znowu tętni życie, bije mocno puls Paryża. Plac Zgody! Niespełna osiemdziesiąt lat temu stał tu na wysokim cokole Ludwik XV, „Le Bien-Aime”. Rewolucja zastąpiła pomnik króla gilotyną i dopiero Dyrektoriat położył kres krwawej karierze owego miejsca, nadając mu pełną nadziei nazwę plac Zgody.

Na środku strzela w niebo obelisk, dar wicekróla Egiptu dla Francji, wydobyty z ruin świątyni w Luksorze.

Ten starożytny monolit, liczący trzydzieści trzy wieki, pokrywają gęsto tajemnicze hieroglify. Tylko pan Champouion potrafiłby je na nowo odczytać.

Stąd wreszcie otwiera się triumfalna perspektywa Pól Elizejskich, modnej promenady, obrzeżonej pałacami magnatów, miejsce rozrywki, luksusowych magazynów i restauracji, a także spacerów i przejażdżek.

Wieczorami w orgii gazowego oświetlenia jarzy się fasada słynnej sali balowej „Mabille”, gdzie pod magiczną pałeczką dyrygenta Oliviera Metry'ego tańczyło Drugie Cesarstwo, a teraz hasa Trzecia Republika.

Oto po lewej stronie, w rządzie arystokratycznych rezydencji, za zasłoną

drzew pałac Paivy. Anto pogardliwym spojrzeniem obrzuca ów „przybytek hetery”, jak go określano, który kosztował jej wielbiciela dziesięć milionów franków w złocie. Wielkie usługi oddała Prusom owa ładacznicą, utrzymywana przez hrabiego Gwidona Henckla von Donnersmarcka. Na samym początku wojny wyjechała na Śląsk, do dóbr kochanka, by tam spokojnie przeczekać zawieruchę. Von Donnersmarck, jak na godnego Prusaka

69

przystało, wyrusza na front. Po poddaniu się Metzowi zostaje mianowany prefektem miasta.

Paiva sama nudzi się jednak w Swierklańcu i skoro tylko Prusacy zajęli stolicę Francji, wraca do Paryża, aby szeroko otworzyć podwoje swojego pałacu. Dawni wielbiciele i bywalcy unikają jednak rzeźnię oświetlonych salonów. Niejednego z nich napiętnowano za przyjaźń z „pruskim szpiegiem”. Woleli więc chwilowo trzymać się z daleka od dawnej amfiteatrionki.

Na szczęście zagraniczni dyplomaci nie potrzebują podzielać tych obaw. Obiady i kolacje u Paivy odpowiadają jak najbardziej ich wybrednym gustom. Wkrótce i co śmielsi Francuzi pozbywają się bezpodstawnych teraz skrupułów, tym bardziej że niefortunny małżonek, ów stary markiz Paiva, odesłany niegdyś do rodzinnej Portugalii, powrócił właśnie do Paryża, by zginąć tu samobójczą śmiercią.

Paiva znowu przywdziewa wdowie szaty, ale nie na długo. Von Donnersmarck może nareszcie urzeczywistnić marzenie swojego życia i poślubić tę o jedenaście lat od niego starszą i dobrze już rozlaną piękność.

Hrabia von Donnersmarck przyczynił się osobiście do pogromu Francji. To również on, na polecenie Bismarcka, oszacował wysokość kontrybucji, jaką Francja ma zapłacić zwycięzcom: pięć miliardów w złocie. Bismarck zaproponował hrabiemu objęcie ministerstwa skarbu, ale Donnersmarck nie przyjął zaszczytu. Dość miał roboty z zarządzaniem własnych kopalń i hut na Śląsku.

Cesarz Wilhelm przydał jeszcze blasku jego rodowi, ozdabiając nazwisko von Donnersmarck książęcą mitrą oraz wyraził zgodę na małżeństwo ulubienica z „markizą de Paiva”.

Tym razem ślub odbył się w protestanckim kościele, a salony księżnej von Donnersmarck zapelniał wytorny tłum gości. Wśród zaproszonych

królował naturalnie ambasador Prus, księżę Hohenloe.

Paryska ulica nie zapomniała jednak kokocie jej zdrady. Powóz z herbammi Donnersmarków obrzucano błotem i kamieniami. Coraz niebezpieczniej było wychylać się z pałacu. Cóż więc po Paryżu, skoro i tak nie można korzystać z jego uciech? Księżę Gwidon i jego małżonka uznali, że najlepsze dla nich wyjście z tej przykrew sytuacji to wyjazd z Francji.

Opuścili Paryż po cichu, a wyjazd ich przypominał raczej ucieczkę niż triumfalny „powrót do domu”. Czekał tam na księżnę nowy pałac, „Wersal” — jak go nazywano w Swierkłańcu, który zakochany małżonek stawił dla swojego bożyszcza. Sprowadził nawet robotników z Francji, byle tylko „oprawa była godna klejnotu” i jak

70

najbardziej przypominała utracony na zawsze Paryż. Teraz najbliższym miejscem zabaw i rozrywek pozostawały Tarnowskie Góry, no i dalszy nieco Berlin.

Paiva osiągnęła cel. Otaczało ją bajeczne wprost bogactwo, królewski przepych. Czegoż więcej potrzebowała, by czuć się szczęśliwa na tym brzydkim świecie?

Anto mija pałac „wszeteczniczy”. Nie stoi przed nim żaden powóz ani nawet dorożka. Okiennice kryją szyby pierwszego piętra, drzwi, zawarte naглуcho, dawno już nie wpuszczały świetnych gości do wyłożonego marmurem i onyxem westybulu. Pałac nie budzi dziś niczyjego podziwu, najwyżej pogardę. Ot, jeden więcej zabytek minionej epoki.

Teraz należy skręcić w prawo, do domu Tristana. Ale okazuje się, że młody człowiek wyjechał, wróci za kilka dni. Anto zostawia liścik i upominek księcia, dołączając swój bilet, na którym kreśli parę słów.

— Oddam panu Tristanowi — przyrzeka służący. — Na pewno od razu pana odwiedzi.

Anto wraca na Pola Elizejskie, zapatrzony w zamykający horyzont olbrzymi Łuk Triumfalny, który wznosił niegdyś Napoleon na cześć francuskiej armii.

Plac ma kształt gwiazdy i nosi jej miano. Dwanaście ulic jak dwanaście promieni rozchodzi się w dwanaście stron świata.

Anto przystaje przed monumentem, który, choć zapożyczył kształt od budowli starożytnego Rzymu, dwukrotnie zwiększył wymiary Łuku Konstancyna.

Dziadus opowiadał, jak w czterdziestym roku wróciły ze Świętej Heleny

prochy cesarza. Wóz żałobny, wiozący szczątki Napoleona, zatrzymał się pod sklepieniem prowadzącym do nieśmiertelności.

Chłopiec przymyka oczy i wyobraża sobie podniosłą ceremonię. Gdzie stał wówczas Dziadus? Może na tym samym miejscu, na którym stoi teraz jego wnuk?

Słońce obrysowuje najdrobniejszy szczegół płaskorzeźby pokrywającej filary, przydaje — jeśli to jeszcze możliwe — życia wspaniałej „Marsyliance” Rude’a. Anto szuka wzrokiem dobrze znanego polskiego nazwiska, które pyszni się tam wśród nazwisk napoleońskich marszałków. Jest. „Książę Józef Poniatowski, marszałek Francji” — odczytuje głośno.

71

Z westchnieniem odwraca się od wielkiej przeszłości. Dokąd teraz pójdzie? Najlepiej nad Sekwanę. Co to? Aleja Cesarzowej?

Anto przystaje. Dlaczego tu przyszedł? Dlaczego... Przecież to jasne. Mela... Był tu tylko raz, a przyjechał wówczas przysłanym po nich powozem pani Narzymskiej. Ale pamięta wszystko dokładnie i od razu trafia przed właściwą bramę.

Biały, pałacyk wygląda, jak gdyby wydano go w barbarzyńskie ręce zniszczenia i ruiny.

Anto opiera dłoń o żelazne sztachety patrząc z przerażeniem, co z tego domu zrobił czas, a przede wszystkim ludzie.

Jak można było pozwolić... Jak dopuścić!...

Furtka trzyma się już na jednym tylko zawiasie. Podjazd zarosły chwasty. Chwasty panoszą się wszędzie, podchodzą pod okna, zaglądną w osłepłe szyby. Dawno nie strzyżony żywopłot rozrósł się nadmiernie, wystrzelając miejscami ponad sztachety. Nawet drzewa wydają się smutne jakieś i opuszczone, one także odczuwają brak troskliwej ręki ogrodnika.

Cisza zdaje się przytłaczać, nie ma w niej nic z kojącego spokoju, lecz jakby groźba czy ostrzeżenie.

Racja. Róża i Zelia natknęły się tu na dwóch bandytów. Ledwie wówczas udało im się wymknąć. Trzeba zachować ostrożność. Właściwie po co ma wchodzić? Rozsądek zadaje to pytanie, ale Anto nie słucha rozsądku. Coś pecha go naprzód, coś każe raz jeszcze zobaczyć pamiętne wnętrza.

Deska zabezpieczająca kuchenne wejście leży teraz daleko odrzucona i niczego już nie zabezpiecza. Dom jest dla wszystkich otwarty, zaprasza każdego, komu tylko przyjdzie ochota skryć się tu przed policją, przed deszczem lub spotkać się z kimś, kogo nie wpuściłoby się do własnego

mieszkania.

Anto wsuwa się do kuchni, stąpając na palcach przemierza pokój kredensowy, omija drzwi do jadalni i wchodzi do głównego westybulu. Mrok zaciera kontur schodów, tylko poręcz słabo lśni, krętą linią ginąc w górnych ciemnościach.

Chłopiec ostrożnie wspina się po огоłoconych z chodnika stopniach, potrącając czasem jakiś przedmiot, resztki rozbitego wazonu czy wydartą z biblioteki książkę.

Jest tak cicho, jak gdyby Paryż oddalił się o tysiące mil, pozostawiając go samego na pastwę zniszczenia.

Dłużej zatrzymuje się w pokoikach Meli. Tam, gdzie wisiał niegdyś talerz

72

z Napoleonem, tapeta zachowała żywszą barwę. W ogóle wszystko jest tak, jak opisała Róża.

Przez zamknięte żaluzje sączy się światło dnia pełnego słońca. Tu otacza go mrok i żaloba.

Co sobie myśli pan Narzymski? Czyżby skazał pałacyk na kompletne unicestwienie?

Anto wychodzi na podest pierwszego piętra, siada na najwyższym stopniu. Mela... Gdzie ona? Zelia wierzy, że dziewczynka żyje, a Zelia nigdy się nie myli.

Opiera głowę o pręty podtrzymujące poręcz. Cisza dzwoni w uszach. I nagle...

Anto zrywa się i schylony nad poręczą wyęcza słuch. Ktoś wszedł do domu. Jest w kuchni, wchodzi do głównego westybulu. Intruz czuje się tu widać u siebie, otwiera i zamyka kolejne drzwi, przechodzi z pokoju do pokoju. Teraz jest w salonie. Po chwili chłopiec czuje zapach dymu z cygara. I znowu cisza. Kim jest człowiek, który przyszedł, żeby w tym opuszczonym domu wypalić cygaro? I co robi w salonie? Wygląda, że zna rozkład pokoi, szedł pewnie i otworzył właściwe drzwi.

Cisza staje się coraz bardziej irytująca, drażni obecność obcego. Ale oto znowu słychać kroki. Tym razem ciężkie, głośne. Nowy przybysz nie stara się ukryć swojej tu wizyty.

— Jest pan tam? — głos gruby, o wulgarnej wymowie, pasuje w sam raz do stąpań nowo przybyłego.

— Jestem — to mówi człowiek pałacy cygaro.



Anto zamiera z ręką na poręczu schodów. Czy to możliwe?

— Zamiast przyjść do mojego kantoru lub wezwać mnie do siebie — burczy gruby głos — każe mi pan błdzić po bezludnych wertepach. Ledwie znalazłem.

— Ale znalazł pan — odpowiada cierpko głos młodego pana Narzymskiego-

— To czego pan chce? — gruby głos brzmi irytacją. — Może nareszcie zobaczę moje pieniądze?

— Może pan i zobaczy, jeśli będzie pan dostatecznie cierpliwy, kochany panie Pochard. Tymczasem potrzebuję rady.

— Zaraz, zaraz — gruby głos wybucha kaszlem. — Ale te pięćdziesiąt tysięcy...

— Nudzi mnie pan. Taka bagatelka! Co to jest pięćdziesiąt tysięcy?

73

— Dla pana pewnie, że to nic. Na jeden kasek. Kolacyjka w Cafe Riche w towarzystwie panny Blanki z Opery, potem partyjka bakarata u barona d'Argele, i już po pięćdziesięciu tysiącach.

— Dobrze pan poinformowany. — Pan Narzymski z trudem widać hamuje gniew. — Nie wezwałem tu pana, by wysłuchiwać kazań. Potrzebuję pomocy.

— Kto jej nie potrzebuje?

— Mógłbym się dobrze ożenić, słyszy pan? Dobrze. Posag dwa miliony.

— To żeń się pan, z Bogiem.

— Panie Pochard, niech pan zrozumie, że pańskie pieniądze zależą od poprawy mojej sytuacji majątkowej.

— Wziął pan sukcesję po bracie, tak czy nie? Czego pan jeszcze chce?

— Sukcesję, sukcesję — wybuchnął stryj Meli. — Brat obwarował testament tyloma idiotycznymi klauzulami, że mało co z tego zostało. A jak pan wie, mam długi.

— O tym wie cały Paryż — zaśmiał się chrapliwie pan Pochard.

— Do licha! Rodzice panny diablo podejrzliwi — w głosie pana Narzymskiego drży ledwie powstrzymywana wściekłość. — Chodzi o to, żeby uwierzyli, iż jestem dostatecznie bogaty, by posag nie stanowił głównej przynęty.

— To trudna sprawa.

— Trudna, ale warta zachodu. Pańskie pieniądze...

— Wiem, wiem — przerwał pan Pochard — mnie zależy na odzyskaniu moich pieniędzy i jeżeli podejmę się doprowadzenia tej sprawy do końca, zrobię to nie dla pańskich pięknych oczu.

— Doceniam pańską szczerłość, drogi panie Pochard — głos pana Narzymskiego wibruje ironią. — Poza tym grubo pan na tym zarobi. Przecież to nie pan pożyczył mi owe pięćdziesiąt tysięcy.

— Ale ja odkupiłem pański rewers.

— Odkupił pan cały plik podobnych rewersów, a gdy przyduszeni wystawcy zaczną płacić... Ile pana to kosztowało? Pięć, siedem franków?

— Co też pan? Te rewersy to kupa bezwartościowych szpargałów, nie warte papieru, którego użyto. Odkupiłem wszystko po śmierci starego lichwiarza Leroux.

— Powtarzam, grubo pan na tym zarobi, panie Pochard. Czyż inaczej odkupiłby pan te rewersy? Znam pana i wiem, że to nie dobre serce kazało panu podjąć się tej transakcji. Poczul pan pieniądze, ot co.

74

— - Czy to grzech? — zaperzył się pan Pochard. - Ja ciężko pracuję, żeby dojść do czegoś. A pan? Co pan robi?

-r- Używam życia — odparł zimno pan Narzymski. — I wolałbym w łeb sobie strzelić niż upaść tak nisko, by zająć się pracą. Cóż zresztą mógłbym robić? Urodziłem się na wielkiego pana, ojczec Pochard, i nic już tego nie zmienia.

— - Ile panu potrzeba? — gruby głos pana Pochard brzmi znowu burkliwie.

— Dwieście tysięcy — głos pana Narzymskiego tnie niczym dobrze wyostrzona szpada.

— Dwieście tysięcy! — pan Pochard zerwał się z fotela, bo Anto usłyszał ciężkie kroki przemierzające salon.

--- Muszę zatkać gębę co najkrzykliwszym wierzytelom. Interes opłaci się, mój dobry panie Pochard, za ćwierć miliona, który będę panu winien, oddam czterysta tysięcy. Czy to panu odpowiada?

Zapadło dłuższe milczenie, pan Pochard widocznie oddawał się niezbędnym kalkulacjom.

— Kiedy chce pan mieć te pieniądze? — gruby głos lekko drżał.

— Choćby dzisiaj — pan Narzymski nie potrafił ukryć niecierpliwości.

— Będzie je pan miał o godzinie szóstej.

Goście dawno już opuścili pałac rodziców Meli, Anto siedział ciągle

na stopniach, rozpamiętując podsłuchaną rozmowę.

Bo podsłuchiwał. Zniżył się do takiej podłostki, byle się dowiedzieć...

Kto to właściwie jest, ów pan Pochard, i jakie ciemne interesy łączą go ze stryjem Meli? Czy dostarcza on jedynie środków, by pan Narzymski mógł błyszczeć wśród podobnych sobie nicponi ze złotej młodzieży Paryża? I czy majątek Meli, który przecież po ojcu jej się należy, jest nieodwracalnie stracony?

Dzien zbliża się ku końcowi. Przez szpary w żaluzjach przenikają do mrocznego wnętrza triumfalne barwy zachodu. Anto powoli zstępuje do westybulu, otwiera drzwi salonu. W powietrzu wraz z resztą dymu snuje się wytworny zapach kosztownego „londresa”. Pan Narzymski widać niczego sobie nie odmawia, żadnej dostępnej jedynie bardzo bogatym ludziom przyjemności. I trwoni nie swoje pieniądze. I jeszcze mu mało. I jeszcze pożycza!

W mroku słabo rysują się kontury foteli i kanapek, obciągniętych pokrowcami. O, tu siedzieli rozmawiający. Białe płótno, lekko zmięte, zachowało dotąd odcisk ciała.

75

Anto nie kryje teraz swojej obecności w opuszczonym domu. Stąpa głośno i pewnie. Nie ma przecież nikogo. Jest zupełnie sam.

Na dziedzińcu oślepia go luna zachodzącego słońca. Oddycha głęboko i nie spiesząc się obchodzi dom. Ulica jak zwykle pusta. Chłopiec czuje się nagle bardzo zmęczony i głodny. Dopiero na Polach Elizejskich natyka się na wolnego fiakra.

Paryż utracił jakoś wiele ze swoich uroków. Spieszący chodnikami ludzie to albo podejrzeni aferzyści, albo łotrzyki knujące napad czy rabunek.

Kobiety mają wyzywające spojrzenie i bezwstydy uśmiech.

Anto patrzy przed siebie. Na horyzoncie strzelają w niebo poczerniałe i ogołocone z dachów kominy Tuileriów.

Nie udał się spacer po Paryżu, a tak się nim cieszył. Miasto, zdawałoby się, dobrze znane, ukazało mu nowe jakieś i obce oblicze. Co jeszcze kryje ovv Paryż, który dotąd był jego Paryżem, a oto nagle przeistoczył się w niepokojące miejsce występku?

IV

— „Dziś, szóstego października tysiąc osiemset siedemdziesiątego trzeciego roku, rozpoczął się w Trianon proces marszałka Bazaine'a...” —

książę zamilkł i rzucił gazetę. — Sami doprowadzili do klęski! — krzyknął. — Odebrali ojcu dowództwo, woleli Bazaine'a... Ciągle słyszałem „wielki Bazaine!”, „sławny Bazaine!” — głos mu się załamał. — Zobaczmy, co piszą — młody Conneau podniósł zmięty dziennik, świeżo przybyły z Paryża, i rozprostował pierwszą stronicę. — Postawiono go przed sądem wojennym — objaśnił — a przewodniczącym trybunału jest książę d'Aumale.

— Właśnie! D'Aumale! — rzucił się Lu. — Wyobrażacie sobie tę farsę? Oto Republika zleciła przewodnictwo w procesie przeciw marszałkowi Cesarstwa, a więc bonapartyście, synowi Ludwika Filipa, który z racji swojego urodzenia jest przecież monarchistą. Czy to nie śmieszne?

— To smutne — stwierdził spokojnie Ludwik Conneau, przebiegając wzrokiem gęsto zadrukowane kolumny. — Powiedziałbym nawet tragiczne. Ale w tym jest cała dzisiejsza Francja. W każdym razie co do winy Bazaine'a zdania są podzielone. Kapitulacja to czy zdrada? Takie pytanie stawiają sobie Francuzi.

— Francuzi przede wszystkim potrzebują kozła ofiarnego, kogoś, kogo można by oskarżyć o klęskę — zauważył Anto. — Przecież większość była zdania Gambetty. Pamiętacie, jak z Tours, gdzie schronił się Rząd Obrony Narodowej, Gambetta grzmiał przeciw Bazaine'owi?

— Pamiętamy — Conneau pokiwał głową. — „Francuzi! Metz skapitulował. Marszałek Bazaine zdradził. Bez walki wydał w ręce wroga studwudzie-stotysięczną armię, broń, amunicję, armaty, sztandary i najwarowniejszą cytadelę Francji” - zacytował z patosem.

— „Wiadomo, jak ludzie honoru określają podobną zbrodnię — dokoń-  
77

czył Anto. — Sprawiedliwość przewiduje kary za czyn tak haniebny...” Wszyscy to wówczas czytaliśmy. Ja byłem cały czas w Paryżu i wiem... We Francji zawrzało. Słyszałem, jak mówiono: „Bazaine? Nasz Bazaine? To niemożliwe, aby Bazaine...” Sam słyszałem.

Rzeczywiście. Zdrada w tym wypadku wydawała się niemożliwa. Marszałek był niezwykle popularny. Nikt nie kwestionował jego wojskowych talentów. Nie mówiono o nim inaczej, jak „nasz sławny Bazaine”. Sam Gambetta miał dla niego jedynie słowa podziwu. I oto nagle...

Na wniosek opozycji odebrano cesarzowi naczelne dowództwo, powierzając je Bazaine'owi. Został więc marszałek szefem Armii Renu. Zmiana ta nie polepszyła jednak ani trochę sytuacji na froncie. Zmuszony do cią-

głego cofania się, Bazaine oparł się wreszcie w Metz, nie zdobytej dotąd fortecy, ostatnim na wschodzie bastionie wolnej Francji.

Tam otoczył go i obiegił z dwustutysięczną armią książę Fryderyk Karol, bratanek króla pruskiego.

Czy marszałek Bazaine uczynił wszystko, co do niego należało, by przebić się przez ten żelazny pierścień? Owszem, trzykrotnie próbował wydostać się z oblężonego miasta, za każdym jednak razem straty w ludziach były tak wielkie — czterdzieści tysięcy żołnierzy — że wołał pozostać w defensywie.

Pozbawiony kontaktu z Rządem Obrony Narodowej, wstrząśnięty rewolucją z czwartego września i upadkiem Napoleona Trzeciego, stracił zwykłą dla niego pewność siebie i energię. Po prostu nie wiedział, jak ma postąpić w tej strasznej sytuacji. Dla niego jedyną legalną formą rządu było cesarstwo.

Sądził nawet, że Prusy nie zechcą traktować z nowo upieczoną Republiką i że wówczas on, Bazaine, odegra być może decydującą rolę w układach pokojowych. W tym celu wysłał do Bismarcka adiutanta z propozycją omówienia honorowego dla Francji zakończenia wojny.

Bismarck nie spieszył się z odpowiedzią, wiedział, że z braku żywności Metz długo nie wytrzyma w uporze.

Nie wytrzymał.

Marszałek Bazaine poprosił pruskiego księcia o warunki kapitulacji.

Prośba ta była poniżająca i niepotrzebna. Odpowiedź zaś, jak zwykle u Prusaków — butna i bezwzględna: cała armia z Metz miała pójść w niewolę, broń, amunicja, sztandary staną się łupem zwycięzcy.

Po tragicznej naradzie z generałami warunki kapitulacji przyjęto. Marszałek Bazaine kazał jednak spalić sztandary. Niestety, rozkaz ów, wydany ustnie,

78

wykonano tylko częściowo. Francuskie sztandary uświetniły więc berlińskie uroczystości na cześć zwycięstwa.

Na wieść o oddaniu miasta żołnierzy i mieszkańców ogarnęło przerażenie i gniew. Bazaine nie mógł pokazać się na ulicy. Jego nazwisko, podobnie jak imię Judasza, stało się synonimem zdrajcy.

— Nigdy nie uwierzę, jakoby marszałek Bazaine grał najspokojniej w bilard, podczas gdy ginęli jego żołnierze — Lu zamknął z hukiem trzymane w ręku „Poniedziałkowe opowieści” Alfonsa Daudeta. — Pan Daudet nie

miał prawa pisać takich rzeczy. To ohydna potwarz. Pan Daudet przekroczył dozwolone granice. Kto nam to przysłał?

— Tristan Lambert — odparł Anto. — To ostatnia nowość tego pisarza.

— Wszystko teraz wolno, huzia na Bazaine'a — wzruszył ramionami Ludwik Conneau. — Można oskarżać go o wszelkie zbrodnie. Wyzwalając w sobie podobne uczucia względem winowajcy, ludzie odczuwają ulgę. Jak gdyby zdrada Bazaine'a uniewinniła innych.

O tak, używano sobie teraz na marszałku. Nareszcie był ktoś, na kim można odegrać się za przeżyte niedole.

A Bazaine'a, po jego powrocie z pruskiej niewoli, aresztowano. Sąd wojenny deliberował dwa miesiące. Oskarżony mógł pomniejszyć winę, zasłaniając się nieudolnością cesarskiego rządu, nieprzygotowaniem armii do wojny czy innymi okolicznościami podobnej rangi. Nie uczynił tego. Powtarzał jedynie: „Nie popełniłem zdrady. Jestem niewinny”.

Trzeba przyznać, że sytuacja przerastała jego możliwości. Głównodowodzenie okazało się zbyt wielkim ciężarem na jego mocne skądinąd barki.

— Nie było już rządu — powiedział w pewnej chwili na procesie. — Nikt mną nie kierował. Musiałem być posłuszny jedynie własnemu sumieniu.

— A czy nie myślał pan — zapytał wówczas książę d'Aumale — że wojskowa sytuacja nakazywała panu przestrzeganie regulaminu?

— Cesarstwo upadło, nie pozostało nic legalnego — oskarżony spojrzał prosto w oczy przewodniczącego.

— Ale Francja istniała nadal — powiedział książę d'Aumale z mocą.

Dziesiątego grudnia, uznany jednogłośnie za winnego, marszałek Bazaine został skazany na śmierć i na degradację. Jednakże w uznaniu jego przeszłych zasług prezydent Mac-Mahon zamienił karę śmierci na dwadzieścia lat więzienia bez degradacji.

- Sąd wojenny znalazł sposób, żeby mnie skazać i uniewinnić jednocześnie. — Oskarżony odwrócił się do swoich adwokatów: — Dziękuję, panowie.

79

Uwięziono go na śródziemnomorskiej wyspie Świętej Małgorzaty, niedaleko Cannes, w siedemnastowiecznej fortecy, w której niegdyś zamknięto tajemniczego Człowieka w Żelaznej Masce.

Opinia publiczna była zadowolona. Francuzi odetchnęli z ulgą. Kozioł ofiarny spełnia czasem funkcję chirurgicznego lancetu. I podobnie jak

puszczenie krwi ratuje życie pacjentowi w ataku apopleksji, proces Bazaine'a uśmierzył wzburzone umysły Francuzów. Ktoś wreszcie odpokutuje za narodowe nieszczęścia.

— Bazaine bawił się polityką zamiast prowadzić wojnę — skomentował podany w gazecie wyrok wojennego trybunału jeden z pruskich adwersarzy marszałka.

Zimowe dni w Camden Place wlokły się niczym płachty szarej angielskiej mgły, opadającej na smutną ziemię. Niekiedy przerywały nudę wybuchy animozji, zawiści czy żalu, a więc uczuć hodowanych w tajemnicy serca, skrywanych starannie jak wstydliva choroba, czasem tylko wymykających się spod wytwornych manier dworskiego towarzystwa.

Napoleon III łagodnością i taktem potrafił utrzymać w ryzach owe namiętności drążące gromadkę wygnańców, którzy swój los związali z losem zdetronizowanego cesarza. Po jego jednak śmierci rywalizacja, wygórowane ambicje, zgorzknienie niedolą coraz częściej doprowadzały do konfliktów wśród osób zamkniętych niewielką przestrzenią Chislehurst, stale ocierających się o siebie, z których każda przeżywała ponadto swój własny dramat.

Regularnie dostarczana prasa francuska zjadliwym tonem artykułów, zaczerpniających całe kolumny krytyką Drugiego Cesarstwa, dopełniała miary tej i tak już gorzkiej egzystencji.

Pisano o olbrzymiej fortunie, którą cesarz i jego małżonka ulokowali w angielskich bankach. A przecież podczas pierwszych miesięcy wygnania mieszkańcy Camden Place zaznali dość niedostatku i kłopotów związanych z brakiem pieniędzy.

Sprzedawano wszystko, co znajdowało nabywców — przecież trzeba było żyć — a więc nieruchomości — chociażby ów pałac w Rzymie, a przede wszystkim biżuterię cesarzowej Eugenii. Kolie i bransolety, błyszczące niegdyś w tuileryjskich salonach, ozdabiały teraz szyje i ramiona przemysłowych księżniczek zza oceanu. Pożyczano też, skąd się tylko dało, w oczekiwaniu, aż

80

rząd Trzeciej Republiki zdejmie sekwestr nałożony na prywatny majątek cesarza we Francji.

Potem sytuacja materialna uległa znacznej poprawie. Nie polepszyło to jednak nastroju mieszkańców Camden Place. Nad każdym dniem wisiła nuda, tęsknota za utraconą ojczyzną, za domem, za bliskimi, którzy mu-

sieli pozostać w Paryżu, ból nie dający się niczym ukoić i coraz większa beznadziejność tragicznego położenia. A dni były do siebie podobne i jednakowo bezbarwne.

Cały ranek cesarzowa Eugenia spędzała w swoim gabinecie. Przeglądała rachunki, czytała olbrzymią korespondencję nadeszłą z Francji, pisała listy. Do sali jadalnej schodziła dopiero na lunch. Przy stole, oprócz stałych mieszkańców, znalazło się zawsze paru przybyszów z Londynu czy nawet z „Kontynentu”, jak tu mówiono.

Po południu, w towarzystwie pani Clary czy pani Lebreton, wsiadała do pociągu, udając się do Londynu. Była to rozrywka, a jednocześnie konieczność załatwienia najpilniejszych spraw. Panie robiły zakupy, odwiedzały przyjaciół, konferowały również z bankierami. Nigdy też nie omieszkały wstąpić do kościoła Jezuitów przy Farm Street. Raz, gdy cesarzowa Eugenia klęczała przed ołtarzem, zabrzmiały organy. Przepiękna, a smutna melodia kazała jej odwrócić się i podnieść oczy na chór. To Gounod, częsty dawniej gość w Compiegne, poznał cesarzową Eugenię i muzyką składał wygnance hołd, wyrażał żal i współczucie.

Zazwyczaj koło piątej panie wracały do domu. Wówczas w hallu podawano herbatę, a dokoła stołu, ze srebrnym imbrykiem pośrodku, toczyła się ożywiona rozmowa.

— Trudno sobie wyobrazić, jak wygnanie rozwiązuje języki — mawiała pani Lebreton..

O siódmej goście i domownicy rozchodzili się do swoich pokoi, by przebrać się do obiadu. Po obiedzie panowie zabawiali się bilardem, panie w salonie haftem i nowinkami. Ktoś grał na fortepianie, ktoś inny nucił francuską piosenkę. We framudze okna młodzież, odgradzona od salonu firanką, rozmawiała półgłosem, przerywając zwierzenia śmiechem i żartami.

Położywszy ostatniego pasjansa, cesarzowa Eugenia życzyła zebrany dobrej nocy i odchodziła do siebie. W sypialni można było przynajmniej wraz z wieczorową toaletą zrzucić maskę, opaść na fotel przy kominku i pozwolić płynąć łzom.

Dopóki żył cesarz, pełna była nadziei i zapału. Ani na chwilę nie traciła

6 — Talerz z Napoleonem  
81

ducha. Podtrzymywała ją pewnośc zwycięstwa. Układała nawet plany przyszłego życia we Francji. Gdy wróca, wezwani przez naród. Po to, by



pracować dla szczęścia tego narodu.

Zamieszkają w Luwrze, zaprowadzi się daleko idące oszczędności. Lato można będzie spędzać w Trianon, wilegiatura w Wersalu dużo mniej kosztowna niż pobyt w takim na przykład Compiègne. Dokoła tronu zgromadzi się wszystko, co Francja ma najlepszego. Najwybitniejszych obywateli. Najbardziej zasłużonych dla ojczyzny. Życie dworu stanie się wzorem dla innych. Będzie go cechować powaga i prostota. Ani mowy o dawnej płochości. Po tragicznych wypadkach wojennych, po szaleństwie Komuny, nastąpi wreszcie era patriotycznego zespolenia Francuzów. Wszystko to stanie się rzeczywistością, trzeba tylko cierpliwie przecze-kać republikańską burzę.

Śmierć cesarza zniweczyła te marzenia. Napoleonidzi co prawda nie wy-gaśli, był przecież Lu. Jej ostatnia nadzieja. Jego młodość, żywotność, pragnienie czynu zapowiadały możliwość odrodzenia dynastii usuniętej chwilowo z międzynarodowej areny. Należało tylko mądrze pokierować sprawami następcy tronu we Francji. Miał on tam rzesze zwolenników. O tak, stronnictwo bonapartystów było siłą nie do pogardzenia. Kierował nim pan Rouher, dawny minister i doradca Napoleona Trzeciego, zwany niegdyś żartobliwie „wicecesarzem”, przez czas jakiś przewodniczący Se-natu. Cesarzowa Eugenia darzyła go bezgranicznym zaufaniem i we wszystkim zasięgała jego rady.

Eks-minister Rouher jako człowiek nie był nieomylny i niektóre jego su-gestie więcej przyniosły szkody niż pożytku sprawie, a przede wszystkim osobie młodego księcia.

Uparty Owerniatczyk o staromodnych zapatrywaniach uważał, że mło-dzież należy trzymać krótko, w tym też kierunku szły jego wskazówki co do wychowania następcy tronu. Zgodny z cesarzową Eugenią w osądzie księcia Napoleona, przyczynił się do oddalenia Lu od ojcowskiego kuzy-na, który przypuszczalnie właściwszym byłby dla chłopca opiekunem. Cesarzowa Eugenia, choć czuła się regentką, oddała jednak ster stronnictwa w ręce pana Rouhera. W Zgromadzeniu Narodowym było przecież około trzydziestu posłów bonapartystów, a ich głos nie pozostawał bez echa. Oni to zresztą przyłożyli ręki do upadku prezydenta Thiersa.

Utrzymywanie kontaktu z tyloma osobami, od których zależał los przy-szłego cesarstwa, nie było łatwe, zważywszy na odległość dzielącą

||1

dziedzica korony od ojczyzny. Głównym środkiem porozumienia były li-

sty, a nie osobiste spotkania. Nic więc dziwnego, że cesarzowa Eugenia prowadziła rozległą korespondencję, wspomagana w tej pracy przez pana Pietri, sekretarza Napoleona III.

To „trzymanie ręki na pulsie politycznego życia Francji” było, obok czuwania nad wychowaniem syna, głównym zadaniem zdetronizowanej monarchini. Osadzenie Lu na ojcowskim tronie stanowiło cel jej życia, wiedziała, że księżę nie zawiedzie oczekiwań, że okaże się godny przyszłego wyniesienia. Francja na niego liczyła, a Francja bardzo potrzebowała pociechy.

Kraj był zubożony wojną, rozdarty między stronnictwa. Brakło w nim pracy dla nadmiaru rąk, stąd bezrobocie i nędza. Podatki rosły, niszczyły rolnictwo i przemysł. Wieś ledwie dyszała, w miastach zamykano fabryki zbankrutowanych właścicieli. Gra na giełdzie zastąpiła uczciwą pracę. Ludzie nie mieli zaufania do trwałości republiki rządzonej przez monarchistów, niezdolnych na domiar złego do podjęcia żadnej energicznej decyzji, by poprawić sytuację obywateli. Bonapartyści widzieli ratunek jedynie w przywróceniu cesarstwa, lud zresztą skłaniał się również ku tej formie rządów.

Lu pilnie studiował nie tylko francuskie dzienniki, ale i angielską prasę, ciekawy, co o nim pisano, jak widziano przyszły ustrój Francji. Czyżby republika miała na zawsze zgasić królewskie czy cesarskie splendory, okrywając się demokratyczną szarzyzną? Ale przecież i ojciec był jak najbardziej demokratą. Zresztą on, księżę Ludwik Napoleon, nie pragnie niczego dla siebie, pragnie tylko dobra Francji.

— Gdyby teraz jakaś potęga zagroziła wojną mojej ojczyźnie — mówił czasem w rozmowie z przyjaciółmi — od razu zrzuciłbym ten czerwony mundur, a przywdział niebieską kurtkę zwykłego żołnierza. Francuskiego żołnierza. Nie powiedziałbym nawet, kim jestem. Po co? O, jakże byłbym wówczas szczęśliwy!

— Czy sądzisz, że pozwolilibyśmy ci iść samemu? — młody Conneau energicznie potrząsał głową. — Poszlibyśmy wszyscy trzej, ramię przy ramieniu. Nieprawdaż, Anto?

— Ramię przy ramieniu — podchwytywał z entuzjazmem Anto. — Niestety, teraz nie ma żadnej wojny — dodawał z żalem. — Chyba że coś zacznie się w Polsce, jakieś nowe powstanie...

— Pójdziemy z tobą, przyjacielu — Lu wyciągał do Polaka rękę. — Wiesz, jak kocham twoją ojczyznę. Mój ojciec też wam sprzyjał. Opo-

wiadał mi

83

kiedys... Pan Żeran nosił wówczas liberię, tropiono pewnego szpiega, który zakradł się do Tuileriów.

Wspomnienie zmarłego ojca jak zwykle gasi ożywienie księcia. Pocięchą jest wówczas ta serdeczna więź, łącząca go z przyjaciółmi. Są zawsze razem. W Woolwich i poza akademią. Nie mają też przed sobą tajemnic, rozumieją się doskonale.

W sobotni wieczór książę i jego przyjaciele zjeżdżają do Camden Place. Życie od razu nabiera tam sensu i kolorów. Cichy zazwyczaj dom napęlniają młode głosy, tupot młodych nóg powtarzają echem korytarze. Anto jest tu witany równie serdecznie, jak sam książę i jak Ludwik Conneau, który przyjeżdża do rodziców. Pan Filon musi opowiedzieć najdrobniejsze szczegóły z życia kadetów w minionym tygodniu. Cesarzowa Eugenia wszystkiego jest ciekawa i zadaje wiele niedyskretnych pytań. Czasem zapraszano do Chislehurst angielskich kolegów z Woolwich, Woodhouse'a, Slade'a i Bigge'a. Po wyjeździe chłopców Camden Place zapadało w zwykłe milczenie i cesarzowa Eugenia skarżyła się w liście do przyjaciółki:

„Są dni, kiedy chciałabym opuścić dom i iść przed siebie, byle dalej i dalej. Niestety, dopóki jestem potrzebna, muszę wytrwać na posterunku. Gdy uznam, że wykonałam zadanie, wówczas pozwolę sobie na słabość i będzie ze mną, co Bóg da. Muszę ci wyznać, że wszystko we mnie jest już zużyte, wiara w szczęśliwe zakończenie wygnania, odwaga. Jestem straszliwie zmęczona i jak człowiek, który odbył długą drogę, obawiam się wszystkiego, bo wszystko mnie rani...”

Na szczęście, takie chwile zdarzały się rzadko. Wewnętrzna dyscyplina nie pozwalała zapomnieć o obowiązkach. Cesarzowa Eugenia prostowała zgrabną zawsze figurę, podnosiła wysoko głowę i lekko mrużyła oczy. Tak jak to czyniła niegdyś w Tuileriach, jak gdyby cesarski diadem ciągle jeszcze lśnił na jasnych włosach, mimo że coraz więcej srebrnych nitok przewijają się w misternej fryzurze.

Po każdym takim weekendzie chłopcy z radością wracali do Woolwich. Szczególnie Lu rad był opuścić dom, gdzie wszystko przypominało mu tragiczne wydarzenia. Lubił swoją szkołę i mimo angielskiego munduru dobrze czuł się w roli kadeta. Tu przynajmniej był swobodny — dyskretna opieka kochanego pana Filona nie ciążyła bynajmniej.

Zima zbiegła na nauce i na przygotowaniach do uroczystego obchodu osiemnastych urodzin dziedzica Bonapartych, które będą jednocześnie

84

uznaniem jego pełnoletniości. Chislehurst szykowało się na przyjęcie wielkiego napływu gości z Francji.

Były to także osiemnaste urodziny Antosia, ale — jak mu Róża napisała w ostatnim liście — „nie jesteś księciem i twoją pełnoletniość będziemy obchodzili, gdy skończysz dwadzieścia jeden lat”.

— Boże, jak dawno już się znamy! — westchnął pewnego wieczoru Lu, gdy po kolacji siedzieli przed kominkiem, podczas gdy wicher siekł deszczem w szyby, a na morzu szalał sztorm.

— Co za pogoda! — wstrząsnął się młody Conneau. — Rzeczywiście, znamy się sporo lat. Byliśmy zupełnie mali, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

— I kłóciliśmy się zażarcie — przypomniał Anto. — Wyrwaliśmy sobie każdą zabawkę. Pamiętasz, Lu?

Książę milcząc kiwa głową. Daleko odeszły lata dzieciństwa. Paryż i tuileryjskie ogrody. Kręte alejki, którymi biegał w towarzystwie ulubionego psa. Sala tronowa i paradna kołyska, dar stolicy Francji. Co się z nią stało?

— Lepiej, że nie widziałeś Tuileriów po pożarze — Anto przyklęka przed ogniem i szczypcami odrzuca w głąb kominka rozsypujące się główne.

— Jeżeli wrócę — głos Lu drży — odbuduję wszystko. W Tuileriach mieszka duch Francji. Nie wolno zabijać przeszłości. Czymże byśmy bez niej byli? Wzięliśmy po przodkach i dobro, i zło. Musimy niszczyć zło, a rozwijać dobro. To nasz obowiązek. Mój obowiązek — dodaje ciszej.

— Tak — potwierdza Ludwik Conneau — Tuilerie muszą być odbudowane.

— Nie będzie to nawet zbyt trudne — ożywia się Anto. — Mury stoją mocne i niewzruszone jak skała. Wypalone wnętrza łatwo odtworzyć, naplnić nowymi meblami, upiększyć dziełami nowej sztuki. I Tuilerie znowu będą Tuileriami, jak dawniej. Wierzę, że tego dokonasz.

Książę nie odrywa oczu od ognia. Mocniejsze uderzenie wiatru bluznęło w szybę falą ulewy. Ciemności wydawały się tak gęste i nieprzeniknione, że żadna latarnia nie przebiłaby grubej warstwy mroku. Tamiza huczała,

zalewana potokami deszczu. W drzewach wyl wiatr niczym bezpański pies, którego nikt nie chce wpuścić do ciepłego domu.

— Słuchaj, Anto — Ludwik Conneau odchylił się na oparcie krzesła i wyrzucił w górę ramiona. — Mam nadzieję, że pan Żeran nie zaprzestaje poszukiwań?

85

Chłopcy ślęczą nad mapą Ameryki Północnej i studiują taktykę Waszyngtona w walkach o niepodległość.

— O tak — Lu podnosi głowę. — Powiedz, Anto, co pisze twoja siostra. Dawno o tym nie rozmawialiśmy.

— Nie ma na nic czasu — Anto wzrusza ramionami. — Ryszard i Róża przyjadą na twoją uroczystość — dodaje wbijając chorągiewkę w kółeczko opatrzone nazwą „Savannah”.

— Na naszą uroczystość — poprawia księżę. — Czy zapomniałeś, że urodziliśmy się jednego dnia i że jestem od ciebie starszy o parę godzin? — dorzuca ze sztuczną powagą.

— Ty będziesz pełnoletni, ale ja... Róża uważa, że zmadrzeję dopiero wówczas, gdy skończę dwadzieścia jeden lat. — Anto mężnie stara się ukryć gorycz owego stwierdzenia.

— Wcale nie jestem tego taki pewien — mruczy Conneau. — Ale powiedz nam, co z Melą?

— Nie wiem. Latem Ryszard znowu był na południu Francji, tam gdzie wydarzyła się katastrofa. Rozmawiał z właścicielem hotelu, w którym mieszkała angielska rodzina, pamiętacie, ta co zabrała uratowaną dziewczynkę.

— No tak, wiemy o tym. Wiemy też, że hotelarz nie podał adresu Anglików.

— Powiedział, że jako miejsce stałego zamieszkania Anglicy podali Londyn, nic więcej. A uratowana dziewczynka była także Angielką, bo doskonale mówiła po angielsku.

— Mela dobrze znała język, prawda?

— O tak, miała angielską guwernantkę. Pamiętam ją nawet. Nazywała się Miss Alicja.

— Nie ma wątpliwości, że to Mela — stwierdził stanowczo Conneau. — Wszystko się przecież zgadza: miejsce i czas, no i znajomość angielskie-

go.

— Ile lat ma teraz Mela? — zainteresował się książę.

— Czternaście. Poznałbym ją, nawet gdyby była stara. Ryszard użył wszelkich sposobów, żeby hotelarza zmusić do mówienia. Niestety, ani prośby, ani groźby, ani pieniądze nie rozwiązały mu języka.

— A co na to policja?

— Policja... Rozmawiał z nim komisarz z Mentony, ten sam, który pomagał Miguelowi Toreno przy poszukiwaniu Ryszarda. Nic z niego nie wydobył, ani słowa. A służba hotelowa powtarza tę samą śpiewkę. Nic nie

86

wiedzą i basta. Pamiętają tylko, że ci Anglicy, wpisując się do książki hotelowej, podali w adresie Londyn. Nazwiska też nie potrafią powtórzyć.

„Takie cudzoziemskie” — mówią.

— Jest więc książka hotelowa. W takim razie...

— Nic nie ma. Książka hotelowa spaliła się niedawno.

— Spalono ją — poprawił Conneau.

— Przypuszczalnie. Powiedzieli, że w hotelu wybuchł pożar. Wielkich strat nie było, tylko ta książka i jakieś rachunki...

— Spalono je umyślnie — powtórzył Conneau — na czyjeś polecenie. Żeby zatrzeć ślady.

— To samo mówią i Ryszard, i komisarz. Ale jaka na to rada? Książka przepadła.

— Może ją ukryto?

— Nie, spłonęła wraz z rachunkami i częścią kontuaru. Ryszard zlecił poszukiwania tu, w Londynie, specjalnemu agentowi. W portowym biurze w Dover sprawdzono spisy pasażerów, którzy owego lata przeprawili się przez kanał La Manche. Agent zanotował nazwiska i adresy kilkudziesięciu rodzin.

— Wobec tego należy mieć nadzieję — zauważył książę. — Anglicy to naród niezwykle metodyczny. Zapisują wszystko i przechowują pieczołowicie wszelkie dokumenty. I jeżeli to była rzeczywiście rodzina z Londynu...

— Tak zeznała francuska służba hotelowa. Agent Ryszarda dotarł już do tych ludzi, ale okazało się, że żadna z tych rodzin nie spędziła wakacji nad Morzem Śródziemnym. Co do jednej z nich nic nie wiadomo. Nazywają się Roberts i parę miesięcy temu wyjechali do Indii. Może to wła-

śnie oni?

— A może to wcale nie są mieszkańcy Londynu? Może trzeba szukać na prowincji? Niech ten agent sprawdzi wszystkich, którzy wówczas płynęli do Calais.

— Chyba to robi. Ryszard nie żałuje pieniędzy. Róża o niczym innym nie mówi. Ciągłe tylko Mela i Mela. A Zelia... ech — machnął ręką Anto — gdybym mógł, latałbym po Londynie i szukał.

— I nic byś nie znalazł — ziewnął Conneau. — Znudziły mnie już te mapy, a najbardziej ta przeklęta bitwa pod Savannah...

— Stój! — krzyknął Anto. — Bitwa pod Savannah dotyczy i Polski. Tam poległ mój rodak Kazimierz Pułaski, nasz bohater narodowy.

— Walczył przeciw Anglikom? — zainteresował się książę.

— Polacy zawsze walczą u boku tych, co pragną włości. Anglicy to gnębciele.

— Nie plwaj na mundur, który nosisz — upomniał Conneau z przesadną surowością.

— To mundur szkoły, nie wojska.

— Wojska, wojska — rozstrzygnął książę. — Wyjdiesz z Woolwich porucznikiem. Niemniej jestem po stronie Waszyngtona i twojego Pułaskiego, choć i ja noszę angielski mundur. Ale to nic. Czasy się zmieniają. Ludzie też nie pozostają tacy sami. A wracając do Meli, jestem pewien, że pan Żeran ją odnajdzie. Tego wymaga sprawiedliwość.

— Sprawiedliwość — zamruczał Anto. — Nie wiecie jeszcze wszystkiego — dorzucił ponuro.

— Co takiego?

— Nie tylko Ryszard szuka Meli. Ten jego agent zetknął się z kimś, kto równie jak on poszukuje dziewczynki. Obaj idą tym samym tropem. Który z nich pierwszy ją odnajdzie? Oto jest pytanie, jak mówi stary Szekspir. I to może okazać się bardzo niebezpieczne. Bo jeżeli tego drugiego agenta wynajął stryj Meli...

— Naturalnie, że stryj — Conneau uderzył pięścią w stół. — Do licha, żebyśmy byli wolni, dopomogliśmy temu agentowi pana Żerana.

— Róża pisze, że to podobno zręczny człowiek. Raz udało mu się nawet wyprowadzić przeciwnika w pole.

— O, jakże chętnie pomogliśmy — westchnął Lu starannie zwijając mapę. — Cieszę się, że znowu zobaczę pana Żerana — dodał i kilkakrotnie potrzęsął głową.

— Umieram z głodu! — krzyknął Conneau, zrywając się z krzesła. — Chodźmy wreszcie na kolację. Już czas najwyższy. Ta amerykańska wojna dziwnie pobudza apetyt. Nie uważacie?

Szesnastego marca tysiąc osiemset siedemdziesiątego czwartego roku dzień wstał szary, chłodny i wilgotny, ot, prawdziwie angielski ranek, choć tego dnia przypadają urodziny francuskiego księcia.

Mimo tak brzydkiej pogody nie zawiedli wierni stronnicy Bonapartych, nie zawahali się puścić na burzliwe w tym okresie morze, niepomni kosztów i trudów podróży stawili się tłumnie w Chislehurst.

Pielgrzymi podobni do owych pradawnych rycerzy Okrągłego Stołu, tak samo jak oni dążący do swojego Graala, przeszło ośmiotysięczną rzeszę zapełnili gęsto aleje i trawniki Camden Place. Wśród nich można było

89  
dostrzec wielu dawnych dygnitarzy cesarstwa, członków Zgromadzenia Narodowego, ministrów, prefektów, odwołanych z pamiętnym a tragicznym dniem czwartego września.

Cesarzowa Eugenia, odchyliwszy firankę w oknie sypialni, z przerażeniem ujrzała rozfałowany tłum cierpliwie oczekujący na ukazanie się bohatera dnia.

Z początku była przeciwna nadawaniu takiego rozgłosu rodzinnej bądź co bądź uroczystości.

— A nuż Anglia nie będzie zadowolona z napoleońskiej manifestacji — przekładała panu Rouherowi. — Korzystamy przecież z gościny królowej Wiktorii i byłoby nieładnie...

Eks-minister rozwiął jej obawy.

— Najwyższy czas — odpowiedział — by księżę dał się poznać światu jako już pełnoletni pretendent do francuskiego tronu, jako ten, który nawiąże do cesarskiej tradycji Napoleonów. Poza tym, czyż plebiscyt z ósmego maja nie wykazał, że Francja pragnie kontynuacji dynastii Bonapartych? Wszystko, co czynimy, Madame, jest jak najbardziej legalne i praworządne.

Lu również potrzebował zapewnień pana Rouhera, który z właściwą mu energią wypowiedział się o wielkim znaczeniu podobnej ceremonii dla „sprawy”. Księżę bał się, by po bonapartystowskiej demonstracji nie zatrzaśnięto przed nim bram Woolwich. Rząd francuski miał długie ramię, mógł skutecznie interweniować u pierwszego ministra Jej Królewskiej Mości.



Wśród nagich jeszcze drzew Camden Place ludzie stali w milczeniu, głowa przy głowie, nie czując, zdawałoby się, chłodu ani przenikającej najgrubsze nawet ubranie wilgoci.

Na ten dzień książę zrzucił mundur angielskiego kadeta. Na białej kamizelce znowu płonęła Wielka Wstęga Legii Honorowej, ustanowionej przez generała Bonaparte przed przeszło siedemdziesięciu laty dla uczczenia zarówno bohaterstwa na polu bitwy, jak i czynów wymagających cywilnej odwagi i poświęcenia.

Ludwik Napoleon otrzymał ten order za darmo, wówczas gdy leżał jeszcze w kołysce, być może na poczet tego, czego kiedyś dokona dla Francji.

W imieniu przybyłych głos zabrał książę Padwy, stwierdzając wobec całej Europy, że Francja ma prawo wybrać rząd po swojej myśli, że idea cesarstwa żyje nadal wśród ludu. Zwracając się zaś do księcia prosił, by potomek Bonapartych gotował się do „spełnienia zamiarów Opatrzności”. Cesarzowa Eugenia dała się opanować entuzjastycznej atmosferze owego zgromadzenia. Mówca wyrażał przecież jej własne myśli i życzenia. Cóż w tym

90

dziwnego, że Francja pragnie powrotu cesarstwa? Jej syn godny jest tronu, godny najwyższych zaszczytów, spełni marzenia tych, co w nim pokładają nadzieję.

Oczy Lu błyszczały, gdy tak stał z podniesioną głową, wystawiony na spojrzenia tysięcy źrenic. Na nieśmiałość i treść nie było teraz miejsca. Należało godnie odpowiedzieć na przemówienie, proklamujące go głową bonapartystowskiego stronnictwa.

Śmiało wystąpił naprzód.

Cóż z tego, że wszyscy patrzą na „małego księcia”? We wzroku obecnych pali się wzruszenie, sympatia i podziw. Wzruszenie spłynęło lżą na pomarszczony policzek, drżenie rąk mówiło o dzisiejszym smutku i jutrzejszej nadziei.

— Panowie — w miarę jak mówił, głos księcia nabierał metalicznych dźwięków. — Gromadząc się dziś w tym miejscu, daliście wyraz wierności i przywiązaniu do pamięci cesarza. I za to pragnę wam podziękować. W chłodnym powietrzu podlondyńskiej wsi głos młodego człowieka niósł się daleko, aż do ścian niewielkiego kościoła, gdzie spoczywał ten, którego brak w tej doniosłej chwili odczuli boleśnie nie tylko syn i żona, lecz

ogół zgromadzonych.

— Przybyliście tu ze wszystkich stron Francji, by dać świadectwo prawdzie, by pomścić kalumnie rzucane na tego, którego ostatni dzień spędzony na francuskiej ziemi był dniem bohaterstwa, poświęcenia i zaparcia się siebie.

Księżę wodzi wzrokiem po uniesionych ku niemu twarzach. „Gdyby ojciec żył... gdyby żył...”

Nagła rozpacz zaciska gardło, nasuwa Jagłę przed oczy. Nie wolno jednak poddawać się smutkowi, nie wolno okazać słabości wobec tych, co w nim szukają oparcia, co z jego losem wiążą nie tylko swój własny los, ale i nadzieje Francji.

— Wasza obecność przy mnie w tym dniu świadczy, jak bardzo Francję niepokoją nadchodzące lata. Naród pragnie położyć wreszcie trwałe fundamenty pod sprawiedliwe rządy. Jedynie plebiscyt jest w stanie spełnić to życzenie. Naród ma do niego prawo. Nie wolno dzielić Francuzów na zwyczajców i na zwyczajonych. Jedno wielkie pragnienie służenia ojczyźnie, wznosząc się ponad wszelkie rozdzwięki, winno pogodzić zwaśnionych.

To prawda. Cesarzowa Eugenia spogląda na syna z podziwem. Jej dziecko, jej Ludwik jest więc już tak dojrzały? Rozumie tyle spraw dziejących się daleko stąd, za morzem, na tej ziemi, która była jego kolebką?

91

— Czy Francja zwróci oczy na syna Napoleona Trzeciego? Ta nadzieja budzi we mnie lęk. Cesarz nauczył mnie, jak ciężkie jest brzemień władzy oraz ile trzeba mieć wiary w siebie i poczucia obowiązku, by godnie wypełnić to tak ogromne zadanie.

O tak, władza ciąży nawet bardzo mocnym ramionom. Cóż więc rzec o tym delikatnym chłopcu, który z błyskiem w oczach gotów jest włożyć głowę w to jarzmo? Głuche westchnienie niczym podmuch wiatru przelatuje ponad zebrany tłum, który lituje się nad przeznaczeniem „małego księcia”.

— Wiara w ten obowiązek doda mi sił i nauczy tego wszystkiego, czego nie dostaje mojemu niedoświadczeniu i młodości. Złączony z Matką najgorętszym i pełnym wdzięczności uczuciem uczynię wszystko, by nadrobić brakujące mi lata. A jeżeli inna forma rządu lepiej odpowie oczekiwaniom Francuzów, pochylę głowę przed decyzją narodu.

Wszystkie oczy obróciły się ku cesarzowej Eugenii.

— Szczęśliwa matka — szeptano. — Czyż istnieje coś piękniejszego niż hołd złożony matce przez syna?

O, jakże ujęła zebranych ta synowska miłość, wyrażona tak szczerze wobec świata! Ojcowie rodzin zapisali jeszcze i to na korzyść młodego pretendenta.

— Jeżeli w urnach wyborczych przeważy imię Napoleona — zdrzął wzruszeniem głos księcia — jestem gotów przyjąć odpowiedzialność za losy Francji.

Któż mógłby wątpić w pomyślny wynik plebiscytu? Jakież inne imię mogło przeważać imię Napoleona? Przy zmurszałych potomkach Burbonów i Orleanów tylko młoda dynastia Bonapartych posiada potrzebną moc, by uszczęśliwić Francję.

— Panowie — księżę jak gdyby przenikał ich pragnienia — odkryłem przed wami moje myśli. Jestem wam wdzięczny, że, aby je poznać, odbyliście długą i uciążliwą drogę. Zanieście nieobecny moje pozdrowienie, Francji życzenia jednego z jej synów. Moja odwaga i moje życie do niej należą. Oby Bóg czuwał nad Francją i przywrócił jej wielkość i dobrobyt! Dawno przebrzmiały ostatnie słowa księcia, a cisza wciąż trwała. Ludzi dławili łzy, ból i smutek bez granic.

— Niech żyje Napoleon Czwarty! — osiem tysięcy ust wydało wreszcie ów okrzyk, który wkrótce, być może, cała Francja powtórzy. Kto wie? Zebrani pragną tego z całego serca.

Krzyk nadziei przetacza się nad dachami Camden Place, leci swobodny 92

niczym wiatr, przelatuje morze, słychać go w najodleglejszych zakątkach Francji.

Ludzie szaleją, płaczą i śmieją się jednocześnie, rzucają się sobie w objęcia. Więc taki jest ich „mały księżę”? Czy godzi się zostawić na wygnaniu, na obczyźnie tego dziedzica Bonapartych? Syna ich ziemi? Nie, to niemożliwe. „Mały księżę” jest ich dzieckiem, krwią z ich krwi, kością z ich kości. Pójdą za nim lub zginą. Inaczej być nie może.

Anto mocno ściska rękę Róży. Chciałby płakać, a zamiast tego krzyczy razem z innymi: „Niech żyje Napoleon Czwarty!”

Napoleon Czwarty? Któż to taki? To przecież nie Lu, bliski, dobrze znany przyjaciel. To majestat, przed którym należy pochylić głowę i zgiąć kolano.

Wielka Wstęga Legii Honorowej przyciąga wzrok jak oko węża. Anto nie

może oderwać spojrzenia od szkarłatnej smugi. Smugi? To raczej krew... strumień krwi spływający z serca. Przy każdym ruchu, a nawet oddechu księcia załamania wstęgi coraz bardziej układają się w krwawe bryzgi, które przez otwarte rany plamą biel kamizelki.

Anto podnosi rękę do czoła. Co za myśli! Boże, w taki dzień takie myśli! Ich wspólne urodziny, a on o ranach i o krwi...

Róża z niepokojem spogląda na brata, daje Ryszardowi znak oczami.

Anto zaciska usta. Ta niedobra Wstęga Legii Honorowej rzuca krwawe błyski na twarz księcia. Oczy Lu wydają się zalane krwią. Anto kręci głowę w lewo, w prawo, zamyka oczy, byle oddalić te przerażające obrazy. Nic nie pomaga. Całą postać Lu spowija teraz czerwona mgła. Co to jest? Przecież nie ma słońca, szarość angielskiego dnia zabija wszelkie kolory, wszystko jest bezbarwne, tylko ta Legia Honorowa...

Anto czuje, że dzieje się z nim coś niedobrego. Chciałby podbiec do księcia i zerwać z niego to straszliwe szkarłatne znamię. Precz z krwawą wizją, jaką ta czerwień podsuwa pod powieki. Nawet z zamkniętymi oczami widzi Lu w krwawej powodzi. A ludzie krzyczą, wiwatują i nic nie rozumieją, nie widzą, że księciu grozi niebezpieczeństwo, wielkie niebezpieczeństwo!

Anto z trudem utrzymuje się na nogach. Ale oto Ryszard bierze go pod ramię i razem z Różą wyprowadzają na wolniejszą przestrzeń. Już mu lepiej, już lżej oddychać. Obchodzą dokoła dom. Jak dobrze znaleźć się w przytulnym saloniku, na kominku płonie ogień, krząta się pani Lebreton, serdecznie zaniepokojona stanem chłopca.

— Zmęczył się nauką i przygotowaniami do uroczystości — wyjaśnia Ryszard.

93

— Wzruszenie... przecież to i jego urodziny... — dodaje Róża.

Anto siedzi w fotelu i drżącą jeszcze ręką unosi do ust szklankę ze złocistym winem.

— Pokrzep się, dziecko — pani Lebreton miękkiem ruchem opiera dłoń na jego ramieniu. — My też jesteśmy dziś półprzytomni. To ta uroczystość... Boże, Boże... Dlaczego cesarz nie doczekał? Jakież byłby dumny z syna...

— Wszyscy jesteśmy dumni z Lu — Anto odstawia szklankę, łatwiej mu już mówić. — Na szczęście znikły potworne widziadła. Wszystko dokoła

niego jest takie samo jak zawsze. Czarna głowa Ryszarda, jasny kapelusz Róży, popielata suknia pani Lebreton.

— Anto, co to było? — Róża przysuwa twarz do twarzy brata.

— Nie wiem — Anto czuje się zażenowany. — Doprawdy sam tego nie rozumiem... Widziałem tyle krwi dokoła Lu... Chyba to wina koloru Wielkiej Wstęgi... — Wstyd mu, że zachował się jak byle dziewucha. Zastąpił czy co? Oby tylko Lu nie dowiedział się...

— Nie mów o tym Lu — szepcze Róża, jak gdyby dosłyszała jego myśl. — Zmów na jego intencję „Zdrowaś Maria”. I nigdy więcej tego nie przypominaj. Nie trzeba. To było zmęczenie. Przejąłeś się uroczystością. Nic zresztą dziwnego, my wszyscy...

Anto tuli się do siostry. Już mu lepiej. Przy niej czuje się znowu bezpieczny, jak dawniej, gdy był mały.

Ryszard wyszedł, nie chciał, by zauważono ich nieobecność. Róża klęczy przy fotelu Anta, obejmując brata ramionami. Na kominku trzeszczą rozpalone głownie. Pani Lebreton wraca, niosąc tacę z zastawą do herbaty.

— Powinna się pani napić czegoś gorącego, droga pani Różo. — Stawia tacę na okrągłym stoliczku. — Pani też się zmęczyła i zziębła. Nie ma na to lepszego lekarstwa, jak gorąca herbata. Zobaczysz pani.

Zaledwie w Camden Place przebrzmiały owacje na cześć księcia i cesarzowej Eugenii, a już francuskie gazety, które właśnie nadeszły do Anglii, zagłuszyły entuzjastyczne okrzyki stekiem niewybrednych obelg. Za to angielska prasa uznała pełnoletniość księcia i związane z nią uroczystości za wydarzenie doniosłej wagi. „Times” nie zawahał się napisać: „Dziedzic Bonapartych ma na swoje usługi cały rząd w komplecie. Można więc powiedzieć, że trzyma już Drugie Cesarstwo w rękę, czekając tylko odpowiedniej chwili, by je przekształcić w Trzecie. Pruska inwazja jak również

94

intrygi republikańców spowodowały upadek cesarstwa, jednak jego organizacja pozostała nietknięta”.

Jeden z dzienników sugerował nawet, że po takiej manifestacji wierności księżę natychmiast powróci do Paryża.

Cesarzowa Eugenia z oburzeniem zaprzeczyła podobnym insynuacjom.

— Nigdy mój syn nie popełni podobnego głupstwa — oświadczyła wyniośle. — Gdyby teraz wrócił, jego prestiż upadłby bezpowrotnie.

Wygnanie lub tron, oto co mu pozostaje. Innego wyboru nie ma i nie będzie.

Przez cały ten czas Lu oczekiwał z niecierpliwością chwili, gdy znowu zasiądzie w sali wykładowej Woolwich. Tu czuł się najlepiej.

Tymczasem nad jego głową przetaczały się burze. Zanim bowiem rozjechali się do domów, stronnicy Bonapartych z niespodziewaną zajadłością skoczyli sobie do oczu.

— Dość tej nauki — wołali jedni. — Księżę jest pełnoletni i mundur kadeta w angielskiej szkole już mu nie przystoi. Musi wybierać: dyplom albo cesarska korona.

— Dyplom nikomu nie zawadzi, a wiele przyniesie korzyści — oponowali drudzy. — Woolwich to doskonała szkoła, a przyszły cesarz potrzebuje wojskowej formacji. Ma tu odpowiednich profesorów, którzy przygotowują go należycie do przyszłej, jakże wysokiej pozycji.

— Mam dość tego gadania — wybuchnął Lu, gdy trzej przyjaciele znaleźli się znowu w bezpiecznych murach Woolwich. — Ci panowie traktują mnie jak bezwolną kukłę. Dłużej tego nie zniosę.

— Uspokój się — Ludwik Conneau był z nich najbardziej zrównoważony. — Dasz im dobrą nauczkę, gdy zostaniesz cesarzem.

— Gdy zostanę cesarzem... — Lu nagle zamilkł.

— Co się stało?

— Nic — Lu był błądny i oddychał z trudem. — Nie wiem, czy kiedykolwiek zostanę cesarzem. A jeżeli Francja mnie nie zechce?

— Francja ciebie nie zechce? — oburzył się Anto.

— Czytaliście, co piszą paryskie gazety.

— Kto by się tym przejmował? — skrzywił się Conneau. — Głupie pi-smaki muszą coś pisać! Za to im przecież płacą. Teraz występują przeciw tobie, ale poczekaj, gdy zostaniesz Napoleonem Czwartym, będą cię wynosić pod niebiosa.

— Nie wiem, nie wiem... — Lu ścisnął skronie. — Czasem mi się wydaje...

— Nie wolno ci tak myśleć! — krzyknął Anto. — Nigdy, słyszysz?

95

— Anto ma rację — poparł przyjaciela Conneau. — A w ogóle po co ten pesymizm? Gdy zostaniesz cesarzem, zrobisz nas generałami albo i czymś więcej — zażartował.

— Nie opuście mnie? Będziecie zawsze ze mną?

— Zawsze — Conneau podniósł rękę jak do przysięgi. — My zawsze z tobą. Prawda, Anto? Za rok skończymy Woolwich i w triumfie wjedziemy do Paryża. Co prawda biedny Anto pozostanie jeszcze w akademii, ale my dwaj...

— Zazdroszczę mu — szepnął Lu. — Jakże będzie mi brak Woolwich i kolegów.

Tej nocy Anto źle spał. Niedawne krwawe widziadła powróciły pod zamknięte powieki. Na szczęście następnego dnia zjawił się Ryszard i zabrał chłopca do Londynu.

Siostra Anta i jej mąż byli już proszeni na obiad do Camden Place. Cesarzowa Eugenia z zachwytem rozwinęła piękną serwetę, prezent od dawnej hafciarki.

— Pamięta pani, droga pani Rózo, tę serwetę, którą pani wyhaftowała do serwisu z porcelany z Limoges?

— Pamiętam. Niczego nie zapomniałam.

— Co się z nią stało? Co się stało z tymi wszystkimi pięknymi rzeczami?

— Nie ma ich — twarz Róży pozostała pogodna. — Najważniejsze, Madame, że Jego Cesarska Wysokość jest już pełnoletni i że czeka go wspaniała przyszłość.

— O tak, ma pani rację. — Oczy cesarzowej Eugenii rozbłysły dumą i szczęściem. — Nie ma pani pojęcia, jak Ludwik cieszy się chusteczkami. Są podobne do tych niegdyś używanych, też pani roboty z równie pięknym monogramem.

Anto spędził w Londynie dwa dni z siostrą i ze szwagrem. Żeranowie zatrzymali się w hotelu „Continental”, a Ryszard co dzień konferował z panem Chathamem, owym agentem mającym za zadanie odnalezienie rodziny, która zaopiekowała się dziewczynką wyłowioną z morza.

Właśnie podczas pobytu Anta pan Chatham przyniósł wreszcie konkretne wiadomości.

— Wydaje się, że ci, których szukamy, to Robertowie — zaczął ostrożnie, siadając na wskazanym przez Różę krześle.

— Z czego pan to wnosi? — Ryszard odwrócił się od kominka.

96

— Udało mi się dotrzeć do niejakiej pani Hill, dawnej gospodyni u Robertów. Pani Hill nie chciała wyjeżdżać do Indii, wolała pozostać w Londynie. Ma niewielkie oszczędności, a że żyje skromnie... Rozmawiałem z nią.

— I co? — poderwała się Róża. — Co mówiła?

— Opowiedziała, że jej chlebodawcy przywieźli z Francji, gdzie spędzali wakacje, dziewczynkę uratowaną z katastrofy na morzu.

— To Mela, to Mela — Róża zacisnęła ręce.

— Tak, to może być ta dziewczynka. — Pan Chatham spojrzął na Ryszarda. — Nazywa się Alicja. Pani Hill nie zna jej nazwiska. Podobnie jak gospodyni, dziewczynka nie zechciała jechać do Indii. Państwo Robertsowie to dobrzy ludzie, traktowali ją jak własne dziecko. Mają młodszego syna i córkę. Pani Hill twierdzi, że dziewczynka źle zrobiła zostając. Nigdzie nie byłoby jej lepiej niż u Robertсів. Niestety, mała uparła się.

— Bardzo dobrze — Róża stała już gotowa do drogi. — Panie Chatham, gdzie ona jest? Zaraz tam jedziemy.

Pan Chatham poprawił się na krześle, znowu spojrzął na Ryszarda, po czym przeniósł wzrok na swoje ręce.

— Pani Hill podała mi adres rodziny, u której państwo Robertsowie zostawili dziewczynkę — zaczął.

— Dlaczego nie zaopiekowała się nią pani Hill? — przerwał Ryszard.

— Pani Hill nie jest już młoda — pan Chatham pokręcił głową. — Nie chciała obarczać się kłopotem. Pragnie spokojnego życia. — A po chwili dodał — uzyskawszy nowy adres, udałem się do państwa Skirringów.

— I co? Widział ją pan? — Róża nie ukrywała niecierpliwości.

— Dziewczynki już tam nie ma.

— Nie ma? Dlaczego?

— Gdzie więc jest?

Ryszard i Róża jednocześnie zadali te pytania.

— Wiecie, państwo, że nie tylko ja poszukuję tego dziecka — pan Chatham pochylał się do przodu i położył ręce na stoliku. — Jest jeszcze ktoś, kto idzie tym samym śladem. Ów człowiek trafił do państwa Skirringów inną drogą, nie przez panią Hill, i ubiegł mnie. W imieniu rodziny zażądał wydania dziewczynki. Podał przy tym jej prawdziwe imię i nazwisko. Mała, usłyszawszy to, zaprotestowała, powiedziała, że nazywa się Alicja Medlin i błagała pana Skirringa, by jej nie oddawał obcemu.

Pan Skirring wcale nie miał tego

7 — Talerz z Napoleonem

97

zamiaru, twierdzi też, że dziewczynka była bardzo przestraszona. Następ-



nego dnia zniknęła.

— Kiedy to się stało? — Ryszard usiadł naprzeciw agenta i otworzył notes. — Poproszę o adres pana Skirringa.

— Stało się to trzy dni temu. Pan Skirring natychmiast zawiadomił policję. Trwają poszukiwania dziewczynki. Na jej trop puszczone najzdolniejsze policyjne ogary. Trzeba mieć nadzieję. Problem jedynie w tym, że nie wiemy, czy uciekła sama, czy ją porwano.

— Widocznie podstępnie wywabiono ją z domu — podsunęła Róża.

— Wszystko jest możliwe, pan Skirring też tak sądzi, choć służba nie zauważyła niczego podejrzanego. Nikt nie przekazał małej listu ani żadnej wiadomości. Sama chyba też nie uciekła, bo i dokąd?

— Służba kłamie! — krzyknęła Róża. — To zupełnie jasne. Zwabiono ją.

— Jedziemy do pana Skirringa — zdecydował Ryszard.

— Pozwól, że i ja... — Anto nie mógł usiedzieć bezczynnie.

— Dobrze, chodź z nami.

Róża i Ryszard zostali jeszcze tydzień w Londynie. Niestety, poszukiwania policji nie przyniosły żadnego rezultatu. Dziewczynka po prostu rozplynęła się w angielskiej mgle, znikła, przepadła, nie zachował się najbłahszy choćby ślad, który mógłby doprowadzić do jej odnalezienia. Nic po niej nie zostało prócz sukienek w szafie i bielizny, w które pani Roberts obficie ją wyposażyła.

Pan Skirring był niepokieszony.

— Jak spojrzę w oczy Robertsom — biadał — zaufali mi, a ja...

— No cóż — stwierdził rzeczowo Ryszard. — Ostatecznie to nie pańska wina. Pan Chatham nie zaprzestanie poszukiwań. Liczę bardziej na jego spryt niż na działania policji.

Nie mylił się. Jeszcze tego samego tygodnia pan Chatham zawiadomił, że jego przeciwnik również nie złożył broni.

— Chwała Bogu, Mela nie dostała się w jego ręce — westchnęła Róża.

— To chyba w tej sytuacji najbardziej pocieszające.

— Tak — przyznał Ryszard. — No i wiemy już na pewno, że to Mela.

Anto w Woolwich dygotał z niecierpliwości.

— To jest Mela — oświadczyła uroczyście Róża, gdy wraz z mężem przybyli do Woolwich pożegnać brata. — Doskonale pamiętam, że angielska nauczycielka Meli nazywała się Miss Alicja Medlin.

Chłopiec był w rozpacz.

— Mieliśmy ją tak blisko — jęczał — i nic o niej nie wiedzieliśmy. Co z nią teraz jest? Gdzie ona?

^— Znajdziemy ją — pewnoś Ryszarda przyniosła zboląlemu sercu Anta nieco ulgi.

Cesarzowa Eugenia napisała w tej sprawie do królowej Wiktorii. Cała maszyna policyjna poszła w ruch.

— Nie sposób, by przy tak zorganizowanej akcji nie odszukano w Londynie jednej dziewczynki — oświadczył Lu i dodał uspokajająco: — Zobaczysz, wkrótce zabierzemy ją do Camden Place, zanim przyjedzie po nią pan Żeran.

Okazało się jednak, że Londyn jest bardzo wielki, a odszukanie w tym mieście jednej dziewczynki miało takie same szansę powodzenia, jak znalezienie igły w stogu siana.

— Ryszardzie, powiedz nam coś o sobie — Anto spojrział na szwagra prosząco. — Wszystko, co ciebie dotyczy, jest takie tajemnicze...

— O tak, przyłączam się do Anta — Róża odłożyła płatek batystu skrojony w miniaturową koszulkę. — Czas najwyższy, abym poznała sekrety „don Miguela Toreno”.

W domu Żeranów oczekiwano z niecierpliwością szczęśliwego wydarzenia. Najbardziej czynną w szykowaniu wyprawki była Zelia. Okazało się przy tym, że i Consuelo jest niezwykle uzdolniona i potrafi szyć prawdziwe cuda. Ona to przygotowała już teraz chrzestną sukienkę.

— Jakie sekrety? Co jest tajemnicze? — Ryszard odpędził od lampy gromadzące się wokół klosza ćmy. — Wszystko o mnie wiecie.

Było ciepło i cicho. W otwartych oknach falowały firanki, poruszane delikatnym oddechem wieczoru. Obrzeżone drzewami podwórze oddzielało ich pawilon od ulicy Catinat, mało zresztą ruchliwej, i łatwo było zapomnieć o wielkim Paryżu, a poczuć się swobodnie niczym w zacisznym prowincjonalnym miasteczku.

Anto cały dzień spędził z Tristanem Lambertem, odwiedzając dawnych

kolegów. Z przyjemnością zasiadł teraz w saloniku siostry, rozkoszując się atmosferą domu, poczuciem bezpieczeństwa, ciepłem i przyjaźnią.

— Co właściwie chcecie wiedzieć? — westchnął Ryszard z rezygnacją, widząc błyszczące ciekawością oczy Anta i nadąsaną minę Róży.

— Wszystko — pospieszył z odpowiedzią chłopiec.

— Absolutnie wszystko — dodała Róża. — I prosimy o szczerłość. Jak na spowiedzi.

— Twój dziad Zygmunt, przyjaciel naszego Dziadusia — zaczął Anto.

— Dziad Zygmunt zginął w tajemniczych okolicznościach podczas Powstania. — Ryszard utkwił wzrok w mlecznym szkle lampy.

100

— Wspominał pan Hutorowicz — szepnęła Róża. — To Damian...

— Tak. Zdobyto pewność, że zgubił go Damian, jego przyrodni brat. Ale co się z nim właściwie stało, jest do dziś dnia tajemnicą. Wiadomo tylko, że przepadł, jak gdyby nagle przestał istnieć. Jego żona z synem, moim ojcem, musiała uciec z kraju. Niestety, i we Francji nie czuła się bezpieczna. Nastawano na życie chłopca. Przyjaciele pomogli jej niepostrzeżenie przedostać się do Hiszpanii. Tam zgubiono jej ślad. Osiadła w Segowii. Na szczęście wywiozła sporą część kapitałów i pękata szkatułę biżuterii, mogła więc żyć spokojnie w tym pięknym kastylijskim miasteczku. Syn jej poślubił Hiszpankę, moją matkę, a prawdziwy Miguel Toreno był sierotą, wychowywanym wraz z siostrą przez intendenta dziadków. To chyba wszystko.

— Jak to wszystko? — oburzył się Anto. — A talerz?

— Poczekaj, Anto — przerwała Róża. — Powiedz, Ryszardzie, w jakich dokładnie okolicznościach zmarli twoi rodzice.

— Zmarli prawie jednocześnie — Ryszard spuścił głowę. — Panowała wówczas straszna epidemia tyfusu. Ja byłem w Salamance, na uniwersytecie. Mamę ojciec wysłał na wieś, ale zaraz wróciła, nie chciała rozstać się z nim. Znalaziono go pewnego wieczoru... niedaleko domu... ze sztyletem w plecach. — Ryszard zamilkł, a po chwili dodał zaciskając ręce: — Mama umarła z rozpacz.

— Mój Boże, Ryszardzie, drogi, kochany — Róża przytuliła do serca głowę męża. — Co ty przeżyłeś! Co przeżyłeś!

— Przeżyłem — Ryszard zamknął oczy. Chciał może oddalić tragiczną wizję? — Wówczas powziąłem decyzję — dodał szeptem.

— Boże, Boże — płakała Róża.

— Zostałem sam. Byłem już dorosły, ale to tym ciężiej. Ja, ostatni z Żeranów. Nie miałem nikogo. I postanowiłem działać. Należało ratować niewinnych. Nie dopuścić do dalszych zbrodni. Mój ojciec padł ofiarą nienawiści Damiana do rodziny Żeranów, ale innych Damian niszczył z pobudek politycznych. Był ciągle na rosyjskim żołdzie. Rodacy ufali mu. Wtajemniczyłem w moje plany Miguela Toreno. Zналиśmy się przecież od dziecka. I wyruszyliśmy do Paryża. Nic tu o mnie nie wiadano, i to mi ułatwiło zadanie. Udało mi się nawiązać kontakt z grupą Polaków, prowadzących patriotyczną działalność. Zostałem nawet łącznikiem między nimi a cesarzem. Napoleon III sprzyjał nam, oficjalnie jednak nie mógł deklarować się ze zbyt' wielką pomocą. Liberia, jaką nosiłem w Tuileriach, ułatwiała zadanie. Wróg, niestety, dotarł i do pałacu.

101

— O tak — westchnęła Róża.

— Nazwisko moje ujawnione, nie wiem w jaki sposób, znalazło się na liście zaproszonych na bal i miało przyczynić się do zdemaskowania mnie wobec wrogów. Była to ciężka walka, bez chwili wytchnienia.

— Omal nie zginąłeś wówczas, gdy cię napadnięto tuż pod drzwiami cesarza — wzdrygnęła się Róża.

— Miguel Toreno uratował mi życie. Gdyby nie on... Ale ty pytałeś o talerz — niski głos mówiącego był znowu spokojny i opanowany.

— Tak, talerz — Anto wstydził się trochę swojej niedyskretnej ciekawości.

— Dziad Zygmunt miał go w wielkim poważaniu, był to niejako symbol przyjaźni. Żona jego zabrała tę pamiątkę na wygnanie. Mój ojciec w dalszym ciągu otaczał malowanego Napoleona zabobonną nieledwie czcią. Po jego śmierci talerz stał się moją własnością. Nie przywiązywałem już tak wielkiej wagi do tej rodzinnej pamiątki, a poproszony przez Jadzię Narzyską na chrzestnego ojca, podarowałem talerz Meli.

— Bardzo źle — mruknął Anto.

— Dlaczego?

— Bo teraz nie ma ani Meli, ani talerza.

— Ależ, Anto — zgromiła brata Róża. — Co ma talerz do rzeczy i co to za porównanie? Szukamy Meli, a talerz...

— Bez talerza nie odnajdziemy Meli. Czy nie rozumiecie? Ona jest ostatnią posiadaczką tej relikwii.

— I co z tego?

— Jak to, co z tego?

— Doprawdy, chyba zwariowałeś!

— Nie, Różyczko, nie zwariowałem. Wiem dobrze, że takie talerze były tylko dwa, od początku. I znowu muszą być dwa razem. U przyjaciół, nie u wrogów. Ja w każdym razie zajmę się teraz talerzem, niech pan Chatham w dalszym ciągu przetrząsa Londyn.

— Pan Chatham depcze po piętach swojemu przeciwnikowi — oznajmił Ryszard. — Napisał ostatnio, że nie spuszcza go z oka, bo i tamten nie zaprzestaje poszukiwań. Pan Chatham dwoi się i troi. Upoważniłem go, by wybrał sobie pomocnika.

— Słuchajcie — Anto wstał. — A może talerz jest jeszcze w domu pani Narzymskiej? Stłuczony, ukryty, ale na miejscu? Należałoby ponownie przetrząsnąć wszystkie pokoje, a także strych i piwnice.

102

— Zrobiliśmy to, niestety, bez rezultatu.

— Komu mogło zależeć na talerzu? — rozważał głośno Anto. — Na takim sewrskim talerzu z wyszczerbionym brzegiem? Nie mógł go zabrać aden przygodny włóczęga. To musiał zrobić ktoś, kto wiedział, co ten talerz Ha nas znaczy. To mógł być wyłącznie Damian Dobrocki.

— Dziad Damian dawno już nie żyje — zauważył Ryszard.

— Czy aby na pewno?

— Na pewno. Był już bardzo stary, choć trzymał się zadziwiająco dobrze.

— Był w wieku pana Hutorowicza — wspomniała Róża — a pan iutorowicz nie przeżył wojny.

— Damian również nie przeżył wojny — stwierdził sucho Ryszard.

— Ale w czasie oblężenia talerz wisiał jeszcze w pokoju Meli — upierał się Anto.

— Tak, widziałem go.

— Tylko jednemu człowiekowi mogło zależeć na talerzu — Anto mówił i zupełną pewnością siebie. — Jeżeli więc nie jest to Damian, musi to być stryj Meli.

— Po co mu talerz? — zdziwiła się Róża.

— Nie wiem. Ale wiem, że talerz jest u niego. Ryszardzie, proszę cię, zapytaj go wręcz.

— Nie utrzymujemy z nim żadnych stosunków — pospieszyła z wyjaśnieniem Róża.

— To nie ma znaczenia — znecierpliwiał się Anto. — To sprawa o wiele ważniejsza niż jakieś tam głupie towarzyskie konwenanse.

— Jeżeli tak ci na tym zależy...

— Tak, Ryszardzie, bardzo mi zależy.

Ryszard obiecał i dotrzymał obietnicy. Odwiedził Wacława Narzymskiego nazajutrz przed obiadem. Pan domu przyjął go w szlafroku, ziewając ukradkiem. Wyglądał źle, jak gdyby wstał po chorobie lub po zbyt wesoło spędzonej nocy.

— Talerz? Jaki talerz? — zdziwił się nieszczerze.

— Sewrski talerz z Napoleonem, który ofiarowałem Meli — wyjaśnił cierpliwie Ryszard. — Musiał go pan widywać w pokoju dziewczynki. Był tam jeszcze po kapitulacji.

— Doprawdy, nie przypominam sobie — uśmiech pana Narzymskiego miał być rozbijający, ale przypominał raczej grymas. — Nie przyglądałem

103

się... Co prawda nie wiem, czy choć raz wszedłem do pokoju małej.

Może jednak dozorca...? Jak pan pamięta, byłem w wojsku, dom stał pusty, nie wiem, co się tu wówczas działo.

— Był pan w wojsku na początku wojny — przypomniał Ryszard. — Ale później?

— Później wstąpiłem do Armii Loary — powiedział pospiesznie pan Narzymski. — Wraz z generałem Bourbaki przeszedłem szwajcarską granicę. Tam nas rozbrojono. A czy mogę wiedzieć, dlaczego tak pana interesuje ten talerz?

— To moja żona. Uparła się, by mieć pamiątkę po Meli. Bardzo jej na tym zależy. Ten talerz widywała w pokoju dziewczynki. Mela była przywiązana do tej rodzinnej pamiątki.

— No tak — pan Narzymski pokiwał głową z fałszywym współczuciem. — Niestety, w niczym nie mogę panu pomóc. Dom zastałem otwarty na cztery wiatry. Każdy mógł tam wejść i wynieść, co mu się podobało. Zupełna dewastacja.

— Nie zamierza pan odrestaurować pałacyku?

— Na to potrzeba milionów — zachnęła się pan Narzymski.

— Kłamie — oznajmił Ryszard w domu. — Ja też przeszedłem granicę szwajcarską z armią generała Bourbaki. Nie było go wśród żołnierzy. W ogóle nikt o nim nie słyszał. Mieliśmy na niego oko, podobnie jak na Da-

miana, ale uszedł uwagi i nie wiadomo, co robił. Obawiam się najgorszego.

— Czy myślisz, że służył Prusakom? — zaniepokoiła się Róża.

— Wszystko jest możliwe — mruknął Ryszard.

— Słuchajcie — Anto zamachał rękami. — Należałoby włamać się do mieszkania Waclawa Narzymskiego i przeszukać pokoje. Innego wyjścia nie ma.

— Powiedz, Anto — Róża spojrzała uważnie na brata — co ty wciąż o tym talerzu? Nigdy o nim nie mówiłeś, a teraz od jego znalezienia uzależniasz los Meli. Co się stało?

— Nie wiem — Anto potrząsnął głową. — Doprawdy nie wiem. To tak samo jak wówczas, podczas uroczystości w Chislehurst — dodał ciszej. Całe wakacje Anto poświęcił na poszukiwania. Można powiedzieć, że z jakąś gorączkową furją przewrócił pałacyk Narzymskich do góry nogami. W codziennych wyprawach w aleję Cesarzowej towarzyszył mu Miguel

104

Toreno, również zainteresowany całą sprawą. Róża nie przestawała bać się spotkania brata z szukającym w opuszczonym domu kryjówki opryskiem.

— Zamiast korzystać z lata i pięknej pogody — utyskiwała — łykasz tu many kurzu i przierzucasz góry rupieci.

— Tak trzeba — odpowiadał zaciskając zęby. — Inaczej nie znajdziemy Meli.

— Co ma talerz... — zaczynała Róża, ale widząc wzrok chłopca, dodawała prędko. — Dobrze już, dobrze.

W Londynie pan Chatham również nie próżnował. Wspomagany przez młodego człowieka imieniem Sam, górował teraz nad przeciwnikiem. Pan Narzymski nie kwapił się z przydaniem pomocy swojemu agentowi. Miał widać jak zwykle pieniężne kłopoty, a wierzyciele stawali się coraz mniej uprzejmi.

Gdy ostatni raz Anto i Miguel Toreno zbliżali się do bramy pałacyku w alei Cesarzowej, zza domu wyłonił się jakiś człowiek. Od razu poznali, że wynosił nie swoją własność, oglądał się bowiem za siebie, przytrzymując obiema rękami kurtkę, pod którą coś ukrywał.

— To złodziej — szepnął Anto. — Zaraz go przyłapiemy. Nieznajomy nie mógł ich wyminąć.

— Co pan stąd wyniósł? — Anto wskazał białą fasadę. — I kim pan jest? Nieznajomy drgnął, ale jego zaskoczenie nie trwało długo.

— To pański dom? — wskazał głową pałacyk. Widać było wyraźnie, że powoli odzyskuje pewność siebie. — Piękna rezydencja — dodał już zupełnie uspokojony. — Szkoda, że tak niszczeje.

— Proszę pokazać, co pan tu ma — Anto dotknął wypukłości u boku człowieka.

— To? — uśmiechnął się nieznajomy pogodnie, jak osoba o czystym sumieniu, po czym odchylił połą, ukazując porcelanową lampę w chiński wzór. — Mam sklep ze starzyzną — wyjaśnił uprzejmie. — Klienci poszukują takich rzeczy, a to tu i tak nikomu niepotrzebne.

— Gdzie ten pański sklep? — wmieszał się do rozmowy milczący dotąd Miguel Toreno. — Chcielibyśmy zobaczyć, co pan już zabrał z naszego domu. Nie pierwszy to chyba raz pan tu przychodzi, co?

— Nie pierwszy — przyznał szczerze nieznajomy. — Proszę bardzo, jeśli panom zależy na tej lampie...

— Może ją pan zatrzymać — burknął Anto. — Ale my też lubimy starocie, chodźmy więc zobaczyć do pańskiego sklepu.

105

— Chodźmy — zgodził się nieznajomy.

Wrócili na Pola Elizejskie. Człowiek szedł milcząc. Lampę niósł teraz jawnie, w rękę, nie kryjąc jej pod kurtką, jak swoją legalną własność.

Anto pragnąłby biec, pędzić do sklepu antykwariusza, nieledwie pewny, że czeka tam na niego upragniony talerz.

Miguel Toreno szedł obok nieznajomego, jak gdyby w obawie, by człowiek nie zbiegł, znalazłszy się w wąskich i gęsto zabudowanych ulicach. Wreszcie ujrzeli pomalowane na zielono okiennice i drzwi, nad którymi kołysał się wycięty w blasze ozdobny napis: „A. Faillard — Starożytności”. W dwóch wystawowych oknach rozkładały się brzuchate chińskie wazy, posążki Buddy, przedmioty z kości słoniowej, wachlarze malowane w pasterskie sceny, tabakierki, puzderka i sepeciki, srebrne lichtarze, stara broń oraz sto innych osobliwości.

Właściciel wyciągnął z kieszeni wielki klucz i szerokim gestem zaprosił towarzyszące mu osoby.

— Niech się panowie rozejrzą — wskazał ciemnawe wnętrze. — Może coś się paniczowi spodoba — zwrócił się do Anta.

— Może coś i kupimy — Anto przestąpił próg rozdzierany niepewnością



i nadzieją.

Kupiec postawił lampę na kontuarze. Na półkach zalegały sterty „starożytności”.

— Niech pan wybiera — zachęcał.

— Czy są u pana talerze? — Anto ledwie wydobył głos ze ściśniętej krtani. — Stare porcelanowe talerze?

— Mam nawet angielski serwis obiadowy. Brak co prawda solniczki, ale...

— Nie, nie, nie chcemy serwisu. Chodzi nam o talerze, o sewrskie talerze, malowane...

— A jakże, mam ich wiele. Proszę za mną.

Za sklepem znajdował się prawdziwy skład rupieci, wśród których amator „starożytności” znalazłby bez wątpienia wiele cennych przedmiotów, a nawet dzieł sztuki.

Pan Faillard odsunął jakieś obrazy, odstawił gipsowe figury dwunastu apostołów, alabastrowe posąжки zwierząt, odłożył na bok splewiałe brokaty i dostał się wreszcie do półki z porcelaną. Zadzźwięczały przesuwane filiżanki, cukierniczki, bombonierki — wreszcie kupiec wydobył talerze. Podawał je gościom jeden po drugim. Na żadnym nie było wizerunku Napoleona.

106

— Proszę nam pokazać, co pan wyniósł z pałacyku przy alei Cesarzowej

— powiedział w pewnej chwili Miguel Toreno, odstawiając ostatni talerz. Pan Faillard zmieszał się nieco.

Różne rzeczy — zrobił nieokreślony ruch ręką. — W każdym razie nic cennego — dodał prędko. — Ot, prawie wszystko obtłuczone i pooblamywa-ne — wskazał najdalszy kąt magazynu. — Wszystko wymaga naprawy... Jeżeli pan sobie życzy... — zwrócił się do Anta — ja zapłacę. Jestem kupcem, nie złodziejem, uczciwym kupcem, niech pan popyta sąsiadów. Znają mnie tu wszyscy od wielu lat. Widząc opuszczony i zrujnowany dom, z prostej ciekawości wszedłem do środka. Przyznaję, może to nie było w porządku, ale tyle teraz marnuje się wszelakiego dobra, bez właścicieli, aż serce boli, a ja mam taką antykwarską żyłkę... trudno mi przejść obojętnie... pan rozumie... ale chętnie zapłacę.

— Szukamy talerza — Miguel Toreno przerwał tłumaczenie właściciela sklepu. — Rozumiemy pana dobrze i nie mamy pretensji. Szukamy talerza, talerza z Napoleonem. Wisiał w pałacyku w pokoju na pierwszym

piętrze. Może pan go zabrał? Kupimy go jak zwykli klienci.

Pan Faillard ze współczuciem pokiwał głową.

Tak, tak, wiem, pewnie pamiątka, co? Miałem kiedyś wiele takich talerzy. Teraz one nie w modzie — zaśmiał się cicho — dlatego pewnie ludzie ich szukają. W pańskim domu takiego nie było. Mówię szczerą prawdę i może pan polegać na moim słowie. Musiał go zabrać ktoś inny. Mało to włóczęgów, bezdomnych i złodziei wałęsa się po Paryżu? Zresztą nie pan jeden interesuje się talerzem z Napoleonem. Parę miesięcy temu był tu pewien młody pan... Wielki pan... też pytał o Napoleona. Zostawił nawet adres. O, tu mam jego kartę. — Z szuflady wyjął elegancki bilet wizytowy. — Nazwisko cudzoziemskie, trudne do odczytania... ale to prawdziwy pan, zaraz widać.

Na bilecie widniało: „Wacław Narzyski”, wypisane ozdobną kursywą. — Panie Faillard Antosiewi drżała ręka, gdy oddawał bilet. — Mam do pana wielką prośbę. Jeżeli trafi do pańskiego sklepu sewrski talerz z Napoleonem, proszę nie pokazywać go temu panu. Ani nikomu innemu — dodał z naciskiem — tylko nam. Czy mogę liczyć na pana?

— Ten młody pan prosił mnie o to samo — zaśmiał się szeroko kupiec.

— Jakie to dziwne! Za cesarstwa stały u mnie setki takich talerzy, nikt na nie nie spojrział. Gdy mamy republikę, każdy pyta o pamiątki z cesarzem, tym pierwszym i tym ostatnim. Dobrze, dobrze — dodał widząc wyraz twarzy Anta — odłożę dla pana i nie pokażę nikomu. Byle tylko ktoś przyniósł.

107

— Proszę nam pokazać, co pan wyniósł z pałacyku przy alei Cesarzowej — powiedział w pewnej chwili Miguel Toreno, odstawiając ostatni talerz. Pan Faillard zmieszał się nieco.

— Różne rzeczy — zrobił nieokreślony ruch ręką. — W każdym razie nic cennego — dodał prędko. — Ot, prawie wszystko obtłuczone i pobłamywane — wskazał najdalszy kąt magazynu. — Wszystko wymaga naprawy... Jeżeli pan sobie życzy... — zwrócił się do Anta — ja zapłacę. Jestem kupcem, nie złodziejem, uczciwym kupcem, niech pan popyta sąsiadów. Znają mnie tu wszyscy od wielu lat. Widząc opuszczony i zrujnowany dom, z prostej ciekawości wszedłem do środka. Przyznaję, może to nie było w porządku, ale tyle teraz marnuje się wszelakiego dobra, bez właścicieli, aż serce boli, a ja mam taką antykwarską żyłkę... trudno mi

przejsć obojętnie... pan rozumie... ale chętnie zapłacę.

— Szukamy talerza — Miguel Toreno przerwał tłumaczenie właściciela sklepu. — Rozumiemy pana dobrze i nie mamy pretensji. Szukamy talerza, talerza z Napoleonem. Wisiał w pałacyku w pokoju na pierwszym piętrze. Może pan go zabrał? Kupimy go jak zwykli klienci.

Pan Faillard ze współczuciem pokiwał głową.

— Tak, tak, wiem, pewnie pamiątka, co? Miałem kiedyś wiele takich talerzy. Teraz one nie w modzie — zaśmiał się cicho — dlatego pewnie ludzie ich szukają. W pańskim domu takiego nie było. Mówię szczerą prawdę i może pan polegać na moim słowie. Musiał go zabrać ktoś inny. Mało to włóczęgów, bezdomnych i złodziei wałęsa się po Paryżu? Zresztą nie pan jeden interesuje się talerzem z Napoleonem. Parę miesięcy temu był tu pewien młody pan... Wielki pan... też pytał o Napoleona. Zostawił nawet adres. O, tu mam jego kartę. — Z szuflady wyjął elegancki bilet wizytowy. — Nazwisko cudzoziemskie, trudne do odczytania... ale to prawdziwy pan, zaraz widać.

Na bilecie widniało: „Wacław Narzymski”, wypisane ozdobną kursywą.

— Panie Faillard — Antosiowi drżała ręka, gdy oddawał bilet. — Mam do pana wielką prośbę. Jeżeli trafi do pańskiego sklepu sewrski talerz z Napoleonem, proszę nie pokazywać go temu panu. Ani nikomu innemu — dodał z naciskiem — tylko nam. Czy mogę liczyć na pana?

— Ten młody pan prosił mnie o to samo — zaśmiał się szeroko kupiec.

— Jakie to dziwne! Za cesarstwa stały u mnie setki takich talerzy, nikt na nie nie spojrział. Gdy mamy republikę, każdy pyta o pamiątki z cesarzem, tym pierwszym i tym ostatnim. Dobrze, dobrze — dodał widząc wyraz twarzy Anta — odłożę dla pana i nie pokażę nikomu. Byle tylko ktoś przyniósł.

107

Anto zapisał adres antykwariusza obiecując, że wkrótce któryś z nich go odwiedzi. Gdy wyszli, Miguel Toreno obiecał, że co parę dni wpadnie do pana Faillarda.

— To spotkanie ma wielkie znaczenie — powiedział chłopiec w domu. Wiemy przynajmniej, że pan Narzymski nie zabrał talerza. Ale po co go szuka?

— Może sądzi, podobnie jak ty, że bez niego nie znajdzie Meli —

uśmiechnął się Ryszard. — Będziemy teraz szukać w antykwariatach. To rzeczywiście najwłaściwsze miejsce dla starej porcelany.

Zaabsorbowany talerzem, Anto o wiele mniej czasu poświęcił tego lata wizytom na bulwarze Montparnasse. A przecież i tam czekali go zawsze życzliwi przyjaciele.

Gdy przyszedł pożegnać się przed odjazdem do Woolwich, rotmistrz Bracki przyjął chłopca jak zwykle serdecznie. Rozmawiali dużo o księciu. Anto musiał opowiedzieć szczegółowo o uroczystym obchodzie pełnoletniości Ludwika Napoleona. Przemówienie księcia znane było wszystkim z prasy. Niemniej rotmistrz Bracki kazał sobie jak najwierniej powtórzyć słowa Lu.

— Żle, bardzo źle — mruczał od czasu do czasu.

— Żle? — zaniepokoił się Anto. — Mój Boże, a tak się wszystkim podobało. Ludzie płakali...

— Powiedział nie to, co trzeba, zupełnie nie to — trząsał głową gospodarz domu. — Cesarz protestował przeciw rezolucji z czwartego września, przeciw uchwałom podjętym w Bordeaux, a ksiązę swoim przemówieniem przyznał jak gdyby rację temu, co potępił ojciec.

— A co powinien był powiedzieć? — Anto nie spuszczał oczu z mówiącego. — Co by pan radził?

— Nie chodzi o mnie ani o to, co ja myślę. Do rady ksiązę ma innych, nie zawsze może najlepiej radzących. — Rotmistrz Bracki potrząsał głową. — Ale podobnie jak ja rozumują ci wszyscy, którzy zdają sobie sprawę z sytuacji. Ksiązę powinien był powiedzieć tak: „Plebiscyt jest obowiązującą formą władzy konstytucyjnej. Plebiscyt z ósmego maja potwierdził i zaakceptował w mojej osobie istnienie cesarstwa i jego konstytucję. Póki więc nowy plebiscyt nie odwoła poprzednio uchwalonego porządku, uchwały plebiscytu z ósmego maja pozostają w mocy i stanowią polityczne prawo narodu. Oświadczam, że aż do odwołania, jako następca mojego ojca, cesarza Napoleona Trzeciego, jestem jedynym przedstawicielem ludu i prawowitym władcą Francji". Oto co powinien był powiedzieć.

108

— O Boże — jęczał Anto. — Pan ma zupełną słuszość, panie rotmistrzu. Tylko tak należało powiedzieć, nie inaczej. Teraz zrozumiałem, ale pan Rouher...

— Pan Rouher długo był „wicecesarzem” — przerwał rotmistrz — i o wiele za długo kierował ludźmi, naginając ich do swojej woli. Cesarzowa Eugenia jest mu także we wszystkim posłuszna. A najgorzej wychodzi na tym młody książę. Oby tylko nie napytali sobie jakiego nieszczęścia.

— Co pan przypuszcza?

— Nie wiem. Los nie jest przychylny rodzinie Bonapartych, można więc obawiać się wszystkiego. Młody koń, gdy zerwie wędzidło, zdolny jest do wszelkich szaleństw. Tak samo i książę...

Anto wracał do Woolwich z ciężkim sercem. Dobry humor przyjaciół i kolegów rozproszył nieco jego niepokoje.

Książę odbył wiele podróży po Anglii i Szkocji. Cesarzowa Eugenia, niespożyta w chodzeniu niczym najlepszy piechur, pokazywała synowi uroki brytyjskiej wyspy. Podziwiali więc górskie pejzaże, nadmorskie skały, spienione fale oceanu, bezkresną zieleń pól, stare ruiny zamków, pałace możnych. Po tej dość męczącej peregrynacji książę z prawdziwym zadowoleniem znalazł się znowu w spokojnej przystani Woolwich.

Ludwik Conneau bawił się doskonale we Francji. Angielscy koledzy zazwyczaj morskich kąpiei i żeglowali po przybrzeżnych wodach. Wszyscy jednak z radością spotkali się w murach akademii.

Był to ostatni rok ich pobytu w Woolwich, jedynie Anto miał jeszcze dwa lata studiów przed sobą.

Tej zimy chłopcy dużo rozmawiali o czekającym ich życiu. Anto i Ludwik Conneau stwierdzali z przerażeniem, że im bliższy staje się termin otrzymania dyplomu, tym większy smutek omracza twarz księcia.

Bywały wieczory, gdy Lu milczał uparcie, wpatrzony w płonący na kominku ogień. Potem nagle napadała go jakaś gorączkowa wesołość i ożywienie. Plótł wówczas byle co, byle tylko oszołomić się pustymi słowami i nie myśleć, co będzie potem.

Ludwik Conneau postanowił jeszcze na rok wstąpić do francuskiej szkoły wojskowej w Saint-Cyr, założonej niegdyś przez Napoleona w siedzibie dawnego domu wychowawczego dla dziewcząt pani de Maintenon, morgana-tycznej małżonki Ludwika XIV.

— Wolę być podporucznikiem w armii francuskiej — zwierzył się

110

Antosiovi, gdy byli sami — niż porucznikiem Jej Królewskiej Angielskiej Mości.

— Masz rację — przytaknął Anto. — Serce mnie boli, gdy patrzę na Lu. Jest coraz smutniejszy.

O tak, dla Lu zakończenie nauki w Woolwich kładło kres beztroskiej pod względem materialnym egzystencji.

Co go czekało za progiem akademii? Czy powrót do Camden Place i gnuśne życie maminsynka, „księcia na wygnaniu”, „pretendenta do cesarskiej korony”, czy los angielskiego dandysa, dzielącego czas między wyścigi, podróże na Kontynent, śniadania u Carltona, „herbatki” w zimnych salonach, obiady przy skrzącym się od sreber i kryształów stole oraz wieczory w teatrze i wizyty za kulisami opery i baletu? I to miało być życie?

Tylko to? Nuda i nicość. Lu wstrząsa się. Te straszne myśli odbierają sen, czarną płachtą beznadziejności okrywają przyszłość. Przyszłość! Boże, jaka może być jego przyszłość? Cieplarniana roślina przesadzona na kamienisty grunt ostrego klimatu Północy. Co mu jest pisane? Czego dokona? Czy pozostawi po sobie wielkie imię, czy zginie w oceanie anonimowości, wśród milionów ludzi, z których tylko nieliczni coś po sobie zostawiają?

Nie pragnie sławy dla siebie, chce jedynie służyć Francji. Nawet jeżeli nie zostanie Napoleonem Czwartym, to choćby jako zwykły obywatel, jako żołnierz.

Ale co na to powie matka? Matka... Ciągłe traktuje go jak dziecko. Kieruje nim ona i pan Rouher... To było dobre, dopóki studiował w Woolwich, ale teraz... Jakie matka stworzy mu warunki w jego dorosłym życiu? Na co pozwoli?

Nie chciałby okazać się wobec niej niewdzięczny, nie zrani jej nigdy przykrym słowem, nawet choćby to było słowo prawdy. Ale ma już dziewiętnaście lat, jest następcą francuskiego tronu, opuszcza Woolwich ze szlifami porucznika. Od tego zaczął niegdyś jego stryjeczny dziad, Wielki Napoleon. On, Lu, też czuje w sobie siłę i potrzebę czynu. Pragnie działać. Czy potrafi? Sam... bo jest zupełnie sam. Nikt z tych, którzy go kochają, nie ma najmniejszego zrozumienia... Może jeden hrabia de La Chapelle... To mądry człowiek, był przyjacielem ojca. On jeden mówi mu czasem o tym, o czym inni radzi by zapomnieć, a także, co gorsza, wymazać również i z jego pamięci. Pan de La Chapelle rzadko bywa w Camden Place, a jego listy nie zawsze trafiają do rąk księcia. Chyba że są adresowane na Woolwich.

Każdy człowiek do czegoś dąży, ma jakiś cel w życiu. Ludwik Conneau

zostanie oficerem we francuskiej armii, Anto szuka Meli i talerza, i też będzie kiedyś służył swojej Ojczyźnie. A on? Czy cel, do którego dąży, jest osiągalny? Co będzie, jeżeli zawiodą go nadzieje, jeżeli Francja odrzuci dar jego życia? Co wówczas zrobi ze sobą, ze swoją młodością?

Czym ją zajmie, zapełni, jak ją ustrzeże, by się nie zmarnowała?

Podczas niedzielnego obiadu w Camden Place cesarzowa Eugenia uważnie śledzi twarz syna.

To już mężczyzna — stwierdza ze zdumieniem — prawdziwy mężczyzna. Tak jeszcze niedawno wątły chłopiec, teraz dobrze zbudowany młody mężczyzna. Jak ładnie nosi głowę i z jakim wdziękiem pochyla się ku siedzącej obok niego hrabinie Clary. Policzki ma blade i matowe jak ojciec, ale podobny jest do niej, a już oczy wziął zupełnie po matce.

O czym myśli? Oto panna de Larminat rzuca jakiś żart. Księżę uśmiecha się przez grzeczność, widać wyraźnie, że nie bawi go dowcipne słówko. Dlaczego? Dlaczego jest zwykle tak nie na swój wiek poważny i daleki, iż wydaje się, że zerwał wszelkie łączące go z matką więzy? Czego wówczas pragnie? I gdzie myśłą przebywa? Bo przecież nie w Chislehurst, nie w tej podlondyńskiej wsi, oddzielonej od reszty świata nisko zwisającymi oponami mgieł.

Czy wszystko o nim wie? Czy w ogóle można wiedzieć wszystko o drugim człowieku, nawet jeśli ten człowiek jest jej dzieckiem i zna go od urodzenia?

Jej syn... Dotąd zupełnie od niej zależny i całkowicie poddany jej woli.

Czy i nadal tak będzie? Czy zniesie bez szemrania jarzmo, jakie nałożyła na niego jej miłość?

Teraz spogląda na ciemne okna, ponad głowami siedzących, jak gdyby zbyt ciasną była mu ta sala jadalna i pragnął wyrwać się co prędzej na szersze przestrzenie dalekiego świata.

Lęk ścisła serce matki. Nie puści go od siebie, nigdy, chyba na tron, a i wówczas razem wjadą w triumfie przez ukwiecone bramy Paryża.

Porucznik w angielskiej armii. Ładnie mu w mundurze, ten strój podkreśla jego młodą męskość. W domu co prawda nosi zwykle cywilne ubranie, jak gdyby chciał zapomnieć... Ale i tak wyróżnia się wśród innych młodzieńców. Jest w nim coś szczególnie nobliwego, jakaś mistyczna nieledwie głębia w spojrzeniu. Czyżby rozumiał rzeczy dla innych niedostępne?

A czasem potrafi być szaleńczo wesoły i zabawny. Zasiada wówczas do fortepianu i bębni wojskowe marsze z taką werwą, że wydaje się najzupełniej szczęśliwy i bez troski.

Tylko najbliżsi przyjaciele, Anto i Ludwik Conneau, wiedzą, jak jest  
112

naprawdę. Księżę chce się oszołomić, wesołość i muzykę traktuje jak haszysz mający dać chwilowe choćby zapomnienie.

Cesarzowa Eugenia sunie oczami po zebranych w salonie domownikach. Wszyscy zazdroszczą jej syna, takiego syna! Właśnie księżę wstaje, zbliża się do niej. Z jaką wrodzoną wytwornością całuje jej rękę na dobranoc, skłania przy tym głowę i uśmiecha się. Dobry syn, posłuszny i uległy. Nigdy nie przyczynił jej najmniejszego zmartwienia. Na próżno wypytuje pana Filona, opiekun nie ma nic do powiedzenia, nigdy niczego, co wykraczałoby poza progi akademii, najmniejszego wybryku, który przecież usprawiedliwiłaby młodość.

Pan Rouher to mądry człowiek. Chłopca należy trzymać krótko i nie dawać mu pieniędzy. Pieniądze deprawują, pozwalają zaspokajać niegodne zachcianki. Jej syn nie zniży się nigdy do wulgarnych uciech, jest na to zbyt szlachetny i ma za wiele godności. Zawsze zachowa się, jak na księcia przystało.

Do Lu podchodzi hrabia Clary. Rozmawiają chwilę z ożywieniem, po czym razem opuszczają salon. Księżę zmierza wprost do swojej sypialni. Długo jeszcze pali się światło za ciemnymi zasłonami dwóch okien pierwszego piętra. Nawet wówczas, gdy pogasty już wszystkie światła w całym domu, te dwa okna niozym gwiazdzisty drogowskaz świecą na granatowym tle wiosennej nocy. Może po to, by prowadzić zbłąkanych wędrowców ku bezpiecznej przystani?

— Więc rozstajemy się — Ludwik Conneau wrzucił ostatnie książki do otwartego kufra stojącego na środku pokoju.

— Nie na długo — przypomniał Anto. — Tylko na rok.

— Rok to bardzo długo — zauważył księżę, wygodniej rozsiadając się w fotelu i wyciągając przed siebie nogi. A poza tym to koniec naszego wspólnego życia.

— Ty i Anto będziecie się często widywali, tylko ja... Powiedz, Lu, co zamierzasz teraz zrobić?



— Powziąłem już decyzję. Nie wrócę do Camden, nie zostanę bawidamkiem. To nie dla mnie rola. Wniosłem prośbę, ażeby mnie przydzielono do pułku artylerii w Aldershot. Do licha, jestem oficerem i moje miejsce w armii. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

Anto pokiwał głową i spojrzał na Ludwika Conneau.

— Talerz z Napoleonem

113

— Woodhouse, Slade i Bigge już tam są — powiedział. — Lu będzie miał przy sobie naszych kolegów.

— Doskonale — ucieszył się Conneau. — Sympatyczni chłopcy z tych Anglików. Rad jestem, że będą z tobą. Tylko nie zapominaj o nas... o mnie — poprawił się. — Ja będę za morzem.

— Ty, szczęśliwco, będziesz we Francji. — Lu podłożył ręce pod głowę. — Co ja bym dał, co bym dał!...

— Właściwie Republika nie zamknęła przed tobą granic i gdybyś chciał, mógłbyś...

— Nie, nie, tak nie mogę. Persona non grata chyłkiem przemykająca się przez paryskie roгатki. Wyobrażasz sobie mnie w takiej sytuacji?

— Dla ciebie najlepiej tutaj — przyznał Anto. — I bardzo dobrze zrobiłeś z tym pułkiem w Aldershot. Jest to co prawda dość daleko od Woolwich, dużo dalej niż Chislehurst, ale z pewnością będziesz miał dni wolne od służby i wówczas...

— Wówczas wpadnę do starej budy, żeby się zobaczyć z tobą.

— Powiem prawdę, że szczerze wam zazdroszczę — Ludwik Conneau z hukiem opuścił ciężkie wieko kufra. — W Saint-Cyr będę się czuł bardzo samotnie. Rodzice pozostają przecież w Anglii.

— Kiedyś, niestety, trzeba się usamodzielnic — westchnął Anto.

— Nie wzdychaj, wujaszku Anto — zaśmiał się Conneau. — Wiemy, jak ci pilno ujrzeć nowo narodzonego siostrzeńca. Bądź cierpliwy, już niedługo.

— Kiedy jedziesz, Anto? — książe zwrócił smutne oczy na przyjaciela.

— Sam jeszcze nie wiem. Muszę zobaczyć się z panem Chathamem, to ten agent Ryszarda.

— Meli szuka cała londyńska policja — zauważył książe.

— A co z talerzem? — Conneau siadł na kufrze, mocniej przyciskając wieko.

— Nic. Miguel Toreno obszedł wszystkie paryskie antykwariaty, sklepy

wszystkich handlarzy starzyzną i nic. Ja znowu poświęcę wakacje na poszukiwania.

— Dlaczego tak się upierasz przy tym talerzu? Co to ma za znaczenie? Doprawdy, nie rozumiem ciebie. — Conneau kręcił głową.

— Ja też nie rozumiem — przyznał szczerze Anto.

— Ee, zobaczysz, to nie ma nic wspólnego z Melą. Pamiętaj tylko, od razu daj mi znać, gdy ją odnajdziecie. Ach, Lu, czeka cię twarde życie w Aldershot.

— Tym lepiej — uśmiechnął się książę. — Zakosztuję wreszcie żołnierskiej

114

zupy, a przede wszystkim będę miał trochę własnego grosza. Chyba tam płacą jakiś żołd, jak myślicie? Nie dlatego, że czegoś mi brak — dodał prędko — ale skoro już nie jestem w Woolwich...

Anto i Conneau znowu wymienili spojrzenia.

Brak pieniędzy — oto jedna z udręk dorosłego życia Lu, najbardziej może dotkliwa.

Niedawno chłopcy byli świadkami, jak odwiedził księcia jego były koniuszy, pan Bachon, który zapragnął zwiedzić stajnie w Chislehurst.

— To niemożliwe — zakrzyknął ujrzawszy książęcego wierzchowca — żeby Wasza Cesarska Wysokość jeździł na podobnej chabecie! To nie uchodzi, a poza tym niebezpiecznie. Proszę spojrzeć na jego nogi.

— Nie jest taki zły — odparł Lu lekko zmieszany. — Nie bywam na polowaniach. Ten koń zupełnie mi wystarcza.

— Pewno, że taka szkapa nie nadaje się na polowanie. — Pan Bachon zmierzył konia pogardliwym spojrzeniem. — Niech Wasza Wysokość pozwoli, a wyszukam mu odpowiedniego wierzchowca. Znam się na tym.

Okazało się, że koniuszy ostro zabrał się do dzieła, przetrząsnął Londyn i znalazł wspaniałego rumaka, „godnego cesarskiego jeźdźca”, jak się wyraził. Jedynym jego mankamentem była cena.

— VN asza Cesarska Wysokość, to wcale niedrogo jak na takiego konia — mówił zgorzony brakiem entuzjazmu młodego pana. — Tylko sześć tysięcy franków. Zapewniam Waszą Wysokość, że to prawie darmo.

— Prawie darmo! — zawołał przerażony Lu. — Sześć tysięcy franków to dla pana prawie darmo, drogi panie Bachon? — A widząc minę koniuszego dodał: — Ależ wierzę panu, wierzę, tylko cały problem w tym, że

ja nie mam pieniędzy.

— Niech się Wasza Cesarska Wysokość nie kłopotcze — pan Bachon uśmiechnął się wyrozumiale. — Zaraz porozmawiam z cesarzową Eugenią i jestem pewien, że dostanę pieniądze.

Anto i Conneau zauważyli wyraźnie, jak księżę zmienił się na twarzy.

— Dziękuję panu za dobre chęci, kochany panie Bachon, ale chcę pana prosić, żeby pan nic nie mówił mojej matce. Odda mi pan prawdziwą przysługę — a biorąc koniuszego pod ramię i prowadząc go w najdalszy kąt stajni, coś mu tłumaczył, czego już przyjaciele nie dosłyszeli. Widzieli tylko, jak pan Bachon ocierał oczy i doszły do nich jego słowa:

— Jeżeli tak się rzeczy mają, to wiele teraz zrozumiałem. Nie jestem bogaty, Wasza Wysokość, ale posiadam winnicę, która natychmiast spreed  
115

dam. Nie zniósłbym myśli, że Wasza Cesarska Wysokość dosiada tak nędznej bestii.

— Niech Bóg pana broni od pozbywania się winnicy — zaprotestował gorąco Lu. — Ten koń wystarcza mi w zupełności i wcale nie potrzebuję lepszego. Jest pan wiernym przyjacielem i nigdy nie zapomnę pańskiego gestu.

— Może byś jednak porozmawiał z matką — po odjeździe koniuszego Ludwik Conneau poruszył drażliwy temat z całą delikatnością, na jaką go było stać. — Teraz, kiedy ukończyłeś Woolwich i nie mieszkasz w domu, musisz mieć swoje pieniądze.

— Proszę cię — Lu podniósł głowę. — Niech te sprawy pozostaną, jak są. Dam sobie jakoś radę.

— To okropne! — wybuchnął Conneau, gdy razem z Antosiem opuszczali Camden Place. — Jestem pewien, że cesarz zapisał Lu większość swojej prywatnej fortuny.

— Zapominasz, że nie odnaleziono testamentu — mruknął Anto.

— O tak — Conneau aż trząsł się z oburzenia. — Mówią, że go zniszczono. Jestem wprost chory, gdy myślę, że »Lu jest stale bez grosza.

Chwilami nienawidzę cesarzowej Eugenii.

— Cicho — Anto obejrzał się za siebie. — Nie krzycz tak głośno. Nikt się nie może dowiedzieć... Oddałbyś Lu iście niedźwiedzią przysługę. I nigdy nie wspominaj o testamencie.

— Wiem, wiem, nie bój się, będę milczał, choć mnie diabli biorą. Przecież ty i ja mamy więcej pieniędzy na drobne wydatki niż on. A nasze ro-

dziny nie są wcale bogate; To się musi zmienić.

Wydawało się, że ta upragniona zmiana właśnie nadeszła.

Oto uporządkowano wreszcie spuściznę po zmarłej przed kilku laty w Bretanii księżniczce Bacciochi, która pozostawiła wielkie dobra nie tylko we Francji, ale również i w Toskanii, zapisując te ostatnie ówczesnemu „cesarskiemu księciu”, czyli synowi swojego ciotecznego brata, Napoleona Trzeciego.

Napoleona Eliza Bacciochi, poślubiona za młodu włoskiemu hrabiemu Camerata, była córką Elizy Bonaparte, rodzonej siostry Napoleona, z charakteru najbardziej chyba podobnej do cesarza.

— Eliza Bonaparte przez sześć lat wychowywała się na koszt królewski we wspaniałej szkole Saint-Cyr, gdzie otrzymała staranne wykształcenie, potem, wbrew woli wielkiego brata, poślubiła z miłości skromnego korsykańskiego oficera, kapitana Feliksa Bacciochi.

116

Zostawszy cesarzem, Napoleon nadał szwagrowi tytuł księcia Lukki i Piombino. Jako wielka księżna toskańska Eliza wykazała zdumiewający talent w administrowaniu powierzonym sobie księstwem. Jej córka, Napoleona Eliza, starsza o kilka lat od swojego kuzyna, księcia Reichstadtu, gorliwa przyjaciółka nieszczęśliwego Orlątka, osiadła w Bretanii, zajmując się uprawą roli i ulepszaniem gospodarki. Pozostawiła po sobie wdzięczną pamięć wśród Bretończyków, osuszyła bowiem bagniste tereny wyspy Ouessant i wybudowała szpital dla najuboższych. Nie zapomniała też o swoim młodym kuzynku. Jej fortuna miała teraz poratować go w kłopotliwej i trudnej sytuacji.

Pełen najlepszych myśli Lu wybrał się do Italii, by objąć w posiadanie zapisane mu przez ciotkę włości. Nareszcie skończą się jego pieniężne tarapaty. Ileż przeżył z tego powodu przykrości i upokorzeń!

Pan Rouher, konsekwentny, jeśli chodzi o raz zajęte w tej sprawie stanowisko, przy każdej okazji powtarzał cesarzowej Eugenii:

— Gdy książę będzie potrzebował pieniędzy, niech panią o nie prosi, Madame. Naucz go to oszczędności i liczenia się z groszem.

— Powiedz mi zawsze, gdy będziesz potrzebował pieniędzy — powtarzała synowi posłuszna uczennica eks-ministra.

Lu uśmiechał się z zakłopotaniem, spuszczał oczy i milczał. Nie przesłałby mu przez gardło prośba o pieniądze teraz, gdy był dorosły i oficjalnie uznany pretendentem do francuskiego tronu.

Prosić matkę o niewielkie sumy na drobne szkolne wydatki mógł uczeń, wyrostek pozostający pod opieką rodziców. Jednakże „książę cesarski”, choć na wygnaniu, do tego głowa dynastii, nie miał prawa stawiać się w podobnie upokarzającej pozycji.

Odsunięty całkowicie od korzystania z pozostawionej przez ojca fortuny, wolał już swoje niezręczne położenie człowieka pozbawionego pieniędzy, tym bardziej że miłość i szacunek, jakimi darzył matkę, zabraniały mu wszelkich gwałtowniejszych wobec niej wystąpień.

Czyż matka nie zdawała sobie sprawy z jego sytuacji? Jeżeli tak zazdrośnie trzymała rękę na szkatule, miała widać po temu ważne jakieś powody.

Cesarzowa Eugenia naturalnie zdawała sobie sprawę z kłopotów syna. Znała go, wiedziała, że był równie hojny jak ojciec. Obowiązkiem jej było czuwać nad nim i gromadzić pieniądze, których będzie kiedyś potrzebował dla zdobycia tronu, opłacenia usług, pozyskania koniecznych sprzymierzeńców. Nie wolno uszczuplać tej fortuny wydawaniem pieniędzy na głupstwa. Kobiety, kolacyjki, konie, karty i wyścigi kosztują krocie. Znała ludzi,

117

wiedziała, jak łatwo młodemu, niedoświadczonemu chłopcu wpaść w nieodpowiednie towarzystwo. Człowiek z pozycją jej syna przyciąga nie tylko wybitne jednostki. Chmary podejrzanych osobników kręcą się wokół każdego księcia, szczególnie księcia na wygnaniu. Ona, matka, musi czuwać, nie dopuścić do niego owych niebieskich ptaków, czyhających na chwilę słabości, by wykorzystać dla siebie to, co powinno być użyte dla wielkiej sprawy.

Hrabia de La Chapelle znał dobrze młodego „pretendenta”. Był też doskonale zorientowany w położeniu księcia, którego siłą trzymano pod kurtelą, choć był on ponad wiek dojrzały i nieskory do płochości.

— Cesarzowa Eugenia nie urodziła się na stopniach tronu — powiedział raz. — Nie rozumie, nie zdaje sobie sprawy z pozycji, jaką zajmuje jej syn w bonapartystowskim stronnictwie. Inny na jego miejscu dawno wyłamałby się spod niewygodnej opieki. On zniesie wszystko do końca bez słowa skargi.

Zapis księżniczki Bacciochi przychodził więc w samą porę. Nareszcie ten spadek da księciu wolność, swobodę bywania, spotkania się z przyjaciółmi, niezależni go w pewnym stopniu od matki. Teraz on, który dotąd

zawdzięczał jej wszystko, będzie miał możliwość dawania, ofiarowywania, robienia przyjemności, co jeszcze bardziej — jeśli to możliwe — umocni jego do niej przywiązanie. Nic dotąd tak go nie cieszyło, jak ta nadzieja materialnej niezawisłości.

Zaproszony do Florencji, jechał pełen radosnych myśli. Układał plany. Życie nabierało nagle barw. Od razu kupi matce te kolczyki z szafirami, które podziwiała u jubilera na Bond Street. Odwiedzi również florenckich złotników. Oni tam robią cuda. Przywiezie jej parę drobiazgów z Italii. Nareszcie! Nareszcie będzie mógł i on dawać upominki.

W kancelarii notariusza Davitti czekała na księcia rada administracyjna dóbr z sukcesji Bacciochi wraz z adwokatem.

— Sytuacja w rolnictwie jest katastrofalna — powitał gościa mecenas Graziani, a widząc pytający wyraz twarzy Lu, dodał z emfazą: — Ziemia nie przynosi teraz takiego dochodu jak dawniej. O tak, Wasza Wysokość, marne plony ledwie pozwalają związać koniec z końcem, wszystko wymaga nakładów, wielkich nakładów.

— Nakładów? — powtórzył Lu nie rozumiejąc.

— Pieniądzy, Wasza Wysokość, wielkich pieniędzy — wyjaśnił prawnik, kładąc specjalny nacisk na słowo „pieniądze”.

— Pieniądze — Lu nie rozumiał, czego od niego chce ten wypomadowany Włoch z monoklem w oku.

118

— Budynki gospodarskie grożą ruiną — zaśpiewał basem główny administrator, patrząc na księcia jak na intruza, pragnącego zawładnąć bezprawnie nie swoją ziemią. — Wszystko się wali. Dobra są w oplakanyim stanie.

— W oplakanyim stanie — powtórzył książę nie rozumiejąc. — A dlaczego?

— Dlaczego, Wasza Wysokość? — powtórzył pytanie adwokat, skłaniając wypomadowaną głowę.

— Tak, dlaczego?

— Susza... pomór bydła... pożar... — recytował na żałobnej nucie bas administratora.

Książę spojrział na notariusza, spodziewając się wyjaśnienia niezrozumiałej dla niego postawy adwokata i administratora, ale pan Davitti szukał czegoś pilnie w grubej teczce akt i nie podniósł oczu.

— Jaka jest rada na te nieszczęścia? — książę nerwowo skrzyżował

nogi, spoglądając po kolei na swoich rozmówców.

— Naturalnie, jest rada, Wasza Wysokość — zapewnił skwapliwie mecenas Grazhni.

— Można wiele działać — bąknął zastępca głównego administratora.

— Niech więc panowie działają — książę podniósł głowę. — Dobra te są teraz moją własnością. Chciałbym się rozejrzeć...

— Wasza Wysokość — wydawało się, że adwokat powziął nagłą decyzję. — Żeby te dobra znowu przynosiły dochód, należy włożyć w nie wiele pieniędzy.

— O tak, wiele pieniędzy — zawtórował bas administratora.

— Nie mam pieniędzy — powiedział Lu, rozkładając ręce.

— Wasza Wysokość nie potrzebuje wydać ani grosza — zaśmiał się cicho mecenas Grazhiani. — Dochód z dóbr Waszej Wysokości pokryje w całości wydatki.

— Proszę więc robić, co potrzeba. Chciałbym tymczasem dostać część sumy, którą mi zapisała ciotka.

— W tym właśnie jest cała trudność — adwokat wymienił spojrzenie z administratorem. — Dochód Waszej Wysokości winien zostać całkowicie użyty na podniesienie wartości dóbr z sukcesji Bacciochi.

— Na pokrycie koniecznych remontów i zakupów — uzupełnił administrator, szukając wzrokiem poparcia u mecenasa Grazhiani.

— Tak właśnie przedstawia się sytuacja, Wasza Wysokość — adwokat wydawał się zadowolony z udzielonych wyjaśnień.

119

— Więc ja... — książę zwilżył językiem suche wargi.

— Wasza Wysokość musi poczekać.

— Poczekać?... Jak długo?

Adwokat i administrator znowu wymienili spojrzenia. Pan Davitti nie podnosił oczu znad papierów.

— Jakieś... powiedzmy... siedem lat — rzucił lekko adwokat.

— Siedem lat — potwierdził bas administratora. — To w zupełności wystarczy.

— Panowie, chcecie, żebym na siedem lat pozostawił wam użytkowanie dochodów z zapisanych mi przez ciotkę dóbr? — książę wstał.

— Nie dla nas, Wasza Wysokość, nie dla nas. Dla dobra majątków i przyszłych dochodów Waszej Wysokości.

— Nic mi pan o tym nie wspominał — książę zwrócił się z wymówką do

notariusza.

— Wasza Wysokość — pan Davitti był wyraźnie nieszczęśliwy.

— To konieczne, jeśli Wasza Wysokość chce w przyszłości mieć dochód z dóbr Bacciochi — adwokat zmarszczył brwi, aż monokl wypadł z oka i zawisł na czarnej wstążce. — Panie Davitti — zwrócił się do nieszczęśliwego notariusza — proszę sporządzić odpowiedni akt. Jego Wysokość własnoręcznym podpisem potwierdzi zrzeczenie się dochodów z dóbr Bacciochi na przeciąg lat siedmiu.

Lu opuszczał kancelarię notariusza z szumem w głowie. Wsiadł do powozu, ale nie widział nawet, dokąd jedzie. Nic nie widział. Konie biegły rażno, spiesząc do Willi Bacciochi, położonej za miastem wśród wzgórz Fiesole.

Wspaniały pejzaż, odtwarzany na płótnach największych mistrzów Renesansu, miał dla niego szarość popiołu.

A więc to koniec. Koniec wszystkiego. Siedem lat! Nie ma dla niego ratunku. Jest skazany. Siedem lat, to prawie całe życie! Co robić? Dokąd uciekać? Mocno zaciskał usta, żeby nie krzyczeć z rozpacz.

Znowu będzie narażony na podobne sytuacje jak ta, która zdarzyła się przed miesiącem.

Do Londynu przyjechał właśnie generał Fleury, jego dawny wychowawca. Księżę zaprosił go na obiad do restauracji.

Generał przyszedł w towarzystwie przyjaciela, prosząc o pozwolenie przedstawienia go księciu.

120

Gdy maitre dyskretnie podał rachunek, Lu zabrakło pieniędzy. Musiał prosić generała o pożyczkę. Co wówczas przeżył, Bogu jednemu wiadomo.

Siedem lat! Ten diabelski adwokat mówił to z takim spokojem, jak gdyby się cieszył! Administrator to jakaś podejrzana kreatura. Warto by wyrzucić go, a na jego miejsce wziąć kogoś innego. Ale kogo? Kogo? Komu można ufać? Czyjej zasięgnąć rady? Czy tego zastraszonego notariusza, który boi się spojrzeć w oczy klientom?

Księżę ścisną pulsujące skronie. Przed oczami wirują świetliste koła. Co robić? U kogo szukać ratunku? Jechał tu z taką nadzieją, a tak go oszukano!

Dwa dni nie opuścił swojego pokoju. Trzeciego dnia lokaj zaanonsował



hrabiego de La Chapelle.

— Spóźniłem się — powiedział gość od progu. — Znam kulisy sprawy. Wasza Wysokość padł ofiarą intrygi. Podłej intrygi. Niestety. Podpis księcia złożony na dokumencie uczynił ów bezprawny akt nieodwracalnym.

— Rozumiem — książę pochwyił rękę przyjaciela. — Wszystko teraz rozumiem. Nie dla mnie wolność, jaką dałaby mi niezależność materialna.

— Wasza Wysokość jest zbyt szlachetny, by przewidzieć podobne machinacje.

— Jestem po prostu głupi! — wybuchnął książę. — Proszę, niech mnie pan nie usprawiedliwia.

— Wasza Wysokość!

— Wiem, czym pan był dla mojego ojca w najcięższych dla niego chwilach. Wiem również, czym jest pan dla mnie. Nie wszystkim podoba się przyjaźń, jaką pan mnie zaszczyca, panie hrabio. Obawiam się, że nadejdzie dzień, gdy będę zmuszony widywać się z panem po kryjomu. Błągam teraz pana o jedno: Proszę zachować przy sobie to, co pan odkrył w tej brudnej sprawie. Obowiązek nakazuje mi poniechać skarg i pokryć wszystko milczeniem.

— Wasza Wysokość może zawsze liczyć na moją dyskrecję — skłonił się hrabia. — Nigdy sobie nie daruję, że przybyłem za późno.

— Nic by pan nie wskórał — westchnął książę. — Zostałem z góry skazany. Mieszkam teraz w Aldershot — zmienił nagle ton. — Przydzielono mnie do tamtejszego pułku artylerii. Lubię moją pracę i moje obecne życie. Sypiam pod namiotem, jak wszyscy żołnierze, jadam ze wspólnego kotła. I wszystko mi smakuje — zaśmiał się, ale bez wesołości. — A najważniejsze, że otrzymuję żołd. Jak inni. Rozumie pan?

- Wasza Wysokość!

121

— Dziękuję panu za wszystko.

— Za co, Wasza Wysokość? Przecież się spóźniłem.

Książę uśmiecha się wyrozumiale. To koniec. Trudno. Wpadł w pułapkę. Nawet niezbyt zręcznie zastawioną. Całą intrygę szyto zbyt grubymi niciami. Widzi to teraz wyraźnie. Ale na ratunek jest za późno. Zresztą, nawet gdyby nie podpisał fatalnego dokumentu w kancelarii notariusza Davitti, i

tak nie dostałby pewnie ani grosza. Sukcesja Napoleony Elizy Bacciochi nie była mu widać pisana.

## VI

— Co pisze pan Chatham? — Róża stanęła za krzesłem Ryszarda i oparła ręce na ramionach męża.

— Pan Chatham stracił wiarę we własne siły — Ryszard rzucił na stół gęsto zapisany arkusik. — Zrzeka się dalszych poszukiwań, gdyż, jak pisze, „nie doprowadzi to nigdy do celu”. Nie chce dłużej brać pieniędzy za darmo, skoro nie posunął się ani o krok naprzód. Nie uchwycił dotąd żadnej nici, która wskazałaby kierunek. „Londyn jest wielki, a dziewcząt w nim pół miliona” — oto jego słowa.

— Jakże tak? — głos Róży drżał. — Ni stąd, ni zowąd zaprzestaje poszukiwań? Chyba płaciłeś mu za mało?

— O nie, podniosłem nawet jego pensję, żeby mógł zaangażować pomocnika.

— W takim razie został przekupiony.

— Co też ty, Różyczko!... Chatham to porządny człowiek. Poręczono mi za niego. Po prostu zwątpił w powodzenie całej akcji. A że jest uczciwy, nie chce brać pieniędzy, skoro nie ma rezultatów. Policja dawno już zrezygnowała. Czy myślisz, że Scotland Yard ma tylko jedną Melę na głowie?

— Ale pan Chatham był po to wynajęty, by jej szukać.

— Toteż szukał, zrobił, co mógł. Wreszcie znudziła mu się ta zabawa.

— Co teraz poczniesz?

— Nie wiem. Obawiam się, że nie pozostaje nam nic innego, jak zdać się na przypadek. Chatham zamieszczał anonsy w „Timesie”, ale albo Mela nie czytuje „Timesa”, albo obawia się pułapki i dlatego milczy. Nie wiadomo. Zgadzam się z nim co do jednego: Londyn rzeczywiście jest wielki, a dziewcząt w nim co najmniej pół miliona.

— I mówisz to tak spokojnie? - A co mam robić?

123

— Przekonać Chathama, że nie powinien rezygnować. Zmusić go w ostateczności.

— W jaki sposób? Wiesz, Różyczko, zaczynam wierzyć, że Anto ma rację i że nie odnajdziemy Meli bez talerza.

— Ryszardzie, mówisz bzdury! Anto upiera się przy talerzu jak osioł. Wbił to sobie do głowy i żadne rozumowanie nie pomaga. Ale żebyś ty!...

— Spróbuję przekonać Chathama.

— Nie zgadzaj się na kapitulację. Przemów mu do rozsądku.

— Zobaczymy, co to da. Popołudniowa poczta przyniosła list od Anta. „Chatham złożył broń — pisał chłopiec. — Widziałem się z nim podczas ostatniej bytności w Londynie. Słyszeć nie chce o dalszym prowadzeniu poszukiwań. Mówi, że to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Usiłowałem go przekonać, że się myli, ale nie udało mi się. Uratować Melę może tylko talerz. A jeżeli i on zawiedzie, to po skończeniu Woolwich jadę do kraju. Z pewnością do tego czasu wybuchnie tam nowe powstanie”.

— Oszałał! — krzyknęła Róża, opadając na krzesło. — Zupełnie zwariował! Czekać na powstanie! Nigdzie go nie puszcze!

— Nie denerwuj się — Ryszard uspokajająco położył dłoń na jej rękę.

— Wierzę, że Mela się odnajdzie. A poza tym, po styczniowej klęsce, żadne powstanie w kraju nie jest możliwe. Carskie wojska urządzą taki pogrom, że dużo minie czasu, nim ludzie dojdą do jakiejś takiej równowagi. Cała ziemia do dziś dnia jest jednym cmentarzem. Nie ma rodziny, która by nie oplakiwała zabitych lub zesłanych do kopalń Sybiru.

— Anto jest głupi i nie orientuje się w sytuacji.

— Anto doskonale wie, co się dzieje w kraju. Czyż nie był z nami na bulwarze Montparnasse?

— Tak... — Róża trzęsła głową niezbyt przekonana. — Ale wiesz, jaki jest impulsywny i jak bardzo przeżył utratę Meli. Nigdy nie pozwolę, żeby w takim czasie...

— Do Polski wrócimy wszyscy razem — powiedział poważnie Ryszard.

— A jeżeli nam nie będzie to sądzone, z pewnością nasz Staś doczeka. Staś. Maleńki Staś ułożony w wiklinowym koszyku wybitym błękitnym atłasem, który kiedyś był kolebką Anta, na ślicznej haftowanej pościeli, jakiej nie powstydziliby się żaden dziedzic korony.

Tej nocy Róża źle spała. Odżyły w pamięci twarze rodaków, spotkanych

w domu rotmistrza Brackiego, znowu słyszała słowa, straszne słowa, które ci ludzie wypowiadali.

Wielu uciekinierów z Ojczyzny ciągle jeszcze pojawiała się w Paryżu,

choć upadek Francji zniszczył, zdawałoby się, na zawsze polskie nadzieje.

Opowiadali oni o tak okropnych rzeczach, jak wieszanie buntowników bez sądowego wyroku, puszczanie z dymem całych wsi, podejrzanych o sprzyjanie powstańcom, bezczeszczenie miejsc świętych, nakładanie kontrybucji na właścicieli ziemskich. Sekwestry i konfiskaty majątków stały się wówczas codzienną rzeczywistością.

— Teraz, gdy umarł Berg — powiedział ostatnio rotmistrz Bracki — zniesiono urząd namiestnika, a Królestwo Polskie, na gwałt rusyfikowane, przekształca się powoli w „Przywiślański Kraj”.

— Czy wiecie — pytał jeden z gości rotmistrza, świeżo przybyły z kraju — że od sześćdziesiątego trzeciego roku zesłano na Sybir około czterdziestu tysięcy osób?

— Całe odium wroga spadło teraz na ziemian — dodał drugi — skonfiskowano już parę tysięcy majątków, ofiarowując je zasłużonym rosyjskim dygnitarzom.

— Mimo bestialskich represji Polacy nie złożyli broni — zawołał najmłodszy z bywalców bulwaru Montparnasse.

— Jfkże to? — pytał ktoś z dawna osiadły w Paryżu.

— A tak. Ducha nie zdołano zabić. Ostatnia próba insurekcji nie w Polsce miała miejsce, a na Sybirze, daleko, aż za Bajkałem. Powstało tam kilkuset zesłańców. Chcieli przebić się do Chin. Cóż jednak mogli wobec przemocy? Drogo nas kosztuje wolność, a raczej dążenie do niej. Ceną jest zawsze życie.

— Nie darmo car Aleksander boi się Polaków — odezwał się nestor grupy wygnańców. — W Paryżu był zamach Berezowskiego, a teraz w Petersburgu... Car nawet zapytał tego ostatniego zamachowca, czy jest Polakiem. Okazało się, że to Rosjanin. „Za co więc?”. — poskarżył się Aleksander.

— Nasyłają do Polski zgraje urzędników — zauważył przybysz. — Łapownicy to i donosiciele. Zły przykład dają młodym i deprawują nasze społeczeństwo.

— Już Kraszewski napisał — wtrącił rotmistrz Bracki:— „Samo ocieranie się o naród choćby nie całkiem zły, ale ledwie wychodzący z barbarzyństwa wiekowego, musiało z nas zetrzeć niejedną epidermę cywilizacji”.

— Prawda to szczerza — przytaknął jeden z zaproszonych.

— Celem naszym winno być teraz podniesienie gospodarcze kraju —  
125

zauważył młody jeszcze człowiek, pierwszy raz odwiedzający rotmistrza.  
— Zaleczyć rany i rozwinąć rolnictwo, przemysł, handel. Oto nasz program. Gdy się wzbogacimy, to i wróg inaczej nas potraktuje. O powstaniach należy zapomnieć.

— Owszem — pokiwali siwymi głowami nieliczni już bohaterowie jeszcze listopadowej wojny. — Nie można jednak przestać wierzyć. Po Golgocie zawsze następuje Zmartwychwstanie. O tym pamiętajmy.

Powoli uciszyło się rozdygotane serce Róży. Anto nigdzie nie pojedzie. Mela musi wreszcie dać jakiś znak życia. W ich dawnym domu, przy ulicy Świętego Rocha, zostawili nowy adres. Jest tam inna dozorczyńni, bardzo sympatyczna kobieta. Zelia czasem wstępuje, by zapytać o korespondencję. Nic, niestety, dotąd nie otrzymali. Ale przyjdzie taki dzień...

Nazajutrz wysłała do Woolwich długi list. Stłumiła własny niepokój i słabnącą wiarę w odnalezienie dziewczynki. Anta należało podtrzymać na duchu, pokazać, że ona i Ryszard są pewni... Zelia przecież nie przestaje wierzyć i nie ma dnia, by nie wspominała zaginionej.

Anto bardzo potrzebował pociechy. Ten rok w Woolwich wydawał mu się wyjątkowo jałowy. Chłopiec stracił zainteresowanie studiami i to, co przedtem pasjonowało go, teraz jakoś zbladło, zubożało, a nawet nudziło.

Przyczyny tego stanu należało szukać w pewnego rodzaju osamotnieniu, bo choć otaczali go młodzi ludzie, równie jak on przyodziani w szkarłatne kurtki akademii, nie było wśród nich najbliższych przyjaciół.

Ludwik Conneau zresztą czuł się podobnie w Saint-Cyr. Listy jego pełne były wspomnień i melancholii. Wkrótce jednak stał się ośrodkiem zainteresowania kolegów, którzy, dowiedziawszy się o jego studiach w Woolwich i zażyłej przyjaźni z księciem, zasypywali go pytaniami. Wszystkie, naturalnie, dotyczyły Ludwika Napoleona.

Jaki on jest? — to przede wszystkim chcieli wiedzieć młodzi Francuzi.

Lu czuł się dobrze w Aldershot. Dużo lepiej niż w Camden Place. Miał przy sobie trzech oddanych angielskich kolegów, a obozowe życie najzupełniej mu odpowiadało. Ta zdyscyplinowana wojskowa egzystencja była widać potrzebna dla utrzymania jego wewnętrznej równowagi.

Z Antosiem widywali się zazwyczaj w Londynie, gdzie książe spędzał prawie każdy wolny od służby dzień.

W domu bywał rzadko. Cesarzowa Eugenia, zajęta działalnością bonapartystowskiego stronnictwa, nie narzekała zbyt na oddalenie syna.

Pewnej grudniowej soboty chłopcy, jak zwykle, spotkali się w domu mistrza

126

Dumonta, fryzjera księcia, u którego Lu wynajmował pokój. Dzięki temu miał w Londynie swoje własne pied-a-terre, o wiele tańsze niż apartament w hotelu.

Tego właśnie popołudnia mistrz Dumont oznajmił, że pewna dama prosi o pukiel włosów księcia.

— Czy Wasza Wysokość pozwoli spełnić jej życzenie? — machnął nożycami, zabierając się do strzyżenia książęcej czupryny.

— Czy jest ładna? — Lu spojrzął w swoje odbicie w lustrze.

— O tak, Wasza Wysokość.

— Młoda?

— O nie, Wasza Wysokość. Ma sześćdziesiąt lat.

— W takim razie możesz ofiarować jej kosmyk moich włosów — podniósł z podłogi opadły spod nożyc pukiel. — Jeżeli tak jej na tym zależy — dodał.

— Bardzo zależy, Wasza Wysokość.

Anto zastał przyjaciela w doskonałym humorze.

— Mam wielbicielekę — oznajmił Lu. — Skończyła co prawda sześćdziesiąt lat, następna powinna już być nieco młodsza, nie uważasz? Ofiarowałem jej właśnie przez mistrza Dumonta kosmyk włosów do medalionu. Gdy mnie już nie stanie...

— Przestań, Lu — oburzył się Anto. — Ona jest bardzo stara, a ty...

Wiesz, że nie lubię, jak tak mówisz. Lepiej chodźmy po sprawunki.

Mimo przenikliwego zimna, wiatru i wilgotnej mgły było im wesoło. Postanowili poszukać drobnych podarków dla przyjaciół i kolegów na zbliżające się święta.

— Wiesz, co wymyśliłem dla Ludwika Conneau? — Książę zaśmiał się cicho. — Zamówmy dla niego tuzin chustek do nosa z czułymi emblematami. Damy mu do zrozumienia, że to prezent od Miss Prescott. Niech ma w co ronić łzy tęsknoty. Co ty na to?

— Nic. Dobry pomysł. Szkoda tylko, że nie ma tu Róży. Ślicznie by wyhaftowała serca przebite strzałą oraz inne podobne słodkości.

— Szkoda — przyznał Lu. — Znajdziemy chyba jakiś sklep bielizniarski

czy szwalnię.

— Trudno coś dojrzeć, taka mgła — Anto spojrzął na mijaną właśnie fasadę.

— Serce przebite strzałą, a nad nim dwa gołąbki — marzył głośno Lu.

— A wszystko otoczone wieńcem z niezapominajek.

— Biedny Ludwik — wzdrygnął się Anto. — Już widzę, jak wydobywa 127

z kieszeni owo cudo i wywołuje sensację w Saint-Cyr. Okrutniku! — ścisnął

ramię przyjaciela.

Szli prędko, gnani wiatrem, zatulając szalikiem usta. Oświetlone gazem witryny magazynów majaczyły słabo wśród gęstego tumanu, a na wilgotne płyty chodnika kładły się drżące smugi bladego światła. W tych warunkach nieliczne tylko szyldy mogły przyciągnąć oko przechodnia.

— Poszukajmy na Piccadilly — zaproponował Lu, przeszli jednak całą ulicę aż do Regent Street, nie znalazłszy najmniejszego śladu szwalni.

— Spróbujmy w bocznych ulicach — Anto pociągnął przyjaciela w stronę budynków Królewskiej Akademii.

Minęli całą Regent Street i skręcili w ulicę Oksfordzką. Lu zaczynał tracić nadzieję.

— Takie sklepy znajdują się chyba na skromniejszych ulicach — pocieszał księcia Anto, wodząc wzrokiem po ledwie widocznych fasadach. — O, tam, spójrz! — zawołał nagle. — „Szycie bielizny — hafty”. — Odczytał głośno dobrze oświetlony napis. — W sam raz dla nas.

Drzwi pchnięte mocną ręką księcia wprawiły w ruch małe dzwoneczki, wydające brzękliwe, ale melodyjny dźwięk.

W sklepie była jedna tylko osoba, młoda dziewczyna schylona nad tamborkiem. Za jej plecami na półkach piętrzyły się stopy prześcieradeł i obrusów, męskich koszul i damskiej bielizny.

Dziewczyna odłożyła tamborek, przykrywając nim leżącą na kontuarze książkę, i wstała.

— Czym mogę panom służyć?

Była średniego wzrostu, w ciemnobrązowej sukni zapiętej wysoko pod szyją, z długimi wąskimi rękawami. Odcień sukni zlewał się z kolorem włosów. Rozdzielone pośrodku głowy i zaplecione w dwa grube warkoczki zwijały się nad uszami na kształt muszli winniczka, mieniąc się ciepłym

brązem i złotem.

Oczy bardzo niebieskie pod czarnymi brwiami ładnie harmonizowały ze świeżą cerą i jasnym rumieńcem.

— Chcielibyśmy zamówić tuzin chustek z haftem — zaczął Lu i zamilkł. Dziewczyna nie patrzyła na niego, nawet go chyba nie widziała. Nieruchome źrenice utkwiała w twarzy Anta.

— Mela... — wybełkotał chłopiec, składając ręce. — Mój Boże! Mela! Dziewczyna potrząsnęła głową. Oczy jej utraciły nieruchomość spojrzenia.

— Nie rozumiem pana — odwróciła się w stronę półek.

128

— Melu, przecież to ja, Anto. Czy zapomniałaś?

— Nie wiem, o co chodzi pańskiemu przyjacielowi. — Nie patrzyła na nikogo. — Zaraz pokażę chustki.

— Melu — Anto oparł się o kontuar, odsuwając tamborek. Spadła ukryta pod nim książka. Chłopiec schylił się. — To przecież „Pan Tadeusz” — wyszeptał, jak gdyby sam z sobą dzielił się tym niezwykłym odkryciem. — Melu, czego się boisz? Szukamy ciebie od tylu lat!

Dziewczyna postawiła na ladzie pudło z chustkami. Oczy miała spuszczone.

— Proszę, niech pan wybiera — zwróciła się do księcia. — Angielski batyst w najlepszym gatunku. A jaki ma być haft? Czy monogram?

— Nie wiem. — Lu patrzył na przyjaciela. Dziewczyna zamknęła pudło.

— Nic pan nie zamawia? — głos jej lekko drżał. Nie podnosiła oczu.

— Nie wiem — powtórzył Lu.

Anto położył na kontuarze niewielki tomik w zniszczonej oprawie. Widać często był czytany.

— Pamiętasz, jak uczyliśmy się tych wierszy na pamięć? — Uporczywie szukał wzrokiem oczu dziewczyny. — Róża nas przepytywała. Tak pięknie deklamowałaś „O roku ów...”.

— Bardzo pana przepraszam, ale zaraz zamykamy sklep — zwracała się wyłącznie do księcia. — Ja... nie wiem, czego ode mnie chce pański przyjaciel... Nie rozumiem, co mówi...

— Chodź. — Lu ujął Anta pod ramię. — Do widzenia pani. Przyjdę innym razem.

— To Mela — chłopiec dał się posłusznie wyprowadzić na ulicę. — Od razu ją poznałem, a ona...



— Ona też ciebie poznała — książę podniósł kołnierz palta. — Ale wi-  
dać nie życzy sobie znajomości z tobą.

— Co robić? Ona się boi, nikomu nie ufa. Boże, jak ją przekonać?

— Poczekajmy za rogiem — poradził Lu. — Zamkną sklep i ona wyj-  
dzie. Wówczas pójdziemy za nią i dowiemy się, gdzie mieszka. Potem  
już od ciebie będzie zależało...

Czekali najwyżej kwadrans, a wydawało im się, że minęły godziny.

Dziewczyna wyszła wreszcie, ale nie była sama. Towarzyszył jej starszy  
jegomość, który opuścił żaluzje na wystawowych oknach i zaryglował  
drzwi.

— Dobranoc, Miss Medlin.

— Dobranoc, panie Fields.

9 — Talerz z Napoleonem

129

Anto ścisnął księcia za ramię.

— Słyszałeś? — szepnął w samo ucho przyjaciela. — Miss Medlin. Tak  
nazywała się angielska guwernantka Meli. Miss Alicja Medlin.

Dziewczyna szła szybko, nie oglądając się za siebie. Przytrzymała  
szarpane wichrem poły płaszcz, tego samego koloru, co suknia. Ciepły  
kapturek, którego wstążki związane pod brodą tworzyły wielką brązową  
kokardę, ciasno otulał jej głowę.

Zapуściła się w słabo oświetloną Bayswater Road, przedłużenie jak gdy-  
by ulicy Oksfordzkiej. Potem skręciła w prawo, w Sussex Gardens, od  
której odchodziło kilka węższych i krótkich uliczek. W jednej z nich  
zniknęła w bramie wysokiej kamienicy.

Odczekali chwilę, po czym i oni zanurzyli się w czysto wymiecioną sień i  
zapukali w szybę dozorczyńni.

— Ta panienska, co przed chwilą tu weszła — Anto położył na parapecie  
nowiutką półkoronówkę. — Chcielibyśmy wiedzieć, gdzie mieszka.

Dozorczyńni popatrzyła na monetę, a podniósłszy głowę spojrzała uważnie  
w twarze młodych ludzi.

— Jaka panienska? — głos miała gruby, prawie męski.

— Ta w brązowym płaszczu. Widzieliśmy, jak tu wchodziła.

— Niech panowie oficerowie idą swoją drogą. A to proszę zabrać — od-  
sunęła monetę.

— Chcielibyśmy...

— Tu nie ma żadnej panienski, o jaką panom chodzi. To porządny dom i

porządni mieszkańcy. Niektórzy, co prawda, bardzo biedni — dodała wzdychając.

— Ta panienska jest moją znajomą — nalegał Anto. — Dawno jej nie widziałem i...

— Nie wypada panom oficerom napastować przyzwoitej panienski — ucięła baba. — Proszę gdzie indziej szukać przygód.

— Zostawiłbym list — zaczął Anto, ale dozorczyński nie dała mu dokończyć.

— Szkoda fatygi — burknęła. — Nikomu nie zaniiosę pańskiego listu. Niech panowie idą z Bogiem.

— Czego się pani obawia? — wmieszał się książę. — Nie mamy żadnych niecznych zamiarów. Chcielibyśmy po prostu...

— Wiem, co panowie chcieli — dozorczyński pokiwała głową. — Żyję nie od dziś i widziałam niejedno. Powtarzam, nic tu nie ma dla panów ciekawego.

130

— Pani się myli — Lu oparł łokieć o parapet, zasłaniając sobą Anta. — Tę panienską poszukuje rodzina, a my właśnie przynosimy jej wiadomość. Anto nie słuchał dalszej rozmowy przyjaciela z dozorczynią. Powoli posuwał się w głąb sieni, oświetlonej jednym tylko kinkietem, aż natknął się na pierwsze stopnie schodów. Puścił się biegiem, jak gdyby uciekał przed pogonią.

Dziewczyna — zważywszy jej skromną kondycję — musiała mieszkać wyżej. Anto przemknął jak duch trzy piętra i zatrzymał się na niewielkim podeście. Z trzech stron znajdowały się wejścia do mieszkań.

Zza lewych drzwi kwiliło niemowlę, z prawej strony gderliwy męski głos robił komuś przykre uwagi. Drzwi na wprost schodów zamykała masywna

klódka.

Podest czwartego piętra był identyczny z identycznym rozkładem mieszkań.

Z lewej strony dwa głosy, męski i kobiecy, obrzucały się obelgami. Mężczyzna wytykał kobiecie obojętność, ona jemu zdradę. Anto postać chwilę nasłuchując. Zza drzwi na wprost schodów sączył się cichutki śpiew

skrzypiec. Ktoś ćwiczył „Marzenie” Schumanna, powtarzając niektóre pasáže po kilka razy. Drzwi prawie milczały, nie zdradzając obecności lokatora głosem czy szelestem.

Anto przyłożył ucho do lakierowanych na brązowo desek. Po chwili usłyszał kaszel. To Mela, słyszał, jak kaszłała w magazynie. Bez pukania nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły.

— Czekam na panią, pani Grayton, mam pani coś do powiedzenia. — Dziewczyna, a właściwie Mela, klęczała przed kominkiem, przypiekając nad skąpym ogniem kromkę chleba, nadzianą na widelec z długą rączką. Zdjęła już brązową suknię, miała teraz na sobie czarną spódnicę i ciepły flanelowy kaftanik. Oczekiwała widać gościa, bo na skrzyp drzewi nie odwróciła nawet głowy.

— To ja — Anto głośno przełknął ślinę. — Nie bój się, jestem sam — dodał prędko.

Dziewczyna zerwała się, chleb spadł w żar kominka. Twarz miała zaczerwienioną od ognia, a może z przestrawu. Oddychała szybko i na chwilę zamknęła oczy.

— Dlaczego się mnie boisz? Cały czas ciebie szukałem... Nie mogłem żyć... I Róża, i Ryszard... A Zelia nigdy nie zwątpiła... Zawsze powtarzała, że wrócisz do domu. Melu, dlaczego milczysz? Powiedz, że mnie pamiętasz!

132

— Zelia... — powtórzyła cicho Mela, a potem dodała prędko: — Pamiętam, ale tam w sklepie nie byłeś sam.

— Byłem z Lu, no z Lulu, wiesz przecież — powiedział niecierpliwie.

— Więc to był Lulu? — zdziwiła się, powoli rozciągając sylaby. — A ja myślałam...

— Co myślałaś?

— Nic. Widzisz, muszę być ostrożna, bardzo ostrożna. Ty tego nie rozumiesz, nic przecież nie wiesz.

— Wiem wszystko — wybuchnął. — Ryszard wiele razy był w Mentonie i w okolicznych wioskach. Szukał na całym wybrzeżu...

— Mamusia... — wstrząsnął nią dreszcz. — Gdzie jest mamusia? Co się z nią stało? — zakryła twarz, a spomiędzy palców pocięły łzy.

— Melu — objął ją delikatnie, bojąc się zbyt gwałtownym objawem czułości spłoszyć słabe jeszcze zaufanie.

— Anto — wyszlochała w kłapy jego płaszcza. — O Anto... Przepadły gdzieś straszliwe lata wojny, nieszczęść, oddalenia. Znikł kadet w szkarłatnym uniformie akademii z Woolwich, znikła szwaczka z magazynu. Na ich miejscu było znowu dwoje dzieci z ulicy Świętego Rocha, dwoje dzieci złączonych serdeczną przyjaźnią. Mela i Anto.

Długo tak stali, aż ścichł płacz Meli. Widać było, że dziewczyna dopiero teraz, w tej właśnie chwili pozwoliła sobie na podobny objaw słabości. Ale jakąż odczuła ulgę i odprężenie! Dotąd musiały się strzec, omijać zastawione pułapki, zawsze czujna, nieufna i podejrzliwa, stale pamiętająca o jednym: nie dać się pochwyć.

A oto ustępowało długotrwałe napięcie i strach. Wracała przeszłość, a z nią życie, prawdziwe, normalne życie w domu, wśród swoich, bliskich, drogich i kochanych. I tak dobrych! Nie trzeba się będzie bać, niczego wystrzegać, oglądać się za siebie, zrywać się do nagłej ucieczki. Wszystko zło już minęło. A może nigdy go naprawdę nie było? Może jej się to wszystko zdawało?

— Anto — szeptała coraz ciszej, trzymając się kurczowo kłapy wojskowego płaszcza. — Anto...

I wtedy Anto podniósł głowę znad włosów dziewczyny i zobaczył. Niewielki pokój oświetlał tylko ogień na kominku i jedna świeca tkwiąca w porcelanowym lichtarzu. Dlatego dotąd nie zauważył. Zresztą oczy miał jedynie dla mieszkanki skromnego wnętrza.

Nad kominkiem wisi talerz. Talerz z Napoleonem. Taki sam, jaki zostawił im Dziadus. Talerz zajmował miejsce przeznaczone niegdyś na lustro. Teraz

133

puste po nim ramy wyklejono kwiecistą tapetą, na jej środku pysznił się sewrski talerz, połyskując delikatnym błękitem i złoceniami.

Jak mógł, wszedłszy, nie zauważyć? Chyba dlatego, że światło — jedynie ogień na kominku — przyciągało wzrok, no i Mela...

— Talerz — wykrztusił. — Czy to możliwe? Taki sam...

— To mój talerz — Mela otarła ostatnią łzę. — Zobacz ten brzeg, o tu, widzisz? Jest wyszczerbiony. Pamiętasz?

Skinął głową, niezdolny dobyć głosu ze ściśniętego wzruszeniem gardła.

— Ale jak to się stało?

— Nie wiem — Mela potrząsnęła głową. — Zobaczyłam go na wystawie pewnego antykwariusza. Jakieś pół roku temu. Był dla mnie za drogi. Właściciel sklepu zgodził się zdjąć talerz z wystawy i poczekać, aż zbiorę pieniądze. Pożyczyła mi pani Grayton, inaczej czekałby zbyt długo.

— Właśnie, pani Grayton. Któż to taki?

— Dozorczyni. Cudowna kobieta. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie ona i jej mąż. Znalazła mnie przed rokiem i uratowała. Byłam głodna, zziębnięta i bezdomna. Wszystko im zawdzięczam. Poczekał — zakrzętała się przy stojącym w głębi pokoju piecyku. — Zaraz przygotuję kolację. Zjemy razem, jak dawniej. — Wydobywała talerze i filiżanki. — Chleb spalił się na węgiel — zajrzała w głąb kominka i zaśmiała się, jak dawniej. Śmiech znowu zjawiał się na zawołanie, był tuż obok łez. Anto zdjął płaszcz i klęknął przed paleniskiem.

— Zimno tu — zatarł ręce. — Nie masz więcej drzewa?

— Nie mam — stwierdziła z żalem. — Zostało tylko trochę do piecyka.

— Zaraz kupię — zerwał się, ale w tej samej chwili zastukano do drzwi.

— Proszę, pani Grayton — zawołała Mela wycierając ręce.

Do pokoju wkroczyła dozorczyńni. Ujrawszy Anta, zatrzymała się przy drzwiach z ręką na klamce.

— A jednak wcisnął się pan do tego domu — powiedziała z wymówką.

— Wbrew moim zakazom.

— Droga, kochana pani Grayton — Mela uściskała kobietę. — Jestem taka szczęśliwa! Wie pani, kto przyszedł? — wskazywała gościa. — To Anto, prawie mój brat, pamięta pani? Opowiadałam przecież.

— Pamiętam — kiwnęła głową. — A więc to pan? — zwróciła się do intruza.

— Proszę wybaczyć — Anto uśmiechnął się z zażenowaniem. — A mój przyjaciel?

134

— Długo zawracał mi głowę — wybuchnęła. — Tak długo, aż pan zdążył wejść na górę.

— Byłeś z Lulu? — zainteresowała się Mela.

— Tak, z nim.

— To książe Ludwik Napoleon — wyjaśniła. — Anto i on są przyjaciółmi.

— Książe?

— Tak, syn Napoleona III, francuski książę.  
— Wiem, wiem — przytaknęła pani Grayton. — Tylu teraz u nas cudzoziemców... Ale jeśli to książę...  
— Najprawdziwszy. Będzie kiedyś cesarzem — oświadczyła z dumą Mela. — A pani z nim rozmawiała jak ze zwykłym człowiekiem.  
— Tak samo, jak rozmawiam z każdym. Był taki zwyczajny, podobny do wszystkich innych młodych paniczów. Ale bardzo grzeczny — dodała prędko.  
— Gdzie tu można kupić drzewa i węgla? — Anto już naciągał płaszcz.  
— Mój mąż zaraz przyniesie — ofiarowała się. — Więc mogę być spokojna? — spojrzała pytająco na Melę.  
— O tak, skończyły się wszystkie moje biedy. Wracam do domu! Wkrótce w kominku huczał ogień. Cały pokoik wydał się jakiś jaśniejszy i nie tak ubogi.

Siedzieli naprzeciw siebie na niewygodnych krzesłach i jedli kolację, którą pani Grayton uświetniła śliwkowym puddingiem.

— Mela — powtarzał od czasu do czasu Anto, spoglądając na dziewczynę, jak gdyby nie bardzo wierzył w jej materialną obecność.

— Anto — odpowiadała odkładając widelec i wyciągniętą ręką dotykając jego dłoni. Ona też potrzebowała upewniać się, że przyjaciel nie jest zjawą, lecz jakże namacalną rzeczywistością.

— Ryszard wynajął specjalnego agenta, żeby ciebie odszukać — mówił Anto. — Pan Chatham, to ten agent, zamieszczał anonsy w „Timesie”. Bez skutku. I dopiero ja... przypadkiem...

— Czytałam takie ogłoszenie — wyznała Mela. — Ale bałam się... Już raz mnie odnaleziono, jakiś człowiek zjawił się u państwa Skirringów. Było mi u nich bardzo dobrze, a on... Miał nieprzyjemną twarz i tak na mnie dziwnie patrzył... — wzdrygnęła się. — I koniecznie chciał mnie zabrać. A potem stał naprzeciwko domu i pilnował, aż pokojówka zwróciła uwagę. A potem stał już ktoś inny i też pilnował. Wiedziałam, że nie zostawią mnie w spokoju. Tak bardzo bałam się, że uciekłam. Tylnym wyjściem. Przez ogród.

135

— Jak mogłaś? — spojrzał na nią z wyrzutem. — Pan Skirring martwił się bardzo, dał znać policji. Byliśmy u niego.

— Gdybym wiedziała... — zapatrzyła się w ogień.

— Przewróciłem do góry nogami pałacyk w alei Cesarzowej w poszuki-

waniu talerza — zwierzał się Anto. — Zrozumiałem, że bez niego nie odnajdę ciebie.

— Dlaczego tak myślałeś?

— Sam nie wiem dlaczego. Wszyscy mnie o to pytali. Ale czyż nie miałem racji? Ty i talerz jesteście złączeni wspólnym przeznaczeniem.

— Naprawdę tak sądzisz? — zdziwiła się.

— Naprawdę — odpowiedział poważnie i spojrzał na Napoleona.

A potem pili herbatę, wkładali równo piłowane polana do kominka i wspominali przeszłość.

— Jak dobrze, że jutro niedziela — westchnęła dziewczyna. — Nie muszę iść do magazynu.

— Nigdy już nie pójdziesz do magazynu — Anto odstawił pustą filiżankę. — Jutro razem z Lu odwieziemy cię do Chislehurst, do cesarzowej Eugenii. Tak zdecydował Lu. Zostaniesz tam, dopóki nie przyjedzie po ciebie Ryszard. I wreszcie znajdziesz się w domu. Zobaczysz, jaki jest teraz piękny.

— Dom zawsze jest piękny — szepnęła. — Mój Boże! Dom, Róża, Zelia...

— I Ryszard, i Staś — dokończył.

— I wuj Ryszard, i mały Staś — poprawiła. — Chciałabym dziś jeszcze znaleźć się w domu.

— Poproszę panią Grayton, żeby została u ciebie na noc. Będę spokojniejszy. Pan Chatham zaprzestał poszukiwań, uznał je za bezcelowe, ale ten drugi, ten, który trafił do pana Skirringa, jeszcze nie złożył broni.

Skoro ja trafiłem do twojego magazynu, to i on... jemu też może się udać.

— O nie — zaprzeczyła stanowczo Mela. — Ciebie przywiodła Opatrzność, a on... Nie, nie — kilkakrotnie pokręciła głową. — To niemożliwe. Jednakże Anto postawił na swoim i pani Grayton obiecała spędzić noc w pokoiku na czwartym piętrze.

Lu czekał u mistrza Dumonta, ledwie hamując niecierpliwość.

— Jego Wysokość nic nie jadł — oznajmił fryzjer — nie może usiedzieć na miejscu, taki jest zdenerwowany. Chciał już iść pana szukać.

— No i co? I co? — pytał Lu, nie dając przyjacielowi zdjąć płaszcza.

— Zwycięstwo! — Anto wyrzucił w górę czapkę. — Jutro Mela pojedzie z nami do Camden Place, jak powiedziałeś. Prosiłem panią Grayton,

by

spędziła u niej noc. Teraz, gdy ją odnalazłem, boję się, by znowu nam nie zginęła.

— O kim mówisz? Co za pani Grayton?

— Dozorczyni. Mela powiedziała jej, kim jesteś. Mimo to uważa cię za całkiem normalnego człowieka.

— Czego ja jej nie naplotłem — śmiał się Lu — byle tylko zająć jej uwagę i pozwolić ci spenetrować dom! Gdzie mieszka Mela?

— Na czwartym piętrze. I wiesz, co jeszcze odnalazłem?

— Co takiego?

— Talerz.

— Jaki talerz?

— Talerz z Napoleonem.

— Doprawdy, Anto, kpisz chyba ze mnie.

— Mówię prawdę.

— Gdzie go odnalazłeś? Mówże.

— U Meli.

— U Meli? W domu?

— Wisi nad kominkiem. Sam go jutro zobaczysz.

— Zawsze mówiłeś, że bez talerza jej nie odnajdziesz — mruknął Lu.

— Tak mówiłem. Bo to prawda. Odnalazłem jednocześnie i Melę, i talerz. Ale w tym już twoja jest zasługa.

— Mylisz się, nie moja. Byłem tylko narzędziem. Zresztą sam wiesz najlepiej.

— Cicho, Consuelo, nie śpiewaj, Mela jeszcze śpi.

Zelia wszystkich strofuje. Nawet mały Staś, dotąd oczko w głowie, musiał ustąpić z pierwszego miejsca. Wszelkie starania, uwaga i troskliwość skupiają się na Meli.

W pawilonie przy ulicy Catinat zrobiło się ciasno — trzeba było urządzić pokój dla cudem odnalezionej. Ryszard zamierzał nawet szukać innego, wygodniejszego mieszkania, ale Róża i Zelia oparły się temu, wysuwając takie awantaże pawilonu, jak jego odosobnienie, odgródzenie jak gdyby od ulicznego kurzu i hałasu, otaczająca go zieleń i zdrowe, bo nieledwie wiejskie, powietrze.

137

Wigilia Bożego Narodzenia zgromadziła wszystkich przy jednym stole: na ten tylko wieczór Zelia odstępowała od swoich zasad i zgadzała się —



polskim obyczajem — zasiąść do kolacji razem z „państwem”. Wspomniano naturalnie święta spędzone niegdyś w domu, przy ulicy Świętego Rocha, choinkę w Tuileriach i tych, co odeszli.

— Dobry, kochany pan Hutorowicz — Mela tuliła lalkę, którą otrzymała w dzieciństwie na gwiazdkę od starego przyjaciela. Róża przechowała ją pieczołowicie przez te wszystkie lata.

O tragicznych zajściach w okolicy Czerwonych Skał chwilowo nie wspomniano.

List Anta z tak nadzwyczajną wiadomością postawił na nogi cały dom.

Ryszard natychmiast wyjechał do Calais, skąd statkiem przebył Kanał. W Dovorze złapał pociąg do Londynu. Chislehurst było tuż.

Dawno już Lu tak chętnie nie gościł w domu. Ale nie zawsze miał sposobność przebywania w towarzystwie „dziewczynki znalezionej na cmentarzu”, której tak był ciekawy w czasach dzieciństwa.

Spotkali się pierwszy raz w Londynie, na czwartym piętrze w pokoiku Meli.

— Jaka ona jest? — pytał po drodze Lu.

— Śliczna — uciął Anto, spoglądając spod oka na księcia. Dziewczyna gotowa do podróży oczekiwała przybycia przyjaciół. Anto doradził, by wszystko, całą swoją chudobę, pozostawiła do dyspozycji pani Grayton. Przyda się to bez wątpienia sąsiadom w potrzebie. Jedynymi „skarbami”, jakie zabierała, był talerz troskliwie opakowany i zniszczony tomik Mickiewicza.

— Melu, oto księżę Ludwik Napoleon — przedstawił księcia Anto — a to Mela.

— „Dziewczynka znaleziona na cmentarzu” — uzupełnił Lu, ujmując wyciągniętą rączkę.

— Wasza Wysokość — szepnęła Mela z rumieńcem.

— O nie, nie tak — zaprotestował księżę. — Jestem Lu, a chyba ty pozwolisz, bym cię nazywał Melą? Znamy się przecież od tak dawna, choć widzimy się po raz pierwszy. Pojedziesz do mojej matki. Już ją uprzedziłem. Oczekuje ciebie niecierpliwie.

— Doprawdy, Lu — Mela szybko oswoiła się z miłą familiarnością, jaka połączyła ją z tak wysoko utytułowanym przyjacielem.

Pożegnanie z Graytonami wzruszyło dziewczynę, jeszcze z dorożki powiewała mokrą od łez chusteczką.

Cesarzowa Eugenia nie zawiodła oczekiwań syna, z pasją zabrała się do roboty. Miała przecież „doprowadzić Melę do stanu godnego jej urody” — jak się wyraziła.

— Ta brązowa suknia, płaszcz i reszta są, owszem, w niezłym guście, przystoją jednak raczej sklepowej pannie, a nie młodej damie — wydymała usta podczas przymierzania nowych toalet, obracając Melę jak manekin.

— Wuj Ryszard kupi mi, co trzeba — próbowała nieśmiało protestować Mela — sprawiam tyle kłopotu...

— To dla mnie przyjemność — ucięła cesarzowa Eugenia.

Nie było rady, należało poddać się owej troskliwej tyranii dawnej panny de Montijo, która w sprawach mody i dobrego smaku nie miała chyba równej sobie znawczynie.

Zważywszy na tak niezwykły ewenement, Anto uzyskał wcześniejszy świąteczny urlop z akademii, pragnął bowiem wraz z Ryszardem odwiedzić Melę do domu.

— Nie wiadomo, co się może przydarzyć w drodze — tłumaczył księciu.

— Lepiej być zbyt ostrożnym niż zgrzeszyć zaniedbaniem.

Mela, przemieniona w wytworną damę, przyciągała wzrok i wzbudzała zachwyt. Cesarzowa Eugenia promieniała, dumna ze swojego dzieła.

— Potrzebna ci jeszcze tylko skromna biżuteria — oświadczyła po dokonanej już metamorfozie. — Mam właśnie taką, która będzie odpowiednia dla młodej panienki.

— Wuj Ryszard — zaczęła Mela.

— Nie wątpię, że wuj Ryszard i moja droga Róża przystroją cię, jak na to zasługujesz. Ale chcę, byś się im zaprezentowała jak bliskie mi dziecko, wychodzące z mojego domu. O właśnie, pani Lebreton przyniosła zieloną szkatułkę. Wobec tego wybierajmy.

Zielona szkatułka okazała się safianowym kufierkiem, zamykanym na misterny zameczek. Na wieku błyszcząca duże „E” z połączanego srebra pod cesarską koroną.

Czego tam nie było! Małe puzderka z nazwiskami największych jubilerów

z ulicy de la Paix kryły istne cuda.

Cesarzowa Eugenia odstawiała kolejno co cenniejsze klejnoty, aż wybrała garnitur z chryzolitów.

— Młoda dziewczyna nie powinna nosić drogiej biżuterii — tłumaczyła.  
— W szmaragdy i rubiny może ustroić się dopiero po ślubie. Chryzolyty są dla

139

ciebie w sam raz. Co prawda nie masz zielonych oczu, ale odcień tych kamieni, ich blask i te złote ogniki doskonale harmonizują z kolorem twoich włosów. Czy mam rację? — zwróciła się do pani Lebreton.

— Ależ tak, Madame — pospieszyła z odpowiedzią lektorka. — Meli będzie ślicznie w chryzolitach. Przy jej cerze...

Zdecydowano się więc na chryzolyty. Zręczne palce pokojowej wpięły w uszy Meli niewielkie kolczyki, jej lewą rękę ozdobiła chryzolitowa marka. Wisiorek z tychże kamieni na cieniutkim złotym łańcuszku ładnie odbijał od brązowego jedwabiu sukni. I to było wszystko. Chłopcy również brali jak najżywszy udział w tych toaletowych zabiegach. Przez tydzień spędzony w Camden Place Mela zmieniła się nie do poznania.

— Gdybyś tak się zjawiła w twoim magazynie — śmiał się Anto.

— Nie żartuj — odpowiadała poważnie. — Miałam tam dobrą pracę i dzięki temu mogłam żyć. Ciekawam, co pomyślał pan Fields, otrzymawszy mój list?

Pan Fields, magazyn i w ogóle dotychczasowa egzystencja usunęły się gdzieś daleko w otchłanie pamięci, skąd będzie je można przywołać, gdy przyjdzie na to ochota. Chwilowo przestały istnieć, podobnie jak wszystko inne, co nie było domem.

Mimo niespokojnego o tej porze roku morza, mimo przepelnionych pociągów — zbliżały się przecież święta — podróż stanowiła dla Meli dalszy ciąg cudownych przeżyć, zapoczątkowanych tak niedawno temu niespodziewaną wizytą dwóch chłopców w magazynie przy Oxford Street. Gdy nadeszła Wigilia, dziewczyna była już tak zadomowiona, jak gdyby od początku mieszkała w pawilonie przy ulicy Catinat.

Niemalą sensację wywołał talerz, gdy Anto rozpakował tajemnicze zawiniątko, którego podczas podróży nie pozwolił dotknąć nikomu.

— W jaki sposób znalazł się w Londynie? — Róża postawiła to raczej retoryczne pytanie, nie oczekując na nie żadnej odpowiedzi.

— Odwiedziłem sklep antykwariusza, u którego Mela nabyła talerz — wyjaśnił Anto. — Pan Rank (to jego nazwisko) miał pewne trudności z przypomnieniem sobie tego talerza. Ale powiedziałem mu o Meli i wówczas wszystko stało się jasne. Okazało się, że pamiętał nawet oko-

liczności, w jakich go kupił. Opowiadał, że proponowano mu kupno wielu staroci z Francji, podejrzewał nawet, że niektóre cenne sztuki pochodzą z kradzieży. Ponieważ bardzo porządnie prowadzi spis nabytków, mógł mi nawet podać nazwisko sprzedawcy. To niejaki Maurycy Lacontre. Francuz. Bardzo źle mówiący po

140

angielsku. Wspomniał, że talerz jest jego starą rodzinną pamiątką, w co pan Rank zresztą wcale nie uwierzył.

— Kimkolwiek jest ów Maurycy Lacontre — zauważył Ryszard — oddał nam prawdziwą przysługę, wywożąc talerz do Londynu.

— Może kiedyś dowiemy się, kto to taki, ów pan Lacontre — dodała Zelia. — Ciekawe, jak wszedł w posiadanie talerza.

— Pewnie wyniósł go z pałacyku w alei Cesarzowej — wtrącił Anto.

— Tak, tak — poparła chłopca Mela — Anto ma rację. Musiał go zabrać z mojego pokoju. To zwykły złodziej.

— Nie wiem, czy taki zwykły — mruknęła Zelia i wyszła do kuchni. Po wyjeździe Anta którejś niedzieli w pawilonie przy ulicy Catinat zjawił się Ludwik Conneau. On także chciał wreszcie poznać „dziewczynkę znalezioną na cmentarzu”. Zresztą, jak mu napisał Lu, przyczynił się pośrednio do jej odnalezienia.

„Chcąc ci spłatać figła, szukaliśmy szwalni. Nie dostałeś głupich chustek, za to my mamy Melę i talerz”.

Młody Conneau spędził święta w Anglii, u rodziców, tak więc rozminął się z Antosiem. Bardzo też przypadł do serca mieszkańcom pawilonu i Róża oświadczyła, że jej dom zawsze stoi dla niego otworem.

Mela miała więc już trzeciego wielbiciela — jak żartował Ryszard. Niestety, następna osoba, która odwiedziła dom Żeranów, była wręcz niepożądana.

W poniedziałek, wczesnym popołudniem, zastukał do drzwi pawilonu lokaj i totumfacki pana Narzymskiego, ów niesławnej pamięci Fabian. Ryszarda nie było w domu. Drzwi otworzył Miguel Toreno i zaniósł Róży bilet niemiłego gościa.

Pan Narzymski czekał powrotu lokaja w powozie.

Róża, niepewna, jak ma postąpić, zasięgnęła rady Zelii.

— Niech wejdzie — mruknęła służąca. — Zobaczymy, czego chce. Melę zatrzymam na górze.

Pan Narzymski wszedł z pewnym sobie uśmiechem. Skłonił się lekko,

jak człowiek, który swoją wizytą czyni zaszczyt gospodarzom, po czym siadł na wskazanym przez Różę fotelu.

— Mojego męża nie ma w domu — zaczęła.

— O pani Rózo, droga pani Rózo — przerwał gość — nieładnie mnie państwo potraktowali, bardzo nieładnie.

Nie rozumiem.

141

— Łączą nas więzy czegoś w rodzaju powinowactwa — ciągnął przybysz, nie zważając na jej zakłopotanie.

— Można to tak określić — stwierdziła chłodno.

— Rzeczywiście można — chrząknął. — Ewenement tej miary, jaki wydarzył się w naszej rodzinie (słowo „naszej” wymówił z przyciskiem), napelnia państwa zrozumiałą radością. Dlaczego jednak zapomnieliście o mnie, jak gdybym w ogóle nie istniał?

— Proszę wyrażać się jaśniej. Ewenement? Jaki ewenement?

— I pani o to pyta? — zgorszył się pan Narzymski. — Jako stryja, a więc jedynego prawnego opiekuna sieroty, należało mnie chyba zawiadomić.

— O kim pan mówi? — Róża czuła, że zbliża się jakieś straszne niebezpieczeństwo, że życie Meli znowu jest zagrożone. A Ryszarda jak na złość nie było w domu. Po co przyjechałam tego łotra? — karciała się w duchu.

— O kimże, jak nie o mojej bratanicy? — Pan Narzymski wypuścił z ręki kapelusz, stawiając go na dywanie obok fotela. — Czy jednak są państwo zupełnie pewni, że to córka mojego zmarłego brata? — nie patrzył na Różę, bawił się brelokiem przy dewizce.

— Mówi pan zagadkami.

— Niezupełnie. Pani widać nie chce mnie zrozumieć. A minęło przecież kilka lat od owego tragicznego wypadku. W ciągu takiego czasu dziecko się zmienia, ogromnie się zmienia, tym bardziej, jeśli to jest dziewczynka. Dziewczynki, jak pani wie, wyrastają na młode panny. Wówczas łatwo się pomylić.

— Jest pan coraz mniej zrozumiały.

— Nieświadomość zła przynosi pani zaszczyt — pan Narzymski pochylił głowę. — Musi jednak pani wiedzieć, że są ludzie, którzy nie zawahają się przed największą podłością. Są oszuści, którzy dla zysku ważą się na wszystko. Nietrudno podstawić pierwszą lepszą dziewczynę i

kazać jej odgrywać rolę nieszczęśliwej, cudem uratowanej sieroty. Wie pani, jaka jest stawka w tej grze? — dodał po chwili.

— Nie — Róża spojrzała prosto w unikające jej wzroku źrenice gościa.

— Spadek po moim bracie, dziedzictwo Meli, którego zazdrośnie strzegę i nie wydam w ręce byle oszustki.

— O ile pamiętam — Róża z trudem opanowywała gniew — niezbyt interesował się pan bratanicą po śmierci jej ojca. Przypuszczam, że pana łatwo byłoby wprowadzić w pole, gdyby, tak jak pan mówi, znalazł się jakiś oszust na tyle bezczelny, by podstawić fałszywą Melę.

142

— O, zaczyna mnie pani rozumieć — ucieszył się pan Narzymski. Ale choć usta jego układały się w uśmiech światowca, oczy zadawały kłam wszelkiej dobroduszości.

— Rzeczywiście, zrozumiałam pana. Proszę więc pozwolić mi dokończyć myśli. Pana, być może, nietrudno byłoby oszukać, mnie nigdy. Mela była u mnie przez te lata, gdy pan zapomniał nieledwie o jej istnieniu. Znałam to dziecko tak dobrze, iż po najdłuższej nawet rozłące rozpoznalabym ją wśród tysięcy.

— Nie miała więc pani żadnych wątpliwości?

Róża wstała. Wiedziała, że nie powinna przedłużać słownego pojedynku z człowiekiem tak niebezpiecznym.

— Wolałabym, aby tę rozmowę dokończył pan z moim mężem — powiedziała sucho. — Pan wybaczy, muszę zająć się synkiem.

Pan Narzymski zerwał się jednocześnie z gospodynią. Maniery miał zaiste nieposzlakowane, choć wszystko w nim było fałszem.

— Zechce pani uprzedzić pana Ryszarda — w jego głosie pobrzmiwały jakieś twarde tony — że oczekuję jego wizyty u siebie.

— Nareszcie poszedł — odetchnęła Róża. — Wiesz, Zelio, czeka nas coś strasznego. Powiedział, że jest Jedynym prawnym opiekunem sieroty po bracie". Słyszałaś coś podobnego? Przez cały czas rozmowy tak manewrowałam, żeby nie zdradzić, iż Mela jest w domu.

— Czego chciał?

— Meli.

— Dobrze wiedział, że dziecko jest w domu — warknęła Zelia — chodzi mu o jej fortunę. Mela dla niego to zagrożenie.

— Nie może jej zobaczyć. Nie dopuścimy do tego. Dotąd byliśmy bardzo nieostrożni, zapomnieliśmy o najważniejszym. Tylko nic nie mów Meli, po co ją straszyć?

— Jak to po co? Musi wiedzieć, co jej grozi — zaprotestowała Zelia. — Jak chcesz, by miała się na baczności, jeśli nie ostrzeżesz jej przed niebezpieczeństwem?

— Chyba masz rację. Poczekajmy na Ryszarda. On zadecyduje.

— Łotr! — wybuchnęła Zelia. — Oczekuje wizyty pana Ryszarda u siebie.

Bodaj go...

— Cicho, Zelio. Ryszard nie powinien tam iść. Ale Ryszard był innego zdania.

— Muszę się z nim wreszcie rozmówić — oświadczył stanowczo. — Nie

143

pójdę jednak bezbronny do jaskini lwa, a raczej kojota, bo to zwierzę bardziej do niego pasuje. Pamiętasz to blaszane pudełeczko, które znalazłaś w ruinach Tuileriów? — zmienił ton. — Schowałaś je, prawda?

— Tak, leży gdzieś w komodzie. A po co ci ono?

— Jeśli się nie mylę, jest to skuteczne lekarstwo, które raz na zawsze uleczy pana Narzymskiego z chęci szantażu.

— Sądziś, że ta kartka...

— Ta kartka ma wielkie znaczenie, Rózo. Bądź dobra, idź i poszukaj jej. Blaszane puzderko od dawna spoczywało zapomniane na dnie szuflady, pod kupką bielizny.

Ryszard raz jeszcze zbałał przez lupę tajemniczy kwit czy rewers z podpisem stryja Meli i z sumą stu tysięcy.

— Zanim do niego pójde — oznajmił — muszę poczynić pewne przygotowania i zebrać niezbędne informacje. Zajmie mi to parę dni. Nie wolno też dopuścić, by zobaczył Melę.

— Musiał nas szpiegować, jeśli dowiedział się. A i ten jego agent w Londynie...

— I to możliwe. W każdym razie niech teraz Mela nie wychodzi na ulicę. Wystarczy jej spacer po naszym dziedzińcu, i to o zmierzchu. I jeszcze jedno: czy pamiętasz nazwisko lichwiarza, z którym Wacław Narzymski spotkał się w pałacyku w alei Cesarzowej?

— Wówczas, gdy Anto podsłuchał ich rozmowę?  
— Tak. Czy nie był to niejaki Pochard?  
— Pochard, z całą pewnością. Dobrze zapamiętałam.  
— Wezmę tę kartkę — Ryszard wsunął pudełeczko do kieszeni. — Wyjdę wieczorem. Te rekiny wolą prowadzić swoje ciemne interesy w świetle gazowych latarni, a nie w blasku słońca.  
— Ryszardzie, boję się o ciebie...  
— Bądź spokojna. Tym razem nie dam się zaskoczyć.  
Kiedy w kilka dni po wizycie stryja Meli Ryszard zadzwonił do jego apartamentu, Fabian oznajmił, że „pan musiał wyjechać w bardzo ważnej sprawie”.  
— Wystraszył się — skomentowała jego nieobecność Zelia.  
— Raczej ostrzy sztylet — odparł Ryszard i zaraz dodał: — broń skrytobójców.

144

Najspokojniejsza w całym domu okazała się Mela.  
Cóż złego mogło jej się przydarzyć tu, wśród tylu kochających osób?  
Zima zresztą to paskudna pora roku, dnie są krótkie, a salonik Róży tak zaciszny, że nie przychodzi najmniejsza chęć wystawić się na lodowaty wichur, śnieg lub deszcz. Niech sobie stryj Waclaw układa swoje nieczne plany. Do pawilonu przy ulicy Catinat nigdy nie sięgnie jego ręka.

VII

Mimo paskudnej pogody, mimo wichru chłoszczącego nagie drzewa Camden Place, mimo deszczu, który spływał kroplami łez po szybach sypialni,

na świecie był karnawał, na tym świecie, z którego wygnała ją klęska Francji.

Jej ostatni karnawał spłonął wraz z Tuilieriami, zapadł się jak dach nad pałacem przysypany iskrami pożaru i popiołem pogorzelniska.  
Jednakże na świecie, na tym świecie, w którym było jeszcze miejsce na karnawał, wczesny zmierzch i długie wieczory przygotowywały tancerzy na czekającą ich balową noc.

Bal... Jak Wenus wyłaniająca się z morskiej piany wykwiłała z kielicha krynoliny biała i posągowa, młoda i piękna, wówczas jeszcze panna de Montijo, której jasne włosy ozdobił wkrótce cesarski diadem.

Z jakąż dumą wysokie zwierciadła salonów podawały sobie odbicie olśniewającego zjawiska!



We wszystkich oczach błyszczał podziw. Zachwyty w spojrzeniach mężczyzn, gorycz, niekiedy nawet zawiść w źrenicach uśmiechających się nieszczerze dam.

A teraz... Ciemna codzienna suknia, osuwający się owal twarzy, oczy zmęczone, pozbawione dawnego blasku. W jasnych włosach coraz więcej siwizny. Przybladłe wargi należy co rano ożywić karminem, wysokie łuki brwi podkreślić ołówkiem. Bo nie wolno poddać się... starości, wygnaniu, rozpacz. Trzymać się prosto i od czasu do czasu, by nie wyjść z pracy, złożyć ów tuileryjski rewerans, którego żadna kobieta nie potrafiła wykonać z takim wdziękiem i z taką maestrią.

Czy wejdzie kiedy do tronowej sali, by w taki sposób powitać cesarza? Cesarza... Napoleona Czwartego... jej syna. Czy wejdzie?... Czasem wierzy w to, wierzy w cudowne zakończenie tej jakże szarej

146

i nędznej egzystencji, ale coraz częściej opadają zwątpienie, czuje się znużona, słaba i bezbronna wobec wrogich sił rządzących Francją. Stara się odpędzać te niedobre myśli, niegodne małżonki cesarza, którego hart ducha stawiała wszystkim za przykład.

Niestety, są dnie, a raczej noce, jak ta dzisiejsza noc karnawałowa, kiedy to się wcale nie udaje. Czarne myśli napływają z czoła do oczu, formują się w obrazy, rozsnuwają w sceny jak zza teatralnej kurtyny. Twarze... głosy... słowa... gesty... ludzie, których kiedyś znała, dobrze znała, a którzy znikli z jej życia, gdy kurtyna opadła.

Po co właściwie wspomina? Ze śmiercią cesarza skończyło się i jej życie. Teraz ma jedynie obowiązek do spełnienia, święty obowiązek: czuwanie nad synem. On jest jedyną i ostatnią nadzieją, nie tylko jej, ale i Francji. O tak. Francja ją wyгнаła, oczerniła przed światem, mało tego, bluźnęła nienawiścią, opluła oszczerstwem. A ona za to wszystko przygotowuje dla tejże Francji szczęśliwą przyszłość, mądre rządy szlacheckiego władcy, mającego jedynie dobro narodu na względzie.

Może kiedyś, po latach, podniesie się choć jeden głos w jej obronie?

Może Francuzi oddadzą jej sprawiedliwość? A może nawet będą ją błogosławić? Może otoczą jej pamięć wdzięcznym wspomnieniem?

Cesarzowa Eugenia ciśniej otula się puchową narzutką. Zimno w tej Anglii, zimno, mglisto i beznadziejnie. Nic dziwnego, że tylu ludzi choruje na spleen. Francuscy wygnanci trzymają się lepiej, nie poddają się smętkowi chmurnego nieba. Muszą zresztą walczyć o życie, o przetrwanie, szu-

kają zarobku, wyprzedają rodzinne pamiątki.

Właściwie powinna się już położyć, jest późno, a nazajutrz wybiera się do Londynu. Wstąpi do owego słynnego fryzjera na Pali Mali, może coś jej poradzi na siwiznę. Tyle dam farbuję teraz włosy, byle ukryć nieubłagane posuwanie się czasu, byle utrzymać choć pozory przekwitłej młodości. Jakże gardziła niegdyś podobnymi sztuczkami! Wówczas, gdy jej uroda promieniała w błękitnym czy różowym salonie Tuileriów. A oto teraz i ona... jak inne, jak te, których zabiegi wywoływały niegdyś uśmiech politowania.

Książka wysunęła się z ręki, leży już od dłuższej chwili na dywanie, ale cesarzowa Eugenia nie ma najmniejszej chęci do czytania. Bo cóż piszą ci wszyscy autorzy? Czy to francuscy, hiszpańscy czy angielscy? Najchętniej wróciłaby teraz do lektur dzieciństwa i młodości. O tak, już wie, co przeczytałaby raz jeszcze z prawdziwą przyjemnością, opowiadania pana

147

Merimee, uroczego, niezapomnianego pana Merimee, przyjaciela z dawnych lat, z czasów, gdy nikomu jeszcze się nie śniło, że mała Eugenia poślubi cesarza.

Ale pan Merimee nie żyje. Siadywała mu na kolanach i słuchała niesamowitych opowieści, ona i jej siostra Paca.

Wiadomość o śmierci starego przyjaciela powitała ją, rzec można, u progu nowego życia w Camden Place.

Przyjechała tu w sobotę. Nazajutrz poszła do małego katolickiego kościółka Saint Mary w Chislehurst. Było tak tłoczno, że ledwie wcisnęła się do środka. Wmieszana w tłum najuboższych parafian stanęła przy drzwiach. O ile wobec ludzi nieraz grzeszyła dumą i wyniosłością, o tyle wobec Boga zawsze czuła się mała i mało znacząca. A potem, po obiedzie, przeglądając „Timesa”, znalazła suchą wzmiankę: „Wczoraj zmarł w Cannes pan Prosper Merimee, sławny francuski pisarz”.

Znała go czterdzieści lat! Prawie całe życie. Do końca wierny, nie wytrzymał straszliwej próby historii.

Wraz ze łzami odczuła ulgę. Dobrze, że nie dożył pruskiej inwazji, tragicznego upadku Francji. Tylko najbliżsi przyjaciele wiedzieli, jak wrażliwe serce krył pod pozorami oschłości i sceptycyzmu.

W szum wiatru i plusk ulewy wmieszał się nagle nowy dźwięk. Koń! Kopyta mocno plaskają w rozmiękłą ziemię. Widać jeździec spieszy się bar-

dzo.

Serce załomotało lękiem. Kto może tak pędzić do niej w taką pogodę i o takiej porze? Ludwik... Czy stało się coś?...

Podeszła do okna. Wiatr i deszcz nie pozwoliły rozpoznać głosów ani słów rozmowy, toczonej właśnie przed podjazdem.

Nie chciała dzwonkiem budzić pokojowej. Wysunęła się na korytarz i podeszła do schodów.

W westybulu lokaj zdejmował z przybysza ociekający wodą płaszcz.

— Ludwiku!

— Mamo! — książę podniósł głowę. — Czy mogę przyjść? Zaraz się przebiorę.

— Jestem szczęśliwa, że przyjechałeś.

— Cieszę się.

Zasiedli w jej sypialni przed kominkiem. Na niskim stoliku szumiał imbryk z całą zastawą do herbaty.

— Jak dobrze, że przyjechałeś — nalewała gorący płyn do cieniutkich filiżanek. — Ale dlaczego? Czy coś się stało?

148

Nie, nic. Ot po prostu zachciało mi się wpaść do domu. Byłem zresztą niedaleko.

— Niedaleko? Myślałam, że się bawisz. To przecież karnawał. Z pewnością jesteś rozrywany.

— Nie bardzo — książę upił łyk herbaty.

— Dlaczego?

— Nie jestem wolny — uśmiechnął się. — Zapomniałaś, że mam służbę.

— Och, służba... I ty tak konno, aż z Londynu?

— Nie, byłem w Woolwich.

— To dobrze — westchnęła uspokojona. — Bałam się już, że ty w taką pogodę, konno... Widziałeś pewnie Anta? Co z Melą? Dawno nie miałam listu od Róży.

— Mela znowu w niebezpieczeństwie — zauważył. — Anto opowiedział mi o wizycie, jaką stryj złożył pani Zeranowej. Boją się o nią, nie wypuszczają jej z domu.

— Zaraz napiszę do Róży. Powinni przywieźć Melę do mnie — odstawiła filiżankę. — Tu jej nic złego nie spotka. — Twarz jej ożywiła się, oczy rozbłysły. Pierzchno zniechęcenie do życia, apatia ustąpiła miejsca dawnej energii.

- W taką pogodę przeprawa przez Kanał — zaczął.
- O, to nic strasznego. Statki kursują normalnie. — Przechyliła się w stronę ognia. — Zresztą można wybrać dzień odpowiedni do podróży. Tak, koniecznie Mela musi przyjechać. Nie spuszczę jej z oka. Tu się nikt nie poważy...
- Dobrze — zgodził się, widząc jej ożywienie. — Wyobrażam sobie, jak się Anto ucieszy. A i ja...
- Podoba ci się Mela? — spojrzała na syna z nagłym niepokojem.
- Bardzo. Jest przecież śliczna — odparł szczerze.
- Śliczna — powtórzyła powoli. — Masz rację — westchnęła. — Jest rzeczywiście wyjątkowo ładna i ma wiele wdzięku. Nie to, co te angielskie pannie.
- Nie lubisz Angielek?
- Ależ lubię, lubię — zaprotestowała. — Tylko są takie inne... Nie powiem, że brzydkie... nie. Ładna Angielka jest piękną. Takie włosy i tak cudowną cerę nieczęsto ujrzysz na Kontynencie. Ale to nie wszystko, nie wszystko...
- Nie wszystko — zgodził się książę.

149

Chwilę trwało między nimi milczenie. Cisza, w której każde z nich wywołało obraz dziewczyny, nie będącej na szczęście Angielką. Matka w niej zobaczyła własną młodość. Syn — może coś, co go kiedyś czeka. Szczęście?

- Czy nie przeziębiles się? — zaniepokoiła się nagle. — Tak przemo-  
kłeś...
- Nic mi nie jest — uśmiechnął się. — Czuję się doprawdy doskonale. Czy możesz mi poświęcić jeszcze trochę czasu, mamó?
- Ile tylko zechcesz.
- Mam jedno pragnienie — zaczął cicho.
- Jakie pragnienie?
- Chciałbym dotknąć talizmanu Karola Wielkiego. Masz go, prawda?
- Mam. — Wyszła do garderoby. Po chwili postawiła na stoliku stalo-  
wą  
kasetkę.
- Lu wpatrywał się w ręce matki, gdy delikatnie manipulowała przy skomplikowanym zamku.
- Kiedyś ta relikwia powróci do Francji — powiedziała poważnie. —

Razem z tobą. To będzie twój dar dla katedry w Reims.

— Dlaczego w Reims?

— Bo tam koronowano wszystkich królów Francji.

— Miejscem koronacji Bonapartych jest paryska Notre Dame — zauważył.

— Ale to nie jest relikwia Bonapartych. To sięga początków monarchii Karolingów. Sprzed tysiąca lat.

— Wszyscy mówią, że drogie kamienie mają dziwne właściwości — książę nachylił się nad kasetką. — Przeważnie są to jakieś złowrogie siły, szkodzące

temu, kto je nosi.

— Talizman Karola Wielkiego jest dobroczynny. Posiadaczowi przynosi szczęście.

Pod nacisnięciem sprężyny odskakuje wieko. Wewnątrz na ciemnym ak-samicie spoczywa bezcenna relikwia: owalny szafir niespotykanych rozmiarów o pięknym głębokim kolorycie, w rzeźbionej oprawie z masywnego złota, w którą wprawiono szmaragdy, perły, granaty i ametysty. Kamienie te migotliwą aureolą otaczają wspaniałą klejnot.

Gruby złoty łańcuch ujmuje w górze ów wisior, z którym — jak głosi tradycja — Karol Wielki nigdy się nie rozstawał, wierząc święcie w jego dobroczynną moc.

Bezcenny ten klejnot, zwany „Tau” od chaldejskiego znaku w kształcie litery „T”, zapewniał koronę temu, kto go nosił.

150

Pochodził ze Wschodu, a Karol Wielki otrzymał go w darze od legendarnego kalifa Bagdadu, owego Haruna-ar-Raszida z „tysiąca i jednej nocy”. Władca ten pragnąc utrzymać dobre stosunki z wielkim cesarzem, przysłał mu cenne dary. Był tam między innymi słoń, zegar wybijający godziny i wreszcie ów cudowny szafir, w który metodą inkrustacji wpuszczono odprysk z drzewa Krzyża Świętego.

Karol Wielki nosił ów wisior aż do śmierci, a gdy umarł w osiemset czteremsetnym roku, pochowano go w Akwizgranie razem z talizmanem.

Gdy w kilka wieków potem otwarto grób cesarza, zdjęto z jego szyi tysiącletni szafir, przechowując go odtąd w skarbcu akwizgrańskiej katedry, aż do pojawienia się Napoleona. To młody cesarz Francuzów zwrócił skarby akwizgrańskiej katedrze, ewakuowane podczas rewolucji, i Kapi-tuła, jako wyraz wdzięczności, ofiarowała nowemu imperatorowi naj-

świętszą relikwię.

— Napoleon dał ten historyczny wisior twojej prababce, Józefinie — szmerze głos matki. — Miała go na sobie w czasie koronacji. Po jej śmierci relikwia przeszła na własność jej córki, Hortensji, twojej babki. Gdy ta umarła, ojciec został właścicielem, a raczej, jak mówił, „strażnikiem” bezcennej pamiątki.

— Wiem — przytakuje księżę. — Zawsze to mówił, a od ucieczki z twierdzy Ham, podobnie jak Karol Wielki, nie rozstawał się ze świętym „Tau”.

— Wierzył w jego moc — wtrąca matka. — Powtarzał, że temu szafirowi zawdzięcza koronę. Otaczał go też jakąś nieledwie zabobonną czcią.

— Bo to relikwia — szepcze Lu, delikatnie dotykając świętego szafiru.

— Drzewo Krzyża... Ale ojcu nie przyniosła szczęścia. Mimo tronu...

— Za to ty...

— Ja... Cóż ja? Jestem niczym.

— Nie mów tak. W tobie jest nadzieja, szczęście moje i Francji.

— Wierzysz w to, mamó?

— Wierzę. Czyż inaczej mogłabym żyć?

Księżę powoli wydobywa z kasetki karoliński talizman. Całuje relikwię, a potem, jak Karol Wielki, zawiesza ją sobie na szyi.

Zimny dotyk grubych złotych ogniw ciężkiego łańcucha przejmuje go dreszczem. Jak gdyby dotknął zmarłego cesarza.

Podchodzi do lustra. Kamień połyskuje słabo w migotliwym blasku świec.

— W owych czasach nie umiano jeszcze szlifować kamieni — wzdycha matka. — Nie posiadano odpowiednich narzędzi. Gdyby dziś taki szafir, 151

szmaragd czy ametyst trafiły do pracowni znakomitego jubilera, wyobrazasz sobie, jakie cuda wyszłyby z ręki takiego na przykład Cartiera?

— Nie zwiększyłyby to w niczym wartości tego klejnotu — szepcze Lu.

— Jest i tak bezcenny. — Zdejmuje wisior z szyi i ostrożnie układa na aksamicie wyścielającym dno kasetki.

— Bezenny — powtarza cesarzowa Eugenia, zatrzaszkując wieko.

— Nareszcie będziemy spać spokojnie. — Zelia zasunęła rygiel i założyła sztabę u drzwi wejściowych.

— Oby nic im się nie przytrafiło w drodze — westchnęła Róża.

— Co się ma przytrafić? Z panem Ryszardem i z Miguelem Mela jest zu-

pełnie bezpieczna. Za to my...

— My? A cóż nam grozi?

— Zapominasz o Stasiu — upomniała surowo Zelia. — Nietrudno porwać dziecko. Takie rzeczy już się zdarzały.

— Och, Zelio, nie wspominaj nawet o podobnej możliwości. Do powrotu Ryszarda nie wyjdę z domu. Cały czas będę ze Stasiem.

— Nie bój się — Zelia łagodziła wrażenie, jakie na Róży wywarły jej słowa. — Jest nas trzy, a drzwi mocne.

Po tygodniu podróży byli już z powrotem w domu. Widać pan Narzym-ski śledził, co się dzieje w pawilonie przy ulicy Catinat, gdyż zaraz naza-jutrz nadszedł list.

Ryszard przeczytał go przy śniadaniu i podał Róży elegancki arkusik ze złoconymi brzegami.

„Panie Ryszardzie — pisał stryj Meli — wyjeżdżałem pilnie wezwany i nie miałem przyjemności przyjąć pana u siebie. Jest jednak sporo spraw, które musimy wspólnie omówić. Tyczą się one wyłącznie mojej bratani-cy, a jako jej prawny opiekun mam obowiązki do wypełnienia i pragnę jak najprędzej wywiązać się z nich. Rozmowa nasza może być trudna, niemniej wierzę, że dojdziemy do porozumienia, obu nam przecież leży na sercu dobro Meli. Proponuję spotkanie jutro, o drugiej po południu, w pałacyku mego brata w alei Cesarzowej. Może się panu wyda dziwne to opuszczone miejsce, ale chodzi mi o jak największą dyskrecję, a tam będziemy mieli pewność, że nikt nam nie przeszkodzi. Nie potrzebuję doda-wać, że rozmowa nasza odbędzie się

152

szmaragd czy ametyst trafiły do pracowni znakomitego jubilera, wyobra-żasz sobie, jakie cuda wyszłyby z ręki takiego na przykład Cartiera?

— Nie zwiększyłyby to w niczym wartości tego klejnotu — szepcze Lu.

— Jest i tak bezcenny. — Zdejmuje wisior z szyi i ostrożnie układa na aksamicie wyścielającym dno kasetki.

— Bezcenny — powtarza cesarzowa Eugenia, zatrzaszkując wieko.

— Nareszcie będziemy spać spokojnie. — Zelia zasunęła rygiel i założy-ła sztabę u drzwi wejściowych.

— Oby nic im się nie przytrafiło w drodze — westchnęła Róża.

— Co się ma przytrafić? Z panem Ryszardem i z Miguelem Mela jest zu-pełnie bezpieczna. Za to my...

— My? A cóż nam grozi?

— Zapominasz o Stasiu — upomniała surowo Zelia. — Nietrudno porwać dziecko. Takie rzeczy już się zdarzały.

— Och, Zelio, nie wspominaj nawet o podobnej możliwości. Do powrotu Ryszarda nie wyjdę z domu. Cały czas będę ze Stasiem.

— Nie bój się — Zelia łagodziła wrażenie, jakie na Róży wywarły jej słowa. — Jest nas trzy, a drzwi mocne.

Po tygodniu podróżni byli już z powrotem w domu. Widać pan Narzym-ski śledził, co się dzieje w pawilonie przy ulicy Catinat, gdyż zaraz naza-jutrz nadszedł list.

Ryszard przeczytał go przy śniadaniu i podał Róży elegancki arkusik ze złoconymi brzegami.

„Panie Ryszardzie — pisał stryj Meli — wyjeżdżałem pilnie wezwany i nie miałem przyjemności przyjąć pana u siebie. Jest jednak sporo spraw, które musimy wspólnie omówić. Tyczą się one wyłącznie mojej bratanicy, a jako jej prawny opiekun mam obowiązki do wypełnienia i pragnę jak najprędzej wywiązać się z nich. Rozmowa nasza może być trudna, niemniej wierzę, że dojdziemy do porozumienia, obu nam przecież leży na sercu dobro Meli. Proponuję spotkanie jutro, o drugiej po południu, w pałacyku mego brata w alei Cesarzowej. Może się panu wyda dziwne to opuszczone miejsce, ale chodzi mi o jak największą dyskrecję, a tam będziemy mieli pewność, że nikt nam nie przeszkodzi. Nie potrzebuję dodawać, że rozmowa nasza odbędzie się

152

w cztery oczy. Oczekuję zatem pana jutro w parterowym salonie. Proszę się ciepło ubrać, dom nie jest ogrzewany”.

— Nie możesz tam iść — zawyrokowała Róża. — To zasadzka.

— Być może — przyznał Ryszard. — Jednakże pójdę. Raz wreszcie trzeba wyjaśnić pewne rzeczy. Sytuacja Meli nie jest prosta. Prawnie opieka nad nią i jej majątkiem należy do stryja. Ja jestem tylko kuzynem jej matki.

— Powtarzam, to zasadzka. Dlaczego nie zaprasza ciebie do domu albo sam nie przychodzi do nas? To ponure miejsce, ten opuszczony pałacyk, nadaje się w sam raz do popełnienia zbrodni.

— Rzeczywiście, nadaje się doskonale.

— Zabierz przynajmniej Miguela — poradziła.

— Nie mogę. Czytałaś, co pisze? Nie chce, by ktokolwiek nam przeszkadzał, poza tym nie życzy sobie świadków.



— Ryszardzie, czy nie rozumiesz, że to idealne miejsce na zasadzkę? Gdy się tam kogoś zabije, nie będzie nawet kłopotu z usunięciem zwłok. On z pewnością przyjdzie z Fabianem.

— Wątpię. Nie zechce wtajemniczać sługusa w swoje sprawy rodzinne.

— Ten sługus wie o nim wszystko, zna nie tylko jego, jak mówisz, „sprawy rodzinne”, trzyma go w rękę i gdyby zechciał...

— Masz rację, jestem pewien, że Fabian nie przepuści tak doskonałej okazji do szantażu. Ale Narzymski jest goły. Ten lichwiarz Pochard pożyczyl mu dwieście tysięcy i...

— Czy znaczy to — przerwała — że z fortuny Meli nic już nie pozostało?

— Niekoniecznie. Jego brat, jak wiesz, obwarował testament licznymi klauzulami. Zobaczmy, co nam ta rozmowa przyniesie. Najgorsze to, że do pełnoletniości Mela powinna być pod jego opieką, on ma do niej niezaprzeczalne prawa.

— To niemożliwe. Wiemy, czym taka opieka grozi Meli.

— Zobaczę, co mi się uda wytargować. Nie wolno, by się dowiedział, że dziewczynka jest w Anglii. Cesarzowa Eugenia obiecała czuwać nad nią dzień i noc. Ponadto książę polecił ją opiece swojego dawnego nauczyciela, pana Filona, który mieszka w Camden Place. Jest jeszcze dawny sekretarz zmarłego cesarza, pan Pietri. Obaj ci panowie obiecali mi solennie pilnować dziewczyny jak oka w głowie. Zresztą nikt obcy tam się nie przedostanie, a służba jest dobrze wytresowana.

Tej nocy Róża prawie nie spała. Kilka razy wstawała i podchodziła do

153

\  
kołyski, jak gdyby pragnęła upewnić się, że dziecko nadal leży pod pięknie haftowaną kołderką.

Za każdym razem Ryszard starał się uspokoić żonę, wspominając o „brodni”, którą przygotował przeciw panu Narzymskiemu.

— To zbrodniarz — szeptała Róża. — Pamiętam, jak Mela bała się stryja. Dzieci mają intuicję, czują pewne rzeczy, które dorosłym nie przyszłyby nawet do głowy.

. — Wezmę rewolwer — obiecał.

— I co z tego, jak z nim będzie Fabian, a może i ten morderca Paweł Labourdet? Weź ze sobą Miguela.

— Nie mogę. Pisze wyraźnie o rozmowie w cztery oczy.

— Przecież to łotr. Takiemu nie należy ufać. Tobie stawia warunki, a sam ich nie dotrzyma.

— Proszę cię, Rózo, nie nalegaj.

Od rana panowało niezwykajne w tym domu napięcie. Nawet mały Staś ani razu nie zapłakał. Consuelo nie wyciągnęła ani jednej nuty, a Zelia miała najbardziej ponurą ze swoich min i milczała zawzięcie.

Po obiedzie Ryszard żegnany znakiem krzyża, który Róza kreśliła za wychodzącym, wsiadł do oczekującego na ulicy fiakra.

Dzień był pochmurny. Po wczorajszym deszczu pozostały na wpół zamarznięte kałuże i śliskie płyty chodnika. Koloryt nieba zlewał się z szarością ziemi, już w południe wydawało się, że zapada zmierzch.

Prawą ręką Ryszard dotknął stalowej rękojeści rewolweru, lewą ukrytych w wewnętrznej kieszeni dokumentów. Po paru latach względnego spokoju — jeśli nie liczyć perypetii związanych z poszukiwaniem zaginionej — oto znowu rozpoczynał niebezpieczną grę. Przeciwnik był — jak nigdyś — łasy na pieniądze, pozbawiony skrupułów, oswojony ze zbrodnią, choć równie jak on mówiący po polsku. Przedsięwziął co prawda pewne kroki ostrożności, nic jednak nie wspomniał o tym Róży. Była aż nadto wystraszona.

W tym ponurym świetle zimowego popołudnia aleja Cesarzowej robiła przygnębiające wrażenie. Przed pałacykiem nie było żadnego powozu ani dorożki, widać pan Narzymski przybył fiakrem i natychmiast odprawił woźnicę.

Ryszard przystanął przed okaleczoną fasadą i spojrzął w zasłonięte okna. Nigdzie nie paliła się lampa ani świeca. Obszedł dom i przez szeroko otwarte drzwi dostał się do kuchennej sieni. Pod nogami chrzęściły skrupy porozbijanych serwisów i jakieś papiery.

154

L&&

Dopiero w westybulu dojrzał światło. Sączyło się z salonu, a w przygniatącej ciszy wyczuwał wyraźnie wrogą obecność. Gdy zamknął za sobą drzwi do pokoju kredensowego, odciął się od zewnętrznego świata, odgrodził się od ludzi, od wielkiego miasta, zupełnie tak, jak gdyby zszedł do jakiegoś podziemia, bo i powietrze było ciężkie, widać dawno nie oddychał nim żaden człowiek czy inna żywa istota.

Chwilę czekał, po czym zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi salonu. W jednym z foteli garnituru „Ludwik XVI”, obleczonym teraz białym pokrowcem, siedział Wacław Narzymski. Przed nim na okrągłym gerydonie stał masywny dwuramienny świecznik, obok leżało pudełko kosztownych „londresów”, sprowadzanych prosto z Hawany. Palila się tylko jedna świeca.

— Witam pana — stryj Meli zwrócił się do wchodzącego z wyciągniętą ręką. — Jest pan sam?

— Naturalnie. Żądał pan rozmowy w cztery oczy.

— Doskonale. — Pan Narzymski wydał się bardzo zadowolony z tej odpowiedzi i wskazał Ryszardowi fotel po drugiej stronie stolika. — Cygaro? — podsunął otwarte pudełko.

Światło świecy zakreślało niewielki krąg nad gerydonem, pozostawiając resztę salonu w zupełnych prawie ciemnościach. Twarze siedzących jaśniały słabo na tle mroku, podobne do portretów, jakie pozostawiło dawne hiszpańskie malarstwo.

— Wiem, jak Mela jest przywiązana do pani Róży — zaczął Narzymski — niemniej uważam, że czas najwyższy, abym ja zajął się jej losem. — Słowo „ja” wymówił z przyciskiem.

— Jak pan to sobie wyobraża? — Ryszard rozsiadł się wygodnie i założył nogę na nogę.

— No cóż — stryj Meli wydobył z kieszonki kamizelki maleńkie nożyczki i starannie obciął koniec cygara. — Powinna zamieszkać u mnie, nie uważa pan?

— Na co panu ten kłopot? — Ryszard wzruszył ramionami. — Jest pan wolny, nieżonaty...

— Do czasu, drogi panie Ryszardzie, do czasu. Wkrótce biorę sobie żonę. Jestem już dość dawno zaręczony.

— Gratuluję. Tym bardziej Mela przeszkadzałyby w pańskim domu.

Dorosła bratanica to w małżeństwie często kość niezgody. Po co to panu?

— Obowiązek przede wszystkim — zadeklamował pan Narzymski. — Jest to córka mojego brata i nosi moje nazwisko.

156

— Cóż z tego? Gdy wyjdzie za mąż, przestanie nosić pańskie nazwisko.

— Ale do tej chwili... Nie, nie, jako jej prawny opiekun tylko ja mogę zająć się losem tej dziewczyny. I choć to już nie dziecko, nie ma przecież

własnego zdania i ja zarządzam jej fortuną.

— Będzie pan to czynił nadal — powiedział pojednawczo Ryszard.

— A z jakiej racji pan ma na nią łożyć?

— Proszę nie zapominać, że to córka mojej kuzynki, a moja żona jest do niej szczególnie przywiązana.

— Wszystko to słuszne, ale, widzi pan, ja myślę o przyszłości Meli. Gdy się ożenię, będę prowadzić dom otwarty. Moja przyszła żona jest osobą niezwykle towarzyską, Mela wejdzie w świat, w wielki świat — powtórzył z naciskiem. — Otworzy się przed nią możliwość świetnego zamążpójścia. Co pan na to?

— Odrestauruje pan ten pałacyk? — Ryszard podniósł wzrok ku niewidzialnemu sufitowi.

— Nie. Moja narzeczona chce, abym kupił dom w innej dzielnicy Paryża. Właśnie dobijam targu. Mela będzie tam miała osobny, wygodny apartamen-cik.

— Wątpię, czy zgodzi się rozstać z Różą — rzucił lekko Ryszard. — Są tak zżyte...

— Wiem, wiem — przerwał pan Narzymski. — Od czegoż jednak pański autorytet? Jako mąż... Wypada, niestety, aby Mela znajdowała się pod moją opieką i pod moim dachem, i z mojego domu wyszła za mąż. Rozmawiałem już z prokuratorem Republiki... to jeden z moich przyjaciół — dodał jak gdyby od niechcenia.

— Dobrze się składa, że ma pan znajomości w sądownictwie — Ryszard oparł ręce na kolanach. — Jest pewien człowiek, którego należy co prędzej oddać w ręce sprawiedliwości.

— Chętnie służę pomocą — pan Narzymski skinął głową. — Chwilowo jednak nie oddalajmy się od tematu naszej rozmowy.

— Człowiek, o którym wspomniałem, to niebezpieczny złoczyńca. Winien jest katastrofy przy Czerwonych Skałach. A i mnie omal nie zabił.

— Co pan mówi? — Wacław Narzymski pochylił się do przodu, z najwyższym, zdawałoby się, zainteresowaniem. — I pan go zna?

— Znam. Nazywa się Paweł Labourdet. To rybak z wioski Święta Agnieszka, niedaleko Mentony. Nietrudno będzie udowodnić mu udział w zbrodni. A gdy się go dobrze przyciśnie, wyśpiewa wszystko. Całą prawdę.

157

— Powiedział pan „w zbrodni”. W jakiej zbrodni?

— Chyba nie wierzy pan w nieszczęśliwy wypadek tam, u Czerwonych Skał? Znajdował się pan wówczas w Mentonie.

— Więc zdaniem pana nie był to nieszczęśliwy wypadek?

— Była to doskonale zaplanowana zbrodnia. Zginęły wówczas dwie osoby: Jadwiga Narzymska i woźnica. No i konie.

— Zdziwiał mnie pan. — Stryj Meli odchylił się na oparcie fotela.

— Są świadkowie — zauważył obojętnie Ryszard.

— Więc pan nie złożył broni — stwierdził jak gdyby z podziwem pan Narzymski.

— Nie złożyłem. Byłem wiele razy w Mentonie i w okolicy. Mogę powiedzieć, że zdeptałem wybrzeże Morza Śródziemnego w promieniu wielu kilometrów.

— A czy wolno zapytać, po co pan to czynił?

— Szukałem Meli.

— Rozumiem. Nie wierzył pan, że zginęła.

— Pan też nie wierzył.

W tej chwili na górze stuknęły jakieś drzwi:

— Okazuje się, że nie jesteśmy sami — zauważył bez zdziwienia pan Narzymski.

— Dom dla wszystkich otwarty. Wejść tu może każdy — Ryszard obojętnie wzruszył ramionami.

— Może to szczur? — Pan Narzymski spojrzał uważnie na swojego rozmówcę. — Nie jest pan ciekawy? — dodał po chwili.

— Nie.

— W takim razie wróćmy do naszej rozmowy. Kiedy użyje pan swojego autorytetu głowy rodziny i przekona Melę, że jej miejsce w moim domu?

— Nie zamierzam przekonywać Meli — oczy Ryszarda lśniły w mroku jakimś własnym blaskiem.

— Nie zamierza pan?

— Nie.

— A... dlaczego?

— Mela przeżyła straszny wstrząs. Utraciła matkę, a sama nieledwie cudem uniknęła śmierci. Boi się wszystkiego. Czuje się bezpieczna jedynie w moim domu. — Ryszard dotknął twardej rękojeści rewolweru. — Wszystko już panu wyjaśniłem — dodał — myślę, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

— O, myli się pan, drogi panie Ryszardzie. Bardzo się pan myli. Mamy sobie wiele do powiedzenia i zaraz to sobie powiemy.

— Czyżby? •\*- uśmiechnął się Ryszard. — Po cóż tracić czas nadaremnie?

— Niech się pan nie obawia. Nie stracimy czasu. Nie wypuszczę pana stąd, zanim nie otrzymam pisemnej zgody na przeprowadzkę Meli.

— Takiej zgody nigdy pan nie otrzyma.

— Jest pan pewien?

— Jeżeli chodzi o Melę, tak.

— Woli więc pan tu zostać?

— Nie zamierzam tu zostać dłużej, niż powinienem.

Pan Narzymski zaśmiał się, jak gdyby usłyszał doskonałą anegdotę.

— A jeśli obejdę się bez pańskiej zgody?

— Panie Waławie — Ryszard położył ręce na stoliku. — Po co ta zabawa w chowanego? Obaj doskonale wiemy, jak było. Znamy winowajców. Jeśli oni będą milczeć, jestem gotów i ja przejść do porządku nad pańskim udziałem w tej tragedii.

— Ach tak?

— Tak. Wspólnicy pana...

— Moi wspólnicy? — zadrwił stryj Meli.

— Lokaj Fabian i rybak Labourdet. Pan Narzymski wstał.

— To wszystko, co ma mi pan do powiedzenia? — jego głos drżał ledwie powstrzymywanym gniewem.

— O nie, jest jeszcze wiele innych spraw, ale od pana zależy, czy wydobędę je na światło dzienne.

— Zupełnie pan oszalał.

— Panie Waławie, wiem, że z fortuny Meli pozostało tylko to, czego nie mógł pan tknąć, a co brat pański obwarował klauzulami. W jej imieniu zrzeknę się tych pieniędzy, byle tylko zostawił ją pan w spokoju.

— Doprawdy, to przechodzi ludzkie pojęcie! Pan zwariował, a ja jestem zbyt cierpliwy.

— O nie, to nie cierpliwość każe panu wysłuchać prawdy.

— Prawdy? Jakiej prawdy? Wymyślił pan krwawy melodramat i każe mi grać w nim jakąś ponurą rolę. Ale dość tego. Zaraz napisze pan do żony, żeby Mela przysłała tu natychmiast wraz z oddawcą listu. Proszę, oto papier, pióro i atrament.

Jednym ruchem Ryszard zmiotł z gerydonu ustawione przez Narzymskie-

przedmioty, a jednocześnie stryj Meli porwał świecznik i zdmuchnął jedyne w salonie światło. Rozległ się ostry gwizd. Na schodach zatupotały kroki.

Ryszard wyszarpnął rewolwer i, roztrącając w ciemnościach meble, dopadł przeciwległych drzwi, prowadzących w głąb domu. Na szczęście w zamku tkwił klucz, mógł więc choć na chwilę odgrodzić się od prześladowców.

Skoczył ku oknu, zdarł zasłonę, do wnętrza przedostało się nieco słabego światła. Targnął dawno nie ruszaną klamkę. Chwilę mocował się z mośięzną rączką, aż udało mu się otworzyć okno. W tym samym momencie drzwi runęły pod naporem czterech silnych ramion.

Ryszard wyskoczył, nadziewając się nieledwie na ogołocone z liści, ostre gałęzie dziko rosnących pod oknem krzewów. Biegąc w stronę bramy, słyszał za sobą tupot dwóch par nóg.

Huknął strzał. Zginałby niechybnie, gdyby nie przypadek. Oto poślizgnął się w błotnistej kałuży i upadł nie wypuszczając na szczęście z ręki rewolweru. Strzelił za siebie, na oslepe. Krzyk i przekleństwo dowiodły, że strzał był celny.

Zerwał się błyskawicznie, ale nie zdążył zrobić nawet kroku, gdy runął na niego drugi napastnik, całym swoim zwałistym ciałem przygważdzając go do mokrej ziemi. Poczuł na gardle ostrze noża. Zebrał wszystkie siły — walczył teraz o życie — by jak najprędzej uwolnić spod ciężaru napastnika rękę z rewolwerem.

Nóż coraz głębiej wgniatał się w szyję i Ryszard wiedział, że jego pozycja była przegrana, leżał bowiem twarzą do ziemi, gdy nagle ktoś zwałił się na plecy przeciwnika.

Nóż ześlizgnął się, znacząc krwawą pręgę na szyi Ryszarda, który nadludzkim wysiłkiem przewrócił się na bok. Napastnik drugą ręką dusił go teraz, wpijając palce w krtań. W pewnej chwili Ryszardowi udało się wyciągnąć spod bandyty rękę z rewolwerem. Strzelił bez namysłu. Ciepła krew trysnęła na jego twarz.

Ktoś pomagał mu podnieść się. Stanął na drżących nogach, obrócił się, by podziękować wybawcy.

— Miguel!

— Chodźmy stąd, don Ricardo, prędzej, uciekajmy!

— Drugi raz uratowałeś mi życie. — Ryszard pochylił się nad rozciągniętym na ziemi przeciwnikiem i spojrzał w szeroko otwarte, martwe już oczy Pawła Labourdeta.

160

— Ryszard zastrzelił Pawła Labourdeta — tymi słowami Anto powitał księcia wchodzącego właśnie do pokoju nad zakładem fryzjerskim mistrza Dumonta.

— Co mówisz? Gdzie? Kiedy? — Lu otrząsał się jak pies wylażący z wody, i zrzucił mokry płaszcz.

— Mówię ci, to zupełnie jak rozdział z Rocambole'a! Do licha, Róża ma talent.

— Opowiedz dokładnie — Lu przykucnął przed kominkiem.

— Stryj Meli wezwał Ryszarda na rozmowę — rozpoczął Anto, wygodnie rozparty w fotelu. — A wiesz dokąd? Do pałacyku w alei Cesarzowej.

— Do tej ruiny?

— Tak. Idealne miejsce na zasadzkę, nie uważasz? Róża była pewna, że imię Narzymski ukrył tam zbirów, i nie myliła się. Ponieważ stryjowi Meli chodziło, jak pisał, o rozmowę w cztery oczy, Ryszard nie zabrał Miguela mimo próśb Róży. Ale Róża i tak zrobiła swoje i Miguel znalazł się w pałacyku. Słyszał wszystko i w odpowiedniej chwili opuścił kulisy i wkroczył na scenę.

— Mów po kolei, jak było — prosił Lu. Anto zaspokoił słuszną ciekawość przyjaciela.

— I co ty na to? — zapytał, gdy skończył ów „epizod z Rocambole'a", jak nazwał dramatyczne spotkanie w alei Cesarzowej.

— Nie do wiary! I mówisz, że Paweł Labourdet nie żyje?

— Nie żyje — przytaknął Anto. — Ryszard jest tego pewien. Jednakże zwłok nie znaleziono. Jeszcze tego samego wieczoru Ryszard pojechał do rotmistrza Brackiego. Obaj panowie odwiedzili znajomego komisarza policji. Udali się do pałacyku T-Jarzymskich. Ani śladu trupa. Deszcz zmył krew na ścieżce. W salonie panował idealny porządek. Wyważone drzwi stały oparte o futrynę, okno zamknięte, zasłony opuszczone. Przeszukali ze świecami cały dom, zeszli nawet do piwnic. Zwłok nie znaleźli.

— Pewnie złoczyńcy ukryli je gdzieś w ogrodzie.

— Chyba tak. Nazajutrz rano Ryszard i policja raz jeszcze zbadali dom, pokój po pokoju, a także ogród. Na próżno. Narzymski musiał wywieźć ciało, ziemia teraz zbyt twarda na kopanie grobu.



— Jeżeli po swoim pierwszym strzale pan Żeran usłyszał krzyk, przypuszczalnie ranił Fabiana — zauważył księżę.

— Ryszard też tak sądzi.

— A kiedy zjawił się Miguel?

— Talerz z Napoleonem

161

— Przyszedł zaraz po Ryszardzie i przez otwarte drzwi kuchenne dostał się do głównego westybulu. Ukrył się tam w niszy za posągami i wysłuchał całej rozmowy. Gdy imć Narzowski zgasił świecę i gwizdnął, z góry zbiegli bandyci. Miguel już wcześniej wiedział, że na piętrze ktoś się ukrywa. Gdy Ryszard wyskoczył przez okno, Miguel wybiegł i okrążył dom. Przyciął się za krzakami, czekając odpowiedniej chwili do interwencji. No i uratował Ryszarda. Już drugi raz.

— Fantastyczna historia!

— Fantastyczna — przyznał Anto. — Zły tylko jestem, że wszelkie najciekawsze wydarzenia dzieją się beze mnie.

— Nie ma na to rady — zauważył filozoficznie Lu. — Musisz przecież być tutaj.

— Właśnie, tutaj — zirytował się Anto. — Sterczę w Woolwich, podczas gdy tam...

— Przede wszystkim nie sterczysz w Woolwich, a studiujesz — upomniał Lu. — A poza tym tam obesli się doskonale bez ciebie. Grunt, że Mela bezpieczna w Camden Place.

— Często teraz bywasz w domu.

— Bywam — Lu wykręcił się plecami do ognia. — Czy zauważyłeś, że za każdym razem, gdy przyjeżdżam, zjawiają się natychmiast Woodhouse i Slade?

— Zauważyłem.

— I bezustannie kręcą się koło Meli — rzucił wzburzony księżę.

— Dziwisz się im? Ty sam...

— Co ja?

— Ty też „kręcisz się koło Meli”, jak mówisz.

— Ja to co innego. Czuwam nad nią.

— Wszyscy nad nią czuwają. Tylko jeden Bigge...

— Bigge świata nie widzi poza córką lorda Kirkdale'a — Lu wstał. — Zadzwoń, żeby nam podano herbatę. Ziąb jak diabli.

Wraz z zastawą do herbaty zjawił się i sam mistrz Dumont.

— Straszna pogoda — powiedział wstrząsając się. — W taki czas najlepiej siedzieć w domu. Nie radzę Waszej Wysokości...

— Trudno — przerwał Lu. — Dziś ostatni dzień karnawału. Jesteśmy oczekiwani w Camden Place. I nawet trzęsienie ziemi nie powstrzymałoby nas od podróży.

162

O tak. Nic nie zdołałoby im przeszkodzić. Nawet wybuch wulkanu, jak to oświadczył Anto.

W ten ostatni karnawałowy wieczór cesarzowa Eugenia wydała dla młodzieży taneczny wieczorek w Camden Place. Mimo ciasnoty, mimo braku odpowiedniej sali balowej, mimo warunków tak bardzo różnych od dawnego splendoru Tuileriów. Dlatego też nie nazwała tego karnawałowego zebrania balem, lecz wieczorkiem.

— Tylko dla najbliższych — zastrzegła się w liścikach z zaproszeniem. Rzeczywiście, liczba gości nie przekroczyła dwudziestu czterech osób,

a razem z domownikami do tańca stanęło zaledwie kilkanaście par.

— Pamiętaj, tańczycie tylko do północy — uprzedziła syna. — Potem podadzą gorącą kolację. Postną, bo to już będzie Popielec.

Na tańce rzeczywiście było mało czasu. Przytykająca do dużego salonu galeria posłużyła za salę balową.

Goście zjechali się wcześniej. Lu z iskrzącą się diamentami gwiazdą Legii Honorowej na frakowej kamizelce witał zaproszonych. Nie był rad z tego podkreślenia jego oficjalnego charakteru „pretendenta”, ale tak życzyła sobie matka, tym bardziej że na bal przybyła córka królowej Wiktorii, księżniczka Beatrycze, ogromnie z Lu zaprzyjaźniona.

— To coś więcej niż przyjaźń — szeptali wtajemniczeni.

Podobne szepty rozlegały się za każdym publicznym pojawieniem się księcia. O czym zresztą miały rozprawić owe stare, wyszłe już z towarzyskiego obiegu wdowy po lordach i parach Anglii? Kojarzenie małżeństw to w ich wieku najmilsza rozrywka, szczególnie, jeśli epuzerem okazać się może tak świetna partia, jak przyszły cesarz Francuzów. Z kim też nie swatano młodego Ludwika Napoleona! Obok księżniczki Beatrycze kandydatką była i duńska Thyra, i Maria Pilar, córka królowej Izabeli hiszpańskiej, a także parę niemieckich dziedziczek.

Niewielka orkiestra, ukryta za zasłoną z zieleni, zagrała Straussowskiego

walca. Lu z księżniczką Beatrycze rozpoczął tańce.

Anto w galowym mundurze Woolwich ledwie docisnął się do Meli.

— Czekam na ciebie — pomachała karnecikiem, gdzie jego imię figurowało przy pierwszym walcu. — Myślałam już, że do tego walca zaprosisz tę chudą Mary — dodała z dąsem.

— To ideał Bigge'a. — Ręką w białej rękawiczce objął talię dziewczyny.

— Te wszystkie księżniczki i lordówny — powiedział gorąco — nie umywają się

163

nawet do ciebie. Wyglądasz prześlicznie, a one przy tobie to jak, jak... — zabrakło mu porównania.

— Nie wysilaj się — rzuciła gniewnie.

— Dlaczego jesteś zła?

Zamiast odpowiedzi odchyliła się do tyłu i spod opuszczonych rzęs popatrzyła na niego, uśmiechając się zagadkowo.

— Woodhouse, Slade, a także Lu, zamiast zabawiać swoje panny w tańcu, ciągle patrzą na ciebie — powiedział ze złością.

— Cóż z tego?

— Jak to co? Stale jesteś obłąkana. Gdy przyjeżdżam, nie masz dla mnie czasu. Albo Slade, albo Woodhouse, albo inny bałwan zawsze jest do ciebie przyklejony.

— Nieprawda. To ty zawsze trzymasz się ode mnie z daleka. Jak gdybyś się bał.

— Melu, dlaczego my się kłócimy? To tak cudownie tańczyć właśnie z tobą... Jesteś najpiękniejszą dziewczyną nie tylko w tym salonie. A ja...

Ja...

Nic nie powiedziała, tylko ścisnęła go za rękę.

Wyglądała rzeczywiście-porywająco. Jak nigdy jeszcze.

Od sukni koloru róży herbacianej pięknie odbijały połyskujące ciepłym brązem włosy, puszczone w lokach na ramiona. Z woreczka ze złocistej siatki wychylała się kokietyrnie chusteczka z fioletowego jedwabiu jako pendant do bukiecika fiołków parmeńskich, kwiatów cesarzowej Eugenii, przypiętych do paska, a ofiarowanych na tę okazję przez księcia.

Walc trwał zbyt krótko, urwał się nagle, a wraz z nim pierzchno coś, co nie wypowiedziane drżało na wargach tancerzy, nie wymagające zresztą słów, a wyrażone o wiele lepiej Straussowską muzyką.

Anto w milczeniu odprowadził Melę do kanapki pod wielką taflą zwier-

ciadła, w którym przeglądały się kryształowe pająki zawieszono u sufitu galerii.

Orkiestra preludowała cichutko zza lśniącej zasłony krzewów cytryn i pomarańczy. Ponad zmieszany gwar młodych głosów wybijały się chwilami melodyjne staccata śmiechu, który to wznosił się, to opadał, niczym koloraturowe kadencje popisowej arii.

Księżniczka Beatrycze, owiana białą gazą, ginęła nieledwie za ruchomym parawanem fraków i mundurów. Lu, pamiętający o obowiązkach gospodarza, pilnował, by żadna z panien nie siedziała samotnie pozbawiona męskiego

164

towarzystwa. Co jakiś więc czas kierował pod ściany galerii frakowego lub mundurowego tancerza, odrywając go od grupy otaczającej królewskiego gościa. Mela, gdy weszła, wzbudziła zrozumiąłą ciekawość.

— Kto to? — pytali ci wszyscy, którzy rzadko widywali w salonie nowe twarze, zamknięci we własnym kręgu, dokąd niełatwo przedostać się komuś spoza ich towarzystwa.

Widoczna zażyłość, jaka łączyła Melę z księciem, przemówiła na jej korzyść. Wszyscy chcieli ją poznać. Młodzi ludzie prosili Lu, by ich przedstawił, panny ustąpiły miejsca obok księżniczki Beatrycze.

Mela zresztą wcale nie czuła się tu obco. Na brak wielbicieli także nie potrzebowała narzekać: jej karnecik nie pomieścił tych wszystkich, którzy ubiegali się o taniec.

Anto z daleka śledził te światowe sukcesy dziewczyny.

— Coś taki chmurny? — Lu wsunął rękę pod ramię przyjaciela. — Zaraz będzie kadryl. Z kim tańczysz?

— Nie wiem.

— Partnerem Meli jest teraz młody lord Bellows, a ty... O, widzisz, tam siedzi panna d'Orgy, chodź, przedstawię cię. Błagam, zrób to dla mnie! Antosiovi było zupełnie obojętne, z kim tańczy, jeśli nie mógł tańczyć z Melą. Na szczęście panna d'Orgy okazała się wyjątkowo sympatyczna, a nawet dowcipna. I kadryl, który pozwalał tancerzom na dłuższe chwile rozmowy, minął nadspodziewanie przyjemnie, mimo że pomylił się w czwartej figurze.

— Kadryl wymaga skupienia — rzuciła ze śmiechem panna d'Orgy. — Zupełnie jak matematyczne zadanie. A pan jest roztargniony — spojrzała uważnie na partnera.

— Tak pani sądzi? — spytał skonfundowany.

— Tak widzę — odpowiedziała, obracając się wdzięcznie w takt muzyki. Jeśli ona to widzi, to i inni — przestraszył się, ale oto ostatnia figura postawiła go naprzeciw Meli.

— Nie rób takiej grobowej miny — szepnęła po polsku, podając rękę porucznikowi Slade'owi, by okręciwszy się, jak nakazywała piąta figura kadryla, powrócić na miejsce u boku młodego lorda.

Po kadrylu był lansjer, potem znowu walc. W kontredansie jako vis-a-vis miał księżniczkę Beatrycze, która uśmiechała się ośmielajaco do milczącego kawalera.

165

— Wyglądasz jak mumia — rzucił w przelocie tanecznej figury Woodhouse, szczęśliwy partner Meli.

Przed samą północą bal zakończono galopem, słynnym galopem pana Offenbacha z „Orfeusza w piekle”. Galeria doskonale nadawała się do tego rodzaju tańca. Kilkanaście par pomknęło w posuwistych podskokach, a wielkie kryształowe lustra podwajały i potrajały skromną liczbę tancerzy, rozsuwając, zdawałoby się, ściany galerii w wielki salon Tuileriów.

Punktualnie o północy otwarto podwoje jadalnej sali. Długi stół lśnił białą adamaszkowych obrusów, srebrem i kryształami. Pęki świec w srebrnych kandelabrach, ustawionych na obu końcach stołu, obrzucały migotliwym blaskiem rozgrzane tańcem policzki pańien. W tym oświetleniu twarze siedzących wydawały się prawie nierzeczywiste, tajemnicze jakies i nieodgad-nione, oczy pociągały głębią spojrzenia, usta nieśmiałym uśmiechem przeczuwanego może szczęścia.

Anto siedział przy Meli. Zawdzięczał to oczywiście Lu, który tak kazał rozłożyć bileciki z nazwiskami gości. Z drugiej strony miał pannę d'Orgy, ale to już było sprawą czystego przypadku.

Ryby na zimno, na gorąco, modna „rosyjska sałatka”, majonezy... Cesarzowa Eugenia sama układała menu, przestrzegając pilnie postnego charakteru tej już popielcowej kolacji.

Nastrój biesiadników za to nie opuścił jeszcze karnawałowej nocy.

Po kolacji goście przeszli do dużego salonu, gdzie bawiono się w najrozmaitsze gry towarzyskie. Niestety, wcześniej trzeba było zakończyć ten bardzo udany wieczór — księżę i jego koledzy już w godzinach rannych musieli podjąć służbę w Aldershot, a Lu nie zgadzał się na żadne ustępstwa czy przywileje, jakich chętnie udzieliłyby mu angielskie władze

wojskowe.

Anto wracał do Woolwich. Z Melą pożegnał się w małym salonie, już po odjeździe obcych gości.

— Uważaj na siebie — przypomniał. — Pamiętaj, co pisze Róża. Twój stryj nie skapitulował.

— Wiem — westchnęła. — Ale tu jestem zupełnie bezpieczna. Niczego się nie boję. Przyjedziesz w niedzielę?

— Przyjadę. Słuchaj, Melu...

— Co takiego?

— Nie, nic... Już nic.

— Chciałeś mi coś powiedzieć?

166

— Tak, ale już zapomniałem, o co chodziło.

— Masz bardzo krótką pamięć — zauważyła urażona. — Dobranoc. — Odeszła tak szybko, że nie zdążył odpowiedzieć ani jej zatrzymać.

Cesarzowa Eugenia, choć zorganizowała cały ten wieczorek, nie pokazała się gościom ani razu, z ukrycia tylko kierując sprawnym przebiegiem zabawy.

Przed odjazdem Lu wstąpił pożegnać się z matką.

W sypialni było cicho i przytulnie. Na kominku płonęły smolne szczapy, ciężkie szkarłatne zasłony kryły smutny zimowy pejzaż. Zła pogoda nie docierała do tego wnętrza. Tu panował nastrój intymności i ciepła.

— Dziękuję, mamu — powiedział całując jej rękę. — Tak wszystko ślicznie urządziłaś...

— Księżniczka Beatrycze bawiła się chyba dobrze?

— O tak, doskonale. Nie przesiedziała ani jednego tańca. Była rozrywana prawie tak jak Mela.

— Jak Mela?

— Wiesz przecież, że ani w połowie nie jest tak ładna i gdyby nie była córką królowej Wiktorii...

— Lubisz ją, prawda?

— Bardzo. Można powiedzieć, że jesteśmy przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi.

— Czy zawsze myślisz pozostać dla niej tylko przyjacielem?

— Chyba tak... Nie wiem... Trudno mi sobie wyobrazić... Naturalnie, będę kiedyś musiał ożenić się, i to zanim wyłysię jak doktor Corvisart lub stanę się brzuchaczem jak stary Rouher — zaśmiał się z przymusem.

— A jeżeli księżniczka Beatrycze poczułaby do ciebie coś więcej niż przyjaźń?

— Małżeństwo podcięłoby mi skrzydła — odparł z żywością. — Na to jeszcze o wiele za wcześnie.

— Oczywiście, że za wcześnie — przyznała. — Ale czasem o tym myślę.

— Mam dużo do zrobienia, zanim to nastąpi. Wiem, że nie będzie mi dane pójść, jak to ktoś powiedział, „za głosem serca”. Niemniej postaram się, by ten małżeński zabieg okazał się jak najmniej bolesny.

— Czemu tak mówisz?

— Na tyle znam życie, mam, że nigdy nie zgodzę się, by mnie ożeniono

167

wbrew woli. A w ogóle, po co te przewidywania, to jeszcze bardzo odległa przyszłość.

— Tak. Bardzo odległa. Dopiero tam, we Francji, gdy już będziesz cesarzem...

— Dobranoc, mam — pochylił się i pocałował ją w czoło. — Muszę jechać. Koledzy na mnie czekają. Zaraz zacznie świtać.

— Przyjedź jak najprędzej — prosiła wpatrując się niespokojnie w tak podobne do własnych jasne oczy syna.

Słyszała, jak zbiegał ze schodów. Potem zajechał powóz. Trzasnęły zamknięte drzwiczki. Konie wyrwane z ciepłej stajni niechętnie podejmowały ciężkie obowiązki w niewdzięcznej służbie człowieka.

Dom powoli pogrążał się w ciszy, dziwnie kontrastującej z niedawnym jeszcze balowym gwarem.

Służba ryglowała drzwi wejściowe, gasiła gazowe lampy.

Wszystko znowu zapadało w codzienność. Ciężką, nudną i szarą, jak to niebo za oknem, rozświetlone hen, na horyzoncie, słabym odbłaskiem świtu, który gdzieś tam, na Południu, nazywano tak pięknie Aurorą. Jutrzenką.

## VIII

— Dobrze, że pan przyjechał — kobieta trzęsła głową, prowadząc gościa

przez świeżo bieloną sień. — Pan Fabian bardzo dziś niespokojny.

— Niespokojny?

— Tak. Narzeka na ból w nodze i w ogóle... — zapukała do drzwi w głębi.

Dwa okna dużego kwadratowego pokoju wychodziły na ogród. Wszystko kwitło, drzewa, krzewy, z gęstej murawy wychylały się pęki narcyzów, klomb bieleł się od stokrotek.

Wacław Narzymski starannie zamknął za sobą drzwi, jak gdyby chciał odgrodzić się od reszty domu. Mimo ciepłego dnia okna były ledwie uchylone. Pod jednym z nich, w głębokim fotelu siedział Fabian z nogą owiniętą bandażami, spoczywającą na poduszce.

— Wcale się nie goi — wybuchnął ujrawszy wchodzącego. — Lekarz mówi, że jeżeli wda się gangrena...

— Co tam lekarz — przerwał niecierpliwie Narzymski. — Paskudny postrzał i tyle. Poczekaj, aż zarośnie. Zobaczysz, że i znaku nie zostanie.

— Czekam tak od przeszło trzech miesięcy. — Lokaj z trudem hamował wybuch wściekłości.

— No to co? Myślisz, że wszystkie rany na każdym człowieku goją się jak na psie? Bądź cierpliwy.

— Skończyła się cierpliwość — chory uderzył pięścią w poręcz fotela.

— Żeby tego sukinsyna...

— Co ci to pomoże? — Narzymski wzruszył ramionami. — Sam tego chciałeś.

— Nie myślałem, że ten łamaga, Labourdet, nie da sobie rady z tym...

— Uważaj, co gadasz — Wacław Narzymski zamknął okno. — Po co te nazwiska? Zapomniałeś już o ostrożności?

169

— Gdyby pan tak siedział z tym cholernym bólem...

— Wiem, wiem — łagodził przybysz. — Jutro przywiozę z Paryża słynnego doktora.

— Tu nie pomoże żaden doktor. Jak będzie gangrena, to trzeba nogę obcinać. I co ja? Kaleka... Przez tego...

— Nie wrzeszcz. Nikt nie każe obcinać nogi i nie będzie żadnej gangreny.

— Skąd pan wie?

— Wiem.

— Dość już siedzenia w tej dziurze. Mnie trzeba ratować. A tu co mam?



- Dobrą opiekę, spokój i doskonałą kuchnię. Jeszcze ci mało?
- Do diabła z kuchnią! Nosem mi to wszystko wyłazi. Ja chcę być zdrowy, rozumie pan? Zdrowy!
- Lekarz przyjeżdża co dzień i zmienia opatrunki. A że się nie goi...
- Właśnie. Dlaczego nie chce się goić? Co to za jakaś parszywa kula? Zatruta czy co? Takiego trzeba pod sąd.
- Uspokój się. Zobaczymy, co jutro powie specjalista.
- Ja muszę wyjechać. Pan mnie tu trzyma umyślnie, żebym zdechł. To leży w pana interesie, rozumiem.
- Nic nie rozumiesz, głupcze. Nie sądziłem, że taki bałwan z siebie. Wiesz dobrze, że sam jesteś sobie winien.
- Chcę wyjechać za granicę.
- Teraz nie.
- Dlaczego?
- Nie mam pieniędzy.
- Nie ma pan pieniędzy? A scheda małej?
- Wiesz, jaka obwarowana. Co było można, wziąłem, i to już poszło. Pochard odmawia pożyczki. Ruiny nikt nie chce kupić. Sam już nie wiem, co robić.
- To z czego mnie pan zapłaci?
- Tobie? Wszystko ci już zapłaciłem.
- Wszystko! Pan żartuje? A ta noga? To niby darmo mam się tak mordować?
- Słuchaj, Fabian, drogo mnie kosztowałeś. Nie dostaniesz więcej ani grosza. Już ci powiedziałem, jestem zrujnowany. Żaden z tych wściekłych lichwiarzy nie rozwiąże dla mnie sakiewki. Żądają gwarancji. A ja co im dam? Ruderę, której nikt nie kupi?
- 170
- Ee, jak pan się postara, to i pieniądze się znajdą. — Usta Fabiana złożyły się w brzydki grymas. — Już nieraz tak bywało.
- Bywało, ale skończyło się. Rozumiesz?
- Proszę to mówić komu innemu, nie mnie. Mnie to nie obchodzi. Ja muszę wyjechać. Radzę panu postarać się o pieniądze.
- Śmiesz mi grozić?
- Ja nie grożę, ja daję dobrą radę.
- Daleko mnie zaprowadziły twoje rady.
- Może źle pan na nich wyszedł, co? — Chory gwałtownie pochylił się

do przodu. — Wszystko szło jak w zegarku. Dopiero jak ten idiota spartaczył... Swoją drogą nie rozumiem... Byłem pewien, że zastrzeliłem tego... Widziałem, jak upadł.

— Pokpiłeś całą sprawę — powiedział zimno Narzymski. — To ty spartaczyłeś robotę, a nie to rybackie bydłę.

— Co pan? Ja nadstawiałem karku, podczas gdy pan siedział bezpiecznie w salonie.

— Dość tego gadania. — Narzymski wstał. — Mam już wyżej uszu ciebie i twoich wymagań.

— Aha, teraz ma mnie pan wyżej uszu. Nie jestem już potrzebny, co? Pewno. Mała ze mnie pociecha. Kaleka nie nadaje się do brudnej roboty. Tam trzeba siły, zręczności, no i odwagi, tak, szanowny panie, odwagi. Dlaczego, myśli pan, narażałem się na galery? Dlaczego nieraz otarłem się o gilotyne? I to ma być za darmo? Chyba pan rozum postradał.

— Dość, głupcze, nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości. Wiesz, ile ci zapłaciłem. Prawie połowa schedy małej... a potem z tego, co dał Pochard...

— Obiecywał pan złote góry.

— Obiecywałem, obiecywałem — zachnął się Narzymski. — A tobie wszystkiego było mało. Nie jestem dojną krową ani kurą, co znosi złote jajka.

— Chcę wyjechać — Fabian zdawał się nie słyszeć ostatnich słów Narzymskiego. — Niech pan ruszy głową i wy trzaśnie pieniądze choć spod ziemi. Ja muszę wyzdrowieć, słyszy pan?

— Dobrze, dobrze, uspokój się.

— Dość mam spokoju. Tu jak w grobie. Cicho i pusto, tylko ta stara wiedźma...

— Źle ci tu? Ta stara wiedźma, jak widzę, dobrze ci dogadza.

— Dość mam wsi. Ja chcę żyć.

171

Narzymski, znudzony skargami lokaja, podszedł do okna.

— Ładnie tu — skrzywił się. — Ja też nie lubię wsi, ale dla chorego...

— Dla chorego najlepsza dziura w ziemi! — wybuchnął Fabian. — Jeszcze nie wiadomo, co ze mną będzie. Ale jedno panu powiem: jeżeli pójdzie gangrena i obetną mi nogę, to...

— To co? — Wzrok Narzymskiego był zimny i ciął jak szpicruta.

— To koniec ze mną... ale i z panem też — dokończył ciszej.

— Ze mną? — zdziwił się nieszczerze gość. — Mnie nie grozi gangrena.  
— Tak, z panem, nawet bez gangreny.  
— Znowu grozisz?  
— Grożę. Niech pan wie, co się stanie, jeśli nie dostanę pieniędzy na wyjazd.  
— A co się ma stać? — w głosie pana sługa dosłyszał ironiczne wyzwanie.  
— Zanim zdechnę, pójdzie pan na gilotynę.  
— A za cóż to grozisz mi gilotyną?  
— Jeszcze się pan pyta?!  
— To ty popełniłeś zbrodnie, nie ja. Ja o niczym nie wiem.  
— Nie wie pan. — Głos Fabiana drżał drwiną. — Pański przyjaciel, prokurator Republiki, będzie innego zdania. Znam jego adres, nosiłem raz list... Wszystko mu opiszę.

t

— Milcz. Wiesz dobrze, że ja jestem czysty. To ty...  
— Ja, ja... ale dlaczego?  
— Dla pieniędzy — rzucił sucho Narzymiski. — I to nie ja ciebie, ale ty mnie namówiłeś... przekonałeś... Nie chciałem, byłem utracjuszem, hulaką, to prawda, ale stąd do zbrodni... To ty, mój zły duch.  
— Widzicie to niewiniątko? — zadrwił Fabian. — Niewiniątko — powtórzył z pogardą. — A kto skamlał: „Fabian, skąd wziąć pieniądze? Wczoraj przegrałem ostatnie sto ludwików”? To Fabian radził. Dobrze radził. A że pan jest beczką bez dna...  
— Jeżeli specjalista każe wyjechać — zaczął Narzymiski pojednawczo — to wyjedziesz.  
— Trzymam pana w garści — mruknął Fabian ściskając pięść. — O tak.  
— Tak samo jak ja ciebie — odparował Narzymiski.  
— Mnie już nic nie zaszkodzi. Ja zdechnę. Za to pan... młody...  
— Przestań — przerwał gość biorąc kapelusz. — Idę już. Nie mam czasu na słuchanie bzdur. Do jutra. — Wyszedł nie spojrzawszy na chorego.

172

W sieni zastukał w drzwi kuchni. Kobieta otworzyła natychmiast, patrząc na gościa pytająco.

— Uspokoił go pan?  
— Tak. Jutro przywiezę z Paryża specjalistę, sławnego doktora.  
— To dobrze, bardzo dobrze — pokiwała głową.

Szedł wiejską drogą, nie widząc ani słońca, ani ukwieconej doliny pływającej się w młodej zieleni. W tyle pozostało miasteczko Rueil, ciasno zabudowane, pocięte wąskimi uliczkami, drzemiące, zdawałoby się, pod błękitną konchą nieba. Właściwie niepotrzebnie odprawił fiakra. Czekał go teraz parokilometrowy spacer do Bougival, gdzie złapie pociąg do Paryża.

Polna ścieżka doprowadza go prosto do bramy Malmaison.

O tej porze pałacyk i ogród są puste, nie przyjechał jeszcze żaden zwiedzający, ani jeden poszukiwacz zabytków nie myszkował po śladach Napoleona i Józefiny.

Narzymski objął wzrokiem milczącą fasadę. Od tej sennej ciszy, od pozamykanych szczególnie okien pałacu spływał na niego jakiś szczególny spokój. Spokój rzeczy minionych, miejsc, których przeznaczenie już się wypełniło.

Nic dziwnego, że było to ulubione mieszkanie pierwszego konsula i jego małżonki. Ten różany ogród założyła niegdyś Józefina. I tu umarła, opuszczona. W kościele w Rueil widział jej grobowiec.

Przemierzył parę pachnących różami alejek i usiadł na kamiennej ławce.

Co robić? Skąd wziąć pieniądze dla tego szatana? Szatana... to prawda.

Od niego wszystko się zaczęło. On, Wacław Narzymiski, nie był przecież zły. I kochał brata. Tak, kochał go. Brat. Co Fabian zrobił bratu, że umarł tak nagle? A on pozwolił... Pozwolił?... „Fortuna brata” — kusił szatan.

Brat... Starszy prawie o lat dziesięć. Zawsze dobry, wyrozumiały i opiekuńczy, raz go uratował przed więzieniem. Brat... Boże!

Gruba łza spadła na splecione na kolanach ręce.

Łza? Niemożliwe! On nigdy dotąd nie płakał. Nigdy w życiu. To pierwszy raz. Co się stało?

Nad kiściami świeżo rozkwitłych wiosennych róż uwijają się roje pszczoł, złotych pszczoł, które obsiadły niegdyś koronacyjny płaszcz Napoleona.

173

— Gratuluję, Anto. Z takim dyplomem z Woolwich przyjmą ciebie we Francji z otwartymi ramionami.

— Mam nadzieje — w głosie Anta zamiast radości pobrzmiwa nuta żalu.

— Conneau wyszedł z Saint-Cyr podporucznikiem — zaśmiał się Lu. — Zdegradowano go. Ty też, angielski porucznik, po Saint-Cyr spadniesz

niedużej. Czemuś taki markotny?

Przez ten ostatni rok w Woolwich czułem się bardzo osamotniony. Teraz powtórzy się to w Saint-Cyr. Żeby choć Ludwik...

— Ludwik podejmie wkrótce szczytną służbę dla Francji — księżę spoważniał. — Gdybym to ja...

— Co pisze Conneau? Kiedy wraca?

— Pojutrze. Spędzi tu miesiąc z rodzicami. Ma już przydział do garnizonu w Tours. Tours, rozumiesz? „Ogród Francji"! Co ja bym dał...

Siedzieli w gabinecie Lu w Camden Place. Przez otwarte okna wlewał się potokami słońca ostatni czerwcowy dzień.

— Jest tak pięknie, jak tam, we Francji — szepnął Lu. — Takie lato pozwala zapomnieć o wygnaniu — dodał ciszej.

— Ciągle o tym myślisz. Nie trzeba. A zresztą wygnanie zwykle kończy się powrotem do domu.

— Albo śmiercią.

— Przestań, Lu. Jak możesz, w taki dzień...

— Przepraszam. Masz rację. To rzeczywiście wielki dzień dla ciebie i dla Ludwika.

— Nie to miałem na myśli.

— Wiem. Ale to jest dzień bardzo ważny również i dla mnie — spojrzał serdecznie na przyjaciela. — Zobacz, co przygotowałem dla Ludwika na jego promocję w Saint-Cyr. — Zerwał się i ujął leżące na komodzie długie wąskie pudło. — Wiesz, co to jest?

— Chyba nie skrzypce — uśmiechnął się Anto.

Lu podnosił już wieko i wydobywał z futerału szpadę o wąskiej klindze. Na jednej stronie ostrza wygrawerowano: „Napoleon — Ludwikowi Conneau", po drugiej — starodawny francuski okrzyk bojowy: „Wyprzedzaj najlepszego".

— Podoba ci się?

— Piękna szpada — Anto z szacunkiem dotknął lśniącej stali.

— Za rok dostaniesz ode mnie podobną.

— Ależ, Lu, po co te wydatki?

174

— Po to, żebyś miał po mnie pamiątkę.

— Znowu zaczynasz.

— Nie gderaj, nie zaczynam. Ot tak sobie powiedziałem. To francuska szpada, wiesz? Prosiłem pana Clary, żeby wyszukał w Paryżu najlepszą,

jaką znajdzie.

O tak, szpada była rzeczywiście najlepsza, „dla najlepszego”, jak Lu napisał w liście do przyjaciela.

Anto pragnął zabawić kilka dni w Camden Place, nacieszyć się towarzystwem Meli i obu przyjaciół. Potem spieszył do Róży, stęsknionej za bratem i wiecznie o niego niespokojnej.

Ludwik Conneau przyjechał do Chislehurst w nowiutkim mundurze z dystynkcjami podporucznika. Trzej przyjaciele, choć na krótko, znowu byli razem.

— Co słyhać we Francji? — pytał księżę.

— We Francji? Stara bieda — skrzywił się Conneau. — Uchwaliliśmy nową konstytucję, no i mieliśmy wybory do obu Izb. Partie polityczne w dalszym ciągu skaczą sobie publicznie do oczu, obzuczając się niewybrednymi inwektywami. Naród jest skłócony, a właściwie ogłupiały. Nie wie, kogo słuchać, kto ma rację, a kto się myli, kto mówi prawdę, a kto kłamie, kto chce dobra Francji, a kto myśli wyłącznie o Burbonach czy Orleanach. W Senacie przeważają monarchiści, Izba Deputowanych jest zdecydowanie republikańska. Pierwsze skrzypce gra tam oczywiście pan Gambetta.

— Gambetta — powtórzył Lu z goryczą. — Największy wróg ojca.

— Może nie tyle wróg, ile przeciwnik polityczny, zresztą doskonały mówca — dodał Conneau.

— A... bonapartyści? — księżę patrzył niespokojnie w oczy przyjaciela.

— Są, a jakże. W Izbie Deputowanych jest ich spora gromada.

— Jeżeli Francuzi mnie nie zechcą — Lu potrząsnął głową — poproszę, by mi pozwolono służyć we francuskiej armii. W którymś z prowincjonalnych garnizonów. Może wówczas znowu będziemy wszyscy trzej razem?

— Co ten Lu taki dziwny? — spytał Conneau, biorąc Anta pod ramię, gdy wyszli z Camden Place.

— Nie wiem. Znowu mówi o śmierci.

— To jakaś obsesja. Ale to minie. Postaram się go rozruszać. Słuchaj — dodał wahająco — naturalnie nie mogę tego powiedzieć Lu, ale Francuzi za bardzo zasmakowali w republice, by pragnąć zmiany. Obawiam się...

— Czego? — głos Anta zdławił lęk.

175

— Straszne rozczarowania dla Lu. Wszystko jest nie tak, jak tu sobie

wyobrażaliśmy. Owszem, stronnictwo bonapartystowskie wiele znaczy, ale republikanie i monarchiści robią, co mogą, byle wymazać z pamięci narodu glorię cesarskich orłów, byle zatrzeć ślady tego, co było wielkie i dobre, a na pierwszy plan wysunąć błędy i niedociągnięcia. Przecież nie ma idealnego systemu.

- Francuzi nie wiedzą, co tracą, jeżeli opowiedzą się przeciw Napoleonowi Czwartemu.

- Nie zapominaj, że za wszystkie nieszczęścia Francuzi obwinili właśnie Drugie Cesarstwo. Ono poniosło klęskę. Najlepszym tego dowodem są ruiny Tuileriów. Do dziś dnia sterczą poczerniałe i osmalone w sercu Paryża, a minęło już pięć lat od pożaru. Nikomu nie spieszo do odbudowy. I nie wiadomo, co Republika postanowi z pałacem. Niektórzy mówią, że zostanie rozebrany. Tuilerie były siedzibą cesarstwa, niech więc tak jak cesarstwo znikną z powierzchni ziemi.

- Mówisz straszne rzeczy.

- Mówię, jak jest. Przez rok żyłem w Saint-Cyr. Większość młodych to republikanie. A to jest przyszłość francuskiej armii, jej potencjalni dowódcy. Słyszałem, co mówili, czasem brałem udział w ich rozmowach. Wiedzieli, że mój ojciec był przyjacielem cesarza, że ja i Lu... Pytali o niego. Byli ciekawi. Ale nic więcej.

— To co będzie?

— Nie wiem. „Mały książę”, jak go nazywano przed wojną, został zapomniany. Niewiele osób pamięta chłopca, który miał zaledwie czternaście lat, gdy opuścił ojczyznę. Nie ma się właściwie czemu dziwić.

— - Ale co będzie z Lu? Jak on zniesie ten cios, jeśli go naprawdę nie zechcą?

— Lu zrozumie. Nieraz przecież mówił. Myślę, że zaciągnie się do służby we francuskiej armii. Przypuszczalnie Republika wyrazi zgodę. Ale wyobrażasz sobie, jak to przyjmie cesarzowa Eugenia? Biedny Lu, czeka go wówczas ciężka przeprawa z matką. No, na dziś dość tych lamentów. Do licha, są przecież wakacje!

Ten pierwszy tydzień wakacji, spędzony w Camden Place, był dla Antosia jednym pasmem przyjemności. Cały dom huczał radością, pełen młodych głosów, młodego życia, które jak świeże wino burzyło się w starej beczce.

Mela królowała nad swoimi wielbicielami — tak również nazywał chłopców kochany pan Filon.

Wkrótce po zamieszkaniu w Camden Place Mela uprosiła dawnego nauczyciela księcia, by wypełnił olbrzymie luki w jej wykształceniu. Pan Filon z radością podjął się wdzięcznego zadania i, jak stwierdził, nie miał dotąd równie pojętej i pilnej uczennicy.

Sprowadzono z Paryża potrzebne podręczniki i Mela — śmiała się Lu — zamieniała się powoli w prawdziwą sawantkę.

- Prawie już z ciebie „niebieska pończocha”, jak u Moliera — przekomarzył się z dziewczyną młody Conneau. - - Wkrótce zapomnisz o strojach, a gardząc fatalaszkami i pięknym wyglądem, nie dostarczysz żadnej przyjemności męskiemu oku.

— Czy tak bardzo zbrzydłam? — pytała kokieteryjnie. — Powiedz, Anto, tobie jeszcze najbardziej można wierzyć.

— Dlaczego właśnie jemu? - - oburzył się francuski podporucznik.

— Bo znam go najdłużej. - - Mela mrużyła oczy i uśmiechała się zagadkowo. --'- Zawsze wiem, kiedy Anto nie mówi prawdy.

— A więc i ten ideał ma skazy — ucieszył się Conneau. — To bardzo pocieszające dla takich niedoskonałych istot jak ja.

Nawet cesarzowa Eugenia zapomniała w te dni o zwykłej melancholii.

Zbyt dużo było gwaru, ruchu, co dzień goście, bo i koledzy Lu nie opuszczali prawie Chislehurst.

Anto pierwszy pożegnał przyjaciół. Potem cesarzowa Eugenia z synem wybierali się do Arenenbergu. Lu pragnął znowu odwiedzić dom babki, ojciec w jego wieku mieszkał tam przecież. Wszystko dotąd stało tak, jak zostawili ci, co odeszli stąd na zawsze, rozdzieleni nawet po śmierci.

Królowa Hortensja wróciła do domu, leżała w Rueil, przy matce, Józefinie de Beauharnais, jej syn pozostał na wygnaniu w Chislehurst.

- Wiesz, Anto - powiedział Lu ostatniego wieczoru, który spędzili razem — przypominam sobie teraz, jak ojciec opowiadał, z jakim wzruszeniem wchodził w bramy zamku Wilhelmschoe, który król pruski przeznaczył mu na więzienie. Z miejscem tym wiązały się wspomnienia dzieciństwa, ojciec jako chłopiec bawił tam niegdyś u stryja Hieronima, ówczesnego króla Westfalii. Gdy więc prowadzono go przez szereg melancholijnych i opuszczonych salonów, z jednej ze ścian spojrzął na niego portret matki. Stanął i patrzył, nie mógł oderwać oczu od tej twarzy pięknej i młodej. Wreszcie poprosił oficerów, którzy go eskortowali, by pozostawiono go chwilę samego. Uszanowali życzenie jeńca. Ofiaro-



wali mu nawet całą godzinę samotności. Siedział i patrzył na matkę, i płakał. Biedny ojciec, tak często myślę o tym, co wówczas

12 Talerz z Napoleonem

177

czuł, sam, opuszczony, w niewoli, bez prawa powrotu do Ojczyzny. I nagle to spotkanie z matką. Bardzo ją kochał. Jestem pewien, że są teraz razem, nareszcie szczęśliwi.

Mela pozostawała w Chislehurst pod opieką hrabiny Clary. Tak było dla niej najbezpieczniej.

— Anto... powiedz Róży — szepnęła podczas pożegnania — jak bardzo za nią tęsknię. Ciebie też będzie mi brak — odwróciła twarz. — Ale jak wrócę do Paryża — dodała prędko — będziemy się często widywali, prawda? Saint-Cyr to bardzo blisko, przyjedziesz do domu na każdą niedzielę. Czy tak?

— Tak — kiwał głową nie znajdując odpowiednich słów, by ją pożegnać. — Bądź bardzo ostrożna — przypomniał. — Teraz, jak mnie tu nie będzie...

— Nie przerywam lekcji z panem Filonem — zauważyła. — A nauka zajmie mi wiele czasu. Właściwie całe dnie będę zajęta.

Lu i Conneau odwieźli go do Londynu. Wychylony z okna wagonu długo patrzył na niknącą wśród dymu z lokomotywy stolicę Anglii.

A więc coś się w jego życiu skończyło. Woolwich. Wysokie okna wykładowych sal. Czerwone mundury kadetów. Ostatnie egzaminy. Dyplom. Jasnowłosi chłopcy o rumianych twarzach. Szczęśliwi. Wolni. U siebie. Mówią swoim własnym językiem, jak wszyscy dokoła nich. Conneau też jest u siebie i też dokoła słyszy swój język. Nawet Lu. Czy koniecznie musi zostać cesarzem, żeby wrócić do Francji? Cesarstwo minęło, jak minął ancien regime, rewolucja, Dyktoriat, Konsulat i wiele innych systemów. Ale Francja jest zawsze Francją i Paryż zawsze ten sam. Czegóż więcej potrzeba? O tak, nawet Lu godzien był zazdrości. A on, Anto... On po polsku może rozmawiać wyłącznie w domu. Inaczej nikt go nie zrozumie. I nie jest u siebie. Dziaduś mówił „w pielgrzymstwie”, jak to pięknie napisał Mickiewicz.

A więc czeka go jeszcze rok w Saint-Cyr. A co potem? Potem przydzielą go do jakiegoś garnizonu, może bardzo daleko od Paryża, na drugim końcu Francji. A potem? Z początku będzie podporucznikiem, wreszcie awansuje, zostanie kapitanem, a może osiągnie jeszcze wyższe stopnie w

karierze wojskowej? I co z tego? Stale będzie mówił po francusku, bo tak będą mówili wszyscy otaczający go ludzie. Przerzucany z miasta do miasta, z garnizonu do garnizonu, zwiedzi całą Francję.

W tym momencie lokomotywa wydała przeciągły gwizd, raczej jęk, jak gdyby użalała się nad czekającą go przyszłością. Wzdrygnął się. A więc kariera wojskowa?

1 78

Kariera wojskowa — dudnią koła pociągu — kariera wojskowa... Herbatki u pani kapitanowej, zaszczytne zaproszenia na wieczory do żony pułkownika. Młodzi oficerowie to swojego rodzaju atrakcja w nudnej prowincjonalnej egzystencji. Panny mają na kim wypróbować siłę swoich wdzięków.

Od pędu pociągu wagon dygocze, kołysze się i drży, nieledwie podskakuje na szynach. Niestety, nie oderwie się od „żelaznej drogi” wytyczonej ręką człowieka, a może przeznaczeniem? Musi nią biec do końca, aż osiągnie cel.

I nagle w ramie okna jak w lustrze zobaczył twarz Meli, ponad turkotem pociągu posłyszał jej głos, gdy mówiła: „Całe dnie będę zajęta”, a mówiąc to patrzyła na niego tak dziwnie smutno, jak gdyby i dla niej coś się skończyło.

— Melu — przemawiał w duchu do dziewczyny — Melu, musisz wiedzieć, że ja... Bez ciebie życie nie miałoby sensu. Pewnego dnia wrócisz do Paryża, do Róży i znowu będziemy razem, jak dawniej. Nic nas nie może rozdzielić, słyszysz?... Melu... Słyszysz mnie?

Ocknął się dopiero w Dovrze.

— Taka pogoda, że i psa nie wygnałbyś z domu — Zelia zasunęła firankę i szcелniej otuliła się grubą wełnianą chustką.

Za oknami szalała listopadowa zawierucha, deszcz siekł bezbronne szyby, a obnażone z liści gałęzie rosnącej pod oknami akacji stukwały w żaluzje, dopraszając się zlitowania.

Róża opuściła ręce z robotą i z zadowoleniem objęła wzrokiem przytulny salonik. Ryszard w swoim pokoju pisał jakieś ważne listy, mały Staś bał się na dywanie przed kominkiem z nowym mieszkańcem pawilonu, dużym czarno-białym kotem.

Znaleziono go przypadkiem, jak błąkał się po dziedzińcu, zziębnięty i wynędzniały, „worek kości” — tak określiła kota Zelia.

Zadomowił się nadspodziewanie szybko, szczęśliwy, że na tak straszną

pogodę ma dom i jedzenie — Zelia nie żałowała biedakowi — i od razu wybrał sobie towarzystwo Stasia, uznając w nim widać najbardziej godną kociego zainteresowania osobę.

179

— Jeśli tu, w podwórzu, tak dmie — powiedziała Zelia kręcąc głową — wyobrażasz sobie, co się dzieje na ulicy? Szczęście, że pan Ryszard już w domu.

W tej chwili rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych.

— Któż to może być? — zdziwiła się Róża. — Nie chciałabym przeszkadzać Ryszardowi... — Ale właśnie wchodził Miguel Toreno z tak dziwnym wyrazem twarzy, że zamilkła. — Co się stało? Kto przyszedł?

— Pan Narzymski. Chce mówić z don Ricardo.

— Zaraz mu powiem. — Wstała i odłożyła haft. — Zelio, zabierz Stasia, a ty poproś tu gościa — rzuciła wychodząc.

— Tego bandytę? — zamruczała Zelia biorąc dziecko na ręce. — Jak można wpuszczać do domu podobnego zbira? Chodź, Stasiu, to nie dla ciebie towarzystwo.

Kot wstał również, przeciągnął się, wygiął grzbiet i z podniesionym wysoko ogonem pomaszerował za wychodzącą.

Gdyby Ryszard nie był uprzedzony o tożsamości przybysza, w tym ociekającym wodą, ślaniającym się z wycieńczenia mężczyźnie nigdy nie poznałby Wacława Narzymskiego.

Świetny panicz, arogancki i pewny siebie, ustąpił miejsca nieledwie nędzarzowi, którego widok budził już tylko litość.

Obłocone obuwie, ochlapane błotem spodnie i dół płaszcza wskazywały na długi marsz podczas jesiennej pluchy. Kapelusz utracił dawny kształt, był już tylko nieforemny kawałek filcu, mokre włosy oblepiały głowę, niesformnymi kosmykami opadając na czoło.

Stan ubrania odpowiadał twarzy gościa, nie golonej co najmniej od trzech dni. Zapadłe policzki miały szarość popiołu, oczy z wyrazem przerażenia czepiały się wzroku Ryszarda niczym rozbitek zbawczej deski. Sinawe wargi bezustannie drżały.

— Panie Ryszardzie — wykrztusił przybysz składając ręce. — Jestem zgubiony. I jeżeli pan mnie nie uratuje...

— Niech pan zdejmie płaszcz — Ryszard podszedł do Narzymskiego i pomógł mu wyswobodzić się z przemoczonego okrycia. — A teraz niech pan usiądzie przed ogniem — ustawił fotel przed kominkiem i zadzwonił.

— Przynieś wina i herbaty — rozkazał Miguelowi, który zjawił się natchmiast. — A może jest pan głodny? — zwrócił się do gościa.

Narzymiski bez słowa skinął głową, nie podnosząc oczu.

180

Po chwili na stoliku znalazło się zimne mięso, chleb, wino i gorąca herbata. Narzymiski jadł łapczywie, z trudem utrzymując nóż i widelec w skostniałych palcach. Ryszard milczał, nie odrywając wzroku od ognia.

Z kominka buchało ciepło, zegar tykał kojąco, cisza w saloniku zdawała się zapraszać do odpoczynku, gość powoli odzyskiwał równowagę.

— Panie Ryszardzie — zaczął — wiem, co pan o mnie myśli...

— Zostawmy to — przerwał Ryszard. — Potrzebuje pan pomocy. O co chodzi?

— Fabian — wyjąkał Narzymiski i nie mógł mówić dalej, tak trzęsła mu się broda i cały dygotał.

Ryszard nie ponaglał, nie wymagał zwierzeń, czekał.

— Szantażuje mnie — wyrzucił wreszcie przybysz. — Boję się go. To straszny człowiek. Straszny! — powtórzył głośniej.

Znowu zapadło milczenie.

— Nie byłem z gruntu zły, tylko zdemoralizowany i zepsuty. — Narzymiski oparł łokcie na stoliku. — Młody, bogaty, pragnąłem jedynie uciech i zabawy. Myślałem, że pieniądze nigdy się nie wyczerpią. Byłem przeciwieństwem mojego brata — wstrząsnął się. — I tę moją słabość charakteru wykorzystał ten... ten szatan. Nie mogę nazwać go inaczej. Niech będzie przeklęty dzień, w którym zjawił się przede mną, proponując swoje usługi. Właśnie potrzebowałem lokaja. Wziąłem go. Nie od razu odsłonił prawdziwe oblicze. Z początku udawał skromnisia, zajęty był wyłącznie służbą, bez zarzutu wykonywał swoje obowiązki. Za to jemu wystarczyło paru dni, żeby mnie rozgryźć. Nie było to zresztą trudne. Wcale nie kryłem się z moimi upodobaniami do hulaszczego życia. Grałem. Traciłem wielkie sumy. A on to wszystko widział, pilnie mnie obserwował. Potrafił wykorzystać moje złe skłonności. Opanował mnie zupełnie. Doszło do tego, że to on mną kierował, udzielał mi rad, napominał, wobec innych przybierając maskę oddanego sługi. Mój brat poznał się na nim od razu. Ostrzegł mnie. Niestety, nie posłuchałem go. Wstydziłem się moich słabostek, ukrywałem przed bratem niechlubne postęпки i nie przynoszące zaszczytu znajomości. Obawiałem się utracić jego przywiązanie... Był jedynym człowiekiem... — przerwał nagle i

ukrył twarz w dłoniach, a po chwili powiedział prawie szeptem: — To Fabian go zabił, Fabian, a ja... Jestem winien jego śmierci, śmierci mojego brata... Ja, tylko ja! — tak nisko pochylił głowę, że twarzą prawie dotykał stołu.

Dziwnie jakoś zrobiło się w przytulnym dotąd saloniku. Ogień na komin-

ku

182  
jak gdyby przygasł, lampa nie dawała już tak jasnego światła, a cisza, dotychczas miękka i kojąca, nabrzmiała nagle grozą.

Narzowski siedział nieporuszony, przygnieciony zbrodnią, która, pierwszy raz wyjawiona głośno, zdawała się ciężarem zbyt wielkim na jego barki.

- Panie Ryszardzie — podniósł udręczoną twarz. — Co robić? Niech mnie pan nie odpycha.

— Nie odpycham pana, a co robić? Jedna jest tylko odpowiedź: zadośćuczynić, jeśli to jeszcze możliwe, i... odpokutować.

— Odpokutować?

- Tak.

— Nie rozumiem.

— W tej chwili jest w panu lęk, boi się pan więzienia, procesu, skazującego wyroku, bo inny być nie może, no i skandalu. Ale co na to wszystko mówi pańskie sumienie? Bo to chyba jest najważniejsze.

— Moje sumienie?... — W głosie gościa zabrzmiała gorycz. — Czy sądzi pan, że gdybym miał wówczas sumienie, byłbym dał Fabianowi carte blanche?

— Więc sumienie wówczas milczało. Ale dziś? Jak jest dzisiaj?

— Dziś?... Narzowski objął głowę rękami. — Dziś wszystko jest inaczej. Patrę na siebie z przerażeniem i zapytuję, jak to było możliwe. Jak doszło do tego, że ja... Boże! Boże! — zamilkł, a po chwili postawił bolesne pytanie: — Czy to właśnie jest sumienie?

— Tak — odparł Ryszard — to jest sumienie.

Tym razem milczenie trwało dłużej. Ryszard nie patrzył na gościa, który skulił się w fotelu, a dygoczące plecy wskazywały, że płacze.

— Panie Ryszardzie — zaszemrał wreszcie głos nieszczęśnika. — Zrobię wszystko, co pan powie.

— Dobrze. — Ryszard wstał. — A teraz pojedziemy do rotmistrza Brackiego. U mnie zbyt ciasno, a tam jest duży dom. Na początek musi

pan uspokoić się i wypocząć. A potem zastanowimy się:

— Do rotmistrza Brackiego? — Narzymski wydawał się przestraszony.

— Niech się pan nie obawia, to człowiek honoru. On nam pomoże załatwić, co trzeba. A co z Fabianem?

— Obcięto mu nogę — Narzymski spuścił głowę. — Doktor Greniet powiedział mi, że nic go już nie uratuje. Gangrena posuwa się, amputacja tylko nieco przedłuży mu życie.

— Gdzie on jest?

183

— W klinice doktora Grenieta w Auteuil. To ten sławny chirurg... -A potem dodał ciszej: — Fabian wysłał list do prokuratora Republiki.

— - I co?

— To jeden z moich przyjaciół. Odwiedził mnie natychmiast. Chciał wiedzieć, co to wszystko znaczy.

Co mu pan powiedział?

— Że Fabian jest bardzo chory, że obcięto mu nogę, że z rozpaczyny postradał rozum... Cóż miałem mówić innego?

— Uwierzył panu?

— Chyba tak. W każdym razie nie był dotąd u Fabiana w klinice. Fabian napisał ten list dużo wcześniej, jeszcze w Rueil. Teraz nie mógłby tego zrobić. Czekał na odpowiednią chwilę. Gdy mu oznajmiono konieczność amputacji i stracił nadzieję na ratunek, wykonał groźbę.

— Co jeszcze mówił prokurator?

— Pytał, czy nie naraziłem się czym mojemu lokajowi, który z zemsty wymyślił całą tę nieprawdopodobną historię. Uchwyciłem się jego sugestii i przytaknąłem skwapliwie.

— A czy doktor Greniet nie pytał, w jakich okolicznościach Fabian został postrzelony?

— Owszem, pytał. Powiedziałem, że to wypadek przy czyszczeniu broni. Tak zresztą od początku umówiłem się z Fabianem.

— I Fabian podtrzymał to kłamstwo?

— Tak.

— Co dokładnie napisał prokuratorowi? Czytał pan jego list?

— Czytałem. Napisał, że to ja kazałem mu otruć mojego brata. Rozumie pan? Brat zginął otruty... Otruty przez tego... A ja milczałem zamiast od razu oddać Fabiana w ręce policji i tym samym stałem się jego współnikiem. — Znowu skulił się i objął głowę rękami. — Jak ja będę teraz żył z

tym ciężarem?! — wybuchnął nagle. — Jak ja będę żyć? Zaiste jestem przeklęty. Przeklęty! — krzyknął.

Ryszard zadzwonił.

— Miguelu — powiedział do wchodzącego Hiszpana — sprowadź do-  
rożkę. Pojedziesz ze mną. Trzeba odwieźć tego człowieka — wskazał  
Narzynskie-go — na bulwar Montparnasse.

184

— Nigdy więcej nie rozstanę się z tobą! — Mela przytuliła się do ramie-  
nia Róży. - - Nie masz pojęcia, jak smutne Boże Narodzenie spędziłam w  
Camden Place!

— Przesadzasz — zgromiła ją łagodnie Róża. — Jestem pewna, że było  
całkiem przyjemnie.

- Może i przyjemnie — zgodziła się niechętnie Mela. — Ale to nie były  
nasze święta, polskie. Ani wigilii, ani opłątka. Tyle smutnych świąt mia-  
łam już w życiu, że teraz chcę je zawsze spędzać w domu.

Szły Polami Elizejskimi w stronę Łuku Triumfalnego. Było wcze-  
sne popołudnie, w powietrzu pachniało nadchodzącą wiosną.

— Nie miej żalu do Ryszarda, że po ciebie nie przyjechał — westchnęła  
Róża. - Pogoda była straszna, morze wyjątkowo burzliwe. Wstrzyma-  
no nawet żeglugę na Kanale. Nie mogliśmy narażać ciebie na niebezpie-  
czeństwo. Zresztą, jak pisałaś, nie straciłaś czasu nadaremnie.

— O, nie - - zawołała żywo Mela. — Bez przerwy pracowałam z panem  
Filonem. Jakież to nadzwyczajny człowiek! Wszystko wie! A taki skrom-  
ny i serdeczny. Dzięki niemu nauczyłam się bardzo wiele, aż sama sobie  
dziwiłam się, ile ważnych wiadomości weszło do mojej pustej głowy. Pan  
Filon zrobił mi na koniec egzamin, pisemny i ustny. Lu był w komisji —  
zaśmiała się na wspomnienie „groźnej” miny księcia. — Najlepiej  
wypadłam z historii i z francuskiej literatury. Nie będę się już wstydzić  
w mądrym towarzystwie, potrafię prowadzić rozmowę na interesujące te-  
maty. Ach, jak się cieszę, że jestem znowu w Paryżu — rozejrzała się po  
nagich jeszcze gałęziach drzew. — Mam nadzieję, że jestem tu na stałe.  
Ledwie mogę uwierzyć! Nareszcie w domu!

— W domu, dziecinko, w domu — przytaknęła Róża. — Pozostaniesz z  
nami, jak długo zechcesz, to znaczy, póki nie wyjdiesz za męża.

— Za męża? — zdziwiła się Mela, a ciemny rumieniec opłynął jej policz-  
ki. - Nie wiem, czy w ogóle wyjdę za męża.

— Skąd takie myśli? — Róża spojrzała z ukosa na uczeptioną jej ramie-

nia dziewczynę.

— Nie ma drugiego wuja Ryszarda — wyznała chytrze Mela, nie odpowiadając bezpośrednio na pytanie.

— O tak - - podchwyciła skwapliwie Róża. — Trudno chyba znaleźć równie fascynującego mężczyznę jak Ryszard.

— - Twój Ryszard — uśmiechnęła się Mela. — Doprawdy masz szczęście.

185

— Mam — Róża poczuła, że rozpiera ją duma. Rzeczywiście była wyjątkowo bogata i szczęśliwa, posiadając „na własność” takiego człowieka.

Mela westchnęła i spojrzała na czysty błękit przedwiosennego nieba.

— Nic się tu nie zmieniło — zauważyła z podziwem. — Wszystko jest jak dawniej. O, widzisz? — zawołała nagle. — Ten sam kataryniarz z małpką. Chodź, kupimy jej cukru.

— Rzeczywiście, wszystko jest jak dawniej — Róża popatrzyła na wyniosłe fasady pałaców. — A jednak kilka lat temu maszerowała tędy zwycięska niemiecka armia w takt wojskowego marsza Schuberta.

— Grałam tego marsza na cztery ręce z Miss Alicją — wspomniała Mela. — Kto mógł wówczas przypuszczać?

— - Tak, nikomu się nawet nie śniły pruskie pikielhauby pod napoleońskim Łukiem Triumfalnym. Na szczęście i to minęło.

— - Jak już będzie prawdziwa wiosna — Mela wskazała pączki na drzewach — pójdziemy do Ogrodu Botanicznego, dobrze? I znowu zwiedzimy Menażerię, jak niegdyś.

— Z przyjemnością. Do Menażerii zaczęto już sprowadzać nowe zwierzęta z egzotycznych krajów. Poprzednie zostały zjedzone podczas obłędzenia. Pamiętam, jak Anto chwalił się, że spróbował kotleta ze słonia. Ja, niestety, nie mogłam przełknąć nawet końskiego mięsa. Owej strasznej zimy, gdy brakło opału do ogrzewania cieplarni, wyginęły też rośliny tropikalne. Nieraz w tym chłodzie myślałam o biednych zwierzętach z Menażerii. Żyły przecież w ciepłych krajach, przywykłe do słońca i do opału. Dla nich pewnie lepiej, że je zabito.

— Nam z mamusią było dobrze na Południu — szepnęła Mela. — Gdybym jednak wiedziała, co się stanie...

— Cicho, dziecko, cicho. Nie trzeba przypominać.

— Nie mówiłam o tym, bo nawet sama myśl sprawiała ból tak straszny...



— Mela przystanęła. — Ale teraz, gdy znowu jestem szczęśliwa... Wiesz, zastanawiam się czasem, jak do tego doszło. Wyjechałyśmy na spacer. Mamusia wybrała inną drogę, tę bezpieczniejszą, ale woźnica nie posłuchał. Jechaliśmy nad samą przepaścią, w dole migotało morze. Wychyliłam się z powozu i wtedy właśnie zobaczyłam, jak oderwało się przednie prawe koło i spadło do morza. Dzisiaj wiem, że to nie był przypadek. Nie zdążyłam nawet krzyknąć, a już lecieliśmy w dół. Słyszałam tylko rozpaczliwe rżenie koni i wrzask woźnicy. Wstrząs, wywołany uderzeniem spadającego powozu

186

O skały, widocznie wyrzucił mnie daleko w morze. To mnie chyba uratowało. Musiałam stracić przytomność, ale ocuciła mnie woda. Na szczęście doskonale pływam. Długo chodziłam po brzegu, kilkakrotnie rzucałam się do morza. Szukałam mamusi, wołałam. Nie było śladu ani powozu, ani koni. Płakałam i krzyczałam. A potem szłam coraz dalej i dalej, aż upadłam na piasek. Tak mnie znaleźli jacyś ludzie. Dobrzy ludzie, Anglicy. Byłam tak przerażona, że długo nie mogłam wydobyć głosu. A potem zrozumiałam, że mamusi już nie ma, i że ja...

— Musisz o tym zapomnieć.

— Nigdy mu nie daruję, nigdy! — Mela w bezsilnej złości ścisnęła ramię Róży.

— Nie trzeba tak mówić, Melu, w tej akurat sprawie on nie był winien. To Fabian... Samowolnie podjął tę straszną decyzję. Twój stryj przechorował tę tragedię, gdy się dowiedział... Ryszard widział go... Z pewnością był wtedy szczerzy.

— Nie nazywaj go moim stryjem. To potwór!

— Jest bratem twojego ojca i nic na to nie poradzisz. Nosi twoje nazwisko.

— Cóż z tego? Powinien pójść do więzienia. A co zrobił z mamusią po śmierci ojca? Nienawidzę go.

— Pamiętaj, że był we władzy Fabiana. Już wówczas lokaj szantażował go, wręcz groził. Popelnił przecież morderstwo i pragnął zrzucić winę na swojego pana. Ponadto stale żądał pieniędzy. Wacław Narzynski to tylko słaby człowiek, o złych skłonnościach, wosk w ręku takiego szatana jak Fabian.

— Teraz go bronisz... Przedtem mówiłaś inaczej.

— Bo przedtem było inaczej. Twój stryj zmienił się, to już nie ten czło-

wiek. Ryszard powiada...

— Wuj Ryszarda też przekabacił.

— Fe, Melu, jak możesz tak mówić? — rozgniewała się Róża. — Ryszard współczuje mu, współczuje, bo wie, jak te straszne zbrodnie ciążyą na jego sumieniu. A on musi z tym żyć. I jest chory, bardzo chory. Czy zdajesz sobie sprawę, co czuje taki człowiek, gdy w nim przemówi sumienie? Ani na chwilę nie może zapomnieć, zaznać minuty wytchnienia. Spokój opuścił go na zawsze. Ani spać, ani jeść... Życie utraciło wszelkie powaby, jest już tylko udręka. O, wierz mi, nie ma gorszego piekła niż wyrzuty sumienia.

— Dobrze mu tak — powiedziała Mela mściwie. — Wcale go nie żałuję 1 gdyby ode mnie zależało...

187

— Melu, Melu, nie poznaję ciebie! Co te lata zrobiły z twoim dobrym sercem?

— Gdybyś przeżyła to co ja...

— Wiem, wiem — przytaknęła z żywością Róża. — Jesteś bohaterką. Ale nie zapominaj, że ja też utraciłam ojca w tragicznych okolicznościach. Zginął w zamachu na Napoleona Trzeciego. Był niewinną ofiarą morderców, którzy z zimną krwią, żeby osiągnąć cesarza, poświęcili życie wielu osób. Po jego śmierci mama nie uśmiechnęła się ani razu.

Wkrótce umarła.

— Wybacz, Różyczko, nie chciałam cię dotknąć, ale naprawdę nigdy nie zapomnę, jaką krzywdę wyrządził nam ten człowiek. I dlatego nie mogę mu przebaczyć.

Szły chwilę w milczeniu. Przed nimi na jasnym niebie czerniała masywna sylweta napoleońskiego Łuku.

— Dokąd teraz pójdziemy? — Róża zerknęła ukradkiem na zarumieniony policzek Meli.

Dziewczyna miała zaciśnięte usta, spuszczone oczy nie patrzyły na uroki Paryża.

— - W aleję Cesarzowej — oświadczyła po krótkim wahaniu. — Zgadzasz się?

— Po co tam iść? — zaprotestowała Róża.

— - Muszę. Zrób to dla mnie, Różyczko, chcę po raz ostatni...

— Zupełnie niepotrzebnie. To teraz straszne miejsce.

— Byłam tam szczęśliwa.

— Wiem, i dlatego nie radzę.  
— Proszę cię, po raz ostatni.  
— Jeżeli chcesz koniecznie...  
— Tak, koniecznie, po prostu muszę. Ciągnie mnie tam od powrotu do Paryża. Przedtem była zima, ale teraz...

Aleja Cesarzowej świeciła pustką, a gdy stanęły przed sztachetami oddzielającymi biały pałacyk od ulicy, z bramy jednego z dala stojących domów wyszedł pies — musiał być stary — i powoli posuwał się chodnikiem — widać był to jego codzienny spacer.

— Jaka ruina! — Mela uchwyciła się żelaznych prętów ogrodzenia. — Nie przypuszczałam, że aż tak... Mój Boże! — lzy powoli spływały po przybladłych policzkach.

— Niestety — pokiwała głową Róża — czas robi swoje.

188

— Więc to tu zginął Paweł Labourdet? — Mela głęboko wciągnęła powietrze.

— Tu zastrzelił go Ryszard, na tej ścieżce z lewej strony domu. -\* Obaj współnicy nie żyją — wzdrygnęła się Mela. — Tylko on...

— Fabian miał straszną śmierć, jak opowiadał Ryszardowi lekarz szpitalny. Dwa razy musiano dokonywać amputacji. Gangrena posuwała się coraz wyżej. Gnił za życia, a w tych okrutnych cierpieniach podtrzymywała go jedynie nienawiść. Umarł, jak żył. Ostatnie jego słowa były bluźnierstwem.

— Chodźmy — Mela wyjęła chusteczkę i wytarła zalaną łzami twarz. Przystanęły przed głównym wejściem.

Dziewczyna długo wpatrywała się w odrapane teraz, zabite na glucho drzwi pałacyku.

— To mój dom — powiedziała wreszcie głośno. — Mój dom — powtórzyła z naciskiem. — Chcę tu mieszkać!

— Melu — Róża objęła ją zaniepokojona tym wybuchem, ale Mela lekko wyswobodziła się z jej ramion.

— Zamieszkamy tu wszyscy razem — oznajmiła stanowczo. — Zobaczysz, jak nam będzie dobrze.

— Przecież to ruina — jęknęła Róża. — Czy wiesz, ile trzeba pieniędzy, żeby to wyremontować?

— Będę miała pieniądze — powiedziała Mela z przekonaniem. — Chodźmy prędzej zobaczyć, co ocalało z tego zniszczenia.

Okrążyły dom. Drzwi do kuchennej sieni były szeroko otwarte.

— Boję się — szepnęła Róża, chwytając Melę za rękę. — Tu każdy może wejść. A nuż znowu kryje się tam jakiś złoczyńca?

— Zapominasz, że to mój dom — powtórzyła z uporem Mela. — W moim domu nie spotka nas nic złego.

— Przyjdziemy tu jutro z Ryszardem lub z Miguelem — poradziła Róża.

— A teraz wracajmy.

— O nie — Mela zdecydowanie przestąpiła próg i weszła do kuchennej sieni. — Jestem tu u siebie.

Róży nie pozostało nic innego, jak pójść za nią.

Kuchnia i pokój kredensowy przedstawiały o wiele większe zniszczenie niż podczas ostatniej wizyty Róży.

Mela szła pewnie, jak prawdziwa pani tego domu. Zatrzymała się dopiero w głównym westybulu.

189

— Zacznijmy od góry — powiedziała — a potem obejdziemy cały dom, wszystkie pokoje. Muszę zobaczyć, zbadać każdy kąt — i skierowała się ku schodom.

— Nie mów tak głośno — szepnęła przerażona Róża. — Wciąż mi się wydaje, że tu ktoś jest.

— Tu nie ma nikogo, tylko my — uspokoiła ją Mela. — Chodź śmiało, to przecież mój dom. Schody są na szczęście nietknięte i znowu przykryje się je czerwonym chodnikiem. Jak dawniej.

Podest pierwszego piętra tonął w mroku. Mela szeroko otworzyła jedno z bocznych drzwi. Dalej w obu ramionach korytarza było prawie ciemno.

— To mój gabinecik — oznajmiła i zamilkła na widok dokonanej w tym miejscu dewastacji.

— Tu wisiał talerz — wskazała ścianę. — Mój Boże, kto to wszystko zrobił

i dlaczego?

Potem otwierała pozostałe drzwi po kolei. Za każdymi czekało ją to samo straszne wrażenie.

— Najazd barbarzyńców — westchnęła wreszcie, zaciskając ręce. — Nic się tu nie da uratować. Nie ma nic całego. Wszystko połamane i rozbite.

Nawet fotel mamusi — przyklękła przy sterczących z kłębowiska szmat, drewna i włosia sprężynach. Kawalki seledynowego adamaszku w girlan-

dy różyczek wskazywały, że było to niegdyś pokrycie stylowego fotela. — Nie ma nic, nic — powtarzała, brodząc wśród odłamków mebli i wdartych z okładek książek.

Przez cały ten czas Róża przeżywała męki przerażenia. Z dołu dochodziły ją jakieś niepokojące szmery i szelesty. Nasłuchiwała z bijącym mocno sercem kroków niewidzialnego wroga, skradającego się schodami. Ale nikt nie nadchodził. W opuszczonym domu były chyba jedynymi żywymi istotami.

Mela zamknęła żaluzje, które przedtem uchyliła, by wpuścić do pokoju nieco światła. Na dworze był jeszcze jasny dzień.

— Nie pójdziemy teraz na drugie piętro — oznajmiła ku wielkiej uldze Róży. — Były tam pokoje dla służby. — Przypuszczalnie są tak samo zdewastowane.

Powoli schodziły na parter. Oswojone z mrokiem oczy wyraźnie dostrzeżały stopnie, równie jak podłoga zasłane odłamkami rozbitej porcelany i papierem.

Mela skierowała się prosto do drzwi jadalni.

Na wielkim stole stały brudne talerze z resztkami jedzenia, kilka szklanek i odkorkowana, zaledwie napoczęta butelka czerwonego wina.

190

W ciężkim powietrzu czuć jeszcze było zapach marnego tytoniu. W kącie piętrzyło się legowisko nieporządnie zasłane długą widać używaną pościelą.

Mela gwałtownym ruchem zmiotła na podłogę brudne szmaty. Pod nimi ukazał się kosztowny wschodni dywan, którym kiedyś pokryto otomanę.

— Patrz - zawołała z radosnym zdziwieniem. — Wszystko tu ocalało.

Stół i krzesła, i ta otomana. Już widzę, jaką wspaniałą urządzimy jadalnię. Będziemy przyjmować gości, wydawać proszone obiady. Zobaczysz. A za tymi drzwiami jest żółty salonik — dodała i nacisnęła pięknie cyzelowaną klamkę wysokich, dwuskrzydłowych drzwi.

Żółty salonik — niestety — nie uchwalił się przed wandalami, choć ocalało kilka sztuk stylowych mebli. Z rozbitego lustra nad marmurowym kominkiem sterczały niebezpiecznie długie ostre drzazgi, reszta szklanej tafli zaścierała podłogę.

- Tapicer odnowi meble, zmieni obicia — mówiła z ożywieniem Mela. —

Braki uzupełni urządzenie domu z ulicy Catinat, a co jeszcze będzie potrzeba, dokupimy. Ciekawam dużego salonu — dodała. — Wiesz, było to

miejsce, które mnie w dzieciństwie fascynowało. Wielki, tajemniczy salon, na meblach białe pokrowce, zdejmowano je, gdy rodzice przyjmowali gości. Do codziennego użytku oprócz żółtego saloniku był jeszcze mały salon. Zaraz tam pójdziemy.

Przez mały salon przeszło chyba trzęsienie ziemi. Ogołocoło go ze wszystkiego, co można było wynieść. Większe meble zniszczono.

— - Szukano ukrytych pieniędzy — zauważyła Róża, wskazując porozpruwane i podziurawione siedzenia i oparcia foteli i kanapek. — To przypuszczalnie Prusacy. Mówiono, że buszowali po opuszczonych domach w poszukiwaniu kosztowności.

Przed drzwiami dużego salonu Melę opuściły nagle podtrzymujące ją dotąd energia i odwaga. Wydawało się, że nie ma siły poruszyć klamkę, słabo połyskującą w półmroku westybulu.

— Jeżeli wszystko jest tam równie zniszczone — wyszeptała — chyba serce pęknie mi z żalu.

Ale duży salon — o dziwo — wyglądał zupełnie zwyczajnie, ominęła go jakimś cudem wojenna zawierucha, co przewaliła się nad pałacym Narzymskich. Nie był jednak pusty. Wciśnięty w róg kanapki przed gerydonem, na którym stał ciężki świecznik z wypalonymi prawie do końca świecami, siedział jakiś człowiek.

191

Róża krzyknęła i uciekła do westybulu, Mela stała w progu jak przyrośnięta.

— Kim pan jest i co pan robi w moim domu? — spytała wreszcie zdławionym przez lęk głosem.

Człowiek nie poruszył się, nie podniósł nawet głowy. Po prostu siedział nieruchomo, jak gdyby nie słyszał pytania.

— Uciekajmy — Róża pociągnęła Melę za rękę.

— Nie, trzeba się dowiedzieć...

— Czego chcesz się dowiedzieć?

— Kto to taki i po co tu przyszedł. Chyba śpi — dodała zniżając głos. — Wcale się nie rusza.

Stały w progu niezdecydowane, nie wiedząc co począć, w końcu Mela, obchodząc z daleka nieznanego, podeszła na palcach do okna i odsunęła zasłonę. Człowiek nie drgnął. Siedział z opuszczoną głową, z rękami na kolanach, pogrążony jak gdyby w głębokim śnie.

Przed nim na gerydonie oparta o świecznik bieląła koperta.

— Tam jest jakiś list — Róża wskazała stolik.

Mela zdobyła się na odwagę i podeszła do siedzącego. Gdy oczy jej padły na adres wypisany na kopercie, nie zdołała powstrzymać się od okrzyku.

— Patrz, Różo, to do mnie! List do mnie!

Na białej kopercie czerniały duże proste litery: „Do mojej bratanicy Melanii Narzymskiej, ulica Catinat...”

W jednej chwili z Róży opadł lęk. Podeszła do siedzącego nieruchomo człowieka, pochyliła się i zajrzała w szeroko otwarte oczy, w okoloną zarostem wymizerowaną twarz Wacława Narzymskiego.

W prawej skroni, w otoku zakrzepłej krwi, czerniał niewielki otwór.

Czerwona strużka zaschła na policzku. Koło nóg siedzącego leżał rewolwer.

— To twój stryj — powiedziała spokojnie. — Chyba nie żyje. Zastrzelił się.

— Nie żyje? I zostawił do mnie list?

— Tak, list do ciebie. Sam skazał się na śmierć i przyszedł wykonać wyrok w domu brata. Niczego mu już nie potrzeba. Pragnie jednej tylko rzeczy.

— Czego?

— Twojego przebaczenia.

Mela ostrożnie ujęła białą kopertę. Co miał jej do powiedzenia ten, który ich zniszczył, spowodował przedwczesną śmierć jej rodziców, a ją pozbawił szczęśliwego dzieciństwa? A oto teraz umarł, a więc wymknął się ziemskiej

192

sprawiedliwości, karze, która słusznie mu się należała. Tyle zła przez niego, tyle wylanych łez! Czy mogła przebaczyć? Zapomnieć? Nie, po sto- kroć nie! - On czeka — przypomniała Róża. — Stoi przed trybunałem boskim i czeka na twoje przebaczenie. Spójrz na niego.

— Nie, nie! — krzyknęła Mela. — Nie chcę patrzeć! Nie mogę! — I wybiegła z salonu.

IX

— Dobra szpada, toledańska stal — Ryszard ujął misternie cyzelowaną rękojeść broni, którą Tristan Lambert przywiózł właśnie z Anglii, prezent od Lu, na promocję Anta w Saint-Cyr. — „Polskiemu przyjacielowi” — odczytał głośno wygrawerowany napis, a odwróciwszy klingę dodał: — „Zawsze razem”. To piękne.

— Drogi, kochany Lu — Anto na próżno usiłował ukryć wzruszenie. — Napisał taki smutny list... Tristan mówi, że bardzo przeżył śmierć doktora Conneau.

— Wielki to cios dla młodego Ludwika.

— O tak, ale i dla Lu... Znał go przecież od urodzenia. Doktor był domowym lekarzem jeszcze królowej Hortensji, zanim cesarz przydzielił go do swojej osoby. Zaprzyjaźnili się, doktor i „pretendent”. Odtąd nigdy się nie rozstawali. Doktor dzielił z Napoleonem III więzienie w zamku Ham. Lu to wszystko wspomina w liście, pisze, że był to jedyny przyjaciel, na którego cesarz mógł absolutnie liczyć. Absolutnie, specjalnie to podkreśla. Przy tym doskonały specjalista, członek Akademii Medycyny, senator, a teraz nie żyje.

— Umarł, jak słyszałem, na Korsyce — zauważył Ryszard.

— Tak. Ludwik już tam pojechał. Biedny Ludwik. Tak kochał ojca. Ale i Lu... Chciałbym być teraz przy nim.

— Dlaczego nie jedziesz do Anglii? Masz przecież miesiąc wakacji. A czy już coś postanowiłeś?

— O tak, i pragnę usłyszeć twoje zdanie. Widzisz, wydaje mi się, że za mało umiem. W Woolwich studiowałem artylerię i liźnałem nieco inżynierii wojskowej. W Saint-Cyr pogłębiłem te wiadomości, zapoznając się jednocześnie z wymogami francuskiej sztuki wojennej. Po klęsce 1870 roku Francja reorganizuje armię, powiększa swoje siły zbrojne, ulepsza arsenały. I wiesz, do

194

jakiego doszedłem wniosku? Oto teraz w wojsku szczególnie potrzebna jest inżynieria. Zamierzam pójść w tym kierunku. Co o tym sądzisz?

— Bardzo słuszna decyzja. Uważam, że masz całkowitą rację. Doskonając się w tej dziedzinie, zyskujesz umiejętność cenną zarówno w czasie wojny, jak i pokoju, a nawet bardziej jeszcze w czasie pokoju. O ile pamiętam, przed paru laty otwarto specjalną szkołę inżynierii wojskowej w Fontainebleau.

— Tak, w tym samym budynku, gdzie mieściła się niegdyś obecna szkoła wojenna z Saint-Cyr. To Napoleon, gdy był jeszcze pierwszym konsulem, przeniósł ją z Fontainebleau w 1803 roku.

— No a teraz z powrotem w Fontainebleau otwarto szkołę w sam raz dla ciebie.

- Ogromnie się cieszę, choć to nieco dalej od Paryża. Myślę, że wiele



skorzystam, uzupełniając tam moje wojskowe wykształcenie. Wszystko to-naturalnie z myślą o wolnej Ojczyźnie. Przecież kiedyś doczekamy się... Tacy jak ja będą wówczas potrzebni. Zaborcy utrzymują kraj w zacofoaniu, nie pozwalają na jego rozwój, gdy więc wywalczymy wreszcie niepodległość...

— Bardzo to chwalebny zamiar, Anto.

— Nie wiem, czy taki chwalebny. W każdym razie wspomniałeś, że gdy Polska powstanie, wrócimy tam wszyscy. Pamiętam też to, co mówił Dzia-duś.

— - A co mówił?

— - Mówił, że możemy zastać zgliszcza i ruiny. Nie wiedział, co się stało z jego rodzinnym domem na wsi. Może powstania zmiotły go z powierzchni ziemi? Ty też masz tam dom twoich przodków. I pan Hutorowicz... Trzej przyjaciele z lat dziecińczych... Właściwie było ich czterech, bo i Damian Dobrocki... Słuchaj, czy wiesz, co się z nim stało?

- Wiem. - Ryszard nie objawiał chęci rozwijania tego tematu. — Nie żyje.

— Czy... umarł własną śmiercią?

— Ludzie pokroju Damiana Dobrockiego rzadko umierają śmiercią naturalną.

— Ryszardzie — Anto spojrział badawczo w błyszczące „hiszpańskie” oczy szwagra. — Chciałbym wiedzieć...

— Po co ci to?

— Ze względu na Melę.

— Mela nic nie wie o Damianie.

— Ale to przecież dziadek jej matki.

195

--- Cóż z tego? Nigdy go nie widziała. Damian Dobrocki nie utrzymywał stosunków z wnuczką.

- Dlaczego?

- On i ojciec Meli stali na przeciwnych biegunach. Narzyski był patriotą, a Damian... Wróćmy jednak do twoich spraw, to o wiele ważniejsze. Ryszard uśmiechnął się i poklepał Anta po ramieniu.

Wiesz, kto najbardziej ucieszy się z twojego projektu?

~r KtO?

- Róża.

— Róża...

— Tak. Zamartwia się już zawczasu, że pošłą cię do jakiegoś garnizonu na drugim końcu Francji. Naturalnie, jako inżynier wojskowy będziesz wykorzystany przy budowie dróg, mostów i fortyfikacji i może pojedziesz znacznie dalej niż najdalszy kąt Francji. Taki Lesseps przekopał Kanał Sueski, a teraz, jak słyszę, zamyśla o podobnej imprezie w Panamie. Zobaczysz, otworzą się przed tobą nieprzewidziane możliwości. Tymczasem jednak odpoczywaj przez lato.

— Przedtem pojedę do Chislehurst. Lu znowu wybiera się do Szwajcarii, do zamku Arenenberg, mówi, że tam odnajduje młodość ojca. Chcę go zobaczyć, zanim wyjedzie.

Projekt Anta został entuzjastycznie przyjęty przez Różę i Zelię, Mela nawet, ostatnio nieco chmurna, uznała, że to znakomity pomysł.

— Niedziele będziesz spędzać w domu, jak dotąd — zdecydowała. Podczas obiadu Ryszard wznosił toast za spełnienie życzeń podporucznika

Antoniego Ordęgi, a chwilowo przyszłego elewa Wojskowej Szkoły Inżynierskiej w Fontainebleau.

— Może poszlibyśmy na spacer? — zaproponował Anto, zbliżając się do Meli, która wstała od stołu i teraz poprawiała kwiaty w wazonie na kominu.

— Chętnie, włożę tylko kapelusz.

Ocienione słomkową budką oczy Meli miały nieodgadniony wyraz. Kremowa batystowa suknia z trzema wolantami u dołu spódnicy z powiewnym wdziękiem opływała zręczną postać dziewczyny. Rozpięta nad nią żółta jedwabna parasolka chwiała się niczym wielki kwiat na wiotkiej łoddydze.

— Jestem zbyt mała — podniosła wzrok na idącego obok Anta. — Sięgam ci równo do ramienia. A może to ty zbyt wybujałeś?

Tak być powinno — odparł z przekonaniem chłopiec, dla którego 196

wszystko było w Meli doskonałe. — Nie potrzebujesz być wyższa. I tak jesteś najpiękniejszą dziewczyną — dodał z żarem.

— Tak uważasz? — spytała kręcąc porcelanową rączką parasolki.

— Nie wierzysz mi?

— Wierzę, wierzę — odpowiedziała prędko. — Ale wierzę dlatego, że chcę, żeby tak było.

Tak jest — zapewnił gorąco. — Czyż potrzebuję ci to mówić?

— Nigdy nie mówisz mi nic miłego — wydeła usta.  
— Melu!  
— Porucznik Slade czy Woodhouse, a nawet i Ludwik Conneau są zupełnie inni.  
— Milsi ode mnie, tak? To chciałaś powiedzieć.  
— Owszem, milsi od ciebie. Ja lubię słuchać przyjemnych słów. Inaczej wydaje mi się, że nic nie jestem warta.  
— Czyż o wartości człowieka decyduje liczba pięknych słówek, które słyszy? — oburzył się.  
— Nie tylko, ale niekiedy...  
Okrzykli Ogród Palais-Royal i skręcili na plac Komedii Francuskiej. Przed teatrem grupka ludzi czytała afisz z programem przedstawień.  
— Dokąd pójdziemy? — Anto zajrzał pod żółtą parasolkę.  
— Do naszego dawnego domu — ożywiła się. — Tam było nam dobrze — westchnęła.  
— Bardzo dobrze — przytaknął — ale i teraz...  
— Teraz jest inaczej — przerwała.  
— Inaczej — zgodził się. — My też jesteśmy inni. Wyrosliśmy.  
— Szkoda — szepnęła. — Wielka szkoda.  
— Dlaczego? Tak jest o wiele lepiej. Wcale nie chcę, abyśmy znowu byli dziećmi.  
— Nie chcesz? — uchyliła parasolkę i spojrzała uważnie na towarzysza spaceru.  
— Nie — rzucił lekko poirytowany. — W ogóle nie rozumiem...  
— Tak — przyznała. — Widzę, że mało co rozumiesz.  
— Melu — zaczął prosząco.  
— Czy to nie dziwne? — powiedziała ze smutkiem. — Dawniej nigdy nie kłóciliśmy się, a dzisiaj...  
— Czy to moja wina?

197

— Nie — przyznała szczerze. — Chyba moja. — Wsunęła mu rękę pod ramię. — Czy lubisz mnie tak samo jak dawniej? — Usiłowała nadać głosowi obojętne brzmienie.  
— Nie pytaj o to — powiedział ochryple. — Nigdy o to nie pytaj. Proszę cię... Poczula, jak zeszywniało nagle ramię, na którym się opierała. Stara kochana ulica Świętego Rocha była taka, jaka pozostała w ich pamięci. Rozłożysta fasada kościoła zachowała ślady bratobójczej walki z

czasów rewolucji. Na stopniach siedzieli tacy sami żebracy, a stragan kwiaciarzy przycupnął pod murem jak niegdyś.

Dom także mało się zmienił. Owszem, odmłodził, właściciel bowiem wyremontował kamienicę po wojennych zniszczeniach.

Nowa konsjerżka wpuściła ich z uśmiechem, gdy Mela wymieniła nazwisko państwa Pommier.

— Chodźmy ich odwiedzić — odwróciła się do Anta, wstępując na tak dobrze znane schody. — Pani Pommier częstowała mnie zawsze pysznym plackiem.

W ich dawnym mieszkaniu żyli teraz inni ludzie. Anto powiódł palcami po deskach drzwi, poruszył klamką, która zachowała może dotyk ręki Dziadusia.

Pani Pommier przywitała ich z wylewną serdecznością. Opowiedziała o losach lokatorów domu, z których niewielu tylko pozostało na miejscu. A potem znaleźli się znowu na rozpalonej ulicy.

— A teraz dokąd? — Anto pochylił się nad dziewczyną.

— Do mojego domu — odpowiedziała cicho. — Musimy wziąć fiakra, to zbyt daleko.

— Och, nie — zachnął się. — Nie trzeba tam chodzić. Taki piękny dzień, pojedźmy lepiej do Lasku.

— Nie, pojedziemy do mojego domu — powtórzyła z uporem. — Zobaczmy, jak teraz wygląda.

— Wiem, jak wygląda — mruknął wspominając owe wakacje spędzone na bezskutecznym poszukiwaniu talerza.

— Może się zmienił? — rzuciła zagadkowo, sadowiąc się w dorożce.

O tak, pałacyk w alei Cesarzowej zmienił się rzeczywiście. Był co prawda jak dawniej opuszczony i pusty, ale naprawiona brama i zamknięta furтка, a przede wszystkim biały pióropuszczyk stojący nad domkiem odzwiernego wskazywały na troskliwą rękę, usiłującą jako tako zaradzić zniszczeniu.

— Zadzwoń — rozkazała Mela.

Anto z niedowierzaniem pociągnął rączkę dzwonka. Jego dźwięk, nieco

198  
schryply, równie zardzewiały jak rączka, wywołał z domku starszego mężczyznę, który utykając pospieszył do bramy.

— To Jakub Bonnot — wyjaśniła Mela — nasz dawny dozorca. Spotka-  
liśmy go tu z wujem Ryszardem któregoś dnia. Był bez pracy i nie miał

gdzie mieszkać.

— Dzień dobry panience — Jakub Bonnot uśmiechał się szeroko do swojej młodej chlebodawczyni. — I pan porucznik...

— Chcę pokazać dom panu porucznikowi.

— Zaraz przyniosę klucze. Wszystko teraz pozamykane. Uprzątnąłem, co się dało — prowadził gości do kuchennego wejścia. — Tam gdzie było potrzeba, wstawiłem szyby, nie wedrze się tu już żaden włóczęga. Nowe drzwi lśniły świeżym drewnem, a nowe zamki skutecznie broniły domu przed intruzem. Z kuchni i z pokoju kredensowego znikły sterty śmieci i potłuczonej porcelany. Podłoga wszędzie była czysto zamieciona, nie nadające się do użytku meble usunięte. Dom przestał straszyć atmosferą niebezpieczeństwa i tajemnicy. Był już znowu zwykłym domem, oczekującym na prawowitych mieszkańców.

— Dziękuję, Jakubie — odprawiła dozorcę Mela. — Zabawimy tu niedługo. — I poszła prosto do dużego salonu.

W półmroku pokrowce na meblach białeły jak śmiertelne całuny. Szczelnie zasłonięte żaluzje, niczym nieprzenikniony mur, odcinały ten salon od zewnętrznego świata.

— Tu siedział — wskazała kanapkę. — Róża mówiła, że czeka na moje przebaczenie, a ja nie chciałam... uciekłam...

— Przecież mu wybaczyłaś — zauważył łagodnie.

— Wybaczyłam... ale dopiero potem, gdy przeczytałam list, który do mnie napisał. A on tu umarł... przyszedł, żeby tu umrzeć. Czy mnie teraz słyszy? — podniosła głos. — Stryju Waławie! Słyszysz mnie? Wybaczam ci wszystko, tak jak chcę, żeby kiedyś Bóg wybaczył i mnie moje winy.

— Ładnie to powiedziałaś, Melu. Ryszard mówił, że on bardzo cierpiał, żałował i że zastrzelił się, gdyż nie mógł unieść ciężaru zbrodni. No i teraz ty jesteś bogata.

— Wszyscy będziemy bogaci, gdy odnajdzie się ten bankier.

— Może się wcale nie odnajdzie i ja na zawsze pozostanę biedakiem.

Nic przecież nie mam.

— Cóż z tego? Ja też mam niewiele. Tego, jak mówisz, „bogactwa” nie wystarczy nawet, żeby doprowadzić dom do dawnego stanu.

— To nic — westchnął. — I tak między nami jest przepaść.

— Jaka przepaść? O czym ty mówisz?

— Niestety o pieniądzech. Wiem, że to bardzo przykry temat. Czasem jednak należy poruszyć i najprzykrzejsze tematy.

— Nie chcę poruszać żadnego przykrego tematu — nadała się. — Nie po to tu przyszliśmy, żeby mówić o pieniądzech.

— Nie po to — zgodził się. — Ale ja o tym stale myślę.

— Dlaczego, Anto? Dlaczego?

— Tak trzeba. W każdym razie dzięki twojemu stryjowi dowiedzieliśmy się nareszcie prawdy o naszych talerzach. Są one kluczem do skarbcza, a my, choć mamy ten klucz, nie wiemy, gdzie znajduje się skarbiec. Tak mniej więcej wygląda sytuacja.

— Stryj wyznał w liście, że po to poszukiwał mojego talerza. Miał nadzieję odnaleźć owego bankiera, a wówczas...

— Wówczas wszedłby w posiadanie należnych tobie pieniędzy.

— Nie mnie, Anto, nie mnie. Zapominasz, że talerz był własnością Zygmunta Żerana, a więc pieniądze należą do wuja Ryszarda.

— Po co dzielić skórę na niedźwiedziu, gdy niedźwiedź jeszcze żyje? Twój stryj i tak oddał nam wielką przysługę. Cóż jednak z tego, skoro i on nie potrafił rozwiązać zagadki?

Nie trzeba się martwić. Przecież twój dziadek znał bankiera. To on razem z Zygmuntem Żeranem, dziadkiem wuja Ryszarda, złożyli u niego pieniądze i wymyślili całą tę historię z talerzami. Nie mamy się więc o co kłopotać.

— Róża na próżno szukała — odparł smutnie. — Znalazła różne zapiski Dziadusia, ale żadnej wzmianki o bankierze. Zresztą Dziadus nie odebrał tych pieniędzy.

— Trzeba dalej szukać. Róża musi znaleźć taką notatkę. A ta notatka z pewnością istnieje.

— Skąd twój stryj dowiedział się o talerzach i o ich znaczeniu?

— Nie wiem, tego nie napisał. Pisał natomiast, że słyszał, jakoby dwóch posiadaczy jednakowych talerzy z Napoleonem, dwóch przyjaciół z dawnych lat, złożyło u jakiegoś paryskiego bankiera pewną sumę w depozyt, którą można podjąć jedynie za okazaniem jednego z talerzy. Stryj dodawał, że jeżeli bankier użył tych pieniędzy do zyskownych giełdowych operacji, to kwota ta dziś jest co najmniej dziesięciokrotnie wyższa. Nie znał, niestety, nazwiska bankiera. Pytał już niektórych, bardziej znanych w Paryżu bankierów. Nie wszyscy byli skłonni udzielać mu informacji,

zasłaniał się tajemnicą, którą przyrzekają swoim klientom. Stryj do niego nie doszedł. Ale twój dziadek...

200

— Powiedziałem ci już, że Róża szukała.

— Jestem pewna, że odnajdziemy tego bankiera, tak jak niespodziewanie odnalazłam mój talerz. Przecież po to go odnalazłam, by posłużył nam za klucz do „skarbcza”.

— Może masz rację — uśmiechnął się bez przekonania. — Ja również szukałem talerza z silną wiarą, ale to ty go znalazłaś. Melu... — zawałał się...

Podniosła na niego oczy.

— Czy Slade'a i Woodhouse'a bardziej lubisz ode mnie? — głos mu drżał,

— Nie — powiedziała tak cicho, że raczej odgadł to słowo z ruchu jej warg.

— Nie mógłbym żyć, gdybyś... kogo innego... — urwał i gwałtownie podniósł się z fotela. — Chodźmy stąd — dodał nieco spokojniej. — W tych murach jest coś... Zbyt wiele tu przeżyłem... niepokoju o ciebie... rozpaczy...

— Wiem, Anto — powiedziała miękko i podeszła do niego blisko. W mroku jej oczy lśniły jak dwa szafiry. — Ja też... Przez te wszystkie lata... Stale myślałam o tobie... Zawsze... Nie wiedziałam tylko — dodała jakby z lekkim zakłopotaniem — że tak bardzo wyrosłeś...

— Herbatę podaj tutaj.

— Tak jest, Wasza Wysokość. — Lokaj wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

— A więc znowu jesteśmy razem. — Książę obrócił ku przyjaciółom smutną twarz, zatrzymując spojrzenie na czarnej krepie opasującej ramię Ludwika Conneau. — Tak mi z wami dobrze... — dodał po chwili.

— Zawsze nam było dobrze razem — zauważył Anto.

Siedzieli jak dawniej w gabinecie księcia na pierwszym piętrze domu w Chislehurst.

Z okien widać było zielone trawniki, grabowy szpaler, a tuż, blisko, wysoką niegdyś wierzbę, teraz w połowie strzaskaną, którą zasadził jeszcze pan Strode, właściciel Camden Place. Będąc na Wyspie Świętej Heleny, pan Strode odciął jeden z pędów wierzby ocieniającej grób Napoleona i przywiózł sadzonkę do Anglii. Drzewo przyjęło się i wybujało wysokie i

rozłożyście. Niestety, w dniu śmierci Napoleona III rozszczepiła je jakaś niewytłumaczalna siła. Ocalała połowa żyła, co roku pokrywała się listowiem i wyciągała wiotkie gałęzie w stronę okien księcia.

201

— Po takim ciosie dobrze jest znaleźć się wśród przyjaciół — powiedział cicho Ludwik Conneau. — My z tobą, Lu, prawie nigdy nie rozstawaliśmy się, jedynie podczas wojny, no i teraz...

— Wydaje mi się, że drugi raz utraciłem ojca — Lu posłał wzrok ku chwiejącej gałązkami wierzbie. — I tak samo jak wówczas, tak i teraz zjawił się Anto.

— Pamiętam — skinął głową Ludwik. — Byłem wówczas na dole i naknąłem się na niego. Właśnie przyjechał.

— Wszyscy trzej urodziliśmy się w jednym roku, my z Anto nawet w tym samym dniu i miesiącu. Ja jednak jestem z nas najstarszy, pierwszy przyszedłem na ten świat i pierwszy chyba stąd odejść.

— Lu!

— Czego się tak oburzacie? To byłoby całkiem sprawiedliwe. No, rozchmurzcie się, mam nadzieję na długi żywot. Gdy się urodziłeś, Ludwiku, na życzenie mojego ojca dano ci moje imiona. Od kolebki byliśmy sobie przeznaczeni na przyjaciół, a potem doszedł do nas Anto. To też przeznaczenie.

Drzwi uchyliły się bezszelestnie, lokaj wniósł tacę z zastawą /do herbaty. Krzątał się chwilę, nakrył okrągły stolik pod oknem, ustawił filiżanki, po czym znikł równie cicho, jak przyszedł.

— Choć nie ma ojca, mój dom zawsze będzie w Chislehurst — oznajmił nagle Ludwik. — Zawsze tu będę powracać, gdziekolwiek bym się znajdował.

— Ciesz mi, że tak myślisz — księżę spojrział serdecznie na przyjaciela. — Camden Place jest twoim domem. Przystanie nim być dopiero wówczas, gdy wrócę do Francji. Jeżeli wrócę — dokończy ciszej.

— Naturalnie, że wrócisz. — Anto poprawił się w fotelu. — Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

— Słusznie — księżę potrząsnął głową. — Nawet jeśli mnie nie zechcą, to i tak wrócę. Armia francuska potrzebuje oficerów. I wiesz, Anto, bardzo mi się podoba twój projekt, owa szkoła w Fontainebleau. Co ty na to, Ludwiku?



— Też uważam, że to mądre posunięcie. Anto zawsze miał zdolności do matematyki, lepiej od nas umiał obchodzić się z różnymi przyrządami, posługiwać się odpowiednim narzędziem, znał się na maszynach. To urodzony inżynier.

— Wszyscy w jakimś stopniu będziemy służyć Francji — ksiązę podsunął Ludwikowi cukiernicę. — A ty, Anto, nie daj się zapraszać. Te briosze są naprawdę wyśmienite.

— Wiecie, czego najbardziej brakowało mi we Francji? — Ludwik Conneau dołął śmietanki do herbaty. — Tego oto angielskiego podwieczorku o piątej

202

z różnymi dobrymi rzeczami. Przywykłem przez te wszystkie lata... Ojciec też to lubił - zamilkł nagle.

— Wszyscyśmy przywykli i lubimy herbatę — powiedział miękko Lu.

— To bardzo piękny zwyczaj. Herbata o piątej zbliża ludzi. Nawet niezbyt sobie mili, gromadząc się wokół imbryka, zapominają o animozjach. Wszyscy stają się sobie równi. Każdy z filiżanką w ręku... I to ich łączy. Przy stoliku z zastawą do herbaty wytwarza się jakaś atmosfera życzliwości. Zawsze mnie to uderzało, gdy bywałem w angielskich domach.

Szczególnie na wsi. Zarówno we wspaniałych rezydencjach, jak i w skromniejszych dworach. Wszędzie panowało to samo zbliżenie między ludźmi, często między osobami zupełnie sobie obcymi.

— Tak, to piękny zwyczaj - przytaknął Anto, zatapiając zęby w pulchnej brioszy.

— Jak się ma Mela? - Widać było, że Ludwik Conneau pragnie oderwać myśl od smutnych wspomnień. - Dawno jej nie widziałem.

- Właśnie, co z Melą - podchwycił Lu, wpatrując się w nagle spochmurniałą twarz Anta. - - Slade i Woodhouse nie przestają mnie molestować... Ale co ty? Czy stało się coś?

— Kocham ją — głos Anta był niski i zdławiony. — Tak bardzo ją kocham, że... Wybaczcie - - zawstydział się nagle wybuchu, którego nie był w stanie opanować.

- A czy Mela... — zaczął ksiązę.

- Nie wiem - zawołał z rozpaczą Anto. — Nic nie wiem. Czasem wydaje mi się, że jest mi przychylna, ale są chwile, kiedy myślę, że mną gardzi - dokończył nieledwie szeptem.

Bzdura -|- zaproponował Lu. Od początku byliście sobie przeznaczeni.

Od razu to wyczułem. Jestem pewien, że i ona...

- Nie wiem, nie wiem — Anto ukrył twarz w dłoniach. — Ale gdyby nawet i ona... to i tak nie mam prawa.

Dlaczego?

- Ona jest bogata, a ja...

- Ty masz przed sobą przyszłość.

- Jestem żebrakiem. Mogę liczyć wyłącznie na mój przyszły żółd, a sami wiecie, jakie to są grosze.

- Więc jednak stryj nie wszystko przepuścił — stwierdził ze zdziwieniem Ludwik.

\*~ Wszystko, co mógł. Na szczęście ojciec Meli obwarował testament licznymi klauzulami, i to uratowało niezłą sumkę.

203

\  
\

— Znał widać brata.

— Ludwiku, nie mów o nim źle. Nie żyje. Żałował za winy. I jeszcze przed śmiercią zdążył oddać nam wielką przysługę.

- Jaką przysługę?

— - Nareszcie poznaliśmy prawdę o talerzu.

O talerzu?

— Tak. •>— Anto odsunął filiżankę i oparł łokcie na stoliku. - Wyobraźcie sobie, że takie talerze były trzy.

— Zawsze wspominałeś o dwóch jednakowych.

— Nie wiedziałem wówczas. Nikt z nas nie wiedział. Dopiero stryj Meli otworzył nam oczy w liście, który do niej napisał.

— - Mówże wreszcie — zniecierpliwiał się książę. - - Siedzę jak na rozżarzonych węglach, a ty nas dręczysz. Nuże, wyrzuć z siebie te rewelacje.

— Słusznie mówisz o rewelacjach — zauważył poważnie Anto. — Bo to prawdziwe rewelacje. Okazuje się, że mój dziadek i dziadek Ryszarda kupili nie dwa, ale trzy jednakowe talerze, specjalnie wyprodukowane w manufakturze w Sevres. I jednocześnie złożyli u paryskiego bankiera pewne sumy przewidując, w związku z pogarszającą się sytuacją polityczną w okupowanym przez zaborców kraju, konieczność ucieczki. Otóż trzeci taki talerz zostawili wraz z pieniędzmi u bankiera. To miał być znak rozpoznawczy.

— Rozumiem — pokiwał głową Ludwik. Talerz zamiast hasła. Wielce oryginalny pomysł, ale chyba niepraktyczny.

— Wręcz idiotyczny — wrzucił ramionami Anto. —\* Ale byli bardzo młodzi, i to ich widać bawiło.

— - Czegóż więc desperujesz? Bierz talerz i pędź do bankiera.

— Dawno bym to uczynił, gdyby...

— - Bankier robi trudności? — przerwał Lu.

— Żeby odzyskać Dziadusiowe pieniądze, trzeba znać nazwisko bankiera.

— Nazwisko bankiera? - - powtórzył Ludwik Conneau ze zdumieniem.

— Jak to, więc twój dziadek nie podjął swoich pieniędzy? Nie powiedział twojej siostrze?...

— Nie podjął i nie powiedział. Byliśmy zawsze bardzo biedni. Dziadek szukał zaginionego przyjaciela, mówił, że gdy go odnajdzie, wszystko się zmieni, skończą się nasze finansowe kłopoty. Nie wiem, co miał na myśli.

— To wprost nieprawdopodobne! — wybuchnął Ludwik.

— I ja tak sądzę — potwierdził Lu. — Sprawa jest wysoce podejrzana. Wygląda, że ktoś pragnie wprowadzić was w błąd.

204

— Nie — potrząsnął głową Anto. — Nikt inny nie skorzystałby przecież z tych pieniędzy bez okazania talerza. Ani Róża, ani Ryszard nie wiedzieli o ich istnieniu. Dla Ryszarda talerz był zwykłą rodzinną pamiątką, własnością zaginionego podczas powstania dziada, niczym więcej. Najlepszy dowód, że pozbył się go ofiarowując Meli. Dla Róży i dla mnie przedstawiał jakiś tajemniczy znak, z którym Dziaduś wiązał nie sprecyzowane bliżej nadzieje, zawsze odnoszące się do owego przyjaciela.

— A skąd stryj Meli dowiedział się o złożonych w banku pieniądzech?

— Ludwik Conneau zawsze zadawał właściwe pytanie.

— Dowiedział się - - jak napisał w liście do Meli — od jednego z naszych rodaków. — Anto za żadne skarby nie wywlekłby na światło dzienne haniebnej postaci Damiana.

— Czy to aby pewne źródło?

— Jeśli chodzi o te sprawy, to jak najpewniejsze.

— No cóż — powiedział spokojnie Lu — nie należy składać broni, a szukać dalej... Te pieniądze muszą przecież gdzieś być.

«— Minęło bardzo wiele lat - - stwierdził rzeczowo Anto. — Może już nie żyją ci, co znali sekret związany z talerzem? Może ten bank już nie istnieje? Nad Paryżem przewaliła się wojna, rewolucje. Pieniądze te złożono ponad pięćdziesiąt lat temu.

— Dobrze, ale twój dziadek zgłosił się po nie o wiele wcześniej, zapewne wkrótce po przyjeździe do Paryża.

— Przypuszczalnie tak było. Dlatego ta sprawa jest tak zagadkowa.

— Według mnie — zawyrokował Ludwik — nieuczciwy bankier przywłaszczył sobie pozostawiony mu przez cudzoziemców depozyt, w nadziei, że klienci nigdy się po niego nie zgłoszą. A jeżeli prawdą jest, że „pieniądz robi pieniądz”, to ten sprytny oszust, grając szczęśliwie na giełdzie, mógł podwoić

I potroić przekazany mu kapitał. Poczekaj, Anto, jeszcze będziesz kreuzsem, złote suwereny potrafią zdmuchnąć niejedno zmartwienie.

— Ryszard próbował -- zaczął Anto. — Odwiedził parę banków.

— Słuchaj — przerwał Ludwik. — Jestem pewien, że twój dziadek zostawił wiadomość. Nie mógł umrzeć, nie powiadomiwszy was, mam na myśli twoją siostrę, bo ty byłeś wówczas dzieckiem. Może pani Róża zapomniała?

— Przeszukaliśmy wszystko — Anto kręcił przecząco głową. — Sekretarz Dziadusia, jego rzeczy, książki, papiery, listy...

I co? I nic.

206

— Nie — potrząsnął głową Anto. — Nikt inny nie skorzystałby przecież z tych pieniędzy bez okazania talerza. Ani Róża, ani Ryszard nie wiedzieli

o ich istnieniu. Dla Ryszarda talerz był zwykłą rodzinną pamiątką, własnością zaginionego podczas powstania dziada, niczym więcej. Najlepszy dowód, że pozbył się go ofiarowując Meli. Dla Róży i dla mnie przedstawiał jakiś tajemniczy znak, z którym Dziaduś wiązał nie sprecyzowane bliżej nadzieje, zawsze odnoszące się do owego przyjaciela.

— A skąd stryj Meli dowiedział się o złożonych w banku pieniądzech?

— Ludwik Conneau zawsze zadawał właściwe pytanie.

— Dowiedział się — jak napisał w liście do Meli — od jednego z na-

szych rodaków. — Anto za żadne skarby nie wywlekłby na światło dzienne haniebnej postaci Damiana.

— Czy to aby pewne źródło?

— Jeśli chodzi o te sprawy, to jak najpewniejsze.

— No cóż — powiedział spokojnie Lu — nie należy składać broni, a szukać dalej... Te pieniądze muszą przecież gdzieś być.

— Minęło bardzo wiele lat — stwierdził rzeczowo Anto. - Może już nie żyją ci, co znali sekret związany z talerzem? Może ten bank już nie istnieje? Nad Paryżem przewaliła się wojna, rewolucje. Pieniądze te złożono ponad pięćdziesiąt lat temu.

— Dobrze, ale twój dziadek zgłosił się po nie o wiele wcześniej, zapewne wkrótce po przyjeździe do Paryża.

— Przypuszczalnie tak było. Dlatego ta sprawa jest tak zagadkowa.

— " Według mnie — zawyrokował Ludwik — nieuczciwy bankier przywłaszczył sobie pozostawiony mu przez cudzoziemców depozyt, w nadziei, że klienci nigdy się po niego nie zgłoszą. A jeżeli prawdą jest, że „pieniądz robi pieniądz", to ten sprytny oszust, grając szczęśliwie na giełdzie, mógł podwoić

1 potroić przekazany mu kapitał. Poczekaj, Anto, jeszcze będziesz krezusem. złote suwereny potrafią zdmuchnąć niejedno zmartwienie.

— Ryszard próbował - zaczął Anto. — Odwiedził parę banków.

— Słuchaj — przerwał Ludwik. — Jestem pewien, że twój dziadek zostawił wiadomość. Nie mógł umrzeć, nie powiadomiwszy was, mam na myśli twoją siostrę, bo ty byłeś wówczas dzieckiem. Może pani Róża zapomniała?

— Przeszukaliśmy wszystko — Anto kręcił przecząco głową. — Sekretarzyk Dziadusia, jego rzeczy, książki, papiery, listy...

— I co?

— I nic.

206

— Źle szukaliście — denerwował się Ludwik. — To niemożliwe. Przypomnij sobie rozmowy z dziadkiem. Może coś mówił o jakimś banku, o ludzkiej nieuczciwości, no wiesz, o różnych takich rzeczach.

— Rozmawialiśmy o wszystkim, o wielu sprawach naszych własnych i narodowych. Dziaduś chodził z nami na długie spacery, pokazywał za-

bytki, objaśniał. Znał doskonale Paryż, historię Francji. Tak ciekawie umiał opowiadać.

— Żał mi twojego dziadka, Anto — wzruszył się Lu. — Z jakiegoś nie znanego nam powodu nie mógł wejść w posiadanie swoich własnych pieniędzy. O, jak dobrze go rozumiem! Biedny. Wyobrażam sobie, jak musiał się tym gryźć. Naturalnie, ze względu na was — dodał po chwili.

— Tak, biedny Dziaduś. Teraz wiem, dlaczego był smutny i niespokojny. Do końca wspominał zaginionego przyjaciela. Może wierzył w cud? Mówiąc o nim stale dodawał: „Gdy odnajdę Zygmunta, wszystko się odmieni, całe nasze życie”. Nie wiedziałem wówczas, o co mu chodziło, ale też wierzyłem... Wiem od Róży, jak Dziaduś martwił się naszą przyszłością. Byliśmy sierotami, nie mieliśmy nikogo, tylko on...

— Jest jeszcze jeden sposób na odnalezienie owego bankiera lub jego sukcesorów — zauważył Lu. — Nie można pozwolić, żeby was bezkarnie okradziono. W bankach wszystko jest zapisane, najdrobniejsza wiadomość. Jestem pewien, że talerz z Napoleonem, dobrze strzeżony, spoczywa bezpiecznie na dnie zamczystego kufra. Głowę dam, że do podziemi banku takiego na przykład Rothschilda lub Laffitte'a nie dotarty nawet echa wojny czy rewolucji. To są niezdobyte fortece. Należy tylko zrećnie zabrać się do rzeczy.

— Ani Rothschild, ani Laffitte nie dopuściliby się podobnej malwersacji. To stare i szanowane firmy. Musiał to być jakiś pomniejszy bank.

— I na to jest sposób. Nasz bankier w Londynie to Baring. Mama ma do niego bezgraniczne zaufanie. Można by poprosić... Tak, sam pomówię ze starym Baringiem. Niech przeprowadzi dyskretny wywiad wśród paryskich kolegów. Łączą ich przecież wspólne interesy.

— Doskonały pomysł! — zawołał z entuzjazmem Ludwik. — To rzeczywiście jedyna droga do wykrycia prawdy. No, Anto, rozchmurz się, przyjacielu.

— Gdybym był pewien, że Mela mi sprzyja...

— Do licha, komu miałaby sprzyjać, jak nie tobie? — zirytował się Lu.

— Zresztą czy nie warto walczyć?

— Nie poznaję ciebie — dodał Ludwik."

— Ja sam siebie nie poznaję — Anto zacisnął pięści. — Czy sądzicie, że można kogoś zmusić do miłości?

207

— „Miłość rodzi miłość” — zacytował Lu.

— „Za miłość płaci się wyłącznie miłością” — dorzucił Ludwik. — Weź się w garść, bracie, i walcz. Wszystko zależy od ciebie.

— Cóż tu pomoże walka?

— Doprawdy, Anto, co się z tobą stało? — książe popatrzył uważnie na przyjaciela. — Gdy szukałeś talerza, pamiętasz, jaką miałeś wiarę i pewność, że go znajdziesz? Wiązałeś z nim nadzieję na odnalezienie Meli. Nieraz to mówiłeś. Imponowałeś mi. A teraz wątpisz? Co to znaczy?

— Nie pytaj, bo i tak nie potrafię odpowiedzieć. Wówczas płonęło we mnie jakieś światło, prowadziło mnie, kazało nie ustawać. A teraz...

— Co teraz? — podchwycił Lu. — Teraz jest to samo. Nie wolno ci upadać na duchu. Wówczas wierzyłeś, że bez talerza nie odnajdziesz Meli.

Teraz musisz ją zdobyć. Chodzi o twoje szczęście. I nie tylko o twoje. Pomyśl o niej. Jeżeli cię

kocha...

— Gdyby mnie kochała!... — wybuchnął Anto. — Wówczas mógłbym...

— Możesz wszystko — rozgniewał się Ludwik. — Weź się w garść.

— Dziś jeszcze pomówię z mamą — obiecał Lu. — A jutro wybiorę się do Londynu. Głowa do góry, przyjacielu.

Anto wracał do Paryża w nieco lepszym nastroju. Przyszłość nie wydawała się już tak ponura. Słabe to co prawda były nadzieje, niemniej dzięki nim wydzwignął się z dna poprzedniej desperacji.

Na statku podczas podróży przez Kanał nie opuszczała go natrętna myśl o Wacławie Narzymskim. Obraz nieszczęsnego stryja Meli czepiał się uparcie pamięci, ożywiony relacją Ryszarda. Bo przed Ryszardem Narzymski obnażył duszę.

Anto był pewny, że szwagier nie powtórzył wszystkiego, co usłyszał, nie odkrył tych najtajniejszych zakamarków, w których lęgnie się wszelkie zło. Właściwie to, co powiedział, można było uznać za swego rodzaju „mowę obrończą”. Przede wszystkim, jako Polak, Narzymski przedstawiał się nienagannie. Jeżeli nawet nie oparł się fatalnemu urokowi, jaki emanował z fascynującej bądź co bądź osoby starego Damiana, to jednak nie dał się wciągnąć w żadną polityczną działalność wrogą Ojczyźnie czy Francji. Nigdy nie zdradził. Podczas wojny spełnił swój obowiązek, służył rzeczywiście w Armii Loary. Brał udział w zwycięskiej bitwie pod Coulmiers, w przegranej pod Le Mans, potem wraz z generałem Bourbaki

przeszedł szwajcarską granicę. Kampanię tę odbył jako prosty żołnierz, a pod obszarpanym mundurem i nie ogolonym od dawna zarostem trudno było poznać wytwornego bywalca Café de la Paix.

— Co więc znaczy ów rewers na sto tysięcy franków podpisany jego nazwiskiem? — zapytała wówczas Róża. — Sama go znalazłam w ruinach Tuileriów, pieczołowicie ukryty w aluminiowym pudełeczku. Ryszard i na to miał odpowiedź.

Narzynski przegrał wielką sumę w karty, a ponieważ dług honorowy płaci się w ciągu dwudziestu czterech godzin, znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Znikąd nie dostał ani grosza. Żaden lichwiarz nie chciał ryzykować pożyczki takiemu jak on dłużnikowi. Znali go zbyt dobrze. Narzynski przyparty do muru zniżył się nawet do próby szukania ratunku u własnego lokaja. Ale Fabian nie był skory do wysupłania z takim trudem zdobytych sum.

— Pan i tak wszystko przegra — powiedział krzywiąc usta. — A ja co? Zostanę na lodzie? Bo przecież nie będzie pan miał z czego oddać.

Narzynski, nie wiedząc już do kogo się zwrócić, pomyślał o Damianie. Była to ostateczność, gdyż do północy dług karciany musiał być spłacony. Inaczej pozostałaby mu jedynie kula w łeb.

Damiana znalazł dopiero wieczorem. Stary wysłuchał jego chaotycznych wynurzeń — gość był tak wzburzony, że ledwie mógł sklecić jakie takie zdanie — i zgodził się, o dziwo, dość skwapliwie. Od razu wyjął z sekretarzyka plik banknotów i złoto, wyglądało, że pieniądze te czekają na potrzebującego, odliczył sto tysięcy i położył przed Narzynskim.

— A teraz proszę o pokwitowanie — powiedział patrząc bladymi jak zamarzła woda oczami w płonąca twarz przybysza.

Stryj Meli podpisał, nie domyślając się, że podpisuje pewnego rodzaju cyrograf.

— Postaram się oddać jak najprędzej — wybelkotał, trzęsącymi się rękami wpychając banknoty do portfela, a złoto do sakiewki.

— Nie trzeba — uciął Damian. — Może pan te pieniądze zatrzymać.

— Jak to zatrzymać? — nie zrozumiał Narzynski.

— Odda pan dług w innej formie. — Przez piękną twarz „upadłego anioła” przebiegł dziwny uśmiech. — Potrzebujemy informacji... różnych informacji... Pan bywa w świecie, obraca się w dobrym towarzystwie...

Bardzo nam się przydadzą pańskie znajomości.

— Nam? Moje znajomości? — Narzynski dopiero teraz zdał sobie spra-



wę

14 Talerz z Napoleonem

209

z tego, co kryła ta na pozór niewinna i dobroduszna propozycja. — Czy... chce pan, abym został donosicielem? — zapytał błędą.

— Po co to brzydkie słowo? Wśród ludzi z naszej sfery... A zresztą czy-ny pańskie nie zawsze były zgodne z tak zwaną moralnością.

— Nie rozumiem.

— Wystarczy, by pan wyteżył nieco pamięć.

— W takim razie... — Narzymski otworzył portfel.

— O nie — powstrzymał go gestem i lodowatym wzrokiem Dobrocki.

— Już za późno. Mam pański podpis na rewersie.

— Oddam panu pieniądze, a pan mnie rewers — oświadczył gość. — To prosta transakcja.

— O nie — powtórzył Dobrocki. — Transakcja wcale nie jest taka prosta. Została dokonana, warunki omówione, pański podpis złożony.

— Ale ja nie wyraziłem zgody na te warunki — usiłował protestować Narzymski.

— Od tego wyroku nie ma odwołania. — Dobrocki wypowiedział to w formie niby żartu, ale w jego głosie dźwięczała groźba.

Wacław Narzymski oddał dług karciany przed północą i z determinacją w duszy oraz z garścią pożyczonego złota zasiadł przy zielonym stoliku.

Szczęście mu dopisało jak nigdy. Nie tylko oddał sumę, która pozwoliła mu wziąć karty do ręki, ale prawie podwoił to, co był winien Damianowi.

Świtało, gdy odsunął krzesło i wstał. W sali było szaro od dymu z cygar.

Zmęczone twarze graczy, ich zaczerwienione powieki i wymięte kołnierzyki frakowych koszul świadczyły o pracowicie spędzonej nocy.

Narzymski wrócił do domu i w ubraniu rzucił się na łóżko. Po paru godzinach gorączkowych majaczeń, które nie były krzepiącym snem i nie przyniosły wytchnienia, udał się do mieszkania Dobrockiego.

— Oto dług — położył na stole sto tysięcy. — Proszę o zwrot mojego rewersu.

— Może pan zabrać te pieniądze — burknął Dobrocki. — Powiedziałem, że

zawarta transakcja obowiązuje.

— Ale ja nie zawierałem z panem żadnej transakcji — krzyknął Narzymski. — Nie potrzebuję pańskich pieniędzy. Jeżeli żąda pan procentu, to

chętnie...

— Młody człowieku — przerwał wyniośle Damian. — Wczoraj byłem panu potrzebny. Nie ja do pana, ale pan przyszedł do mnie. Rewersu nie oddam, a pieniądze...

— Może pan nie oddawać — upór gospodarza wyprowadził Narzymskiego

210

z równowagi. — A pieniądze i tak zostawiam. Wierzę, że pan zniszczy rewers, a gdyby pan zapomniał...

— Niczego nie zapominam. — Spojrzenie przezroczyстых oczu przejmowało dreszczem. — Pamięć służy mi jeszcze znakomicie.

Na tym się rozstali — opowiadał Ryszard. Ale nie był to koniec. Dobroćki nie zniszczył rewersu, nad Narzymskim zawisła groźba nowego szantażu.

— Przecież Narzymski zwrócił mu pieniądze — zauważyła Róża. — Czegóż więc Damian chciał? Czy miał nadzieję zmusić go do posłuszeństwa?

- Oczywiście. Narzymski nie byłby pierwszym ani ostatnim, którego Damian nagiął do swojej woli. Pieniądzy, jak widzisz, nie brakowało mu, dostawał, ile chciał, a właściwie ile potrzebował, kupował bowiem ludzi. Obok cara miał teraz drugiego mocodawcę, księcia Bismarcka. W czasie wojny oddał Prusom nieocenione usługi.

— I co Narzymski? — dopytywała się Róża.

— Nic. Cóż mógł zrobić? Póki Damian milczał, nie miał powodu do niepokoju, choć wiedział, że nad jego głową zawisło groźne niebezpieczeństwo. Dopiero jak Damian zażądał współpracy...

— - Więc jednak zażądał.

— Naturalnie, to przecież było celem całej tej intrygi. Wówczas Narzymski został zmuszony do działania.

— Co więc postanowił?

— Spotkali się na dziedzińcu Tuileriów w biały dzień. Ludzie zazwyczaj omijają te ruiny, siedlisko przestępców w mniemaniu większości. Było to idealne miejsce na załatwienie takiej właśnie sprawy. Damian zagroził publicznym wyjawieniem „nieuczciwej postawy Narzymskiego — jak się wyraził — który odmawia spłacenia udzielonej mu pożyczki i wręcz zaprzecza, jakoby ją otrzymał”. Dowodem miał być rewers z podpisem dłużnika. Damian postawił ultimatum: albo Narzymski ugnie się i spełni,

czego od niego zażądają, albo odpowiednie oświadczenie wraz z rewersem ukaże się w paryskiej prasie.

— Łotr! - - wybuchnęła Róża. — Zaczynam współczuć Narzymskiemu. — Stryj Meli poprosił o zwłokę, powiedział, że potrzebuje dwóch dni do namysłu. Gdy po tym terminie przyszedł na to samo miejsce, Damiana nie zastał. Czekał godzinę, potem wszedł w ruiny tam właśnie, gdzie był niegdyś gabinet cesarza.

— Tam znalazłam pudełeczko — przypomniała Róża.

— Tak, pamiętam. Narzymski zauważył, że coś palono w kominku, były też obok ślady krwi. Tak się przestraszył, że uciekł.

211

— Boże, a co to było?

— Tam przypuszczalnie zginął Damian Dobrocki, bo od tego czasu nikt go więcej nie widział. Zabił go ktoś, kto równie jak Narzymski był jego ofiarą. Nazajutrz stryj Meli znowu wybrał się do ruin. Żadnych oznak zbrodni już nie było. Ślady krwi zmyto, palenisko przysypano gruzem. Gdyby wówczas uważniej szukał, znalazłby swój rewers. Widać pudełeczko wypadło z kieszeni Damiana podczas walki czy szamotania się i nie zauważone leżało w kominku. Dopiero ty...

— Powiedziałeś mi o tym?

- Tak i oddałem rewers. Mówił, że cały czas lękał się, że ktoś zrobi z niego użytek.

- Biedny - - westchnęła Róża. — A jednocześnie taki podły.

— Podły, bo słaby — dodał Ryszard — a przede wszystkim zdeprawowany. Był od lat pod wpływem Fabiana. Po śmierci brata musiał pozbyć się z domu jego żony, tego żądał lokaj. Umieszczając ją w klinice doktora Lariviere'a, właściwie uratował jej życie. Prosił lekarza, by nie traktował bratowej jak pacjentki, „dom zdrowia” miał być jedynie jej chwilowym schronieniem. Doktor Lariviere zgodził się na wszystko, jak wiadomo, za dobrą zapłatę gotów był udzielać nie tylko schronienia.

- A Mela? Jak mógł zostawić ją na cmentarzu i nie zainteresować się, co się z dzieckiem stało?

- Mela — jak mi powiedział — była na pogrzebie pod opieką pokojówki. Żadna serdeczność nie łączyła go z bratanicą, w ogóle ledwie ją zauważał. Wiele osób brało udział w żałobnej ceremonii, wszyscy podchodzili do niego z kon-dolencjami, trudno mu było uważać na dziewczynkę. Pokojówka nie dopilnowała małej, która wymknęła się niepostrzeżenie i

musiała zabłądzić wśród grobów. Zniknięcie bratanicy Narzymiski przypisał Fabianowi. W domu zrobił mu nawet straszną scenę. Lokaj z trudem przekonał pana, że tym razem nie był winien. Cieszył się jednak po cichu, zniknięcie dziewczynki chwilowo odpowiadało jego planom.

— Wiesz co, Ryszardzie — powiedziała wtedy Róża — zagłębienie w głąb podobnej duszy przyprawia mnie o dreszcz zgrozy.

Ryszard bez słowa pokiwał głową. Wówczas to Anto pomyślał, że szwagier zna o wiele więcej tajemnic, wiążących pana i lokaja wspólnym łańcuchem występku.

Dalej Fabian działał już samodzielnie. Tragiczny wypadek u Czerwonych 212

Skał był wyłącznie jego pomysłem. Tak samo, jak zamach na Ryszarda. Odtąd lokaj coraz więcej żądał i coraz pewniej wydawał rozkazy, ciągle przy tym potrzebował pieniędzy.

— Wiecie, jakie wyznaczenie Narzymskiego zrobiło na mnie największe wrażenie? — Ryszard oparł czoło na splecionych dłoniach i zamilkł.

— Jakie? — przynagliła Róża.

— Było to podczas jednej z moich ostatnich u niego wizyt na bulwarze Mon-parnasse. Czuję się już bardzo źle, gorączka nie opuszczała go, a jednocześnie dygotał z zimna. Lekarz rokował słabe nadzieje na utrzymanie go przy życiu. Wiedział o tym i bał się śmierci, choć często rozmawiał o niej z księdzem Hłuśniewiczem. Otóż owego dnia, gdy przyszedłem, powiedział mi tak:

— Chcę panu wyznać, co stało się punktem zwrotnym w moim życiu. — A gdy patrzyłem na niego pytająco, wyjaśnił: — Pewna przypadkowa wizyta w Malmaison. Wracalem od Fabiana, szedłem pieszo na stację kolei żelaznej. Było tak pięknie, cicho i pusto, a we mnie szalała burza. Usiadłem na ławce w różanym ogrodzie cesarzowej Józefiny i nagle sam nie wiem, co się ze mną stało. Zapłakałem. Ta pierwsza w moim życiu łza była czymś niepojętym, to wzruszenie nie pasowało do człowieka, jakim byłem. Ale nie zawsze byłem taki. Kiedyś... Tak, kiedyś brat i ja... gdy żyli nasi rodzice... Kto mógł wiedzieć, że ja... potwór wyzbyty ludzkich uczuć, szatan, który podeptał wszystko to, co w człowieku dobre i piękne... Pierwszy raz zdałem sobie sprawę... Pierwszy raz zastanowiłem się nad tym, co zrobiłem ze swoim życiem. Moim życiem... Takim, jakie sobie ułożyłem. Ja sam. Bo przecież mój brat... Rozumie pan, prawda?

— Rozumiem — skinął głową Ryszard.

— Gdy przyjechałem wówczas do Paryża, byłem już innym człowiekiem.

Od pogrzebu stryja Mela snuła się po domu cicha i zamyślona. Raz, gdy Zelia siedziała akurat z szyciem na kolanach, dziewczyna wyjęła jej z palców igłę, siadła obok i przytuliła się do służącej.

— Z najbliższych mam tylko wuja Ryszarda — oznajmiła. Ale ze wszystkich najbardziej Kocham Różę. Wy teraz jesteście moją jedyną rodziną. Dzięki Warn nie czuję się sierotą.

— Zawsze byłeś naszym najdroższym dzieckiem — mruknęła Zelia, odkładając szycie. — Dziś, gdy mogę być o ciebie zupełnie spokojna, mam już tylko jedno zmartwienie.

213

— Zmartwienie? — Mela odsunęła się od ramienia Zelii i popatrzyła w surową twarz służącej. — Jakie zmartwienie?

— Anto — burknęła Zelia chwiejąc głową.

— Anto? A dlaczego miałabyś się nim martwić?

— Bardzo się nim martwię. — Zelia westchnęła głośno. — Czy nie widzisz, co się z nim dzieje?

— O czym ty mówisz, Zelio?

— Mówię o Antosiu. On nie jest szczęśliwy.

— Co ty wygadujesz? Tak nam tu dobrze razem. W tym domu wszyscy muszą być szczęśliwi.

— Znam go od urodzenia — powiedziała Zelia poważnie. — I boli mnie, że on...

— Doprawdy, nie rozumiem...

— Dobrze rozumiesz — przerwała Zelia twardo. — Ale w tych sprawach niczego nie można nakazać. Wszystko musi wypływać z wolnej woli. A jeżeli ty nie masz tej woli...

— Nie wiem, Zelio, o czym ty mówisz. — Mela wstała. — Anto traktuje mnie jak siostrę. Znamy się przecież od dziecka i zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

— A... czy ty chcesz mieć w nim brata?

— To zależy od niego, kim chciałby dla mnie być. A w ogóle widzę, że jesteś przeciwko mnie.

— Głupstwa gadasz. Ja przeciwko tobie? W głowie ci się pomieszało. — Lekko drżącymi rękami Zelia składała białe płótno. — Nie mam czasu siedzieć bezczynnie. Idę przygotować Stasiowi podwieczorek.

Do kolacji Mela nie mogła sobie znaleźć miejsca. Niedawny pogrzeb stryja i wizyta na cmentarzu ciągle przywodziły na pamięć straszne wspomnienia. Straciła wszystkich, jest ostatnią osobą noszącą nazwisko Narzymskich.

Nie wiedziała, czym się zająć, nie interesowała jej ani książka, ani haft. Posiedziała trochę z Różą, chwilę pobawiła się z małym Stasiem. Kot nie odstępował dziecka, widać przyjął na siebie obowiązki opiekuna. Wypełniał je zresztą niezwykle sumiennie, wodząc zielonymi oczami za każdym, kto zbliżał się do małego.

— Pilnuje Stasia — powtarzała Zelia z zadowoleniem, kładąc do kocięj miseczki drobno pokrajane mięso.

Anto wrócił późno i od razu poszedł do „pokoju Dziadusia”, który obecnie zajmował. Ryszard był u rotmistrza Brackiego.

214

Na bulwarze Montparnasse zbierała się teraz grupka Polaków. Prowadzono długie rozmowy, pisano listy, wysyłano jakieś pieniądze i paczki, przyjmowano ludzi, którym należało wyszukać mieszkanie i pracę.

— Zawołaj Anta na kolację — powiedziała Róża, stawiając na stole dwie pastelowe róże w kryształowym wazonie. — Już późno, najwyższy czas, żebyśmy jedli.

Mela powoli szła na górę zastanawiając się, co Anto robi sam w swoim pokoju.

Zapukała lekko i nie czekając odpowiedzi nacisnęła klamkę.

Anto stał w otwartym oknie, a usłyszawszy skrzyp drzwi, odwrócił się gwałtownie.

— Chodź na kolację — powiedziała Mela, rozglądając się po pokoju.

Stały tu jakże znajome sprzęty, sypialnia Dziadusia była żywcem przeniesiona z ulicy Świętego Rocha. Nad sekretarzykiem wisiał talerz z Napoleonem, pod nim miniatury z czasów Dziadusiowej młodości.

Pamiętała wszystko. Każda książka na półce, drobiazgi na stoliku to byli dobrzy starzy przyjaciele z dawnych lat.

Anto wyglądał, jak gdyby przerwano mu jakieś bardzo ważne zajęcie.

— Co tu robisz sam? — spytała przysiadając na poręczu fotela. — Dlaczego do nas nie zszedłeś?

— Pisałem listy — nie patrząc na nią wskazał sekretarzyk z opuszczonym blatem i otwartą teczkę do korespondencji.

— Chodź prędko — przynagliła. — Róża jest bardzo głodna — dodała

ze śmiechem. — Wuj Ryszard tylko co wrócił.

Schodził za nią po schodach, nie mogąc oderwać oczu od kształtnej głowy, opasanej lśniąca koroną warkocza.

— Siadajcie — niecierpliwiła się Róża. — Wszystko tak prędko stygnie.

— Zelio, możesz podawać — zawołała w stronę kuchni.

Kolacja minęła w nastroju raczej niewesołym, co nieczęsto zdarzało się w domu państwa Żeranów.

Ryszard wspomniał o wizycie na bulwarze Montparnasse i o ważnej depresji otrzymanej z kraju. Róża poświęciła parę słów zmarłym, których groby odwiedziła na cmentarzu. Anto jadł niewiele, a na niespokojne za pytanie siostry odparł krótko: „Nie mam apetytu”. Mela nie podnosiła oczu znad talerza, choć czuła na sobie wzrok siedzącego naprzeciw chłopca.

Wszyscy z ulgą wstali od stołu.

— Wybaczysz, Różyczko — Anto pocałował siostrę — pójdę już na górę.

215

Róża pospieszyła za wychodzącym.

— Jutro musimy być u notariusza — mówił Ryszard, gdy został sam z Melą. — Jest pewna klauzula w testamencie twojego ojca...

Róża dopadła brata przed drzwiami jego pokoju.

— Przepraszam, Anto — powiedziała zdyszana, — ale tak dziwnie wyglądasz...

Anto stał na środku pokoju, wodząc wzrokiem po Dziadusiowych meblach.

— To jest gdzieś tu — wyciągnął rękę — gdzieś tu kryje się tajemnica. Jak

odnaleźć? Powiedz...

— Nie wiem. — Różę przeraziła gwałtowność jego gestu. — Chyba nic się tu nie kryje. Dziaduś by uprzedził.

— Widać stracił nadzieję na odzyskanie pieniędzy — Anto uderzył w blat sekretarzyka. — Może jest tu jeszcze jaka skrytka?

— Wszystko przecież przeszukaliśmy — odpowiedziała z westchnieniem. — Żadna szufladka nie ma podwójnego dna, jest tylko ta jedna skrytka, którą wam pokazałam.

— Dziaduś musiał ci coś wspominać.

— O banku i o pieniądzach nic nigdy nie mówił — w głosie jej dźwię-

czał  
smutek.

— Rózo, przypomnij sobie — błagał. — Ja byłem wówczas smarkaczem, ale ty...

-> Naprawdę nic takiego nie mówił.

— Mnie by tego nie powiedział — upierał się Anto. — Ale tobie...

— Mnie też nie powiedział. — Róża zniechęcona usiadła w Dziadusiowym fotelu. — Nie traćmy jednak nadziei — podjęła po chwili. — Zdarzają się różne rzeczy, i Bóg da... Proszę cię, nie dręcz się tym nadaremnie.

— O niczym innym nie mogę myśleć — szepnęła z bólem.

— Och, Anto. — Wstała i podeszła do brata. — Zawsze pamiętaj, jak bardzo cię kocham. — Przytuliła się do niego. — Pójdę już.

Gdy wyszła, znowu stanął w otwartym oknie i zapatrzył się w usiane gwiazdami niebo.

— Czy stryj mój zostawił jakieś długi? — posłyszała na dole głos Meli.

— Owszem — odpowiedział spokojnie Ryszard. — Wierzyście zlecieli się jak sępy, nie wiem nawet, skąd dowiedzieli się o śmierci dłużnika.

Wszystko przecież przeprowadziliśmy z największą dyskrecją.

— I co, wuju Ryszardzie? — dopytywała się Mela. — Skąd wziąć na to pieniądze?

216

— Już wszystko załatwiłem — uspokoił ją Ryszard. — W mieszkaniu Fabiana znalazłem blisko pół miliona. Pieniądze te pochodzą z szantażu, ponadto lokaj wyłudzał od swojego pana wielkie sumy jako zapłatę za nieczne usługi. A ponieważ nie zostawił żadnej rodziny, uznałem za słuszne, by użyć tych kilkuset tysięcy franków na pokrycie długów twojego stryja..

— Wuj Ryszard zdjął mi kamień z serca — zawołała Mela do wchodzącej Róży. — I wiesz, jutro idziemy do notariusza, tam będą dla mnie jakieś pieniądze... od tatusia — dodała ciszej.

Wkrótce potem Anto wyjechał do Anglii.

— Stara Europa umarła wraz z klęską Napoleona pod Waterloo — rotmistrz Bracki pogładził siwą teraz zupełnie bródkę i spojrzął po siedzących dookoła stołu rodakach.

— Racja — pokiwał głową pan Manczewski, który porzucił cynamonowe ubrania, zmieniając ich kokieterijny nieco kolor na bardziej stosowną



do jego wieku szarość. — Powiedziałbym ściślej, że pod Waterloo umarła Europa naznaczona odwieczną francusko-angielską rywalizacją.

— Słusznie pan to ujął — odezwał się młody jeszcze jegomość, którego Anto widział tu po raz pierwszy. — Waterloo zmieniło całkowicie układ sił w Europie. Na szczęście, wkrótce udało się Francji wziąć odwet za tę bezprzykładną klęskę.

— Myśli pan o roku trzydziestym drugim? — spytał wnuk rotmistrza, od niedawna osiadły na stałe w Paryżu.

— Tak, o trzydziestym drugim. Pamiętajmy, że Waterloo było nie tyle klęską Napoleona, ile klęską Francji.

— Otóż to, klęską Francji — przytaknął najstarszy z grona. — Ale i Anglia dobrze wykrwawiła się w tej bitwie. Było to dla niej nieledwie pirrusowe zwycięstwo. Armia Wellingtona została prawie starta na proch. Jedynie Prusacy mieli dość siły, by rozgromić cesarskie niedobitki. Dla Wellingtona Francja przestawała być wrogiem. To Napoleon zagrażał Anglii. Z jego upadkiem zniknęło niebezpieczeństwo. I zauważcie, panowie, nazajutrz po bitwie Wellington spieszy co tchu do Paryża, by uchronić stolicę Francji przed niszczycielską brutalnością Prusaków.

— Jak dziwnie potoczyła się dziś nasza rozmowa — ksiądz w wyszarzałej sutannie, którego Anto pamiętał z czasów wojny, zanurzył palce w drewnianej tabakierce. — Wyszliśmy z chwili obecnej, a droga zawiodła nas wstecz, do samego sedna spraw. Oto dwaj odwieczni wrogowie, których krwawe konflikty rozdzierały do niedawna Europę, zostali sojusznikami, na nowego zaś przeciw-

218

nika Francji wysunęły się Niemcy. I mamy już nową rywalizację i nowe konflikty. A co z tego jeszcze wyniknie? Bogu jednemu wiadomo.

— Wynikła kapitulacja, pięć miliardów kontrybucji oraz utrata Alzacji i Lotaryngii — mruknął chudy młodzieniec z ostrzyżoną, widać po tyfusie, głową.

— Jakże inaczej ułożyły się nasze losy! — westchnął pan Manczewski.

— Wojska koalicji tylko przez pięć lat okupowały Francję, nie dopuszczono do żadnych rozbiorów. A my? Co z nami zrobiono?

— Zapomina pan o francuskiej granicy na północy kraju.

— - Pamiętam, a jakże. Wówczas to obalono tam wszelkie umocnienia i fortyfikacje. Ale cóż to znaczy? Świeżo utworzone Królestwo Niderlan-

dów stanęło na straży, dom Orański i tak wyszedł na tym najlepiej. Holendrzy położyli łapę na belgijskich prowincjach, na Księstwie Luksemburg, rozciągnęli się aż po lewy brzeg Renu.

- A przecież były to ziemie, które od tysiąca lat stanowiły jak gdyby naturalną granicę Francji — chudy młodzieniec ponownie włączył się do rozmowy.

— Chyba pierwszy raz w historii wszystkie partie polityczne połączyły się w zgodnym działaniu — zaśmiał się pan Manczewski. — Francuzi nie wyrzekli się tego, co uważali od wieków za swoje terytorium.

— O tak — zgodził się rotmistrz Bracki. — Monarchiści, bonapartyści, republikanie podali sobie ręce, odkładając na potem wszelkie swary i animozje.

— Rewolucja lipcowa dała hasło i uciemiężone ludy upomniały się o należne im prawa. - Młodzieniec z ostrzyżoną głową zapalał się coraz bardziej. — Tak samo jak my powstałi także Belgowie, walcząc o wyzwolenie narodowe. To Francja pomogła im oderwać się od Holandii i uzyskać niepodległość.

— Nie poszło to tak łatwo — zauważył pan Manczewski. — Holandia nie miała zamiaru wyrzec się części Belgii. Popierały ją Rosja, Austria i Prusy. Wówczas to Francja po raz pierwszy sprzymierzyła się z Anglią i stanęła w obronie Belgów.

— Holendrom nakazano ewakuację Antwerpii — pokiwał głową rotmistrz. - Omal wówczas nie doszło do nowej wojny w Europie.

- Pamiętam — westchnął ksiądz. — Akurat tu przyjechałem. Na murach Antwerpii niejedyn połamał sobie zęby. A Francuzom udało się i zdobyli nie zdobytą dotąd twierdzę. Oblężenie cytadeli i zmuszenie holenderskiej załogi do kapitulacji to dzieło marszałka Soult'a, szefa sztabu Napoleona pod Waterloo. Pierwsze wielkie zwycięstwo Francji po druzgocącej klęsce.

219

— Ksiądz tak mówi, jakby to widział — zauważył nieśmiało Anto.

— Byłem tam i widziałem — odparł krótko ksiądz i czym prędzej zajrzał do tabakierki.

— Wróćmy jednak do początku naszej rozmowy — zaproponował pan domu. — Sytuacja Francji...

— Jakakolwiek by była ta sytuacja — przerwał gwałtownie pan Mancze-

w-ski — Francuzi powinni Bogu dziękować. Rewolucja dała im prawa godne człowieka, Napoleon ukrócił zwyrodniałe ekscesy rewolucji, uporządkował finanse, uratował kraj od głodu i samozniszczenia. Z jego upadku Francja też wyszła obronną ręką. Można powiedzieć, że naród ten, strącany z jakiegokolwiek piedestału historii, zawsze potrafi spaść na cztery łapy i nigdy nie skręci sobie karku. Nie to, co my.

— A ta ostatnia wojna? — zamruczał ostrzyżony.

— Ostatnia wojna, ostatnia wojna! — pan Manczewski zamachał rękami. — Po takiej klęsce inni długie lata lizaliby rany, a Francuzi co?

Otrząsnęli się, jak pies wychodzący z wody, i wrócili do dawnego dobrego życia. Jakby nigdy nic, cesarstwo zastąpili republiką i tyle. I gdyby nie ruiny Tuileriów, w Paryżu nie dojrzałbyś śladów klęski, wojny czy oblężenia. Gdy na to patrzę i dowiaduję się, co się dzieje w kraju... — zamilkł i wielką białą chustką otarł spoconą nagle twarz.

— Co tu mówić? — wzruszył ramionami ksiądz. — Są wolni i rządzą się, jak chcą. Przed Prusakami jedynie Anglicy deptali francuską ziemię, ale to było bardzo dawno temu. Francja jest zbyt wielką potęgą, by ot, tak sobie, po jednej tylko klęsce miała zniknąć z mapy Europy. Nic jej nie zmogło, ani wojna stuletnia, ani dzuma, która niegdyś spustoszyła cały niemal kontynent. I dobrze. Bo we Francji cała nasza nadzieja. Gdzież byśmy się podzieli, gdyby nje Francja?

— Słusznie, słusznie — kiwali głowami zebrani. — Dokąd byśmy poszli i co by z nami było?

— Ameryka — burknął ostrzyżony młodzieniec. — Oto, co by nam pozostało.

— Co pan? — oburzył się ksiądz. — Tak oddalić się od Ojczyzny, to skazać się na zerwanie wszelkich z nią więzów. Nie, nie, to niemożliwe.

— Niemożliwe — przytaknął rotmistrz Bracki. — Przyszłym pokoleniom groziłoby już całkowite wynarodowienie.

Rozmawiano jeszcze o sprawach polskich i o negatywnych stronach emigracji, po czym goście powoli podnosili się z krzesel. W westybulu, po pożegnaniu, pan domu przekazywał ich w ręce starego służącego.

220

— Zostań — szepnęła w pewnej chwili, mijając Anta.

Znowu, jak przed rokiem, było lato. Lekki powiew poruszał białe firanki, w wysokich oknach salonu paliły się gorące ognie zachodu.

— Cieszę się, chłopcze, że przyszedłeś — rotmistrz Bracki starannie za-

mknął za sobą drzwi do westybulu. - Słyszałem, że dyplom masz już w kieszeni, no i nominację. Szczerze ci gratuluję.

— Dziękuję panu. Pozostaje mi jedynie sprawdzić w praktyce nabyte wiadomości. Tak, nominację już dostałem i wkrótce wyjeżdżam.

- Daleko?

— Daleko. W Pireneje.

— Aż w Pireneje!

- Tak. Buduje się tam most nad górską rzeczką, a właściwie nad przepaścią. Zasięgano nawet rady pana Lessepsa, chodzi bowiem o zniwelowanie części przyległego terenu, by jak najlepiej połączyć oba brzegi. Nada się temu kształt starożytnego akweduktu.

— - Będzie to zapewne ciężka praca. Biedna pani Róża długo cię nie zobaczy.

— Niestety, nie będę mógł wpadać do domu na niedziele, jak to było dotąd możliwe — uśmiechnął się Anto. — Róża już z góry zamartwia się, jak gdybym wyruszał co najmniej na antypody.

— Nie dziwię się jej — pokiwał głową rotmistrz. — No cóż, wypada mi więc tylko życzyć ci szczęścia.

— Dziękuję, panie rotmistrzu, za wszystko dziękuję.

— Aha, a cóż tam Ludwik Napoleon?

— Podróżuje po Skandynawii.

— Po Skandynawii?

- Tak, księżę przyjął zaproszenie króla Oskara i wyruszył do Szwecji. Po drodze zatrzymał się w Kopenhadze, zwiedził zabytki, muzea, królewskie rezydencje.

— Pisuje do ciebie?

— Co parę dni. Mam szczegółowe relacje z tej podróży. Rzeczywiście, co parę dni przychodził dowcipny liścik z zabawnymi rysunkami, jako komentarz do opisywanych wrażeń. Lu zachwycał się wszystkim. Były to doprawdy niezapomniane wakacje, może najpiękniejsze w jego życiu.

W tej podróży towarzyszyli księciu hrabia Murat i sekretarz nieżyjącego cesarza, wypróbowany przyjaciel pan Pietri.

Lu był w doskonałym nastroju, od dawna nie przeżywał tak beztroskich dni,

221

tym bardziej że ich pogody nie zaćmiewała żadna chmurka. Cesarzowa

Eugenia na ten czas otworzyła synowi nieograniczony kredyt, można więc było — nie oglądając się na wydatki — godnie reprezentować Francję oraz dynastię Bonapartych.

Z Kopenhagi podróżni udali się prosto do Sztokholmu, a król Oskar i następca tronu ułożyli bardzo atrakcyjny program pobytu francuskiego gościa, pokazując mu nie znane dotąd uroki Północy. Księżę zwiedził również Norwegię, podziwiał fiordy, doznając wszędzie niezwykle serdecznego przyjęcia od zimnych przecież mieszkańców tych dalekich ziem. Liściki od Lu były dla Anta ogromną pociechą. Sprawa talerza bowiem i Dziadusiowych pieniędzy pozostawała dotąd nie wyjaśniona.

Dyskretne śledztwo, jakie londyński bankier przeprowadził wśród paryskich kolegów, nie dało żadnego rezultatu. Wielkie banki nic nie słyszały o talerzu, oświadczyły wręcz, że nigdy nie przyjęłyby depozytu złożonego pod tak dziwacznym warunkiem. Mniejsze domy bankowe, równie godne zaufania, jak te wielkie stare firmy, sprawdzwszy wkłady od 1820 roku, nie znalazły śladu ani wzmianki o talerzach, stwierdzając jednocześnie, że takiego talerza u siebie nie posiadają.

— Trudno — powiedziała Róża, gdy Anto odczytał list księcia. — Widocznie tak było sądzone. Nie myślmymy o tym więcej, pieniądze Dziadusia są dla nas stracone.

— Wcale nie są stracone! — krzyknęła Mela. — Tak nie może być! One przecież gdzieś są, ktoś je ma i z nich korzysta. Jakiś złodziej.

— Mało to złodziei na świecie? — mruknęła Zelia, która właśnie weszła do saloniku, żeby zabrać Stasia.

Dla Anta był to cios godzący w jego szczęście, tym bardziej że okruchy fortuny, uratowane dzięki klauzulom ojcowskiego testamentu, zapewniły Meli dostatek, a nawet więcej niż dostatek.

— Notariusz doskonale rozrządził tymi pieniędzmi — opowiadał Ryszard. — Część ulokował w akcjach kolei żelaznej, a to bardzo korzystna lokata i można z czasem podwoić kapitał. Reszta jest złożona w banku. Przeprowadziliśmy już postępowanie spadkowe i gdy Mela skończy dwadzieścia jeden lat, będzie mogła dysponować swoim majątkiem. — Spojrzał z uśmiechem na zarumienioną dziewczynę. — Do tego jednak czasu potrzebna ci jest moja zgoda, stryj, jak wiesz, przed śmiercią mnie usta-

nowił twoim  
prawnym opiekunem.

- Rób, wuju Ryszardzie, co chcesz z moimi pieniędzmi — powiedziała  
222

Mela obojętnie — ja pragnę tylko jednego: wyremontować dom w alei  
Cesarzowej. Na nic innego nie potrzebuję grosza.

— Obawiam się, że po odnowieniu domu niewiele ci zostanie — zauwa-  
żył Ryszard. — Pałacyk jest bardzo zniszczony i jego renowacja pochło-  
nie krocie.

— Niech pochłonie — zawołała Mela z determinacją. — Chcę, żeby był  
znowu żywy, jak dawniej, i żebyśmy wszyscy tam mieszkali. Wszyscy —  
powtórzyła z naciskiem. — Proszę cię, wuju Ryszardzie, nie odmawiaj  
mi.

— Nie odmawiam, choć powinienem. Ale uprzedzam, że utopisz w tym  
domu prawie wszystko, co posiadasz.

— To utopię! — Twarz Meli miała zacięty wyraz. — Ale dom odżyje.  
Wiem, że tatuś i mamusia będą szczęśliwi i może czasem przyjdą tam do  
mnie. — Głos jej zdrzął.

— Przykro uchodzić w oczach notariusza za wariata — westchnął Ry-  
szard. — Pan Talbot dziwi się, że pozwalam na taką rozrzutność.

— O, to jeszcze nie wszystko. — Mela potrząsnęła głową. — Gdy dom  
będzie gotów, kupimy konie i powóz. Jest przecież stajnia. Po co ma stać  
pusta? Będziemy też mieli własnego stangeta.

— Melu, Melu — mitygowała dziewczynę Róża. — Czy nie za bardzo  
wybiegasz w przyszłość?

— Muszę wybiegać w przyszłość — oświadczyła poważnie Mela.

— Przeszłość jest zbyt straszna, żeby do niej powracać choćby wspo-  
mnieniem. A terażniejszość... — zawiesiła głos.

— Cóż tam z tą terażniejszością? — zainteresował się Ryszard.

— Nie wiem — szepnęła zasłaniając chusteczką spłonioną nagle twarz.

— Doprawdy nie wiem...

Tego dnia niewiele osób zwiedzało Wersal. Ranek był pochmurny i, jak  
oznajmiła Zelia wyjrząwszy oknem, „pachniało deszczem”. Mimo tej nie-  
zbyt zachęcającej do wycieczki pogody Anto poprosił Melę, by pojechała  
z nim do Wersalu. Nazajutrz opuszczał Paryż i zależało mu na spędzeniu  
paru godzin sam na sam z dziewczyną.

— Weź parasolkę od deszczu — poradziła Róża — a ty, Anto, uważaj,

żeby Mela nie przeziębła się.

223

— Jest zupełnie ciepło — zaprotestował chłopiec. — W razie deszczu skryjemy się w którymś z pawilonów.

Nad parkiem wisiały chmury. Na niebie nie było ani skrawka błękitu. Woda w basenach i sadzawkach wydawała się czarna i matowa, powietrze utraciło chyba właściwą mu lekkość i przejrzystość. Nawet drzewa stały sztywne, sztuczne jakieś i martwe. Jakże inaczej było tu, gdy świeciło słońce! To ono ożywiało park, błyskając raz światłem, raz cieniem, sączyło się przez listowie, oplatało pnie, słało długie, jasne smugi w aleje, a wzrok biegł za nimi aż hen, po skraj horyzontu. Wszystko wówczas było w ruchu, powietrze nawet drgało śmiechem, a woda skrzyła się, jak gdyby tuż pod powierzchnią pływały diamenty.

Teraz było tu ciemno i smutno, a basen Latony, który właśnie mijali, przywiódł na pamięć opuszczony staw pełen stojącej wody.

— Nie poznaję dziś Wersalu — wzdrygnęła się Mela. — Doprawdy, po co tu

przyjechaliśmy?

— Przyjechaliśmy, gdyż chciałem być z tobą sam. — Anto patrzył prosto

przed siebie. — Nie pamiętasz? Jutro wyjeżdżam.

— Nie będziesz chyba wiecznie sterczał w tych obrzydłych górach. — Mela uderzała końcem parasolki o kamienne obramienie trawnika. — W okolicy Paryża też można coś budować.

— Z pewnością można. Mnie jednak posyłają w Pireneje. I na to nie ma rady.

— Gdybyś chciał...

— Co, gdybym chciał?

— Jak mogłeś zgodzić się na podobne warunki?

— A cóż miałem do powiedzenia? Muszę wykonywać rozkazy, nic więcej.

Zapominasz, że jestem w wojsku.

— Inni też są w wojsku, ale nie muszą skazywać się na wygnanie gdzieś na koniec świata. Nawet nie pamiętam, jak się nazywa ta miejscowość.

— Peyrehorade.

— Peyrehorade! Cóż za barbarzyńska nazwa!

- Nie widzę w niej nic barbarzyńskiego.
- Ty, naturalnie, nic nie widzisz. I może rad jesteś z wyjazdu?
- Owszem, jestem rad. Nareszcie zacznę pracować i stanę na własnych nogach. Jestem za stary, by pozostawać dłużej na utrzymaniu Ryszarda.
- I w tym... Peyrehorade będziesz budował jakiś most?
- Tak.
- I przez cały rok nie przyjedziesz do domu?
- Chyba nie. Przyjadę dopiero latem, gdy dostanę urlop.

224

- Piękna perspektywa. A jeżeli zechcesz przyjechać wcześniej?
  - Słuchaj, Melu, widzę, że nie masz absolutnie pojęcia, co to jest wojsko. Słade'a, Bigge'a i Woodhouse'a widywałeś w galowych mundurach i białych rękawiczkach, gdy obtańcowywali panny w Chislehurst lub bywali tam jako goście Lu. Na co dzień wszystko wygląda zupełnie inaczej. Służba w wojsku jest ciężka, wymaga poświęcenia, wyrzeczenia się własnej woli. Ale jest zaszczytna. Żołnierz musi zapomnieć o sobie, ślepo wykonywać rozkazy. Podobnie jak zakonnik.
  - I ty zamierzasz tak całe życie...?
  - Całe życie. Taka jest droga przede mną. Widzę, że tobie to nie odpowiada.
  - Wcale mi nie odpowiada.
  - Szkoda. Łączyłem z tą drogą wielkie nadzieje.
  - Jakie nadzieje?
  - Niezależności. Mówię o materialnej niezależności.
  - I cóż miała ci dać owa niezależność?
  - Owa, jak mówisz, niezależność miała mi pozwolić stanąć przed dziewczyną, którą kocham, i poprosić ją, by zechciała pójść tą drogą razem ze mną. Ale skoro tobie to nie odpowiada...
  - A co ja tu mam do powiedzenia?
  - Czemu tak mówisz? Czy nie widzisz, że mnie to boli?
  - Nienawidzę wojska! — krzyknęła Mela. — Nienawidzę Pirenejów! Nienawidzę tego... tego Peyrehorade! — wstrząsana szlochom zaczęła biec przed siebie.
- Jacyś starsi państwo, widać cudzoziemcy, przystanęli i oddzieleni całą szerokością alei spojrzeli na Anta z naganą, gotowi do interwencji w obronie płaczącej dziewczyny.
- Dogonił ją pod posągami Cerery.



— Melu — usiłował spojrzeć pod rondo kapelusza, ale uparcie odwracała twarz. — Melu, czy naprawdę...?

— Nie wiem, jak z tobą — powiedziała Mela nagle uspokojona. — Nie wiem, ilu pannom złamałeś serce, ale dla mnie nie było nigdy nikogo innego prócz ciebie.

Kamienna Cerera wyciągała nad nimi ręce z pękami ziół i kłosów, pochylała wdzięcznym ruchem głowę w stronę uśmiechniętej dziewczyny, choć na jej policzkach nie zdążyły jeszcze obeschnąć niedawne łzy.

15 — Talerz z Napoleonem

225

— Co ci jest, Ludwiku? — cesarzowa Eugenia przerwała układanie ulubionego pasjansa i nie wypuszczając kart z ręki spojrzała niespokojnie na syna.

— Jego Wysokość nie może dziś znaleźć sobie miejsca — pani Lebreton posłała księciu uśmiech pełen pobłażania dla wybryków młodości.

Gdybym ci powiedział, mamó — zaśmiał się Lu — przez całą noc nie zmrzująłabyś oka.

Pani Lebreton wstała i złożony rewerans wycofała się dyskretnie z salonu. Podejrzewała, że matka i syn mają sobie do powiedzenia rzeczy tylko ich obchodzące.

— Czy myślisz, że potrafię zasnąć po tym, co mi powiedziałeś? — cesarzowa Eugenia wrzuciła karty do pudełka. — Będę sobie wyobrażała nie wiadomo co, po twojej minie wszystkiego mogę się spodziewać, nawet tego, że zechcesz wziąć udział w wyprawie przeciw Zulusom.

Po tych gwałtownie wyrzuconych słowach w salonie zapadła cisza. Serce Eugonii prawie przestało bić.

— Zgadłaś. — Księżę nie ukrywał zdumienia. — Ale jak się domyśliłaś, mamó?

Nie była zdelna do odpowiedzi, nie była zdolna do najmniejszego ruchu czy gestu. Siedziała w fotelu sztywno wyprostowana, czując, że uchodzi z niej życie.

—! Mamó — przestraszył się. — Tak dziwnie wyglądasz... Czemu się przejmujesz? Przecież nie mogę wiecznie tkwić pod twoim skrzydłem w Camden Place.

— Nie możesz... — powtórzyła głucho.

— Zrozum, mamę, duszę się, tu nie ma dla mnie żadnej przyszłości, a ja mam zadanie do spełnienia. Najwyższy czas, żebym wyruszył na podbój Francji, bo Francja czeka na mnie, odda się dobrowolnie tylko żołnierzowi, i to zwycięskiemu żołnierzowi. A ja muszę zdobyć Francję!

— Francja, zawsze Francja. A co ze mną? — Twarz jej nagle się postarzała. — I ty, Bonaparte, chcesz ukryć Napoleona pod angielskim mundurem? Ty, syn bohatera spod Magenty i Solferino?

— Mamę, droga mamę — księżę przypadł do jej kolan. — Odłóżmy tę rozmowę do jutra, proszę cię. Jutro rano powiem ci wszystko, oboje przedstawimy nasze argumenty. Jestem pewien, że uznasz moje racje za słuszne.

— Nigdy! — podniosła głowę. Oczy jej płonęły. — Nigdy! — powtórzyła ze zwykłą energią. — Nie puszczę cię, nie pozwolę ci wyjechać z Anglii. Co na to powiedziała Francja?

226

Francja czeka, żebym wreszcie wydorósł — odparł porywczo — żebym wreszcie przestał być „małym księciem”.

— Gdyby stało się jakieś nieszczęście, nikt cię nie będzie żałował, słyszysz? Nikt. Przeciwnie, wszyscy obrócą się przeciwko tobie, oskarżą cię... Pomyśl tylko!

— Nie mógłbym dłużej tak żyć. — Szybkim krokiem przemierzył salon.

— Umarłbym z nudów i z bezczynności, podobnie jak mój kuzyn Reichstadt.

Tej nocy nawet się nie położyła. Wsłuchana w ciszę i we własne serce przebiegła pamięcią całe życie. Zegar na kościelnej wieży wydzwaniał kolejne godziny, zdając się odmierzać czas pozostawiony jej do wypełnienia.

Więc przestał się już z nią liczyć. Jej zdanie nie miało już dla niego żadnego znaczenia. Nie potrzebował jej rady, wiedział, co miał czynić. Lulu, jej Lulu. Pierwszy raz sam, bez pytania, podjął tak ważną decyzję. Postawił ją przed faktem dokonanym, jak gdyby ten straszny zamiar dotyczył wyłącznie jego osoby, nikogo więcej. A przecież on nie należy do siebie, nie ma prawa narażać życia dla obcej zupełnie sprawy. Cóż z tego, że Anglia udziela im schronienia, że tu, na tej ziemi, znaleźli dom. Anglia ma tysiące młodych ludzi, których obowiązkiem jest walczyć pod jej sztandarami. Ale on, Ludwik Napoleon? Co jemu do tego, że jacyś bied-

ni, uciemienzeni Murzyni wymordowali angielski garnizon gdzieś hen w Afryce? To wyłącznie sprawa Anglików, oni sami potrafią ją załatwić. Jej synowi nie wolno dobywać szpady za obce mu ideały.

Niestety, znała go zbyt dobrze, znała jego upór, był przecież do niej podobny nie tylko z rysów twarzy. Wiedziała, że nic nie odwiedzie go od szaleńczego zamysłu.

Boże, Boże, co zrobić? Jak nie dopuścić do kroku, który może okazać się nieodwracalny? On, taki młody, a więc nieświadomy niebezpieczeństw, na jakie się narazi, nieświadomy czyhających na niego wrogich sił.

Czym go wzruszyć? Jak uprosić, ubłagać, by nie zabijał jej tym postanowieniem?

Wiedziała, że wszystko będzie daremne, daremne jej łzy i jej rozpacz.

Nic go nie unie, nie skruszy jego woli, skoro raz postanowił.

227

Spotkali się na śniadaniu, oboje zmęczeni nocną walką z najdroższym przeciwnikiem.

Wobec domowników nie poruszyli tematu, który palił im wargi. Dopiero gdy wstawszy od stołu cesarzowa Eugenia przeszła do długiej galerii, książę pospieszył za matką i przypuścił szturm.

— Dopóki choć jeden oficer z mojej baterii pozostawał w Anglii — spojrzał jej błagalnie w oczy — mogłem siedzieć spokojnie w domu. Ale skoro wszyscy oprócz mnie wyruszyli do Afryki, honor nie pozwala mi wahać się dłużej. Inaczej nie śmiałbym pokazać się w Aldershot.

— Rozumujesz jak angielski oficer — przerwała. — A Francja? Pomyśl o Francji.

— Przecież wiesz, że z myślą o Francji podjąłem tę decyzję. Chcę, żeby w ojczyźnie poznano, kim jestem. Moje imię to jedynie symbol, nie dla wszystkich czytelny, a ja sam — istota nieznana. Oprócz niewielkiego grona przyjaciół dla przeciętnego Francuza jestem cieniem wywołanym z historii. Przywódcy naszego stronnictwa traktują mnie jak dziecko, nikt mnie nie słucha, nie wolno mi mieć własnego zdania. Gdy ułożę przemówienie czy proklamację, stary Rouher przerabia mój tekst na swoje kopyto, nie pytając mnie nawet o zgodę. Jestem dla nich kukłą, którą obracają na wszystkie strony według ich widzimisię.

— Jesteś niesprawiedliwy — zaprotestowała. — Zapominasz o niebezpieczeństwie, na jakie się narazisz.

— Mężczyzna nie może stronić od niebezpieczeństw — rzucił z pasją.

— Mamo, przypomnij sobie ojca. On też musiał podbić Francję, a zanim to uczynił, życie jego było jednym pasmem niebezpieczeństw i ryzykownych posunięć.

Nie mogła nie przyznać racji jego rozumowaniu. Czyż sama nie powiedziała kiedyś, że w jego żyłach płynie krew Napoleona zmieszana z krwią Don Kichota? Na jego miejscu może i ona postąpiłaby tak samo, zresztą nie wszystko jeszcze było stracone. Uprosi królową Wiktorię, by nie pozwolono mu popłynąć do Afryki.

Lu jednak i tu poczynił już pewne kroki. Owszem, lord Cambridge, minister wojny, do którego skierował odpowiednie pismo, odmówił jego prośbie. Książę, nie zrażony, użył wówczas wpływów swoich dawnych zwierzchników z Woolwich oraz autorytetu księcia Walii. I lord Cambridge musiał ustąpić.

Tymczasem wezwani przez cesarzową Eugenię stawili się w Chislehurst pan Rouher, generał Fleury, Tristan Lambert i ruszyli do ataku. Książę pozostał

228

gluchy na ich perswazje, mimo że stary Rouher nie zawahał się uklęknąć przed młodym człowiekiem, a jego pobrużdżona twarz i wyblakłe oczy błagały o litość.

Ludwika Conneau i Anta książę zawiadomił osobiście o swoim zamiarze, a cesarzowa Eugenia w rozpaczliwym liście do Róży zaklinała na wszystkie świętości, by brat wpłynął na jej syna i odwiódł go od szaleńczej decyzji.

List przyjaciela zastał Anta w Orthez, niewielkim miasteczku niezbyt odległym od Peyrehorade. Delegowano tam młodego podporucznika, by poczynił pewne pomiary nad średniowiecznym mostem, którego kamienny łuk ze strażniczą wieżą pośrodku wtapiał się malowniczo w górski krajobraz, wyrastając jak gdyby z okolicznych skał, upodobniony do nich barwą i konsystencją granitu.

Choć był jeszcze luty i na szczytach białął śnieg, powietrze pachniało już zapowiedzią wiosny. Choć mroźny podmuch raz po raz przelatował górskim wąwozem, przycupnięte w skalnych szczelinach krzewy wyciągały do słońca kruche gałązki w oczekiwaniu na odnowę życia.

Anto zabrał ze sobą list księcia i odczytał go, siedząc na powalonym głazie, otoczony pustką i ciszą. I nagle na tle mostowego filaru zobaczył Lu tak wyraźnie, jak gdyby przyjaciel stał rzeczywiście oparty o kamienny

pilaster. Anto wpatrzył się w zjawę wywołaną jego wyobraźnią i z przerażeniem ujrzał, że księżę broczy krwią, a w jego piersi tkwi długi dziuryt. Widzenie było tak realne, czerwona krew zdawała się spływać na zalegające podnóże -filaru kamyki, że Anto zerwał się drżący i oblany potem. — Nie! — krzyknął wyciągając ręce. — Nie! Nie! — I opadły z sił, kompletnie wyczerpany, runął na kamienistą ziemię czując, że dzieje się z nim coś straszego, podobnie jak w owym dniu, gdy obchodzono pełnoletniość księcia.

Nie wiedział, jak długo leżał. Gdy ocknął się, był jak gdyby pusty wewnątrz, zupełnie jak ciało pozbawione duszy. Wstał z trudem i z trudem zawlókł się do swojej kwatery.

— Konia! — rzucił żołnierzowi, który z ciekawością przyglądał się panu porucznikowi. — Prędzej! Co tak stoisz?

— Bo pan porucznik... zaczął żołnierz.

— Osiodłaj konia! — krzyknął ostatnim wysiłkiem dobywając głosu.

Nie wiedział, jak dotarł do Peyrehorade, chyba koń sam dostawił jeźdźca na

miejsce. Na szczęście kapitan Merle był w tak zwanej kancelarii.

— Panie kapitanie — usiłował sprężyć się służbiście. — Proszę o urlop. 229

- O urlop? — zdziwił się kapitan. — Co się stało?

- Otrzymałem wiadomość — dotknął kieszeni, gdzie spoczywał fatalny list. - Sprawa najwyższej dla mnie wagi.

— Sprawa najwyższej wagi — powtórzył kapitan Merle, zagorzały zwolennik żelaznej dyscypliny. — I cóż to za sprawa? — nie spuszczał oczu z bladej twarzy młodego człowieka.

- Osobista... — Anto oddychał z trudem. — Proszę, panie kapitanie, bardzo proszę. Jeżeli pan mi odmówi, jestem gotów na wszystko. Nawet... na dezercję! - wyrzucił w nagłym porywie rozpacz.

— Na dezercję? — Kapitan Merle podniósł się z krzesła. — Poruczniku Ordega, co się panu stało?

— Nie wiem. Ale stanie się coś straszego, jeśli natychmiast nie wyjadę. Kapitan Merle przyjrzał się uważnie swojemu podwładnemu. Chwilę milczał.

— - Z uwagi na pańską dotychczasową służbę bez zarzutu — powiedział wreszcie z namaszczeniem — z uwagi na sumienność w wykonywaniu obowiązków — zawiesił głos — udzielam panu dwutygodniowego

urlopu.

Nie pamiętał, jak dojechał do Bordeaux. Nie czuł ani głodu, ani zmęczenia. W Bordeaux wsiadł do paryskiego pociągu.

Gdy zjawił się w domu, Zelia, która mu otworzyła, ujrawszy jego wymiersoną twarz i nieprzytomne oczy, przeżegnała się głośno.

— Nieszczęście — wydyszał w odpowiedzi na jej przerażone spojrzenie.

—

Nieszczęście!

— Jakie nieszczęście? — Róża wbiegła do westybulu i na widok brata zatrzymała się jak wryta. — Anto? O czym ty mówisz? Anto?

- Lu — zdołał tylko wykrztusić. — Nieszczęście! — Co z Lu? — chwyciła brata za ramiona. — Mów!

— Widziałem go we krwi... tak samo jak wówczas w Chislehurst... Cały we krwi... On nie może tam jechać, nie może, to śmierć!

— Nie może — powtórzyła z lękiem. — Otrzymałam właśnie list od cesarzowej Eugenii. Rozpaczliwy list. Prosi, abyś na niego wpłynął.

— Zaraz jadę.

— Chodź, umyj się, odpocznij chwilę. Zelia już podaje śniadanie.

— Mam tu świeżą koszulę — wskazał torbę podróżną. — Może Zelia trochę oczyści mundur. Muszę zdążyć na pociąg do Calais.

— Wyjaśnij mi, co się właściwie dzieje w tym Zululandzie — Róża siedła przy stole naprzeciw brata, patrząc jak je, podsuwając smakołyki przygotowane przez Zelię.

230

— Wiesz chyba, że mieszkańcy południowo-wschodniej Afryki powstali przeciw Anglikom.

— Wiem. Po co Anglicy pchają się do Afryki?

— Tam jest złoto. — Anto posmarował masłem nową kromkę chleba. — A w ogóle ci Zulusi, bo o nich mowa, byli najpotężniejszym plemieniem w tej części Natalu. Stworzyli własne państwo. Podbijali sąsiednie ludy i prowadzili ciągle wojny. To niezwykle bitny naród. Napadali nie tylko na Murzynów, ale i na białych, którzy zagarnęli ich ziemie. Na holenderskich kolonistów. Wreszcie podnieśli rękę na Anglików. Niejaki Cettwayo stanął na czele rebelii. Zulusi wycięli w pień garnizon stacjonujący w Izanduli. Anglia, naturalnie, nie może tego puścić płazem. Gdy więc nadeszła do Londynu wiadomość o klęsce, rząd królowej Wiktorii postanowił wysłać tam specjalny korpus ekspedycyjny. To wszystko.

— To straszne — westchnęła.

— Tak, teraz toczy się tam krwawa wojna. Najgorsze, że Lu postanowił zaciągnąć się do ochotniczych oddziałów. Napisał mi o tym. Slade i Bigge już odpłynęli. A gdy Woodhouse przed odjazdem zjawił się w Camden Place, żeby się z nim pożegnać, Lu poczuł, że nie może zostać w Anglii, skoro koledzy z Woolwich wyruszyli do Zululandu. Powiedział mu więc, że uczyni wszystko, by i jemu pozwolono wziąć udział w ekspedycji. Ale to czyste szaleństwo! On nie ma prawa! Ja na to nie pozwolę!

— Jak zdołasz przeszkodzić, jeżeli cesarzowa Eugenia, pan Rouher, generał Fleury i inni nic nie wskórali?

— Ale ja widziałem! — wzdrygnął się. — Widziałem — powtórzył szeptem. — To śmierć.

— Mój Boże! — Róża złożyła ręce. — Żeby Lu jechał ujarzmiac nieszczęśliwych Murzynów! To wcale do niego nie pasuje. Taki szlachetny chłopiec!

— Nie dopuszczę do tego. — Anto odsunął talerz i wstał. — Na mnie czas. Obym tylko zaraz miał statek do Dovru.

— Mela będzie niepokieszona. Gdyby wiedziała, że przyjedziesz, nie poszłaby do pani Pommier. Nasza dawna sąsiadka przyszła po nią, chce jej pokazać jakieś stare koronki.

— Uściskaj ją ode mnie i pozdrów Ryszarda. Żegnaj, Różyczko.

W Calais mgła spowiła morze. W takich warunkach przeprawa przez Kanał była wielce utrudniona. Anto z ulgą pożegnał białe skały francuskiego wybrzeża, ledwie widoczne

231

w mlecznym тумanie. Syrena wyła bez przerwy. Jednak im bliżej byli Dovru, tym widoczność stawała się lepsza. W Londynie, o dziwo, świeciło słońce.

— Wiedziałem, że przyjedziesz — tymi słowami Lu przywitał przyjaciela. Twarz miał rozradowaną, oczy błyszczące. — Chodźmy do mnie.

— Słuchaj, Lu, to niemożliwe.

— Co jest niemożliwe? — Lu udawał, że nie rozumie, o co chodzi.

— Twój udział w poskramianiu buntu Zulusów.

— Mama zdążyła już zawiadomić panią Różę — uśmiechnął się z rezygnacją.

— Owszem, zawiadomiła ją, aleja nie dlatego... Ja jeszcze przedtem...

Nie

możesz tam jechać. — Był blady i oddychał ciężko.

— Anto, co tobie?

— Posłuchaj mnie choć raz, ten jeden raz. I uwierz moim słowom. Nie wolno ci tam jechać!

— Już za późno.

— Nigdy nie jest za późno na rozsądną decyzję. Nie bój się, nikt nie oskarży ciebie o tchórzostwo. Co tobie do Zulusów? Niech się Anglicy sami z nimi biją, jeśli chcą. Co tobie do tego? Pamiętasz, jak przyrzekaliśmy sobie, że dobędziemy szpady wyłącznie dla obrony Ojczyzny, dla wyzwolenia uciśnionych. A tu co? Anglicy krwawo stłumią powstanie, słusność nie leży po ich stronie. W tym konflikcie oni są agresorami. Zulusi żyją u siebie, na swojej ziemi. Lu, pomyśl o tym. Przecież i ty czujesz tak samo!

— Tak samo — Lu pochylił głowę. — Zawsze czuję tak samo. Ale w tej sytuacji nie mogę zostać. Zrozum, zgłosili się wszyscy dawni koledzy z Woolwich. Na wieść, że i ja udaję się do Zululandu, czterdziestu młodych Francuzów postanowiło popłynąć wraz ze mną, jako moja „przyboczna gwardia”. Czy to nie piękne? Ale im nie pozwolono. Nie będzie przy mnie żadnego rodaka. — Wyraz rozradowania na jego twarzy ustąpił miejsca zwykłemu smutkowi. — Będę sam. Może to i lepiej.

— Nie zgadzam się! Nie pozwalam! — krzyknął Anto. — To śmierć. Ja wiem! Śmierć!

— Jeżeli śmierć jest mi pisana... — Lu spojrział w okno ponad głową przyjaciela. — Cóż, nie uniknę jej, nawet gdybym ukrył się w skarbcu Banku

Angielskiego.

— Czy moje słowo nic dla ciebie nie znaczy?

— Wiesz dobrze, że znaczy bardzo wiele, ale w tym wypadku honor nie pozwala mi usłuchać twoich rad.

232

Dwudziestego siódmego lutego odpływał z Southampton do Natalu „Dunaj” z nowym „ładunkiem” ochotników.

W wigilię tego dnia książę zaprosił Anta do swojego gabinetu.

— Zanim przyjdzie Ludwik Conneau — spojrział prosto w oczy przyjacielowi — pragnąłbym prosić cię o pewną przysługę.

Anto ledwie trzymał się na nogach. Całą noc nękały go koszmarnie wizje,



rozpacz ścisła gardło, rozsadzała, zdawałoby się, serce. I był bezsilny. Wola Lu oparła się wszelkim jego perswazjom.

— Ja zrobię wszystko, co zechcesz — powiedział z goryczą. — To ty odmawiasz mi tej jednej rzeczy.

— Wybacz, Anto, wybacz, bracie. Nie chowaj do mnie urazy. Tak być musi. Widocznie to moje przeznaczenie. Posłuchaj, proszę, i obiecaj, że spełnisz moją prośbę. Widzisz... jest w moim życiu ktoś, o kim nikt nie wie... To Charlotta... Charlotta Watkyns... Ona nie wie, kim jestem. W razie czego... Będzie mi lżej odejść, jeżeli mi obiecasz, że podasz jej rękę, gdy... Nasz poczciwy Dumont da ci adres... Uczynisz to dla mnie? Gabinet zawirował w oczach Anta.

— Lu... — jęknął. — Lu!

— Idź już. Mam jeszcze wiele do zrobienia. Zobaczymy się jutro rano. Anto wyszedł, chwytając się ścian, żeby nie upaść.

Potem w galerii zebrała się cała służba Camden Place.

— Chciałem wam wszystkim serdecznie podziękować — zaczął ksiązę, spoglądając kolejno po obróconych ku niemu twarzach, które tak dobrze znał. — Wybieram się w długą i niebezpieczną podróż. Pozwólcie, że każdemu z was uścisknę rękę na pożegnanie.

Ludzie płakali, a on był pogodny jak nigdy.

Czekała go teraz pracowita noc. Spędził ją przy biurku na porządkowaniu papierów.

Oto listy od najbliższych przyjaciół, wśród nich błękitne koperty od Anta, te ostatnie z Peyrehorade. Ksiązę bierze drobno zapisany arkusik, jeden z pierwszych, jakie otrzymał z Pirenejów.

„...objeżdżam okolice. Co to za cudowne miejscowości, zagubione w górach, pełne skarbów, o których nikt nawet nie słyszał! Takie na przykład miasteczko Orthez... gotycki kościół i most z zamierzchłych czasów, jakiego dziś nie powstydziliby się najlepszy inżynier... Największa niespodzianka oczekiwała

233

mnie w Luz Saint-Sauveur. Jest tam wspaniały most zawieszony łukiem sześćdziesiąt pięć metrów nad płynącą w głębokim wąwozie rzeką Gave. Na filarze u wejścia na most wryto napis: »Ich Cesarskim Mościom Napoleonowi Trzeciemu i Cesarzowej Eugenii — wdzięczni mieszkańcy Luz Saint-Sauveur«. Na szczycie kolumny rozpina skrzydła orzeł cesarski, a most nazywa się mostem Napoleona. Wzniesiono go jedenaście lat

temu. Wyobraź sobie moje wzruszenie, gdy to przeczytałem..."

O tak, doskonale sobie wyobrażał, bo i jego wzruszyło to spotkanie z przeszłością. Jedenaście lat temu, a więc w tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym roku... Boże, jaki był wówczas szczęśliwy.

Listy znikły w szufladzie sekretery. Książę wyjął czysty arkusz papieru i napisał u góry: „Mój testament”.

Rano padał śnieg. O wpół do ósmej Lu spotkał się z przyjaciółmi w kościele w Chislehurst na mszy, którą ksiądz Goddard odprawił specjalnie w intencji odjeżdżającego. Po spowiedzi wszyscy przystąpili do komunii. Ksiądz Goddard spoglądał z trwogą na pogodną twarz księcia. Dręczył go niepokój.

Cesarzowa Eugenia jak zwykle nie okazała słabości, tylko serce jej łomotało bólem i rozpaczą. Bezgłośnie powtarzała sobie: „Odjeżdża, zostawia mnie, wychodzi spod mojego wpływu i opieki. I już nigdy nie będzie tak, jak dawniej. Nigdy!”

Wraz z przyjaciółmi księcia odprowadzała syna do Southampton. Gdy Lu wstąpił na pokład „Dunaju”, na główny maszt, oprócz angielskiej flagi, wciągnięto sztandar trójkolorowy. Był to zaszczyt, który spotykał wyłącznie koronowane głowy. Książę docenił gest angielskiego rządu, jakim wygnańca zegnała gościnna Wyspa.

Oparta o drewnianą balustradę mola, cesarzowa Eugenia nie spuszczała oczu ze szczupłej postaci syna. Czerwień munduru odcinała się barwną plamą od szarzyzny zimowego dnia.

Książę stał na pokładzie, przywarł wzrokiem do twarzy matki. Jakże była smutna! A jaka dzielna! Wiedział, z jakim trudem powstrzymywała łzy. Ale jak zawsze potrafiła zdobyć się na bohaterstwo. Żałował, że sprawa jej ból, ale decyzji swojej nie żałował. Czuł się wolny, nareszcie wolny i szczęśliwy. A matka... Ma silny charakter, był pewien, że przezwycięży przygnębienie i będzie czekała w tymże samym porcie, by go powitać zwyciężcą.

234

Cesarzowa Eugenia wróciła do Camden Place tak przybita, że domownicy złękli się o jej zdrowie. Od razu poszła do pokojów syna. Dotykała książek, które ostatnio czytał, przedstawiała drobiazgi na biurku i na komodzie, otworzyła szafy, przeglądała ubrania i bieliznę. Wyjęła następnie francuskie mundury, które zamówił w oczekiwaniu na swój „powrót z Elby”, obejrzała skromne, złotem haftowane dystynkcje porucznika na

błękitnym suknie. W pozostawionej w sypialni książce do nabożeństwa znalazła kartkę z modlitwą wypisaną jego ręką.

„Błagam Cię, Boże, spraw, żeby nie było dla mnie szczęścia na tej ziemi. Nie chcę go. Racz usunąć je z mojej drogi”.

Co to znaczy? Przestraszona, wpatrywała się w tak dobrze znane pismo, wyrażające tak zaskakującą prośbę. Jak to? Dlaczego uciekał od szczęścia? Czego się bał? Człowiek tak młody, a już tak zgorzkniały? Nie, to nie gorycz, to tęsknota serca. Ale za czym tęskniło serce Ludwika Napoleona? Więc aż tak mało go znała? Tak mu było z nią źle, że wolał oddzielić się od niej szerokością oceanów?

Długo siedziała w fotelu przy łóżku, spoglądając w okno. Na czuby topoli wstrząsane wichurą. Długo obracała w palcach kartkę z modlitwą godną pustelnika czy anachorety, który dobrowolnie wyrzekł się uciech tego świata.

Nazajutrz przyjęła Anta i Ludwika Conneau. Przyjaciele Lu przybyli pożegnać się i złożyć jej uszanowanie.

— Jesteś bardzo mizerny, Anto — zauważyła z cieniem dawnego uśmiechu. — Uściskaj ode mnie moją najdroższą Różę. Wiele bym dała, by mieć ją tu blisko.

W pociągu zdążającym do Dovru chłopcy prawie z sobą nie rozmawiali. Dopiero gdy wsiedli na statek, Ludwik Conneau popatrzył z troską na przyjaciela.

— Rzeczywiście, Anto, bardzo źle wyglądasz. Nie wolno tak się przejmować. Przecież Anglicy będą nad nim czuwać, nie pozwolą mu wystawić się na niebezpieczeństwo. Jest ich gościem.

— Ich gościem — powtórzył Anto z goryczą. — Jak mogli zgodzić się? Nie mieli prawa pozwolić! — Trząśł się w bezsilnej pasji. — Mówiłem mu, prosiłem, nie słuchał mnie nawet.

— Lu wiezie list od ministra wojny do lorda Chelmsforda, głównodowodzącego siłami angielskimi w Natalu. Lu ma być przydzielony do jego sztabu.

235

Podobno minister napisał tam, polecając księcia uwadze lorda Chelmsforda: „Obawiam się jedynie, by nie okazał się zbyt odważny”.

— Wiesz, o czym myślę? — Anto zdawał się nie słyszeć słów przyjaciela, wpatrzony w ciemne wody Atlantyku. — Lu płynie do Przylądka Dobrej Nadziei, niegdyś holenderskiej kolonii. Jego dziadek, Ludwik Bona-

parte, był wówczas królem Holandii. To Anglicy odebrali Holendrom te ziemie. A oto wnuk króla Ludwika w angielskim mundurze spieszy, by ogniem i mieczem poskromić bunt i skłonić do posłuszeństwa wobec Anglii tych Zulusów, którzy przez jakiś czas byli pod władzą jego przodka. Czy to nie dziwne?

— Wręcz zastanawiające! — wykrzyknął Conneau. — Skąd ci to przyszło do głowy?

Stojąc na moło w Southampton, zanim „Dunaj” podniósł kotwicę, słyszałem, jak rozmawiali o tym jacyś Anglicy i jeden z nich tak zakończył: „Such is fate” — taki jest los.

— Taki jest los — powtórzył Ludwik Conneau szeptem. — Mój Boże! Po co Lu to zrobił? Po co?

— Dawno tu nie byłam. — Róża powiodła spojrzeniem po wąskich fasadach starych kamienic, pamiętających zamierzchnie chyba czasy. Cudem jakimś ocalały spod niszczycielskiego kilofa barona Haussmanna — ów prefekt Paryża kazał burzyć najstarszą zabudowę średniowiecznego jeszcze miasta.

— Jesteśmy w sercu stolicy, a tak tu cicho i spokojnie, jak w prowincjonalnym miasteczku — zauważył Ryszard. — Choćby ten plac przed kościołem.

— Bywaliśmy tu niegdyś z Dziadusiem — westchnęła. — Różne ciekawe rzeczy opowiadał o tej dzielnicy.

— To dzielnica rzemieślników, nasz mistrz Odilon też ma tu warsztat.

— Popatrz na nazwy ulic, o, na przykład ta: ulica Szklarzy — odczytała głośno. — A tabliczka na tamtym rogu, widzisz? Ulica Lombardów. Dziadus mówił, że to byli włoscy bankierzy, z Lombardii, którzy tu mieli niegdyś swoje kantory. Pamiętam także, że jest tu gdzieś ulica Nożowników. — Straszna nazwa! — zaśmiał się Ryszard.

— O, to właśnie ta za kościołem, ale nie bój się, nikt nas tu nie zarżnie. Dawniej nazywano tak rzemieślników wyrabiających noże.

236

— Szukajmy domu mistrza Odilona — przypomniał. — Po to tu przyszliśmy.

— Nie tylko po to — uśmiechnęła się. — Dla mnie to cudowna wycieczka w przeszłość. Zaraz znajdziemy twojego mistrza Odilona. Wiem, gdzie to jest. Ten mały zaułek. Spójrz, jaki malowniczy.

— Pasaż Ślusarzy — odczytał Ryszard. — Tak, to tu. Pójdę teraz do warsztatu, a ty zostań chwilę. Obejrzę klamki i powiem, że jutro czekam na niego w alei Cesarzowej. Trzeba tam dokończyć roboty. — Ryszard zagłębił się w ciemną i wąską gardziel pasażu, który w blasku wiosennego słońca utracił wszelką tajemniczość.

Róża została sama ze wspomnieniem dawnych spacerów i Dziadusiowych opowieści. Poszła w stronę kościoła Świętego Merri, jak ówcześni mieszkańcy tej dzielnicy zdrobnili imię patrona, świętego Mederyka. Późny płomienisty gotyk strzelał w niebo świątą wieżą, w malowanych szklach witraży kolorową tęczę odbijało się słońce. Wspomniała obraz w jednym z bocznych ołtarzy, Dziaduś kazał im podziwiać to dzieło, święty Merri uwalniał na nim więźniów, był bowiem patronem jeńców i niewolników, proszono go o wstawiennictwo w oswobodzeniu uwięzionych. Ryszard zabił nieco dłużej, niż przypuszczała, ale nie żałowała tej chwili samotności. Zdawało jej się, że słyszy głos Zmarłego, gdy mówił: „Jak ja ciebie zostawię? Nie mamy nikogo”. A oto nie była już sama, Dziaduś od dawna nie potrzebował się o nią martwić. I nic by jej nie brakowało do szczęścia, gdyby nie Anto. Od wyjazdu Lu Anto nie miał chwili spokoju. W listach dzielił się z siostrą całym swoim udręczeniem. I po co? Przecież Anglicy dobrze dbają o bezpieczeństwo księcia, Anto nie może tak się przejmować i żyć pod ciągłym wrażeniem złudnej wizji. W tej chwili z pasażu wyłoniła się wysoka postać Ryszarda. Zanim pójdą do domu, Róża chce jeszcze trochę podeptać te stare bruki i odświeżyć wspomnienia.

— Bardzo ładne stylowe klamki mistrz Odilon dorobił do tych drzwi na pierwszym piętrze. — Ryszard wziął Różę pod ramię. — Wracajmy.

— Poczekaj chwilę. Pójdźmy jeszcze ulicą Lombardów w tamtą stronę, na róg ulicy Quincampoix. To właśnie tam słynny Law założył swój bank. W ciągu paru dni wyrosły tu milionowe fortuny. Dziaduś mówił... Zamilkła nagle.

Na rogu, zwrócony frontem w ulicę Quincampoix, odbijał od starych tynków, pokrytych patyną szarości, dom nowego stylu, choć również jak 237

sąsiednie poszarzały. Wydawało się nawet, że czas z większą zajadłością pastwił się nad tym budynkiem za jego względną nowość.

— Co się stało? — Ryszard pochylił się nad żoną. — Źle się czujesz?

— To tu — głos miała zdławiony. — To tu, słyszysz, Ryszardzie? Już

wiem. Przypomniałam sobie. Wszystko sobie przypominałam.

— Co sobie przypominałaś? — Ryszard był wyraźnie zaniepokojony.

— Wszystko. Ten bank... Bank, gdzie Dziaduś i Zygmunt Żeran złożyli pieniądze... To tu.

— Ale to nie jest bank. Na domu nie ma tabliczki ani szyldu.

— To nic. Wiem, że to tu. Chodźmy.

— Zaczekaj. Z pewnością mylisz się. To zwykły dom mieszkalny.

— Może. Ale tu był bank.

— Skąd ta pewność?

— Dziaduś mówił — aż drżała z niecierpliwości. — Chodźmy prędzej, proszę cię, Ryszardzie.

— Rózo' — powstrzymał ją łagodnie. — Co mówił Dziaduś?

— Opowiadał o systemie Lawa i o krachu finansowym, który spowodował.

O ażyotażu i różnych giełdowych spekulacjach. Właśnie przechodziliśmy wówczas obok tego domu. Dziaduś zatrzymał się i powiedział: „Parudniowi milionerzy za czasów Lawa tracili wszystko w ciągu jednej minuty. Tak samo

I ja. Law zrujnował wielu Francuzów. Ja też nie mam nic. Wszystko tu poszło z dymem”. I wskazał ten dom. Myślałam, że mówi o Ojczyźnie, o Powstaniu, a on jeszcze dodał: „Ta ulica jest przeklęta”. Zapytaj Anta, on też to musi pamiętać. Chodź, wejdźmy do tego domu, porozmawiajmy z dozorczy-  
nią.

Akurat do drzwi zbliżył się listonosz. Stojąc na chodniku poczekali, aż zostawi konsjerżce pocztę dla lokatorów, po czym i oni weszli do sieni.

— Kogo państwo szukają? — Dozorczydni wychyliła się z okna łoży.

Była młoda i ładna. Przed nią leżały listy, które miała roznieść po mieszkaniach.

— Chcemy się dowiedzieć — zaczęła Róża i urwała. Coś ją dławiło w gardle.

— Czy w tym domu był kiedyś bank — dokończył Ryszard.

— Ten dom zbudowano na miejscu, gdzie był bank — wyjaśniła dozorczydni. — Już dawno temu. „Edmund Mourier i syn”, tak nazywał się ten bank, ale spłonął.

— Spłonął?

X

— Tak. Był wielki pożar. Właściwie tam chyba wybuchła bomba, bo wszystko wyleciało w powietrze i spaliło się. Cały budynek.

— Nie wie pani, kiedy to się stało? — dopytywał się Ryszard.

— Za rewolucji lipcowej, w tysiąc osiemset trzydziestym roku — odpowiedziała trzęsąc głową. — Wszędzie tu wzniesiono barykady. Ludzie bili się. Wielu zginęło. Gdy w banku wybuchła bomba, w całej ulicy powpadały szyby z okien. Wiem o tym od moich rodziców, mnie nie było jeszcze na świecie — zaśmiała się kokieteryjnie. — Moi rodzice wszystko to widzieli na własne oczy. Ojciec był dozorcą w banku. Cudem uniknęli śmierci.

— A... bankier, pan Mourier?

— Został zrujnowany. Wkrótce potem zmarł. Mówiono, że ze zgrozoty. To był bardzo uczciwy człowiek. Nie mógł przeżyć tego nieszczęścia. Przepadły wszystkie pieniądze, jakie ludzie złożyli w banku. Dla jego klientów to była ruina.

— Rzeczywiście, straszne nieszczęście.

— O tak. I wie pan — zwróciła do Ryszarda posmutniałą nagle twarz — tylko jedną rzecz ojciec mój wygrzebał z pogorzeliśka. Chcą państwo zobaczyć?

— Prosimy — przytaknęła skwapliwie Róża.

— Niech państwo wejdą — otworzyła szeroko drzwi do schludnej kuchni. W rogu stał stół i dwa krzesła. Nad nim wisiał talerz. Talerz z Napoleonem.

— Trzeci talerz — szepnęła Róża przejęta zabobonnym nieledwie lękiem.

— Trzeci talerz — potwierdził Ryszard. — Pani pozwoli? — zdjął talerz ze ściany. — Spójrz, znać jeszcze na nim skutki pożaru, ma osmalone brzegi i w dwóch miejscach jest sklefony. Ale to ten sam.

— Ten sam — powtórzyła bezgłośnie.

— Znają państwo ten talerz? — zainteresowała się dozorczyńni.

— Tak. Mamy dwa identyczne. Były tylko trzy.

— Chcielibyśmy odkupić od pani tę pamiątkę — wyznała nieśmiało Róża.

— Słusznie nazwała to pani pamiątką. — Kobieta wydawała się niezdecydowana. — Ale dlaczego tak państwu zależy?...

— Bardzo nam zależy. — Ryszard nie wypuszczał talerza z ręki. — Zaraz pani wyjaśnię. Nasi dziadowie złożyli w tym banku pewne sumy oraz ten talerz. Odebrać pieniądze można było wyłącznie za okazaniem podobnego talerza, a jak pani mówiłem, były takie trzy. Trochę to dziwaczny warunek,

240

ale byli wówczas bardzo młodzi. Pieniądzy nie odzyskali, wiemy teraz dlaczego, a ten talerz... Rozumie pani, czemu pragniemy mieć tę pamiątkę?

— Rozumiem — przytaknęła i biorąc talerz z rąk Ryszarda, wytarła go starannie fartuchem. — Proszę — podała talerz Róży. — Pieniądzy nie ma, niech więc choć talerz... Jest trochę krzywo sklejonny, popękany od ognia... Dziw, że ocalał.

— Dziw — powtórzyła Róża.

— I proszę nie myśleć źle o panu Mourierze — dodała prędko dozorczyńni. — To był naprawdę porządny człowiek. Ojciec nie miał dla niego słów. Nie jego wina, że wszystko spłonęło i ludzie potracili swe pieniądze. On też... Była przecież rewolucja.

— Co za przygoda! — Mela obracała talerz na wszystkie strony. — Rzeczywiście, jest identyczny. Że też musieliście akurat tam pójść! I że ty, Różyczko, skojarzyłaś Lawa i jego bank...

— Zrządzenie losu — oświadczyła Zelia. — Nareszcie będzie spokój. Zawsze mówiłam, że nie ma co liczyć na te pieniądze.

— Zaraz napiszę do Anta — Róża własnoręcznie zawiesiła trzeci talerz w „pokoju Dziadusia”. — Owszem, odpadło nam jedno zmartwienie — przyznała. — Niestety, nadal trapi mnie Anto.

— Zupełnie zapomniałam o liście od pana Filona — powiedziała nagle Mela. — Niepokoi się o cesarzową Eugenię, jest ona w złym nastroju. Łączyła wielkie nadzieje z upadkiem Mac-Mahona. Sądziła, że gdy wybuchną zamieszki, bonapartyści dojdą do głosu i jej syna obwołają cesarzem. Tymczasem wszystko odbyło się spokojnie i oto zamiast cesarza jest nowy prezydent, pan Grevy. „Czyżby więc — pyta cesarzowa Eugenia — republika na dobre przyjęła się we Francji?” Bardzo jest tym zalterowana, pisze pan Filon.



— Republika już nie ustąpi miejsca cesarstwu — zauważył Ryszard. — Z tym cesarzowa Eugenia musi się pogodzić.

— Napiszę do niej — obiecała Róża. — Biedna kobieta, trzeba ją podtrzymać na duchu. Oby Lu wrócił jak najprędzej!

16 — Talerz z Napoleonem

241

W niedzielę, pierwszego czerwca, nad Chislehurst rozszalała się burza, jakiej dawno nie pamiętano. Iście huraganowy wichur zrywał dachy, łamał gałęzie. Piorun trafił prosto w poraniony pień wierzb, przywiezionej niegdyś z Wyspy Świętej Heleny, w ową okaleczała połowę drzewa, które tajemnicza jakaś moc rozszczepiła w dniu śmierci Napoleona Trzeciego

\* \* \*

Wiadomość dotarła do Londynu dopiero w dwadzieścia dni później.

Przez ten czas cesarzowa Eugenia, Anto, Ludwik Conneau, Tristan Lambert oraz inni przyjaciele księcia otrzymywali z Natalu entuzjastyczne listy, pełne szkiców i zabawnych rysunków, którymi Lu ilustrował opisy miejsc, wydarzeń i osób. I nikt nie wiedział, nikt nie przypuszczał, tylko Anto czuł się coraz gorzej, coraz bardziej niespokojny o przyjaciela.

Gdy królowej Wiktorii oznajmiono tragiczną wieść, nie chciała wierzyć. Przekonała ją księżniczka Beatrycze, która we łzach z telegramem w ręku wbiegła do pokoju matki.

— Nie żyje! — zawołała. — Ludwik Napoleon nie żyje!

— Nie żyje? — powtórzyła głucho królowa Wiktoria. — Jak to nie żyje?

— I zamykając oczy osunęła się na oparcie fotela. — Mój Boże, jak ja jej to powiem? Ktoś musi natychmiast jechać do Chislehurst, uprzedzić, by nie dowiedziała się o tym z gazet.

Tej smutnej misji podjął się, na prośbę królowej, wielki szambelan dworu lord Sydney. Przyjął go bawiący wówczas w Camden Place stary książę Bassano, wypróbowany przyjaciel rodziny cesarskiej.

Był letni ranek. Eugenia ubierała się właśnie. Siedząc przed toaletą, spoglądała na swoje odbicie, ale zmarszczki czy siwiejące włosy nie zwróciły jej uwagi, nie były teraz ważne. Wszystko to zniknie, gdy wróci Ludwik. Znowu będzie młoda jak dawniej. Kulę z łabędziego puchu ujętą w rączkę ze słoniowej kości zanurza w pudełku z ryżowym pudrem i delikatnie otrzepuje nią czoło i policzki.

Jaki piękny dzień! Dawno nie czuła się tak rześka i pełna nadziei. Raptem

zapukano do drzwi. Któż mógł niepokoić ją o tak wczesnej porze?  
Twarz starego księcia Bassano była biała jak jego włosy.

— Mój syn! — krzyknęła. — Co z Ludwikiem? Chory? Ranny?

242

Księżę Bassano milczał.

— Natychmiast wyruszam do Afryki. Słyszysz pan?. Natychmiast. Księżę Bassano zakrył twarz rękami.

Zrozumiała. Wiedziała, że skończyło się wszystko.

Podłoga usunęła się jej spod nóg... Nieprzytomna upadła na ręce starego przyjaciela.

Całą dobę przeleżała jak martwa. Doktorowi Corvisartowi z trudem udało się przywrócić ją do przytomności.

— Lepiej, żeby straciła rozum — szeptała służba. — Mniej by cierpiała. Niestety, cesarzowa Eugenia nie straciła rozumu, a ból z każdą godziną stawał się wprost nie do zniesienia.

W Londynie Izba Gmin zebrała się na specjalnej sesji. W Izbie Lordów mówcy sławili odwagę i wojskowe przymioty młodego księcia. W obu Izbach wyrażono żal z powodu tej przedwczesnej śmierci. Osieroconej matce przekazano wyrazy współczucia.

Dwudziestego pierwszego czerwca, z drugiego popołudniowego wydania dziennika „Sztafeta”, Francuzi dowiedzieli się, że nie ma już „małego księcia” na tym świecie. W komentarzu dziennik dodawał, że ziemia angielska okazała się fatalna dla członków rodziny Bonapartych. Porównywano „cesarskiego księcia” z Orłątkiem dodając, że historia rozwiąże kiedyś zagadkę śmierci obu młodzieńców. Jako przyczynę zgonu księcia Reichstadt wysuwano truciznę, Ludwik Napoleon w opinii dziennika padł ofiarą zdrady.

Dopiero nazajutrz po Paryżu lokalna gazeta z Bordeaux zapoznała swoich czytelników z żalobnym ewenementem. Nim jej egzemplarz trafił do rąk Anta, młody podporucznik wiedział już, co przynosi. Właściwie spodziewał się tej wieści od dawna, od pierwszego listu Lu, opisującego przyjęcie, jakiego księżę doznał w Capetown, gdzie witano go okrzykami „Niech żyje Napoleon”, „Niech żyje Francja”, oraz w Durbanie, gdzie powitalną salwą grzmiały działa cytadeli.

Anto i Ludwik Conneau spotkali się w Paryżu u Tristana Lamberta.

— Zdążymy jeszcze na nocny pociąg do Calais — oznajmił Ludwik.

— Boję się o nim myśleć — wyznał Tristan. — Boję się myśleć o tym,

jak zginął. Myślę teraz wyłącznie o niej, o matce.

Żeranowie, poleciwszy małego Stasia opiece Zelii, a dom — Miguelowi Toreno, wraz z Melą przyłączyli się do trójki przyjaciół. Podczas przeprawy przez Kanał Róża nie odstępowała brata. Anto był wdzięczny za tę troskę, było mu lżej, gdy czuł przy sobie obecność najbliższych.

243

— Jak się to stało? Jak mogli dopuścić? — powtarzał przez zaciśnięte zęby Ludwik Conneau, patrząc na niknące w oddali francuskie wybrzeże. W Londynie dowiedzieli się wszystkiego, najdrobniejszych szczegółów okrutnej śmierci. Nic z jej potworności nie zostało księciu oszczędzone. Tristan Lambert przyniósł najświeższe gazety.

— Wolę tego nie słyszeć — Mela wysunęła przed siebie ręce, jak gdyby w obronie przed atakiem zła.

— Poczekaj, musimy znać prawdę — Anto przytrzymał jej ramię, gdy usiłowała podnieść się z kanapy. — Jeśli Anglicy są winni...

— Są winni. Nie ulega wątpliwości, że są winni — rzucił się gwałtownie Ludwik. — Nie mieli prawa wysyłać go na tak niebezpieczny rekonesans. Przecież, jak piszą gazety, dokoła obozu czuło się cały czas niewidzialną obecność Zulusów.

— Znasz jednak Lu — zaczął Tristan. — Jego odwaga...

— Nienawidzą nas — Ludwik zacisnął pięści. — Wiesz o tym równie dobrze, jak ja, że Anglicy nas nienawidzą. Od wieków, od początku historii. Nic na to nie poradzą, to widać tkwi w ich podświadomości. Taki atawizm.

—t Przecież nie wysłali go na śmierć umyślnie — zaprotestowała Róża.

— Umyślnie nie wysłali — potrząsnął głową Tristan — ale to na jedno wychodzi. „Daily Telegraph” zamieszcza relację swojego korespondenta

z Maritzburga.

— Nie chcę słyszeć — Mela zakryła sobie uszy.

— Mów — rzucił krótko Anto.

— Wyznaczono oddziałek złożony z sześciu ludzi pod dowództwem porucznika Careya z zadaniem wyszukania odpowiedniego miejsca na obóz, dziesięć mil w głąb Zululandu. Zaprzyjaźniony Murzyn służył im za przewodnika. Z tymi ludźmi wyruszył Lu.

— Dłaczego Lu? Po co? — zapytała Róża.

— Otrzymał taki rozkaz, choć miał nie brać czynnego udziału w opera-

cjach  
wojskowych.

Ryszard, który wychodził na miasto, stanął właśnie w drzwiach.

— Spotkałem znajomego — powiedział przyglądając włosy — to niejaki Montjoyeux, wysłannik dziennika „Le Gaulois”. Czytał raport Careya. Pełno tam nieścisłości i niedomówień. Z tego, co powiada, wywnioskowałem, że ten Carey, to nieodpowiedzialny tchórz.

— Z tego, co pisze „Daily Telegraph”, wynika to samo — przytaknął  
244

Tristan. — Według tej gazety oddziałek posuwał się wśród tak wysokich traw, że wróg łatwo mógł się w nich ukryć. Po południu rozłożyli się obozem w opuszczonej tubylczej wiosce. Ludzie odpoczywali, gotowali kawę. Nagle przewodnik zauważył, że trawy kołyszą się podejrzenie. W tej samej chwili padł strzał. Porucznik Carey błyskawicznie znalazł się na siodle i rzucił się do ucieczki, żołnierze poszli za jego przykładem. Lu nie zdążył pochwycić swojego wierzchowca. Konie oszalałe ze strachu puściły się galopem, za nimi pomknął koń księcia.

— Lu był wspaniałym jeźdźcem — zaprotestował Ludwik. — Mało kto mógł mu dorównać w tej sztuce. Istny cyrkowy woltyżer! W biegu wskaکیwał na konia bez żadnego trudu. Jak więc...?

— Koń był przestraszony, pędził na oślep za innymi, Lu biegł za nim. Jeden z żołnierzy, mijając księcia, krzyknął: „Prędej, Wasza Wysokość”. Lu dopadł konia, pochwycił popręg, ale rzemień pękł mu w ręku. Koń wyrwał się, a ksiączę runął na ziemię. Gdy podniósł się, był sam wobec wroga, otaczało go kilkudziesięciu Zulusów, uzbrojonych w dziryty. Zrozumiał, że nie ma dla niego ratunku. Nikt nie przyszedł mu z pomocą. Anglicy pozostawili go, a sami uciekli jak tchórze. Wyobrażacie sobie, co wówczas czuł? Wiedział przecież, że to koniec, jego koniec.

— Kiedy go znaleźli? — w głosie Róży drżały łzy.

— Nazajutrz. Dowództwo wysłało specjalny oddział na poszukiwanie ciała. Leżał w niewielkim zagłębieniu terenu, zupełnie nagi, odarty z ubrania. Pozostawiono mu tylko medalion, który nosił na szyi. Pokłuty był dzirytami, otrzymał siedemnaście ran, wszystkie z przodu, a więc walczył, nie póbował nawet ucieczki, tak zresztą później zeznali Zulusi. Dziryty okaleczyły także jego twarz, wargi były pocięte, policzek prawie wyrwany, lewe oko wylupione, prawe, szeroko otwarte, spoglądało w bezchmurne niebo.

— Dość tego, dość! — Mela zerwała się z kanapy. — Lu! Boże, Boże!  
— wybiegła z pokoju, podnosząc wysoko ręce.

Róża pospieszyła za nią.

— Mów dalej — Anto skinął na Tristana.

— Ze skrzynek po herbacie żołnierze zbili prowizoryczną trumnę — Tristan unikał wzroku przyjaciół, patrzył w okno, na pasemka angielskiej mgły, snujące się nad ulicą.— I tak przewieziono zabalsamowane zwłoki Lu do Durbanu.

— Zwłoki Lu — powtórzył ochryple Ludwik — Jak my to zniesiemy?  
— zwrócił się do przyjaciół. — Powiedzcie, jak my zniesiemy?

245

Cesarzowa Eugenia nie przyjmowała nikogo. Wyjątek uczyniła jedynie dla królowej Wiktorii. Podobnie jak po śmierci męża, tak samo i teraz, hiszpańskim zwyczajem, pozostawała zamknięta w mroku sypialni. Grube zasłony odcinały ją od czerwcowego słońca, w dwóch kandelabrach dzień i noc paliły się świece. Codziennie też odczytywała ostatnią kartkę, jaką syn nagryzmolił tuż przed wyruszeniem na fatalną wyprawę.

„Kochana Mamusiu, wyjeżdżam za parę minut, nie wiem, kiedy będę miał znowu okazję przesłać Ci parę słów. Chcę Cię tylko najserdeczniej ucałować". I to wszystko. To był jej testament Ludwika.

Otwarcie oficjalnego testamentu księcia, dwudziestego siódmego czerwca, zgromadziło w Camden Place oprócz bliskich, domowników i służby, również przyjaciół przybyłych z Francji.

Cesarzowa Eugenia, nieporuszona jak posąg, wysłuchiwała ostatniej woli syna, którą odczytał pan Pietri. Jemu to Lu, przed odjazdem, wręczył pp kryjomu grubą kopertę prosząc, by nic nie mówił o tym matce.

Ludwik, Anto i Tristan skryli się w najdalszym kącie salonu. Antosiowi wydawało się, że w głosie czytającego słyszy echo głosu przyjaciela.

„Spisany w Camden Place — Chislehurst — 26 lutego 1879 roku — zaczął pan Pietri. — To jest mój testament".

W ciszę salonu wdarło się głuche westchnienie, podobne do jęku. „Pragnę, aby moje ciało spoczęło obok ojca, zanim nasze prochy zostaną przewiezione tam, gdzie spoczywa założyciel naszego Domu, wśród narodu francuskiego, który równie jak on ukochaliśmy[...]

Mam nadzieję, że moja matka zachowa mnie w serdecznej pamięci, jak ja do końca będę myślał przy niej...

Wdzięczność wobec przyjaciół, służby, zwolenników sprawy, którą re-

prezentuję, nie opuści mnie do ostatniego tchnienia.

Również do końca zachowam wdzięczność dla Jej Królewskiej Mości Królowej Anglii i całej królewskiej rodziny oraz kraju, w którym przez osiem lat doznawałem serdecznej gościny.

Wszystko, co posiadam, zapisuję mojej matce prosząc, by spełniła moja ostatnią wolę".

Następowała długa lista osób, którym zmarły zostawiał legat czy pamiątkę.

Panu Pietri, doktorowi Corvisartowi, panu Filonowi zapisał po sto tysięcy franków, dziękując za przyjaźń, za dobroć i za oddane usługi.

246

Również po sto tysięcy franków pozostawił swoim „najstarszym i najbliższym przyjaciółom”, czyli porucznikowi Conneau, porucznikowi Ordeźde i Tristanowi Lambertowi. „Najstarsi przyjaciele” otrzymali jeszcze po szpilce do krawata z perłą i parę sztuk pięknej broni.

Nie zapomniał księżę i o panu Bachonie, dawnym koniuszym, który chciał ofiarować mu konia godnego jego pozycji. Zapisał mu dożywotnią pensję pięciu tysięcy franków.

Pani Lebreton dostała zegarek ozdobiony emalią z brylantowym monogramem księcia.

Dla pana Rouhera, księcia Bassano, księdza Goddarda, proboszcza z Chislehurst, oraz dla pana Strode'a, właściciela Camden Place, zostawiał na pamiątkę drobne kosztowności.

Broń i uniformy przekazywał generałowi Fleury. Długa była lista obdarowanych, o nikim nie zapomniał. Pragnął też, by cała służba do końca życia otrzymywała obecną pensję.

Po testamencie następował kodycył:

„Proszę, by moja matka pamiętała, że dopóki są na świecie członkowie rodziny Bonapartych, dopóty żyje sprawa cesarstwa. Obowiązki naszego Domu wobec kraju nie wygasną wraz ze mną. Po mojej śmierci przejmie je najstarszy syn księcia Napoleona, by kontynuować dzieło Napoleonów Pierwszego i Trzeciego. Mam nadzieję, że ta moja matka udzieli mi wszelkiego poparcia, dając mi w ten sposób najwyższy dowód miłości.

Napisane własnoręcznie                      Napoleon"

Pana Pietri i pana Rouhera księżę ustanawiał wykonawcami swojego testamentu.

Nikt nie przerwał ciszy, jaka zapadła po ostatnim słowie zmarłego.

Pierwsza podniosła się cesarzowa Eugenia.

— Nie mogę dłużej — powiedziała półgłosem, pochylając głowę. — Muszę zachować siły na jego powrót.

Na ten powrót szykowała się cała Anglia. Najbardziej czynni w przygotowaniach byli kadeci Królewskiej Wojskowej Akademii w Woolwich. Należało opracować najdrobniejsze szczegóły pogrzebowego ceremoniału. Drugą sprawą, jaka poruszała opinię publiczną, był tchórzowski postępek porucznika Careya.

Jego raport przedstawiony władzom wojskowym, a ogłoszony publicznie przez Ministerstwo Wojny, wywołał powszechne oburzenie. Widać było wyraźnie, że Carey pragnie zrzucić z siebie odpowiedzialność za to, co się

247

stało, przeinacza fakty, daje niejasną lub wręcz kłamliwą interpretację wypadków, wykrętnie odpowiada przed sądem.

Takie pisma, jak francuski „Globe” czy angielskie „Daily News”, pytały na przykład, jak to możliwe, aby siedmiu ludzi uciekało w takim popłochu, że żaden z nich nie obejrzał się nawet, nie zainteresował losem towarzysza? Ponadto siedmiu dobrze uzbrojonych Europejczyków mogło śmiało stawić czoło gromadzie Zulusów, uzbrojonych co prawda w straszliwą broń, jaką jest dziryt w ich rękach, lecz źle sobie radzących z karabinem. „Dziwną zaiste rolę odegrali aktorzy tej tragedii” — pisał „Globe”, przypominając ponadto, że książe miał być jedynie przydzielony do sztabu lorda Chelmsforda, tymczasem, nie wiadomo z jakiego tytułu, pozostawał w lotnej kolumnie generała Wooda, wysyłanej na najbardziej eksponowane posterunki. Wyszło przy tym na jaw, że książe już raz znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie i tylko cudem uniknął śmierci. I oto znowu szef sztabu, pułkownik Harrisson, wydaje mu rozkaz wyruszenia na rekonesans! Żebyż jeszcze przydzielono mu eskortę lub chociażby dodano specjalnego oficera do ochrony! Przecież są pod ręką tak wyborowe pułki, jak 1 Dragonów Gwardii i 17 Lansjerów. Jak wynikało ze śledztwa, porucznik Carey „przypadkowo” ofiarował swoje usługi na tę wyprawę. Jakże łatwo można było uratować księcia, jakże łatwo siedmiu uzbrojonych ludzi na rączych koniach mogło rozpedzić Zulusów i nie dopuścić do tragedii! Książe może” spodziewał się odsieczy, walczył przecież Jak lew”, czekał, że towarzysze pospieszą mu z pomocą. „We Francji — dodawał „Globe” — nie opuścilibyśmy tak nikczemnie zwy-

kłego trębacza. Żołnierz zawsze musi liczyć na braterstwo broni, taki jest kodeks wojskowy".

„Splamił honor angielskiego oficera — grzmiała londyńska prasa. — Jakże wygląda taki Carey wobec tylu żołnierzy, którzy woleli śmierć niż hańbę! Na szczęście jest on wyjątkiem. Angielscy oficerowie wszędzie dawali przykład bohaterstwa, poświęcenia i odwagi".

Sąd wojenny w Durbanie zdegradował Careya, który po powrocie do Anglii złożył apelację od tego wyroku. Wszyscy jednak, zarówno prasa, jak i opinia publiczna, byli przeciwko niemu. Dopiero cesarzowa Eugenia położyła kres tym atakom. W krótkiej notatce prosiła, by nie hańbiono dłużej munduru, który nosił jej syn. „Nie chcę, by z powodu jego śmierci ucierpiała czyjakolwiek reputacja" — pisała.

Carey, ulaskawiony, wysłany został do garnizonu w Indiach. Cesarzowa Eugenia uratowała go od kary. Ale nie od ludzkiej pogardy.

248

Wracał na pokładzie „Orontesa".

Od początku lipca zlewają Anglię potoki deszczu, gwałtowny wiatr łopocze w żałobnych draperiach. Wszystkie flagi opuszczone do połowy masztu. W sklepowych witrynach fotografie księcia otoczone krepą. I wszędzie tłumy. Inwazja Francuzów na londyńskie hotele.

Dziesiątego lipca o wpół do ósmej rano „Orontes" zarzuca kotwicę w Portsmouth. Na nabrzeżu liczne zgromadzenie: członkowie rodziny Bonapartych, książę Walii, przyjaciele zmarłego, angielscy oficerowie, korpus dyplomatyczny. Wszyscy rozmawiają szeptem, jak w kościele.

Do statku podpływa „Enchantress", jacht admirałicji, który dalej powiezie trumnę do Woolwich. Grzmią działa. W tym momencie deszcz ustaje, wiatr rozpędza chmury, błyska dawno nie widziane słońce.

Późnym wieczorem „Enchantress" zawija do Woolwich. Całe miasto wyłącza na ulice. Nad królewskim Arsenalem zwinięta flaga, jedną z jego sal zamieniono na żałobną kaplicę.

Na obitych kirem ścianach pyszni się znak napoleońskiej obecności: złote „N" w laurowym wieńcu. Otwartą trumnę otaczają najbliżsi: księżęta Bonaparte, pan Rouher, pan Pietri, generał Fleury, doktor Corvisart, Tristan Lambert, Ludwik Conneau, Anto. Następuje identyfikacja zwłok.

Ludwik Conneau osuwa się na kolana wstrząsany szlochem, którego nie może opanować. Anto klęka obok przyjaciela. Nie płacze, czuje tylko, że wraz z Lu odchodzi z jego życia coś bardzo pięknego — echo dzieciń-



stwa, uniesienia pierwszej młodości? — coś, co się już nigdy nie powtórzy. Wieko tej trumny zatrząśnie się za wszystkimi marzeniami o wielkości, o sławie, nie pozostanie z nich nic, jedynie ta śmierć okrutna i niepotrzebna, ofiara życia złożona obcej sprawie, w obcym mundurze i pod obcym sztandarem, śmierć niesławna, z zasadzki, w wojnie bez ideałów, w której można jedynie utracić prestiż, nie zyskując najbledszego choćby promyka chwały.

Nazajutrz rano po obu stronach drogi do Chislehurst — głowa przy głowie. Trumnę na lawecie armaty otaczają kadeci z Woolwich w galowych mundurach. Biją wszystkie dzwony.

W Camden Place, jak niegdyś dla Napoleona III, tak i teraz przygotowano drugą żałobną kaplicę. Na powrót Ludwika Napoleona. Kir i biel, srebro i fiolet odziały westybul. I kwiaty. Z dworca Charing Cross w Londynie dodatkowe pociągi co chwila wyrzucają na stacji w Chislehurst gromady

249

żałobników. Największe dzienniki z całego niemal świata przysłały swoich korespondentów. Łatwo ich rozpoznać: z notatnikiem w ręku i bystrym okiem, na próżno starają się ukryć wzruszenie.

Sztachety Camden Place okrywają białe draperie z monogramem księcia. Wszystkie te wspańiałości na powrót Lu do domu.

Gdy trumnę ustawiono na katafalku wśród powodzi kwiatów i świateł, otoczyli ją francuscy oficerowie i domownicy. Wówczas to, pierwszy raz, cesarzowa Eugenia opuściła sypialnię. Zeszła ze schodów pochylona, oślepią blaskiem świec i padła na trumnę, ogarniając ją ramionami. Całą noc trwało bolesne czuwanie, jak przed sześciu laty. Tristan Lambert, Ludwik Conneau i Anto nie dali się zluzować, nie czuli zmęczenia. Trudno im było oderwać się od przyjaciela.

Dopiero o świcie cesarzowa Eugenia pozwoliła zaprowadzić się na górę. O dziesiątej przybyła królowa Wiktoria z córkami. Księżniczka Beatrycze nie wstydziła się łez. Być może opłakiwała straconą nadzieję szczęścia? Władczynię Anglii cesarzowa Eugenia przyjęła w ciemnej sypialni.

Salwy armatnie obwieściły zebranym, że książę wyrusza w ostatnią drogę. Tym razem Lu opuszczał dom na zawsze. Trumnę okrytą francuską i angielską flagą ustawiono na lawecie. Ciągnęło ją osiem koni w żałobnych czaprakach z pękami piór na głowie. Kadeci z Woolwich znowu otoczyli dawnego kolegę.

I tak wśród bicia dzwonów i huku dział Lu udawał się do małego kościółka w Chislehurst. Po raz ostatni.

Wśród nieprzebranych tłumów — oceniano liczbę przybyłych na prawie ćwierć miliona — orszak pogrzebowy posuwał się krok za krokiem. Nad głowami powiewały sztandary i chorągwie. Ludzie głośno czytali napisy: „Liceum Bonaparte”. „Studenci z Paryża”. „Młodzież Francji”. „Arenenberg”. „Korsyka”. „Wersal”. „Saint-Cloud”. „Lilie”.

Wśród tysięcy Francuzów brakowało tylko jednego: ambasadora Republiki

w Londynie.

Kościółek w Chislehurst pomieścił zaledwie najbliższych. Kardynał Manning wygłosił kazanie. Podczas nabożeństwa śpiewały najsłynniejsze sopran. A potem Lu został sam. Z ojcem.

Camden Place opustoszało. Na dom osunęła się cisza. Gwarne niegdyś pokoje wsłuchiwały się teraz w milczenie śmierci.

W kilka dni po pogrzebie cesarzowa Eugenia zaprosiła Żeranów, Melę i trzech przyjaciół na mszę, którą ksiądz Goddard odprawiał co dzień w pokoju zmarłego. Wydawała się na pozór spokojna. W rzeczywistości była

250

obojętna na wszystko, co nie dotyczyło jej syna. Musiała o nim mówić, a z kim mogła mówić najszczerzej, jak nie z jego najbliższymi przyjaciółmi?

Przy pożegnaniu, gdy Mela pochyliła się do jej ręki, przytuliła do siebie dziewczynę i wpięła w jej suknię czterolistną koniczynę ze szmaragdów, prezent zaręczynowy od cesarza.

— Weź to — powiedziała cicho. — Niech ten klejnocik będzie dla ciebie zadatkem szczęścia. Mnie już nic nie jest potrzebne.

(6\* 3

Tragiczną rocznicę zapragnęła spędzić na tym miejscu, gdzie padł.

W podróży do Natalu towarzyszyli jej dawni koledzy syna, kapitanowie Bigge i Slade.

Jak on, wylądowała w Durbanie, przemierzyła cały szlak, który prowadził go ku śmierci.

Pierwszego czerwca przypadła do tej ziemi, na której poległ. Czyż jej rąk

nie zwilżyła jego krew? Spędziła tam cały dzień i część nocy, modląc się i płacząc. Zza wysokich traw śledziły ją zaciekawione oczy Zulusów. „Litowali się chyba nad nieszczęśliwą matką” — napisała w liście do pana Pietri.

252

— Nie wytrzymam, muszę wyjechać. — Anto spojrział błagalnie na Melę. — Pan Lesseps szykuje się do nowego przedsięwzięcia, równie wielkiego, jak Suez. Zamyśla o przekopaniu kanału w Panamie. Potrzebuje inżynierów. Kapitan Mourier mówi, że nie występując z wojska mógłbym uzyskać urlop i zostać oddelegowany do pracy z panem Lessepsem. Zrozumcie, nie mogę tak dłużej! — Zacisnęła ręce. — Melu, czy pojechałabyś ze mną? Weźmiemy ślub i...

— Ależ, Anto! — zgorzyla się Róża. — Chcesz narazić Melę na prymitywne warunki i niezdrowy klimat...

— Pojadę — przerwała jej Mela. — Z wielką radością, Anto. — Weźmiemy ślub i popłyniemy do Ameryki. Musisz dokonać czegoś wspaniałego, zanim Polska powstanie i wrócimy do domu.

253

W trzy lata po śmierci „cesarskiego księcia”, czyli w tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim roku, Izba Deputowanych zdecydowaną większością głosów uchwaliła całkowite zburzenie Tuileriów.

Pałac stał na pierwszy rzut oka nietknięty. Patrzył co prawda na Paryż pustymi oczodołami okien, ale renesansowe rzeźby i fryzy, żłobione w marmurze kolumny, posągi greckich bogów, popiersia imperatorów nadal uosabiały piękno, zachwycaly oczy. Jak niegdyś.

Tuilerie były przecież częścią Francji, żyły jej życiem. Wzniosła je monarchia, uświetniło cesarstwo, niszczyły rewolucje. Aż republika położyła kres ich istnieniu.

Po takich artystach, jak architekt Philibert Delorme czy rzeźbiarz Jean Goujon, za Tuileries zabrał się niejaki pan Picart, przedsiębiorca specjalizujący się w rozbiórce nieużytecznych ruin. Za cenę trzydziestu trzech tysięcy franków nabył Tuileries na własność. W niecały rok nie pozostało po

nich śladu. Kto chciał, mógł teraz kupować kamienie z królewskiej rezydencji. Nie zabrakło też amatorów tak świetnego budulca.

Chociażby ów książę Pozzo di Borgo, który wzniósł sobie niewielki pałacyk na Korsyce, w La Punta koło Ajaccio. Istny klejnocik. Blady cień minionej wielkości.

Książę Pozzo di Borgo był potomkiem owego dyplomaty, który z nienawiści do Napoleona przeszedł na służbę cara Aleksandra.

Pan Picart otrzymał również zamówienie z dalekiego Swierklańca na Śląsku. Księżna von Donnersmarck mogła nareszcie deptać posadzki pałacu, którego bramy pozostały niegdyś przed nią zamknięte.

Zemsta Paivy dosięgła Tuileriów.

\